

DAWID COPPERFIELD

POWIEŚĆ

DZIEŁA KAROLA DICKENSA

TOM III

WARSZAWA

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZY

1930



Druk Sikora Warszawa.

Rozdział trzydziesty drugi.

Początek długiej podróży.

Co ja szczerze i naturalnie odczuwam, to, mniemam, że podobnie odczuwają i inni, to też nie obawiam się wyznać, że nigdy Steerfortha tak nie kochałem, jak wtedy, gdy zerwały się łączące nas węzły. Dotkliwie cierpiąc nad odkryciem jego winy, więcej, niż w czasach mojego najwyższego dlań uwielbienia, myślałem o wszystkich jego świetnych zaletach, rozczulałem się nad tem, co w nim było dobrego, oceniałem lepiej jeszcze te zadatki, dzięki którym mógł był stać się człowiekiem szlachetnym i zdobyć wielkie imię. Choć głęboko odczuwałem własny mój nieświadomy udział w shańbieniu uczciwej rodziny, czułem, że gdybym mógł stanąć z nim oko w oko — nie byłbym się zdobył na słowo wyrzutu. Byłbym go zawsze jeszcze tak kochał — choć już nie byłem pod jego urokiem — byłbym w tak tkliwej pamięci chował wspomnienie mojego ku niemu przywiązania, że prawdopodobnie byłbym słabym, jak zastraszone dziecko. Jedynie tylko myśl, że moglibyśmy się znowu złączyć, była wykluczoną. Ta mi nawet nigdy nie zaświtała. Czułem tak, jak i on to czuł, że między nami wszystko skończone. Jakie były jego wspomnienia o mnie, tego się nigdy nie dowiedziałem — zapewne były dosyć powierzchowne i łatwo puszczone w niepamięć — moje jednakże o nim były to wspomnienia o ukochanym przyjacielu, który już nie żył.

Tak, Steerforthie, na długo usunięty z kart tej skromnej opowieści! Moja zgryzota może mimowoli świadczyć przeciw tobie u tronu Najwyższego Sędziego; ale moje gniewne myśli i moje wyrzuty nigdy — to ja wiem!

Wiadomość o tem, co się stało, rozeszła się prędko po mieście, tak, że gdy nazajutrz rano przechodziłem ulicami, słyszałem, jak ludzie rozmawiali o tem pode drzwiami. Wielu surowo ją sądziło, niektórzy jego, ale do przybranego ojca Emilki i jej narzeczonego wszyscy z jednakiem odnosili się uczuciem. Ludzie wszelkich sfer mieli dla nich szacunek w ich niedoli, szacunek, pełen łagodności i delikatności. Marynarze usunęli się z drogi, gdy wczesnym rankiem ujrzeli

ich obu, wolnym krokiem idących wzdłuż wybrzeża i stali gromadkami, z wsr...ciem rozmawiając ze sobą.

Tam na wybrzeżu, tuż nad samem morzem, zastałem ich. Łatwo było poznać, że nie spali całą noc, gdyby mi nawet Peggotty nie była powiedziała, że siedzieli, tak jak ich pożegnałem, chociaż dzień był już jasny. Wyglądali mizernie, a mnie się wydało, że głowa pana Peggotty przez tę jedną noc bardziej się pochyliła, niż przez wszystkie te lata, kiedy go znałem. Obaj jednakże równie byli poważni i spokojni, jak morze; a ono leżało pod chmurnem niebem, ciche, bez bałwanów — poruszane tylko ciężkiem falowaniem jakgdyby oddychało w swoim śnie, i tylko na horyzoncie, od niewidzialnego słońca szedł po niem pasek srebrnego światła.

„Dużośmy się nagadali, panie", zwrócił się do mnie pan Peggotty, gdyż już wszyscy trzej w milczeniu przeszliśmy kawałek, „o tem, cośmy powinni zrobić i o tem, co nie powinniśmy. Ale teraz już widzimy drogę naszą jasno".

Przypadkiem spojrzałem na Hama, patrzącego w dal na morze ku dalekiemu światłu i straszna myśl przebiegła mi przez głowę — nie, by twarz jego była gniewna, gdyż taką nie była; pamiętam na niej tylko ten wyraz silnego postanowienia — że jeżeli kiedy spotka Steerfortha, natenczas zabije go.

„Mój obowiązek tutaj, panie, spełniony", powiedział pan Peggotty. „Idę szukać mojej..." tu urwał i mniej już drżącym głosem kończył: „Idę jej szukać. Odtąd to jest mój obowiązek".

Potrząsnął głową, gdy go zapytałem, gdzie jej zamyśla szukać i zapytał mnie, czy jadę jutro do Londynu. Powiedziałem mu, że nie pojechałem dzisiaj, przypuszczając, że może będę mógł w czem mu się przydać, ale że gotów jestem jechać, kiedy on zechce.

„Ja pojadę z panem, jeśli pan się zgodzi, jutro", odpowiedział.

Znowu przez chwilę szliśmy w milczeniu.

„Ham", zaczął znowu, „ten zostanie przy swojej obecnej robocie i przeniesie się na mieszkanie do mojej siostry. Ta stara łódź tam..."

„Chce pan starą łódź porzucić, panie Peggotty?" wtrąciłem z cicha.

„Mój posterunek, panie Dawidku", odpowiedział, „tam już nie istnieje; a jeżeli kiedy rozbiła się łódź, gdyż ciemności zaległy nad głębią, to czy ta właśnie nie poszła w ten sam sposób na dno? Ale nie, nie, panie, ja nie chcę, by ona stała pustką. Daleki jestem od tego".

Chodziliśmy znowu czas jakiś, tak jak przedtem, aż wreszcie wytłomaczył mi: „Życzę sobie, żeby wyglądała dniem i nocą, zimą czy latem, tak jak zawsze wyglądała,

odkąd ją ona, dzieckiem, poznała. Gdyby kiedykolwiek z wędrówki swej miała powrócić, nie chciałbym, żeby stary kąt rodzinny jakoby wyrzekał się jej, rozumie pan — chciałbym przeciwnie, żeby ją nęcił, by się przybliżyła i zajrzała może, jak duch, stojąc na wietrze i deszczu, i przez to stare okienko ujrzała dawne miejsce swoje przy kominku. Wtedy to może, panie Dawidku, nie widząc tam nikogo, tylko samą panią Gummidge, możeby się odważyła wsunąć się, drżąca cała; i może dałaby się położyć w dawnem swem łóżeczku, może skłoniłaby znużoną głowę tam, gdzie niegdyś tak było wesoło".

Nie mogłem zdobyć się na słowa odpowiedzi, chociaż się starałem.

„Co wieczór regularnie", mówił pan Peggotty, „skoro tylko zmrok zapadnie, świeczka musi być postawioną, jak dawniej, za szybą, ażeby, gdyby ją dojrzała, ta świeczka mówiła do niej: — wróć, dziecko moje, wróć! — Jeżeliby kiedy odezwało się pukanie, Hamie, (a zwłaszcza ciche pukanie) wieczorem, do drzwi twojej ciotki, ty się tam nie zbliżaj. Niechaj ona, nie ty, zobaczy moją upadłą dziecinę!"

Szedł trochę przed nami i wyprzedził nas nieco. Wtedy, spojrzałem znów na Hama, a zauważywszy ten sam wyraz na jego twarzy, i oczy, tak samo zapatrzone w dalekie światło, dotknąłem jego ramienia.

Dwa razy zawołałem go po imieniu, dość głośno, jak gdybym budził śpiącego, zanim mnie spostrzegł. Gdy go wkońcu zapytałem, o czem tak się zamyślił, odpowiedział mi: „O tem, co jest przede mną, panie Dawidku i nad panem".

„O życiu, które jest przed tobą, chciałeś powiedzieć?"

Nieokreślonym ruchem wskazał był na morze.

„Tak, panie Dawidku. Nie wiem dobrze, jak to jest, ale z ponad pana, zdawało mi się, idzie ku mnie... niby koniec tego wszystkiego". Tu spojrzał na mnie, jakgdyby przebudzony ze snu, ale z tym samym co wpierw wyrazem na twarzy.

„Jaki koniec?" zapytałem, przejęty znowu strachem.

„Nie wiem", odpowiedział, zamyślony; „myślałem o tem, że tu się to wszystko zaczęło — a wtedy przyszedł koniec. Ale to już przeszło! Panie Dawidku", dodał, w odpowiedzi zapewne na moje spojrzenie, „nie potrzebuje pan mnie się bać; ale jestem jakiś nieswój i miesza mi się w głowie".

Ponieważ pan Peggotty przystanął, byśmy go mogli dogonić, przyśpieszyliśmy więc kroku i nie mówiliśmy nic więcej. Wspomnienia tego zajścia jednak, w połączeniu z tem, co przedtem pomyślałem, prześladowało mnie odtąd raz po raz, dopóki nieubłagany koniec nie nadszedł w swoim czasie

Tymczasem nieznacznie przybliżyliśmy się do starej łodzi i weszliśmy do środka. Pani Gummidge, już nie dąsająca się w swoim kąciku, krzątała się, przygotowując śniadanie. Odebrała od pana Peggotty kapelusz, przysunęła mu siedzenia i tak mile i łagodnie przemawiała, że jej nie poznawałem.

„Danielu, moi drodzy", mówiła, „musicie jeść i pić i podtrzymywać siły, bo bez tego nic nie zrobicie. Przymuście się, moi mili! A jeżeli wam przeszkadzam mojem trajkotaniem, to powiedzcie mi, Danielu, a przestanę".

Gdy już nas wszystkich obsłużyła, usiadła pod oknem i tam pracowicie reperowała koszule i inne ubrania, należące do pana Peggotty, potem składała je porządnie i pakowała to w nieprzemakalny worek, taki, jakich używają żeglarze. Przez cały ten czas nie przestawała mówić równie spokojnie.

„O każdym czasie i o każdej porze, wy wiecie Danielu, będę ja tu zawsze i wszystko będzie tak wyglądało, jak wy sobie tego życzycie. Nieuczona ja niewiasta, ale będę do was pisywała raz po raz, gdy was nie będzie i listy moje będę posyłała do pana Dawidka. Możebyście i wy do mnie napisali czasem Danielu i opowiedzieli mi, jak się tam czuć będziecie w tych samotnych waszych podróżach".

„Boję się, że wam tu przykro będzie samej", zauważył pan Peggotty.

„Nie, nie Danielu", odpowiedziała, „wcale tak nie będzie. Wy o mnie się nie troskajcie. Będę miała dość do roboty, by dom utrzymać w porządku dla was, jak wrócicie, i dla tych, coby tu mogli powrócić, Danielu. W ładną pogodę siądę sobie pod drzwiami, tak jak to zwykłam robić. Gdyby kto miał przyjść, zdaleka już widziałby wierną sobie starą wdowę".

Cóż za zmiana w pani Gummidge w tak krótkim czasie! Była to inna kobieta. Była tak oddana, tak bystro miarkowała, co dobrze jest powiedzieć, a co lepiej przemilczeć, tak zapominała o sobie, przejęta tylko smutkiem drugich wkoło siebie, że wprost odczuwałem dla niej rodzaj czci. A jak ona się tego dnia napracowała! Wiele tam było rzeczy do przeniesienia z nad brzegu i do pochowania w szopie — jako to wiosła, sieci, żagle, liny, rygle, puszki na homary i t. p.; a chociaż wielu pomagało, gdyż nie było na wybrzeżu robotnika ani wioślarza, któryby wdzięcznem sercem nie przyjął wezwania i nie stanął dla pana Pegotty do pracy — jednakże upierała się, jak dzień długi harować, dźwigając nadmierne ciężary i za różnemi niepotrzebnemi interesami latając tam i z powrotem. Co zaś do opłakiwania swoich nieszczęść, zdawałoby się, że zupełnie zapomniała, iż kiedykolwiek była nieszczęśliwą. Przy całem swojem

współczuciu zachowała równą pogodę, co w zmianie, jakiej uległa, nie było najmniej uderzającym szczegółem. O zrzędzeniu nie było ani mowy. Nie zauważyłem nawet, żeby jej głos zadrżał kiedy, albo łza popłynęła z oczu przez cały ten dzień, aż do zmroku; wtedy to, gdy ona, pan Peggotty i ja zostaliśmy sami, a pan Peggotty zasnął z wyczerpania, wybuchnęła stłumionem łkaniem i płaczem, i prowadząc mnie do drzwi, powiedziała: „Niech pan Bóg błogosławi, panie Dawidku, bądź pan mu przyjacielem, kochanemu biedakowi!" Po tych słowach natychmiast uciekła z domu, żeby sobie twarz obmyć, a potem spokojnie siedzieć obok niego z robotą, by tak ją zastał, skoro się obudzi. Jednem słowem zostawiłem ją, odchodząc na noc, jako podporę i ostoję pana Peggotty w jego strapieniu. Zastanawiający był to dla mnie przykład i nauka i nowe zupełnie, doświadczenie życiowe.

Było to między dziewiątą a dziesiątą godziną, gdy niewesoło idąc przez miasto, zatrzymałem się u drzwi pana Omera. Pan Omer tak to wszystko wziął sobie do serca, powiedziała mi jego córka, że bardzo licho czuł się przez cały dzień i poszedł do łóżka bez fajki.

„Wiarołomna, niepoczciwa dziewczyna", mówiła pani Joram. „Nigdy w niej nic dobrego nie było!"

„Niech pani tak nie mówi", odpowiedziałem. „Pani tego nie myśli".

„Owszem, myślę!" zawołała gniewnie.

„Nie, nie wierzę!" rzekłem.

Pani Joram potrząsnęła głową, usiłując być bardzo surową i chmurną; nie mogła jednak przezwyciężyć łagodniejszych swoich uczuć i zaczęła płakać. Byłem młody, to prawda, ale urosła w oczach moich przez to swoje współczujące serce i wydało mi się, że jako cnotliwej żonie i matce przystoi ono bardzo.

„Co ona ze sobą zrobi?" łkała Mińcia. „Dokąd się uda? Co się z nią stanie? Och, jakże mogła być tak okrutną dla siebie samej i dla niego!"

Pamiętałem ten czas, gdy Mińcia była młodem i ładnem dziewczątkiem, i rad byłem, że i ona to tak serdecznie pamięta.

„Moją małą Mińcię", mówiła dalej pani Joram, „dopiero teraz zdołałam uśpić. Nawet przez sen łka za Emilką. Przez cały dzień płakała Mińcia za nią i ciągle mnie pytała, czy Emilka jest niedobra? I cóż ja jej powiem, kiedy Emilka wstążkę z własnej szyi zawiązała na szyjce Mińci ostatniego wieczora, gdy tu była i położyła głowę na poduszce obok dziecka, dopóki na dobre nie zasnęło! Wstążkę tę ma teraz moja Mińcia na szyi. Może to nie powinno tak być, ale cóż ja

mogę zrobić? Emilka jest niegodziwa, ale one bardzo ją kochały. A dziecko przecież nic nie wie!"

Pani Joram czuła się tak nieszczęśliwą, że mąż wyszedł, żeby ją pocieszyć. Zostawiając ich razem, poszedłem do domu, do Peggotty, smutniejszy jeszcze jeśli to możliwe, niż dotąd.

To zacne stworzenie — Peggotty mam na myśli — pomimo przebytych trudów, niepokojów i bezsennych nocy niestrudzona, pozostała u brata, gdzie postanowiła nocować. Stara kobieta, posługująca w domu przez parę ostatnich tygodni, gdy Peggotty nie mogła gospodarstwem się zajmować, była, oprócz mnie, jedyną w domu żywą duszą. Ponieważ nie potrzebowałem jej usług, posłałem ją spać, a sam na chwilę siadłem przed kuchennym ogniem, żeby spokojnie pomyśleć o wszystkiem.

Morzyło mnie; zaczęło mi się plątać jedno z drugiem, to, co ostatnio zaszło, z śmiertelnem łożem nieboszczyka Barkisa. Wraz z odpływem płynąłem ku tej odległej dali, w którą tak dziwnie dziś rano zapatrzył się Ham — gdy te majaczenia półsenne przerwało pukanie do drzwi. Była u drzwi kołatka, ale to nie to wydało odgłos. Pukała ręką we drzwi, i to nisko, jakgdyby pukało dziecko.

Zerwałem się na równe nogi i otworzyłem drzwi; spojrzałem wdół i ku mojemu zdziwieniu ujrzałem tylko wielki parasol, który sam zdawał się chodzić. Niebawem jednak pod parasolem odkryłem pannę Mowcher.

Nie bardzo mile byłbym przyjął to małe stworzenie, gdyby z pod parasola, którego mimo największych wysiłków, nie zdołała zamknąć, była mi ukazała ten „płochy" wyraz twarzy, który za pierwszem i ostatniem naszem widzeniem takie na mnie sprawił wrażenie. Jednakże twarz, którą do mnie podniosła, była tak poważna, a gdym jej odebrał parasol (nawet dla olbrzyma niewygodny), z takim żalem zacisnęła rączki, że to mnie raczej ku niej pociągnęło.

„Panno Mowcher!" rzekłem, rozglądnąwszy się po pustej ulicy, nie wiedząc sam, czego szukam; „skąd się pani tutaj wzięła? Co się stało?"

Ruchem ręki poprosiła mnie, bym za nią zamknął parasol i mijając mnie spiesznie, weszła do kuchni. Gdy zamknąłem drzwi i wszedłem za nią z parasolem w ręku, zastałem ją siedzącą pod piecem kuchennym, kołyszącą się wtył i naprzód i załamującą ręce na kolanach, jak ktoś, kto silnie cierpi.

Wprost przestraszony, że przychodzi mi samemu przyjmować tę niezręczną wizytę i że jestem jedynym widzem tego szczególniejszego zachowania się, zawołałem znowu: „Proszę, niech mi pani powie, panno Mowcher, co się pani stało? Czy panią co boli?"

„Mój drogi młodzieńcze", odpowiedziała, cisnąc obie ręce do serca. „Tutaj mnie boli, bardzo mnie boli. Pomyśleć, że przyszło do tego, kiedy ja mogłam wiedzieć i może temu zapobiec, gdybym nie była bezmyślną idjotką!"

Znowu wielki jej kapelusz, (nieproporcjonalnie wielki do jej wzrostu) zaczął się chwiać tam i z powrotem, ponieważ drobne jej ciało kołysało się tam i z powrotem — a drugi olbrzymi kapelusz powtarzał te ruchy na ścianie.

„Jestem zdziwiony", zacząłem, „że widzę panią tak zmartwioną i poważną..." Ona mi jednak przerwała.

„Tak! Zawsze to samo", rzekła. „Oni się zawsze dziwią, ci lekkomyślni młodzi, pięknie wyrośnięci, ile razy dopatrzą się naturalnych ludzkich uczuć w takiem małem stworzeniu, jak ja! Robią sobie ze mnie zabawkę, śmieją się ze mnie, odrzucają, gdy im się to sprzykrzy i dziwią się, że czuję więcej, niż wypchany konik lub drewniany żołnierz! Tak, tak, tak się to robi. Zawsze w ten sposób!"

„Być może, że tak robią inni", odpowiedziałem, „ale zapewniam panią, że ja nie. Może nie powinienem był wcale się dziwić, widząc panią taką, jaką pani jest teraz; ja przecież tak mało wiem o pani. Powiedziałem, nie zastanowiwszy się, to, co mi na myśl przyszło".

„I cóż ja mogę zrobić?" odpowiedziała mała kobietka, wstając i wyciągając ręce, żeby się lepiej pokazać. „Proszę popatrzeć! Jaką ja jestem, takim był mój ojciec; i moja siostra jest taką i mój brat. Pracuję na brata i na siostrę od wielu lat, ciężko, panie Copperfield — dzień cały. Muszę żyć. Krzywdy nikomu nie robię. Jeżeli są ludzie, tak bezmyślni i okrutni, że stroją sobie żarty ze mnie, co mi pozostaje, jak żart robić ze siebie, z nich, ze wszystkiego? Jeżeli to narazie robię, to czyjaż wina? Czy moja?"

Nie, rozumiałem, że to wina panny Mowcher.

„Gdybym się okazała czującą karliczką pańskiemu niegodnemu przyjacielowi", ciągnęła dalej mała kobietka, potrząsając głową z pełną wyrzutu powagą, „czy myślisz pan, że na jego pomoc lub dobrą wolę mogłabym wtedy liczyć? Gdyby mała Mowcher (która przecież temu nie winna, że jest taka, bo sama się nie stwarzała), zwróciła się do niego albo do jemu podobnych ze skargą na swoją niedolę, czy myślisz pan, że słaby jej głosik byłby dosłyszany? Mała Mowcher tak samoby żyć potrzebowała, gdyby była najprzykrzejszym i najnudniejszym z karłów, ale nie mogłaby. Nie. Mogłaby gwizdać o chleb i o masło, dopókiby nie umarła, karmiąc się powietrzem".

Panna Mowcher przysiadła znowu, wyjęła chustkę do nosa i otarła oczy.

„Niech mi pan powinszuje, jeżeli pan ma dobre serce, a myślę, że pan je ma", powiedziała, „że wiedząc dobrze,

czem jestem, potrafię być pogodną i znieść to wszystko. Ja sobie w każdym razie jestem wdzięczną, że umiem znaleźć własną moją ścieżkę przez życie, nic nikomu nie zawdzięczając i że w odwet za to wszystko, czem mnie obrzucają po drodze, z głupoty czy też próżności, potrafię odrzucać bańki mydlane. Jeżeli się nie martwię tem, czego mi brak, tem lepiej dla mnie, a nie gorzej dla nikogo. Jeśli jestem zabawką dla was, olbrzymów, obchodźcie się ze mną delikatnie".

Panna Mowcher schowała chustkę do kieszeni, wpatrując się przez cały ten czas we mnie bardzo przenikliwie i mówiła dalej: „Widziałam pana na ulicy przed chwilą. Może pan sobie wyobrazić, że nie mogę iść tak prędko, jak pan, mając tak krótkie nogi i krótki oddech, to też nie mogłam pana dogonić; odgadłam jednak, dokąd pan idzie, i przyszłam za panem. Byłam tu już przedtem, za dnia, ale tej dobrej kobiety nie było w domu".

„Zna ją pani?" zapytałem.

„Słyszałam o niej od Omera i Jorama. Byłam tu o siódmej rano. Czy pamięta pan, co Steerforth mówił do mnie o tej nieszczęsnej dziewczynie, wtedy, kiedy was obu widziałam w hotelu?"

Wielki kapelusz na głowie panny Mowcher i większy kapelusz na ścianie zaczęły znowu wtył i naprzód się kołysać, gdy mi zadawała to pytanie.

Dobrze pamiętałem, o czem mówiła, gdyż sam dnia tego wiele razy o tem pomyślałem. Powiedziałem jej to.

„Niech go ojciec wszelkiego złego pokarze", rzekła mała kobietka, grożąc palcem, „a stokroć bardziej niechaj pokarze tego niegodziwego służącego; ale myślałam, że to pan ma chłopięcy sentyment dla tego dziewczęcia!"

„Ja?" zapytałem.

„Dziecko! Dziecko! W imię ślepego złego losu", zawołała panna Mowcher, trąc niecierpliwie ręce i kołysząc się znów całem ciałem, „a czemużeś chwalił ją tak, i czerwienił się, i wyglądał zmieszany?"

Nie mogłem sobie zaprzeczyć, że tak było, choć dla zupełnie innych powodów, niż przypuszczała.

„Cóż ja mogłam wiedzieć?" mówiła panna Mowcher, wyciągając znowu chustkę i cisnąc ją oburącz do oczu. „Omotywał pana i schlebiał panu, widziałam; a pan był miękki jak wosk w jego ręku, widziałam. Zaledwie wyszłam z pokoju, służący jego powiedział mi, że „młode niewiniątko" (tak pana nazwał ten stary grzesznik) zakochało się w tej dziewczynie, a ona jest kokietką i patrzy na nie mile, ale jego pan nie chce, by z tego co złego wynikło — raczej ze względu na pana, niż na nią — i że dla tej sprawy tutaj siedzą. Czyż mogłam mu nie uwierzyć? Widziałam, jak Steerforth uspokaja pana i dogadza mu, wychwalając ją!

Pan pierwszy wypowiedziałeś jej imię. Przyznałeś się, żeś ją dawniej uwielbiał. Mieniłeś się cały, czerwieniałeś i bladłeś, gdy mówiłam o niej do ciebie. Cóż ja mogłam myśleć — co pomyślałam? Oto, że jesteś młody rozpustnik duszą, tylko że bez doświadczenia, i że wpadłeś w ręce doświadczone, które potrafią tobą pokierować dla twego własnego dobra! Ach! ach! ach! Bali się, że odkryję prawdę", zawołała panna Mowcher wstając i drepcząc tam i z powrotem po kuchni z rozpaczliwie podniesionemi rękami, „bali się, bo jestem bystre stworzenie... muszę taką być, żeby się wogóle przedrzeć przez życie! I otumanili mnie całkowicie i ja oddałam nieszczęsnemu dziewczęciu list, który, jestem pewna, doprowadził do tego, że zaczęła z Littimerem rozmawiać; a tego łotra umyślnie tu zostawiono!"

Stałem, zdumiony odkryciem całej tej przewrotności i patrzyłem na pannę Mowcher, biegającą tam i z powrotem po kuchni aż do utraty tchu; wreszcie przysiadła znowu i otarłszy twarz chustką, potrząsała tylko czas jakiś głową, nieruchoma zresztą i milcząca.

„Moje objazdy po prowincji", dodała wkońcu, „zawiodły mnie do Norwich, panie Copperfield, przedostatniego wieczora. To, czego się tam przypadkiem dowiedziałam, o ich tajemnych przyjazdach i wyjazdach bez pana — co było dziwne — nasunęło mi podejrzenie, że jest w tem coś niedobrego. Wczoraj wieczór wsiadłam w pocztę z Londynu, przejeżdżającą przez Norwich i przybyłam tu dzisiaj rano. Och! och! och! Zapóźno!"

Biedna mała Mowcher tak zziębła z tego płaczu i zmartwienia, że wilgotne nóżki wpakowała w popiół popielnika dla rozgrzania i siedziała, wpatrzona w ogień, jak wielka lala. Ja siedziałem na krześle po drugiej stronie ogniska, tonąc w bolesnych rozmyślaniach, i patrzyłem to w ogień, to chwilami na nią.

„Muszę już iść", rzekła wkońcu, wstając. „Późno już. Czy mi pan może nie dowierza?"

Spotkawszy jej przenikliwe spojrzenia, a przenikliwem było zawsze, nie mogłem na takie zapytanie wprost — odpowiedzieć zupełnie szczerze, że nie.

„Powiedz pan!" rzekła, patrząc w zamyśleniu w moją twarz, „nie niedowierzałbyś mi, gdybym była kobietą normalnego wzrostu!"

Odczułem, że było w tem wiele prawdy, i zawstydziłem się potrosze.

„Jesteś pan młodym człowiekiem", rzekła, kiwając głową. „Przyjmij słowo dobrej rady, choć ci je daje takie nic, co mierzy trzy stopy. Staraj się fizycznych braków nie wiązać z duchowemi, dobry mój przyjacielu, jeśli nie masz poważnego powodu po temu".

Opuściła mnie wszelka podejrzliwość. Powiedziałem jej, że wierzę w wszystko, co mi o sobie opowiedziała i że oboje służyliśmy za niefortunne narzędzia w intryganckich rękach. Podziękowała mi i oświadczyła, że dobry chłopak ze mnie.

„A teraz słuchaj pan!" zawołała, wracając ode drzwi i patrząc bystro na mnie, podniosła w górę palec. „Mam pewne powody przypuszczać sądząc z tego, co słyszałam — ja zawsze nastawiam uszu, — że oni pojechali zagranicę. Jeżeli jednak wrócą, jeżeli które z nich wróci, dopóki ja żyję, ja, która się tyle ruszam, odkryję to prędzej, niż kto inny. Czegokolwiekbym się dowiedziała, dowie się i pan. Jeżeli będę mogła uczynić cośkolwiek dla dobra tej biednej, oszukanej dziewczyny, uczynię to rzetelnie, tak mi dopomóż Boże! A Littimerowi lepiejby było mieć złośliwego brytana za plecami, niż małą Mowcher!"

Uwierzyłem w to najzupełniej, widząc spojrzenie, z jakiem te słowa wyrzekła.

„Niech mi pan więcej nie ufa, ale też i nie mniej, jakby pan ufał normalnego wzrostu kobiecie", rzekła karliczka, dotykając mojej ręki. „Jeżeli zobaczy mnie pan znów kiedy, inną, niż jestem teraz, a taką, jaką byłam, gdy mnie pan po raz pierwszy widział, niech pan uważa, w jakiem towarzystwie będę. Niech pan pomyśli, że jestem bardzo bezradne i bardzo bezbronne małe stworzenie. Niech pan pomyśli o mnie w moim domu, z bratem, takim, jak ja, i z siostrą taką, jak ja, po ukończonej pracy dziennej. Może wtedy nie będzie pan bardzo surowy dla mnie, ani zdziwiony, że potrafię czuć się nieszczęśliwą i być poważną. Dobranoc!"

Podałem rękę pannie Mowcher zupełnie inaczej sądząc ją, niż dotychczas, i otworzyłem drzwi, by ją wypuścić. Niełatwa to była sprawa otworzyć wielki parasol i w równowadze umieścić go w jej ręku; nareszcie dokonałem szczęśliwie tej sztuki i patrzyłem, jak sunie, podskakując, wzdłuż ulicy wśród deszczu, jakby nikogo nie miał pod sobą — a tylko gdy silniejszy rzut wody z pod jakiej rynny przechylał go na bok, ukazywała się panna Mowcher, gwałtownie walcząca o naprostowanie go z powrotem. Coś parę razy wyskakiwałem jej na pomoc, daremnie jednak, gdyż parasol podskakiwał już dalej, jak olbrzymi ptak, zanim go zdążyłem dogonić; wróciłem nareszcie do domu, poszedłem do łóżka i spałem do rana.

Rano nadeszli pan Peggotty i moja stara piastunka i o wczesnej godzinie poszliśmy do biura pocztowego, gdzie pani Gummidge i Ham czekali już, by się z nami pożegnać.

„Panie Dawidku", szepnął Ham, biorąc mnie na stronę, podczas gdy pan Peggotty wkładał swój worek pomiędzy bagaże, „jego życie jest zupełnie złamane. On sam nie wie, dokąd idzie, co go czeka; wybiera się w podróż, która może

trwać do końca życia, jeżeli nie znajdzie tej, której szuka. Ja jestem pewny, że pan będzie przyjacielem dla niego, panie Dawidku?"

„Ufaj mi, że nim będę", odpowiedziałem, ściskając mu poważnie dłoń.

„Dziękuję. Dziękuję panu bardzo. Jeszcze jedno. Mam dobre zarobki, pan wie, panie Dawidku, a teraz nie mam na co wydać tego, co zarobię. Pieniądze mi już teraz niepotrzebne, tyle tylko, żeby żyć. Jeżeli pan ich może użyć dla wuja, będę pracował większą ochotą; chociaż co do tego, panie", mówił stanowczo a łagodnie, „niech pan nie myśli, że nie będę pracował zawsze, jak powinien mężczyzna i że nie będę żył najuczciwiej, jak tylko można!"

Zapewniłem go, że jestem o tem przekonany; przytem napomknąłem, że może nawet przyjdzie czas, gdzie przestanie wieść to samotne życie, jakie jedynie widzi obecnie przed sobą.

„Nie, panie", odparł, potrząsając głową, „wszystko to już minęło i skończyło się dla mnie. Nikt nigdy tego pustego miejsca zapełnić nie może. Ale pan będzie pamiętał o tych pieniądzach, bo zawsze coś odłożonego dla niego czekać będzie u mnie".

Przypomniawszy mu, że pan Pegotty pobierać będzie stały, choć skromny, dochód z zapisu szwagra, obiecałem mu zastosować się do jego życzenia. Następnie pożegnaliśmy się ze sobą. Jeszcze teraz, gdy o nim myślę, ściska mi się serce na wspomnienie jego cichego męstwa i głębokiego jego żalu.

Co do pani Gummidge, gdybym usiłował opisać, jak biegła wzdłuż ulicy obok karety pocztowej, nic nie widząc, jak tylko jednego pana Peggotty na jej dachu, przez łzy, które starała się powstrzymać, jak roztrącała się o idących naprzeciw przechodniów — musiałbym podjąć trochę trudne zadanie. To też wolę ją pozostawić na schodkach przed budką piekarza, zadyszaną, w zniekształconym kapeluszu i z jednym trzewikiem w dość znacznej odległości leżącym na bruku.

Dotarłszy do celu podróży rozejrzeliśmy się przedewszystkiem za mieszkaniem dla Peggotty, gdzieby i brat jej mógł dostać łóżko. Udało nam się szczęśliwie dostać takie mieszkanie, bardzo czyste i tanie, ponad sklepikiem z towarami mieszanemi w odległości tylko dwóch ulic ode mnie. Nająwszy to mieszkanko, kupiłem trochę zimnego mięsiwa i zabrałem moich towarzyszy na herbatę do siebie; przykro mi wyznać, że nie zyskało to uznania pani Crupp, a nawet wręcz przeciwnie. Dla wytłomaczenia stanu ducha tej niewiasty muszę zauważyć, iż bardzo ją to obraziło, że Peggotty, zaledwie dziesięć minut upłynęło, zakasała swoje

wdowie szaty i zabrała się do oczyszczenia z kurzu mojej sypialni. Pani Crupp uważała to za uroszczenie, a na żadne uroszczenia, oświadczyła, pozwolić nie może.

W drodze do Londynu oznajmił mi pan Peggotty zamiar, którego się potrosze spodziewałem. Mianowicie postanowił on przedewszystkiem zobaczyć się z panią Steerforth. Ponieważ uważałem, że powinienem dopomóc mu w tem, a także pośredniczyć między nimi, chcąc także, ile możności, oszczędzić uczucia matki, przeto napisałem do niej zaraz tego samego wieczora. Powiedziałem jej jak najłagodniej, w czem syn jej zawinił i jaki był mój udział w krzywdzie, którą wyrządził. Powiedziałem, że pan Peggotty to człowiek bardzo prostej kondycji, ale bardzo szlachetnego i zacnego charakteru, i że śmiem się spodziewać, iż ona nie odmówi widzenia się z nim w tem ciężkiem jego zmartwieniu. Nadmieniłem, że przybędziemy o godzinie drugiej popołudniu i sam wysłałem list pierwszą ranną pocztą.

O oznaczonej godzinie stanęliśmy przed drzwiami — przed drzwiami tego domu, gdzie niewiele dni temu byłem tak szczęśliwy, gdzie tak swobodnie oddawałem się młodzieńczej ufności i gorącym porywom serca: a który teraz zamknął się dla mnie na zawsze, pustką był dla mnie, zniszczałą ruiną.

Żaden Littimer nie ukazał się. Milsza twarzyczka, która go zastępowała za ostatnią moją bytnością, ukazała się na nasz dzwonek i zaprowadziła nas do salonu. Pani Steerforth siedziała tam. Róża Dartle, gdyśmy wchodzili, wysunęła się z innej strony pokoju i stanęła za jej fotelem.

Poznałem odrazu po twarzy jego matki, że wiedziała od niego samego o tem, co uczynił. Twarz ta była bardzo blada i nosiła ślady głębszych wzruszeń, niżby je mógł wywołać sam mój list, który w wielkiej swej miłości mogła była przyjąć z zastrzeżeniami i powątpiewaniem. Wydała mi się podobniejszą do syna, niż kiedykolwiek dawniej — czułem też raczej, niż widziałem, że to podobieństwo zauważył i mój towarzysz.

Siedziała, wyprostowana w fotelu, z pełnym godności, niewzruszonym, beznamiętnym wyrazem, którego, zdawałoby się, nic nie mogło zamącić. Bez zmrużenia oczu wpatrywała się w stojącego przed nią pana Peggotty, a on tak samo w nią. Przenikliwe spojrzenie Róży Dartle obejmowało nas wszystkich. Przez pewną chwilę nikt nie przemówił ani słowa. Ruchem ręki wskazała panu Peggotty, żeby usiadł. Cichym głosem odpowiedział: „Nie uważałbym za właściwe, pani, siadać w tym domu. Wolę raczej stać“.

Po tych słowach znowu nastało milczenie, aż ona je wkońcu przerwała: „Wiem, co pana tutaj sprowadza i bardzo tego żałuję. Czego pan sobie życzy ode mnie? Co pan chce, żebym zrobiła?“

Wsunął kapelusz pod pachę i wyszukawszy na pl[...] list Emilki, wyjął go, rozwinął i podał.

„Niech pani to łaskawie przeczyta. To pisze moja [...]strzenica“.

Odczytała list z tym samym godnym i obojętnym wyrazem — nieporuszona jego treścią, o ile mogłem [...] — i oddała go jemu.

„— o ile nie przywiezie mnie panią —“, powie[...] pan Peggotty, wskazując palcem na odpowiedni ust[...] „Przyszedłem dowiedzieć się, czy syn pani dotrzyma słowa?“

„Nie“, odpowiedziała.

„Dlaczego nie?“ zapytał.

„To jest niemożliwe. Byłoby to dla niego ujmą. Pan musi rozumieć, że ona jest o wiele poniżej jego sfery“.

„Więc ją podnieście!“ rzekł pan Peggotty.

„Niema wykształcenia, jest prostą dziewczyną“.

„Może nie jest, może jest“, mówił pan Peggotty. „Ja myślę, że nie jest, pani; ale ja nie jestem sędzią w tych sprawach. Dajcie jej więcej nauki!“

„Skoro mnie pan przymusza mówić wyraźniej, co czynię bardzo niechętnie, jej niskie stosunki rodzinne uczyniłyby małżeństwo niepodobieństwem, gdyby nawet nie istniały inne przeszkody“.

„Proszę, niech pani posłucha, co powiem“, odpowiedział powoli i spokojnie. „Pani wie, co to znaczy kochać swoje dziecko. Ja również wiem. Gdyby była sto razy mojem własnem dzieckiem, nie mógłbym jej kochać więcej. Pani nie wie, co to znaczy tracić swoje dziecko. Ja wiem. Wszystkie skarby świata, gdybym je posiadał, byłyby mi niczem, byle ją odzyskać. Lecz wyratujcie ją od tego wstydu, a my was nigdy wstydem nie okryjemy. Ani jedno z nas, wśród których wyrosła, ani jedno z nas, którzy z nią żyliśmy, kochając ją, jak swój skarb najdroższy przez tyle lat, ani jedno z nas nie spojrzy już nigdy na jej słodką twarz. Wystarczy nam, że będzie żyła; wystarczy nam myślenie o niej, dalekiej, jakgdyby była gdzieś pod innem słońcem i pod innem niebem; radzi będziemy wiedzieć, że jest z mężem swoim, z małemi swemi dziećmi, może... i czekać będziemy tej chwili, która nas wszystkich zrówna przed oczyma Boga!“

Prosta wymowa jego miała swoją moc. Pani Steerforth zachowała dumne swoje wzięcie, ale w tonie jej odpowiedzi był odcień łagodniejszy.

„Nie sądzę nikogo. Nie robię żadnych zarzutów. Ale przykro mi, że muszę powtórzyć, iż to jest niemożliwe. Ta-

cie małżeństwo zwichnęłoby nieodwołalnie karjerę mojego syna, zniweczyłoby jego widoki. Z całą stanowczością oświadczam, że to nigdy nastąpić nie może i nigdy nie nastąpi. Jeżeli mogę w inny sposób wynagrodzić..."

„Patrzę na podobiznę tej twarzy", przerwał pan Peggotty, nie spuszczając z niej oczu, w których zabłysły płomyki, „która patrzyła na mnie w moim domu, przy mojem ognisku, w mojej łodzi, i wszędzie — uśmiechnięta i przyjacielska, i tak zdradziecka, że od zmysłów odchodzę, gdy o tem pomyślę. Jeżeli podobizna tej twarzy nie spali się ze wstydu na samą myśl ofiarowania mi pieniędzy za hańbę i zgubę mojego dziecka, jest ona nie mniej niegodziwą. A że to kobieta, więc gorszą jeszcze".

Teraz zmieniła się dumna pani w jednej chwili. Rumieniec gniewu oblał jej twarz; z całą bezwzględnością przemówiła ściskając silnie poręcze fotela:

„A jakież zadosyćuczynienie możesz mnie pan dać za wykopanie takiej przepaści pomiędzy mną a moim synem? Czem jest miłość twoja w porównaniu do mojej? Wasze rozstanie w porównaniu do naszego?"

Panna Dartle trąciła ją lekko i pochyliła głowę szepcąc, ale pani Steerforth nie chciała jej słuchać.

„Nie, Różo, ani słowa! Niech ten człowiek usłyszy, co mu mam do powiedzenia! Mój syn, cel mojego życia, któremu poświęcona była każda moja myśl, którego każde życzenie od dzieciństwa spełniałam, z którym nierozłącznie żyłam od jego urodzenia — żeby się w jednej chwili zadał z nędzną dziewczyną i unikał mnie! Odpłacał mi moje zaufanie systematycznem oszukiwaniem z tego powodu, i opuścił mnie dla niej! Żeby stawiał ten nieszczęsny kaprys ponad prawo swej matki do jego obowiązku, miłości, szacunku, wdzięczności, prawo, które każdy dzień i godzina powinny były zacieśniać się w węzły silniejsze nad wszystko! Czy to nie jest krzywda?"

Róża Dartle znów starała się ją uspokoić; i znów napróżno.

„Mówię ci, Różo, ani słowa! Jeżeli on może postawić wszystko na kartę dla tak marnego celu, ja mogę postawić wszystko dla o wiele ważniejszego. Niech sobie idzie, gdzie chce, z temi środkami, jakie mu moja miłość zapewniła! Czy on myśli, że zwycięży mnie długą nieobecnością? Mało zna swoją matkę, jeżeli tak myśli. Niech się wyrzeknie dzisiaj swojej zachcianki, a ja go powracającego powitam radośnie. Jeśli się jej nie wyrzeknie teraz, a nie zbliży się do mnie nigdy, żywy czy umierający, dopóki siły mi starczy, by rękę podnieść na znak, że zabraniam; chybaby pozbył się jej na zawsze i kornie przyszedł do mnie prosić o przebaczenie.

Do tego mam prawo. Takie zadosyćuczynienie ja mieć c h c ę. To jest ten rozłam pomiędzy nami. A czy to", dodała, patrząc na swego gościa dumnie i bezwzględnie, jak na samym początku, gdy zaczęła mówić, „czy to nie jest krzywdą?"

Słysząc i widząc matkę, wymawiającą te słowa, wydało mi się, że słyszę i widzę syna, stawiającego się jej opornie. Wszystko, co w nim było z tego nieustępliwego, samowolnego ducha, ujrzałem teraz w niej. Tę źle skierowaną energję, którą znałem u niego, zrozumiałem tem lepiej, bo odnajdywałem ją także w jej charakterze; zrozumiałem też, że charaktery te, w swoich najsilniejszych sprężynach były te same.

Pani Steerforth zwróciła się teraz do mnie i, wracając do poprzedniego chłodu, zauważyła głośno, że zbytecznem byłoby więcej słyszeć czy więcej mówić, i że prosi, by tę rozmowę skończono. Powstała z miną pełną godności, chcąc wyjść z pokoju, lecz pan Peggotty przeszkodził temu, mówiąc: „Proszę się nie lękać, że będę tutaj zawadzał, nie mam nic więcej do powiedzenia, pani", rzekł, posuwając się ku drzwiom. „Przyszedłem tutaj bez żadnej nadziei i żadnej nadziei nie wynoszę stąd. Zrobiłem to, co uważałem, że powinienem był zrobić, lecz nie spodziewałem się doznać tu niczego dobrego. Ten dom nazbyt wiele złego zdziałał dla mnie i dla moich, i byłbym niespełna rozumu, gdybym się tu czego spodziewał".

Z temi słowy wyszedł; ona zaś stała przy swoim fotelu, postać szlachetna i piękna.

Wychodząc z domu musieliśmy przejść oszkloną werandę, obrośniętą dzikiem winem. Listki i pędy jego były teraz zielone, a że dzień był słoneczny, szklane drzwi, prowadzące do ogrodu, były otwarte. Róża Dartle, wsunąwszy się tam cichym krokiem, gdy się do tych drzwi zbliżyliśmy, przemówiła do mnie: „Ślicznie pan zrobił, rzeczywiście, że przyprowadził pan tu tego chłopa!"

Tyle wściekłości i wzgardy było w tej twarzy, tryskało z czarnych jak węgiel jej oczu, że nie przypuszczałem, żeby ta twarz nawet pomieścić to mogła. Blizna od uderzenia młotka, jak zawsze u niej w stanie podniecenia, zaznaczała się silnie. Gdy się w niej odezwało to pulsowanie i drganie, jakie już kiedyś widziałem, Róża podniosła rękę i uderzyła w to miejsce.

„To ma być człowiek", mówiła, „któremu warto być obrońcą i sprowadzać go tutaj? O, postąpił pan po męsku!"

„Panno Dartle", odpowiedziałem, „chyba nie będzie pani tak niesprawiedliwą, żeby mnie potępiać?"

„Czemu pan wprowadza rozdwojenie pomiędzy te dwie oszalałe istoty?“ odpowiedziała. „Czy pan nie wie, że oboje oszaleli w dumie swej i samowoli?“

„Czyż ja temu jestem winien?“ odparłem.

„Czy pan temu jest winien? Dlaczegoż pan sprowadza tu tego człowieka?“

„To ciężko skrzywdzony człowiek, panno Dartle. Może pani tego nie wie“.

„Ja wiem“, rzekła, przyciskając rękę do piersi, jakgdyby chciała uciszyć szalejącą tam burzę, „że Jakób Steerforth fałszywy jest, zepsuty i ma serce zdrajcy. Ale co mnie obchodzi ten chłop i jego chłopka - siostrzenica?“

„Panno Dartle“, odpowiedziałem, „pani jeszcze pogłębia obrazę. Dość wielką jest ona i tak. Chcę tylko powiedzieć, na pożegnanie, że bardzo go pani krzywdzi“.

„Nie krzywdzę go“, odparła. „To zdeprawowana, bezwartościowa hołota. Chciałabym, żeby jej dano baty!“

Pan Peggotty poszedł dalej, nie mówiąc słowa i wyszedł za drzwi werandy.

„O, wstydź się pani, panno Dartle! Wstydź się pani!“ zawołałem, oburzony. „Jak pani ma serce tak deptać po jego niezawinionej niedoli!“

„Deptałabym po nich wszystkich!“ odpowiedziała. „Niechby dom jego zrównali z ziemią. Niechby napiętnowali ją na twarzy, ubrali w łachmany i wyrzucili na ulicę, by umarła z głodu! Gdybym miała moc sądzić ją, na tobym ją skazała. Skazała? Samabym to uczyniła. Nienawidzę jej! Gdybym jej mogła zarzucić w oczy haniebne jej stanowisko, poszłabym z tem na kraj świata. Gdybym mogła ścigać ją aż do grobu, ścigałabym ją. Gdyby było takie słowo pocieszenia, któreby jej ulgę przyniosło w godzinę skonania, a jabym jedna to słowo posiadała, nie wyrzekłabym go, choćby szło o życie!“

Gwałtowność jej słów, czuję to, słabe tylko może dać wyobrażenie o furji, jaka ją ogarnęła i rozpętała się na jej twarzy, chociaż panna Dartle nie podniosła głosu, a raczej mówiła cichszym, niż zwykle. Żaden opis nie może jej przedstawić tak, jaką pamiętam ją w tem zupełnem zapamiętaniu się i gniewie. Widziałem nieraz ludzi uniesionych gniewem, ale czegoś podobnego nie widziałem nigdy.

Dogoniłem pana Peggotty, powoli i w zamyśleniu schodzącego z wzgórka. Powiedział mi, skorośmy się zrównali, że załatwiwszy w ten sposób to, co miał do załatwienia w Londynie, zamierza dziś wieczór jeszcze wyruszyć w swoją podróż. Zapytałem go, dokąd chce się udać? Odpowiedział tylko: „Idę, panie, szukać mojej siostrzenicy“.

Nie miałem ochoty opuszczać go w tych warunkach, więc wszyscy troje zjedliśmy razem obiad; na obiad mieliśmy pasztet befsztykowy — była to jedna z tych dobrych rzeczy, z których Peggotty słynęła — ciekawie tym razem przesycony aromatem kawy, herbaty, masła, słoniny, sera, świeżego chleba, drzazg smolnych, świec i orzechowego syropu, bezustannie napływającym ze sklepiku. Po obiedzie przesiedzieliśmy z godzinkę przy oknie, niewiele rozmawiając, poczem pan Peggotty wstał, sięgnął po swój worek i swój gruby kij i położył je na stole.

Przyjął od siostry z jej zapasu gotówki małą sumkę na rachunek swojego legatu; wydało mi się, że ledwie tyle, by wystarczyło na miesiąc. Obiecał dać mi znać, gdyby mu się coś wydarzyło, zarzucił worek na plecy, wziął kapelusz i laskę i powiedział nam obojgu: „Bywajcie zdrowi!“

„Niech ci Bóg da wszystko dobre, kochana staruszko“, rzekł, ściskając Peggotty, „i panu, panie Dawidku!“ tu uścisnął mi rękę. „Idę jej szukać po szerokim świecie. Jeżeliby wróciła do domu podczas mojej nieobecności — ach, ale prawdopodobnie nie stanie się to! — albo gdybym ją przywiózł z powrotem, układam sobie, że zamieszkałbym z nią aż do śmierci gdzieś, gdzieby jej nikt nie mógł robić wyrzutów. Gdyby mnie co złego spotkało, pamiętajcie, że ostatnie słowa, jakie dla niej pozostawiam, to te: — Moją niezmienną miłość dochowuję mojej ukochanej dziecinie i przebaczam jej!—“

Powiedział to uroczyście i z odkrytą głową, potem włożył kapelusz, zeszedł ze schodów i poszedł. Odprowadziliśmy go do drzwi. Ciepły to był, przesycony kurzem wieczór, ta chwila właśnie, gdzie na wielkiej głównej ulicy, na którą ta boczna uliczka wychodziła, ustawał nieco wiekuisty odgłos kroków na chodniku, a silny, czerwony blask słoneczny zalewał ją. Skręcił, sam jeden, na rogu naszej cienistej uliczki w żar światła i straciliśmy go z oczu.

Rzadko nadchodziła później ta wieczorna godzina, rzadko budziłem się w nocy, rzadko patrzyłem na księżyc, na gwiazdy, przyglądałem się padającym deszczom, lub słuchałem wiatru, żeby mi w oczach nie stawała samotna postać jego, biednego pielgrzyma, mozolącego się w drodze, a w pamięci jego słowa: „Idę jej szukać po szerokim świecie. Gdyby mnie co złego spotkać miało, pamiętajcie, że ostatnie słowa, które dla niej pozostawiam, to te: — Moją niezmienną miłość dochowuję mojej ukochanej dziecinie i przebaczam jej!—“

Rozdział trzydziesty trzeci.

Wniebowzięty.

Przez cały ten czas nie przestawałem kochać Dory więcej jeszcze, niż kiedykolwiek. Myśl o niej była moją ucieczką w zawodach i w zmartwieniu, a pocieszała mnie

nawet po stracie przyjaciela. Im więcej litowałem się nad sobą, albo nad drugimi, tem bardziej goiłem rany serca obrazem Dory. Im więcej zdrady i niegodziwości widziałem na świecie, tem jaśniej i czyściej świeciła gwiazda Dory wysoko nad światem. Nie wiem, czy miałem jakie określone pojęcie, skąd się Dora wzięła albo w jakim stopniu spokrewnioną była z istotami wyższego rzędu, ale pewny jestem, że z oburzeniem i z pogardą byłbym zaprzeczył twierdzeniu, iż jest prostą ziemianką, tak jak inne panny.

Jeżeli można się tak wyrazić, byłem cały rozpławiony w Dorze. Nie tylko po uszy byłem w niej zakochany, ale byłem przesycony nią nawskroś. Możnaby ze mnie było wycisnąć dość miłości, mówiąc przenośnie, by kogoś w niej utopić; a jednak pozostałoby jej jeszcze tyle we mnie, żeby przepoić nią całe moje istnienie.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po powrocie, to nocny spacer do Norwood; i uczyniłem jak ten ktoś, ze starej zagadki mojego dzieciństwa, co to „chodzi i chodzi koło domu, a nigdy go nie dotyka". Zdaje się, że kluczem tej zagadki jest księżyc. Jakkolwiek jest — ja, lunatyczny niewolnik Dory, krążyłem nieustannie dokoła domu i ogrodu przez dwie godziny, zaglądając przez szpary w parkanie, gwałtowną gimnastyką wydostając brodę ponad zardzewiałe gwoździe na wierzchu, śląc pocałunki ku światłom w oknach, i w pewnych odstępach czasu romantycznie wzywając nocy, by chroniła Dorę — nie wiem dokładnie przed czem — zapewne przed pożarem. A może przed myszami? bo do tych miała wielkie uprzedzenie.

Miłość moja tak bardzo zaprzątała mi myśli, a przytem było dla mnie rzeczą tak naturalną, że zwierzyłem się Peggotty, gdy znów wieczorem znalazłem ją przy swoim boku staremi przyborami naprawiającą moją garderobę, iż w sposób dosyć ogólnikowy powierzyłem jej wielką moją tajemnicę. Peggotty zainteresowała się tem silnie, ale w żaden sposób nie mogłem wpoić w nią mojego poglądu na sprawę. Była ona zuchwale uprzedzoną na moją korzyść i zupełnie zrozumieć nie mogła, że mam jakieś wątpliwości i że mnie to gnębi. „Ta panna mogłaby sobie powinszować, że ma takiego kawalera", zauważyła. „A co do jej papy — to czegoż więcej może chcieć ten pan, na miłość boską!"

Spostrzegłem jednak, że szata syndyka i krawat pana Spenlow zaimponowały trochę Peggotty i natchnęły ją większem uszanowaniem dla tego człowieka, którego ja sobie stopniowo idealizowałem co dzień coraz bardziej; dla mnie on, gdy siedział wyprostowany w sądzie nad swemi papierami, zdawał się on promienieć światłem, jak mała latarnia morska nad wybrzeżem. Dumałem też nieraz nad tem, pamiętam, siedząc w sądzie, jakby ci nudni starzy sędziowie i doktorowie przepadali za Dorą, gdyby ją znali, jakby od zmysłów odchodzili z zachwytu, gdyby im zaproponowano małżeństwo z Dorą, jak to być mogło, że Dora śpiewała i grała na tej wspaniałej gitarze, że aż mnie do szaleństwa prawie doprowadziła, a nie sprowadziła żadnego z tych ślimaków ani na krok z jego drogi!

Pogardzałem nimi wszystkimi. Zmarzli starzy ogrodnicy w ogrodach serca; czułem do nich wszystkich osobistą urazę. Ława sędziowska była w moich oczach zbiorowiskiem nieczułych głupców, a w kratkach adwokackich tyle było uczucia i poezji, co w żelaznej kracie okiennej.

Wziąwszy załatwienie interesów Peggotty z nielada dumą w własne moje ręce, zbadałem testament, ugodziłem się w urzędzie opłat spadkowych, zaprowadziłem ją do banku i niebawem wszystko, jak należy, wprowadziłem w ruch. Wśród tych prawniczych zabiegów poszliśmy dla odmiany obejrzeć gabinet woskowych figur, odwiedziliśmy wystawę robót kobiecych panny Linwood, zwiedziliśmy Tower i poszliśmy na szczyt wieży św. Pawła. Wszystkie te cuda sprawiły Peggotty tyle przyjemności, ile jej odczuć mogła w danych warunkach, z wyjątkiem, zdaje mi się, kościoła św. Pawła, który, wobec długoletniego jej przywiązania do pudła do roboty, stał się rywalem malowidła na pokrywce, niedorównywającym, jej zdaniem, temu dziełu sztuki.

Załatwiwszy interes Peggotty (a był to łatwy i korzystny interes), przyprowadziłem ją pewnego ranka do biura dla uregulowania rachunku. Sam Spenlow wyszedł, jak nam oświadczył stary Tiffey, żeby odebrać przysięgę od pewnego pana, który wyrabia sobie pozwolenie na ślub; ponieważ jednak wiedziałem, że powróci niebawem, powiedziałem Peggotty, że musimy zaczekać.

Wyglądaliśmy tak trochę jak przedsiębiorcy pogrzebowi, tam u nas, o ile chodziło o sprawy spadkowe, z reguły strojąc miny mniej lub więcej smętne i przygnębione, gdy się miało do czynienia z klientami w żałobie. W myśl tego samego uczucia delikatności bywaliśmy radośni i pogodni z klientami od pozwoleń małżeńskich. To też uprzedziłem Peggotty, że ujrzy pana Spenlowa już mocno pocieszonego po stracie pana Barkisa; jakoż w istocie, wszedł promieniejący, jak nowożeniec.

Ani Peggotty jednak, ani ja nie mieliśmy oczu dla niego, gdy w towarzystwie z nim ujrzeliśmy pana Murdstone. Bardzo mało się zmienił. Włos jego równie był gęsty i tak samo czarny, jak dawniej, a spojrzenie tak samo, jak dawniej, nie budzące zaufania.

„Ach, Copperfield?" przemówił pan Spenlow. „Zdaje mi się, że pan zna tego pana?"

Ukłoniłem się temu panu zdaleka, a Peggotty ledwie kiwnęła mu głową. Był zrazu trochę zmieszany, widząc nas oboje razem; prędko jednakże postanowił, co ma uczynić i podszedł do mnie.

„Spodziewam się", rzekł, „że ci się dobrze wiedzie?"

„Mało to zapewne pana może obchodzić", odparłem. „Ale owszem, tak, jeśli pan chce wiedzieć".

Spojrzeliśmy na siebie, a on zwrócił się do Peggotty.

„A wy", rzekł. „Przykro mi, że widzę, iż straciliście męża".

„To nie pierwsza strata, jaką poniosłam w życiu, panie Murdstone", odpowiedziała Peggotty, drżąc całem ciałem. „Dziękuję Bogu, że o tę stratę przynajmniej nikogo winić nie mogę... nikt za nią nie jest odpowiedzialny".

„Ha!" rzekł. „To bardzo pocieszająca uwaga. Spełniliście swój obowiązek?"

„Nie zadręczyłam na śmierć nikogo dzięki Bogu!" odpowiedziała Peggotty. „Nie, panie Murdstone, ja męczeniem i straszeniem nie zapędziłam żadnej niewinnej istoty do przedwczesnego grobu!"

Popatrzył na nią posępnie przez chwilę — wydało mi się, że w tem spojrzeniu były wyrzuty sumienia — potem zaś, zwracając się do mnie, ale patrząc raczej na moje nogi, niż na twarz, przemówił: „Prawdopodobnie nie prędko się znów zobaczymy; bardzo to dobrze dla nas obu, bo tego rodzaju spotkania nie mogą być nigdy przyjemne. Nie mogę się tego spodziewać, żebyś ty, który zawsze buntowałeś się przeciw mojej sprawiedliwej władzy, jakiej używałem dla twego dobra i twojej poprawy, miał mi teraz dochować przychylność i uznanie. Istnieje między nami antypatja..."

„Zdaje mi się, że oddawna?" wtrąciłem.

Uśmiechnął się i rzucił mi tak złe spojrzenie, do jakiego tylko te czarne jego oczy były zdolne.

„Już w twojej dziecinnej piersi zrodziła się ona", rzekł. „Zaprawiła goryczą życie twej biednej matki. Masz słuszność. Mam nadzieję, że zmienisz się jeszcze na lepsze; mam nadzieję, że się poprawisz".

Tu zakończył rozmowę, prowadzoną cichym głosem w kąciku zewnętrznego biura i przeszedł do pokoju pana Spenlowa, mówiąc głośno i tak gładko, jak tylko on umiał: „Panowie z zawodu pana Spenlowa przyzwyczajeni są do nieporozumień rodzinnych i wiedzą, jak te stosunki są skomplikowane i zawsze trudne!"

To mówiąc, zapłacił za swoją dyspensę, odebrał ją, ładnie złożoną, z rąk pana Spenlowa wraz z uściskiem dłoni i grzecznem życzeniem szczęścia dla niego i dla pani — i wyszedł z biura.

Nie tak łatwo byłbym się powstrzymał od odpowiedzi na jego słowa, gdyby nie to, że z trudnością zaledwo udało mi się przekonać Peggotty (rozgniewaną za mnie, poczciwą duszę), że to nie miejsce do robienia wyrzutów, i uprosić ją, by była cicho. Tak bardzo była wzburzona odnowieniem wspomnień o dawnych krzywdach, że dobrze jeszcze, iż skończyło się na serdecznem uściskaniu mnie w obecności pana Spenlowa i wszystkich urzędników.

Pan Spenlow widocznie nie wiedział, jaki stosunek łączył pana Murdstone ze mną; rad byłem z tego, gdyż nawet wobec samego siebie nie byłbym mógł przyznać się do niego, pamiętając losy mojej biednej matki. Pan Spenlow widocznie myślał, o ile wogóle o tem myślał, że ciotka moja była głową rządzącej partji w mojej rodzinie i że była tam druga opozycyjna partja pod dowództwem kogoś innego — tak przynajmniej zrozumiałem, sądząc z tego, co powiedział, podczas gdy czekaliśmy, aż pan Tiffey wygotuje dla Peggotty rachunek kosztów.

„Panna Trotwood", zauważył, „jest bardzo stanowcza, niewątpliwie i nieskora do ustąpienia przed opozycją. Podziwiam jej charakter i mogę panu powinszować, Copperfieldzie, że jesteś po stronie słuszności. Spory pomiędzy krewnymi to rzecz pożałowania godna —ale są one nader częste — i główna rzecz w tem, żeby być po stronie słuszności". (Wyobrażam sobie, że rozumiał, po tej stronie, która ma pieniądze).

„To, zdaje się, dobra partja?" zapytał pan Spenlow

Odpowiedziałem, że nic o tem nie wiem.

„Rzeczywiście!" ciągnął dalej. „Opierając się na kilku słowach, które pan Murdstone mimochodem rzucił... jak to panowie zwykle przy tej sposobności... i na tem, o czem napomknęła panna Murdstone, powiedziałbym, że to musi być dość dobra partja".

„Czy pan myśli, że jest majątek?" zapytałem.

„Tak", odparł pan Spenlow, „rozumiem, że jest majątek. I uroda także, mówiono mi".

„Naprawdę! Czy jego przyszła żona jest młoda?"

„Właśnie doszła do pełnoletności", odpowiedział pan Spenlow. „Tak niedawno, iż przypuszczam, że na to czekali".

„A niechże ją Pan Bóg strzeże!" zawołała Peggotty z takiem przejęciem i tak niespodziewanie, że nas to wszystkich wprawiło w konsternację; nareszcie wszedł Tiffey i przyniósł rachunek.

Stary Tiffey podał rachunek panu Spenlow do przejrzenia. Pan Spenlow, zanurzywszy brodę w krawat i skrobiąc ją lekko, przejrzał pozycje z miną niewinnie markotną —

jakby to wszystko przypisywał Jorkinsowi, i oddał Tiffeyowi rachunek z krótkiem westchnieniem.

„Tak", rzekł, „to w porządku. Zupełnie w porządku. Byłbym niezmiernie rad, Copperfieldzie, gdybym mógł ograniczyć te opłaty do rzeczywistych wydatków, ale to jest ten drażliwy punkt w mojem zawodowem życiu, że nie mam prawa postępować wedle własnego życzenia. Mam wspólnika... pana Jorkinsa".

Ponieważ powiedział to smętnie, melancholicznie, co prawie równało się zupełnemu skreśleniu kosztów, podziękowałem mu więc w imieniu Peggotty i zapłaciłem Tiffeyowi banknotami. Peggotty poszła potem do swego mieszkania, pan Spenlow zaś ze mną do sądu, gdzie właśnie miała się toczyć sprawa rozwodowa na zasadzie dowcipnego paragrafu w statucie (dziś zniesionego, zdaje mi się, ale na podstawie którego widziałem kilka unieważnionych małżeństw). Istota jego była ta: małżonek, imieniem Tomasz Benjamin, wziął dyspensę ślubną tylko na imię Tomasza, ukrywając Benjamina na wypadek, jeżeli nie będzie mu tak dobrze, jakby tego pragnął. Ponieważ mu n i e było tak dobrze, jakby był chciał, czy też sprzykrzyła się biedakowi żona, występował teraz, przez przyjaciela, po roku czy po dwóch i oświadczył, że imię jego jest Tomasz Benjamin i że przeto nie jest żonaty. I to mu sąd potwierdzał, ku wielkiemu jego zadowoleniu.

Muszę przyznać, że miałem pewne wątpliwości co do zupełnej sprawiedliwości takiego procederu i nie rozwiał mi ich nawet korzec pszenicy, co to wygładza wszelkie nieprawidłowości.

Pan Spenlow jednak podjął ze mną dysputę w tej kwestji. „Patrz na świat", dowodził, „jest tam i złe i dobre; spójrz na prawo kościelne, i w tem jest i złe i dobre. To wszystko jest cząstką systemu. Bardzo dobrze. Ot co!"

Nie ośmieliłem się ojcu Dory odpowiedzieć, że możebyśmy trochę poprawić świat, gdybyśmy rano wstali i zakasali rękawy do roboty; wyznałem jednak, iż myślę, że moglibyśmy zaprowadzić pewne poprawki w D o c t o r s C o m m o n s. Pan Spenlow odpowiedział, że radziłby mi przedewszystkiem porzucić podobną myśl, jako że nie jest ona godną mnie, jako gentlemana — ale że chętnie usłyszałby ode mnie, co uważałbym za właściwe ulepszyć w D o c t o r s C o m m o n s.

Biorąc pod uwagę tę część urzędów, która nam była najbliższą — tymczasem bowiem klient nasz dostał już rozwód, a my wyszliśmy z sali sądowej i przechodziliśmy obok Biura dla spraw spadkowych — oświadczyłem, iż sądzę, że Urząd Spadkowy jest instytucją dziwnie prowadzoną. Pan Spenlow zapytał, dlaczego? Odpowiedziałem z całym należnym szacunkiem dla jego doświadczenia (a z większym jeszcze bodaj, jako dla ojca Dory), że może to trochę jest bezsensowne, że archiwum tego sądu, zawierające oryginalne testamenty wszystkich, zostawiających majątki w olbrzymiej dyecezji Canterbury od trzech wieków, złożone jest w przygodnym budynku, nigdy na ten cel nie budowanym, dzierżawionym przez urzędników archiwum dla własnej prywatnej korzyści, niepewnym, niewiadomo nawet, czy ogniotrwałym, przepełnionym ważnemi dokumentami i będącym stanowczo, od dachu po suteryny, polem pieniężnych spekulacyj archiwarjuszów, biorących duże opłaty od publiczności, a wtykających ich testamenty byle jak i byle gdzie, byle tylko jak najtaniej ich się pozbyć. Że może jest to trochę nierozumne, iż ci archiwiści, zarabiający do ośmiu i dziewięciu tysięcy funtów rocznie, nie są zmuszeni wydać trochę z tych pieniędzy na wynalezienie porządnego i bezpiecznego miejsca na przechowanie ważnych dokumentów, które ludzie wszelkich sfer muszą u nich składać, czy chcą, czy nie chcą. Że może to trochę niesprawiedliwe, że wszystkie wysokie stanowiska w tym wysokim urzędzie są wspaniałemi synekurami, podczas, gdy nieszczęśni mali urzędnicy, pracujący w zimnym, ciemnym pokoju na górze, są jak najgorzej wynagradzani i mrożeni za nic, choć oddają ważne usługi. Że może to trochę niewłaściwe, że naczelny nad wszystkimi archiwarjusz, którego obowiązkiem byłoby robić wszelkie udogodnienia publiczności, wciąż mającej interesa w tym urzędzie, jest olbrzymim synekurzystą z racji swego stanowiska (a może być równocześnie duchownym, siedzieć na kilku innych synekurach, w kanoniczej ławce w katedrze i Bóg wie jeszcze gdzie) — podczas gdy publiczność narażona jest na niemożliwe trudności, na co patrzymy każdego popołudnia, gdy urzędy są czynne, i wiemy, że to jest wprost potworne. Że może, krótko mówiąc, ten Urząd Spadkowy djecezji Canterbury jest wogóle takim zakazanym interesem takim szkodliwym nonsensem, że gdyby nie to, iż wtłoczony jest w taki kąt cmentarza św. Pawła, który zna mało ludzi, musianoby go już dawno z gruntu przekształcić i zreformować.

Pan Spenlow uśmiechał się w miarę jak się zapalałem, a potem przedyskutował ze mną tę kwestję tak, jak przedyskutował tamtą. Argumentował tak: czem jest ostatecznie to wszystko? Kwestją sentymentu. Jeżeli publiczność czuje, że testamenty są w bezpiecznem schowaniu, a przyjmuje, że biura urzędowe nie mogą być lepsze, to komu to szkodzi? Nikomu. Kto na tem zyskuje? Wszyscy synekurzyści. Bar-

dzo dobrze. A więc dobro przeważa. Może nie jest to system doskonały, nic jednak nie jest doskonałem; ale czemu jest przeciwny, to podważaniu tego, co jest. Za czasów Urzędu Spadkowego kraj zakwitł. Podważcie Urząd Spadkowy, a kraj przestanie kwitnąć. Uważał, że powinno być zasadą dla gentlemana brać rzeczy tak, jak je zastał; nie wątpił też, że Urząd Spadkowy przetrwa nasze czasy. Ustąpiłem jego zdaniu, choć miałem swoje wątpliwości. Sądzę jednak, że miał słuszność, bo nietylko przetrwał on do dzisiejszej chwili, ale przetrwał wielką parlamentarną debatę ośmnaście lat temu, gdzie wszystkie te moje zarzuty były szczegółowo wytoczone i gdzie dowiedziono, że istniejące ciasne pomieszczenie dla testamentów starczy na gromadzenie ich jeszcze conajwyżej przez półtrzecia roku. Co z niemi odtąd zrobiono, czy pogubiono z nich wiele, czy niektóre sprzedają od czasu do czasu do sklepików z masłem, tego już nie wiem. Rad jestem, że mojego tam niema i że upłynie jeszcze trochę czasu, zanim się tam dostanie.

Spisałem to wszystko w moim rozdziale o „wniebowzięciu", ponieważ właśnie z kolei ma ono nastąpić. Rozmawialiśmy z panem Spenlow czas dłuższy, przechadzając się tam i z powrotem, aż przeszliśmy na tematy ogólne. I tak wkońcu przyszło do tego, że pan Spenlow powiedział mi, że od dnia tego za tydzień wypadają urodziny Dory i że miło mu będzie, jeżeli zechcę przyjechać i wziąć udział w małym pikniku, urządzonym przy tej sposobności. Zawróciło mi się w głowie odrazu; zgłupiałem doszczętnie nazajutrz, gdy odebrałem arkusik o koronkowym brzeżku z słowami: „Z polecenia papy. Proszę nie zapomnieć" — a już resztę czasu spędziłem w stanie zupełnego zidjocenia.

Zdaje mi się, że popełniłem stek niedorzeczności, przygotowując się do tego upragnionego wydarzenia. Gorąco mi się robi, gdy wspomnę ten krawat, który kupiłem. Buty moje możnaby umieścić w kolekcji narzędzi tortur. Kupiłem i w wilję dnia tego wysłałem wieczorną pocztą do Norwood wykwintną bombonierkę, mogącą starczyć za oświadczyny. W tej bombonierce były cukierki z najtkliwszemi, jakie było można dostać, wierszykami. O szóstej rano byłem na targu w Covent Garden, by kupić bukiet dla Dory. O dziesiątej siedziałem na koniu (wynająłem dziarskiego siwosza dla tej okazji), z bukietem w kapeluszu, by się dotrzymał świeżo i kłusowałem do Norwood.

Myślę, że ujrzawszy Dorę w ogrodzie i udając, że jej nie widzę, i że przejechawszy poza dom, udając, że go pilnie szukam — popełniłem dwa małe głupstewka, które w danych okolicznościach popełniliby może i inni młodzi panowie, ponieważ zrobiłem to tak naturalnie. Ale ach! gdy wreszcie znalazłem dom i zsiadłem u bramy i w tych nie-

miłosiernych butach przeszedłem nareszcie przez trawnik ku Dorze, siedzącej na ogrodowej ławeczce pod krzakiem bzu!... jak ona wyglądała, w ten piękny ranek, wśród motyli, w białym kapelusiku i niebieskiej sukience!

Była z nią młoda panna — stosunkowo starsza już — mogąca mieć blisko ze dwadzieścia lat. Nazywała się panną Mills, a Dora mówiła jej Juljo. Była to serdeczna przyjaciółka Dory. Szczęśliwa panna Mills!

I Jip tam był i Jip znów na mnie szczekał. Gdy ofiarowywałem mój bukiet, zgrzytał wszystkiemi zębami z zazdrości. Nie dziwię mu się. Gdyby miał najlżejsze pojęcie, jak ja uwielbiałem jego panią, nie dziwiłbym mu się!

„O, dziękuję, panie Copperield! Co za śliczne kwiaty!" powiedziała Dora.

Miałem zamiar powiedzieć (i przez całą drogę dobierałem słów w tym celu), że uważam je za piękne, ponieważ widzę je w jej ręku, ale jakoś nie mogłem zdobyć się na to. Jej widok działał oszałamiająco. Widzieć ją, przykładającą kwiaty do bródki z dołeczkiem, wystarczało, by stracić przytomność umysłu i mowę i omdlewać z ekstazy. Dziwię się, że nie powiedziałem: „Niech mnie pani zabije, panno Mills, jeśli pani ma odwagę. Radbym tu skonać!"

Potem Dora podała moje kwiaty Jipowi do powąchania. Ale Jip zaczął warczeć i nie chciał ich wąchać. Wtedy Dora zaczęła się śmiać i podsunęła je Jipowi bliżej, chcąc go przymusić. Wówczas Jip chwycił zębami kwiatek geranium i dusił w nim urojone koty. A wtedy Dora dała mu klapsa, zrobiła nadąsaną minkę i rzekła: „Moje biedne piękne kwiatki!" A powiedziała to z takiem współczuciem, zdawało mi się, jakgdyby Jip ukąsił mnie. „Oby był to zrobił!" pomyślałem.

„Ucieszy się pan, gdy powiem panu, panie Copperfield", rzekła Dora, „że tej kwaśnej panny Murdstone niema tutaj. Pojechała na ślub swego brata i nie będzie jej tu conajmniej ze trzy tygodnie. Czy to nie szczęście?"

Odpowiedziałem, iż wyobrażam sobie, że to dla niej szczęście, i że wszystko, co jest szczęściem dla niej, jest szczęściem i dla mnie. Panna Mills z wyrazem wyższego zrozumienia i dobrotliwej życzliwości uśmiechnęła się do nas.

„To jest najnieprzyjemniejsza osoba, jaką kiedykolwiek znałam", mówiła Dora. „Tybyś nie potrafiła uwierzyć, Juljo, jakie ona miewa humory i jaka jest nieznośna!"

„Owszem, mogę, moja droga!" odpowiedziała Julja.

„T y może potrafiłabyś, kochanie", odparła Dora, kładąc rękę na ręce Julji. „Przepraszam cię, że zaraz na początku nie powiedziałam, że ty stanowisz wyjątek"

Domyśliłem się w ten sposób, że panna Mills miała jakieś przejścia w ciągu życia i że stąd może płynęła ta dobrotliwa życzliwość, jaką zauważyłem w jej obejściu. W ciągu dnia dowiedziałem się, że istotnie tak było: panna Mills przecierpiała wiele skutkiem źle umieszczonego uczucia i odtąd usunęła się od świata po tak strasznych doświadczeniach, nie tracąc jednak spokojnego zainteresowania dla młodzieńczych nadziei i miłości u drugich.

Teraz jednakże pan Spenlow ukazał się przed domem, a Dora poszła ku niemu, mówiąc: „Patrz papo, jakie piękne kwiaty!" Zaś panna Mills uśmiechnęła się smętnie, jakgdyby chciała powiedzieć: „Wy muszki majowe, cieszcie się krótkiem istnieniem waszem w ten jasny poranek życia!" I poszliśmy wszyscy z ogrodu do powozu, który właśnie zaprzęgano.

Takiego spaceru nigdy już mieć nie będę. I nigdy też nie miałem. Było tylko tych troje, ich koszyczek z zapasami, mój koszyczek z zapasami i pudło z gitarą w faetonie. Faeton naturalnie był odkryty; ja jechałem konno z tyłu, a Dora siedziała na przedniem siedzeniu i patrzyła na mnie. Bukiet trzymała tuż przy sobie na poduszce i nie pozwoliła Jipowi siedzieć po tej stronie, żeby go czasem nie zgniótł. Raz po raz bukiet brała do ręki, raz po raz go wąchała. W takich chwilach często się oczy nasze spotykały — a ja się tylko dziwię, że nie wpadłem przez głowę mojego dziarskiego siwka do powozu.

Zdaję się, że był kurz. Zdaje się, że nawet był wielki kurz. Mam wrażenie, że pan Spenlow upominał mnie, dlaczego w takim kurzu jadę; ja jednak o tem nic nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że mgła miłości i piękności otacza Dorę; o niczem więcej nie wiedziałem. Pan Spenlow odwracał się chwilami i pytał, jak mi się podoba widok. Odpowiadałem, że jest prześliczny i rzeczywiście był nim; ale dla mnie wszystkiem była Dora. W promieniach słońca widziałem Dorę, w śpiewie ptaków słyszałem Dorę, czułem ją w powiewie południowego wietrzyka i we wszystkich polnych kwiatach aż do najmniejszego pączka. Pocieszało mnie to, że panna Mills mnie rozumiała. Panna Mills jedna mogła całkowicie wniknąć w moje uczucia.

Jak długo jechaliśmy, nie wiem, a dokąd jechaliśmy, nie wiem do dziś dnia. Może to było gdzieś w stronę Guildford. Może jakiś czarodziej z Bajek Arabskich wyczarował tę miejscowość na ten dzień i kazał jej zniknąć na zawsze po naszym odjeździe. Był to zielony placyk na wzgórku, wysłany miękką trawą. Były tam cieniste drzewa, był wrzos, a jak daleko oko sięgnęło, bogaty krajobraz.

Nieznośna to była sprawa, że całe towarzystwo czekało tam na nas, ja zaś, nawet o panie, bezgranicznie byłem

zazdrosny — a już wszystkich mężczyzn, a był wśród nich pewien zuchwalec, ze trzy albo cztery lata starszy ode mnie, mający rude bokobrody, któremi jawnie pysznił się nieznośnie — uważałem za swoich śmiertelnych wrogów.

Rozpakowaliśmy wszyscy nasze koszyki i zajęliśmy się przygotowaniem obiadu. Rudy utrzymywał, że umie przyrządzić sałatę (w co stanowczo nie wierzę) i bezwstydnie narzucał się z tem. Kilka panienek obmywało dla niego sałatę i krajało ją podług jego wskazówek — Dora między innemi. Czułem, że los postawił tego człowieka na drodze mojego życia i że jeden z nas musi paść.

Rudy przyrządził swoją sałatę (nie pojmuję, jak oni mogli ją jeść. Jabym jej nie tknął za nic) i wkręcił się na szafarza piwnicy, którą założył — bo szelma był pomysłowy — w pniu wypróchniałego drzewa. Niebawem ujrzałem go, z talerzem, naładowanym homarem, zajadającego swój obiad u stóp Dory!

Słabo tylko pamiętam, co się działo przez czas jakiś po tem okropnem, zrobionem przeze mnie odkryciu. Wiem, że byłem bardzo wesoły, ale była to bezduszna wesołość. Uczepiłem się jakiejś młodej panienki, różowo ubranej, z małemi oczkami, i zawzięcie z nią flirtowałem. Przyjmowała uprzejmości moje łaskawie; ale czy ze względu na mnie tylko, czy że miała jakie zamiary na Rudego, tego nie umiałbym powiedzieć. Pito zdrowie Dory. Ja, pijąc je, udawałem, że przerywam rozmowę tylko na tę chwilę, i zaraz znów rozmawiałem dalej. Kłaniając się Dorze, spotkałem się z jej wzrokiem; wydało mi się, że oczy jej patrzą wymownie i prosząco. Patrzyła jednak ponad głową Rudego; uzbroiłem się przeto w kamienną niewzruszoność.

Młoda panienka na różowo miała matkę na zielono i ta, zdaje mi się, rozłączyła nas z jakichś dyplomatycznych powodów. Jakkolwiek było, całe towarzystwo poruszyło się i rozpierzchło, podczas gdy resztki obiadu sprzątano, ja zaś poszedłem samotnie i błądziłem między drzewami wściekły i pełen wyrzutów sumienia. Rozmyślałem nad tem, czyby nie udać, że jestem niezdrów i nie uciec — sam nie wiedziałem, dokąd — na moim dziarskim siwoszu, gdy spotkałem się z Dorą i z panną Mills.

„Panie Copperfield", zagadnęła mnie panna Mills, „pan jest smutny".

„Przepraszam panią. Ani trochę", odpowiedziałem.

„I ty, Doro", rzekła panna Mills. „I ty jesteś bez humoru!"

„Ależ nie! Ani trochę!"

„Panie Copperfield i Doro", przemówiła panna Mills z miną nieledwie czcigodnej staruszki. „Dosyć już tego. Nie pozwalajcie, by pospolite nieporozumienie zwarzyć miało

kwiat wiosenny, który raz rozwinięty i zmrożony, po raz drugi już nie rozkwitnie. Ja wam to mówię z doświadczenia mej przeszłości... tej dalekiej, nieodwołalnej przeszłości. Bijących źródeł, iskrzących się w słońcu, nie należy zasypywać przez prosty kaprys; oazy w pustyni Sahary nie należy bezmyślnie niszczyć".

Ledwie wiedziałem, co czynię, takie ognie na mnie biły — ale ująłem małą rączkę Dory i ucałowałem ją — a ona mi nie broniła! Pocałowałem także rękę panny Mills i wydało mi się, że wszyscy płyniemy prosto do siódmego nieba.

Nie wracaliśmy do domu. Pozostaliśmy tam przez cały wieczór. Z początku przechadzaliśmy się między drzewami, ja z nieśmiałą rączką Dory, opartą na mojem ramieniu; i Bóg świadkiem, chociaż to było szaleństwo i dziecińwstwo, jakiż to byłby los szczęśliwy, gdybym w pełni tych uczuć mógłbym umrzeć i wiekuiście tak błądzić pomiędzy drzewami!

Niestety, aż nazbyt wcześnie usłyszeliśmy, że tamci się śmieją, rozmawiają i wołają: „Gdzie Dora?" To też powróciliśmy do reszty towarzystwa. Proszono Dorę, by zaśpiewała. Rudy ofiarował się przynieść z powozu pudło z gitarą, ale Dora powiedziała mu, że ja jeden wiem, gdzie ono się znajduje. I tak Rudy dostał odprawę odrazu, a ja przyniosłem pudło, ja je otworzyłem, ja wyjąłem gitarę i ja siedziałem przy Dorze, trzymałem jej chusteczkę i jej rękawiczki, piłem każdy ton drogiego jej głosu, dla mnie ona śpiewała, dla mnie, który ją kochałem, a wszyscy inni mogli sobie klaskać, ile chcieli, ale nie mieli z tem nic wspólnego!

Upajała mnie radość. Szczęście moje wydawało mi się zbyt wielkie, by mogło być prawdziwe i bałem się, iż zbudzę się lada chwila przy Buckingham Street i że usłyszę, jak pani Crupp, przygotowując śniadanie, brząka filiżankami. Ale Dora śpiewała i śpiewali także inni i panna Mills śpiewała — o „echach, drzemiących w grotach pamięci", jakgdyby miała sto lat przynajmniej; i tak nadszedł wieczór; piliśmy herbatę, gotując wodę w kociołku nad ogniskiem, po cygańsku; ja zaś wciąż czułem się równie szczęśliwy.

Najszczęśliwszy jednak byłem, gdy się zabawa skończyła i inni goście, a z nimi pogrążony Rudy, rozjechali się w swoje strony, my zaś wyruszyliśmy ku domowi w ten cichy wieczór przy dogasającej jasności dnia, owiani słodyczą leśnych i polnych woni. Pan Spenlow, trochę senny po szampanie — cześć tej ziemi, co zrodziła tę winną latorośl, cześć tej winnej latorośli, co wydała to wino, cześć słońcu, w którem dojrzała i kupcowi, co wino dostarczył! — pan Spenlow zasnął mocno w swoim kącie powozu, a ja jechałem obok i rozmawiałem z Dorą. Dora podziwiała mojego konia i głaskała go, — jakże ślicznie wyglądała ta maleńka rączka na szyi konia! — a szal ciągle się z niej zsuwał, tak, że raz po raz musiałem ją nim otulać; zdawało mi się, że nawet Jip zaczynał rozumieć, jak rzeczy stoją i że należy się z tem pogodzić i zaprzyjaźnić się ze mną.

A także ta bystra panna Mills, ta miła, choć tak zupełnie rozczarowana samotnica, ta mała patrjarchini, niespełna dwudziestoletnia, która zerwała ze światem i drżała przed budzeniem drzemiących ech w grotach pamięci, jakże była poczciwa!

„Panie Copperfield", rzekła, „niech pan na chwilę podjedzie z tej strony powozu. Chciałabym z panem pomówić".

No, proszę sobie mnie wyobrazić, na moim dzielnym siwoszu, skręcającego na stronę panny Mills i rozmawiającego, z ręka opartą o drzwiczki!

„Dora jakiś czas zabawi u mnie. Zabieram ją do siebie pojutrze. Gdyby pan zechciał nas odwiedzić, papa z pewnością byłby panu rad".

Cóż mogłem uczynić innego, jak wezwać w duszy błogosławieństwa Bożego na głowę panny Mills i w najpewniejszym zakątku pamięci zapisać sobie jej adres? Z wdzięcznością w spojrzeniu i w gorących słowach dziękowałem pannie Mills za jej życzliwą pomoc i wyraziłem, jak nieskończenie sobie cenię jej przyjaźń!

A potem panna Mills odprawiła mnie dobrotliwie, mówiąc: „Wróć pan do Dory!"

Wróciłem przeto, Dora zaś wychyliła się z powozu, by ze mną rozmawiać i rozmawialiśmy też przez resztę drogi; przytem podsunąłem mojego dzielnego siwosza tak blisko koła, że otarł sobie przednią nogę o nie i starł sierść i skórę „za cenę trzech funtów i siedmiu szylingów", jak uznał jego właściciel; zapłaciłem, uważając, że tania to cena za tyle przyjemności. Przez cały ten czas panna Mills siedziała, zapatrzona w księżyc, zcicha deklamując wiersze i wspominając, przypuszczam, te dawne czasy, gdy między nią a światem nie nastąpił jeszcze rozbrat.

Niestety, Norwood było aż nazbyt blisko, aż nazbyt też wcześnie dojechaliśmy tam; jednakże pan Spenlow rozbudził się trochę przed końcem naszej drogi i powiedział do mnie: „Panie Copperfield, wstąp pan i odpocznij!"

Oczywiście zaproszenie przyjąłem; podano nam przekąski i herbatę. W jasno oświetlonym pokoju Dora, zarumieniona, wyglądała tak ślicznie, że nie mogłem od niej oczu oderwać, tylko siedziałem, zapatrzony w nią jak we śnie, dopóki nie oprzytomniałem, słysząc chrapanie pana Spenlowa i nie przypomniałem sobie, że czas się pożegnać. Tak więc rozstaliśmy się; przez cały czas powrotnej drogi do Londynu czułem pożegnalne dotknięcie rączki Dory na mojem ręku, rozpamiętywałem po tysiąc razy każdy drobiazg

i każde słowo, i położyłem się wkońcu tak wniebowzięty, jak tylko nim być może taki młody smyk, któremu z miłości zbraknie piątej klepki.

Obudziwszy się nazajutrz, postanowiłem wyznać uczucia moje Dorze i usłyszeć wyrok. Szczęście czy też niedola, oto było pytanie. To jedno tylko dla mnie istniało na świecie i tylko Dora jedna mogła je rozstrzygnąć. Spędziłem trzy dni w prawdziwej męce, dręcząc się wyszukiwaniem jak najniekorzystniejszych wytłumaczeń dla wszystkiego, co zaszło między mną a Dorą. Nareszcie, wystrojony w tym celu znacznym kosztem, udałem się do panny Mills, gotów do oświadczyn.

Ile razy przeszedłem ulicą tam i z powrotem i dokoła skweru, zanim się zdecydowałem wejść na schodki i zapukać, o to już teraz mniejsza. Nawet gdy nareszcie zapukałem i czekałem przed drzwiami, jeszcze naszła mnie pokusa zapytać, czy tu mieszka pan Blackboy (naśladując biednego Barkisa), przeprosić i cofnąć się. Wytrwałem jednak.

Pana Mills nie było w domu. Nie spodziewałem się, by był. J e g o nikt nie potrzebował. Panna Mills była w domu. To wystarczało.

Zaprowadzono mnie do pokoju na piętrze, gdzie były obie, panna Mills i Dora. I Jip tam był. Panna Mills przepisywała nuty (przypominam sobie, że była to nowa pieśń, pod tytułem: „Miłosny tren"), a Dora malowała kwiaty. Jakież były moje uczucia, gdy poznałem moje własne kwiaty — te, które kupiłem w Covent Garden; nie mogę powiedzieć, żeby były bardzo podobne, żeby były specjalnie podobne do jakichkolwiek kwiatów, które kiedykolwiek widziałem; poznałem jednak, co malowidło miało przedstawiać po owijającym kwiaty papierze, gdyż ten dokładnie był skopiowany.

Panna Mills bardzo mną się ucieszyła i bardzo żałowała, że nie zastałem jej ojca; pomyślałem jednakże, że wszyscy mężnie to zniesiemy. Panna Mills prowadziła rozmowę przez kilka minut, poczem, położywszy pióro na „Miłosnym trenie", wstała i wyszła z pokoju.

Zacząłem myśleć, że odłożę to do jutra.

„Mam nadzieję, że pański biedny wierzchowiec nie był zmęczony, gdy wieczorem wrócił do domu", rzekła Dora, podnosząc piękne swe oczy. „To dla niego długa była droga".

Pomyślałem, że jednak uczynię to dzisiaj.

„Tak, dla n i e g o długa to była droga", odpowiedziałem, „gdyż o n nie miał czem się krzepić..."

„Jakto, czyż go nie napaśli, biedaka?" zapytała Dora.

Zacząłem myśleć, że jednak odłożę to do jutra.

„No ta...ak", odpowiedziałem, „pamiętałem o nim starannie. Chciałem powiedzieć, że on nie miał tego niewypowiedzianego szczęścia, jakiego ja doznałem, będąc tak blisko pani".

Dora pochyliła główkę nad rysunkiem i powiedziała po chwilce — mnie tymczasem robiło się to zimno to gorąco i drętwiały mi nogi: „A jednak pan sam w pewnej chwili nie zdawał się odczuwać tego szczęścia..."

Zrozumiałem teraz, że wpadłem, że muszę to uczynić natychmiast.

„Nie dbał pan o to szczęście ani trochę", mówiła dalej Dora, podnosząc zlekka brwi i potrząsając głową, „wtedy, kiedy pan siedział przy pannie Kitt".

Kitt, muszę tu zauważyć, nazywało się to stworzenie w różowej sukni i z małemi oczkami.

„Choć to prawda, że pan wcale nie potrzebował dbać, ani też nie wiem, dlaczegoby pan to wogóle miał nazywać szczęściem", mówiła Dora. „Ale naturalnie, pan sam nie wierzy w to, co pan mówi. I z pewnością też nikt o tem nie wątpi, że panu wolno robić, co się panu podoba. Jip, ty nieznośne stworzenie, chodź tutaj!"

Już sam nie wiem, jak się to stało. Stało się to w jednej chwili. Uprzedziłem Jipa. Trzymałem Dorę w objęciach. Byłem bardzo wymowny. Nie potrzebowałem szukać słów. Powiedziałem jej, jak bardzo ją kocham. Powiedziałem jej, że bez niej żyćbym nie mógł. Powiedziałem jej, że ją uwielbiam i ubóstwiam. Jip przez cały ten czas wściekle ujadał.

Gdy Dora pochyliła główkę, zaczęła drżeć i rozpłakała się, stałem się jeszcze wymowniejszy. Powiedziałem jej, że jeżeli chce, żebym dla niej umarł, niech tylko słówko powie, a stanie się, jestem gotów. Że życia bez niej nie rozumiem pod żadnym warunkiem. Że nie zniósłbym go, nie chciałbym znieść. Że kochałem ją w każdej chwili dnia i nocy, odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem. Że kocham ją w tej chwili do szaleństwa. Zakochani kochali i dawniej, zakochani kochać znowu będą — ale żaden zakochany nie kochał, nie mógł, nie umiał i nigdy nie będzie tak kochał, jak ja ją kocham. Im więcej bredziłem, tembardziej Jip ujadał. Każdy z nas na swój sposób szalał coraz bardziej.

No dobrze, dobrze! Po pewnej chwili siedzieliśmy cicho obok siebie na kanapie, a Jip leżał u Dory na kolanach, mrugając spokojnie ku mnie. Ciężar spadł mi z serca. Byłem w zachwyceniu. Byłem z Dorą zaręczony.

Zdaje mi się, że mieliśmy jednak jakieś pojęcie o tem, że ma się to skończyć małżeństwem. Musieliśmy jakoś je mieć, gdyż Dora dowodziła coś, że nie pobierzemy się przecież bez pozwolenia jej papy. Jednakże, w naszem młodzieńczem uniesieniu, zdaje mi się, że nie patrzeliśmy w przeszłość, ani w przyszłość, nie pragnąc niczego poza obecną chwilą. Zamierzaliśmy zachować wszystko w tajemnicy

przed panem Spenlowem; jednakże naprawdę, nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby w tem być mogło coś niehonorowego.

Panna Mills była niezwykle zamyślona, gdy Dora, odszukawszy ją, przyprowadziła ją z powrotem; przypuszczam, że dlatego, iż to, co zaszło, mogło obudzić „drzemiące echa w grotach pamięci". Dała nam jednak swoje błogosławieństwo, zapewniła o trwałej przyjaźni i mówiła do nas wogóle tak, jak mówić przystoi Głosowi z Klasztoru.

Jakież to rozkoszne były czasy! Jakie wtedy wszystko było nieistotne, — a jak uszczęśliwiające — i jak niemądre!

Pamiętam dobrze, jak to było, gdy brałem miarę palca Dory, chcąc obstalować pierścionek z niezapominajek, a jubiler, któremu miarę zaniosłem, odkrył moją tajemnicę, śmiał się, zapisując obstalunek i policzył mi, ile chciał, za ten ładniutki drobiazg — tak związany w mej pamięci z ręką Dory, że wczoraj, gdym przypadkiem zobaczył podobny na palcu własnej mojej córki, coś nagle zakłuło mnie w sercu boleśnie!

Pamiętam dobrze, jak chodziłem dumny z swojej tajemnicy, przejęty własnem uczuciem, czując się podniesionym w godności tem, że kocham Dorę i że jestem przez nią kochany, a podniesiony tak bardzo — że gdybym w powietrzu latał, nie mógłbym czuć się wyżej nad innymi, nad tymi, co pełzają po ziemi!

Pamiętam dobrze te nasze schadzki w ogrodzie na skwerze, gdzie w zakurzonej oranżerji siadywaliśmy tacy szczęśliwi, że do dziś dnia kocham londyńskie wróble za to jedynie i widzę podzwrotnikowe barwy w ich sadzą usmolonych piórkach!

Pamiętam dobrze pierwszą naszą wielką sprzeczkę (w tydzień po naszych zaręczynach); wtedy to Dora odesłała mi pierścionek, zamknięty w rozpaczającym liściku, gdzie użyła strasznego wyrażenia, że „miłość nasza niemądrą była od początku, a warjacką stała się w końcu!" Pamiętam, że przeczytawszy te okropne słowa, włosy rwałem z głowy i płakałem, że wszystko skończone!

Pamiętam, jak pod osłoną nocy poleciałem do panny Mills, z którą ukradkiem zeszedłem się w pralni, gdzie stał magiel — i jak ją błagałem, by chciała pośredniczyć między nami i odwrócić ode mnie grożącą mi utratę zmysłów. Pamiętam, jak panna Mills podjęła się tego i powróciła z Dorą i jak nas nakłaniała — z katedry własnego gorzkiego doświadczenia — do wzajemnych ustępstw, do unikania pustyni Sahary w życiu!

I pamiętam, jak płakaliśmy oboje, i jak pogodziliśmy się i jak byliśmy znów tak szczęśliwi, że pralnia, magiel i to wszystko przedzierzgnęło się w istną świątynię miłości

gdzie ułożyliśmy plan korespondencji za pośrednictwem panny Mills, w ten sposób, że przynajmniej jeden list codziennie każde z nas miało napisać!

Jakież to rozkoszne były czasy! Jakie to wszystko było nieistotne, a jak uszczęśliwiające, i jak niemądre! Wśród wszystkich okresów życia mojego, które czas trzyma w swej garści, niema drugiego takiego, który, gdy się obejrzę, takby mnie pobudzał zarazem do śmiechu i do rozrzewnienia.

Rozdział trzydziesty czwarty.

Ciotka sprawia mi niespodziankę.

Napisałem do Agnieszki, jak tylko zaręczyliśmy się z Dorą. Napisałem do niej długi list, w którym starałem się dać jej pojęcie o tem, jak jestem szczęśliwy i jaką kochaną istotą jest Dora. Błagałem Agnieszkę, by uczucia mojego nie uważała za bezmyślny sentyment, któryby mógł kiedykolwiek zmienić swój przedmiot, i by go nie porównywała z dziecinnemi miłostkami, z których później razem śmieliśmy się. Zapewniałem ją, że głębia mojego uczucia jest wprost bezdenną, przyczem dałem wyraz przekonaniu, że nic podobnego nigdy dotąd nie istniało.

Stało się tak jakoś, że gdy pisałem do Agnieszki pewnego pięknego wieczora przy otwartem oknie, a wspomnienie jasnych, spokojnych jej oczu i miłej jej twarzy unosiło się nade mną — spłynęło stąd takie ukojenie na mnie, który ostatniemi czasy żyłem wciąż niespokojnem wzruszeniem, co się nawet na szczęściu mojem potrosze odbijało, że rozrzewniłem się do łez. Przypominam sobie, że siedziałem z głową, opartą na ręku, nad w połowie napisanym listem i dumałem nad tem, że Agnieszka jest dla mnie iakby żywiołem rodzinnego domu. Jakgdybyśmy, Dora i ja, w zaciszu tego domostwa, przez jej obecność uświęconego, musieli być szczęśliwsi, niż gdziekolwiek indziej. Gdyż w miłości, radości, smutku, nadziei czy rozczarowaniu — we wszelkich wzruszeniach — serce moje samo przez się zwracało się tam, tam znajdowało ucieczkę i najlepszego przyjaciela.

O Steerforthie nie powiedziałem jej nic. Powiedziałem jej tylko, że ciężkie zmartwienie mieli tam w Yarmouth z powodu ucieczki Emilki, i że zadało to mi podwójną ranę, zważywszy na towarzyszące okoliczności. Wiedziałem, jak bystro ona zawsze odgaduje prawdę i że nigdy pierwsza nie wspomni jego imienia.

Na ten list otrzymałem odpowiedź odwrotną pocztą. Czytając go, miałem wrażenie, że słyszę Agnieszkę, mówiącą

do mnie. Jakgdyby w moich uszach brzmiał jej głos serdeczny. Cóż więcej mogę powiedzieć!

W ostatnich czasach, pod moją nieobecność w domu, Traddles dwa czy trzy razy zachodził do mnie. Zastawszy Peggotty w mojem mieszkaniu i dowiedziawszy się od niej (o czem ona każdego chętnie objaśniała), że jest moją starą piastunką, zawarł z nią żartobliwie znajomość i został na małą pogawędkę o mnie. Tak mi powiedziała Peggotty; podejrzewam jednak, że ta pogawędka była raczej monologiem i to przydługim — gdyż Peggotty, niech jej to Pan Bóg wybaczy! niełatwo ustawała, gdy ja służyłem za temat.

Tu mi się przypomina, że pewnego popołudnia w dniu przez niego oznaczonym, nietylko wyczekiwałem Traddlesa, ale że pani Crupp zrezygnowała ze wszystkich do niej należących obowiązków (z wyjątkiem pobierania zapłaty), dopóki Peggotty nie przestanie się u mnie zjawiać. Pani Crupp po rozmaitych rozmowach, dotyczących Peggotty, prowadzonych bardzo podniesionym tonem na schodach — z jakąś niewidzialną osobą, gdyż prawdę mówiąc, zawsze wtedy bywała samą — napisała do mnie list, w którym rozwinęła swoje poglądy. Zaczynając od ogólnego twierdzenia, stosowanego we wszystkich okolicznościach swego życia, mianowicie, że sama jest matką, w dalszym ciągu uwiadamiała mnie, że niegdyś znała inne czasy, ale że przez wszystkie okresy swego życia miała przyrodzony wstręt do szpiegów, natrętów i donosicieli. Nie chce nikogo nazywać po imieniu, pisała; kto się zakapturzył, niech sobie ten kaptur nosi, ale na szpiegów, natrętów i donosicieli, zwłaszcza we wdowiej żałobie (te słowa były podkreślone), ona zawsze przywykła patrzeć z góry. Jeżeli pewien pan chce się stać ofiarą szpiegów, natrętów i donosicieli (imion się nie wymienia) — wolna jego wola. Może robić, co mu się podoba: niech więc robi, co chce. Ona jednakże, pani Crupp, zastrzega sobie, że nie chce mieć żadnego „kontraktu" z takiemi osobami. To też prosi, żeby ją uwolnić od dalszej posługi na górnem piętrze, dopóki wszystko nie powróci do dawnego stanu rzeczy, tak, jak być powinno. Dalej jeszcze dodawała, że jej książeczka leżeć zawsze będzie na stole do śniadania w każdą sobotę, a wtedy prosić będzie o natychmiastowe regulowanie rachunku, by oszczędzić kłopotu i nieprzyjemności obu stronom.

To uczyniwszy, pani Crupp ograniczyła się do urzadzania łapek na schodach, głównie za pomocą konwi z wodą, by tym sposobem przyprawić Peggotty o połamanie nóg. Uważałem, że to trochę męczące żyć w takim stanie oblężenia, za bardzo się jednak lękałem pani Crupp, by sobie z tem jakoś poradzić.

„Mój kochany Copperfieldzie", zawołał Traddles, zjawiając się punktualnie w moich drzwiach pomimo wszystkich tych przeszkód, „jakże się miewasz?"

„Mój kochany Traddlesie", odpowiedziałem, „cieszę się niezmiernie, że ciebie widzę i bardzo mi przykro, że nie było mnie wtedy w domu. Ale tak bardzo byłem zajęty..."

„Tak, tak, wiem, naturalnie", odrzekł. „Twoja, zdaje mi się, mieszka w Londynie".

„Co powiedziałeś?"

„Ona... przepraszam cię... panna D., ty wiesz", tu Traddles zarumienił się w wielkiej swej delikatności, „mieszka, zdaje się, w Londynie?"

„A tak. W pobliżu Londynu"

„Moja, może pamiętasz", rzekł Traddles z miną poważną, „mieszka na wsi w hrabstwie Devonshire... jedna z dziesięciorga. Skutkiem tego ja nie jestem tak bardzo zajęty, jak ty... w tym sensie to rozumiejąc".

„Dziwię się, że ty to możesz znieść", odpowiedziałem, „żeby ją tak rzadko widywać!"

„Ha!" odpowiedział Traddles w zamyśleniu. „To w istocie dziwne. Ale to zapewne stąd pochodzi, Copperfieldzie, że nie może być inaczej?"

„Zapewne", odpowiedziałem, uśmiechnąwszy się i zarumieniwszy się trochę. „A także stąd, że tyle jest w tobie stałości i cierpliwości, mój drogi".

„Mój Boże!" odrzekł, zastanowiwszy się trochę, „czy tak sądzisz, Copperfieldzie? Rzeczywiście, nie wiedziałem, że mam te zalety. Ale ona sama jest tak nadzwyczajna, ta moja kochana dziewczyna, że, być może, udzieliła mi coś z tych swoich cnót. Teraz, gdyś o tem wspomniał, Copperfieldzie, nie dziwiłbym się wcale! Zapewniam cię, że ona nigdy nie myśli o sobie, a tylko zajmuje się dziewięciorgiem rodzeństwa".

„Czy jest ona najstarszą?" spytałem.

„Ależ nie. Najstarsza, to piękność".

Zobaczył widocznie, że mimowoli uśmiechnąłem się, słysząc tę pełną prostoty odpowiedź i dodał z uśmiechem na swej szczerej twarzy: „Samo się rozumie, że moja Zofja... ładne imię, Copperfieldzie, zawsze sobie to myślę?"

„Bardzo ładne", odpowiedziałem.

„Samo się rozumie, naturalnie, że moja Zofja jest także piękną w moich oczach, a w oczach każdego musiałaby być jedną z najmilszych dziewcząt na świecie (tak sądzę). Ale jeżeli mówię, że najstarsza jest to piękność, to rozumiem, że jest rzeczywiście", gestem obu rąk jakgdyby chmury rysował dokoła siebie: „wspaniała, rozumiesz!" dokończył energicznie.

„Rzeczywiście?!"

„O. zapewniam cię", mówił, „coś wprost niezwykłego. Istotnie! A potem, ty wiesz, ponieważ jest jak stworzona do towarzyskiego życia i do odbierania hołdów, a niewiele tego użyć może przy ich ograniczonych środkach, więc naturalnie, bywa trochę rozdrażniona i czasami wymagająca. Zofja potrafi wprowadzać ją w dobry humor!"

„Czy Zofja jest najmłodsza?" zaryzykowałem pytanie.

„Ależ nie!" odpowiedział Traddles, klepiąc się po brodzie. „Dwie najmłodsze mają dopiero dziewięć i dziesięć lat. Zofja je uczy".

„Więc ona może jest drugą z rzędu?" zaryzykowałem.

„Nie", odpowiedział. „Drugą jest Sara. Sara ma coś tam z krzyżem, biedaczka. Doktorzy mówią, że choroba pomału przejdzie, ale tymczasem musi leżeć przez rok. Zofja ją pielęgnuje. Zofja jest czwarta z rzędu".

„A matka, czy żyje?" dopytywałem.

„O tak, żyje", odpowiedział Traddles. „To istotnie wyższa kobieta, ale wilgotna okolica nie służy jej i... fakt, że straciła władzę w nogach".

„O mój Boże!" westchnąłem.

„Bardzo to smutne, prawda?" odpowiedział Traddles. „Ale z czysto rodzinnego punktu widzenia nie jest tak źle, jakby być mogło, gdyż Zofja ją zastępuje. Ona jest tak samo matką dla swojej matki, jak dla tamtych dziewięciorga".

Z prawdziwym podziwem słuchałem o cnotach tej młodej panny i zupełnie szczerze, chcąc uczynić co się da, by uchronić Traddlesa od wyzysku na szkodę wspólnych ich widoków przyszłości, zapytałem, jak się miewa pan Micawber?

„Zupełnie dobrze, dziękuję ci, Copperfieldzie", odpowiedział Traddles. „Teraz już u niego nie mieszkam".

„Nie?"

„Nie. Widzisz, bo prawdę powiedziawszy", mówił dalej szeptem, „zmienił on nazwisko na Mortimer, w skutek swoich chwilowych finansowych kłopotów, i nie wychodzi z domu przed zmrokiem — a i wtedy w okularach. Była w naszym domu egzekucja z komornikiem, za zaległy czynsz. Pani Micawber była w tak okropnym stanie, że rzeczywiście nie mogłem się oprzeć i dałem mój podpis na ten drugi weksel, o którym tu była mowa. Możesz sobie wyobrazić, jak miło mi było, Copperfieldzie, widzieć, że się tym sposobem sprawa dała załatwić i że pani Micawber odzyskała humor".

„Hm!" mruknąłem.

„Tylko że, niestety, radość jej trwała niedługo", mówił Traddles dalej, „gdyż na nieszczęście, w tydzień przyszła druga egzekucja. To rozbiło ich dom. Odtąd mieszkam w umeblowanem mieszkaniu, a Mortimerowie żyją bardzo cicho. Myślę, że nie będziesz mnie miał za samoluba, Copperfieldzie, gdy ci wspomnę o tem, iż komornik zabrał mój stoliczek z marmurową płytą i Zofji wazon do kwiatów z podstawą?"

„Ach, jakaż to przykrość!" zawołałem oburzony.

„Tak to było... to była wyrwa!" rzekł, skrzywiwszy się, jak zawsze, ile razy użył tego wyrażenia. „Nie wspominam jednak o tem, ażeby się skarżyć, ale mówię o tem celowo. Faktem jest, Copperfieldzie, że nie mogłem tego odkupić wtedy, gdy to zabierano; najpierw dlatego, że handlarz, który to nabył, domyślając się, że mi na tem zależy, podniósł cenę niesłychanie, a powtóre ponieważ... ponieważ nie miałem pieniędzy. Otóż odtąd wciąż miałem na oku sklep tego handlarza", mówił Traddles, wielce uradowany swoją tajemnicą, „a jest on na samym końcu Tottenham Court Road i nareszcie dziś odkryłem, że te sprzęty wystawione są na sprzedaż. Zauważyłem je na wystawie, idąc drugą stroną ulicy, bo gdyby m n i e handlarz zobaczył, Boże zmiłuj się, jaką onby mnie cenę zaśpiewał! Przyszło mi jednak na myśl, wobec tego, że mam teraz pieniądze, że może byś ty nie miał nic przeciwko temu, gdyby twoja poczciwa piastunka poszła ze mną do sklepu — mógłbym go jej pokazać z za rogu najbliższej ulicy —i utargowała to możliwie najtaniej, tak, jakgdyby kupowała dla siebie!"

Przyjemność, z jaką mi Traddles ten swój plan przedkładał w przekonaniu, że obmyślił coś arcychytrego, niezwykle świeżo stoi mi w pamięci.

Powiedziałem mu, że stara moja piastunka najchętniej mu dopomoże i że wszyscy troje wyruszymy w pole, pod jednym jednakże warunkiem — a mianowicie tym, że uroczyście postanowi nie pożyczać już odtąd swojego nazwiska ani niczego innego panu Micawberowi.

„Mój drogi Copperfieldzie", odpowiedział na to, „już to uczyniłem, gdyż zaczynam rozumieć, że nietylko byłem nieopatrznym, ale wprost niesprawiedliwym dla Zofji. Ponieważ dałem sobie słowo, niema się już czego lękać, ale z największą gotowością daję je i tobie. To pierwsze nieszczęsne zobowiązanie pokryłem. Nie wątpię, że pan Micawber byłby zapłacił, gdyby mógł, ale cóż, kiedy nie mógł. Jedną rzecz muszę powiedzieć, która mi się w panu Micawber bardzo podobała, Copperfieldzie. To się odnosi do tego drugiego weksla, który jeszcze nie jest płatny. On mi nie mówi, że go z a ł a t w i ł, tylko powiada, że go z a ł a t w i. Otóż uważam, że jest to z jego strony bardzo uczciwie i pięknie!"

Przytwierdziłem, nie chcąc ostudzać dobrej wiary zacnego mego przyjaciela. Po chwili dalszej rozmowy zajrzeliśmy do domu sklepikarza, by wyciągnąć stamtąd Peggotty, gdyż Traddles odmówił spędzenia u mnie wieczoru, raz, że

przeżywał gorączkowy niepokój, by własności jego nie nabył kto inny, zanim on ją odkupić zdoła, a powtóre, że to był właśnie ten wieczór, który on zawsze poświęcał pisaniu listu do najdroższej w świecie dziewczyny.

Nigdy nie zapomnę go, wyglądającego zza węgła narożnego domu ulicy, podczas gdy Peggotty targowała się o te cenne przedmioty — ani jego wzruszenia, gdy ona zwolna szła ku nam, naprożno postawiwszy swoją cenę i gdy handlarz, gotów ustąpić, wołał za nią, a ona wracała. Ostatecznie kupiła te rzeczy dość tanio, a Traddles nie posiadał się z radości.

„Jestem pani naprawdę niezmiernie wdzięczny“, powiedział, słysząc, że przedmioty te mają być odesłane do jego mieszkania wieczorem. „Ale, gdybym mógł prosić o jeszcze jedną łaskę... przypuszczam, że ty Copperfieldzie, nie uważałbyś tego za nonsens?“

Z góry go zapewniłem, że z pewnością nie.

„A więc, gdyby pani była tak dobrą“, zwrócił się do Peggotty, „wydostać wazon zaraz, jabym go najchętniej (ponieważ to jest własność Zofji, Copperfieldzie!) zaniósł do domu sam!“

Peggotty bardzo chętnie wydobyła go dla niego, Traddles zaś obsypał ją dziękczynieniami i poszedł swoją drogą wzdłuż Tottenham Court Road, piastując czule wazon w objęciach z tak uszczęśliwionym wyrazem twarzy, jak się to rzadko zdarza widzieć.

Zawróciliśmy następnie ku mojemu mieszkaniu. Ponieważ sklepy miały dla Peggotty niesłychany urok, szedłem powoli, ubawiony jej rozpatrywaniem się w wystawowych oknach, czekając na nią, ile razy chciała. To też zabrało nam to sporo czasu zanim doszliśmy do Adelphi.

Idąc na górę zauważyłem, że nagle zniknęły wszystkie stawiane przez panią Crupp przeszkody, a także zastanowiły mnie ślady świeżych kroków. Wyszedłszy wyżej zadziwiliśmy się mocno oboje, gdyż zewnętrzne drzwi moje, które zamknąłem, były otwarte i z wewnątrz słychać było głosy.

Spojrzeliśmy po sobie, nie widząc, co to ma znaczyć i weszliśmy do mego bawialnego pokoju. Jakież było moje zdumienie, gdym tam ujrzał ciotkę moją i pana Dicka, ich, którychbym się ostatnich mógł spodziewać! Ciotka moja, wśród mnogości kufrów, z obu ptakami swemi przed sobą i kotem swoim na kolanach, siedziała, jak Robinson Kruzoe żeńskiego rodzaju, i piła herbatę. Pan Dick, wsparty w zamyśleniu na wielkim latawcu, takim, jak go nieraz razem puszczaliśmy, stał wśród nie mniejszej ilości kufrów i bagaży.

„Moja droga ciociu!“ zawołałem, „Ależ to radosna niespodzianka!“

Uściskaliśmy się serdecznie — również z panem Dickiem serdecznie uściskaliśmy sobie dłonie — zaś pani Crupp, która kręciła się, przygotowując herbatę i sadziła się na uprzejmości, oświadczyła serdecznie, iż dobrze wiedziała, że pan Copperfull nie będzie się posiadał z radości, gdy zobaczy swoich kochanych krewnych.

„Proszę!“ zwróciła się ciotka moja do Peggotty, która zalękniona stała przed straszną jej obecnością. „A jakżeż wy się miewacie?“

„Przypominasz sobie moją ciotkę, Peggotty?“ wtrąciłem.

„Na miłość boską, dziecko“, zawołała moja ciotka, „nie nazywajże tej kobiety tem pogańskiem imieniem! Jeżeli wyszła zamąż i pozbyła się go, a czyż mogła zrobić coś lepszego? — dlaczegoż nie pozwalasz jej korzystać z tej zmiany? Jak się teraz nazywacie, P.?“ rzekła ciotka, omijając w ten sposób niemiłe sobie nazwanie.

„Barkis ‚proszę pani“, odpowiedziała Peggotty, dygając.

„Dobrze! To przynajmniej po ludzku“, oświadczyła ciotka. „To już tak nie brzmi, jakgdyby wam potrzeba misjonarza. Jakże się miewacie, moja Barkis? Mam nadzieję, że wszystko u was dobrze?“

Ośmielona temi łaskawemi słowy i wyciągniętą ku sobie ręką, Barkis postąpiła naprzód, ujęła rękę i dygnęła, dziękując.

„Postarzałyśmy się, jak widzę“, rzekła moja ciotka. „Raz jeden tylko widziałyśmy się wtedy, pamiętacie. I ładnie to spisałyśmy się wtedy! Trotku, mój drogi, daj mi jeszcze filiżankę“.

Podałem uprzejmie drugą filiżankę ciotce, której twarz zachowywała swój zwykły, nieugięty wyraz; spróbowałem też zrobić jej wymówkę, że siedzi tak na kuferku.

„Niech mi ciocia pozwoli kanapkę tutaj przysunąć, albo fotel“, mówiłem. „Dlaczego ciocia ma siedzieć tak niewygodnie?“

„Dziękuję ci, Trotku“, odpowiedziała, „wolę siedzieć na mojej własności“. Tu moja ciotka zmierzyła panią Crupp wzrokiem i rzekła: „Nie potrzebujemy trudzić pani dłużej“.

„Czy nie mam dołożyć herbaty do czajnika, zanim odejdę?“ zapytała pani Crupp.

„Nie, dziękuję“, odpowiedziała ciotka.

„A może pani pozwoli mi przynieść jeszcze krążek masła?“ ofiarowała się pani Crupp. „Albo może dałaby się pani namówić na świeże jajko na miękko? Albo plasterek słoniny usmażyć? Czy niczem nie mogę kochanej ciotce pańskiej usłużyć, panie Copperfull?“

„Niczem, pani“, odpowiedziała ciotka, „Niczego mi nie potrzeba“.

Pani Crupp, która bezustannie uśmiechała się, by dać wyraz słodyczy swego usposobienia, bezustannie przechylała głowę na bok, zaznaczając ogólną słabość zdrowia i bezustannie zacierała ręce, chcąc tem okazać gotowość do wszelkich usług — powoli, uśmiechając się, chyląc głowę na bok i zacierając ręce, wyślizgnęła się z pokoju.

„Dicku!“ rzekła moja ciotka. „Czy pamiętasz, co ci mówiłam o sługach tego świata i czcicielach bogactwa?“

Pan Dick — z przestraszoną trochę miną, jakgdyby o tem zapomniał, spiesznie odpowiedział twierdząco.

„Ta pani Crupp to jedna z takich“, powiedziała ciotka. „Moja Barkis, proszę cię, dojrzyj ty herbaty i daj mi jeszcze jedną filiżankę, bo mi nie smakuje to, co mi nalała ta kobicta!“

Dostatecznie znałem moją ciotkę, żeby rozumieć, że ma coś ważnego na myśli i że to jej przybycie spowodowane zostało czemś więcej, niżby ktoś obcy mógł przypuszczać. Zauważyłem, jak oko jej zatrzymywało się na mnie, ile razy myślała, że jestem zajęty czemś innem; dostrzegłem jej wahanie i niepewność wewnętrzną, choć trwała w zewnętrznej sztywności i spokoju. Zacząłem się zastanawiać, czy jej czasami czem nie obraziłem; i tu sumienie szepnęło mi, że nic jej jeszcze nie powiedziałem o Dorze. Czyżby istotnie o to mogło chodzić?... dumałem.

Ponieważ wiedziałem, że ciotka zacznie dopiero mówić, gdy czas na to przyjdzie, siadłem przy niej, rozmawiałem z ptakami, bawiłem się z kotem i starałem się być, o ile możności, swobodnym. W duszy jednak bynajmniej nie byłem swobodny, tembardziej, że pan Dick, wsparty na swoim wielkim latawcu za plecami ciotki, korzystał z każdej sposobności, by skrycie a ponuro potrząsać ku mnie głową i palcem wskazywać na ciotkę.

„Trotku“, przemówiła wkońcu ciotka, skończywszy herbatę, starannie wygładziwszy suknię i otarłszy usta, „nie potrzebujecie odchodzić, Barkis!... Trotku, czyś nabrał stateczności charakteru i umiesz polegać na sobie?

„Myślę, że tak, cіociu“.

„Jak ci się zdaje?“

„Zdaje mi się, że tak, cіociu“.

„A więc dlaczego, mój drogi“, mówiła dalej, patrząc na mnie poważnie, „jak myślisz, dlaczego wolę dziś siedzieć na tych tu moich kuferkach?“

Potrząsnąłem głowę, nie mogąc odgadnąć.

„Ponieważ“, oświadczyła ciotka, „ponieważ jest to wszystko, co posiadam. Ponieważ jestem zrujnowana, mój drogi!“

dyby nasz dom przewrócił się i wpadł do rzeki, a z nim my wszyscy — nie doznałbym chyba większego wstrząśnienia.

„Dick wie o tem“, ciągnęła ciotka dalej, kładąc mi spokojnie rękę na ramieniu. „Jestem zrujnowana, Trotku mój drogi! Wszystko co na świecie posiadam, jest w tym pokoju, z wyjątkiem mojego domku; a i ten poleciłam Żanecie wynająć. Barkis, potrzebuję pokoju dla tego pana dziś jeszcze na noc. Dla oszczędzenia wydatku możebyście mogli przygotować dla mnie jakieś spanie tutaj. Jakkolwiek będzie, zawsze będzie dobrze. To tylko na tę noc. Więcej o tem pomówimy jutro“.

Ze zdumienia i troski o nią — rzeczywście, o nią tylko jedynie — wyrwała mnie ciotka, padając mi na chwilę na szyję, płacząc i mówiąc, że przeze mnie jedynie się martwi. Zaraz też opanowała swoje wzruszenie i z miną, raczej triumfującą, niż przygnębioną oświadczyła: „Musimy śmiało stawić czoła przeciwnościom i nie dawać się nimi zastraszać, mój drogi! Musimy się nauczyć wygrać grę do końca. Musimy zwyciężyć zły los, Trotku!“

Rozdział trzydziesty piąty.

Przygnębienie.

Skoro tylko zdołałem odzyskać przytomność umysłu, która opuściła mnie na razie całkowicie pod wpływem przemożnego wstrząśnienia po wyjaśnieniu ciotki, zaproponowałem panu Dickowi, żeby przeszedł ze mną do sklepikarza i zajął pokoik, który niedawno opuścił pan Peggotty. Ponieważ sklep sklepikarza znajdował się na Hungerford Market, które w owych czasach wyglądało zupełnie inaczej, gdyż ciągnęła się tam przed drzwiami niska drewniana kolumnada, bardzo się to więc panu Dickowi spodobało. Przyjemność mieszkania w domu, zdobnym w tak wspaniały szczegół architektoniczny, byłaby mu wynagrodziła, mniemam, niejedną niewygodę; a że w rzeczywistości niewygód tam tak wiele do zniesienia nie było, poza tą kombinacją zapachów, o czem już wspomniałem i poza pewną ciasnotą pokoiku, więc pan Dick był wprost oczarowany swojem mieszkaniem. Pani Crupp zapewniała go z oburzeniem, że jest tam tak ciasno, iż nawet kota pohuśtaćby nie można; jednakże pan Dick, siedząc na brzegu łóżka i piastując na kolanie założoną nogę, zauważył słusznie: „Ty wiesz, Trotwoodzie, że ja przecież wcale nie myślę huśtać kota. Ja nigdy kotów nie huśtam. Co więc to mnie szkodzić może!“

Starałem się zbadać, czy pan Dick ma pojęcie o przyczynach tej nagłej a wielkiej zmiany w interesach mojej

ciotki. Jak się tego mogłem spodziewać, nie miał o tem najmniejszego wyobrażenia. Umiał mi tylko opowiedzieć, że ciotka zapytała go przedwczoraj: „No i cóż, Dicku, czy ty rzeczywiście i prawdziwie jesteś tym filozofem, za jakiego ciebie uważam?" Na co on odpowiedział, iż sądzi, że tak. A wtedy ciotka powiedziała: „Dicku, jestem zrujnowana". A wtedy on odpowiedział: „O, doprawdy". Wtedy ciotka obsypała go wielkiemi pochwałami, a on się z tego bardzo cieszył. Potem wyjechali do mnie, a na drogę wzięli ze sobą porter w butelkach i przekąski.

Pan Dick siedząc na łóżku i piastując nogę na kolanie, opowiadał mi to wszystko z tak bardzo zadowoloną miną, przyczem szeroko otwierał oczy i uśmiechał się naiwnie — że, z przykrością wyznaję, wzięła mnie przekorna chęć wytłumaczyć mu, że ruina oznacza biedę, różne braki i głodowanie. Gorzko jednak pożałowałem mojej szorstkości, widząc, że blednie, że twarz mu się przeciąga i łzy spływają po niej; we mnie zaś utkwił wzrok, pełen tak niewypowiedzianej żałości, że zmiękłoby nawet twardsze serce od mojego. Nieskończenie więcej trudu kosztowało mnie pocieszyć go, niż poprzednio przygnębić; niebawem też zrozumiałem (co powinienem był wiedzieć od początku), że był tak dobrej myśli poprostu dlatego, że wierzył w najmędrszą i najcudowniejszą z kobiet i bezgranicznie ufał w mój rozum. Temu ostatniemu przypisywał, zdaje się zdolność zaradzenia wszelakiemu złemu, o ile nie samej śmierci.

„Co my możemy zrobić, Trotwoodzie?" powiedział. „Jest coprawda ten memorjał..."

„Ależ jest, to prawda", odpowiedziałem. „Jedyne jednak, co narazie zrobić możemy, panie Dick, to mieć pogodną minę i nie zdradzać się przed ciotką, że o tem myślimy".

Zgodził się na to z wielką powagą i błagał mnie, ażebym, gdybym spostrzegł, że zbacza o włos z właściwej drogi„ przestrzegał go jakim nadzwyczajnym sposobem, co zawsze będę umiał uczynić. Z przykrością jednak stwierdzić muszę, że przestrachu, jakiego go nabawiłem, nie potrafił ukryć mimo najusilniejszych starań. Przez cały wieczór gonił wzrokiem twarz mojej ciotki z wyrazem okropnego lęku, jak gdyby bał się, że mu z miejsca zacznie chudnąć. Zdawał sobie z tego sprawę i starał się panować nad ruchami głowy; to jednak, że utrzymywał głowę nieruchomo a oczyma toczył jak mechanizm, bynajmniej nie poprawiało sprawy. Uważałem, że na bochenek chleba przy kolacji (przypadkiem niewielki), patrzył, jak gdyby to był ostatni nasz kęs chleba przed głodową śmiercią, gdy zaś ciotka moja nalegała, by jadł tyle, co zwykle, złapałem go na gorącym uczynku składania części chleba i sera do kieszeni; nie wątpię, że zamierzał odżywiać nas temi oszczędnościami, skoro dojdziemy do krańcowego stanu wycieńczenia.

Ciotka moja, z drugiej strony, trzymała się dzielnie i spokojnie, co było nauczką dla nas wszystkich — a już z pewnością dla mnie. Była niezmiernie łaskawą dla Peggotty, o ile ja jej przez nieuwagę nie nazwałem tem imieniem, a chociaż wiedziałem, że czuje się obco w Londynie, wydawało się, jak gdyby była u siebie w domu. Ciotka miała zająć moje łóżko, ja zaś miałem spać w bawialnym pokoju, żeby czuwać nad nią. Wielce sobie chwaliła, że jest tak blisko rzeki na wypadek pożaru — istotnie też myślę, że jej ta okoliczność sprawiała zadowolenie.

„Trotku mój drogi", rzekła ciotka, widząc, że zabieram się przygotować dla niej zwykły jej napój wieczorny. „Nie trzeba!"

„Jakto, nie, ciociu?"

„Nie trzeba wina, mój drogi. Daj piwa!"

„Ależ ja tu mam wino, ciociu. A ciocia zawsze używała do tego wina!"

„Schowaj je na wypadek choroby", odpowiedziała ciotka. „Nie powinniśmy go używać bez potrzeby, Trotku. Piwo niech będzie dla mnie. Pół szklanki a l e".

Myślałem że pan Dick padnie, zemdlony. Wobec stanowczości ciotki wyszedłem i sam przyniosłem piwo. Ponieważ było już późno, Peggotty i pan Dick skorzystali ze sposobności i razem udali się do domu sklepikarza. Na rogu ulicy pożegnałem się z biedakiem; z wielkim latawcem na plecach, wyglądał jak półtora nieszczęścia.

Wróciwszy, zastałem ciotkę, spacerującą tam i z powrotem po pokoju i naprawiającą palcami krezę nocnego czepka. Zagrzałem piwo i przygotowałem grzanki na zwykły, niezawodny sposób. Gdy wszystko było gotowe, ciotka już czekała w czepku na głowie, z spódnicą sukni odwiniętą na kolanach.

„Mój kochany", rzekła, przełknąwszy łyżeczkę; „to o wiele lepsze od wina; nie takie ostre".

Musiała wyczytać powątpiewanie na mojej twarzy, gdyż dodała: „Cicho, cicho, dziecko. Jeżeli nic gorszego nas nie czeka, jak tylko to piwo, możemy powiedzieć, żeśmy wygrali".

„I ja sam tak bym myślał, ciociu", odpowiedziałem

„A więc dlaczego tak nie myślisz?" podjęła.

„Ponieważ ty i ja to nie to samo", odpowiedziałem.

„Głupstwo, mój Trotku!" odparła ciotka.

I piła dalej spokojnie, z nieudanem zadowoleniem, popijając grzane piwo łyżeczką i mocząc w niem paski grzanek.

„Trotku", zaczęła, „naogół obcych twarzy nie lubię, ale wiesz, ta twoja Barkis wcale mi się podoba!"

„Gdyby mi ciocia dała sto funtów, nie ucieszyłaby mnie więcej!" odpowiedziałem.
„Jaki to dziwny świat", zauważyła ciotka; „w jaki sposób ta kobieta przyszła na świat z tem nazwiskiem, tego nie mogę pojąć. Przecież zdawałoby się, że łatwiej byłoby urodzić się z nazwiskiem Jackson lub jakiemś w tym rodzaju".
„Może i ona tak myśli; to przecież nie jej wina", rzekłem.
„Zapewne, że nie", odpowiedziała ciotka, niezbyt chętnie to przyznając; „w każdym razie to człowieka irytuje. Bądź co bądź teraz nazywa się Barkis. Zawsze to pewnego rodzaju pociecha. Barkis niezmiernie ciebie kocha, Trotku".
„Dowodzi tego wszystkiem, co robi", odpowiedziałem.
„Wszystkiem, to prawda", odparła ciotka. „Oto teraz, biedna głuptasińska, prosiła i błagała, żeby przyjąć od niej część jej pieniędzy bo ma ich zawiele! Głuptasińska!" Mówiąc to ciotka słodkiemi łzami rozczulenia kapała w grzane piwo.
„To najśmieszniejsze stworzenie, jakie świat widział", oświadczyła ciotka. „Odrazu poznałam, od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam przy tym kochanym biednym dzieciaku, twojej matce, że to takie śmieszne stworzenie. Ale ma ona swoje dobre strony, ta Barkis!"
Udając, że się śmieje, ciotka skorzystała ze sposobności i podniosła rękę do oczu. Uczyniwszy to, zabrała się znów do grzanek i do dalszej rozmowy.
„Ach! Boże zmiłuj się!" westchnęła. „Wiem już o wszystkiem, Trotku! Ucięłyśmy tu z Barkis porządną pogawędkę podczas gdyś ty wyszedł z Dickiem. Wiem już o wszystkiem. Co do mnie, nie rozumiem, gdzie te nieszczęsne dziewczęta lęcą właściwie? Dziwię się, że sobie głów wpierw nie rozbiją o... o kominek!" To porównanie nasunęło się ciotce prawdopodobnie dlatego ponieważ przed oczami miała mój kominek.
„Biedna Emilka!" wtrąciłem.
„O, nie mów mi, że biedna", odpowiedziała ciotka. „Powinna była zastanowić się, zanim sprawiła tyle nieszczęść! Pocałuj mnie, Trotku! Żal mi, że tak wcześnie nabierasz doświadczenia".
Gdym się nachylił, oparła mi pucharek na kolanach, zatrzymując mnie w ten sposób i rzekła: „O Trotku! Trotku! A więc zdaje ci się, że kochasz! Czy tak?"
„Zdaje mi się, ciociu?" zawołałem, zaczerwieniony, jak burak. „Uwielbiam ją z całej duszy!"
„Dorę, oczywiście!" odpowiedziała ciotka. „I chcesz mi zapewne powiedzieć, że to stworzonko jest czarujące?"

„Kochana ciociu", odparłem, „to przechodzi pojęcie, jaką ona jest!"
„Ach tak! I nie głupia?"
„Głupia, ciociu!"
Rzeczywiście, zdaje mi się, że nigdy dotąd ani na chwilę nie przyszło mi do głowy zastanowić się, czy Dora jest czy nie jest mądrą. Dotknęło mnie zapytanie ciotki, to prawda, ale swoją drogą uderzyło mnie, jako coś zupełnie nowego.
„I nie jest to osóbka o pustej główce?" rzuciła pytanie ciotka.
„O pustej główce, ciociu!" Umiałem tylko powtórzyć to śmiałe przypuszczenie z tem samem uczuciem, co i poprzednio.
„No nic, nic!" rzekła ciotka. „Ja tylko pytam. Ja jej nic nie ujmuję. Biedna młoda parka! Więc ty sobie wyobrażasz, że jesteście stworzeni jedno dla drugiego i że jak dwie ładne laleczki przejdziecie sobie, przez takie życie, co to będzie szeregiem przyjęć i zabaw? Czy tak Trotku?"
Zapytała tak dobrotliwie, z taką łagodnością, nawpół żartobliwie a nawpół smutno, że mnie poprostu wzruszyła.
„Jesteśmy młodzi i niedoświadczeni, ciociu, ja to wiem", odpowiedziałem; „bardzo też być może, że z tego, co mówimy i myślimy niejedno jest niedorzeczne. Ale my się szczerze kochamy, to pewna. Gdybym mógł przypuścić, że Dora mogłaby kogo innego pokochać, albo przestać mnie kochać, albo że ja mógłbym pokochać kogo innego albo też przestać ją kochać — nie wiem, cobym wtedy zrobił — zwarjowałbym chyba!"
„O, Trotku!" powiedziała ciotka moja, potrząsając głową i uśmiechając się poważnie. Ślepy, ślepy, ślepy!"
„Ktoś, mój znajomy, Trotku", ciągnęła ciotka po chwili, dalej, „pomimo bardzo łatwego usposobienia ma w uczuciowości swojej poważny grunt, czem mi bardzo przypomina biednego Dzieciaka. Poważnego uczucia ten ktoś szukać powinien, dla oparcia się o nie, dla lepszego własnego rozwoju, Trotku. Poważnego, rzetelnego, wiernego".
„Gdyby tylko ciocia wiedziała, ile powagi ma w sobie Dora!" zawołałem.
„O, Trotku!" powtórzyła, „ślepy! ślepy!" a ja, sam nie widząc dlaczego, odczułem ze smutkiem jakąś nieokreśloną stratę czy brak czegoś — i to poczucie, jak chmura, zawisło nade mną swym cieniem.
„Nie chciałabym jednakże", mówiła ciotka dalej, „rozczarowywać dwojga młodych albo ich unieszczęśliwiać; to też, chociaż to jest dziecinny sentyment, a takie dziecinne sentymenty między młodym chłopcem i dziewczyną kończą się bardzo często — uważasz, nie powiadam, że zawsze! — na niczem, to jednak będziemy na to patrzeć bardzo po-

ważnie i ufać, że z czasem zakończy się to pomyślnie. Jest na to dość czasu, by z tego coś wynikło!"

Nie były to coprawda, bardzo pocieszające słowa dla tak gwałtownie zakochanego; jednakże rad byłem, że ciotka jest już wtajemniczona a pamiętałem też, że musi być zmęczona. To też podziękowałem jej gorąco za ten dowód przywiązania, jakoteż za wszelkie inne dowody dobroci jej dla mnie, poczem ciotka, czule pożegnawszy mnie na dobranoc, przeniosła swój nocny czepeczek do mojej sypialni.

Jakże nieszczęśliwy poczułem się, gdym się do snu ułożył! Jak rozmyślałem i rozmyślałem o tem, że jestem biedny i co o tem pan Spenlow pomyśli! O tem, że byłem czem innem, niż myślałem, gdy się oświadczyłem Dorze, o konieczności postąpienia po rycersku i objaśnienia Dory o mojej światowej pozycji z gotowością zwolnienia jej ze słowa, jeżeli ona zechce, o tem też, jak zdołam przeżyć długi okres mojej praktyki, skoro przecież nic nie zarabiam. Rozmyślałem, że trzeba przecież coś zrobić, by przyjść z pomocą ciotce, a nie widziałem na to sposobu; rozmyślałem, że przyjdzie czas gdy nie będę miał pieniędzy w kieszeni, gdy będę nosił wytarte ubrania, nie będę mógł przynosić Dorze małych podarków, dosiadać dziarskiego siwosza i przedstawiać się w korzystnem świetle! Chociaż — o czem wiedziałem, dręcząc się tą samowiedzą — było to nikczemnie i egoistycznie, że tyle się zastanawiałem na własną niedolą, byłem tak jednak pogrążony w Dorze, że nie mogłem się temu oprzeć. Wiedziałem, że podle czynię, nie myśląc więcej o ciotce a mniej o sobie; jednakże w tym wypadku egoizm nierozłącznie kojarzył się z Dorą, a Dory ja dla nikogo na drugi plan usunąć nie mogłem. Jakiż ja byłem okropnie nieszczęśliwy tej nocy!

Zasnąwszy, śniłem o biedzie pod rozmaitemi postaciami, ale było to tak, jakbym śnił, wcale właściwie nie zasnąwszy. To widziałem siebie obszarpańcem, częstującym Dorę zapałkami na sprzedaż, po sześć paczek za pół pensa, to znajdowałem się w biurze w nocnej koszuli jedynie i w butach i dostawałem burę od pana Spenlowa, że pokazuję się klientom w tak przewiewnym stroju, to chciwie zbierałem okruszyny, pozostałe z sucharka, który stary Tiffey regularnie codzień zjadał, gdy zegar św. Pawła wydzwonił pierwszą, to znów beznadziejnie starałem się uzyskać dyspensę na ślub z Dorą, mając za zapłatę tylko jedną rękawiczkę Uriasza Heep, tę jednak cały urząd odrzucał. I przez cały czas — mniej lub więcej świadomy, że znajduję się w swoim pokoju — jak okręt, miotany burzą, rzucałem się na bałwanach prześcieradeł.

I ciotka moja nie była spokojna, gdyż raz po raz słyszałem, że chodzi tam i z powrotem. Coś dwa czy trzy razy w ciągu nocy, ubrana w długi flanelowy peniuar, w którym, zdawało się, miała siedem stóp wysokości, ukazała się, niby duch pokutujący, w moim pokoju i stanęła przy sofie, na której leżałem. Za pierwszym razem zerwałem się przestraszony i dowiedziałem się, że jakieś szczególne światło na niebie budzi w ciotce podejrzenie, że to Opactwo Westminsterskie się pali — przyczem dopytywała się mnie, czy jest prawdopodobne, by przy zmianie kierunku wiatru pożar mógł się przenieść na Buckingham Street. Leżąc potem spokojnie, zauważyłem, że ciotka usiadła opodal, szepnąwszy do siebie: „Biedny chłopak!" A wtedy jeszcze sto razy uczułem się bardziej nieszczęśliwy, widząc, jak ona niesamolubnie myśli o mnie, podczas gdy ja tak samolubnie myślę o sobie.

Trudno było uwierzyć, by noc, tak długa dla mnie, krótką być mogła dla kogokolwiek. To też zacząłem myśleć i wyobrażać sobie jakąś taką zabawę, gdzie ludzie tańczą godzinami — aż i to stało się snem a ja słyszałem muzykę, wciąż grającą jedną nutę i widziałem Dorę, wciąż tańczącą jeden taniec i nie zważającą wcale na mnie. Człowiek, który przez całą noc grał na harfie, napróżno starał się nakryć ją czepkiem nocnym zwykłych rozmiarów — a wtedy się obudziłem, właściwie powiedziawszy, przestałem starać się zasnąć i spostrzegłem, że słońce nareszcie świeci za szybą.

W owych czasach na końcu jednej z ulic za wybrzeżem znajdowała się stara rzymska łaźnia — może jest tam ona jeszcze — tam nieraz zanurzałem się w zimnej wodzie. Ubrawszy się jak najciszej i zostawiwszy Peggotty do opieki nad ciotką, dałem nurka w kąpieli i odbyłem spacer w stronę Hampstead. Miałem nadzieję, że tym sposobem odświeżę sobie trochę głowę — i widocznie zrobiło mi to dobrze, gdyż prędko doszedłem do wniosku, że przedewszystkiem powinienem spróbować, czy nie uda mi się znieść warunków mojej praktyki i odzyskać uiszczoną za nią zapłatę. Zjadłem po drodze śniadanie i wróciłem do mego urzędu, idąc oblanemi wodą drogami, wśród miłej woni letnich kwiatów, kwitnących w przyległych ogrodach lub niesionych na targ do miasta; zagrzewała mnie chęć uczynienia tego pierwszego wysiłku w naszych zmienionych warunkach.

Przybyłem ostatecznie tak wcześnie, że z pół godziny jeszcze musiałem się kręcić wśród zabudowań, zanim stary Tiffey, zawsze najpierwszy, przybył z kluczami. Wtedy zasiadłem w swoim kąciku, patrzyłem na słońcem oświetlone kominy naprzeciw i rozmyślałem o Dorze; nareszcie i pan Spenlow przyszedł, rześki i ufryzowany.

„Jak się pan ma, Copperfieldzie?" rzekł. „Piękny ranek!"

„Śliczny ranek, proszę pana“, odpowiedziałem. „Czy mógłbym z panem pomówić parę słów, zanim pan pójdzie do sądu?“

„Ależ i owszem“, odpowiedział. „Chodź pan do mego pokoju“.

Poszedłem za nim do jego pokoju, a on zaczął wkładać swoją togę i poprawiać strój przed lusterkiem, wiszącem wewnątrz szafy.

„Z przykrością muszę powiedzieć“, zacząłem, „że mam niedobre wiadomości o mojej ciotce“.

„Nie może być!“ odpowiedział. „O Boże! Przecież chyba nie paraliż, mam nadzieję?“

„To się nie odnosi do jej zdrowia, proszę pana“, odpowiedziałem. „Spotkały ją duże straty. Faktem jest, że zostało jej bardzo niewiele“.

„Zadziwia mnie pan, Copperfieldzie!“ zawołał pan Spenlow.

Potrząsnąłem głową.

„Istotnie, proszę pana“, rzekłem, „stan jej interesów tak się zmienił, że pragnąłbym zapytać pana, czyby to było możliwem... oczywiście rezygnując z naszej strony z części opłaty“, wtrąciłem to pod chwilowym impulsem, ostrzeżony chłodnym wyrazem jego twarzy, „unieważnić umowę co do mojej praktyki?“

Nikt pojąć nie może, ile mnie kosztowało postawienie tej propozycji. Było to, jakbym prosił, jak o łaskę, by mnie skazano na wygnanie, zdala od Dory.

„Unieważnić umowę co do praktyki pańskiej, Copperfieldzie? Unieważnić?“

Wytłumaczyłem dosyć stanowczo, że rzeczywiście nie wiem, skąd brać środki na utrzymanie, o ile ich sam nie zdobędę. Nie lękam się o przyszłość — dodałem z wielkim naciskiem, chcąc tem zaznaczyć, że z czasem będę stanowczo odpowiednim kandydatem na zięcia — ale chwilowo jestem zdany na własne siły.

„Niezmiernie mi przykro słyszeć to, Copperfieldzie“, odpowiedział pan Spenlow. „Niezmiernie mi przykro. Niema zwyczaju zrywać umowy o praktykę dla tego rodzaju powodów. To nie byłby zawodowy sposób postępowania. Ani też, w żadnym razie, stosowny precedens. Bynajmniej. Jednakowoż...“

„Bardzo pan łaskaw“, szepnąłem, przewidując, że chce ustąpić.

„Ależ wcale. Przepraszam pana“, podjął. „Jednakowoż, chciałem powiedzieć, że, gdybym nie był skrępowany... gdybym nie miał wspólnika, pana Jorkinsa...“

Nadzieje moje zgasły odrazu, podjąłem jednak jeszcze jeden wysiłek.

„Czy pan myśli“, rzekłem, „że gdybym wspomniał o tem panu Jorkinsowi...“

Pan Spenlow bynajmniej nie zachęcająco potrząsnął głową.

„Niech mnie Bóg broni, Copperfieldzie“, rzekł, „żebym wobec kogokolwiek miał być niesprawiedliwy, a tem bardziej wobec pana Jorkinsa. Ale ja znam mojego wspólnika, Copperfieldzie. Pan Jorkins to nie taki człowiek, któryby reagował na propozycję tej niezwykłej natury. Pan Jorkins z ubitej drogi niełatwo da się sprowadzić. Przecież pan wie, jaki on jest!“

Ja tam coprawda o nim nic nie wiedziałem, prócz tego, że pierwotnie był sam jeden w tym interesie, a teraz mieszkał sam w domu w pobliżu Montagu Square, w domu gwałtownie potrzebującym odmalowania, że rano przychodził bardzo późno, a odchodził bardzo wcześnie, że, zdaje się, nigdy w niczem nie zasięgano jego rady i że miał swoją własną duszną, ciemną dziurę na piętrze, gdzie się nie załatwiało nigdy żadnego interesu i gdzie na biurku swem miał starą żółtą podkładkę z bibuły, nie zawalaną atramentem i podobno liczącą ze dwadzieścia lat.

„Czy miałby pan co przeciw temu, żebym o tem wspomniał panu Jorkinsowi?“ zapytałem.

„Ależ i owszem“, odpowiedział. „Ale ja trochę znam pana Jorkinsa, Copperfieldzie. Radbym, gdyby było inaczej, bo chętniebym pod każdym względem życzeniom pańskim uczynił zadość. Nie mogę mieć nic przeciw temu, żebyś pan pomówił z panem Jorkinsem, Copperfieldzie, jeżeli uważasz, że się to opłaci“.

Korzystając z tego pozwolenia, udzielonego mi wraz z ciepłem uściśnięciem dłoni, siedziałem dalej, rozmyślając o Dorze i patrząc, jak światło słoneczne z kominów przesuwa się na ścianę domu z naprzeciwka — aż wreszcie nadszedł pan Jorkins. Wtedy poszedłem do jego pokoju, mojem zjawieniem się wprawiając go w widoczne zadziwienie.

„Proszę, wejdź pan, panie Copperfield“, przemówił pan Jorkins. „Proszę, wejdź pan!“

Wszedłem tedy, usiadłem i przedstawiłem moją sprawę panu Jorkinsowi mniej więcej tak, jak ją przedstawiłem panu Spenlow. Pan Jorkins wcale nie był taką straszną osobistością, jakby się można spodziewać, ale był to tęgi, łagodny, sześćdziesięcioletni mężczyzna o ogolonej twarzy, zażywający tak wiele tabaki, że niosła tradycja w naszym urzędzie, iż żył głównie tabaką, nie mając już w organiźmie swoim więcej miejsca na inne pokarmy.

„Pan o tem, przypuszczam, mówił panu Spenlow?“ zapytał, gdy wysłuchał mnie, bardzo niespokojnie, do końca.

Odpowiedziałem, że tak i że pan Spenlow wspomniał jego nazwisko.

„Powiedział, że ja się sprzeciwię?" pytał pan Jorkins.

Musiałem przyznać, że pan Spenlow uważał to za prawdopodobne.

„Przykro mi to powiedzieć, panie Copperfield, ale ja nie mogę pańskiej sprawy poprzeć", odpowiedział pan Jorkins nerwowo. „Faktem jest... ale mam się spotkać w banku o oznaczonej godzinie i zechce mi pan darować..."

Z temi słowy zerwał się pospiesznie i zabierał się do wyjścia z pokoju, gdy odważyłem się napomknąć, że w takim razie zapewne niema sposobu dla załatwienia tej sprawy?

„Nie!" odpowiedział pan Jorkins, przystając w drzwiach i potrząsając głową. „O nie! Ja się sprzeciwiam pan wie", powiedział to bardzo prędko i wyszedł. „Pan musi to rozumieć, panie Copperfield", dodał, zaglądając niespokojnie jeszcze raz przez drzwi, „że jeżeli pan Spenlow się sprzeciwia.."

„Osobiście nie sprzeciwia się, proszę pana", rzekłem

„Och! Osobiście!" powtórzył pan Jorkins niecierpliwie. „Ja pana zapewniam, że się sprzeciwia, panie Copperfield. To beznadziejne! To, czego pan sobie życzy, stać się nie może. Ja... ja rzeczywiście mam spotkanie w banku". To powiedziawszy, wprost uciekł — i, o ile wiem, trzy dni minęły, zanim się znowu pokazał w naszych biurach.

Nie chcąc niczego zaniedbać, poczekałem, aż przyszedł pan Spenlow i odpowiedziałem mu, co zaszło; przytem dałem mu do zrozumienia, że nie tracę nadziei, że on, gdyby tylko zechciał, potrafiłby zmiękczyć twardego jak skała Jorkinsa.

„Copperfieldzie", odpowiedział pan Spenlow z łaskawym uśmiechem, „nie zna pan mojego wspólnika, Jorkinsa, tak dawno, jak ja go znam. Daleki jestem od przypisywania panu Jorkinsowi jakiejś nieszczerości, ale ma on taki sposób formułowania swoich sprzeciwów, że często to ludzi zwodzi. Nie, Copperfieldzie!" tu potrząsnął głową. „Pan Jorkins nie da się wzruszyć, wierzaj mi pan!"

Już zupełnie mieszało mi się w głowie i nie wiedziałem, który właściwie z obu wspólników, pan Spenlow czy pan Jorkins jest tym, który się sprzeciwia, to jednak zrozumiałem jasno, że firma jest nieustępliwa i że o zwrocie tysiąca funtów mojej ciotki nie może być mowy. Mocno przygnębiony, co niemile wspominam, gdyż wiem, że zabardzo mi chodziło o samego siebie (chociaż zawsze przez wzgląd na Dorę), opuściłem biuro i zawróciłem do domu.

Starałem się oswoić się w myśli z wszystkiem najgorszem i uprzytomnić sobie w najmniej różowem świetle, jak się nam przyjdzie urządzić w przyszłości, gdy jadąca za mną i zatrzymująca się tuż przede mną dorożka sprawiła,

że podniosłem oczy. Biała ręka wyciągała się do mnie przez okno i uśmiechała się do mnie ta twarz, na której widok ogarniało mnie zawsze uczucie pogody i szczęścia od owej chwili, gdy po raz pierwszy z wyżyny starych dębowych schodów o szerokiej balustradzie zwróciła się ku mnie, a ja łagodną jej piękność porównałem do witrażu w kościele.

„Agnieszka!" zawołałem radośnie. „O moja droga Agnieszko, nikim w świecie takbym się nie ucieszył, jak tobą!"

„Doprawdy?" odpowiedziała serdecznie.

„Tak bardzo pragnę z tobą pomówić!" rzekłem. „Zaraz mi lżej na sercu, gdy tylko widzę ciebie! Gdybym miał czarnoksięską laseczkę, ciebie jedną pragnąłbym przywołać!"

„Co mówisz?" zapytała Agnieszka.

„No, może Dorę jeszcze pierwej", przyznałem, czerwieniejąc.

„Z pewnością, myślę, że Dorę pierwej!" odparła, śmiejąc się.

„Ale ciebie zaraz potem!" odparłem. „Dokąd jedziesz?" Jechała do mojego mieszkania, by odwiedzić ciotkę. Ponieważ dzień był bardzo piękny, z ochotą wysiadła z dorożki, która pachniała (ja przez cały czas głową tkwiłem w oknie), jak stajnia nakryta szklanym kloszem. Odprawiłem dorożkarza, a Agnieszka oparła się na mojem ramieniu i poszliśmy razem. Była ona dla mnie jak samo wcielenie nadziei. Jakżeż innym poczułem się w jednej chwili, mając przy boku swym Agnieszkę!

Ciotka napisała do niej jeden z tych swoich szczególnych urywanych listów, niewiele dłuższych od banknota — poza to listowne jej elukubracje nigdy nie sięgały. Oznajmiła w tem piśmie, że popadła w finansowe trudności, że opuszcza Dover na dobre, ale że się zupełnie z tem pogodziła i tak dobrze się czuje, że nikt nie potrzebuje troskać się o nią. Agnieszka przyjechała do Londynu, by odwiedzić ciotkę, z którą wzajemna sympatja łączyła ją od lat; istotnie, datowało się to od czasu, gdy zamieszkałem w domu pana Wickfielda. Agnieszka nie przybyła sama, jak mi oświadczyła. Był z nią jej ojciec — a także Uriasz Heep.

„Teraz są oni wspólnikami", rzekłem. „Bierz go licho!"

„Tak", odpowiedziała Agnieszka. „Mają tutaj jakieś interesy, ja zaś skorzystałam z ich przyjazdu i przyjechałam także. Nie uważaj mojej wizyty za czysto przyjacielską i bezinteresowną, Trotwoodzie, gdyż... lękam się, czy nie jestem zbyt uprzedzona... ale nie lubię z nim puszczać papy samego".

„Czyż on zawsze ma taki sam wpływ na pana Wickfielda Agnieszko".

Agnieszka potrząsnęła głową.

„Tak się u nas w domu zmieniło", rzekła, „że nie poznałbyś kochanego starego naszego domu. Oni teraz mieszkają z nami".

„Oni?"

„Pan Heep i jego matka. On sypia teraz w twoim dawnym pokoju", rzekła, podnosząc oczy do mojej twarzy.

„Żałuję, że nie do mnie należy nadzór nad jego snami. Nie sypiałby tam długo".

„Ja zajmuję mój dawny pokoik", opowiadała Agnieszka. „Ten, gdzie się zawsze uczyłam lekcji. Jak to czas leci! Pamiętasz? Ten mały szalowany pokoik, do którego się wchodzi z salonu?"

„Czy pamiętam, Agnieszko? Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, wychodzącą z tych drzwi, z tym misternym koszyczkiem z kluczami przy boku?"

„Taki sam teraz, jak dawniej", uśmiechnęła się; „cieszę się, że z przyjemnością o nim myślisz. Byliśmy bardzo szczęśliwi".

„O tak, to prawda!" odpowiedziałem.

„Ten pokój zawsze zajmuję; ale nie zawsze mogę opuszczać panią Heep, ty rozumiesz. Dlatego też", mówiła Agnieszka spokojnie, „nieraz muszę dotrzymywać jej towarzystwa choć wolałbym być samą. Zresztą nie mam powodu skarżyć się na nią. Jeżeli znudzi mnie czasami wychwalaniem syna, to to przecież jest zupełnie naturalne ze strony matki. Jest on w stosunku do niej bardzo dobrym synem".

Popatrzyłem na Agnieszkę, gdy mówiła te słowa, ale nie odkryłem nic, coby świadczyło, że uświadamia sobie zamiary Uriasza. Łagodne jej a poważne oczy spotkały się z mojemi z tą samą, co zawsze, piękną szczerością, a po miłej twarzy nie przemknęła żadna zmiana.

„Ich obecność w domu", mówiła dalej, „z tego względu jest najgorsza, że nie mogę być tak blisko papy, jakbym chciała, gdyż Uriasz Heep jest wciąż między nami i nie mogę papy pilnować, że się tak śmiało wyrażę, tyle ilebym pragnęła. Jednakże, jeżeli podstęp lub zdrada knują coś przeciw niemu, ja przecież ufam, że prosta miłość i prawda zwyciężą wkońcu. Sądzę, że prawdziwa miłość i prawda muszą ostatecznie zło i nieszczęście zwyciężyć na świecie".

Pewien promienny uśmiech, taki, jakiego nigdy na innej twarzy nie widziałem, zgasł właśnie w chwili, gdy pomyślałem, jaki to dobry uśmiech i jak mi dobrze z dawnych czasów znany — gdy w tem Agnieszka zapytała mnie ze zmienionym wyrazem w twarzy (podchodziliśmy już do mojej ulicy), czy wiem, jakim sposobem doszło do fatalnych powikłań w interesach ciotki. Gdy odpowiedziałem, że nie wiem, że ciotka mi jeszcze tego nie powiedziała, Agnieszka zamyśliła się i wydało mi się, że ręka jej, oparta na mojem ramieniu, zadrżała.

Zastaliśmy ciotkę samą, nieco podrażnioną. Wynikła różnica poglądów pomiędzy nią a panią Crupp w kwestji abstrakcyjnej (mianowicie, czy jest właściwem, by kawalerskie pokoje zamieszkiwała płeć słabsza), przyczem ciotka moja, zupełnie niewzruszona spazmami pani Crupp, przecięła krótko dysputę, oznajmiając zacnej niewieście, że zalatuje od niej moją wódką i że prosi ją, by się raczyła wynieść. W obu tych wyrażeniach pani Crupp dopatrzyła się osobistej obrazy i zapowiedziała, że wniesie skargę przed „forun sądowe".

Ciotka moja jednakże, miała już czas ochłonąć, gdyż Peggotty poszła pokazać panu Dickowi żołnierzy konnej gwardji, a widok Agnieszki bardzo ją ucieszył; teraz pyszniła się raczej całą tą przeprawą i przyjęła nas w jak najlepszym humorze. Gdy Agnieszka złożyła kapelusz na stole i siadła przy niej, nie mogłem obronić się myśli, patrząc na słodkie jej oczy i promienne czoło, że przecież tak się to wydaje naturalne, iż jest ona tutaj, że chociaż tak młoda i niedoświadczona, ciotka z pełną ufnością odnosi się do niej i że przecież tak silną jest ona w tej prostej miłości i prawdzie.

Zaczęliśmy rozmawiać o stratach mojej ciotki i ja opowiedziałem im, co próbowałem zrobić dziś rano.

„To było nierozsądnie, Trotku", rzekła moja ciotka, „ale robiłeś to w dobrej myśli. Szlachetny z ciebie chłopak... trzeba mi pewnie teraz powiedzieć młodzieniec... i jestem z ciebie dumna, mój drogi. No, dobrze. A teraz, Trotku i Agnieszko, rozpatrzmy sprawę Betsey Trotwood i przekonajmy się, jak ona stoi".

Dostrzegłem, że Agnieszka zbladła, patrząc bardzo uważnie na ciotkę. Ciotka, głaszcząc swego kota, patrzyła bardzo uważnie na Agnieszkę.

„Betsey Trotwood", zaczęła ciotka, która dotychczas zawsze swoje sprawy pieniężne trzymała w tajemnicy, „Betsey Trotwood... nie o twojej siostrze mówię, Trotku, ale o samej sobie... posiadała pewien majątek. Mniejsza z tem, ile — dosyć, że można było z tego żyć. Więcej nawet, bo trochę oszczędziła i dołożyła do kapitału. Betsey trzymała pieniądze swoje czas jakiś w papierach państwowych, później, za poradą swojego prawnika, umieściła je na hypotece dóbr ziemskich. Była to korzystna lokata i niosła bardzo dobry procent, lecz wkońcu spłacono kapitał. No i cóż! Wtedy Betsey msuiała się rozejrzeć za nową lokatą. Myślała teraz, że jest mędrszą od swego prawnika, który tymczasem nie miał już tak dobrej głowy do interesów, jak pierwej — myślę o twoim ojcu, Agnieszko — i uwidziała sobie, że sama

zajmie się umieszczeniem tych pieniędzy. Tak tedy zapędziła swoje świnki na zagraniczny rynek i okazało się, że bardzo zły to był rynek. Najpierw straciła w kopalnianych przedsiębiorstwach, następnie w jakichś nurkowych... miano tam wyławiać z morza jakieś skarby czy coś tam takiego", tłumaczyła ciotka, skrobiąc się po nosie; „potem znów straciła w kopalniach, a nakoniec, chcąc wszystko naprawić, straciła, zaangażowawszy się w pewnym banku. Już nie wiem, ile były warte w swoim czasie te udziały bankowe, zdaje mi się, że najmniej o sto procent stały wyżej; ale bank znajdował się na drugim końcu świata, runął, rozleciał się i nigdy nie będzie mógł grosza zapłacić; a Betsey wszystkie swoje grosze tam wsadziła i tak się one ulotniły. Lepiej już o tem nie mówić!"

Ciotka moja zakończyła tym filozoficznym wnioskiem i z pewnego rodzaju triumfem utkwiła wzrok w Agnieszce, której pobladła twarz stopniowo odzyskiwała naturalną barwę.

„Droga pani, czy to wszystko?" zapytała Agnieszka.

„Chyba tego dosyć, moje dziecko", odparła ciotka. „Gdybym miała więcej pieniędzy do stracenia, możeby na tem nie był koniec. Betsey potrafiłaby i tamte rzucić za innemi, no i mielibyście jeszcze jeden rozdział powieści. Skoro jednak więcej pieniędzy nie było, niema już też dalszego ciągu".

Agnieszka słuchała z początku z zapartym tchem. Wciąż jeszcze to się rumieniła to bladła, ale już oddychała swobodniej. Domyślałem się, dlaczego. Domyślałem się, że się lękała, czy nieszczęsny jej ojciec nie ponosi jakoś winy za to, co się stało. Ciotka ujęła rękę Agnieszki w swoje dłonie i roześmiała się.

„Czy to wszystko?" powtórzyła. „No tak, to wszystko, tylko brakuje na końcu: i odtąd żyła w szczęściu i pomyślności. Może kiedyś i to będę mogła o Betsey powiedzieć. A teraz, Agnieszko, ty masz mądrą główkę. Również i ty, Trotku, w niektórych sprawach, chociaż nie zawsze mogłabym ci powiedzieć ten komplement"; tu ciotka patrząc na mnie, pokiwała głową z właściwą sobie energją. „Coś tedy należy zrobić? Weźmy ten domek — ten w przecięciu dać może, przypuśćmy, siedmdziesiąt funtów rocznie. Sądzę, że bezpiecznie możemy tak liczyć. No dobrze — to więc jest wszystko, co mamy", oświadczyła ciotka; a miała ona właściwość, jak niektóre konie, zacinać się i stawać wtedy właśnie, gdy zdawało się, że rozpędziła się w najlepsze.

„Dalej", mówiła, odpocząwszy, „jest oto Dick. Ten ma sto funtów rocznie, ale naturalnie, to musi być wydane na niego samego. Wolałabym go raczej odesłać, choć wiem, że jestem jedynym człowiekiem, który go ocenia, niż mieć go u siebie i pieniędzy jego nie wydać na niego. Jakże Trot i ja mamy się urządzić przy naszych środkach? Cobyś ty powiedziała, Agnieszko?"

„Ja powiem, ciociu", wtrąciłem, „że muszę coś robić!"

„To znaczy zaciągnąć się do wojska?" odpowiedziała ciotka przestraszona; „czy może do marynarki? Nie chcę słyszeć o tem. Ty masz być syndykiem. Nie chcemy żadnych takich zawadjackich zawodów w tej rodzinie, proszę łaskawego pana".

Chciałem właśnie wytłumaczyć, że wcale nie pragnę imać się tego sposobu zarobkowania, gdy Agnieszka zapytała, czy pokoje moje wynajęte są na dłuższy czas?

„W tem właśnie rzecz, moja droga", odpowiedziała ciotka. „Nie można się ich pozbyć przynajmniej przez pół roku, chyba żeby się je podnajęło, w co niebardzo wierzę. Ostatni lokator umarł tutaj. Na sześciu pięciuby do grobu wpędziła ta baba w nankinach i flanelowej spódnicy. Mam trochę gotówki; i zgadzam się z tobą, że najlepiej będzie wymieszkać tu do terminu, a dla Dicka wynaleźć pokoik w pobliżu"

Uważałem sobie za obowiązek wspomnieć, że wiele nieprzyjemności będzie musiała ciotka znieść, żyjąc w ciągłej podjazdowej walce z panią Crupp; ten zarzut jednak ciotka zbyła krótko, oświadczając, że za pierwszą nieprzyjacielską zaczepką gotowa jest tak zadziwić panią Crupp, iż do końca życia to sobie zapamięta.

„Ja bo myślałem, Trotwoodzie", rzekła nieśmiało Agnieszka, „że gdybyś miał czas..."

„Mam wiele czasu, Agnieszko. Jestem zawsze wolny od czwartej albo od piątej, a i wcześnie rano mam czas. Czy tak, czy tak, mam wiele czasu". Mówiąc to, zarumieniłem się trochę, na myśl o tych niezliczonych godzinach, spędzanych na włóczeniu się po mieście, tam i z powrotem, po drodze do Norwood.

„Wiem, że nie miałbyś nic przeciwko temu", rzekła Agnieszka zbliżając się do mnie i mówiąc głosem cichym, a tak słodkim i zachęcającym, że dzisiaj jeszcze go słyszę, „by podjąć się obowiązków sekretarza".

„Miałbym mieć coć przeciwko temu, Agnieszko droga?"

„Ponieważ", mówiła dalej, „doktór Strong zgodnie z swym zamiarem ustąpił ze szkoły i zamieszkał w Londynie; wiem też że prosił papę, aby mu zarekomendował sekretarza. Przypuszczasz chyba, że wolałby mieć przy sobie ulubionego dawnego ucznia zamiast kogoś obcego?"

„Droga Agnieszko! Co jabym zrobił bez ciebie?" zawołałem. „Ty zawsze jesteś moim dobrym duchem. Już ci to powiedziałem. Zawsze myślę o tobie, jak o moim dobrym duchu".

Agnieszka odpowiedziała mi z miłym swoim śmiechem, że jeden dobry duch (miała na myśli Dorę) powinien mi wystarczyć; następnie przypomniała mi, że doktór zwykł był pracować w swoim gabinecie wcześnie rano i wieczorami — że zatem prawdopodobnie moje wolne godziny odpowiedzą właśnie temu, czego mu potrzeba. Co do mnie, nie mniej uszczęśliwiała mnie nadzieja zarabiania na własne utrzymanie, jak myśl, że będę zarabiał u boku starego mego nauczyciela. Krótko mówiąc, za radą Agnieszki siadłem i napisałem list do doktora, streszczając w nim o co chodzi i oznajmiając, że zgłoszę się osobiście nazajutrz o dziesiątej przed południem. Ten list zadresowałem do Highgate (gdyż w tej, pamiętnej dla mnie miejscowości mieszkał on) — i poszedłem list wrzucić na pocztę osobiście, nie tracąc chwili czasu.

Gdziekolwiek znalazła się Agnieszka, wszędzie pozostawiała po sobie jakiś miły widomy ślad swej obecności. Wróciwszy, zastałem klatkę z ptakami mej ciotki wiszącą, tak jak zawsze wisiała w oknie bawialni jej domku; mój fotel, jak i wiele wygodniejszy jej fotel, ustawiony był przy otwartem oknie, a nawet okrągły zielony wachlarz, który ciotka przywiozła ze sobą, przyśrubowany był do parapetu okna. Wiedziałem, kto to zrobił, choćby dlatego, że się zdawało, iż się to tak jakoś spokojnie samo zrobiło; odrazu też byłbym poznał, kto ułożył moje rozrzucone książki tak porządnie, jak za moich szkolnych czasów, nawet gdybym przypuszczał, że Agnieszka jest gdzieś daleko, a nie zastał jej przy tej robocie, śmiejącej się z nieporządku, w jakim znalazła się moja bibljoteka.

Ciotka moja nader łaskawie odzywała się o Tamizie (istotnie, wyglądała ona bardzo pięknie, cała w słońcu, choć nie tak, jak morze przed oknami jej domku), nie mogła się jednak pogodzić z londyńską sadzą, która, jak się wyrażała, wszystko „pieprzyła".

Ze względu na ten pieprz dokonano, z przemożnym udziałem Peggotty, kompletnej rewolucji w każdym kąciku moich pokoi; ja przyglądałem się temu, rozmyślając, jak mało nawet Peggotty zdaje się robić z wielkim nakładem krzątaniny, a jak wiele Agnieszka bez stuku i bez hałasu, gdy odezwało się pukanie do drzwi.

„Myślę, że to zapewne papa", rzekła Agnieszka blednąc. „Obiecał mi, że przyjdzie".

Otworzyłem drzwi i wpuściłem, nietylko pana Wickfielda ale i Uriasza Heep. Nie widziałem pana Wickfielda dość dawno. Po tem, co słyszałem od Agnieszki, przygotowany byłem na wielką w nim zmianę, ale wygląd jego przeraził mnie.

To nie to, że wyglądał, jakby był o wiele lat starszy, choć zawsze był ubrany z dawną staranną schludnością; nie, że miał niezdrową, krwistą cerę, że oczy jego nabrzękłe były i nabiegłe krwią, że ręka drżała mu nerwowo, czego przyczynę znałem, działanie jej obserwując latami. Nie, iżby zbrzydł, albo stracił dawny swój pański gest — gdyż to się nie stało — ale co mnie najbardziej uderzyło, to że zawsze jeszcze mając na sobie widoczne piętno wrodzonej swojej wyższości, mógł się poddać temu pełzającemu wcieleniu podłości, Uriaszowi Heep. Ten przewrót w stosunku tych dwóch natur, Uriasz na stanowisku władzy a pan Wickfield na stanowisku zależności, był to dla mnie widok przykrzejszy, niżbym potrafił wyrazić. Gdybym ujrzał małpę rządzącą człowiekiem, wątpię, czyby mi się ten obraz wydał bardziej poniżającym.

Zdawało się, że on sam aż nadto tego jest świadom. Wchodząc, przystanął: z pochyloną głową, jakby zawstydzony. Ale tylko przez chwilę, gdyż Agnieszka przemówiła doń łagodnie: „Papo... oto panna Trotwood... i Trotwood, którego tak dawno nie widziałeś!"

Wtedy zbliżył się, nieśmiało podał ciotce rękę, a mnie serdeczniej uścisnął rękę. W chwili przerwy, o której wspomniałem, ujrzałem, jak na twarzy Uriasza zaigrał zjadliwy uśmiech. Zdaje mi się, że i Agnieszka to dojrzała, gdyż drgnęła i cofnęła się przed nim.

Co moja ciotka widziała a czego nie widziała, tego nie wykryłby żaden fizjonomista bez jej zezwolenia. Nie znałem nikogo, ktoby tak umiał twarz swoją uczynić nieczytelną, jak ona, kiedy chciała. I teraz twarz jej była jak bielona ściana, niktby z niej nie odgadł jej myśli; nakoniec przerwała milczenie, porywczo, bez wstępów, jak zwykle.

„A więc tak, panie Wickfield!" rzekła, a on po raz pierwszy podniósł wzrok na nią. „Właśnie opowiadałam pańskiej córce, jak ślicznie gospodarowałem mojemi pieniędzmi sama, nie chcąc ich powierzyć panu, ponieważ zardzewiałeś mi trochę w kwestji interesów. Naradzałyśmy się wspólnie i ogółem biorąc szło nam to bardzo dobrze. Agnieszka warta jest całej firmy, mojem zdaniem".

„Jeżeli mi wolno pokornie zauważyć", przemówił Uriasz Heep, skręcając się cały, „podzielam całkowicie zdanie panny Betsey Trotwood i byłbym najszczęśliwszym, gdyby panna Agnieszka była wspólniczką".

„Pan sam jesteś wspólnikiem, pan wie", odpowiedziała moja ciotka, „i to powinno panu, spodziewam się, wystarczać. Jak się pan miewa, mój panie?"

W odpowiedzi na to pytanie, zadane mu sucho i krótko, pan Heep, ściskając niezgrabnie tekę, którą miał ze sobą, odpowiedział, że ma się niezgorzej, dziękuje i ufa, że i ciotka również ma się dobrze.

„A panicz... właściwie powinienem powiedzieć pan, panie Copperfield“, mówił dalej Uriasz. „Mam nadzieję, że widzę pana w dobrem zdrowiu! Cieszę się, że pana widzę, panie Copperfield, choć nawet w takich okolicznościach, jak obecne“.

Uwierzyłem mu; zdawał się bowiem znajdować w nich szczególniejszą przyjemność

„Obecne okoliczności nie są tem, czegoby przyjaciele pańscy, panie Copperfield, mogli dla pana pragnąć, ale przecież nie pieniądze stanowią o człowieku: stanowi o nim... rzeczywiście, przy skromnych moich umiejętnościach nie potrafiłbym wyrazić co“, mówił Uriasz, gnąc się uniżenie, „ale nie pieniądze!“

Tu wziął moją rękę i uścisnął ją: nie tak zwyczajnie jednak, lecz stojąc dobrze zdaleka i potrząsając moją rękę to w górę, to w dół, jakgdyby była korbą od pompy, którejby się trochę bał.

„I jak pan uważa, że wyglądamy, paniczu... chciałem powiedzieć panie?“ mizdrzył się Uriasz. „Czy pan nie sądzi, że pan Wickfield wygląda kwitnąco? Lata nie znaczą się bardzo w naszej firmie, paniczu, chyba o tyle, że podnoszą na wyższy szczebel pokornych, mianowicie matkę i moją osobę... i że doprowadzają do rozkwitu“, dodał, „piękność, mianowicie pannę Agnieszkę“.

Skręcał się i ciskał po tym komplemencie w sposób tak niemożliwy, że ciotka, która siedziała, patrząc wprost na niego, straciła wszelką cierpliwość.

„Bierz licho tego człowieka!“ rzekła surowo; „co on wyprawia? Czy pan ma drgawki galwaniczne, panie?“

„Przepraszam panią, panno Trotwood“, odpowiedział Uriasz; „widzę, że jest pani nerwowa“.

„Idź pan! Idź!“ odpowiedziała ciotka, wcale nie ułagodzona. „Jak śmiesz mówić coś podobnego! Nie jestem bynajmniej nerwowa. Jeśli pan jesteś węgorzem, zachowuj się jak węgorz. Jeżeli jesteś człowiekiem, panuj nad swemi członkami! Mocny Boże!“ dodała z wielkiem oburzeniem, „nie mogę znieść, żeby mnie kto takiemi łamanemi sztukami wyprowadzał z równowagi!“

Pan Heep trochę stracił rezon wobec tego wybuchu, który jeszcze zyskał przez to, że ciotka z wielkiem oburzeniem poprawiała się potem na fotelu i potrząsała głową, jak gdyby chciała skoczyć i rzucić się na niego. Na boku rzekł jednak do mnie jakby strapiony: „Wiem dobrze, paniczu, że panna Trotwood, choć bardzo zacna osoba, ale ma temperament popędliwy (w istocie miałem przyjemność znać ją, gdy byłem skromnym pisarczykiem, jeszcze zanim panicz ją znał) — a to przecież tylko naturalne. Jeżeli tę popędliwość wzmogły obecne warunki. Dziw tylko, że

nie jest jeszcze gorzej! Zaszedłem tutaj tylko, żeby powiedzieć, że jeżeli w obecnych warunkach moglibyśmy czem dopomóc, matka albo ja, albo Wickfield i Heep, bylibyśmy bardzo radzi. Wolno mi to powiedzieć?“ zwrócił się Uriasz z mdłym uśmiechem do swego wspólnika.

„Uriasz Heep“, przemówił pan Wickfield monotonnie i jakgdyby sztucznie, „jest czynnym członkiem interesu, Trotwoodzie. Do tego, co on mówi, ja się zupełnie przyłączam. Ty wiesz, że zdawna miałem dla ciebie serdeczną przychylność. Pomijając to, zupełnie zgadzam się z tem co mówi Uriasz“.

„O, jakaż to nagroda“, rzekł Uriarz, podginając jedną nogę na ryzyko, że ściągnię na siebie nową burzę ze strony ciotki, „być przedmiotem takiego zaufania! Ale sądzę, że przecież potrafię ująć panu Wickfieldowi trochę trudu w prowadzeniu interesu, paniczu!“

„Uriasz Heep przynosi mi wielką ulgę“, powiedział pan Wickfield tym samym przytępionym głosem. „Zdejmuje mi to ciężar z serca, Trotwoodzie, że mam takiego wspólnika“.

Szczwany lis kazał mu powiedzieć to wszystko, wiedziałem, żeby mi go ukazać w tem świetle, w jakiem mi go przedstawił owej nocy, gdy zatruł mi sen. Ujrzałem znowu ten sam zjadliwy uśmieszek na jego twarzy i widziałem, jak mnie obserwował.

„Nie odchodzisz chyba, papo?“ zapytała Agnieszka niespokojnie. „Czy nie wrócisz z Trotwoodem i ze mną?“

Byłby popatrzył na Uriasza, zdaje mi się, zanimby był odpowiedział, gdyby go ta godna osoba nie była uprzedziła.

„Co do mnie“, przemówił Uriasz, „mam umówione spotkanie, dotyczące interesów; gdyby nie to, byłbym szczęśliwy, pozostając z mymi przyjaciółmi. Jednakże zostawiam mego wspólnika, niechaj reprezentuje firmę. Panno Agnieszko, sługa pani! Do widzenia, paniczu! Najniższe uszanowanie moje dla pani, panno Trotwood!“

Z temi słowy sunął ku drzwiom, całując wielką swoją rękę i zawracając oczami z grymasem poczwarnej maski.

Przesiedzieliśmy potem, gwarząc o dawnych naszych miłych czasach w Canterbury z godzinę a może ze dwie. Pan Wickfield, pod pieczą Agnieszki, stał się niebawem podobniejszy do tego, jakim był dawniej, chociaż nie otrząsnął się z jakiegoś stałego już przygnębienia. Mimo to rozpogodził się i z widoczną przyjemnością przysłuchiwał się wspominaniu drobnych wypadków naszego życia, z których niektóre bardzo dobrze pamiętał. Powiedział, że przypomina mu to owe dawne czasy, gdy się znów znalazł tylko z Agnieszką i ze mną, i że oby się były one nigdy nie zmieniły! Jestem pewny, że z pogodnej twarzy Agnieszki, z samego

dotknięcia jej ręki, położonej na jego ramieniu, szedł wpływ, cudownie działający na niego.

Ciotka (która przez prawie cały ten czas była zajęta z Peggotty w wewnętrznym pokoju) nie chciała nam towarzyszyć do hotelu, gdzie mieszkali, ale nalegała, żebym ja poszedł. To też poszedłem. Zjedliśmy razem obiad. Po obiedzie Agnieszka siadła przy ojcu, po staremu, i nalewała mu wino. Wypił, co mu dała, nie więcej — jak dziecko — i wszyscy troje siedliśmy razem przy oknie, a tymczasem zaczął zapadać zmrok. Gdy już było prawie ciemno, pan Wickfield położył się na sofie, Agnieszka podsunęła mu poduszkę pod głowę i nachyliła się nad nim przez chwilę; gdy zaś wróciła do okna, choć już tak było ciemno, dojrzałem łzy, błyszczące w jej oczach.

Proszę Boga, bym nigdy nie zapomniał, jaką ta droga dziewczyna, tak kochająca i wierna, była dla mnie w owej chwili życia; bo gdybym zapomniał, musiałbym chyba być u schyłku życia, a wtedy przecież najbardziej pragnąłbym ją pamiętać. Wzbudziła w mem sercu tyle dobrych postanowień, umocniła tak moją słabość swoim przykładem, tak — sam nie wiem, jakim sposobem, gdyż zbyt była skromna i dobrotliwa, by dawać mi zbyt wymowne rady — pokierowała chwiejnym zapałem i nieustalonemi zamiarami w mej duszy, że spełnienie trochę dobrego a uniknięcie niejednego złego w życiu, w głęboko w to wierzę, zawdzięczam jej tylko.

A jak ona do mnie mówiła o Dorze, gdyśmy rozmawiając w ciemnościach siedzieli przy oknie; słuchała gdym ją wychwalał, sama chwaliła, i dokoła tej drobnej figurki sylfa rozsiała trochę blasków własnego czystego światła, czyniąc ją tem droższą dla mnie i tem niewinniejszą! O Agnieszko, siostro lat moich chłopięcych, gdybym ja był w tedy wiedział to, o czem dowiedziałem się znacznie, znacznie później!

Gdy wychodziłem, stał na ulicy żebrak; a gdy podniosłem głowę ku oknu, myśląc o spokojnych, anielskich oczach Agnieszki, przestraszył mnie, powtarzając, jak gdyby był echem dzisiejszego poranka:

„Ślepy! Ślepy! Ślepy!“

Rozdział trzydziesty szósty.

Zapał.

Następny dzień zacząłem znów od zimnej kąpieli, poczem ruszyłem do Highgate. Już nie czułem teraz przygnębienia. Nie bałem się wytartego ubrania, nie tęskniłem do dziarskich siwoszów. Cały mój sposób myślenia o niepowodzeniu, jakie nas spotkało, wziął inny obrót. Oto miałem dowieść ciotce, że cała jej dobroć dla mnie i świadczone mi

dobrodziejstwa nie padły na grunt jałowy i niewdzięczny. Oto miałem wyciągnąć pożytek z bolesnej nauki mych lat dziecinnych i zabrać się do pracy odważnie i wytrwale. Oto miałem ująć w rękę siekierę drwala i z trudem ścinając drzewa, torować sobie drogę do Dory. I puściłem się w drogę wyciągniętem krokiem, jak gdyby szybkim marszem już to wszystko mogłem osiągnąć.

Znalazłszy się na znajomej sobie drodze, do Highgate, którą dotychczas chodziłem tylko dla przyjemności, odczułem, jak wielka zmiana zaszła odtąd w mojem życiu. Nie odebrało mi to jednak odwagi. Nowe życie stawiało nowe cele, budziło nowe zamiary. Wielki czekał mnie trud, ale bezcenną była nagroda. Dora była nagrodą i Dorę musiałem zdobyć.

Wpadłem w taki zapał, że wprost żałowałem, iż ubranie moje już teraz nie jest trochę wyszarzane. Pragnąłem coprędzej rąbać owe drzewa w lesie przeciwności, tak aby dowieść swych sił. Brała mnie ochota poprosić starego człowieka w drucianych okularach, tłukącego kamienie na drodze, by mi pożyczył na chwilę swojego młotka, ażebym mógł zacząć ubijać ścieżkę z granitu, prowadzącą do Dory. Doszedłem do takiego rozgorączkowania, tak się zadyszałem, że wydało mi się, iż już zarabiam nie wiem ile. W tym stanie zaszedłem do domku, który miał wywieszoną kartę „do wynajęcia“ i obejrzałem go dokładnie — czułem bowiem, że należy być praktycznym. Byłby to domek w sam raz dla Dory i dla mnie, gdyż miał także mały frontowy ogródek, w którym Jip mógłby biegać i na handlarzy szczekać przez sztachety; był tam też pyszny pokój na górze, dla mojej ciotki. Wyszedłem znów na drogę, jeszcze bardziej spiesząc się w mem rozgorączkowaniu i popędziłem do Highgate takim krokiem, że znalazłem się tam o jaką godzinę zawcześnie; nawet gdyby nie to, byłbym musiał przechadzać się, żeby ochłonąć i móc się ludziom pokazać na oczy.

Odbywszy to nieodzowne przygotowanie, postarałem się przedewszystkiem odnaleźć dom doktora. Nie znajdował się on w tej części Highgate, gdzie mieszkała pani Steerforth, ale w zupełnie przeciwnej stronie miasteczka. Zrobiwszy to odkrycie, a nie mogąc się oprzeć jakiejś pociągającej sile, zawróciłem i wszedłszy w uliczkę, przechodzącą koło domu pani Steerforth, zajrzałem przez płot ogrodowy. Pokój Steerfortha był szczelnie zamknięty. Drzwi od oranżerji były otwarte i Róża Dartle z odkrytą głową, szybkim, gwałtownym krokiem przechadzała się tam i z powrotem po ścieżce wzdłuż jednej strony uliczki. Zrobiła na mnie wrażenie jakiegoś dzikiego zwierzęcia, ciągnącego swój łańcuch po ubitej drodze, w udręce bez końca i do upadłego.

Cicho usunąłem się z mego stanowiska, uchodząc z tej okolicy i żałując, że tutaj zaszedłem; następnie przechadzałem się aż do godziny dziesiątej. Kościoła z wysmukłą wieżą, który teraz stoi na szczycie pagórka, wtedy nie było tam jeszcze, żeby mi podać godzinę. W owem miejscu stał stary budynek z czerwonej cegły, służący za szkołę; miło musiało być, pomyślałem, chodzić do szkoły do takiego pięknego budynku.

Gdym się zbliżył do domku doktora — nie nowy to był dom, w który musiał on włożyć trochę pieniędzy, sądząc po upiększeniach i naprawach, widocznie świeżo poczynionych — ujrzałem jego samego, spacerującego w ogrodzie, w kamaszach i tem wszystkiem innem, jakgdyby nigdy nie przestał spacerować od czasu, gdy byłem jego uczniem. I starych swoich towarzyszy miał też wkoło siebie; w sąsiedztwie bowiem było wiele wysokich drzew i kilka wron stało na trawniku, wodząc za nim oczami, jakgdyby, powiadomione o nim przez wrony z Canterbury, teraz obserwowały go ze szczególną bacznością.

Wiedząc, że jest rzeczą wprost beznadziejną chcieć zwrócić uwagę doktora z takiej odległości, odważyłem się otworzyć bramę i iść za nim tak, żeby go spotkać, gdy zawróci. Zawróciwszy i podszedłszy do mnie, najpierw patrzył na mnie przez chwil kilka w zamyśleniu, widocznie wcale o mnie nie myśląc, aż nagle dobrotliwa jego twarz rozpromieniła się radością i ujął obie moje dłonie.

„Ależ kochany Copperfieldzie, mężczyzna z ciebie!" zawołał doktór. „Jakżeż się miewasz? Ogromnie się cieszę, że cię widzę. Mój kochany Copperfieldzie, jakże ty bardzo wyprzystojniałeś! Jesteś zupełnie... tak... mój ty Boże!"

Zapytałem, czy dobrze się czuje on sam i pani Strong.

„O tak, dziękuję ci", odpowiedział. „Ania miewa się zupełnie dobrze i bardzo się tobą ucieszy. Zawsze byłeś jej ulubieńcem. Powiedziała mi to wczoraj, gdy jej pokazałem twój list. I... a prawda... pamiętasz pana Jacka Maldona, Copperfieldzie?"

„Pamiętam doskonale".

„Naturalnie", rzekł doktór. „Ależ tak. I on także dobrze się miewa".

„Czy wrócił do kraju?" zapytałem.

„Z Indyj? A jakże. Pan Jack Maldon nie mógł znieść tego klimatu, mój drogi. Pani Markleham... nie zapomniałeś pani Markleham?"

Miałbym zapomnieć Starego Żołnierza? I w tak krótkim czasie!

„Pani Markleham", mówił doktór, „bardzo się o niego trapiła, biedaczka; to też ściągnęliśmy go z powrotem do kraju i kupiliśmy mu taką małą posadę, która mu o wiele lepiej dogadza".

Dosyć już wiedziałem o panu Maldon, żeby się z tego, co mówiono, domyśleć, że musi to być posada, która nie daje wiele do roboty, a dobrze musi być wynagradzana. Doktór, chodząc tam i z powrotem z ręką, opartą na mojem ramieniu i poczciwą swoją twarzą zwróconą zachęcająco ku mnie, ciągnął dalej: „A teraz, mój drogi Copperfieldzie, co się tyczy tej twojej propozycji. Dla mnie jest ona niezmiernie pochlebną i miłą; ale czy ty nie myślisz, że mógłbyś znaleźć coś lepszego? Zasłużyłeś na wybitne wyróżnienie, ty wiesz, gdyś był u nas. Jesteś uzdolniony i przysposobiony do niejednego zawodu. Zyskałeś podstawy, na których każdy gmach wznieśćby można. Czyż to nie szkoda, żebyś poświęcał wiosnę twego życia tak skromnemu zajęciu, jakie ja tobie mogę ofiarować?"

Odrazu zapałałem znów, wyrażałem się stylem górnym i z siłą ponawiałem moją prośbę; przypomniałem przytem doktorowi, że już mam swój zawód.

„No dobrze, dobrze, to prawda", odpowiedział doktór. „Niezawodnie to, że masz już zawód i uczysz się go obecnie, stanowi różnicę! Ale mój miły, młody przyjacielu, cóż to jest, siedmdziesiąt funtów rocznie?"

„To zdwaja nasz dochód, panie doktorze", odpowiedziałem.

„Boże mój!" odparł. „Tylko pomyśleć! Nie znaczy to, że chcę powiedzieć, że się to ściśle ogranicza do siedmdziesięsiu funtów rocznie, gdyż ja zawsze zamierzałem młodzieńcowi, któregobym miał w ten sposób zająć, ofiarować także jakiś prezent. Niewątpliwie", dodał, wciąż spacerując z ręką na mojem ramieniu, „zawsze jakiś coroczny prezent brałem w rachubę".

„Mój drogi nauczycielu", rzekłem (i teraz, rzeczywiście bez żadnej deklamacji), „pan, któremu więcej zawdzięczam, niż kiedykolwiek będę się mógł odpłacić..."

„Nie, nie..." przerwał doktór, „przepraszam cię!"

„Jeżeli pan chce skorzystać z tego wolnego czasu, jaki mam, to jest z moich poranków i wieczorów, i jeśli pan uważa, że to jest warte siedmdziesięciu funtów rocznie, to uczyni mi pan tem tak wielką przysługę, że trudno to wypowiedzieć".

„Boże ty mój!" westchnął doktór z całą naiwnością; „pomyśleć, że rzecz tak drobna może uchodzić za coś tak wielkiego! Doprawdy! Doprawdy! Ale jeśli ci się trafi coś lepszego, to weźmiesz to? No, daj mi słowo!" Doktór zawsze bardzo poważnie odwoływał się do naszego honoru, nas chłopców.

„Słowo panu na to daję!“ odpowiedziałem tak, jak się odpowiadało w szkole.

„A więc niechże będzie!“ rzekł doktór, uderzając mnie po ramieniu i zatrzymując na niem rękę, podczas gdy w dalszym ciągu przechadzaliśmy się tam i z powrotem.

„A ja jeszcze stokroć będę szczęśliwszy“, dodałem z odrobiną niewinnego przecież pochlebstwa, „jeżeli zajęcie moje będzie związane ze Słownikiem“.

Doktór przystanął, z uśmiechem uderzył mnie jeszcze raz po ramieniu i zawołał z przemiłym triumfem, jakgdybym w przenikliwości mojej osiągnął najgłębsze tajnie bystrości ludzkiej: „Trafiłeś, drogi młodzieńcze! To właśnie chodzi o Słownik!“

Czyż mogło być co innego! Kieszenie miał tak pełne tego Słownika, jak głowę. Sterczało to na wszystkie boki. Powiedział mi, że od chwili, gdy się wycofał z pedagogicznych zajęć, praca ta posuwa się naprzód wprost cudownie i że najlepiej właśnie dogadza mu moja propozycja zajęć porannych i wieczornych, gdyż miał zwyczaj za dnia przechadzać się i rozmyślać. W papierach jego zapanowało pewne zamięszanie, oświadczył mi, a to skutkiem tego, że pan Jack Maldon zaproponował mu w ostatnich czasach dorywcze swe usługi, nie jest on jednakże wprawnym w tego rodzaju zajęciu; my to jednakże prędko naprawimy i pójdziemy naprzód — śpiewająco. Później, gdy już pracowaliśmy w najlepsze, przekonałem się, że pomoc pana Maldona okazała się dla mnie kłopotliwszą, niż przypuszczałem, nietylko bowiem porobił moc błędów, ale naszkicował tylu żołnierzy i tyle główek damskich na rękopisie doktora, że często błądzić musiałem w labiryntach niejasności.

Doktór był uszczęśliwiony, że razem nad tem cudownem dziełem będziemy pracować, i postanowił, że mamy zacząć nazajutrz o siódmej rano. Mieliśmy pracować po dwie godziny co rano, a po dwie do trzech co wieczór, z wyjątkiem sobót, bo wtedy miałem odpoczywać. We wszystkie niedziele, naturalnie, miałem także odpoczywać; warunki te wydały mi się bardzo łagodnemi.

Po ułożeniu w ten sposób planów naszych ku obopólnemu zadowoleniu, zaprowadził mnie doktór do domu, by mnie przedstawić pani Strong; zastaliśmy ją w nowym gabinecie doktora, okurzającą książki — nikomu zresztą nie było wolno dotykać się tych ukochanych świętości.

Państwo Strong opóźnili śniadanie ze względu na mnie, a teraz razem zasiedliśmy do stołu. Nie siedzieliśmy długo, gdy na twarzy pani Strong wyczytałem, że ktoś się zbliża, choć jeszcze żaden odgłos nie uprzedził mnie o tem. Konny jeździec podjechał do bramy i zaprowadziwszy konia na podwórko, jakgdyby się czuł zupełnie u siebie, przywiązał

go do haka w ścianie pustej wozowni, poczem wszedł do pokoju ze szpicrutą w ręku. Był to pan Jack Maldon. Indje, pomyślałem, wcale nie wyszły panu Maldon na korzyść. Muszę jednak przypomnieć, że znajdowałem się w nastroju rozpętanej cnotliwości, bezwzględnej na młodych ludzi nie rąbiących drzew w lesie przeciwności; to też odpowiednio należy sądzić moje wrażenie.

„Pan Jack!“ przemówił doktór. „Copperfield!“

Pan Jack Maldon uścisnął mi rękę, ale wydało mi się, że nie nazbyt gorąco i z wyrazem znudzonej protekcjonalności, która mnie bardzo dotknęła. Jednakowoż to jego znudzenie było wprost czemś dziwnem a ustępowało tylko, gdy zwracał się do swej kuzynki Ani.

„Jest pan już po śniadaniu, panie Jack?“ zapytał doktór.

„Ja wogóle rzadko kiedy jadam śniadanie“, odpowiedział z głową wtył odrzuconą w fotelu. „Sądzę, że to nudne“.

„Czy są tam dziś jakie wiadomości?“ pytał znów doktór.

„Żadne“, odpowiedział pan Maldon. „Jest jakieś sprawozdanie o tem, że w północnych okolicach panuje głód i niezadowolenie wśród ludności, ale zawsze są gdzieś tam głodni i niezadowoleni“.

Doktór miał minę poważną i powiedział, jak gdyby chciał zmienić temat: „Zatem niema żadnych wiadomości; a brak wiadomości, powiadają, to dobra wiadomość“.

„Jest w gazetach długie sprawozdanie o jakiemś morderstwie“, dorzucił pan Maldon. „Ale gdzieś kogoś zawsze mordują, nie czytałem więc tego“.

Popisywanie się obojętnością na wszelkie sprawy i uczucia ludzkie nie było jeszcze wtedy, zdaje mi się, taką cechą dystynkcji, za jaką zaczęło być uważane później. Z czasem stało się to bardzo modne. Widziałem eleganckie damy i wytwornych panów, tak znakomicie przybierających te pozory, że możnaby ich uważać za zimnokrwiste płazy. Być może, że wtedy zrobiło to na mnie silniejsze wrażenie, ponieważ było to dla mnie nowe, z pewnością jednak nie podniosło w mojem pojęciu pana Maldona, ani nie utwierdziło mnie w zaufaniu do niego.

„Wpadłem tu, ażeby się zapytać, czy Ania nie chciałaby pójść dziś na operę“, zwrócił się pan Maldon do kuzynki. „To będzie ostatnie dobre przedstawienie w tym sezonie, a występować będzie śpiewaczka, którą istotnie powinnaby posłyszeć. Wprost znakomita. A przytem tak czarująco brzydka“. Tu znowu przybrał pozę znudzenia.

Doktór, rad zawsze wszystkiemu, co mogłoby się podobać młodej jego żonie, zwrócił się do niej i powiedział: „Musisz pójść, Aniu. Musisz".

„Wolałabym nie iść", odpowiedziała mężowi. „Wolę zostać w domu. Stanowczo wolę pozostać w domu".

Nie patrząc na kuzyna, zaczęła mówić do mnie, pytać mnie o Agnieszkę, czy się z nią zobaczy, czy może Agnieszka odwiedzi ją dziś właśnie: a taka była zmięszana, że dziwiłem się, iż nawet doktór, smarując masłem grzanki, mógł nie dojrzeć czegoś, co tak było widoczne.

On jednak niczego nie widział. Powiedział jej, naturalnie a dobrotliwie, że jest młodą, że powinna używać rozrywek i zabaw i nie dawać się zanudzać nudnemu staremu mężowi. A przytem, dodał, chciałby, żeby mu zaśpiewała wszystkie pieśni tej nowej śpiewaczki — a jakże mogłaby dobrze je zaśpiewać, jeżeli nie pójdzie? I doktór tak się uparł, że umówił się w jej imieniu, pan Maldon zaś miał powrócić na obiad. Po omówieniu tej sprawy pan Maldon udał się, jak sądzę, do swego zajęcia; w każdym razie odjechał na swoim koniu z miną bardzo próżniaczą.

Ciekaw byłem dowiedzieć się nazajutrz rano, czy pani Strong poszła na operę. Nie poszła, posłała do Londynu, by odmówić kuzynowi — w poobiednich zaś godzinach wybrała się odwiedzić Agnieszkę i namówiła doktora, żeby poszedł z nią; doktór powiedział mi, że wrócili pieszo polami, ponieważ wieczór był taki miły. Ciekaw też byłem, czy pani Strong byłaby poszła, gdyby nie było Agnieszki w mieście i czy Agnieszka i na nią także wywierała jakiś dobry wpływ!?

Nie wyglądała ona na bardzo szczęśliwą, ale uczciwa była t a twarz, albo też bardzo fałszywa. Często na nią spoglądałem, siadywała bowiem przy oknie przez cały czas, gdyśmy pracowali, i przygotowywała nam śniadanie, które zjadaliśmy dorywczo, nie przerywając roboty. Gdym o dziewiątej odchodził, klęczała na podłodze u nóg doktora, wkładając mu trzewiki i kamasze. Łagodny cień jakichś liści, zwieszających się nad otwartem oknem niskiego pokoju, padał na jej twarz — ja zaś przez całą drogę do mojego urzędu myślałem o owej nocy, gdy widziałem tę twarz, wpatrzoną w niego, zaczytanego...

Porządnie teraz byłem zapracowany; od piątej na nogach, wracałem do domu o dziewiątej albo o dziesiątej. Niezmiernie jednak byłem zadowolony, że tak mocno jestem zajęty i nigdy też nie poruszałem się krokiem powolnym, w zapale moim rozumując, że im więcej się umęczę, tem więcej zdobędę zasługi i stanę się tem godniejszy Dory. Jeszcze też nie ukazałem się Dorze w nowej mojej roli. Ponieważ za kilka dni miała odwiedzić pannę Mills, odkładałem wszystko, co miałem jej powiedzieć, do owej chwili; doniosłem jej tylko w moich listach (korespondowaliśmy potajemnie za pośrednictwem panny Mills), że mam jej wiele do powiedzenia. Tymczasem ograniczyłem się w używaniu pomady i niedźwiedziego tłuszczu, zupełnie zaniechałem pachnących mydeł i wody toaletowej i z wielkiem poświęceniem sprzedałem trzy kamizelki, jako nadto zbytkowne, jak na moją surową obecnie karjerę życiową.

Nie dość mi jednak było na tem wszystkiem; paliła mnie niecierpliwość, by zdziałać coś więcej — poszedłem przeto odwiedzić Traddlesa, który teraz mieszkał na poddaszu w domu przy Castle Street, w dzielnicy Holborn. Pana Dicka, który już dwa razy był ze mną w Highgate i wznowił stosunki swoje z doktorem, zabrałem ze sobą.

Zabrałem zaś ze sobą pana Dicka, gdyż dotkliwie odczuwszy niepowodzenie ciotki i wierząc szczerze, że żaden galernik ani skazaniec na ciężkie roboty tak nie pracuje, jak ja, zaczął się gryść i trapić aż do utraty humoru i apetytu, że sam nic pożytecznego nie robi. W tych warunkach mniej, niż kiedykolwiek, czuł się zdolnym ukończyć swój memorjał, a im więcej się wysilał, tem częściej zjawiała się tam ta nieszczęsna głowa króla Karola Pierwszego. Obawiając się poważnie, by się choroba jego nie wzmogła, jeśli nie potrafimy niewinnym fortelem wzbudzić w nim złudzenia, że jest użytecznym, lub też, (co byłoby jeszcze lepiej) znaleźć sposobu, by mógł się istotnie stać użytecznym — postanowiłem spróbować, czyby Traddles nie mógł nam dopomóc. Zanim poszliśmy, napisałem do Traddlesa, zdając mu obszernie sprawę z wszystkiego, co się zdarzyło, Traddles zaś odpisał mi nader poczciwie, wyrażając mi gorące swe współczucie i przyjaźń.

Zastaliśmy Traddlesa mocno zapracowanego, nad kałamarzem i papierami, ale krzepionego widokiem żardynierki i okrągłego stoliczka w kącie małego pokoiku. Powitał nas serdecznie i w jednej chwili zaprzyjaźnił się z panem Dickem, przyczem pan Dick twierdził z całą pewnością, że już go kiedyś widział, my zaś obaj powiedzieliśmy, że bardzo to możliwe.

Pierwsza sprawa, co do której chciałem się naradzić z Traddlesem, była następująca: słyszałem, że wielu ludzi, którzy się później w różnych kierunkach odznaczyli, zaczynali od pisania sprawozdań z rozpraw parlamentarnych. Ponieważ Traddles wspomniał mi kiedyś o pisaniu do dzienników, jako o jednej ze swoich nadziei, złożyłem przeto jedno z drugiem i powiedziałem w moim liście Traddlesowi, że pragnąłbym się dowiedzieć, jakbym się mógł przygotować do tego zajęcia. Otóż Traddles, po zaciągnięciu informacji, oświadczył mi teraz, że sama mechaniczna umiejętność po-

trzebna ku temu, mianowicie doskonałe i zupełne opanowanie stenografji w pisaniu i czytaniu, jest mniej więcej równie trudne, jak nauczenie się sześciu języków; i że nauczyć jej się można, przy odpowiedniej wytrwałości, w przeciągu może paru lat. Traddles myślał bardzo rozsądnie, że to sprawę załatwia; ja jednakże, czując tylko, że tu oto właśnie będzie kilka potężnych drzew do ścięcia, natychmiast postanowiłem przebić sobie z siekierą w ręku drogę do Dory przez ten gąszcz.

„Bardzo ci jestem wdzięczny, mój drogi!" rzekłem. „Zaczynam od jutra".

Traddles wyglądał zdziwiony, i bardzo słusznie; nie miał jednakże jeszcze pojęcia, w jakim ja znajdowałem się nastroju.

„Kupię książkę", rzekłem, „dobrze pouczającą o tej sztuce; będę nad tem pracował w mojem biurze, gdzie niewiele mam do roboty; dla wprawy będę spisywał mowy w naszym sądzie. Traddlesie, chłopcze kochany, nauczę się tego!"

„Mój Boże", rzekł Traddles, szeroko otwierając oczy, „nie miałem pojęcia Copperfieldzie, żeś ty taki energiczny!"

Skądżeby miał to wiedzieć, skoro i dla mnie samego było to nowością! Pomijając tę uwagę milczeniem, wyciągnąłem na stół sprawę pana Dicka.

„Widzi pan", rzekł pan Dick w zamyśleniu, „gdybym mógł jakoś pracować, panie Traddles... gdybym tak mógł na bębnie, albo na jakieś trąbie..."

Biedaczek! Ani wątpię, że wolałby tego rodzaju zajęcie od każdego innego! Traddles, któryby za nic w świecie nie pozwolił sobie na uśmiech, odpowiedział poważnie: „Ależ pan bardzo ładnie pisze, łaskawy panie. Tyś mi to mówił, Copperfieldzie?"

„Doskonale!" odpowiedziałem. I prawda. Pismo miał niezmiernie staranne i ładne.

„Czy pan nie sądzi, że mógłby pan przepisywać akta, gdybym się o nie dla pana postarał?" zapytał Traddles.

Pan Dick spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

„Jak myślisz, Trotwoodzie?"

Potrząsnąłem głową. Pan Dick także potrząsnął głową i westchnął.

„Powiedz mu o memorjale", rzekł.

Wytłomaczyłem Traddlesowi, że zachodzi trudność w wykluczeniu króla Karola Pierwszego z manuskryptów pana Dicka; on tymczasem z wielkim szacunkiem i powagą wpatrywał się w Traddlesa i ssał wielki palec.

„Ale te akta, pan wie, o których mówię, są już napisane i gotowe", oświadczył Traddles po chwili namysłu. „Pan Dick niema w tem nic do zrobienia. Czyby to nie było coś

zupełnie innego, Copperfieldzie? W każdym razie, czyby nie warto spróbować?"

To wzbudziło w nas nową nadzieję. Traddles i ja, naradziwszy się na boku, podczas gdy pan Dick ze swojego miejsca, niespokojnie na nas spoglądał, ułożyliśmy chytry plan, wedle którego nazajutrz zasadziliśmy go do roboty — z świetnym, jak się okazało, rezultatem.

Na stole przy oknie przy Buckingham Street rozłożyliśmy robotę, którą Traddles dla niego zdobył — chodziło tu o zrobienie, nie pamiętam już, ilu kopji jakiegoś prawnego dokumentu, dotyczącego prawa drogowego — a na drugim stole rozpostarliśmy ostatni niedokończony oryginał sławetnego memorjału. Zaleciliśmy panu Dickowi, że ma przepisywać dokładnie to, co ma przed sobą, ani o włos nie odbiegając od oryginału; a gdy poczuje konieczność zrobienia choć najlżejszej wzmianki o królu Karolu Pierwszym, ma natychmiast przeskoczyć do memorjału. Upomnieliśmy go, by stanowczo tak robił i pozostawiliśmy go pod obserwacją ciotki. Ciotka opowiedziała nam później, że z początku był jak człowiek grający na bębnie i ciągle dzielił uwagę pomiędzy jedno i drugie; że jednak, widząc że go to męczy i miesza, a mając swoje przepisywanie wyraźnie przed oczyma, niebawem zasiadł do niego porządnie i z uwagą, odkładając memorjał do stosowniejszej chwili. Jednem słowem, chociaż bardzo dbaliśmy o to, by go nie przeciążyć pracą i chociaż nie zaczął od poniedziałku — do następnej soboty wieczorem zarobił dziesięć szylingów i dziewięć pensów. Póki życia nie zapomnę, jak chodził po wszystkich sklepach w sąsiedztwie, żeby zamienić ten skarb na półszylingi i jak go przyniósł mojej ciotce, ułożony na tacce w formie serca, ze łzami radości i dumy w oczach. Był jak pod wpływem dobrego czaru od chwili, gdy znalazł pożyteczne zajęcie; a już owego sobotniego wieczora nie było chyba na świecie szczęśliwszej istoty od tej wdzięcznej duszy, uważającej ciotkę moją za najcudowniejszą z kobiet, a mnie za najcudowniejszego młodzieńca.

„Już teraz niema mowy o umieraniu z głodu, Trotwoodzie!" powiedział, ściskając mi rękę w kącie. „Ja będę na nią pracował, mój panie!" I potrząsnął w powietrzu dziesięcioma palcami, jakby to było dziesięć banków.

Już sam nie wiem, który z nas więcej się cieszył, Traddles czy ja.

„To mi", rzekł Traddles, wyciągając list z kieszeni, „zupełnie usunęło z pamięci pana Micawbera".

List (pan Micawber nie pomijał żadnej sposobności do napisania listu) zaadresowany był do mnie „za uprzejmem pośrednictwem pana T. Traddlesa, studjującego prawo". List brzmiał jak następuje

„Mój drogi Copperfieldzie!

Nie jesteś może nieprzygotowany na przyjęcie do wiadomości, że coś się nawinęło. Być może, że wspomniałem Ci kiedyś przy sposobności, że właśnie oczekiwałem tej ewentualności.

Jestem w trakcie przenoszenia się do jednego z miast prowincjonalnych naszej błogosławionej wyspy (którego mieszkańców można określić jako szczęśliwą mieszaninę pierwiastku rolniczego z klerykalnym) w bezpośrednim związku z jednym z uczonych zawodów. Pani Micawber z naszymi latoroślami będzie mi towarzyszyła. Prochy nasze kiedyś, zmieszane ze sobą, znajdą się prawdopodobnie na cmentarzu, należącym do czcigodnej świątyni, która dotyczącej miejscowości zdobyła sławę, sięgającą, czy mogę się tak wyrazić? od Chin aż do Peru.

Żegnając współczesny Babylon, gdzie różne przeszliśmy koleje, ufam, że nie poniósłszy skazy — wraz z panią Micawber nie możemy przed sobą zataić, iż rozstajemy się, może na lata, a może na zawsze, z kimś, kto silnemi węzłami przywiązany był do ołtarza naszego domowego życia, Jeżeli, w wilję takiego rozstania, zechcesz towarzyszyć naszemu wspólnemu przyjacielowi, panu Tomaszowi Traddlesowi do naszego obecnego mieszkania i tam wzajemnie wymienić życzenia, właściwe przy takiej sposobności, wyświadczysz łaskę temu,

który

pozostaje

zawsze Twoim

Wilkins Micawber".

Rad byłem, gdy dowiedziałem się, że pan Micawber otrząsł się ze swego pyłu i prochu i że coś się nakoniec rzeczywiście nawinęło. Dowiadując się od Traddlesa, że zaproszenie odnosi się do tego właśnie wieczora, oświadczyłem gotowość przyjęcia go i razem poszliśmy do mieszkania, które pan Micawber zajmował pod nazwiskiem Mortimera.

Mieszkanie było tak szczupłe, że zastaliśmy bliźnięta, teraz coś ośm czy dziewięć lat liczące, uśpione na rozkładanem łóżku w rodzinnym bawialnym pokoju, gdzie pan Micawber przyrządził, w dzbanku od umywalni, ten miły napój, który mu zdobył sławę. Miałem przyjemność przy tej okazji odnowić znajomość z młodym Micawberem, obiecującym chłopcem lat dwunastu czy trzynastu, obarczonym tym niepokojem w członkach, który nierzadko bywa udziałem młodzieńców jego wieku. Również poznałem znów siostrę jego, pannę Micawber, w której, jak nas objaśnił pan Micawber, „matka jej, jak feniks, odnawiała swoją młodość".

„Mój drogi Copperfieldzie", przemówił pan Micawber, „ty i pan Traddles zastajecie nas u wstępu do wędrówki, darujcie zatem wszelkie drobne niewygody, wynikające z tego położenia".

Obejrzawszy się w czasie, gdym dawał stosowną odpowiedź, zauważyłem, że rzeczy były już spakowane i że ilość pakunków bynajmniej nie była przerażającą. Powinszowałem pani Micawber czekającej ją odmiany.

„Mój drogi panie Copperfield", odpowiedziała, „jestem pewna pańskiego życzliwego uczucia dla naszych spraw. Moja rodzina może to uważać za wygnanie, ale ja jestem żoną i matką i nigdy nie opuszczę pana Micawbera".

Traddles, którego pani Micawber przyzwała spojrzeniem na świadka, potwierdził gorąco.

„Taki", mówiła pani Micawber, „taki przynajmniej jest mój pogląd, mój drogi panie Copperfield i panie Traddles, na zobowiązania, jakie wzięłam na siebie, gdy powtórzyłam nieodwołalne słowa: „ja Emma, biorę sobie ciebie, Wilkinsa". Dopiero wczoraj wieczór odczytałam znów przy świecy ceremonjał przy zawarciu małżeństwa i wniosek, który stąd wyciągnęłam, jest taki, że nigdybym nie mogła opuścić pana Micawbera. I choć mogę się mylić w moim poglądzie na ceremonjał, nigdy jednak tego nie zrobię!"

„Moja droga", rzekł pan Micawber trochę niecierpliwie, „nic mi o tem nie wiadomo, by ktoś czegoś podobnego oczekiwał od ciebie!"

„Rozumiem, mój drogi panie Copperfield", ciągnęła dalej pani Micawber, „że los mnie teraz rzuci między obcych; rozumiem także, że różni członkowie mojej rodziny, do których pan Micawber pisał w sposób jak najdelikatniejszy, oznajmiając im o tym fakcie, pominęli milczeniem odezwanie się pana Micawbera. Istotnie, może jestem przesądna, ale wydaje mi się, że to już takie przeznaczenie pana Micawbera, by na większość listów, jakie pisuje, wogóle nie odbierać odpowiedzi. Z milczenia mojej rodziny wnoszę, że są przeciwni mojemu postanowieniu; ale ja, panie Copperfield, nie dałabym się sprowadzić z drogi obowiązku, nawet przez papę i mamę, gdyby jeszcze żyli".

Odpowiedziałem, że, mojem zdaniem, droga ta prowadzi w właściwym kierunku.

„Może jest to poświęceniem, panie Copperfield", mówiła dalej pani Micawber, „tak zamurować się w mieście katedralnem, ale jeśli jest to poświęceniem z mej strony, to tem więcej ze strony człowieka tak uzdolnionego, jak pan Micawber".

„O! A więc państwo udajecie się do miasta katedralnego?" zapytałem,

Pan Micawber, który nalewał nam wszystkim z dzbanka, odpowiedział: „Do Canterbury. W rzeczywistości, mój drogi Copperfieldzie, wszedłem w umowę, na mocy której jestem zaangażowany i zakontraktowany przez naszego przyjaciela Heepa, by pomagać mu i służyć w charakterze hm... jego zaufanego pomocnika".

Wytrzeszczyłem oczy na pana Micawbera, który ucieszył się bardzo, widząc moje zdziwienie.

„Muszę ci oświadczyć", rzekła z miną urzędową, „że kupiecki sposób myślenia i przezorne rady pani Micawber w znacznej mierze przyczyniły się do tego rezultatu. Rękawica, o której wtedy wspominała przy sposobności pani Micawber, a którą rzuciliśmy w postaci ogłoszenia, została podjętą przez mego przyjaciela, Heepa i doprowadziła do wzajemnego odnowienia znajomości. O moim przyjacielu Heepie, człowieku wybitnej bystrości, pragnę mówić z wszelkim możliwym szacunkiem. Przyjaciel mój Heep właściwej pensji nie oznaczył cyfrą zbyt wysoką, ale zrobił dla mnie bardzo dużo przez wywikłanie mnie z matni pieniężnych trudności, czyniąc to zależnem od wartości moich usług; to też na wartości tych usług opieram moją ufność. Jaką tylko zręczność i inteligencję posiadam", tu pan Micawber chełpliwie wyprostował się z dawną, właściwą sobie dystynkcją, „całą oddaję na usługi przyjaciela mego, Heepa. Jestem już trochę obznajmiony z prawem — broniłem się w cywilnych procesach — i niezwłocznie zabiorę się do studjowania komentarzy jednego z najwybitniejszych angielskich naszych prawników. Sądzę, że nie potrzebuję dodawać, że myślę o sędzim Blackstone".

Te, jakoteż przeważnie i wszystkie inne powiedzenia tego wieczora przerywała raz po raz pani Micawber, odkrywając co chwila to, że młody Micawber siedzi na piętach, to że oburącz trzyma głowę, jakby mu miała odpaść, to że przypadkiem kopie Traddlesa pod stołem lub trze nogą o nogę, albo, że nogi wyciąga na niedozwoloną odległość, lub też, że kładzie się bokiem na stole, pakując włosy pomiędzy szklanki; te i inne jeszcze składał on dowody niepokoju swoich członków, niezgodne z ogólną wygodą towarzystwa, z urazą przyjmując uwagi matki. Co do mnie, siedziałem przez cały czas milcząc, zdumiony tem, co nam pan Micawber objawił i dumając nad tem, co też to ma znaczyć — aż wreszcie pani Micawber zwracając się do mnie, podjęła wątek rozmowy.

„O co ja przedewszystkiem proszę pana Micawbera, mój drogi panie Copperfield, to żeby uważał na to, by, poświęcając się tej podrzędnej gałęzi prawa, nie postawił się poza możnością wzniesienia się ostatecznie na szczeble najwyższe. Jestem przekonana, że pan Micawber, oddając się

zawodowi, tak mu odpowiedniemu dla bujności jego uzdolnień, dla płynności jego wymowy, musi się w nim odznaczyć. Otóż, naprzykład, panie Traddles", mówiła, przybierając niezmiernie mądrą minę, „sędzia, a nawet, powiedzmy, kanclerz. Czy człowiek stawia się poza możnością osiągnięcia tych godności, jeżeli obejmuje taką posadę, jaką przyjął pan Micawber?"

„Moja droga", zauważył pan Micawber, mimoto rzucając pytające spojrzenie także w stronę Traddlesa, „mamy dość czasu przed sobą na rozważanie takich zagadnień".

„Daruj", odpowiedziała, „ale nie! Twoim błędem w życiu jest to, że nie patrzysz naprzód dość daleko. Winieneś to rodzinie swojej, jeżeli już nie sobie, by jednem przenikliwem spojrzeniem sięgnąć aż do najdalszego punktu na horyzoncie, dokąd cię doprowadzić mogą twoje zdolności".

Pan Micawber odkaszlnął i wypił swój poncz z wyrazem najwyższego zadowolenia — wciąż zerkając na Traddlesa, jakgdyby pragnął usłyszeć jego zdanie.

„Otóż, sprawa stoi tak, pani Micawber", rzekł Traddles, delikatnie objaśniając ją o prawdzie, „mam na myśli rzeczywisty, prozaiczny stan rzeczy, pani rozumie..."

„Ja właśnie", odpowiedziała pani Micawber, „mój drogi panie Traddles, pragnę, byśmy mówili o ile możności prozaicznie i rzeczowo o sprawie tak wielkiej wagi".

„...że", mówił Traddles, „ta gałęź prawa, nawet gdyby pan Micawber był skończonym solicytatorem..."

„Otóż to", odpowiedziała pani Micawber. — („Wilkins, zezujesz i nie będziesz mógł oczu ustawić prosto!")

„...niema nic wspólnego z tamtą. Tylko prawnik z doktoratem jest wybieralny na tamte stanowisko, a pan Micawber nie mógłby być dyplomowanym prawnikiem, nie zapisawszy się jako student na kursa prawne na pięć lat".

„Czy ja pana dobrze rozumiem?" odpowiedziała pani Micawber z najbardziej uprzejmą swoją „rzeczową" miną. „Czy mam rozumieć, mój drogi panie Traddles, że po upływie tego czasu pan Micawber byłby wybieralnym na sędziego albo kanclerza?"

„Byłby w y b i e r a l n y m", odpowiedział Traddles, silnie akcentując ten wyraz.

„Dziękuję panu", odpowiedziała pani Micawber. „To mi zupełnie wystarcza. Jeśli tak jest i jeśli pan Micawber nie traci żadnych przywilejów, podejmując się tych obowiązków, obawa moja jest zażegnana. Mówię jako kobieta, tylko z konieczności; ale zawsze byłam tego zdania, że pan Micawber posiada to, co słyszałam, gdy jeszcze mieszkałam w domu, że mój papa nazywał zdrowym sądem. To też mam nadzieję, że pan Micawber wchodzi teraz w dziedzinę gdzie

ten zdrowy sąd będzie się mógł rozwinąć i objąć naczelne stanowisko".

Zdaje mi się w istocie, że pan Micawber już widział siebie, oczyma swego „zdrowego sądu", siedzącego na worku z wełną*). Z lubością przesunął ręką po łysinie i rzekł z pozorami rezygnacji:

„Moja droga, nie uprzedzajmy wyroków losu. Jeśli przeznaczonem mi jest nosić perukę**), jestem przynajmniej zewnętrznie do tego odznaczenia przygotowany. Nie żałuję moich włosów i być może, żem jest ich pozbawiony dla jakiegoś specjalnego celu. Nie wiem. Mam zamiar, mój drogi Copperfieldzie, kształcić mojego syna do karjery kościelnej; nie przeczę, że radbym, ze względu na niego, żeby zaszedł wysoko".

„W karjerze kościelnej?" odpowiedziałem, wciąż powracając w myśli do Uriasza Heep.

„Tak", odpowiedział pan Micawber. „Ma on nadzwyczajny głos i zacznie od śpiewania w chórach. Ponieważ mieszkać będziemy w Canterbury i tam mieć stosunki, da mu to niewątpliwie możność skorzystać z jakiego wakansu w zespole katedralnym".

Tu młody Micawber, woląc to, niż pójście spać, zaśpiewał nam „Oto drwal puka". Po wielu komplementach zapanowała ogólna rozmowa; ponieważ zaś ja zbyt byłem przepełniony mojemi zuchwałemi zamiarami, żeby zmianę moich warunków życiowych móc przemilczeć, przeto opowiedziałem o tem państwu Micawber. Nie umiem wprost wyrazić, jak byli ucieszeni oboje myślą, że ciotka moja popadła w kłopoty — i jak miłymi i przyjacielskimi ich to uczyniło.

Gdy już prawie dochodziliśmy do ostatniej kolejki ponczu, zwróciłem się do Traddlesa i przypomniałem mu, że przecież nie możemy się rozstać, nie złożywszy naszym przyjaciołom życzeń zdrowia, szczęścia i powodzenia w nowym zawodzie. Prosiłem pana Micawbera, aby nam nalał kielichy i wzniosłem toast w należytej formie — ściskając mu rękę poprzez stół i całując panią Micawber na pamiątkę tej ważnej okazji. Traddles naśladował mnie w tym pierwszym szczególe, co do drugiego nie odważył się, nie poczytując się za dostatecznie dawnego przyjaciela.

„Mój drogi Copperfieldzie", przemówił pan Micawber wstając, założywszy oba wielkie palce w odpowiednie kieszenie kamizelki, „towarzysz mojej młodości, jeśli mi wolno tak się wyrazić... i mój wysoce ceniony przyjaciel Traddles, jeśli mam prawo tak go nazwać — niechaj pozwolą mi, w imie-

*) Wollsack — poduszka z wełną, na której w Izbie Lordów siedzi Lord-kanclerz.

**) Sędziowską.

niu pani Micawber, mojej i latorośli naszych, podziękować sobie w najgorętszych i najszczerszych wyrazach za uprzejme ich życzenia. Należałoby się spodziewać, że w przededniu wędrówki, mającej nas zaprowadzić na miejsce zupełnie nowego bytowania", pan Micawber mówił, jak gdyby oddalali się o jakieś pięćset tysięcy mil, „ofiaruję parę pożegnalnych uwag dwom takim przyjacielom, jak ci dwaj przede mną. Jednakże wszystko, co miałem do powiedzenia w tej mierze, już powiedziałem. Jakiekolwiek w świecie stanowisko osiągnę w uczonym zawodzie, którego mam zostać niegodnym członkiem, będę usiłował stać się go godnym, a pani Micawber z pewnością je przyozdobi. Pod chwilowym naciskiem zobowiązań pieniężnych, zaciągniętych w nadziei szybkiego ich uregulowania, ale nieuregulowanych skutkiem zbiegu okoliczności, byłem zmuszony uciec się do przebrania, przed czem mój wrodzony instynkt się wzbrania — mam tu na myśli okulary — i przyjąłem nazwisko, do którego prawnej pretensji mieć nie mogłem. Wszystko, co w tym względzie mam do powiedzenia, to że chmura zeszła z posępnej scenerji i bożek dnia wzbił się znów ponad szczyty gór. W przyszły poniedziałek o czwartej, gdy z przybyciem poobiedniej poczty do Canterbury, noga moja stanie na ojczystym gruncie — nazwiskiem mem będzie Micawber!"

Po tych słowach pan Micawber zasiadł na swojem miejscu i z powagą wypił dwie szklanki ponczu, jedną po drugiej. A wtedy przemówił uroczyście: „Jedno jeszcze muszę uczynić zanim to rozstanie stanie się faktem, a mianowicie spełnić akt sprawiedliwości. Przyjaciel mój, pan Tomasz Traddles, dwa razy dla dogodzenia mi przy sposobności „dał swój podpis", że użyję zwykłego wyrażenia na dwóch wekslach. Za pierwszym razem pan Tomasz Traddles wpadł — że się tak pokrótce wyrażę. Termin drugiego weksla jeszcze nie zapadł. Pierwszy dług wynosi", tu pan Micawber zaczął starannie przeglądać zapiski, „zdaje mi się dwadzieściatrzy funty, cztery szylingi i dziewięć i pół pensa; drugi, zgodnie z moją notatką, ośmnaście, sześć i dwa. Te sumy łącznie, o ile dobrze kalkuluję, wynoszą czterdzieści jeden funtów, dziesięć szylingów i jedenaście i pół pensa. Mój przyjaciel Copperfield może zechce łaskawie sprawdzić rachunek?"

Sprawdziłem go i stwierdziłem, że niema pomyłki.

„Opuścić stolicę i przyjaciela mojego, pana Tomasza Traddlesa", mówił pan Micawber, „i nie wywiązać się z tego pieniężnego zobowiązania, to ciążyłoby mi nieznośnie na sercu. Dla tego przygotowałem dla mego przyjaciela Tomasza Traddlesa i oto trzymam w ręku dokument, prowadzący do tego upragnionego celu. Oto niniejszem wręczam przy-

przyjacielowi memu, panu Tomaszowi Traddlesowi, mój rewers na czterdzieści jeden, dziesięć, jedenaście i pół i szczęśliwy jestem, że odzyskuję moją godność moralną i że wiem, iż mogę znowu chodzić wśród moich bliźnych z podniesionem czołem!“

Po tym wstępie (który go silnie wzruszył), pan Micawber złożył swój rewers w ręce Traddlesa i oświadczył, że życzy mu wszystkiego dobrego i powodzenia. Jestem przekonany, że nietylko dla pana Micawbera równało się to zupełnie zapłaceniu samych pieniędzy, ale że sam Traddles nie widział w tem prawie różnicy, dopóki się nad tem po czasie nie zastanowił.

Pan Micawber chadzał z tak podniesionem czołem wśród swoich bliźnich po spełnieniu tego cnotliwego czynu, że pierś jego wyglądała dwa razy szerzej, gdy nas ze światłem sprowadzał po schodach. Pożegnaliśmy się z obustronną wielką serdecznością, ja zaś, odprowadziwszy Traddlesa do jego mieszkania i idąc do domu pomyślałem — dumając nad tem i nad innemi dziwnemi a sprzecznemi sprawami — że, jakkolwiek lekkomyślnym był pan Micawber, widocznie jednak zawdzięczałem to jakimś współczującym wspomnieniom jego o mnie, tym niegdyś dziecięcym lokatorze, że nigdy mnie nie prosił o pieniądze. Z pewnością nie miałbym nigdy cywilnej odwagi odmówić mu, ani też nie wątpię, że on wiedział o tem (niech mu to idzie na chwałę) równie dobrze jak ja sam.

Rozdział trzydziesty siódmy.

Trochę zimnej wody.

Nowe moje życie trwało już więcej jak od tygodnia, ja zaś więcej niż kiedy trwałem w tych moich surowych postanowieniach, które w tem położeniu uważałem za konieczne. W dalszym ciągu chodziłem bardzo szybko i miałem ogólne wrażenie, że posuwam się naprzód. Zrobiłem z tego zasadę, że należy wydobyć ze siebie co się da, robiąc każdą rzecz do jakiej zaprzęgłem swoją energię. Robiłem ze siebie wprost ofiarę. Chodziło mi nawet po głowie, by przejść na wegetarjańską dietę, w jakiemś niejasnem poczuciu, że stając się tworem roślinożernym, czyniłbym przez to ofiarę dla Dory.

Jak dotąd, moja maleńka Dora nic jeszcze nie wiedziała o mojej stanowczości i męstwie, chyba jedynie tyle, że listy moje posępnie coś zapowiadały. Jednakże następna sobota nadeszła, a w tę sobotę wieczorem miała być u panny Mills; skoro zaś pan Mills pójdzie do klubu na wista (o czem na ulicy miała mnie uprzedzić klatka, zawieszona w środkowem oknie salonu), ja miałem pójść tam na herbatę.

Do tego czasu urządziliśmy się już zupełnie na Buckingham Street, gdzie pan Dick w bezwzględnej szczęśliwości w dalszym ciągu przepisywał akta. Ciotka moja odniosła walne zwycięstwo nad panią Crupp, odprawiwszy ją, wyrzuciwszy pierwszą konewkę, postawioną na schodach, przez okno i opiekując się osobiście — to jest sprowadzając ze schodów i wprowadzając na schody — posługaczkę, przyjętą z poza domu. Te stanowcze kroki takiem przerażeniem napełniły pierś pani Crupp, że schroniła się do własnej kuchni pod wrażeniem, że moja ciotka zwarjowała. Ponieważ ciotka moja była najzupełniej obojętna na opinję pani Crupp, i czyjąkolwiek wogóle, i raczej podsycała w niej to wrażenie zamiast mu przeciwdziałać — pani Crupp, niedawno tak odważna, po kilku dniach stała się tak lękliwą, że, byle nie spotkać ciotki mej na schodach, ukrywała obfitą swą postać za drzwiami — przyczem zawsze wyglądał kawał flanelowej spódnicy — lub wciskała się w ciemne kąciki. Sprawiało to ciotce mojej tak niesłychane zadowolenie, że zdaje mi się, iż umyślnie i z przyjemnością kręciła się tam i z powrotem po sieni i schodach, z kapeluszem przekrzywionym na czubku głowy, i to w tych porach właśnie, gdy można się było natknąć na panią Crupp.

Ciotka, niezmiernie porządna i pomysłowa, tyle drobnych ulepszeń wprowadziła w naszem gospodarstwie, że zdawało mi się, iż jestem bogatszy, a nie uboższy. Między innemi zamieniła śpiżarnię na gabinet toaletowy dla mnie, a także kupiła i ozdobiła dla mnie rozkładane łóżko, które za dnia udawało z powodzeniem szafkę do książek. Byłem przedmiotem bezustannej jej troskliwości — a własna biedna matka moja nie mogłaby kochać mnie więcej i dbać więcej o to, czem mnie uszczęśliwić.

Peggotty czuła się uszczęśliwioną, że wolno jej było brać udział w tych staraniach; a chociaż zostało w niej zawsze coś z tego dawnego lęku przed ciotką, jednak tyle odbierała dowodów zaufania i zachęty, że były ze sobą w najlepszej przyjaźni. Nadszedł jednakże czas (mówię tu o tej sobocie, gdy miałem pójść na herbatę do panny Mills), kiedy już koniecznie trzeba jej było wracać do domu i zaopiekować się, jak przyrzekła, Hamem.

„A więc do widzenia, Barkis“, powiedziała do niej ciotka, „a uważaj na siebie! Doprawdy, nigdy nie byłabym przypuszczała, że będzie mi żal rozstawać się z tobą!“

Odprowadziłem Peggotty do urzędu pocztowego i pożegnałem odjeżdżającą. Płakała przy pożegnaniu i polecała brata mojemu sercu, tak jak to i Ham uczynił. Nic o nim odtąd nie słyszeliśmy, odkąd odszedł w to słoneczne popołudnie.

„A teraz mój kochany, jedyny Dawidku", rzekła Peggotty, „jeżelibyś potrzebował pieniędzy, dopóki terminujesz, albo też gdybyś, gdy się wyzwolisz, potrzebował pieniędzy na urządzenie się (a musi się stać jedno albo drugie, albo i jedno i drugie, moje kochanie), któż ma takie prawo prosić, byś od niego chciał pożyczyć, jak ja, niemądra stara, a zawsze wierna twej matusi, słodkiej mojej panience!"

Nie byłem tak surowo dumny, by dać inną odpowiedź jak tylko, że gdybym wogóle od kogo miał pożyczać, to tylko pożyczyłbym od niej. Niczem nie mogłem Peggotty sprawić większej uciechy, chyba gdybym był na miejscu przyjął większą sumę.

„I jeszcze, mój drogi!" szepnęła, „powiedz temu ślicznemu aniołkowi, że tak byłabym pragnęła ją zobaczyć, choćby przez chwileczkę! I powiedz jej, że zanim pójdzie za mojego chłopca, ja przyjadę i tak pięknie wystroję wasz dom — jeśli mi tylko pozwolicie!"

Zapewniłem ją, że nikt inny tego się nie tknie, a to ją tak uradowało, że odjechała pełna dobrej myśli.

Wymęczyłem się, ile tylko mogłem, w moim urzędzie na różne sposoby, a o oznaczonej godzinie wieczorem udałem się na ulicę, gdzie mieszkała panna Mills. Pan Mills, okropny człowiek, który zawsze sypiał po obiedzie, nie wyszedł był jeszcze z domu i w środkowem oknie nie było jeszcze klatki.

Kazał mi czekać tak długo, że gorąco pragnąłem, by go klub ukarał grzywną za spóźnienie. Wyszedł nareszcie, a wtedy zobaczyłem, że jedyna moja Dora zawiesza klatkę i wygląda z balkonu, czy jestem, a zobaczywszy mnie, znowu wbiega, gdy tymczasem Jip pozostaje na balkonie i szczeka napastliwie na ogromnego rzeźnickiego psa na ulicy, który mógłby go był połknąć gładko jak pigułkę.

Dora wyszła do drzwi salonu naprzeciw mnie, a Jip wbiegł, zataczając się od szczekania, jak gdyby myślał, że jestem bandytą; zaraz też weszliśmy wszyscy troje, tacy szczęśliwi i kochający, jak tylko być może. Niebawem wszakże wmieszałem piołun do kielicha naszej radości — nie miałem tego zamiaru, ale taki przejęty byłem moim przedmiotem! — Zapytałem bowiem Dory, bez najmniejszego przygotowania, czy mogłaby kochać żebraka?

Moja śliczna, mała, przestraszona Dora! Pojęcie to istniało dla niej tylko w połączeniu z żółtą twarzą w szlafmycy, albo parą kul, albo drewnianą nogą, albo z psem z miseczką w pysku, lub też z czemś w tym rodzaju; to też wytrzeszczyła na mnie oczy w uroczem zadziwieniu.

„Jak możesz pytać mnie o coś tak niemądrego?" odpowiedziała z nadąsaną minką. „Kochać żebraka!"

„Doro, moja jedyna, najdroższa!" odpowiedziałem. „Ja jestem żebrakiem!"

„Jak możesz być taki niemądry", odpowiedziała Dora, dając mi klapsa, „żeby mi opowiadać takie bajki? Każę Jipowi, żeby cię ugryzł!"

Dziecinny jej tonik był dla mnie najmilszym w świecie, ale należało mówić wyraźnie, to też powtórzyłem uroczyście: „Doro, życie moje, ja, twój Dawid, jestem zrujnowany!"

„Mówię ci, że każę Jipowi, żeby cię ugryzł, jeżeli będziesz taki śmieszny!" powiedziała Dora, potrząsając loczkami.

Miałem jednak tak poważną minę, że Dora przestała potrząsać loczkami, drżącą rączkę położyła mi na ramieniu i najpierw wyglądała zmartwiona i przestraszona a potem zaczęła płakać. To było okropne. Padłem na kolana przed kanapą, pieściłem ją, błagałem, by mi nie rozdzierała serca, ale przez jakiś czas biedna mała Dora wołała tylko: „O Boże! O Boże!" I „och! tak się przestraszyłam!" I „gdzie się podziała Julja Mills?" I „och, proszę, zaprowadź mnie do Julji Mills i idź sobie, proszę!" Aż wreszcie straciłem głowę.

Wreszcie po nieskończonych błaganiach i zaklęciach zyskałem tyle, że Dora spojrzała na mnie z przerażonym wyrazem na twarzy, który stopniowo ukoiłem, aż stał się tylko kochającym i aż delikatne ładne jej liczko oparło się o moją twarz. Wtedy powiedziałem jej, tuląc ją w ramionach, jak bardzo ją kocham i jak serdecznie, że uważam jednak za słuszne zaproponować jej zwrócenie słowa, ponieważ teraz jestem biedny, ale że nigdybym tego nie mógł znieść ani przeboleć, gdybym ją stracił; że nie lękam się ubóstwa, jeżeli ona się go nie lęka, gdyż ramię moje jest silne, a serce natchnione przez nią, że już teraz pracuję z odwagą, do jakiej tylko kochający może być zdolnym, że zacząłem być praktycznym i myśleć o przyszłości, że kromka dobrze zapracowanego chleba słodszą jest, niż odziedziczone biesiady. I wiele więcej jeszcze powiedziałem jej w tym sensie, a wygłosiłem to w wylewie namiętnej wymowy, wprost zadziwiającej dla mnie samego, jakkolwiek myślałem o tem dniem i nocą, odkąd mi ciotka sprawiła niespodziankę.

„Czy twoje serce zawsze jeszcze do mnie należy, Doro droga moja?" zapytałem w uniesieniu, gdyż czując, jak się do mnie tuli, wiedziałem, że tak jest.

„O tak!" zawołała Dora. „O tak, całe jest twoje. Och, nie bądź niegodziwy!"

Ja niegodziwy! Dla Dory!

„Nie mów o tem, że jesteś biedny i o ciężkiej pracy!" mówiła Dora, tuląc się do mnie bliżej. „O nie! O nie!"

„Kochanie najdroższe", rzekłem, „kromka dobrze zapracowanego..."

„Tak, tak; ale ja nie chcę więcej słyszeć o kromkach!" oświadczyła Dora. „I Jip musi mieć kotlet barani codzień o dwunastej, inaczejby umarł!"

Oczarowany byłem jej dziecinnym, wdzięcznym tonikiem. Czule wytłumaczyłem Dorze, że Jip będzie miał zawsze swój kotlet barani, regularnie, tak jak przywykł. Wymalowałem jej obraz naszego skromnego gospodarstwa, niezależnego dzięki mej pracy — użyłem w tym celu tego małego domku, który widziałem w Hinghgate z ciotką moją w pokoju na górze.

„I cóż, czy jestem i teraz niegodziwy, Doro?" zapytałem czule.

„O, nie! nie!" zawołała Dora. „Tylko, że ja mam nadzieję, iż ciotka twoja będzie dużo przesiadywała w swoim pokoju! I że to nie jest marudna staruszka!"

Może nigdy nie kochałem Dory więcej, jak w tej chwili. Ale uczułem, że przecież trochę trudno z nią sobie poradzić. Ochłodziło to trochę świeży mój zapał, gdym przekonał się, że tak trudno zapał ten jej udzielić. Spróbowałem jeszcze raz. Gdy już przyszła zupełnie do siebie i zaczęła nawijać na palce uszy Jipa, leżącego u niej na kolanach, spoważniałem i rzekłem: „Moja jedyna! Czy mogę o czemś wspomnieć?"

„O proszę cię, nie bądź praktyczny!" rzekła Dora przymilając się. „Bo mnie to tak przestrasza!"

„Serce najmilsze!" odpowiedziałem; „nie masz się czem przerażać. Chciałbym, żebyś o tem zupełnie inaczej myślała. Chciałbym, żeby ci to dodało siły i porwało cię, Doro!"

„Ach, kiedy to takie przykre!" zawołała Dora.

„Kochanie moje, wcale nie. Wytrwałość i siła charakteru pozwolą nam znieść wiele gorsze rzeczy."

„Ależ ja nie mam żadnej siły", odpowiedziała Dora, potrząsając loczkami. „Powiedz, Jip, prawda? O, pocałuj Jipa i bądź miły!"

Nie można było nie pocałować Jipa, gdy mi go tak podawała, własne swe różowe usteczka układając w dziób, i gdy reżyserowała ten ceremonjał, z żądaniem, by zostało to spełnione semetrycznie, w samym środku nosa. Zrobiłem, jak mi kazała — sięgając potem po nagrodę za moje posłuszeństwo — i tak wywabiła mnie z poważniejszego nastroju na nie wiem jak długo.

„Ależ Doro, moja ukochana!" rzekłem, nareszcie odzyskując ton poważny; „chciałem ci o czemś tylko wspomnieć".

Sam sędzia Sądu Spadkowego zakochałby się w niej, widząc jak składała rączki i podnosiła je, prosząc i błagając, bym już nie był niegodziwym.

„Nie będę, naprawdę, nie będę kochanie!" zapewniałem. „Ale Doro, ukochana, gdybyś ty zechciała czasem pomyśleć... nie ze smutkiem, ty wiesz; wcale nie!... ale gdybyś zechciała czasem pomyśleć... tyle, żeby sobie dodać odwagi... że jesteś zaręczona z człowiekiem biednym..."

„Nie mów! Nie mów! Proszę cię, nie mów!" wołała Dora. „To takie okropne!"

„Duszko moja, ani trochę!" odpowiedziałem wesoło. „Gdybyś czasem o tem pomyślała, przyjrzała się od czasu do czasu gospodarstwu w domu twojego papy i starała się trochę zaznajomić... z rachunkami naprzykład..."

Biedna mała Dora przyjęła tę propozycję czemś, co było przez pół szlochem, przez pół krzykiem.

„...toby było dla nas później tak użyteczne", ciągnąłem dalej. „I gdybyś mi chciała przyrzec, że będziesz trochę czytała... troszeczkę... taką książkę kucharską, którąbym ci przysłał; byłoby to dla nas obojga tak dobrze! Gdyż ścieżka życia naszego, moja Doro", mówiłem dalej, rozgrzewając się tym tematem, „kamienistą jest na razie i chropawą a naszem zadaniem jest wygładzić ją. Musimy wywalczyć sobie drogę wzwyż. Musimy być dzielnymi. Są przeszkody, napotkamy je, ale musimy im stawić czoło i zwalczyć je!"

Byłbym tak perorował dalej, z zaciśniętą pięścią, z pełną zapału twarzą — ale nie potrzebowałem mówić dalej. Powiedziałem dosyć. Znów zrobiłem to samo. Och, jakżeż się ona przestraszyła! „O, gdzież jest Julja Mills!" „O, proszę, zaprowadź mnie do Julji Mills i idź sobie, proszę!..." Tak że, krótko mówiąc, straciłem kompletnie głowę i zacząłem, jak szalony, biegać po salonie.

Myślałem, że ją tym razem zabiłem. Obryzgałem twarz jej wodą. Padłem przed nią na kolana. Wyrywałem sobie włosy. Oskarżałem siebie, że jestem brutalem bez sumienia, bezwzględnym łotrem. Błagałem ją o przebaczenie. Zaklinałem, by spojrzała na mnie. Koszyczek z robotą panny Mills przewróciłem do góry nogami szukając flakonu z trzeźwiącemi solami a dając jej zamiast niego do powąchania igielnik, wysypałem wszystkie igły na Dorę. Wygrażałem pięściami Jipowi, który tak samo szalał, jak ja. Popełniałem tysiące nonsensów i zupełnie odchodziłem od zmysłów, gdy panna Mills weszła do pokoju.

„Któż to zrobił?" zawołała panna Mills, spiesząc na pomoc przyjaciółce.

„Ja, panno Mills!" odpowiedziałem. „Ja to zrobiłem! We mnie niech pani widzi zbrodniarza!"

To powiedziawszy, czy coś podobnego, ukryłem twarz przed światłem w poduszce kanapy.

Z początku panna Mills myślała, że to sprzeczka i że zaczęliśmy zbaczać ku „pustyni Sahary". Wkrótce jednak zmiarkowała, jak rzeczy stoją, gdyż moja droga, serdeczna, maleńka Dora, ściskając ją, zaczęła wołać, że ja jestem „biedny wyrobnik"; a potem płakała nade mną, i uściskała mnie i zapytała, czy pozwolę, żeby mi dała wszystkie swoje pieniądze, wkońcu zaś objęła pannę Mills za szyję, łkając, jak gdyby czułe jej serduszko miało pęknąć.

Widocznie przeznaczonem już było pannie Mills być naszą opatrznością. Zrozumiała z kilku moich słów, o co właściwie chodziło, pocieszyła Dorę i przekonała ją powoli, że nie jestem żadnym wyrobnikiem — ze słów moich bowiem, zdaje się, Dora wywnioskowała, że jestem tragarzem portowym i przez dzień cały chodzę po chwiejącej desce, dźwigając ciężary. W ten sposób panna Mills uspokoiła nas i pojednała. Gdy się już zupełnie uspokoiliśmy, a Dora poszła na górę, by oczy przemyć wodą różaną, panna Mills zadzwoniła i kazała podać herbatę. W międzyczasie oświadczyłem pannie Mills, że jest na wieki moją przyjaciółką i że póki serca bicia nie zapomnę jej współczucia dla mnie.

Następnie wyłożyłem pannie Mills to samo, co z tak nieudanem powodzeniem starałem się wyłożyć Dorze. Panna Mills odpowiedziała mi zasadniczo, że chatka przy zadowoleniu lepszą jest, niż pałac zimnych okazałości, i że gdzie jest miłość, tam jest wszystko.

Odpowiedziałem pannie Mills, że to prawda i że któż to lepiej wiedzieć może ode mnie, który kocham Dorę miłością, jakiej żaden śmiertelnik nigdy jeszcze nie zaznał? Gdy jednak panna Mills zauważyła smętnie, że dobrzeby było dla niektórych serc, gdyby tak było istotnie, dodałem, że pozwalam sobie ograniczyć uwagę moją do śmiertelników męskiego rodzaju.

Następnie zapytałem pannę Mills, czy uważa, że jest jaka praktyczna wartość w tych radach, które starałem się podać — mianowicie co do rachunków, gospodarstwa i kucharskiej książki?

Panna Mills, pomyślawszy trochę, odpowiedziała mi tak: „Panie Copperfield, będę z panem szczera. Moralne cierpienia i walki niektórych natur zastępują lata, a ja będę mówić z panem szczerze, jak stara przeorysza. Nie. Te rady nie są stosowne dla naszej Dory. Nasza najdroższa Dora to wypieszczona wybranka natury. To twór świetlany, powietrzny, radosny. Śmiało przyznaję, że gdyby to można było zrobić, byłoby dobrze, ale..." I panna Mills potrząsnęła głową.

To końcowe zastrzeżenie ze strony panny Mills dodało mi odwagi, by zapytać ją, czy, gdyby miała sposobność dla dobra Dory skierować jej uwagę na takie przygotowanie do poważnego życia, czy skorzystałaby z takich sposobności? Panna Mills odpowiedziała twierdząco i tak chętnie, że zapytałem ją dalej, czy mógłbym jej powierzyć książkę kucharską i czy zechciałaby, nie przestraszając Dory, skłonić ją do przyjęcia jej? Czy godziłaby się na oddanie mi tej najwyższej przysługi? Panna Mills i ten mandat przyjęła, ale bez zbytniego zapału.

Tymczasem Dora wróciła, a tak prześlicznie wyglądało to drobne stworzonko, że sam zacząłem wątpić, czy godzi się niepokoić ją czemś tak pospolitem. I tak była kochająca i taka urocza (zwłaszcza gdy kazała Jipowi stanąć na tylnych łapkach i prosić o grzankę — a gdy pies nie chciał, udawała, że mu przytyka za karę pyszczek do gorącego imbryczka), że na wspomnienie, jak ją wystraszyłem i wywołałem jej łzy, czułem się jakimś potworem, co zakradł się do królestwa wróżki, i znęcał się nad nią.

Po herbacie przyszła kolej na gitarę; i znów Dora śpiewała te same miłe stare francuskie piosenki, głosząc, że nigdy i za nic tańczyć nie przestanie, La la la, La la la — a wtedy poczułem się jeszcze większym potworem jak pierwej.

Jeden jeszcze tylko cień padł na nasz rozkoszny nastrój, a zdarzyło się to na chwilę przedtem, zanim się pożegnałem; gdy bowiem panna Mills przypadkiem wspomniała coś o jutrze, ja niefortunnie wyrwałem się z tem, że mając dużo zajęcia, wstaję teraz o godzinie piątej. Czy Dora sobie wyobraziła, że jestem stróżem, czy co, nie umiałbym powiedzieć; w każdym razie zrobiło to na niej wielkie wrażenie i już ani nie grała ani nie śpiewała więcej.

Musiało jej to jeszcze leżeć na sercu, gdy się żegnałem gdyż swoim miluchnym, żartobliwym tonikiem — jakgdyby przemawiała do lalki — powiedziała do mnie: „No, ale tylko nie wstawaj o piątej, ty brzydki chłopczyku! To niema sensu!"

„Kochanie", odpowiedziałem, „mam wiele do roboty!"

„No to nie rób!" odrzekła. „Poco masz robić?"

Nie można było tłumaczyć temu słodkiemu, zdziwionemu buziakowi inaczej, jak tylko lekko i żartobliwie, że trzeba pracować na to, by żyć.

„Och! Jakie to zabawne!" zawołała Dora.

„Jakżeżbyśmy bez tego żyć mogli, Doro!" rzekłem.

„Jak? Ano jakoś!" odpowiedziała.

Zdawało się jej widocznie, że rozwiązała kwestję i tak mię triumfalnie pocałowała, serdecznie a niewinnie, że za żadne skarby świata nie byłbym jej pozbawił zadowolenia z tej odpowiedzi.

Prawda! Kochałem ją, i kochałem ją też i dalej równie pełnem, pochłaniającem mnie, wyłącznem uczuciem. Ale pracując dalej równie gorąco a różnostronnie, nieraz siadywałem też wieczorami naprzeciw ciotki i rozmyślałem nad tem, jakto wówczas wystraszyłem Dorę i jakby to można najlepiej dźwigając tylko pudło z gitarą, przedrzeć się przez las trudności... i tak myślałem, że od tego myślenia zdawało mi się czasem, że głowa mi siwieje.

Rozdział trzydziesty ósmy.

Rozwiązanie spółki.

Nie ochłodłem w mojem postanowieniu, dotyczącem obrad parlamentarnych. Było to żelazo, które najbardziej kułem na gorąco, z wytrwałością naprawdę godną podziwu. Kupiłem zachwalany podręcznik szlachetnej a tajemniczej sztuki stenografji (kosztował mnie dziewięć i pół szylinga) i zanużyłem się w taką toń powikłań, że po paru tygodniach doszedłem prawie do granic obłędu. Rozmaitość znaczenia kropek, które, tak umieszczone, znaczyły jedno, znowu inaczej coś wręcz odmiennego, zadziwiające kaprysy kółek, nieobliczalne następstwa zdziałane znaczkami, podobnemi do nóg muchy, złowieszcze następstwa linji, zagiętej w niewłaściwą stronę — wszystko to niepoiło mnie nietylko na jawie, ale jawiło mi się i we śnie. Gdy omackiem zdołałem wywikłać się z tych trudności i opanować alfabet, który sam przez się jest już jakąś egipską świątynią, stanął przede mną korowód nowych okropieństw, nazwanych znakami samodzielnemi; a despotyczne były to znaki, które naprzykład nakazywały, by coś, co wyglądało jak początek pajęczyny, oznaczało „oczekiwanie“, zaś zygzak, jak strzelająca w górę rakieta, wyrażał „niekorzystny“. Gdy tych niegodziwców wbiłem sobie w głowę, przekonałem się, że tymczasem wszystko inne z niej uleciało; wtedy, zaczynając znów od początku, tamto drugie zapomniałem, a zbierając jedno, gubiłem inne cząstki systemu; jednem słowem, była to niemal beznadziejna robota.

Byłaby też zupełnie beznadziejną, gdyby nie Dora, która była przystanią i kotwicą mojej burzą miotanej łodzi. Każda kreska w podręczniku, był to jeden sękaty dąb w lesie przeciwności, a ja ścinałem je, jeden po drugim z taką mocą, że w jakieś trzy czy cztery miesiące poczułem się na siłach zrobić próbę na jednym z kwiecistych mówców naszego urzędu. Czy ja to kiedy zapomnę, jak kwiecisty mówca uciekł mi, zanim zacząłem, zostawiając za sobą głupi mój ołówek, drgający po papierze, jakgdyby dostał kurczów!

Nie dało się, było to widoczne. Za daleko sięgałem i w ten sposób nigdybym się nie posunął. Udałem się do Traddlesa po radę; ten zaproponował mi, że będzie mi dyktował mowy powoli, raz po raz przystając, stosownie do mojej nieudolności. Wdzięczny bardzo za tę przyjacielską pomoc, przyjąłem jego propozycję i odtąd wieczorami, nieledwie co wieczór przez dłuższy czas po moim powrocie od doktora urządzaliśmy na Buckingsham Street prywatny parlament.

Chciałbym widzieć taki parlament gdziekolwiek indziej! Ciotka moja i pan Dick reprezentowali rząd albo opozycję (jak w danym razie wypadało), a Traddles z pomocą tomu mów parlamentarnych, grzmiał przeciw nim zadziwiającemi zarzutami. Stojąc przy stole, z palcem na stronicy, żeby się nie zgubić, a prawą ręką wywijając nad głową, Traddles w roli Pitta, Foxa, Sheridana, Burkego, lorda Castlereagn albo Canninga podniecał się do gwałtownego uniesienia i ciskał miażdżące oskarżenia o niegodziwość i korupcję na ciotkę i pana Dicka. Ja tymczasem, siedząc opodal z zeszytem na kolanach, pędziłem za nim co sił i co tchu. Żaden prawdziwy polityk nie przewyższył Traddlesa w niekonsekwencji i zuchwalstwie. W ciągu tygodnia próbował wszelkich stanowisk w polityce, wszelkie barwy przypinając do różnych sztandarów. Ciotka moja, bardzo podobna do niewzruszonego ministra skarbu, raz po raz przerywała jakimś wykrzyknikiem, jako to: „Słuchajcie! Słuchajcie!“, lub „Nie!“, albo „Och!“, gdy tekst zdawał się tego wymagać, co naturalnie było sygnałem dla pana Dicka, (skończonego gentlemana ze wsi), by żwawo powtórzyć ten sam okrzyk. Jednakże pan Dick w biegu swej parlamentarnej karjery bywał oskarżony o takie rzeczy, czyniono go odpowiedzialnym za tak okropne następstwa, że niekiedy naprawdę czuł się nieswojo. Myślę, że w istocie zaczął się lękać, czy czasem naprawdę nie uczynił czegoś takiego, co prowadziło do zguby Brytyjskiego Imperium i do ruiny kraju.

Często, o często przeciągaliśmy te debaty, aż zegar wskazywał dwunastą i świece się wypalały. Rezultat tak dobrych i obfitych ćwiczeń był ten, że stopniowo dość dobrze zaczynałem zdążać za Traddlesem i że byłbym wprost triumfował, gdybym miał choćby najmniejsze pojęcie o tem, co było w moich notatkach. Jednakże odczytać je, raz je napisawszy, było to dla mnie tem samem, co chcieć odczytać chińskie napisy na skrzyniach od herbaty albo złote litery na wielkich czerwonych i zielonych butlach w oknach drogistów.

Nie było innej rady, trzeba było wracać i znów rozpocząć wszystko od początku. Ciężko to było, ale zawróciłem, choć z nielekkiem sercem, i zacząłem pracowicie a systema-

tycznie przez te same nudne tereny kroczyć żółwim krokiem — zatrzymując się, by dokładnie obejrzeć każdy punkcik ze wszystkich stron i rozpaczliwie usiłując te nikłe znaki poznać odrazu, gdziekolwiek je ujrzę. A zawsze punktualnie stawiałem się w biurze, również i u doktora: rzeczywiście, pracowałem, pospolicie się wyrażając, jak wół.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle, udałem się do mojego urzędu, zastałem we drzwiach pana Spenlowa. Był niezmiernie poważny i mówił sam do siebie. Ponieważ często skarżył się na bóle głowy — miał z natury krótką szyję i doprawdy sądzę, że nosił zbyt krochmalne kołnierzyki — pomyślałem w pierwszej chwili z przestrachem, że tam u niego w głowie jest coś nie w porządku; uspokoił mnie jednak niebawem.

Zamiast odpowiedzieć na moje „dzień dobry" ze zwykłą sobie uprzejmością, popatrzył na mnie w sposób zimny i ceremonjalny i krótko poprosił mnie, bym mu towarzyszył do pewnej kawiarni, która w owym czasie miała drzwi, wychodzące na podwórzec sądowy. Usłuchałem, czując się bardzo nieswojo; jakieś ciepłe prądy przebiegały mi po skórze, jak gdyby lęki moje wysypywały się krostami. Gdy puściłem go nieco naprzód, ze względu na wąskość przejścia, zauważyłem, że niesie głowę wyniośle, co przedewszystkiem wydało mi się złowróżbnem; to też w duszy mej zrodziło się podejrzenie, że wykrył prawdę o mojej ukochanej Dorze.

Gdybym był tego nie odgadł, idąc do kawiarni, musiałbym się dowiedzieć, o co chodzi, gdy wszedłem za nim do pokoju na górze i gdy tam zastałem pannę Murdstone na tle kredensu, na którym, na kilku dnem do góry postawionych kubkach, leżały cytryny i stały dwa postumenty do zatykania widelcy i noży.

Panna Murdstone, siedząc surowo i sztywnie podała mi chłodne końce swych paznokci. Pan Spenlow zamknął drzwi, wskazał mi krzesło, a sam stanął na dywaniku przed kominkiem.

„Niech pani będzie łaskawa pokazać panu Copperfieldowi", przemówił, „to, co pani ma w swoim woreczku, panno Murdstone".

Zdaje mi się, że był to ten sam w stalowej oprawie woreczek z mojego dzieciństwa, co zatrzaskiwał się głośno. Zaciskając wargi zamkowi do wtóru, panna Murdstone otworzyła woreczek — otwierając trochę usta równocześnie — i wyciągnęła mój ostatni list do Dory, pełen wyrazów najserdeczniejszych uczuć.

„Zdaje mi się, że to pańskie pismo, panie Copperfield?" zapytał pan Spenlow.

Zrobiło mi się bardzo gorąco i głos, który usłyszałem, był bardzo niepodobny do mojego, gdy odpowiadałem: „Tak jest, szanowny panie!"

„Jeżeli się nie mylę", mówił dalej pan Spenlow, gdy panna Murdstone z woreczka swego dobyła paczkę listów, przewiązanych kawałkiem niebieskiej wstążki, „że i to także wyszło z pod pańskiego pióra?"

Odebrałem z rąk jej listy z uczuciem rozpaczy; spojrzawszy zaś na parę słów w nagłówkach, jako to; „Moja najdroższa i jedyna Doro", „Mój najukochańszy aniele", „Ukochana moja na wieki" i tym podobne, zaczerwieniłem się mocno i pochyliłem głowę.

„Nie, dziękuję panu!" rzekł chłodno pan Spenlow, gdy machinalnie chciałem mu oddać listy. „Nie będę pana tych listów pozbawiał. Panno Murdstone, proszę łaskawie mówić dalej!"

Miła ta istota, popatrzywszy przez chwilę w zamyśleniu w dywan, zaczęła mówić z suchem namaszczeniem jak następuje: „Muszę wyznać, że podejrzewałam pannę Spenlow w stosunku do Dawida Copperfielda już od pewnego czasu. Obserwawołam pannę Spenlow i Dawida Copperfielda przy pierwszem ich spotkaniu i wrażenie, jakie wtedy odniosłem, nie było przyjemne. Zniepravienie ludzkiego serca jest takie..."

„Zrobi mi pani przyjemność", przerwał pan Spenlow, „jeżeli się pani ograniczy do faktów".

Panna Murdstone spuściła oczy, potrząsnęła głową, jak gdyby protestując przeciw temu niewłaściwemu przerwaniu i marszczeniu się, z godnością mówiła dalej: „Skoro mam się ograniczać do faktów, podam je tak sucho, jak tylko potrafię. Może to się będzie uważało za sposób właściwy. Już panu powiedziałam, że od pewnego czasu podejrzewałam pannę Spenlow w stosunku do Dawida Copperfielda. Często starałam się znaleźć decydujące dowody na poparcie tych podejrzeń, ale bez skutku. Dlatego powstrzymałam się od wspominania o tem ojcu panny Spenlow", tu surowo spojrzała na niego, „wiedząc, jak mało w takich razach można liczyć na uznanie sumienności w spełnianiu obowiązku".

Pan Spenlow zdawał się zupełnie przygnębiony dystyngowaną powagą tonu panny Murdstone i starał się przebłagać jej surowość przyjacielskim ruchem ręki.

Porządnie teraz byłem zapracowany; od piątej na nowodowanej małżeństwem mojego brata", mówiła panna Murdstone pogardliwie, „i po powrocie panny Spenlow od jej przyjaciółki panny Mills, miałam wrażenie, że zachowanie się panny Spenlow daje mi więcej jeszcze powodów do podejrzeń niż pierwej. Dla tego bacznie obserwowałam pannę Spenlow".

Kochana, tkliwa maleńka Dora, tak nieświadoma oczu tego smoka!

„Pomimo to“, mówiła dalj panna Murdstone, „nie znajdowałam żadnych dowodów aż do wczorajszego wieczora. Zdawało mi się, że panna Spenlow dostaje zbyt wiele listów od swojej przyjaciółki, panny Mills; ponieważ jednak panna Mills była jej przyjaciółką za zupełną zgodą jej ojca“, znów celny strzał w stronę pan Spenlow, „nie moją rzeczą było wtrącać się. Jeżeli mi nie wolno napomknąć o naturalnem znieprawieniu ludzkiego serca, to niech mi będzie... musi mi być dozwolone wspomnieć tu o źle umieszczonem zaufaniu“.

Pan Spenlow, uniewinniając się, mruknął przytakująco.

„Wczoraj wieczór po herbacie“, ciągnęła dalej panna Murdstone, „zauważyłam, że piesek skacze, goni, toczy się i warczy po salonie, szarpiąc coś. Powiedziałam do panny Spenlow: — Doro, co ten pies trzyma w pysku? To papier. — Panna Spenlow natychmiast sięgnęła ręką do kieszeni, wydała nagły okrzyk i pogoniła za psem. Wmieszałam się i mówię: — Doro, moja kochana, pozwolisz mi. —“

O Jipie, nieszczęsna psino, a więc ta okropność twojem jest dziełem!

„Panna Spenlow usiłowała“, mówiła dalej panna Murdstone, „przekupić mnie pocałunkami, szkatułkami do roboty i drobiazgami z biżuterji — to, oczywiście, pomijam już Piesek, gdym się do niego zbliżyła, uciekł pod kanapę i z wielką trudnością wypędziłam go stamtąd pogrzebaczem. Nawet wypędzony stamtąd, wciąż trzymał list w pysku, a gdy mu go chciałam odebrać, ryzykując, że mnie pokąsa, tak uparcie trzymał go w zębach, że aż zawisł na nim w powietrzu. Nareszcie pismo to wyrwałam mu; przejrzawszy je, oświadczyłam pannie Spenlow, że musi mieć więcej takich listów; ostatecznie otrzymałam od niej ten pakiecik, który teraz Dawid Copperfield trzyma w ręku“.

Tu umilkła, a zatrzasnąwszy swój woreczek i zamknąwszy usta, wyglądała jak gdyby złamać ją można było, ale ugiąć — nigdy.

„Słyszał pan, co powiedziała panna Murdstone“, zwrócił się do mnie pan Spenlow. „Śmiem zapytać, co pan na to?“

Obraz, jaki miałem w oczach, obraz ślicznoty mojej ukochanej, płaczącej i łkającej przez całą noc — jej obraz samej, wystraszonej, nieszczęśliwej — tak żałośnie proszącej i błagającej tę bez serca kobietę o przebaczenie — próżno obsypującej ją pocałunkami, szkatułkami i biżuterjami — obraz jej tak ciężkiego zmartwienia i to z mojego powodu — silnie zachwiał tę odrobinę godności, na jaką się mogłem zdobyć. Bodaj, nawet drżałem przez chwilę, chociaż całą siłą starałem się to ukryć.

„Nic więcej powiedzieć nie mogę“, rzekłem, „jak tylko, że cała wina jest po mojej stronie. Dora...“

„Panna Spenlow, jeśli łaska“, poprawił ojciec jej z majestatyczną miną.

„...z mojej namowy i perswazji“, mówiłem dalej, omijając ceremonjalne nazwanie, „zgodziła się na tę tajemnicę, i gorzko tego żałuję“.

„Zasłużył pan na surową naganę, mój panie“, odparł pan Spenlow, chodząc tam i z powrotem po dywaniku i to, co mówił, akcentując ruchami całego ciała, nietylko głowy, a to wskutek sztywności halsztuka i krzyża. „Postąpił pan pokryjomu i wbrew zasadom przyzwoitości, panie Copperfield. Jeżeli porządnego człowieka wprowadzam do mojego domu, mniejsza z tem, czy ma dziewiętnaście lat, dwadzieścia jeden czy dziewięćdziesiąt, wprowadzam go tam z zaufaniem. Jeżeli nadużyje mojego zaufania, popełnia, panie Copperfield, czyn niehonorowy“.

„Ja to czuję, szanowny panie, zapewniam pana“, odpowiedziałem. „Tylko, że mi to przedtem wcale na myśl nie przyszło. Szczerze mówię i uczciwie, panie Spenlow, mnie to nigdy przedtem nie przyszło na myśl. Kocham pannę Spenlow do tego stopnia...“

„Et! głupstwo!“ odparł pan Spenlow, czerwieniejąc. „Niechże mi pan w oczy nie mówi, że pan kocha moją córkę, panie Copperfield!“

„Jakżeż inaczej mógłbym usprawiedliwić moje postępowanie?“ odpowiedziałem z całą pokorą.

„A czy pan mniema, że je pan tym sposobem usprawiedliwia?“ rzekł pan Spenlow, przystając na dywaniku. „Czyś się pan zastanowił nad swoim wiekiem, nad wiekiem mojej córki, panie Copperfield? Czyś pan pomyślał, co to znaczy podkopywać zaufanie, jakie powinno istnieć pomiędzy córką moją a mną? Czyś się pan zastanowił nad stanowiskiem córki mojej w świecie, nad projektami, jakie mieć mogę dla niej, nad zamiarami, jakie w testamencie moim mogę w stosunku do niej ujawnić? Czyś się pan wogóle nad czemkolwiek zastanowił, panie Copperfield?“

„Bardzo niewiele, przyznaję“, odpowiedziałem, mówiąc do niego z całym szacunkiem i tym żalem, który odczuwałem; „ale proszę mi wierzyć, że bardzo brałem pod uwagę moje własne stanowisko w świecie. Gdy o tem mówiłem panu, byliśmy już wtedy zaręczeni...“

„Ja p r o s z ę“, przerwał pan Spenlow, uderzając dłonią w dłoń, „żeby mi pan n i e mówił o zaręczynach, panie Copperfield!“

Nieporuszona skądinąd panna Murdstone parsknęła pogardliwie i krótko.

„Gdy panu wyjaśniałem zmianę, jaka zaszła w stosunkach moich życiowych, szanowny panie“, zacząłem znów, szukając innego wyrażenia w miejsce tego, którego znieść

nie mógł, „ta tajemnica, w którą niefortunnie wciągnąłem pannę Spenlow, istniała już. Od kiedy stosunki moje się zmieniły, wytężyłem wszystkie nerwy, całą moją energię, ażeby je poprawić. I z pewnością poprawię je z czasem. Czy zechce mi pan dać czas... dowolną długość czasu? Oboje jesteśmy tak młodzi, szanowny panie...“

„Ma pan słuszność“, przerwał pan Spenlow, kiwając głową i marszcząc się srodze, „jesteście oboje bardzo młodzi. Wszystko to jest nonsens. Niechże się ten nonsens raz skończy. Zabierz pan te listy i wrzuć je w ogień. Oddaj mi listy panny Spenlow, żebym je mógł spalić, a chociaż dalsze nasze stosunki muszą, rozumie to pan, ograniczyć się do tych tutaj urzędów, zgodzimy się więcej o przeszłości nie wspominać. Słuchaj pan, panie Copperfield, panu nie brak rozsądku; a to jest jedyna droga rozsądna“.

Nie. Ja nie mogłem na to się zgodzić. Przykro mi, ale są wyższe względy od rozsądku. Miłość wznosi się ponad wszelkie światowe względy, a ja ubóstwiałem Dorę i Dora kochała mnie. Niezupełnie tak to powiedziałem, złagodziłem to, o ile potrafiłem, ale to dałem do zrozumienia i przy tem obstawałem stanowczo. Zdaje mi się, że bardzo śmieszny nie byłem, ale wiem, że byłem stanowczy.

„Bardzo dobrze, panie Copperfield“, odpowiedział pan Spenlow, „więc muszę spróbować wpłynąć na córkę“.

Panna Murdstone jakimś wyrazistym dźwiękiem, głębokiem odetchnięciem, które nie było ani westchnieniem, ani jękiem, ale czemś podobnem do tego, dała wyraz przekonaniu, że od tego powinien był zacząć.

„Muszę spróbować wpłynąć na córkę“, powtórzył pan Spenlow, utwierdzony tem poparciem. „Czy pan odmawia przyjęcia tych listów? — Ja je bowiem położyłem na stole“.

Tak. Powiedziałem mu, że niech nie bierze mi za złe, ale ja ich w żaden sposób od panny Murdstone przyjąć nie mogę.

„Ani ode mnie?“ zapytał.

Nie. Odpowiedziałem z najgłębszym szacunkiem. Ani od niego.

„Bardzo pięknie!“ rzekł pan Spenlow.

Ponieważ nastąpiło milczenie, sam nie wiedziałem, czy mam iść, czy też zostać. Nareszcie zacząłem powoli posuwać się ku drzwiom, chcąc powiedzieć, że może usuwając się, najlepiej dogodzę jego życzeniom — gdy pan Spenlow, wkładając ręce w kieszenie surduta, co mu przychodziło z trudem, z miną wprost nabożnie skupioną, powiedział: „Pan prawdopodobnie wie o tem, panie Copperfield, że nie jestem zupełnie bez majątku i że córka moja jest moją najbliższą i najdroższą krewną?‘

Odpowiedziałem coprędzej w ten sens, że przecież mimo to, iż zbłądziłem przez nadmierną porywczość uczucia mam nadzieję, że mnie w dodatku o interesowność nie posądza?

„Nie w tem znaczeniu o tem wspominam“, odpowiedział pan Spenlow. „Lepiej byłoby dla pana i dla nas wszystkich, gdybyś pan był interesowny, panie Copperfield... to jest, gdybyś pan był rozważniejszy i mniej pod wpływem tych młodzieńczych faramuszek. Nie. Chcę tylko powiedzieć, zupełnie co innego mając na myśli, że panu zapewne wiadomo, iż mam trochę majątku, by przekazać go mojemu dziecku!“

Naturalnie, przypuszczałem to.

„I z pewnością nie wątpi pan, mając doświadczenie tego, co się tutaj u nas codziennie widuje, poznając nieobliczalność i niedbalstwo ludzi w sprawach postanowień spadkowych — dziedzina to, pełna najdziwniejszych przykładów niekonsekwencji ludzkiej — pan chyba nie wątpi, że ja testament zrobiłem?“

Pochyliłem głowę na znak potwierdzenia.

„Nie pozwoliłbym“, mówił pan Spenlow, z coraz nabożniejszą miną, zwolna potrząsając głową i to wspinając się na palcach, to opuszczając się na pięty, „nie pozwoliłbym sobie na to, by odpowiednie zaopatrzenie dla mojego dziecka miało ulec zachwianiu przez akt młodzieńczego szaleństwa, jak ten oto obecny. To zupełne głupstwo. Prosty nonsens. Niebawem nie zaważy to tyle, co najlżejsze piórko. Ale mógłbym... mógłbym... gdyby ta niemądra sprawa nie dała się przerwać odrazu, mógłbym czuć się zniewolonym, w chwili obawy porobić zastrzeżenia, by obronić ją przed następstwami lekkomyślnego kroku w sprawie małżeństwa. Otóż panie Copperfield, ufam, że pan mnie nie przymusi do tego, bym otwierał, choćby na krótką chwilę, tę zamkniętą kartę w księdze żywota i poruszał, zmieniając je, rozporządzenia poważne i dawno ułożone“.

Była w nim taka pogoda, taki spokój, taki jakiś nastrój cichego zachodu słońca, że mnie to wprost rozczuliło. Taki był spokojny i zrezygnowany — widocznie interesy swoje prowadził tak porządnie, i z takim systematycznym ładem, że wprost ze wzruszeniem należało go podziwiać. Rzeczywiście, wydało mi się, że widzę łzy, napływające mu do oczu, tak głęboko odczuwał, że tak jest.

Ale cóż ja mogłem zrobić? Nie mogłem wyprzeć się Dory i własnego serca. Gdy mi powiedział, że daje mi tydzień do namysłu nad tem, co mi mówił, czyż mogłem tego tygodnia nie przyjąć, wiedząc jednakże, że żadne tygodnie, choćby ich było więcej, nie mogą wpłynąć na miłość taką, jak moja?

„Tymczasem niech się pan naradzi z panną Trotwood, albo z kimś, kto rozumie życie", oświadczył pan Spenlow, oburącz poprawiając krawat. „Daję panu tydzień czasu, panie Copperfield".

Poddałem się — i z twarzą, wyrażającą nieszczęśliwą a rozpaczną stałość, wyszedłem z pokoju. Ciężkie brwi panny Murdstone odprowadziły mnie do drzwi — mówię, jej brwi raczej niż jej oczy, ponieważ były one szczegółem bardziej wybitnym w jej twarzy; wyglądała zaś zupełnie tak samo, jak zwykła wyglądać o tej samej rannej godzinie w naszej bawialni w Blunderstone — i to do tego stopnia, że mogło mi się zdawać, iż znowu nie powiodło mi się z lekcją i że to, co mi tak ciąży na sercu, to ten okropny elementarz z owalnemi drzeworytami w kształcie szkieł od okularów...

Gdy wszedłem do biura i, odgrodziwszy się od starego Tiffeya i innych przyciśniętemi do oczu rękami, zasiadłem przed swoim pulpitem w własnym moim kąciku, gdy jąłem rozmyśleć nad tem niespodziewanem trzęsieniem ziemi i w rozgoryczeniu serca przeklinać Jipa, przejęła mnie taka męka i taki niepokój o Dorę, że dziwię się, iż nie porwałem za kapelusz i jak warjat nie poleciałem do Norwood. Myśl, że oni ją przestraszą, że doprowadzą ją do płaczu, a mnie tam nie będzie, żeby ją pocieszyć, była tak dominującą, że zniewoliło mnie to do napisania do pana Spenlow niedorzecznego listu, w którym błagałem go, by na nią nie przenosił następstw mojej winy. Zaklinałem go, by oszczędzał jej delikatność i jej słabość... by nie łamał wątłego kwiatka... i wogóle, przemawiałem do niego, nie jak do jej ojca, ale jakgdyby do jakiegoś potwora lub smoka. List ten zapieczętowałem i położyłem na jego biurku zanim powrócił; gdy zaś wszedł, widziałem przez wpół otwarte drzwi jego pokoju, że wziął go do ręki i czytał.

Nie powiedział nic na to wszystko przez cały ranek; zanim jednakże popołudniu odjechał, zawołał mnie do siebie i powiedział mi, że zupełnie nie potrzebuję się niepokoić o jego córkę. Zapewnił ją — powiedział mi —że to wszystko nonsens i niema jej nic więcej do powiedzenia. Uważa siebie za pobłażliwego ojca (takim też był) i mogę sobie wszelkiej troski o pannę Spenlow oszczędzić.

„Jeżeli pan będzie nierozsądnym i upartym, panie Copperfield", dodał, „mógłbym, niestety, być zmuszony znowu córkę na czas jakiś wysłać za granicę; jednakże mam lepsze o panu zdanie. Mam nadzieję, że za dni kilka rozsądniej pan będzie myślał. Co do panny Murdstone", gdyż wzmiankowałem o niej w moim liście, „uznaję czujność tej pani i jestem jej wdzięczny, jednakże ma ona wyraźnie polecone unikać tego przedmiotu. Pragnę tylko, panie Copperfield, żeby to było zapomniane. I pan, panie Copperfield, masz tylko jedno do zrobienia: zapomnieć o tem!"

Jedno tylko! W liście, który napisałem do panny Mills z goryczą przytoczyłem te słowa. Jedno tylko miałem do zrobienia, pisałem z posępnym sarkazmem — zapomnieć o Dorze! Jedno tylko, a czem to było? Błagałem pannę Mills, żeby się ze mną zechciała widzieć tegoż jeszcze wieczora. Jeżeli stać się to nie może z wiedzą i pozwoleniem pana Millsa, prosiłem o potajemne spotkanie w pralni, gdzie stał magiel. Pisałem jej, że rozum mój chwieje się w swoich posadach, i że ona jedna może mu przywrócić równowagę. Podpisałem się „zrozpaczony" i sam odczułem, odczytując ten utwór, że jest to coś w stylu pana Micawber.

Posłałem go jednakże. Wieczorem poszedłem na ulicę, gdzie mieszkała panna Mills i spacerowałem tam i z powrotem, aż przyszła po mnie służąca panny Mills i zaprowadziła przez podwórze do pralni. Miałem później powody przypuszczać, że nic w świecie nie przeszkadzało, bym był wpuszczony przez drzwi wchodowe i poproszony do salonu, a jedynie zamiłowanie panny Mills do romantyczności i tajemniczości były tego powodem.

W pralni szalałem, jak należało. Poszedłem tam, zdaje się, jak głupiec i jak głupiec się też zachowałem. Panna Mills otrzymała pospiesznie pisaną karteczkę od Dory, gdzie Dora pisała, że wszystko odkryte i dodawała: „O, proszę, przybądź do mnie, Juljo; koniecznie, koniecznie!" Panna Mills jednakowoż, nie będąc pewną, czy obecność jej będzie miła zwierzchniczym potęgom, nie wybrała się dotąd — i tak wieczór nas zaskoczył na pustyni Saharze.

Panna Mills posiadała zadziwiającą płynność słowa i lubiła te słowa wylewać. Odczułem mimowoli, chociaż łzy swoje mieszała z mojemi, że nasze strapienia sprawiają jej straszną rozkosz. Pieściła je, że tak powiem, i unosiła się nad niemi. Głęboka przepaść, oznajmiła, otwarła się pomiędzy Dorą a mną i tylko miłość mogła rozpiąć nad nią łuk swojej tęczy. Miłość musi cierpieć na tym marnym świecie; zawsze tak było i zawsze tak będzie. Mniejsza z tem, zauważyła panna Mills. Serca, otulone pajęczyną, muszą w końcu pęknąć, a wtedy miłość będzie pomszczona.

Mała to była pociecha, ale panna Mills nie chciała podsycać złudnych nadziei. Czułem się o wiele nieszczęśliwszym, niż się czułem pierwej, i czułem (co jej z najgłębszą wdzięcznością oświadczyłem), że mam w niej naprawdę przyjaciółkę. Postanowiliśmy, że panna Mills pójdzie do Dory zaraz wczesnym rankiem i znajdzie jakiś sposób zapewnienia jej, czy to wzrokiem czy słowami, o moich uczuciach i mojem cierpieniu. Rozstaliśmy się w głębokim smutku; ale zdaje mi się, że panna Mills co użyła, to użyła.

Wróciwszy do domu, zwierzyłem się ciotce ze wszystkiego — i mimo wszystko, co mi mówiła, poszedłem spać zrozpaczony. Wstałem zrozpaczony i wyszedłem zrozpaczony. Był to ranek sobotni, poszedłem więc prosto do urzędu.

Zdziwiłem się, zbliżywszy się do drzwi naszego biura, gdym ujrzał portjerów, rozmawiających ze sobą na podwórzu i kilku obcych przechodniów, patrzących na zamknięte okna. Przyspieszyłem kroku i mijając ich, zdziwiony ich minami, wszedłem pospiesznie.

Byli tam urzędnicy, ale nikt nic nie robił. Stary Tiffey, bodaj pierwszy raz w życiu, siedział na nieswojem krześle i nie zawiesił swego kapelusza.

„To okropne nieszczęście, panie Copperfield", odezwał się, gdy wszedłem.

„Co takiego?" zawołałem. „Co się stało?"

„Jakto! To pan nie wie?" zawołał Tiffey i oni wszyscy, gromadząc się dokoła mnie.

„Nie!" odpowiedziałem, wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy.

„Pan Spenlow", zaczął Tiffey.

„Co się mu stało?"

„Nie żyje!"

Zdawało mi się, że to nasze biuro się przewraca, a nie ja, gdy jeden z urzędników mnie podtrzymał. Posadzili mnie na krześle, rozwiązali mi krawat i przynieśli trochę wody. Nie wiem, jak długo to trwało.

„Nie żyje?" pytałem.

„Wczoraj jadł obiad w mieście i sam pojechał faetonem", mówił Tiffey, „odesławszy swego grooma do domu pocztą, jak to czasami robił, pan wie..."

„No i...?"

„Faeton wrócił do domu bez niego. Konie stanęły przed bramą stajenną. Służący wyszedł z latarnią. W powozie nie było nikogo".

„Czy konie poniosły?"

„Nie były zgrzane", opowiadał Tiffey, nakładając okulary; „przynajmniej nie więcej zgrzane, jak przy zwyczajnej jeździe. Lejce były zerwane, ale wlokły się po ziemi. Dom zaraz zbudzono i trzech poszło go szukać wzdłuż drogi. Znaleźli go o milę dalej".

„Więcej jak o milę, panie Tiffey", wtrącił który z młodszych.

„Czy tak? Może ma pan słuszność", rzekł Tiffey, „więcej jak o milę dalej... niedaleko kościoła... leżał na drodze, twarzą do ziemi. Czy wypadł, uległszy atakowi, czy wysiadł, czując się niedobrze, zanim przyszedł atak... albo nawet czy już zupełnie nie żył wtedy, choć niewątpliwie był już zupełnie bez czucia — tego, zdaje się, nikt nie wie.

Jeśli nawet oddychał, to napewno już nie przemówił. Pomoc lekarską sprowadzono jak najspieszniej, ale na nic się to już nie zdało".

Nie umiem opisać stanu ducha, w jaki mnie ta wiadomość wtrąciła. Wstrząs wobec takiego wypadku, który stał się tak nagle, który dotknął osobę, niejako poróżnioną ze mną — ta niesamowita pustka w pokoju, który on tak niedawno zajmował, gdzie krzesło jego i stół zdawały się czekać na niego, a wczorajsze jego pismo było jako duch — nieokreślona niemożność oddzielenia jego od tych miejsc i to uczucie, gdy się drzwi otwierały, że to on pewnie wejdzie — leniwa cisza i spoczynek w biurze i ta nienasycona przyjemność, z jaką ludzie nasi gadali o tem, a inni wchodzili i wychodzili przez cały dzień i napawali się tym przedmiotem — to wszystko każdy łatwo zrozumie.

Czego jednak opisać nie potrafię, to tego, jak w najgłębszych tajnikach serca czaiła się u mnie zazdrość, nawet wobec śmierci. Jak czułem, że śmierć potęgą swoją wyprze mnie z myśli Dory. Jak w jakiś niechętny sposób, na który słów nie mam, zazdrosny byłem nawet o jej żal. Jak niespokojnym czyniła mnie myśl, że ona płacze przed innymi, że inni ją pocieszają. Z jakiem chciwem skąpstwem chciałbym był wszystkich wykluczyć i wszystkich od niej oddalić i sam jeden tylko być dla niej wszystkiem w tej najnieodpowiedniejszej chwili.

W tej duchowej rozterce — myślę, że nie wyłącznie mojej, ale zapewne znanej i innym także — poszedłem do Norwood jeszcze tegoż wieczora; dowiedziawszy się zaś od służby, że panna Mills tam się znajduje, prosiłem ciotkę, by zaadresowała do niej list, który ja napisałem. Obżałowałem przedwczesną śmierć pana Spenlow bardzo szczerze i płakałem, pisząc to. Błagałem pannę Mills, żeby powiedziała Dorze, jeżeli Dora może ją wysłuchać, że pan Spenlow mówił ze mną niezmiernie dobrotliwie i względnie, a jej imię wspomniał z czułością jedynie, bez jednego słowa wyrzutu. Wiem, że uczyniłem to z egoistycznych pobudek, by imię moje wspomniano przed nią, ale starałem się wierzyć, że był to akt sprawiedliwości względem jego pamięci. Być może, że sam w to wierzyłem.

Ciotka moja otrzymała nazajutrz kilka słów odpowiedzi, adresowanych do niej, a pisanych do mnie. Dora tonęła w smutku; a gdy przyjaciółka zapytała ją, czy ma mi przesłać od niej serdeczne pozdrowienie, zawołała tylko, tak jak wciąż wołała: „O, kochany papo! O, biedny papo!" Ale nie powiedziała „Nie", czem się przedewszystkiem ucieszyłem.

Pan Jorkins, który przebywał w Norwood od chwili wypadku, przyszedł do biura w parę dni później. On i Tiffey

pomówili przez chwilę przy zamkniętych drzwiach, poczem Tiffey wyjrzał i skinął na mnie, bym wszedł.

„Ach!“ rzekł pan Jorkins. „Pan Tiffey i ja, panie Copperfield, mamy przeszukać biurko, szuflady i inne tego rodzaju schowania zmarłego w celu opieczętowania jego prywatnych papierów i znalezienia testamentu. Niema gdzieindziej ani śladu testamentu. Może pan będzie tak łaskaw towarzyszyć nam“.

Umierałem już z lęku i ciekawości, co będzie z Dorą, w jakich warunkach się znajdzie — jako to: pod czyją opieką i t. d. — a oto mogłem się czegoś dowiedzieć. Zaczęliśmy poszukiwania nasze odrazu; pan Jorkins otwierał szuflady i biurko i wszyscy wyjmowaliśmy papiery. Papiery biurowe składaliśmy na jedną stronę, a prywatne (nieliczne zresztą) na drugą. Poważni byliśmy i skupieni; a gdy się nadarzyła jakaś pieczątka, piórnik, albo pierścionek lub inny drobny przedmiot tego rodzaju, służący mu do osobistego użytku, wtedy mówiliśmy bardzo cicho.

Już kilka pakietów opieczętowaliśmy i powoli nad zapylonemi papierami pracowaliśmy dalej, gdy pan Jorkins odezwał się, stosując do zmarłego wspólnika nieledwie te same słowa, które zmarły partner wypowiedział o nim: „Pan Spenlow niełatwo dawał się sprowadzić z ubitej drogi. Panowie wiecie, jakim był! Skłonny jestem przypuszczać, że nie zrobił testamentu“.

„O, ależ ja wiem, że zrobił!“ wtrąciłem.

Obaj przestali składać i spojrzeli na mnie.

„Tego dnia właśnie, kiedy go ostatni raz widziałem“, rzekłem, „mówił mi, że zrobił testament i że sprawy swoje oddawna uregulował“.

Pan Jorkins i stary Tiffey zgodnie potrząsnęli głowami.

„To nie wygląda obiecująco“, zauważył Tiffey.

„Bardzo nieobiecująco“, dodał pan Jorkins.

„Chyba panowie nie wątpią...“ zacząłem.

„Mój drogi panie Copperfield!“ — rzekł Tiffey, kładąc mi rękę na ramieniu, zamykając oczy i potrząsając głową; „gdyby pan był w tym urzędzie tak długo, jak ja, wiedziałby pan, że w niczem ludzie nie są tak niekonsekwentni i w tych sprawach nie można na nich polegać“.

„Ależ doprawdy, pan Spenlow powiedział dosłownie to samo!“ odpowiedziałem z uporem.

„Tobym uważał niemal za ostateczny dowód“, odparł Tiffey. „Mojem zdaniem... testamentu niema!“

Wydało mi się to czemś nader dziwnem, ale okazało się, że testamentu nie było. Polegając na świadectwie jego papierów, nie pomyślał nawet o spisaniu ostatniej swej woli, nie znalazło się bowiem żadnego szkicu, żadnej wzmianki, żadnej notatki, świadczącej o jakichś zamiarach w tym kierunku. Co mnie nie mniej zadziwiło, to że interesa zostawił w wielkim nieporządku. Niezmiernie trudno było dojść — słyszałem — co był winien, co zapłacił, co, umierając, posiadał. Przypuszczano, że od lat sam o tem musiał nie mieć pojęcia. Potrosze, potrosze wyszło na jaw, że przez współzawodnictwo w ubieganiu się o pozory i wykwint, co w owej sferze odbywało się na wielką skalę, wydawał więcej, niż swoje dochody, nie nazbyt wielkie, i uszczuplił bardzo mocno osobisty majątek (a wątpliwe było, czy i ten był bardzo wielki). Była wyprzedaż mebli w Norwood i sprzedaż prawa dzierżawy domu, i mówił mi Tiffey, nie wiedząc, jak bardzo mnie to interesuje, że po zapłaceniu wszystkich długów zmarłego, nie dałby tysiąca funtów za to, co pozostanie.

Działo się to po upływie jakich sześciu tygodni. Przeszedłem męki przez cały ten czas i już myślałem, że chyba targnę się na życie, gdy panna Mills wciąż mi donosiła, że moja biedna maleńka Dora, ile razy mnie wspomniano, powtarzała tylko to jedno: „O, biedny papo! O, kochany papo!“ Panna Mills donosiła mi również, że Dora niema innych krewnych prócz dwóch ciotek, starych panien, sióstr pana Spenlow, które mieszkały w Putney i od lat wielu nie utrzymywały prawie żadnych stosunków z bratem. Nie by się kiedykolwiek byli pokłócili (pisała panna Mills), ale dlatego, że z okazji chrzcin Dory zaproszono je na herbatę, podczas gdy one uważały, że im się należało zaproszenie na obiad; wyraziły więc swoje zdanie w liście, pisząc, że „dla szczęścia obu stron“ wolą się usunąć. Od tego czasu poszły swoją drogą, a brat ich swoją.

Te dwie panie wypłynęły teraz z ukrycia i zaproponowały, że wezmą Dorę do siebie, do Putney. Dora, lgnąc do nich obu i płacząc, zawołała: „O tak, ciocie! Proszę, weźcie Julję Mills i mnie i Jipa do Putney!“ To też udały się tam wkrótce po pogrzebie.

Jak ja znalazłem czas odwiedzać Putney, doprawdy, sam już nie wiem; ale jakoś przecież zdołałem krążyć w tych stronach dość często. Panna Mills, chcąc się jak najdokładniej wywiązać z obowiązków przyjaźni, prowadziła dziennik i spotykając mnie niekiedy, czytywała mi ustępy, albo, gdy nie miała czasu, pożyczała mi go. O, jakim skarbem były dla mnie te zapiski, których załączam tu próbkę!

„Poniedziałek. Moja najmilsza D. wciąż jeszcze przygnębiona. Ból głowy. Zwróciła uwagę na J., że ma taką śliczną jedwabistą sierć. D. pieściła J. Wspomnienia tem obudzone otwarły upusty potokom żałości. Nowy paroksyzm strapienia. (Czyżby łzy były kroplami rosy serdecznej? J. M.)

„Wtorek. D. słaba i zdenerwowana. Piękna w swej bladości. (Czyż to samo nie zachwyca nas w księżycu J. M.) D. J. M i J. odbyli przejażdżkę powozem. J. wyglądał przez

okno i gwałtownie oszczekiwał zamiatacza ulic; to wywołało uśmiech, który opromienił lica D. (Z takich drobnych ogniw składa się łańcuch życia! J. M.)

„Środa. D. stosunkowo pogodna. Śpiewałam jej, jako odpowiednią dla niej melodję „Wieczorne Dzwony“. Skutek nie kojący, lecz przeciwnie. D. nad wyraz poruszona. Zastałam później łkającą w własnym pokoju. Cytowałam jej wiersze o sobie i młodym Gazelle. Bez skutku. (J. M.)

„Czwartek. D. stanowczo lepiej. Lepszy sen. Leciuchny ton różany zaczyna gościć na licach. Postanowiłam wspomnieć imię D. C. Wspomniałam je ostrożnie podczas spaceru powozem. D. natychmiast rozpływa się w łzach. „O droga, droga Juljo! O! byłam niedobrem, niepoczciwem dzieckiem!“ Uspakajałam, pieściłam. Kreśliłam idealny obraz D. C. nad krawędzią grobu. D. znów tonie we łzach. „O, co ja zrobię! Co ja zrobię? Och, zabierz mnie gdzie, zabierz!“ Mocno wystraszona. Zemdlenie Dory — szklanka wody z oberży po drodze. (Poetyczna łączność. Szyld na drzwiach w pstrą szachownicę; sprzecznych wydarzeń pełne ludzkie życie. Niestety! J. M.)

„Piątek. Dzień ważnych wypadków. Zjawia się w kuchni człowiek z workiem „po damskie trzewiki do naprawy“. Kucharka odpowiada: „Nie potrzeba“. Człowiek naprasza się. Kucharka idzie się zapytać do pokoju, zostawiając człowieka samego z J. Po powrocie kucharki człowiek jeszcze się naprasza, ale ostatecznie wychodzi. Niema J. — D. odchodzi od przytomności. Zawiadamia się policję. Człowieka można rozpoznać po szerokim nosie i nogach jak balustrady u mostu. Poszukiwania we wszystkich kierunkach. Nigdzie niema J. — D. gorzko płacze, niepocieszona. Znowu ponawiam wzmiankę o młodym Gazelle. Odpowiednia, ale bezskuteczna. Pod wieczór zjawia się nieznany chłopak. Powiada, by mu dać funta, a da wiadomość o psie. Nie chce nic więcej powiedzieć, pomimo nalegań. Dostawszy funta od D., prowadzi kucharkę do małego domku, gdzie J. sam jeden, przywiązany do nogi od stołu. Radość D., która tańcuje naokoło J., podczas gdy ten je obiad. Ośmielona tą szczęśliwą odmianą, wspominam na górze D. C. — D. na nowo płacze i woła żałośnie: „O nie mów! nie mów! nie mów! To tak źle myśleć o czemś innem, a nie tylko o biednym papie!“ Całuje J. i szlochając, zasypia. (Czyż D. C. nie będzie musiał schronić się pod szerokie skrzydła czasu? J. M.)“

Panna Mills i jej dziennik to była jedyna moja pociecha w tym okresie czasu. Widzieć ją, która przed chwilą widziała Dorę — śledzić literę imienia Dory poprzez współczucia pełne jej zapiski, dać się jej coraz bardziej unieszczęśliwiać — to była jedyna moja pociecha. Miałem wrażenie, że żyłem w pałacu z kart, który runął, zostawiając tylko pannę Mills i mnie wśród ruin; miałem wrażenie, jakgdyby srogi jakiś czarownik zakreślił magiczne koło dokoła niewinnej bogini mojego serca i że w obrąb tego koła nic mnie nie przeniesie, chyba tylko te silne skrzydła, które tylu ludzi przenoszą ponad niejedno.

Rozdział trzydziesty dziewiąty.

Wickfield i Heep.

Ciotka moja na serjo, zdaje się, zaniepokojona długotrwałem mojem przygnębieniem, udała, że jej zależy na tem, bym pojechał do Dover i przekonał się, czy wszystko jest w porządku w jej wynajętym domku, oraz bym zawarł umowę z dzierżawcą na dalszy jeszcze termin. Żaneta zgodziła się do służby u pani Strong i tam ją codziennie widywałem. Opuszczając Dover sama nie wiedziała, czy na tem wyrzeczeniu się płci męskiej, w którem była wychowana, położyć ostateczną kropkę przez małżeństwo z pilotem, czy też jej nie położyć; ostatecznie zdecydowała nie czynić tego. Nie tyle, zdaje mi się, dla zasady, ile, że on się jej nie podobał.

Chociaż mi ciężko było porzucać pannę Mills, poddałem się dość chętnie planowi mojej ciotki, to mi bowiem dawało możność spędzenia kilku spokojnych godzin z Agnieszką. Poprosiłem poczciwego doktora o urlop trzydniowy, a że doktór życzył sobie abym odetchnął, zaproponował mi, bym wziął dłuższy; ale moja energja nie przyzwoliła na to — postanowiłem jechać.

Co się tyczy mojego urzędu, nie potrzebowałem być bardzo skrupulatny co do moich obowiązków. Prawdę powiedziawszy zaczynaliśmy mieć nie świetną opinję pomiędzy najprzedniejszymi syndykami i szybko spadaliśmy do dość wątpliwego poziomu. Interes szedł nie nadzwyczajnie za pana Jorkinsa, zanim nastały czasy pana Spenlowa; a chociaż ożywił go dopływ świeżej krwi i wystawny tryb, wprowadzony przez pana Spenlowa, to jednak nie opierał się na dość stałej podstawie, by znieść bez szkody taki cios, jak nagła strata jego czynnego kierownika. Podupadł też bardzo. Pan Jorkins, mimo swej reputacji w firmie, był niedbałym, nieudolnym człowiekiem, a reputacja jego poza biurem nie poprawiała mu opinji w biurze. Zostałem teraz przydany do jego boku, a gdy musiałem na to patrzeć, jak szef zażywa tabakę, a zbywa interes, żałowałem więcej, niż kiedykolwiek, tysiąca ciotczynych funtów.

Ale to jeszcze nie było najgorsze. Dokoła naszych urzędów snuła się pewna ilość pokątnych doradców i pośredników, którzy nie będąc sami syndykami, łapali zwyczajniej-

sze interesa i dawali je do załatwienia prawdziwym syndykom, udzielającym swego imienia ze względu na podział łupu; i takich syndyków też było sporo. Ponieważ firma nasza potrzebowała teraz roboty na jakichkolwiek warunkach, przyłączyliśmy się do tej szlachetnej bandy i przynęcaliśmy pośredników i pokątnych doradców, by do nas znosili swoje sprawy. Pozwolenia małżeńskie i małe poświadczenia spadkowe były dla nas wszystkich najpożądańsze i najlepiej nam się opłacały i o te najgorliwiej się też ubiegano. Ustawiało się łapaczy i naganiaczy u wszystkich dróg, prowadzących do naszych Urzędów z poleceniem zatrzymywania wszelkich osób w żałobie i panów, mających zażenowaną minę, i namawiania ich do tych biur, któremi ich pracodawcy byli zainteresowani; te polecenia tak dobrze były wypełniane, że ja sam, zanim mnie poznano z widzenia, dwa razy wciągany byłem do biur głównego naszego przeciwnika. Ponieważ sprzeczne interesa tych nawołujących panów drażniły im nerwy, zdarzały się przeto i osobiste starcia; a Doctors Commons musiało przeżyć ten publiczny skandal, że nasz naczelny łapacz przez kilka dni spacerował z podsinionem okiem. Każdy z tych naganiaczy był gotów, jakby nigdy nic, grzecznie dopomóc wysiąść z powozu starszej damie w żałobie, uśmiercić któregokolwiek syndyka, o którego pytała, przedstawić swojego zwierzchnika, jako prawnego następcę i reprezentanta owego syndyka i zaprowadzić starszą damę (niekiedy bardzo strapioną) do biura swojego pracodawcy. Wielu jeńców w ten sposób sprowadzono do mnie. Co do pozwoleń małżeńskich, to współzawodnictwo było tak wielkie, że człowiek nieśmiały, który po nie przyszedł, nie potrzebował nic robić, tylko oddać się pierwszemu z brzegu łapaczowi, albo pozwolić, by o niego walczono, i stać się łupem silniejszego. System naganiania trwa, zdaje mi się, do dziś dnia. Ostatni raz, gdy byłem tam, jakaś cywilna dobrze zbudowana osobistość w białym fartuchu wyskoczyła na mnie z bramy i szepcząc mi do ucha „Pozwolenie małżeńskie" z trudem dała się powstrzymać od tego, by nie wziąć mnie na ręce i nie zanieść do syndyka.

Po tej postronnej wycieczce wracam do Dover.

W domku mojej ciotki zastałem wszystko w należytym stanie, a nawet mogłem ucieszyć ciotkę nadzwyczajnie, donosząc, że lokator odziedziczył jej waśń, tocząc nieustanną walkę z osłami. Załatwiwszy drobny interes, który tam miałem do załatwienia, i przespawszy tam jedną noc, wczesnym rankiem puściłem się pieszo do Canterbury. Znów była teraz zima, a świeży, chłodny, wietrzny dzień i falista równina podniosły mnie jakoś na duchu.

Zaszedłem do Canterbury, snułem się przez stare ulice z jakąś rzeźwą przyjemnością, która koiła mój umysł i ulgę przynosiła sercu. Odnajdywałem te dawne szyldy, dawne nazwiska nad sklepami, dawnych ludzi, usługujących w nich. Zdawało mi się, że to już tak dawno temu, jak byłem tutaj uczniem, że wprost dziwiłem się, że miejscowość tak małej uległa zmianie — aż dopiero pomyślałem, że przecież i ja sam niewiele się zmieniłem. Dziwne to, ale ten kojący wpływ, w duszy mej tak nieodłączny od Agnieszki, zdawał się przenikać nawet to miasto, w którem ona mieszkała. Czcigodne wieże katedry i te stare wrony i kawki, których dalekie krakanie więcej jeszcze, niż zupełna cisza, dodawały im spokojnego majestatu, odrapane ganki, niegdyś zapełnione posągami, dawno pozrzucanemi i zmienionemi w proch, jak ci korni pielgrzymi, co niegdyś na nie patrzyli, ciche zakątki, gdzie bluszcz wiekowy piął się po ostrych daszkach i walących się murach, sielski krajobraz pól, sadów i ogrodów — w tem wszystkiem i wszędzie czułem to samo pogodniejsze tchnienie, tego samego spokojnego, zadumanego, łagodzącego ducha.

Doszedłszy do domu pana Wickfielda, w małym pokoiku na parterze, gdzie zazwyczaj siadywał Uriasz Heep, zastałem pana Micawbera, machającego piórem bardzo pracowicie. Ubrany był po prawniczemu w czarne ubranie i jakoś sterczał, tęgi i szeroki, w tem małem biurze.

Pan Micawber niezmiernie się ucieszył mym widokiem, ale też trochę był zmieszany. Chciał mnie natychmiast zaprowadzić do Uriasza, ale ja odmówiłem.

„Znam ten dom oddawna, pewnie pan pamięta", rzekłem, „i trafię na górę. Jakże się prawo podoba panu, panie Micawber?"

„Mój kochany Copperfieldzie", odpowiedział, „człowiek, obdarzony bujną wyobraźnią zarzuciłby prawniczym studjom obfitość szczegółów, które zawierają one. Nawet w naszej zawodowej korespondencji", tu spojrzał na kilka listów, które pisał, „myśl nie ma swobody wznoszenia się do lotniejszej formy wyrażenia. A jednak jest to wielkie studjum! Wielkie studjum!"

Oznajmił mi następnie, że zamieszkał w dawnym domu Uriasza Heep i że pani Micawber będzie uszczęśliwiona, jeśli będzie mogła znów przyjąć pod własnym dachem.

„Jest on skromny", rzekł pan Micawber, „że użyję ulubionego wyrażenia mego przyjaciela, Heepa, może się jednak stać pierwszym stopniem do okazalszych urządzeń mieszkalnych".

Zapytałem go, czy, jak dotąd, czuje się zadowolony ze stosunku przyjaciela jego, Heepa, do niego? Wstał, by się przekonać, czy drzwi zamknięte, zanim, zniżając głos, od-

powiedział: „Mój drogi Copperfieldzie, człowiek, który się biedzi z finansowemi trudnościami, stoi w stosunku do ogółu ludzi na stanowisku niekorzystnem. Nie poprawia się to stanowisko, jeżeli pod naciskiem konieczności musi wyciągać pensyjną swą płacę, zanim ta płaca w terminie się należy. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że mój przyjaciel, Heep na prośby, których niema potrzeby mówić bardziej szczegółowo, odpowiadał w sposób, mogący tylko zaszczytnie świadczyć, tak o jego głowie, jak sercu".

„Nie byłbym coprawda przypuszczał, żeby był hojnym na punkcie pieniężnym", zauważyłem.

„Przepraszam!" odpowiedział pan Micawber z miną powściągliwą, „mówię o moim przyjacielu Heep według własnego doświadczenia".

„Cieszę się, że pańskie doświadczenie wypadło tak pomyślnie".

„Bardzo jesteś uprzejmy, mój drogi Copperfieldzie", odparł pan Micawber; i zanucił zcicha jakąś melodję.

„Czy często pan widuje pana Wickfielda?" zapytałem, chcąc zmienić temat.

„Niebardzo", odpowiedział pan Micawber pogardliwie. „Pan Wickfield jest, wierzę w to, człowiekiem najlepszych intencyj; ale to jest człowiek... krótko mówiąc, człowiek do niczego".

„Niestety, zdaje mi się, że wspólnik jego stara się doprowadzić go do tego", rzekłem.

„Mój drogi Copperfieldzie!" odpowiedział pan Micawber, pokręciwszy się niespokojnie na krześle, „pozwól mi zrobić uwagę! Jestem tutaj w charakterze człowieka zaufanego. Jestem tutaj na stanowisku powiernika. Dyskusja nad pewnemi tematami, nawet z samą panią Micawber (od tak dawna podzielającą ze mną różne zmiany losu, a kobietą rzadkiej jasności umysłu), jest, sądziłbym, niezgodną z ciążącemi obecnie na mnie obowiązkami. To też ośmieliłbym się zaproponować, żebyśmy w naszych przyjacielskich stosunkach — które, mam nadzieję, że nigdy się nie zmącą — pociągnęli linię rozgraniczającą. Po jednej stronie tej linji", pan Micawber ilustrował swoje słowa wielką biurową linją na stole, „jest cały zakres ludzkiej inteligencji z maleńkim wyjątkiem; po drugiej — znajduje się właśnie ten wyjątek; to znaczy: sprawy panów Wickfielda i Heepa, ze wszystkiem co się tego tyczy i co do tego należy. Ufam, że nie obrażam towarzysza mej młodości, przedkładając chłodnemu sądowi jego tę propozycję?"

Chociaż widziałem w panu Micawber coś nieswojego, jakąś zmiannę, jakieś skrępowanie, coś, jakgdyby te nowe obowiązki były mu niewygodne, rozumiałem, że nie mam

prawa czuć się obrażonym. Gdy mu to powiedziałem, odczuł widoczną ulgę i uścisnął mi rękę.

„Jestem zachwycony, Copperfieldzie, muszę ci powiedzieć, panną Wickfield", rzekł. „To zupełnie niezwykła panienka, pełna wielkiego powabu, wdzięku i cnót. Na honor",— tu pocałował rękę, przybierając najdystyngowańszą swą minę, „cześć przed panną Wickfield! Hm!"

„To przynajmniej cieszy mnie!" odpowiedziałem.

„Gdybyś nie był nas zapewnił, mój drogi Copperfieldzie, owego miłego wieczora, który mieliśmy szczęście spędzić z tobą, że D. to twoja ulubiona litera", mówił pan Micawber, „byłbym bez najmniejszej wątpliwości przypuszczał, że to A. jest tą literą".

Znamy wszyscy to wrażenie, które nas czasem nawiedza, że to, co mówimy albo robimy, było już powiedziane czy zrobione przedtem, w jakiejś odległej przeszłości — że nas przed zamierzchłemi wiekami otaczały te same twarze, przedmioty, okoliczności — że wiemy doskonale, co będzie powiedziane następnie, jakgdybyśmy to sobie nagle przypominali! Nigdy to tajemnicze wrażenie nie odezwało się w mem życiu silniej, jak zanim on wyrzekł te słowa.

Pożegnałem na razie pana Micawbera, prosząc o wyrażenie moich pozdrowień w domu. Gdym go opuszczał, a on wracał do krzesła i do pióra i zabierał się do roboty, spostrzegłem jasno, że coś stanęło między nim a mną odkąd objął nowe swoje obowiązki, coś co nam nie pozwala zbliżyć się do siebie tak, jak dawniej, i zupełnie zmienia charakter naszych stosunków.

Nie było nikogo w pięknym starym salonie, chociaż znać było ślady obecności pani Heep. Zajrzałem do pokoju, należącego zawsze do Agnieszki i ujrzałem ją, siedzącą w pobliżu kominka i piszącą przy ładnem staroświeckiem biureczku.

Ponieważ zasłoniłem światło, podniosła oczy i spojrzała. Co za przyjemność być przyczyną tego rozpromienienia na jej uważnej twarzy, otrzymać to słodkie spojrzenie i powitanie!

„Ach Agnieszko!" powiedziałem, gdy już siedzieliśmy, jedno obok drugiego; „tak mi ciebie brak było w ostatnich czasach!"

„Rzeczywiście?" odpowiedziała. „Znowu! I tak prędko!"

Potrząsnąłem głową.

„Ja nie wiem, czemu się to dzieje Agnieszko; musi mi braknąć jakiegoś przymiotu ducha, który powinienbym posiadać. Ty tak przyzwyczajona byłaś myśleć za mnie w tych szczęśliwych dawnych czasach, a ja tak naturalnie szedłem do ciebie po pomoc i radę, że, rzeczywiście, myślę, iż nie postarałem się o wyrobienie tego w sobie".

„A cóż to jest takiego?“ pogodnie zapytała Agnieszka.

„Sam nie wiem, jakby to nazwać“, odpowiedziałem. „Zdaje mi się, że jestem człowiek biorący rzeczy poważnie i wytrwały?“

„O tem jestem przekonana“, odrzekła Agnieszka.

„I cierpliwy przecież także?“ zapytałem trochę się wahając.

„Tak“, śmiejąc się, odpowiedziała Agnieszka. „Wystarczająco cierpliwy“.

„A jednak“, mówiłem dalej, „staję się tak nieszczęśliwy i udręczony, i taki jestem chwiejny i niezdecydowany przez niemożność upewnienia samego siebie, iż wiem, że musi mi niedostawać — czy mam to tak nazwać? — przez niemożność polegania na samym sobie“.

„Nazwij to tak, jeżeli chcesz“, odpowiedziała Agnieszka.

„No dobrze!“ mówiłem dalej. „Otóż patrz! Przyjeżdżasz do Londynu, polegam na tobie i odrazu znajduję i cel i drogę. Wytrącony jestem z tej kolei, przybywam tutaj i w jednej chwili czuję się innym człowiekiem. Okoliczności, które mnie unieszczęśliwiały, nie zmieniły się od chwili, gdy wszedłem do tego pokoju; ale przez tę krótką chwilę jakiś wpływ zaczyna działać na mnie, który mnie zmienia, o, jak bardzo na lepsze! Co to jest? W czem leży twoja tajemnica, Agnieszko?“

Głowa jej była pochylona; patrzyła w ogień.

„To stare dzieje“, mówiłem. „Nie śmiej się, gdy powiem, że zawsze tak było, tak jak jest, w małych rzeczach i w wielkich. Moje dawne strapienia były głupstwem, teraz są one poważne; ale ile razy odszedłem od mej przybranej siostry...“

Agnieszka podniosła wzrok — z takim niebiańskim wyrazem twarzy, i podała mi rękę, którą ucałowałem.

Ile razy bez ciebie, Agnieszko, bez twojej rady i twego uznania coś zaczynałem, błądziłem i grzęzłem w najróżniejszych trudnościach. Ile razy na końcu przychodziłem do ciebie (co czyniłem zawsze), odnajdywałem spokój i szczęście. Teraz wracam do domu, jak zmęczony podróżny i oto wstępuje we mnie takie błogie uczucie odpoczynku!“

Tak głęboko czułem to, co mówiłem, tak szczerze mnie to przejmowało, że głos mi się załamał, że ręką zakryłem oczy i rozpłakałem się. Prawdę piszę. Jakiekolwiek sprzeczności i niekonsekwencje mogły być we mnie, tak jak w wielu z nas, cokolwiek mogło się było stać inaczej a o wiele lepiej, cokolwiek uczyniłem, przewrotnie nieposłuszny głosowi własnego serca — ja sam o tem nic nie wiedziałem. Wiedziałem tylko szczerze i prawdziwie, że cisza i pokój były ze mną, gdy Agnieszka była ze mną.

W swój pogodny, siostrzany sposób, z promieniejącemi oczyma, serdecznym swoim głosem i z tym łagodnym spokojem, który oddawna dom, przez nią zamieszkany, uczynił dla mnie miejscem poświęcanem — doprowadziła wprędce do tego, że otrząsnąłem się z mej słabości i opowiedziałem jej wszystko, co zaszło od ostatniego naszego spotkania.

„I już opowiedziałem ci wszystko, Agnieszko“, rzekłem, ukończywszy moje zwierzenia. „A teraz polegam na tobie“.

„Ale to nie powinno być tylko na mnie“, odpowiedziała Agnieszka z miłym uśmiechem. „Musisz polegać na kimś innym“.

„Na Dorze?“ zapytałem.

„Niezawodnie“.

„Widzisz, nie wspomniałem ci o tem, Agnieszko“, wyznałem, trochę zażenowany, „że Dora właściwie nie nadaje się... nie chciałbym za nic w świecie powiedzieć, że nie można na niej polegać, ponieważ jest uosobieniem czystości i prawdy... ale właściwie trudno... nie wiem, jakby to wyrazić, doprawdy Agnieszko. To takie nieśmiałe, lękliwe stworzonko, tak łatwo ją zaniepokoić i przestraszyć. Jakiś czas temu, przed śmiercią jej ojca, gdy myślałem, że należy jej wspomnieć... ale ja ci opowiem, jeżeli chcesz posłuchać, jak to było“.

I opowiedziałem Agnieszce o mojem wyznaniu ubóstwa, o książce kucharskiej, o gospodarskich rachunkach i o wszystkiem innem.

„O Trotwoodzie!“ upomniała mnie z uśmiechem. „Znów tak, jak to dawniej, jak po staremu, naoślep naprzód!? Mogłeś zupełnie na serjo myśleć o zdobywaniu stanowiska w świecie, a nie być tak nagłym, tak raptownym w stosunku do lękliwego, kochającego, niedoświadczonego dziewczątka. Biedna Dora!“

Nigdy nie słyszałem takiej słodyczy, takiej pobłażliwej dobroci wyrażonej głosem, jak teraz w głosie Agnieszki, gdy mi dawała tę odpowiedź. Wydało mi się, że widzę ją czule obejmującą Dorę, że czytam niemą wymówkę w tej opiekuńczej względności za tę moją porywczą gwałtowność i zaniepokojenie tego małego serduszka. I zdawało mi się, że widzę Dorę w jej czarującej prostocie, pieszczącą Agnieszkę, dziękującą jej, żartobliwie skarżącą się na mnie i kochającą mnie z całą dziecięcą niewinnością.

Taki wdzięczny byłem Agnieszce i tak ją podziwiałem! W jasnej oddali widziałem je obie razem, takie dobrane przyjaciółki, jedna dla drugiej wdzięczną ozdobą!

„Cóż mam więc zrobić, Agnieszko?“ spytałem, popatrzywszy w ogień przez chwilę. „Cobym powinien zrobić?“

„Myślę“, odparła Agnieszka, „że najuczciwiej byłoby napisać do tych dwóch pań. Czy nie uważasz, że wszelkie potajemne drogi nie są szlachetne?“

„Tak. Jeżeli ty tak sądzisz“, odpowiedziałem.

„Nie bardzo mogę ja być sędzią w tych sprawach", skromnie odparła Agnieszka, „ale rzeczywiście, czuję... jednem słowem czuję, że, działając skrycie i potajemnie, nie jesteś właściwie sobą".

„Sobą w tej zbyt dobrej opinji, jaką ty masz o mnie, Agnieszko", rzekłem.

„Sobą, tym z natury szczerym", odpowiedziała. „I dlatego napisałabym do tych pań. Opowiedziałabym, o ile możności prosto i otwarcie, o wszystkiem, co się stało, i prosiłabym o pozwolenie bywania w ich domu. Zważywszy, że jesteś młody i wywalczający sobie stanowisko w świecie, myślę, że byłoby dobrze, gdybyś powiedział, że chętnie przystajesz na wszelkie warunki, jakich od ciebie zażądają. Jabym prosiła je usilnie, żeby prośby twej nie odrzucały, nie porozumiawszy się z Dorą, a z nią żeby o tem pomówiły, gdy uznają, że nadszedł odpowiedni czas. Na twojem miejscu nie byłabym nazbyt gwałtowną", dodała łagodnie, „i nie żądałabym zawiele. Ufałabym swej własnej wierności i wytrwałości... i Dorze".

„Ale jeżeli one znów Dorę przestraszą, mówiąc do niej o mnie, Agnieszko", rzekłem. „A jeżeli Dora zacznie płakać i nic o mnie nie powie?"

„Czy to prawdopodobne?" pytała Agnieszka z tą samą łagodną pobłażliwością na twarzy.

„Niech ją Bóg ma w swej opiece, ona trwoży się tak łatwo! Jak ptaszek płochliwy!" odpowiedziałem. „Mogłoby to być! Albo jeżeli te dwie panny Spenlow (tego rodzaju stare panny bywają czasem dziwaczne) nie są osobami, do których się w ten sposób można zwrócić!"

„Zdaje mi się, Trotwoodzie", odpowiedziała Agnieszka, patrząc mi w oczy łagodnie, „że jabym na to nie zważała. Możeby lepiej było myśleć tylko o tem, czy należy tak zrobić; a jeżeli należy, to zrobić".

Już mnie też wszelkie wątpliwości odeszły. Z ulgą w sercu choć zgłębokiem zrozumieniem ważności tego zadania, poświęciłem całe popołudnie na ułożenie tego listu; na ten wielki cel Agnieszka ustąpiła mi swojego biurka. Przedtem jednak poszedłem nadół przywitać się z panem Wickfieldem i z Uriaszem Heep.

Zastałem Uriasza w posiadaniu nowego, jeszcze tynkiem pachnącego biura, dobudowanego w kierunku ogrodu; wyglądał niezmiernie marnie wśród mnóstwa książek i papierów. Przyjął mnie, jak zwykle, nadskakująco i udawał, że nie słyszał o mojem przybyciu od pana Micawbera, czemu ośmieliłem się nie wierzyć. Towarzyszył mi do pokoju pana Wickfielda, który to pokój był nie do poznania, zabierano bowiem zeń co lepsze ze sprzętów dla dogodności nowego wspólnika. Uriasz stanął przed kominkiem, grzejąc sobie plecy i kościstą ręką pocierając brodę, podczas gdy ja z panem Wickfieldem zamieniałem powitania.

„Mieszkasz u nas, Trotwoodzie, dopóki zostaniesz w Canterbury?" zaprosił pan Wickfield, spojrzawszy jednak pytająco na Uriasza.

„A czy byłoby miejsce dla mnie?" zapytałem.

„Ależ paniczu... powinienbym mówić panie Copperfield, ale tamto tak naturalnie nasuwa się na język", przemówił Uriasz, „ja z chęcią usunę się z dawnego pańskiego pokoju, jeżeli to panu sprawi przyjemność".

„Nie, nie", odpowiedział pan Wickfield. „Dlaczego p a n ma cierpieć niewygodę? Jest inny pokój. Jest inny pokój".

„O, ale pan wie, ja byłbym naprawdę najszczęśliwszy", zapewniał Uriasz, uśmiechając się szeroko.

Chcąc przeciąć to, oświadczyłem, że pragnę dostać ten inny pokój, albo żaden; stanęło więc na tem, że dadzą mi ten drugi pokój — a ja, pożegnawszy się z firmą aż do obiadu, powróciłem na górę.

Miałem nadzieję, że zastanę Agnieszkę samą. Tymczasem pani Heep zaprosiła się do tego pokoju pod pozorem, że z powodu reumatyzmu przy tym wietrznym dniu lepiej jej będzie tutaj jak w jadalnym albo w salonie, i siedziała ze swemi drutami przy piecu. Chociaż najchętniej byłbym ją umieścił na tym wietrze wraz z jej reumatyzmem na samym szczycie katedralnej wieży, ale zrobiłem cnotę z konieczności i grzecznie się z nią przywitałem.

„Najuprzejmiej panu dziękuję", odpowiedziała pani Heep uniżenie, gdym ją zapytał o zdrowie, „ale miewam się nieszczególnie. Nie mam się czem pochwalić. Gdybym się tylko mogła doczekać szczęśliwego ustalenia w życiu mojego Uriasza, nie pragnęłabym niczego więcej. Jakże — uważa pan, — wygląda mój Uriasz, łaskawy panie?"

Uważałem, że jest równie szkaradny, jak zawsze, ale odpowiedziałem, że nie widzę w nim zmiany.

„Och, to pan nie widzi, jak on się zmienił?" powiedziała pani Heep. „W tem ja, przepraszam pokornie, ale muszę różnić się z panem. Nieuważa pan, jaki chudy?"

„Nie więcej, jak zawsze", odpowiedziałem.

„D o p r a w d y pan nie widzi?" odparła. „Ale bo pan nie patrzy na niego okiem matki!"

To matczyne oko złem było okiem dla reszty ludzi, choć tak kochającem dla niego — pomyślałem, gdy się spotkało z mojemi oczami. Przesunęło się ona ze mnie na Agnieszkę.

„A pani nie uważa, że on się trawi i mizernieje, panno Wickfield?" dopytywała pani Heep.

„Nie", odpowiedziała Agnieszka, spokojnie robiąc dalej swoją robotę. „Pani przesadza w troskliwości. Syn pani jest zupełnie zdrów".

Nie dawała za wygraną, nie opuszczała nas ani na chwilę. Przybyłem wcześnie, rano miałem jeszcze przed sobą trzy albo cztery godziny do obiadu, ona jednak siedziała, poruszając swojemi drutami z monotonnością klepsydry, przesypującej piasek. Siedziała po jednej stronie kominka, ja siedziałem przy biurku na środku, trochę za mną, po drugiej stronie siedziała Agnieszka. Ile razy tylko, zwolna namyślając się nad moim listem, podniosłem wzrok na zamyśloną twarz Agnieszki, ile razy ujrzałem, że ta jasna twarz z tym anielskim wyrazem promieniuje ku mnie zachętą, tyle razy czułem odrazu, jak to złe oko ślizga się po mnie, biegnie ku niej, wraca do mnie i spiesznie opuszcza się na robotę. Co to była za robota na drutach, tego nie wiem, jako nieuczony w tej sztuce, ale wyglądało to, jak sieć; a gdy poruszała nieustannie temi drutami, jak Chińczyk pałeczkami, wyglądała w blasku ognia jak czarownica o złem oku, którą do czasu jeszcze trzyma pod swą władzą ta promienna dobroć naprzeciw, ale która gotuje się niebawem sieć swoją zarzucić.

Przy obiedzie stróżowała nad nami dalej, tem samem czujnem okiem. Po obiedzie zastąpił ją syn — a gdy pan Wickfield, on i ja zostaliśmy sami, zawracał ku mnie okiem i wił się, wprost nie do zniesienia. W salonie znów znalazła się matka z drutami i pilnowała. Przez cały czas, gdy Agnieszka śpiewała i grała, matka siedziała przy fortepianie. Raz poprosiła o jedną balladę, za którą, jak zapewniała, jej Uriasz, (który ziewał w fotelu) przepadał; raz po raz też oglądała się na niego i dowodziła Agnieszce, że zachwycony jest muzyką. Jeżeli wogóle otworzyła usta, to zawsze tylko poto, by powiedzieć coś o nim. Dla mnie było jasnem i widocznem, że taką była nakazana jej rola.

I tak to trwało aż do godziny spoczynku. Tak mi było przykro widzieć matkę i syna, jak dwie wielkie ćmy. krążące na całym domem i rzucające nań cień szpetnemi swemi kształtami, że już byłbym nawet wolał pozostać na dole wraz z temi drutami i wszystkiem, niż udawać się na spoczynek. Prawie nic nie spałem. Nazajutrz robota na drutach i pilnowanie rozpoczęło się znowu i trwało przez cały dzień.

Nie miałem sposobności choćby przez dziesięć minut pomówić z Agnieszką. Zaledwie mogłem pokazać jej mój list. Zaproponowałem jej wspólną przechadzkę; ponieważ jednak pani Heep wciąż uskarżała się. że jej gorzej, Agnieszka miłosiernie pozostała w domu, żeby jej dotrzymać towarzystwa. Gdy się zaczęło ściemniać wyszedłem sam, dumając nad tem, co mi wypada uczynić i czy mam prawo taić dłużej przed Agnieszką to, co mi w Londynie powiedział Uriasz Heep: zaczynało mnie to bowiem znów bardzo mocno niepokoić.



Jeszcze nie zdążyłem zupełnie wyjść za miasto drogą ku Ramsgate, gdzie prowadziła dobra ścieżka, gdy z tyłu z za tumanu pyłu, ktoś na mnie zawołał. Trudno było nie poznać wiercącej się postaci i przykrótkiego płaszcza. Zatrzymałem się i Uriasz Heep podszedł do mnie.

„No i cóż?" zapytałem.

„Jak prędko pan chodzi!" rzekł. „Dosyć mam długie nogi, a miały robotę, nie żarty!"

„Dokąd idziesz?" spytałem.

„Idę z paniczem jeżeli mi panicz nie odmówi przyjemności spaceru z dawnym znajomym".

Powiedziawszy to z wykrętasem całego ciała, co mogło wyglądać równie dobrze na przeprosiny, jak na drwiny, zaczął iść obok mnie.

„Uriaszu!" zacząłem po chwili milczenia najgrzeczniej jak tylko umiałem.

„Słucham paniczu!" odpowiedział.

„Prawdę powiedziawszy, (proszę się o to nie obrazić), wyszedłem, żeby się przejść w samotności, gdyż miałem dosyć towarzystwa".

Spojrzał na mnie bokiem i rzekł z przykrym uśmiechem: „To znaczy mojej matki".

„Prawda", odpowiedziałem.

„Ach! Ale pan wie, że myśmy tacy skromni, tacy mali", odparł. „A mając świadomość tego, żeśmy skromni, mali ludzie, musimy rzeczywiście dbać o to, by nas nie zepchnęli ci, co nie są ani skromni ani mali. Wszelki podstęp dozwolony jest w miłości".

Podnosząc wielkie swe ręce aż dotknęły brody, zaczął je zwolna zacierać i zaśmiał się zcicha; a wyglądał przy tem jak złośliwa małpa, nie jak człowiek, pomyślałem.

„Widzi pan", mówił, nie przestając tak niemile zacierać rąk i kiwając ku mnie głową, „z pana bardzo niebezpieczny rywal, paniczu. Zawsze tak było, pan wie".

„Więc ustanawiasz straż nad panną Wickfield i sprawiasz, że własny jej dom nie jest jej domem i to z powodu mnie?" rzekłem.

„O, paniczu! To bardzo ostro powiedziane", odparł.

„Nazwij to, jak ci się podoba", odrzekłem. „Ty wiesz, o co tu chodzi Uriaszu, równie dobrze, jak i ja".

„Ach nie! Niech pan to wypowie słowami", odparł. „Ach, rzeczywiście, jabym niepotrafił".

„Czyż przypuszczasz", rzekłem, przymuszając się do umiarkowania i do spokoju przez wzgląd na Agnieszkę, „że ja uważam pannę Wickfield za coś innego, jak za bardzo kochaną siostrę?"

„No tak, paniczu", odparł, „pan rozumie, że ja nie jestem zobowiązany odpowiadać na to pytanie. Może to prawda, wie pan. Ale może, widzi pan, może i nieprawda!"

Ta niska chytrość w jego twarzy i w tych ani śladem rzęs nieocienionych oczach! Czegoś podobnego w życiu nie widziałem.

„Słuchaj więc!" rzekłem. „Przez wzgląd na pannę Wickfield..."

„Moją Agnieszkę!" zawołał, skręcając się wstrętnie, kańciastwo. „Bądź pan tak dobry i zechciej nazywać ją Agnieszką!"

„Przez wzgląd na pannę Agnieszkę Wickfield... niech Bóg ją ma w swej opiece!..."

„Dziękuję za to błogosławieństwo, paniczu!" wtrącił.

„Powiem ci to, z czem w innym okolicznościach zwierzyłbym się z równem prawdopodobieństwem... Jackowi Ketsch".

„Komu, panie?" — zapytał, wyciągając szyję i osłaniając ucho ręką.

„Katowi", odpowiedziałem. „Ostatnia osoba, którąbym mógł wybrać... (jego twarz nasunęła mi to zestawienie). Jestem zaręczony z zupełnie kimś innym. Mam nadzieję, że cię to uspokoi".

„Czy ręczy mi pan słowem?" zapytał Uriasz.

Już z całem oburzeniem chciałem mi dać żądane zapewnienie, gdy on pochwycił moją rękę i uścisnął ją.

„O paniczu", rzekł, „gdybyś się chciał był zniżyć do odwzajemnienia mi moich zwierzeń, które z pełności serca wylałem przed panem onego wieczora, kiedy to narobiłem panu tyle kłopotu, nocując przed kominkiem w pańskiem mieszkaniu, nigdybym o panu nie wątpił. Jeśli jest tak, zaraz odwołam matkę i będę bardzo szczęśliwy. Wiem, że pan mi wybaczy ostrożności kochającego serca, wszak prawda? Co za szkoda, paniczu, że panicz się nie zniżył do odwzajemnienia mego zaufania! Dawałem panu wszelką sposobność, to pewna. Ale pan się nigdy do mnie nie zniżył, nigdy tyle, ilebym pragnął. Ja wiem, że mnie pan nigdy nie lubił tak, jak ja pana lubiłem!"

Przez cały ten czas ściskał mi rękę wilgotnemi swemi, rybiemi palcami, chociaż starałem się, o ile tylko przyzwoitość pozwalała, wyciągnąć mu ją. Daremne to jednak były wysiłki. Wciągnął mi rękę pod rękaw swojego płaszcza i rad nie rad, prawie siłą zniewolony, musiałem iść z nim pod rękę.

„Czy zawrócimy?" zapytał, obracając mnie twarzą ku miastu, nad którem wczesny księżyc już teraz świecił, srebrząc dalekie szyby okien.

„Zanim ten temat porzucimy, powinieneś zrozumieć“, rzekłem, przerywając dość długie milczenie, „że ja uważam Agnieszkę Wickfield za o tyle górującą nad t o b ą, za tak daleką od wszelkich t w o i c h aspiracji, jak oto ten księżyc!“

„Spokojna i pogodna, jak on! Czyż nie?“ odpowiedział Uriasz. „Tak, bardzo! A teraz niech panicz przyzna, że mnie panicz tak nie lubił, jak ja lubiłem panicza. Zawsze mnie pan uważał za coś niższego, no, i nie mogę się dziwić!“

„Nie lubię zbytniego uzewnętrzniania pokory, i wogóle uzewnętrzniania“, oświadczyłem.

„Otóż znowu!“ zawołał Uriasz; dziwnie zwiędło wyglądał przy księżycu, a cera jego miała barwę ołowianą. „Czyż ja tego nie wiedziałem! Ale jak mało pan się zastanawiał nad słuszną pokorą człowieka mojego stanu, paniczu! Ojciec i ja, obaj wychowani byliśmy w dobroczynnym zakładzie dla chłopców; a i matka również wychowana była w takim dobroczynnym zakładzie. Oni nas tam wszystkich uczyli wielkiej pokory — niewiele więcej prócz tego, od rana do nocy. Kazano nam być pokornymi wobec tego i wobec tamtego; czapkować tu, kłaniać się tam — a zawsze znać swoje miejsce wśród ludzi i uniżać się przed wyższemi. A tylu ich było, tych wyższych! Ojciec został pomocnikiem nauczyciela, bo był pokorny. Ja również. Ojciec dostał posadę kościelnego, bo był pokorny. Miał między panami opinię człowieka tak dobrze umiejącego się znaleźć, że postanowili go popierać. — Bądź pokornym, Uriaszu — mówił ojciec do mnie, — a zajdziesz daleko. — To nam ciągle kładli w uszy w szkole, i mnie i tobie; i to też najlepiej popłaca. Bądź pokornym, — mówił ojciec — a będzie ci się wiodło. — I rzeczywiście, nieźle się powiodło!“

Dotychczas jeszcze nigdy nie przyszło mi na myśl, że ta wstrętna obłuda fałszywej pokory mogła mieć źródło swe w rodzinie Heep. Widziałem plon, ale nigdy nie pomyślałem, kto je zasiał.

„Gdy byłem zupełnie jeszcze młodym chłopakiem“, mówił dalej Uriasz, „poznałem już, co może pokora i pokorą się przejąłem. Jadłem pokorny pasztet z apetytem. Stanąłem na niskim poziomie mych umiejętności i mówię sobie: — Stój! — Gdy mi pan zaofiarował się uczyć mnie łaciny, podziękowałem; wiedziałem, że nie trzeba. — Ludzie lubią być ponad tobą, — mówił ojciec, — schylaj się przed nimi. — Jestem bardzo pokorny do tej chwili, paniczu, ale ja mam trochę władzy!“

A wszystko to powiedział — wiedziałem to, widząc twarz jego przy księżycu, ażebym zrozumiał, że postanowił wynagrodzić sobie wszystkie poniżenia użyciem tej władzy. Nigdy nie wątpiłem, że jest marny, chytry i złośliwy; teraz

jednak po raz pierwszy w pełni zrozumiałem, jak wielką takie wczesne, takie długotrwałe tajenie i fałsz musiało zrodzić podłość, zawziętość i mściwość.

Ta jego spowiedź o tyle miły miała rezultat, jeśli chodzi o mnie, że cofnął rękę, żeby się znowu pogłaskać po brodzie. Raz od niego uwolniony, postanowiłem trzymać się osobno; wróciliśmy, idąc obok siebie i niewiele już rozmawiając po drodze.

Czy mu humor poprawiła udzielona mu przeze mnie wiadomość, czy ten rzut oka w przeszłość, na który sobie pozwolił, tego ja nie wiem; w każdym razie coś mu ten humor poprawiło. Mówił przy obiedzie więcej, niż zwykle; zapytał matkę (zwolnioną z obowiązków z chwilą naszego powrotu do domu), czy nie uważa, że czasby mu już było porzucić stan kawalerski, a raz spojrzał na Agnieszkę tak, że byłbym oddał wszystko co posiadałem, gdybym miał prawo rozbić mu głowę.

Gdy my trzej mężczyźni zostaliśmy po obiedzie sami, wstąpił w niego jakiś awanturniczy duch. Pił mało wina, czy też wcale nie pił; przypuszczam też, że działała w nim sama czelność triumfu, drażniona pokusą popisania się przede mną.

Zauważyłem dnia poprzedniego, że starał się nakłonić pana Wickfielda do picia; rozumiejąc zaś spojrzenie, które mi wychodząc rzuciła Agnieszka, sam ograniczyłem się do jednego kieliszka i zaraz zaproponowałem, byśmy za nią poszli. Byłbym zrobił to samo teraz, ale Uriasz mnie uprzedził.

„Rzadko widujemy naszego tu obecnego gościa, panie“, zwrócił się do pana Wickfielda, „zaproponowałbym więc wyświadczyć mu gościnność jakimi paru kieliszkami wina, jeśli pan niema nic przeciw temu. Panie Copperfield, za pańskie zdrowie i powodzenie!“

Musiałem przyjąć jego wyciągniętą ku mnie rękę, a potem z zupełnie innem uczuciem ująłem dłoń złamanego człowieka, jego wspólnika.

„Dalej, wspólniku“, rzekł Uriasz, „jeżeli mi wolno być tak śmiałym... może zaproponowałby pan zdrowie czyjeś, miłe Copperfieldowi?“

Już pomijam, że pan Wickfield wzniósł zdrowie mojej ciotki, pana Dicka, naszych urzędów, wreszcie Uriasza, że pił wszystkie zdrowia dwa razy, pomijam jego świadomość własnej słabości, bezskuteczne wysiłki, żeby się jej oprzeć, walkę pomiędzy wstydem za zachowanie się Uriasza a pragnieniem przejednania go, pomijam uciechę, z jaką Uriasz wił się i skręcał i prezentował go przede mną. Obrzydzenie brało mnie patrzeć na to, a ręka wzdrygała się przed opisem.

„No dalej, partnerze!“ przemówił w końcu Uriasz, „te-

raz ja wnoszę zdrowie i śmiem prosić o kieliszki, bo zamierzam wznieść zdrowie najcudowniejszej z kobiet!"

Pan Wickfield trzymał pusty kieliszek w ręku. Widziałem, że go postawił, że spojrzał na portret, tak do niej podobny, że dotknął ręką czoła i opadł w swoim fotelu.

„Choć taki pokorny ze mnie człowiek, pozwalam sobie wznieść jej zdrowie", mówił dalej Uriasz, „bo ją podziwiam... uwielbiam!"

Żaden fizyczny ból, któryby dotknął siwego jej ojca nie byłby dla mnie tak straszny, jak to moralne cierpienie, które wyczytałem w kurczowo zaciśniętych jego rękach.

Ale Uriasz albo nie zważał na niego, albo też gestu jego nie zrozumiał.

„Agnieszka", mówił dalej, „Agnieszka Wickfield jest, śmiało to powiedzieć mogę, najcudowniejszą z kobiet. Czy wolno mi mówić szczerze między przyjaciółmi? Być jej ojcem, to wielki zaszczyt, ale zostać jej małżonkiem..."

Obym nigdy już więcej nie usłyszał takiego krzyku, jak ten krzyk, z jakim ojciec jej zerwał się od stołu!

„Co się stało?" zawołał Uriasz, pobladłszy śmiertelnie. „Ostatecznie, panie Wickfield, chyba pan nie zwarjował? Jeżeli mówię, że pragnąłbym pańską Agnieszkę uczynić moją Agnieszką, mam chyba do tego równe prawo, jak każdy inny. Ja mam do tego lepsze prawo niż ktokolwiek inny!"

Obejmowałem pana Wickfielda, zaklinając go na wszystko, a przedewszystkiem na jego miłość do Agnieszki, by się choć trochę uspokoił. Ale narazie był jak oszalały: rwał włosy, bił się po głowie, odpychał mnie, wyrywał mi się, nie odpowiadał ani słowa, nie patrzył na nikogo, nie widział nikogo; walczył ślepo sam nie wiedząc o co, z twarzą wykrzywioną, wytrzeszczonemi oczami—straszny to był widok.

Zaklinałem go, urywanemi słowy ale najgoręcej, by się nie poddawał temu wzburzeniu, by mnie posłuchał. Błagałem go, żeby pomyślał o Agnieszce, żeby mnie w myśli łączył z Agnieszką, żeby pamiętał, jak z Agnieszką chowaliśmy się razem, jak ją szanowałem i kochałem, jaką dumą jego i radością była ona. Starałem się pod jakąkolwiek postacią obraz jej przywodzić mu na myśl, robiłem mu nawet wyrzuty, że nie ma siły oszczędzić jej wiadomości o podobnej scenie. Nie wiem, czy ja co zdziałałem, czy wzburzenie wyczerpywało się samo przez się, dość, że stopniowo mniej się począł opierać i zaczął patrzeć na mnie zrazu jak na kogoś obcego, potem z błyskiem rozpoznania w oczach. W końcu powiedział: „Ja wiem! Trotwoodzie! Moje ukochane dziecko i ty — ja wiem! Ale popatrz na niego!"

Wskazał na Uriasza, bladego i nachmurzonego w kącie, widocznie wytrąconego z rachub swoich i zaskoczonego niespodzianie.

„Patrz na mojego dręczyciela!" powtórzył pan Wickfield. „On mi krok za krokiem wydarł imię i dobrą sławę, spokój i ciszę, dom i domowe ognisko!"

„Utrzymałem dla pana pańskie imię i dobrą sławę, pański spokój i ciszę i pański dom i domowe ognisko — też!" mówił spiesznie Uriasz z chmurną miną zwyciężonego, co szuka kompromisu. „Niech pan nie będzie nierozumny, panie Wickfield. Jeżeli, niespodziewanie dla pana, posunąłem się trochę za daleko, mogę się przecież cofnąć? Nie stało się nic złego".

„Doszukiwałem się w każdym pobudek działania", mówił pan Wickfield, „i byłem przekonany, że przywiązałem go do siebie pobudką osobistego interesu. A teraz patrz, czem on jest... och, patrz, czem on jest!"

„Staraj się pan zatrzymać go, panie Copperfield, jeżeli możesz", zawołał Uriasz, długi swój wskazujący palec wyciągając ku mnie. „On gotów za chwilę powiedzieć coś takiego... słuchaj pan!... czego potem pożałuje, że powiedział, a pan, żeś posłyszał!"

„Wszystko powiem!" zawołał pan Wickfield z miną desperata. „Dlaczego nie ma być w mocy całego świata, jeśli jestem w mocy twojej?"

„Uważaj pan! Mówię panu!" powtórzył Uriasz, grożąc mi dalej. „Jeżeli mu pan ust nie zamknie, nie jesteś jego przyjacielem! Dlaczego nie powinien pan być w mocy całego świata? Bo masz córkę. Pan i ja wiemy, co wiemy, wszak prawda? Nie trzeba budzić licha — kto chce je obudzić?... Nie ja. Czy pan nie widzi, że taki jestem pokorny, jak tylko być mogę? Powtarzam panu, jeżeli posunąłem się zadaleko, to przepraszam. Czego panu więcej trzeba?"

„O, Trotwoodzie, Trotwoodzie!" zawołał pan Wickfield, łamiąc ręce. „Na co ja zeszedłem od czasu, gdy pierwszy raz powitałem cię w tym domu! Szedłem już wtedy po pochyłości, ale ta straszna, straszna droga, którą odtąd przebyłem! Słaba pobłażliwość była moją zgubą. Pobłażanie sobie w wspominaniu, pobłażanie w niepamięci. Mój naturalny żal po śmierci matki mego dziecka stał się chorobliwy; moja naturalna miłość dla mojego dziecka stała się chorobliwą. Zakażałem wszystko, czego się dotknąłem. Sprowadziłem nieszczęście na ukochaną głowę, ja wiem — i ty wiesz! Myślałem, że godzi się kochać jedną jedyną istotę na świecie i nie kochać reszty; myślałem, ze wolno nosić w sercu szczery żal za jedną istotą, co świat opuściła, a nie podzielać żalu tych, co także cierpią. I tak te nauki, co życie mi dawało, przyjmowałem przewrotnie! I tak pastwiłem się nad własnem tchórzliwem, chorobliwem sercem, a ono pastwiło się nade mną. Skąpy w mym bólu, skąpy w mej miłości, skąpy w tej nędznej ucieczce od ciemnych stron i bólu

i miłości, och, popatrz na mój upadek, odwróć się ze wstrętem i unikaj mnie!"

Opadł na krzesło i zapłakał. Uprzednie podniecenie opuszczało go. Uriasz wysunął się ze swego kąta.

„Ja sam nie wiem wszystkiego, com zdziałał w mojem zaślepieniu", mówił pan Wickfield, wyciągając ręce, jakby się bronił przed swem postępowaniem. „O n to wie lepiej, gdyż zawsze był przy moim boku i podszeptywał. Widzisz, jakim on jest dla mnie kamieniem młyńskim, uwiązanym mi u szyi. Znajdziesz go w moim domu, znajdziesz w moim interesie. Słyszałeś, co mówił przed chwilą. Czyż potrzebuję mówić więcej?"

„Nie potrzebuje pan tyle mówić, ani połowy tego, ani wogóle nic", wmieszał się Uriasz nawpół zuchwale, nawpół uniżenie. „Nie byłby pan wszystkiego tego tak wziął do serca, gdyby nie wino. Jutro panu tak się to źle nie wyda. Jeżeli powiedziałem zawiele, albo więcej, niż zamierzałem, to cóż to szkodzi? Przecież się przy tem nie upierałem".

Drzwi się otwarły i wsunęła się Agnieszka. Blada, bez kropli krwi w twarzy, objęła ramieniem szyję ojca i powiedziała głosem łagodnie stanowczym: „Papo, tyś niezdrów. Chodź ze mną!"

On oparł głowę na jej ramieniu, jak pod ciężarem wielkiego zawstydzenia i wyszedł z nią razem. Oczy Agnieszki tylko na chwilę spotkały się z mojemi ale poznałem, ile wie o tem zajściu.

„Nie spodziewałem się, że go to tak podetnie, paniczu", rzekł Uriasz. „Ale to nic. Jutro będziemy w najlepszej przyjaźni. To dla jego dobra. Ja szczerze dbam o jego dobro".

Nie odpowiedziałem mu nic i poszedłem na górę do cichego pokoiku, gdzie Agnieszka tak często siadywała obok mnie nad memi książkami. Do późnego wieczora nikt do mnie nie przyszedł. Wziąłem do ręki książkę i próbowałem czytać. Słyszałem, jak zegary biły dwunastą, a ja wciąż czytałem nie wiedząc, co czytałem, gdy uczułem dotknięcie ręki Agnieszki.

„Wyjeżdżasz wcześnie rano, Trotwoodzie! Powiedzmy sobie dobranoc!"

Znać było, że płakała, ale twarz jej była tak spokojna i piękna!

„Niech cię Bóg prowadzi!" rzekła, podając mi rękę.

„Najdroższa Agnieszko!" odpowiedziałem, „widzę, że nie chcesz mówić o tem, co zaszło — ale czy tu nic zrobić nie można?"

„W Bogu trzeba pokładać nadzieję!" odrzekła.

„Ale i a czyż nic zrobić nie mogę... ja, który przychodzę do ciebie z mojemi marnemi troskami?"

„A moim ujmujesz tyle ciężaru! Drogi Trotwoodzie, nie!"

„Agnieszko droga", rzekłem, „to zarozumiałość z mej strony, jeżeli ośmielam się ja, tak ubogi przy tobie we wszystko, co ty posiadasz — w dobroć, stanowczość, wszelkie szlachetne zalety — jeżeli ośmielam się wątpić o tobie i rady ci dawać; ale ty wiesz, jak bardzo ciebie kocham, i ile ci zawdzięczam. Przecież ty się nigdy nie poświęcisz dla fałszywie pojętego obowiązku, Agnieszko?"

Nigdy jeszcze jej nie widziałem tak wzruszonej, jak teraz przez chwilę; wysunęła rękę z mojej ręki i odstąpiła o krok.

„Powiedz mi, że ci myśl taka nie przeszła przez głowę, Agnieszko droga! Wiele więcej, niż siostro moja! Pomyśl, jaki to dar bezcenny, dar takiego serca, jak twoje, takiej miłości, jak twoja!"

O! wiele, wiele później kiedyś stanęła ta twarz przedemną z tym chwilowym wyrazem, nie zadziwionym, nie oskarżającym, nie żałującym. O, wiele, wiele później kiedyś widziałem, jak ten wyraz rozpływał się, tak jak teraz, w prześlicznym uśmiechu; i powiedziała mi z tym uśmiechem, że nie boi się o siebie — że ja się o nią bać nie potrzebuję — pożegnała mnie imieniem brata, i poszła!

Ciemno jeszcze było, gdym nazajutrz rano wsiadał do karetki pocztowej u drzwi hotelu. Dzień zaczynał świtać, mieliśmy właśnie ruszyć, gdy mnie z rozmyślań o Agnieszce wyrwała wyłaniająca się z cienia przy drzwiczkach karety głowa Uriasza.

„Copperfieldzie!" przemówił chrapliwym szeptem, czepiając się żelaznego dachu, „myślałem, że rad będzie pan usłyszeć przed wyjazdem, że niema między nami waśni. Byłem już w jego pokoju i wszystko wygładziło się. No cóż, choć taki mały, skromny człowieczek, jestem dla niego pożyteczny, pan wie; a on rozumie swój interes, gdy nie jest podpity! Jaki to ostatecznie miły człowiek, paniczu!"

Zmusiłem się i powiedziałem mu, że rad jestem, iż przeprosił pana Wickfielda.

„Ach naturalnie!" odpowiedział. „Dla człowieka pokornego czemże są przeprosiny? To takie łatwe! Ależ tak! Wyobrażam sobie", tu skręcił się i podrzucił, „że zdarzało się panu czasem zerwać niedojrzałą gruszkę, co paniczu?"

„Przypuszczam, że tak".

„J a to zrobiłem wczorajszego wieczora", rzekł; „ale to nic, ona jeszcze dojrzeje. Trzeba tylko czuwać nad nią. Ja mogę poczekać!"

Obfity w słowa przy pożegnaniu, zeskoczył, gdy woźnica wsiadł na kozioł. O ile widziałem dobrze, jadł coś, może żeby się rozgrzać w ten chłodny ranek, ale poruszał ustami, jakgdyby gruszka była już dojrzała, a on oblizywał sobie wargi.

Rozdział czterdziesty.

Wędrowiec.

Na Buckingham Street mieliśmy tego wieczora poważną rozmowę o sprawach, które opisałem w ostatnim rozdziale. Ciotka moja bardzo się tem zainteresowała, a potem, założywszy ręce, więcej niż dwie godziny spacerowała po pokojach. Ile razy znajdowała się w szczególnej rozterce, zawsze wykonywała taką pieszą wycieczkę, a stopień jej rozdrażnienia zawsze dawał się zmierzyć trwaniem takiego pochodu. Tym razem była w takiej rozterce duchowej, że musiała koniecznie otworzyć drzwi od sypialni i chodzić przez całą długość obu pokoi, od ściany do ściany; a podczas gdy my obaj z panem Dickem siedzieliśmy spokojnie przy kominku, ona wchodziła i wychodziła, krocząc miarowo po tym ograniczonym terenie, jak wahadło od zegara.

Gdy pan Dick odszedł do siebie, a my z ciotką zostaliśmy sami, zasiadłem, by napisać list do tych dwóch starszych pań. Ciotka tymczasem zmęczyła się chodzeniem i usiadła przy kominku, podwinąwszy suknię, jak zwykle. Zamiast jednak, jak zwykle, trzymać szklankę na kolanie, pozwoliła jej stać na gzymsie od kominka, a oparłszy lewy łokieć o prawą rękę, a brodę na lewej ręce, patrzyła w zamyśleniu na mnie. Ile razy podniosłem oczy od mojego pisania, spotykałem się z jej wzrokiem.

„Jestem w najczulszem usposobieniu, mój drogi“, zapewniała, kiwnąwszy mi głową, „ale zdenerwowana i zmartwiona!“

Byłem tak zajęty, że dopiero gdy poszła spać zauważyłem, iż zostawiła swoją miksturkę, jak nazywała wieczorny swój napój, nietkniętą na kominku. Gdy zapukałem, żeby jej o tem przypomnieć, podeszła do drzwi jeszcze serdeczniej, niż zwykle, ale powiedziała tylko: „Jakoś nie mam humoru pić tego dzisiaj, Trotku“, potrząsnęła głową i wróciła do siebie.

Rano przeczytała ciotka list mój do obu starszych pań i uznała, że jest dobry. Nadałem go na pocztę i już mi nic nie pozostało, jak możliwie jaknajcierpliwiej czekać na odpowiedź. Już tak prawie od tygodnia czekałem na nią, gdy pewnego śnieżnego wieczora wyszedłem od doktora i wracałem do domu.

Był to mroźny dzień, a ostry wiatr północno wschodni dął przez pewien czas. Wiatr uciszył się pod wieczór i zaczął padać śnieg. Przypominam sobie, była to ciężka, obfita śnieżyca; śnieg padał wielkiemi płatami i leżał grubą warstwą. Turkot kół, kroki ludzi tak ucichły, jakgdyby ulice wysłano pierzem.

Najbliższa moja droga do domu — a naturalnie w taki wieczór obrałem najkrótszą — prowadziła przez uliczkę św. Marcina. Otóż kościół, który nadaje miano tej uliczce, nie stał tak swobodnie w owym czasie; nie było przed nim wolnej przestrzeni, a uliczka skręcała ku Wybrzeżu. Gdym mijał stopnie portalu, ujrzałem na rogu ulicy twarz kobiety. Spojrzała w moją twarz, przeszła wąską uliczkę i zniknęła. Znałem ją. Gdzieś ją widziaem. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie. Coś mi się z nią wiązało, co mnie odrazu targnęło za serce — ale myślałem właśnie o czem innem, i to mnie zamroczyło.

Na stopniach kościoła stała pochylona postać mężczyzny, który na gładkim śniegu złożył jakiś ciężar, żeby go lepiej założyć na plecy; gdy ujrzałem twarz kobiety i jego ujrzałem równocześnie. Nawet, zdaje się przystanąłem, zadziwiony; ale w każdym razie, gdym szedł dalej, on powstał, obrócił się i zaczął iść ku mnie. Stanąłem twarzą w twarz z panem Peggotty!

Teraz przypomniałem sobie tę kobietę. Było to Marta, której Emilka dała pieniądze owego wieczora w kuchni. Marta Endell — obok której wuj jej, jak mi Ham powiedział, nie chciałby był widzieć swej ukochanej siostrzenicy za żadne skarby, zagrzebane w falach morza.

Uścisnęliśmy sobie ręce serdecznie. Zrazu żaden z nas nie mógł przemówić słowa.

„Panie Dawidku!“ przemówił wreszcie pan Peggotty, trzymając mnie silnie; „tak mi na sercu dobrze, że was widzę, panie. Miłe spotkanie, dobre spotkanie!“

„Dobre spotkanie, mój drogi, stary przyjacielu!“ odparłem.

„Myślałem pójść i dopytywać się o pana dziś wieczór“, mówił, „ale widząc, że ciotka pańska mieszka z panem... bo ja byłem tam... w Yarmouth... bałem się, że będzie zapóźno. Byłbym przyszedł wcześnie rano, panie, zanim znów odejdę“.

„Znów?“ zapytałem.

„Tak, panie“, odpowiedział, cierpliwie potrząsając głową, „jutro rano wyruszam“.

„Dokądże szedł pan teraz?“ zapytałem.

„No, miałem zamiar gdzieś się zatrzymać na noc“, odpowiedział, strząsając śnieg z długich swoich włosów.

W owych czasach istniało boczne wejście na stajenne podwórze „Złotego Krzyża“, oberży tak mi pamiętnej

w związku z jego nieszczęściem, a znajdowało się ono prawie naprzeciw miejsca, gdzie staliśmy. Wskazałem mu bramę, ująłem go pod ramię i weszliśmy. Jakieś dwie czy trzy izby restauracyjne wychodziły na podwórze; zajrzawszy do jednej z nich i widząc, że jest pusta i że pali się w niej dobry ogień, wprowadziłem go tam.

Gdym zobaczył go w świetle, zauważyłem, że nietylko ma długie i zwichrzone włosy, ale i twarz na brązowo spaloną od słońca. Posiwiał mocno, bruzdy na twarzy i policzkach pogłębiły się, i znać było po nim, że harował i wędrował, wystawiony na wszelkie dokuczliwości pogody; wyglądał jednakże bardzo silnie, jak człowiek, krzepiony stałem przedsięwzięciem, którego nic zmóc nie może. Strzepnął śnieg z kapelusza i ubrania i otarł go z twarzy, podczas gdy ja robiłem te uwagi. Siadłszy naprzeciw mnie przy stole, plecami zwrócony do drzwi wchodowych, wyciągnął szorstką swoją dłoń i ujął moją gorącym uściskiem.

„Opowiem panu, panie Dawidku", zaczął, „gdzie ja to wszędzie byłem i wszystko, cośmy usłyszeli. Byliśmy daleko, usłyszeliśmy niewiele; ale opowiem panu".

Zadzwoniłem, chcąc obstalować coś gorącego do wypicia. Nie chciał nic mocniejszego od piwa a l e, a podczas gdy je przynoszono i grzano przy ogniu, siedział i rozmyślał. Jakaś dostojna powaga była w jego twarzy; nie śmiałem jej mącić.

„Gdy była dzieckiem", zaczął, podnosząc głowę, skoro zostaliśmy sami, „lubiła mi ona dużo opowiadać o morzu, i o tych wybrzeżach, gdzie morze jest ciemnoszafirowe i zawsze jaśnieje w słońcu. Myślałem niekiedy, iż to dlatego, że ojciec jej utonął, ona tyle o tem myślała. Nie wiem, widzi pan, ale być może, że wierzyła... czy miała nadzieję, że może popłynął w te okolice, gdzie kwiaty zawsze kwitną, a świat jest zawsze słoneczny".

„Takie to było zapewne dziecinne marzenie", odpowiedziałem.

„Gdy nam... zaginęła", mówił dalej pan Peggoty, „byłem w duchu przekonany, że on ją zawiezie do tamtych krajów. Wiedziałem w głębi duszy, że on jej musiał opowiadać o nich cuda i jak to ona będzie tam panią — i że właśnie dla tej przyczyny zaczęła ona najpierw dawać mu ucho. Gdyśmy byli u jego matki, upewniłem się, że miałem słuszność. Przepłynąłem przez kanał do Francji i tam wylądowałem, jak gdybym z nieba spadł".

Zobaczyłem, że drzwi się poruszyły i że śnieg zaczął prószyć do izby. Zobaczyłem, że odmykają się trochę więcej i że jakaś ręka wsuwa się delikatnie w szparę, żeby się zamknąć nie mogły.

„Odszukałem pewnego angielskiego pana, który tam był urzędowo przy władzy", opowiadał pan Peggotty, „i powiedziałem mu, że idę szukać mojej siostrzenicy. On dał mi papiery, potrzebne mi w drodze — nie wiem dokładnie, jak się to nazywa — i chciał mi dać pieniędzy, ale za to podziękowałem, bo nie było mi potrzeba. Podziękowałem mu pięknie za wszystko, co dla mnie zrobił, naturalnie! — Napiszę i uprzedzę o was, — mówi on do mnie, — i będę mówił z takimi, co w tamte strony pojadą i wielu o was wiedzieć będzie, daleko stąd, gdy sami będziecie podróżować. — Powiedziałem mu, jak tylko najlepiej umiałem, jak bardzo mu wdzięczny jestem i powędrowałem przez Francję".

„Sam i na piechotę?" zapytałem.

„Przeważnie na piechotę", odpowiedział; „czasem na wozie z ludźmi, co jechali na targ, czasem jakim pustym wozem. Wiele mil dziennie pieszo, często z jakim biednym żołnierzem, co szedł w odwiedziny do znajomych. Nie mogłem z takim gadać, ani on ze mną; ale zawszeć miało się towarzystwo na zakurzonych drogach".

Miła przyjacielska nuta, dobrze mi znana, zabrzmiała w jego głosie.

„Gdy przychodziłem do jakiego miasta", mówił dalej, „odszukiwałem hotel i czekałem na podworcu, aż nie nawinął się ktoś, a najczęściej się ktoś taki nawinął, co umiał po angielsku. Wtedy opowiadałem, jakto ja szukam siostrzenicy, a oni mi powiadali, jacy to państwo są w hotelu, a ja czekałem, czy nie zobaczę kogoś do niej podobnego pomiędzy tymi, co wchodzili i wychodzili. A jak tam nie było Emilki, to szedłem dalej. Potroszę, potroszę, kiedy przychodziłem do nowej wioski albo gdzieś, pomiędzy biednych ludzi, przekonywałem się, że już o mnie wiedzą. Prosili mnie usiąść przed drzwiami swoich chat, dawali mi jeść i pić i dawali nocleg; a niejedną kobietę, panie Dawidku, co miała córkę w latach Emilki, zastawałem wyczekującą na mnie za wsią pod krzyżem bożej męki, ażeby mi wyświadczyć gościnność. Niektóre były to matki córek, które im pomarły. Bóg jeden wie, jak poczciwe były te matki dla mnie!"

Tak, to Marta była pod drzwiami. Wyraźnie widziałem jej zmizerowaną, nadsłuchującą twarz. Bałem się by pan Peggotty nie odwrócił głowy i także jej nie zobaczył.

„Często sadzały mi dzieci swoje... szczególnej małe dziewczynki, na kolanach", mówił dalej; „i często mógłby pan mnie widzieć siedzącego podle ich drzwi, gdy nadchodził wieczór, tak prawie, jakby to były dzieci mojej ukochanej, O moje kochanie!"

Przemożnym żalem owładnięty, zaszlochał głośno. Drżącą rękę położyłem na ręce, którą zasłonił twarz.

„Dziękuję panu“, rzekł, „proszę na to nie uważać!“

Po krótkiej chwili odjął rękę od warzy, położył ją na piersiach i dalej ciągnął swoją opowieść.

„Często odprowadzali mnie oni, rankiem, kawałek drogi, a gdyśmy się żegnali i ja im mówiłem: — Wdzięczny wam jestem bardzo. Zostańcie z Bogiem! — oni tak, jakby mnie rozumieli i mile odpowiadali. Nareszcie doszedłem do morza. Ne było to ciężko, może sobie pan wyobrazić, dla żeglarza, jakim ja jestem, przedostać się do morza. Gdy się tam znalazłem, wędrowałem znów tak jak przedtem. Ludzie byli tak samo dobrzy dla mnie i byłbym tak chodził od miasta do miasta może przez cały kraj, ale dostałem wiadomości, że ich tam w szwajcarskich górach widziano. Ktoś, kto znał ich służącego, widział ich tam wszystkich troje i powiedział mi, jak podróżują i gdzie są. Puściłem się więc ku górom, panie Dawidku, dniami i nocami szedłem. Ile drogi uszedłem, tyle góry, zdawało się, odsunęły się ode mnie. Nareszcie jednak dodarłem do nich, nareszcie je przebyłem. Gdy się zbliżałem do tej miejscowości, o której mówiono, zacząłem myśleć w duchu: — Co ja też zrobię, jak ją zobaczę? —“

Twarz słuchającej, nieczułej na zimno nocy, wciąż cisnęła się do drzwi, a ręce prosiły mnie, błagały, bym nie wyrzucał jej z proga.

„Nigdy o niej nie zwątpiłem“, mówił pan Peggotty. „Nie! Ani na chwilę! Niechby tylko twarz moją zobaczyła niechby tylko usłyszała mój głos — niechbym tylko stanął cicho przed nią i przywiódł jej na pamięć dom, z którego uciekła i dziecinne jej lata, a gdyby nawet dosięgła królewskich godności, padłaby mi do nóg! Wiedziałem to dobrze! Często we śnie słyszałem, jak wołała: — Wuju! — i widziałem ją, padającą przede mną, jak martwą! Często we śnie podnosiłem ją i szeptałem: — Emilko, kochanie moje, przynoszę ci przebaczenie i chcę cię zabrać do domu!—“

Przestał, potrząsnął głową i z westchnieniem mówił dalej:

„On był niczem dla mnie. Emilka była wszystkiem. Kupiłem wiejskie sukienki, żeby ją w nie przebrać i wiedziałem że bylem ją odnalazł, pójdzie ze mną przez te kamieniste drogi, gdziebym tylko poszedł i nigdy, nigdy już mnie nie opuści. Ubrać ją w te sukienki, zrzucić z niej to, co ma na sobie — wziąć ją znów na ręce i wędrować ku domowi — zatrzymać się czasem po drodze i goić jej zranione nogi i serce jeszcze gorzej zranione — o tem teraz tylko myślałem. Zdaje mi się, że na niego nawetbym nie spojrzał... Ale panie Dawidku, nie miało się to stać — jeszcze nie! Przybyłem zapóźno, już wyjechali. Dokąd, tego dowiedzieć się nie mogłem. Jedni mówili, że tam, drudzy, że gdzieindziej. Byłem i tu, byłem i tam, ale nie znalazłem Emilki i wróciłem do domu“.

„Jak dawno temu?“ zapytałem.

„Przed kilkoma dniami“, odparł. „Zobaczyłem starą łódź o zmroku i światło, świecące w oknie. Gdy podszedłem i zajrzałem przez szybę, zobaczyłem to poczciwe stworzenie, panią Gummidge, siedzącą przy ogniu, tak jak się umówiliśmy, samą. Zawołałem: — Nie przestraszcie się! To ja, Daniel! — i wszedłem. Nigdy nie byłbym przypuścił, że stara łódź tak obcą mi się wyda!“

Z jakiejś kieszeni na piersiach wydostał z wielką starannością zawiniątko w papierze, zawierające parę listów czy małych paczek, i położył to na stole.

„To pierwsze przyszło“, rzekł, wybierając z pomiędzy reszty, „jeszcze zanim minął tydzień po mojem wyjściu. Banknot pięćdziesięciofuntowy, zawinięty w arkusz papieru i podsunięty nocą pod drzwi. Starała się ukryć swoje pismo, ale nie mogła ukryć go przede mną!“

Złożył z powrotem banknot z wielką cierpliwością i staraniem tak samo i położył go na boku.

„To przyszło do pani Gummidge“, rzekł, otwierając drugie, „dwa czy trzy miesiące temu“. Popatrzył przez parę chwil na pismo, podał mi je i dodał cichym głosem: „Niech pan będzie łaskaw to przeczytać“.

Przeczytałem co następuje:

„Och, co pani uczujesz, widząc to pismo i wiedząc, że pisała je moja niepoczciwa ręka! Ale spróbuj pani — nie przez wzgląd na mnie, ale na dobroć wuja — łagodniej pomyśleć o mnie, choćby tylko na krótką, krótką chwilę! Proszę, bądź pani miłosierną dla nieszczęsnej dziewczyny i napisz mi, czy on zdrów i co o mnie powiedział, zanim przestaliście wspominać mnie między sobą — i czy, wieczorami, w godzinach, gdy dawniej wracałam do was, widzi go pani czasem zamyślonego, jak gdyby myślał o tej, którą niegdyś tak bardzo kochał? Och, serce mi pęka, gdy myślę o tem! Na kolanach proszę i błagam panią, nie bądź dla mnie tak surową, jak na to zasługuję — jak ja dobrze, dobrze wiem, że zasługuję — ale bądź względną i bądź na tyle dobrą, by mi napisać coś o nim i przysłać. Niech mnie pani nie nazywa pieszczotliwie, jak dawniej, niech mnie pani nie nazywa tem imieniem, które shańbiłam, ale och, niech się pani ulituje

mojej męki i napisze parę słów o wuju, którego nigdy już, nigdy na tym świecie oczy moje nie zobaczą!

„Droga, jeżeli serce pani zimne jest dla mnie — słusznie, ja to wiem — ale, posłuchaj pani, jeżeli jest zimne i bez litości, zapytaj wpierw tego, którego skrzywdziłam najbardziej — tego, którego żoną miałam być — zanim stanowczo odrzucisz mą prośbę! Jeżeli on był tak litościwy i powiedział, że może pani napisać, gdy o to proszę, — a myślę, że powiedziałby to, on, zawsze tak zacny i przebaczający — powiedz mu pani wtedy, że nocą, gdy słyszę wicher, co wyje, czuje zawsze, jak gdyby, widząc wuja i jego, ten wicher z gniewem niósł skargę na mnie do Boga. Powiedz mu pani, że gdybym miała jutro umierać, błogosławiłabym wuja i jego ostatniemi słowy i modliłabym się o jego szczęście ostatnim tchem!“

I do tego listu dołączyła trochę pieniędzy. Pięć funtów. Nietknięte były jak i pierwsza suma a pan Peggotty złożył je w ten sam sposób. Szczegółowe wskazówki dane były co do adresu, a chociaż pozwalały odgadnąć, że list przechodzić będzie przez kilka rąk i utrudniały możność odnalezienia jej ukrycia, jednakże nie osłabiały przypuszczenia, że pisała z miejscowości, gdzie ją widziano.

„Jaką odpowiedź wysłano?“ zapytałem.

„Pani Gummidge“, odpowiedział pan Peggotty, „nie jest bardzo uczoną, to też Ham poczciwie list napisał a ona go tylko przepisała. Donieśli jej, że poszedłem na jej poszukiwanie i jakie były moje słowa przy pożegnaniu“.

„Czy to jeszcze jeden list trzyma pan w ręku?“ zapytałem.

„To pieniądze, panie“, odpowiedział, trochę rozwijając banknot. „Dziesięć funtów, widzi pan. A wewnątrz napisane: — od prawdziwego przyjaciela, — tak jak przy pierwszych. Tylko, że pierwsze były podsunięte pod drzwi, a te przyszły pocztą przedwczoraj. Będę jej szukał według stempla na marce“.

Pokazał mi go. Było to miasto nad górnym Renem. Wyszukał w Yarmouth jakichś zagranicznych kupców, którzy znali ten kraj — i oni mu wyrysowali zgrubsza mapkę, w której się dobrze rozeznawał. Położył ją między sobą a mną na stole i oparłszy brodę na jednej ręce, drugą kreślił mi swą drogę na mapie.

Zapytałem go, jak się miewa Ham. Potrząsnął głową.

„Pracuje dzielnie“, odpowiedział. „W całej okolicy ma jak najlepsze imię. Każdy gotów jest rękę wyciągnąć, by mu dopomóc i on tak samo radby dopomóc każdemu. Nikt nie słyszał skargi z jego ust. Ale siostra moja twierdzi (między nami), że go to strasznie podcięło“.

„Biedny chłopak! Bardzo wierzę!“

„I nic nie dba, panie Dawidku“, szepnął pan Peggotty uroczyście, „nic nie dba o swoje życie. Jeżeli potrzeba człowieka do ciężkiej służby w najgorszy czas, on się tam zawsze stawi. Jeżeli ciężka potrzeba, ratunek z niebezpieczeństwem, on pierwszy staje przed innymi. A łagodny jak dziecko jakie. Każde dziecko w Yarmouth go zna“.

Zebrał listy starannie, wygładzając je ręką; zrobił z nich mały pakiecik i czule złożył go z powrotem na piersiach. Twarz kobiety znikła z za drzwi. Widziałem, że jeszcze śnieg wpada, ale niczego więcej tam nie było.

„No tak“, powiedział, spojrzawszy na swój worek, „ponieważ was, panie Dawidku, widziałem dziś wieczór (a jak mi to dobrze zrobiło), jutro wyruszę wcześnie rano. Widział pan, co ja tu mam“, tu dotknął ręką miejsca na piersiach, gdzie miał pakiecik; „mnie tylko to trapi, żeby mi się co złego nie przygodziło, zanim ja te pieniądze zwrócę. Gdybym miał umrzeć, albo gdybym te pieniądze zgubił, albo gdyby mi je skradli a on mógł pomyśleć, że ja je wziąłem, myślę, że na drugim świecie nie miałbym spokoju! Z drugiego świata musiałbym powrócić!“

Wstał i ja też wstałem; przed wyjściem jeszcze raz podaliśmy sobie ręce.

„Poszedłbym dziesięć tysięcy mil“, rzekł jeszcze, „szedłbym, dopókibym trupem nie padł, żeby te pieniądze przed oczy mu położyć. Jeśli to uczynię i znajdę moją Emilkę, będę zadowolony. Jeżeli jej nie znajdę, być może, posłyszy ona kiedyś, że kochający ją wuj dopiero kończąc życie przestał jej szukać; a tak, jak ją znam, choćby to jedno zawróci ją wkońcu do domu!“

Gdyśmy wychodzili w tę mroźną noc, ujrzałem samotną postać uchodzącą przed nami. Obróciłem go szybko pod jakimś pozorem i zatrzymałem w rozmowie, dopóki nie zniknęła.

Wspomniał mi o domu dla podróżnych na drodze do Dover, gdzie wiedział, że może znaleźć czysty, skromny nocleg. Poszedłem z nim przez most westminsterski i pożegnałem go na drugim brzegu. Zdawało mi się, że wszystko tak się uciszyło z szacunku dla niego, gdy rozpoczynał znów tę samotną podróż przez śniegi.

Powróciłem na dziedziniec oberży i pod wrażeniem zapamiętanej twarzy, rozglądałem się z jakąś grozą, szukając jej dokoła. Nie było jej tam. Śnieg zasypał świeże ślady naszych stóp, ostatnie tylko moje kroki były widoczne; a nawet te zaczynały niknąć (tak śnieg szybko padał), gdym się obejrzał przez ramię.

Rozdział czterdziesty pierwszy.

Ciotki Dory.

Przyszła nareszcie odpowiedź od obu starszych pań. Zasyłając uprzejme wyrazy panu Copperfieldowi, donosiły, że nad listem jego zastanowiły się głęboko, „mając na względzie dobro obu stron"; ten zwrot wydał mi się trochę niepokojącym, nietylko dla tego, że tak się wyraziły z okazji wyżej wspomnianego rodzinnego nieporozumienia, ale że zawsze uważałem, iż konwencjonalne zwroty, to rodzaj fajerwerków, łatwo puszczanych, ale mogących przybrać przeróżne kształty i barwy, pierwotnem ich brzmieniem bynajmniej nie określone. Pozatem panny Spenlow przepraszały w liście nie wyrażając swego zdania co do treści prośby pana Copperfielda; o ile jednak pan Copperfield byłby łaskaw któregokolwiek dnia (w towarzystwie, jeśli zechce, zaufanego przyjaciela) złożyć im wizytę, rade będą pomówić o tym przedmiocie.

Na te łaskawe słowa pan Copperfield natychmiast odpowiedział; zasyłając wyrazy najgłębszego poważania, donosił, że ośmieli się złożyć pannom Spenlow swoje uszanowanie w oznaczonym dniu, w towarzystwie, skoro na to pozwalają, przyjaciela swojego pana Tomasza Traddlesa, studenta prawa. Wysławszy ten list, pan Copperfield zapadł w stan silnego nerwowego podniecenia — i trwał w nim, aż nadszedł oznaczony dzień.

Zwiększało to bardzo moje zaniepokojenie, że przy tym tak ważnym kroku zabrakło mi nieocenionej pomocy panny Mills. Jednakże pan Mills, który zawsze musiał mi coś zrobić na złość (tak ja to przynajmniej odczuwałem, co wychodziło na jedno) — doszedł już do ostatecznej ostateczności, gdyż wbił sobie w głowę — że musi pojechać do Indyj. I na cóż on miał jechać do Indyj, jeśli nie tylko na moje utrapienie? To prawda, że z żadną inną częścią świata nie miał nic do czynienia, a z tą bardzo wiele. Był bowiem całkowicie zaangażowany w handlu indyjskim, nie wiem zresztą jakim (mnie się roiło coś o złotych szalach i kłach słoniowych); za młodu był w Kalkucie i teraz zamierzał znów tam się udać, a nawet osiąść jako wspólnik na miejscu. Ale to wszystko było dla mnie niczem. Dla niego jednak było wszystkiem, więc wybierał się do Indyj i zabierał Julję ze sobą; tymczasem Julja wyjechała na wieś pożegnać się z krewnymi, dom formalnie oblepiono kartami, że jest do wynajęcia albo do sprzedania i że meble (magiel i wszystko inne) są do odstąpienia wedle umowy. Tak więc stałem się oto ofiarą drugiego trzęsienia ziemi, zanim ochłonąłem po pierwszem.

Byłem w rozterce, jak mam się ubrać na tę wielkiej wagi uroczystą wizytę; z jednej strony byłbym pragnął przedstawić się korzystnie, z drugiej lękałem się włożyć na siebie coś, coby mi w oczach panien Spenlow ujęło z charakteru powagi i praktyczności. Starałem się znaleźć szczęśliwy środek pomiędzy temi ostatecznościami; znalazłem uznanie w oczach ciotki, pan Dick zaś, gdy wraz z Traddlesem schodziłem ze schodów, rzucił za nami trzewikiem „na szczęście".

Chociaż wiedziałem, jakim poczciwem był Traddles, chociaż tak szczerze przywiązany byłem do niego, mimowoli żałowałem w tej delikatnej sytuacji, że przyzwyczaił się szczotkować włosy tak do góry. Nadawało mu to wyraz zdumienia — przypominało szczotkę do czyszczenia komina — a coś mi lękliwie szeptało, że może się to stać dla nas zgubne.

Ośmieliłem się wspomnieć o tem Traddlesowi w drodze do Putney; napomknąłem, że możeby mógł włosy trochę przygładzić...

„Mój drogi", odpowiedział, zdejmując kapelusz i gniecąc włosy na wszystkie strony, „zrobiłbym to z największą przyjemnością. Ale one nie chcą".

„Nie chcą się dać przygładzić?" zapytałem.

„Nie", odpowiedział. „Za nic. Gdybym nawet przez całą drogę do Putney pół centnara dźwigał na głowie, te włosy staną prosto z chwilą gdy zdejmę ciężar. Ty nie masz pojęcia, jakie one są uparte, te moje włosy, Copperfieldzie. Ze mnie to poprostu nieszczęsny jeż, mój drogi".

Muszę przyznać, że ta odpowiedź sprawiła mi pewien zawód, ale zarazem serdecznie ujęła mnie jego poczciwość. Powiedziałem mu, jak bardzo cenię jego zacność i że włosy chyba musiały wyciągnąć wszelki upór z jego charakteru, gdyż uporu on nie miał za grosz.

„Ach!" odpowiedział Traddles, śmiejąc się, „zapewniam cię, że stara to historja z temi mojemi nieszczęsnemi włosami. Żona mojego wuja nie mogła ich znieść. Mówiła, że ją doprowadzają do pasji. Bardzo mi też przeszkadzały z początku, gdy zakochałem się w Zofji. Bardzo!"

„Czy ona miała coś przeciw nim?"

„Ona nie", odpowiedział Traddles, „ale jej starsza siostra, ta, co to jest pięknością, wprost z nich kpiła, ja wiem. Rzeczywiście, wszystkie siostry śmieją się z moich włosów".

„Bardzo to przyjemne!" wtrąciłem.

„Tak", odpowiedział Traddles zupełnie niewinnie, „to temat do żartów pomiędzy nami. Siostry twierdzą, że Zofja ma kosmyk moich włosów w biurku i że musi go zamykać

w książce z klamrą, bo inaczej nie uleżałby gładko. Śmiejemy się z tego".

„Ale, ale, mój kochany", rzekłem, „może mi doświadczenie twoje w czemś dopomoże. Gdy się zaręczyłeś z twoją panienką, czy wtedy formalnie oświadczałeś się o jej rękę rodzinie? Czy naprzykład było tam coś podobnego do tego, co nas tutaj dzisiaj czeka?" pytałem niespokojnie.

„Widzisz", odpowiedział Traddles, a skupiona jego twarz powlokła się cieniem zamyślenia, „przykra to była przeprawa z tą moją sprawą, Copperfieldzie. Rozumiesz, zważywszy że Zofja tak była pożyteczną w rodzinie, żadne z nich nie mogło znieść myśli, że ona może wyjść zamąż. Naprawdę, oni poprostu tak to ułożyli między sobą, że Zofja nigdy zamąż nie wyjdzie i nazywali ją starą panną. To też, gdy się najostrożniej w świecie odezwałem z tem do pani Crewler..."

„Do mamy?" wtrąciłem.

„Do mamy", odpowiedział, „do pani Crewler; gdy o tem jej najostrożniej w świecie wspomniałem, skutek był taki, że krzyknęła i straciła przytomność. Przez kilka miesięcy nie mogłem dotknąć tego przedmiotu".

„Ale w końcu przemówiłeś?" pytałem.

„Uczynił to sam wielebny Horacy Crewler", odpowiedział Traddles. „To najzacniejszy w świecie człowiek, wzorowy pod każdym względem; wytłomaczył on żonie, że, jako chrześcijanka, powinna zgodzić się na tę ofiarę (zwłaszcza, że wszystko to jeszcze takie niepewne) i nie żywić dla mnie nieżyczliwych uczuć. Co do mnie, Copperfieldzie, słowo ci daję, zdawało mi się, że dla całej ich rodziny jestem poprostu drapieżnym ptakiem".

„Siostry chyba stanęły po twojej stronie, sądzę?"

„Coprawda, to nie mogę tego powiedzieć", odparł. „Gdy już trochę pogodziliśmy panią Crewler z tą myślą, trzeba było oznajmić rzecz Sarze. Pamiętasz, że ci wspominałem o Sarze, tej, co to ma coś z krzyżem?"

„Doskonale!"

„Zacisnęła obie ręce", opowiadał Traddles ze zgrozą, „zamknęła oczy, zbladła, jak trup, kompletnie zesztywniała, i nic przez dwa dni nie jadła, prócz grzanek i wody, i to jeszcze karmiono ją łyżeczką".

„Jakaż to nieprzyjemna dziewczyna!" zauważyłem.

„Ach, przepraszam cię, Copperfieldzie!" odpowiedział Traddles. „To bardzo miła dziewczyna, owszem, tylko bardzo uczuciowa. Naprawdę, one wszystkie są bardzo uczuciowe. Zofja mówiła mi później, że tych wyrzutów sumienia, jakie odczuwała, pielęgnując Sarę, niepodobna wyrazić słowami. Wierzę bardzo, sądząc po moich własnych uczuciach, Copperfieldzie; bo ja czułem się wprost zbrodniarzem. Gdy Sara przyszła do siebie, musieliśmy jeszcze uświadomić

w tym względzie ośmioro pozostałych i różne to na nich sprawiało wrażenie, zawsze bardzo bolesnej natury. Dwie najmłodsze, które Zofja wychowuje, dopiero teraz niedawno przestały mnie nie...nawidzieć".

„W każdym razie, przypuszczam, że już się z tem pogodzili?" zapytałem.

„No, no tak, mógłbym powiedzieć, że ogólnie biorąc, są zrezygnowani", odpowiedział Traddles niepewnie. „Faktem jest, że unikamy wspominania o tej sprawie, moje zaś nieustalone widoki i nieświetna sytuacja, to dla nich wielka pociecha. Będzie to kiedyś okropna scena, gdy przyjdzie do naszego ślubu. Będzie to raczej wyglądało jak pogrzeb, a nie jak wesele. I wszyscy będą mnie niecierpieli za to, że ją zabieram!"

Zacną jego twarz, patrzącą na mnie, gdy wpół serjo, wpół komicznie potrząsał głową, wyraźniej może widzę we wspomnieniu niż nawet wtedy widziałem w rzeczywistości, gdyż byłem wtedy tak do głębi wzburzony i tak bardzo roztargniony, że zupełnie na niczem nie mogłem skupić uwagi. Gdyśmy się zbliżali do domu, zamieszkałego przez panny Spenlow, wyglądałem tak źle i taki byłem prawie nieprzytomny, że Traddles zaproponował mi lekką podnietę w postaci szklanki piwa. Zadawszy mi ten lek w pobliskiej restauracji, skierował moje chwiejne kroki do drzwi panien Spenlow.

Miałem niejasne poczucie, że jestem niejako na widoku, gdy służąca otworzyła drzwi, i że jakoś przemykam się drżący przez sień z barometrem do cichego, małego saloniku na parterze, z oknami na ładny ogródek. A także, że siadam tam na kanapie i widzę włosy Traddlesa, stające sztorcem z chwilą, gdy zdjął kapelusz, niby te sprężynowe figurki, co to wyskakują z fałszywych tabakierek, gdy się tylko zdejmie wieko. Wydawało mi się także, że słyszę staroświecki zegar, tykający gdzieś na kominku i starający się napróżno dotrzymać kroku mojemu nieregularnie skaczącemu sercu. A także mam niejasne wrażenie, że oglądałem się po pokoju, szukając, czy nie dopatrzę się jakiego śladu Dory, i że nie mogłem się niczego dopatrzeć. A także, że mi się wydało, iż Jip szczekał gdzieś niedaleko i że go ktoś natychmiast uciszył. Ostatecznie spostrzegłem, że wpycham Traddlesa w otwór kominka i bardzo zmieszany kłaniam się dwom małym, zasuszonym starszym paniom, czarno ubranym, z których tak jedna jak druga wyglądały niby dwie wystrugane z żółtego drzewa podobizny nieboszczyka pana Spenlow.

„Proszę, niech pan siada", przemówiła jedna z dwóch małych damulek.

Gdy przestałem potykać się o Traddlesa i gdy zasiadłem na czemś, co nie było kotem — bo pierwszy raz przysiadłem na kocie — odzyskałem wzrok na tyle, że spostrzegłem, iż pan Spenlow był widocznie najmłodszym z rodziny; że było z jakie sześć do ośmiu lat różnicy wieku pomiędzy siostrami i że młodsza widocznie miała prowadzić rozprawę, ona bowiem trzymała w ręku mój list — tak mi dobrze znany, a jednak tak dziwny! i ona to zaglądała do niego przez ręczną lornetkę. Ubrane były te panie jednakowo, ale suknia siostry wyglądała jakoś bardziej młodociano; może było tam odrobinę więcej krezy, czy wstążki, czy broszka, czy bransoletka, czy jakiś drobiazg tego rodzaju, który ją jakoś ożywiał. Obie trzymały się prosto, obie wyglądały szytwno, dokładne, opanowane i spokojne. Ta siostra, która nie miała mojego listu, trzymała ręce skrzyżowane na piersiach, jak bożek.

„Pan Copperfield, jeśli się nie mylę", przemówiła ta siostra, która trzymała mój list, zwracając się do Traddlesa.

Straszny to był początek. Traddles musiał objaśnić, że ja jestem Copperfieldem, ja musiałem przyznać się do siebie, one zaś musiały wyzbyć się uprzedzenia, że to Traddles jest Copperfieldem; jednem słowem w ładnem znaleźliśmy się położeniu. Nadomiar wszyscy usłyszeliśmy wyraźnie dwa krótkie szczeknięcia Jipa i następującego potem klapsa.

„Panie Copperfield!" zaczęła ta z sióstr, co trzymała list.

Zrobiłem jakiś gest — ukłoniłem się, przypuszczam — i cały skupiłem się w uwadze, gdy druga siostra wtrąciła: „Siostra moja Lawinja, będąc biegłą w sprawach tej natury, przedstawi, co uważamy za najstosowniejsze dla zapewnienia szczęścia obu stronom".

Dowiedziałem się później, że panna Lawinja była powagą w sprawach sercowych, ponieważ istniał niegdyś niejaki pan Pidger, grający w wista, o którym mniemano, że się w niej kochał. Wedle mojego osobistego zdania, było to przypuszczenie zupełnie bezpodstawne i Pidger nie miał na sumieniu żadnych takich uczuć — w każdym razie nigdy nie słyszałem, by im kiedykolwiek był dał wyraz. Obiedwie jednak, panna Lawinja i panna Klaryssa, żywiły przekonanie, że byłby sentyment swój oświadczył, gdyby nie to, że zgasł przedwcześnie za młodu (mając około sześćdziesiątki), zapiwszy się, a następnie, chcąc to naprawić, nadużywając picia wód Bath. Siostry miały nawet ciche podejrzenie, że umarł on z utajonej miłości; był tam jednakże w domu jego portret z nosem purpurowym, nie nadającym się do utajenia.

„Nie będziemy dotykać minionych dziejów tej sprawy", przemówiła panna Lawinia. „Śmierć naszego brata, Franciszka, przemazała to wszystko".

„Nie było u nas w zwyczaju", odezwała się panna Klaryssa, „często spotykać się z bratem naszym, Franciszkiem, nie było jednakże stanowczego zerwania ani niezgody pomiędzy nami. Franciszek poszedł swoją drogą, my swoją. Uważałyśmy, że tak będzie najlepiej dla szczęścia obydwu stron. I tak też było".

Obydwie siostry miały zwyczaj pochylać się trochę naprzód, gdy miały coś do powiedzenia, potrząsać głową po wypowiedzeniu i prostować się znów, gdy zamilkły. Panna Klarysa ani razu nie poruszyła skrzyżowanych ramion. Bębniła raz poraz po nich jakieś melodje palcami — menuety to były, zdawało mi się, czy też marsze — ale nie rozkrzyżowała ich ani razu.

„Sytuacja naszej siostrzenicy, czy też przypuszczalna jej sytuacja bardzo się zmieniła przez śmierć brata naszego, Franciszka", mówiła dalej panna Lawinja; „to też uważamy, że i opinja naszego brata o jej sytuacji nie jest już dziś zupełnie trafną. Nie mamy powodu wątpić, panie Copperfield, że jesteś pan młodzieńcem wielkich zalet i zacnego charakteru i że jest pan przywiązanym — czy też szczerze przekonany, że jesteś pan przywiązanym — do naszej siostrzenicy".

Odpowiedziałem, jak zawsze, gdy tylko zdarzyła się po temu sposobność, że nikt nigdy nikogo tak nie kochał, jak ja kocham Dorę. Traddles przyszedł mi na pomoc, mrucząc potakująco.

Panna Lawinja miała właśnie coś odpowiedzieć, gdy panna Klaryssa, opętana widocznie nieustannem pragnieniem wspominania o bracie swoim, Franciszku, wpadła jej znowu w słowo.

„Gdyby matka Dory", rzekła, „gdy wychodziła za brata naszego, Franciszka, była odrazu powiedziała, że niema miejsca dla rodziny przy obiadowym stole, byłoby to było lepiej dla szczęścia obu stron".

„Siostro Klarysso", rzekła panna Lawinja. „Może nie potrzebujemy obecnie wspominać o tem".

„Siostro Lawinjo", odpowiedziała panna Klaryssa, „to należy do rzeczy. Do tamtej części sprawy, o której ty jedna masz prawo mówić, mnieby nie przyszło do głowy wtrącać się. Co do tej, mam głos i zdanie. Lepiejby było dla szczęścia wszystkich, gdyby matka Dory, wychodząc za brata naszego, Franciszka, jasno była przedstawiła swoje zapatrywanie. Byłybyśmy wtedy wiedziały, czego się mamy spodziewać. Byłybyśmy powiedziały: — proszę, nie zapraszaj nas wogóle; — i byłoby się uniknęło wszelkich nieporozumień".

Gdy już panna Klaryssa potrząsnęła głową, panna Lawinja podjęła sprawę, znów zaglądając przez lornetkę do

mojego listu. Obydwie, nawiasem mówiąc, miały małe, świecące, okrągłe, mrugające oczy, bardzo podobne do oczu ptasich. Wogóle, przypominały one potrosze ptaki, gdyż miały prędkie, skaczące, żwawe ruchy i jakiś sposób otrząsania się, jak kanarki.

Panna Lawinja mówiła tedy dalej: „Prosi pan więc, panie Copperfield, siotrę moją Klaryssę i mnie o pozwolenie bywania tutaj w roli starającego się o naszą siostrzenicę“.

„Jeżeli brat nasz Franciszek“, wybuchnęła znowu panna Klaryssa, jeśli ton tak spokojny można nazwać wybuchem, „życzył sobie otoczyć się atmosferą Doctors Commons i tylko Doctors Commons wyłącznie, czyż mogłyśmy mieć prawo albo ochotę sprzeciwiać się temu? Nie, bez wątpienia. Zawsze byłyśmy dalekie od chęci narzucania się komukolwiek. Ale dlaczego tego szczerze nie powiedzieć? Niech sobie brat nasz Franciszek i jego żona mają swoje towarzystwo. Moja siostra Lawinja i ja możemy mieć swoje. Możemy je sobie dobrać, spodziewam się!“

Ponieważ widocznie było to mówione do Traddlesa i do mnie, obaj coś na to odpowiedzieliśmy. Nie dosłyszałem, co mruknął Traddles, ja zaś, zdaje się, odpowiedziałem, że przynosi to zaszczyt tak jednym , jak drugim. Nie mam najmniejszego pojęcia, co przez to rozumiałem.

„Siostro Lawinjo“, przemówiła panna Klaryssa, zrzuciwszy widocznie ciężar z serca, „możesz dalej mówić, moja droga“.

Panna Lawinja ciągnęła tedy dalej: „Panie Copperfield, moja siostra Klaryssa i ja bardzo poważnie zastanowiłyśmy się nad tym listem, a zastanowiwszy się, ostatecznie pokazałyśmy go naszej siostrzenicy i wraz z nią go omówiłyśmy. Nie wątpimy, iż pan sądzi, że ją pan bardzo kocha“.

„Sądzę, pani?“ zacząłem w uniesieniu, „och!...“

Lecz panna Klaryssa spojrzeniem upomniała mnie, bym nie przerywał wyroczni — więc tylko szepnąłem: „Przepraszam!“

„Uczucie“, mówiła panna Lawinja, szukając wzrokiem potwierdzenia u siostry, która też lekkiem skinieniem przytakiwała każdemu zdaniu, „dojrzałe uczucie, hołd, przywiązanie, nie łatwo wyraża się w słowach. Głos jego jest cichy. Skromne jest i zamknięte w sobie, ukrywa się, czeka i czeka. Taki jest owoc dojrzały. Niekiedy życie upływa, a ono wciąż jeszcze dojrzewa w cieniu“.

Naturalnie, nie rozumiałem wtedy, że to, co mówiła, odnosi się do rzekomego jej przejścia z tkniętym apopleksją Pidgerem; widziałem jednak, wnosząc z tej powagi, z jaką panna Klarysa kiwała głową, że wielką wagę muszą mieć te słowa.

„Lekkie... bo tak je nazywam w porównaniu do tych uczuć... lekkie skłonności bardzo młodych ludzi“, ciągnęła dalej panna Lawinja, „są tem, czem piasek w porównaniu do skały. Ponieważ to tak trudno wiedzieć, czy przetrwają one, czy mają rzeczywiste podstawy, siostra moja Klaryssa i ja nie byłyśmy zdecydowane, jak postąpić, panie Copperfield i panie...

„Traddles“, poddał mój przyjaciel, widząc jej wzrok na sobie.

„Przepraszam... Student prawa, zdaje mi się?“ rzekła panna Lawinja, znów zaglądając do mojego listu.

„Tak jest“, odpowiedział Traddles i poczerwieniał na twarzy.

Otóż, jakkolwiek dotąd nie usłyszałem żadnego słowa wyraźnej zachęty, wyobraziłem sobie, że widzę w obu siostrach, a zwłaszcza w pannie Lawinji, żywe zadowolenie z tego nowego a tak obiecującego źródła wzruszeń i zainteresowania, że widzę gotowość przejmowania się naszą sprawą i pieszczenia się nią, i w tem dopatrzyłem się dla siebie dobrego, jasnego promyka nadziei. Zdawało mi się, że spostrzegam w pannie Lawinji, niezwykłą ochotę do kierowania dwojgiem młodych zakochanych, takich, jak Dora i ja, i że panna Klaryssa z niemniejszem zadowoleniem patrzyłaby na to, jak się to ona nami będzie opiekować, wtrącając ilekroćby poczuła wewnętrzny przymus, ustępy z sobie przynależnej dziedziny. Dodało mi to odwagi, tak, iż gorąco zacząłem zapewniać, że kocham Dorę ponad wszelką zdolność wypowiedzenia tego, wprost nie do uwierzenia; że wszyscy moi przyjaciele wiedzą, jak ją kocham, że ciotka moja, Agnieszka, Traddles, wszyscy, co mnie znają, wiedzą, jak ją kocham i jak spoważniałem, dzięki tej miłości. O potwierdzenie tej prawdy zwróciłem się do Traddlesa. A wtedy Traddles, zapalając się, jak gdyby wygłaszał mowę parlamentarną, wystąpił rzeczywiście wspaniale, dając o mnie świadectwo w pięknych, okrągłych zdaniach i w sposób rozumny a praktyczny, który widocznie korzystne sprawił wrażenie.

„Mówię“, kończył, „jeżeli mi wolno tak się wyrazić, jako człowiek, mający pewne doświadczenie w tych sprawach, ponieważ sam jestem zaręczony z panienką... jedną z dziesięciorga, mieszkają w Devonshire... i nie widzę na razie prawdopodobieństwa, by zaręczyny nasze doszły rychłego końca“.

„Potrafiłby pan może potwierdzić to, co ja powiedziałam, panie Traddles“, zauważyła panna Lawinja, widocznie świeżo nim zainteresowana, „o tem uczuciu, co to skromne jest i nieśmiałe, i czeka... czeka?“

„Najzupełniej, łaskawa pani“, odpowiedział Traddles.

Panna Klaryssa spojrzała na pannę Lawinję i poważnie potrząsnęła głową. Panna Lawinja znacząco spojrzała na pannę Klaryssę i westchnła z cicha.

„Siostro Lawinjo“, przemówiła panna Klaryssa, „weź, proszę, mój flakon“.

Panna Lawinja orzeźwiła się, powąchawszy kilka razy flakon z octem aromatycznym — czemu Traddles i ja przyglądaliśmy się z wielkiem przejęciem; następnie osłabłym głosem mówiła dalej: „Siostra moja i ja byłyśmy bardzo niepewne, panie Traddles, jak nam należy postąpić wobec uczuć, czy przywidzeń uczuciowych tych dwojga tak bardzo młodych, przyjaciela pańskiego Copperfielda i naszej bratanicy“.

„Dziecka brata naszego Franciszka“, dorzuciła panna Klaryssa. „Gdyby żona brata naszego Franciszka była uważała za właściwe za życia swego (choć miała niezaprzeczone prawo postąpić, jak chciała) zaprosić rodzinę na obiad, znałybyśmy dzisiaj lepiej dziecko naszego brata Franciszka. Siostro Lawinjo, mów dalej“.

Panna Lawinja obróciła mój list adresem ku sobie i przez lornetkę spojrzała na napisaną tam przez siebie notatkę.

„Wydaje nam się panie Traddles“, rzekła, „że przezorność wymaga, abyśmy o tych uczuciach przekonały się na podstawie naszej własnej obserwacji. W danej chwili nic o nich nie wiemy i nie możemy osądzić, ile rzeczywistej prawdy być w nich może. To też jesteśmy skłonne zgodzić się na razie na propozycję pana Copperfielda i zezwolić, by tutaj bywał“.

„Drogie panie, ja nigdy nie zapomnę waszej dobroci!“ zawołałem, czując, że spada ze mnie ogromny ciężar niepokoju i obawy.

„Jednakże“, mówiła dalej panna Lawinja, „jednakże wolałyśmy, panie Traddles, uważać na razie te wizyty za składane nam. Musimy się zastrzec przed uznaniem jakichś stanowczych zobowiązań pomiędzy panem Copperfieldem a naszą bratanicą, dopóki nie będziemy miały sposobności...“

„Dopóki ty nie będziesz miała sposobności, siostro Lawinjo“, wtrąciła panna Klarysa.

„Niech i tak będzie“, zgodziła się panna Lawinja z westchnieniem, „dopóki ja nie będę miała sposobności przyjrzenia im się“.

„Copperfieldzie“, zwrócił się do mnie Traddles, „czujesz z pewnością, że trudno jest tę sprawę ująć rozumniej i względniej?“

„Tak jest!“ zawołałem. „Głęboko to odczuwam“.

„W tym stanie rzeczy“, mówiła dalej panna Lawinja, znów zajrzawszy do swoich notatek, „zgadzając się na bywanie pana Copperfielda pod tym tylko warunkiem, musimy prosić go o stanowcze zapewnienie, pod słowem honoru, że bez nasze wiedzy żadnym innym sposobem nie będzie się znosić z bratanicą naszą. Że żaden, jakikolwiek plan, dotyczący naszej siostrzenicy nie będzie powzięty, o ile nie będzie wpierw przedłożony nam...“

„Tobie, siostro Lawinjo“, wtrąciła panna Klaryssa.

„Niech i tak będzie, Klarysso!“ odparła z rezygnacją panna Lawinja. „Zatem mnie... i nie zyska naszego uznania. Musi co do tego stanąć między nami umowa szczególnie wyraźna i poważna, której pod żadnym pozorem zerwać nie można. Życzyłyśmy sobie, żeby panu Copperfieldowi towarzyszył dzisiaj ktoś z jego zaufanych przyjaciół“, tu skłoniła głowę w stronę Traddlesa, a ten się ukłonił, „ażeby uniknąć wątpliwości lub nieporozumienia w tej kwestji. Jeżeli pan Copperfield, albo jeżeli pan, panie Traddles, macie najlżejszy skrupuł co do dania tej obietnicy, proszę, weźcie sobie czas do namysłu“.

Odpowiedziałem w gorącem uniesieniu, że nie potrzebuję ani chwili namysłu. Zobowiązałem się żądaną obietnicą z namiętnym pospiechem; Traddlesa brałem na świadka i zapewniłem, że byłbym najniegodziwszym łotrem, gdybym choć o włos odstąpił od mego zobowiązania.

„Przestań pan!“ przerwała panna Lawinia, podnosząc rękę; „postanowiłyśmy, zanim miałyśmy przyjemność przyjąć was obu, panowie, że pozostawimy was na kwadrans w samotności, ażebyście mogli zastanowić się nad tą kwestją. Pozwólcie więc, że się usuniemy“.

Napróżno zapewniałem, że żadnego zastanowienia się tu nie potrzeba. Uparły się wyjść na tak oznaczony czas. To też wyszły podskakując, jak ptaszki, ale z wielką godnością — mnie zaś, uniesionego gdzieś w sfery doskonałej szczęśliwości, Traddles obsypał gratulacjami i życzeniami. Dokładnie po upływie kwadransa małe panie powróciły niemniej pełne godności, jak gdy odchodziły. Wychodziły z szelestem, jakgdyby ich sukienki były z liści jesiennych: wracały, szeleszcząc tak samo.

Ja wtedy ponownie przyjąłem na siebie żądane zobowiązania.

„Siostro Klarysso“, rzekła panna Lawinja, „reszta należy do ciebie“.

Panna Klaryssa, po raz pierwszy rozkładając ramiona, wzięła notatki i spojrzała na nie.

„Będziemy rade“, powiedziała, „mieć u siebie pana Copperfielda na obiedzie co niedzielę, jeżeli mu to dogadza. Nasza godzina obiadowa jest o trzeciej“.

Ukłoniłem się.

„W ciągu tygodnia“, mówiła dalej panna Klaryssa,

„miło nam będzie mieć pana Copperfielda na herbacie. Pijamy herbatę o wpół do siódmej".

Ukłoniłem się znów.

„Dwa razy na tydzień", dorzuciła pana Klaryssa, „ale w zasadzie nie częściej.

Ukłoniłem się znów.

„Może panna Trotwood", mówiła dalej, „wspomniana w liście pana Copperfielda, zechce nas odwiedzić. O ile składanie wizyt jest korzystne dla szczęścia obu stron, my chętnie przyjmiemy wizytę i oddamy ją. Jeżeli lepiej jest dla szczęścia wszystkich, żeby wizyt nie było (jak w wypadku brata naszego Franciszka i jego domu), to wtedy zupełnie co innego".

Oświadczyłem, że ciotka moja będzie dumna i uradowana, zawierając z niemi znajomość — choć muszę dodać, że niebardzo byłem pewny, czy się te panie dobrze do siebie dostosują. Ponieważ zaś wszystkie warunki były już omówione, podziękowałem raz jeszcze w najgorętszych słowach i po kolei rękę tak panny Klaryssy, jak i panny Lawinji przycisnąłem do ust.

Panna Lawinja powstała wtedy i przeprosiwszy Traddlesa, że go opuścimy na chwilę, poprosiła, bym szedł za nią. Posłuchałem, drżąc cały. Zaprowadziła mnie do drugiego pokoju. Tam zastałem najdroższe kochanie moje, zatykające sobie uszy za drzwiami i tulące miłą twarzyczkę do ściany; i Jipa zobaczyłem tam w wanience do grzania talerzy, z głową owiniętą w ręcznik.

Och, jakże była piękną w swej czarnej sukience i jak łkała i płakała z początku, nie chcąc wyjść z poza drzwi! Jak gorąco cieszyliśmy się sobą, gdy stamtąd nareszcie wyszła — i jakiż byłem wniebowzięty, gdy wydobywszy z wanienki Jipa i mocno kichającemu zdjąwszy ręcznik z głowy, znaleźliśmy się wszyscy troje znów razem!

„Moja najdroższa Doro! Teraz już naprawdę moja, na wieki!"

„Och, nie mów!" błagała Dora. „Proszę cię!"

„Czyż nie jesteś moją na wieki, Doro?"

„O tak, naturalnie, jestem!" wołała Dora. „Ale ja tak się przelękłam!"

„Przelękłaś się, moja jedyna?"

„Ach tak! On mi się nie podoba", mówiła. „Czemuż on sobie nie idzie?"

„Kto moje życie?"

„Ten twój przyjaciel. Co jemu do tego wszystkiego? Jaki on musi być niemądry!"

„Moje kochanie!" (Trudno sobie wyobrazić coś rozkoszniejszego, jak te jej dziecinne minki) — „To najpoczciwsza w świecie dusza!"

„Och, ależ nam nie potrzeba żadnych najpoczciwszych w świecie dusz!" dąsała się Dora.

„Moja droga", dowodziłem, „niebawem poznasz go dobrze i zobaczysz, jak go polubisz. A niebawem przyjdzie też tutaj moja ciotka; i ją bardzo polubisz, gdy ją poznasz"

„Nie, proszę ciebie, nie przyprowadzaj jej tutaj", odpowiedziała Dora, w przerażeniu dając mi całusa i składając ręce. „Ach nie! Ja wiem, że to musi być nieznośna, nudna starsza pani. Nie każ jej tutaj przychodzić, Dawidku!"

Daremnie byłbym ją w danej chwili przekonywał, to też roześmiałem się tylko i dalej zachwycałem się nią i bardzo byłem zakochany i bardzo szczęśliwy; ona zaś pokazała mi nową sztukę Jipa: stawanie w kąciku na tylnych łapkach, co czynił na błyskawiczną chwilę, zaraz opadając. I nie wiem, jak długo byłbym tam pozostał, zapomniawszy o Traddlesie, gdyby panna Lawinja nie była po mnie przyszła. Panna Lawinja bardzo lubiła Dorę (powiedziała mi, że Dora jest zupełnie podobną do niej, gdy była w Dory wieku — musiała się jednak bardzo zmienić) i traktowała Dorę zupełnie, jak gdyby była zabawką. Miałem ochotę namówić Dorę, by wyszła i poznała się z Traddlesem, ale zaledwie jej o tem wspomniałem, uciekła do swego pokoju i zamknęła się w nim na klucz. Poszedłem zatem do Traddlesa sam i razem wyszliśmy z domu.

„Lepiej powieść się nie mogło", rzekł Traddles; „i bardzo miłe są te starsze panie, doprawdy! Wcalebym się nie zdziwił, gdybyś ty się ożenił na wiele lat przede mną, Copperfieldzie".

„Czy twoja Zofja gra na jakim instrumencie, mój drogi?" zapytałem z pełni dumnego serca.

„Umie tyle na fortepianie, że może uczyć młodsze siostry", odpowiedział Traddles.

„A czy śpiewa?" dopytywałem.

„Owszem, śpiewa czasami ballady, gdy chce trochę rozerwać inne siostry, o ile nie są w humorze", odpowiedział Traddles. „Ale to tak sobie tylko nieuczenie".

„A przy akompaniamencie gitary nie śpiewa?"

„O, gdzieżby, nie!"

„A może maluje?"

„Co to, to nie", odpowiedział Traddles.

Obiecałem Traddlesowi, że musi usłyszeć, jak Dora śpiewa i zobaczyć, jak maluje kwiaty. Powiedział, że sprawi mu to wielką przyjemność i, prowadząc się pod rękę, wracaliśmy do domu weseli i w doskonałym humorze. Po drodze wyciągałem Traddlesa na zwierzenia o Zofji; mówił mi o niej z godną podziwu miłością i ufnością. Porównywałem w myśli Zofję z Dorą i w duchu bardzo byłem z porównania

kontent; szczerze jednakże przyznawałem, że Zofja będzie dla Traddlesa wyborną żoną.

Ciotce naturalnie zaraz powiedziałem o pomyślnym wyniku konferencji i o wszystkiem, co się tam mówiło i robiło. Ciotka była uradowana, widząc że jestem tak szczęśliwy, i przyrzekła w najbliższym czasie złożyć wizytę ciotkom Dory. Tegoż wieczora jednakże, podczas gdy ja pisałem do Agnieszki, odbyła tak długi spacer po pokojach, że już myślałem, iż spacerować tak będzie do rana.

List mój do Agnieszki był serdeczny i pełen wdzięczności, a opowiadałem w nim, jak dobre osiągnąłem wyniki, słuchając jej rad. Odpisała mi odwrotną pocztą. List jej pełen był dobrej myśli, poważny i pogodny. Od tej pory była zawsze pogodna.

Miałem teraz zajęcia więcej niż kiedykolwiek. Biorąc w rachubę moje codzienne wędrówki do Highgate, do Putney było mi dość daleko, a ja naturalnie pragnąłem bywać tam jak najczęściej. Ponieważ proponowane mi herbatki były nie do przeprowadzenia, wyprosiłem u panny Lawinji pozwolenie bywania co sobotę po południu, bez ujmy dla moich uprzywilejowanych niedziel. Tym sposobem koniec każdego tygodnia bywał dla mnie najrozkoszniejszym okresem i w oczekiwaniu go spędzałem resztę tygodnia.

Niezmierną ulgę odczułem przekonawszy się, że zetknięcie się ciotki mojej i ciotek Dory, wszystko razem biorąc, poszło o wiele gładziej, niż się spodziewać mogłem. Ciotka złożyła obiecaną wizytę w kilka dni po naszej konferencji, a w kilka dni potem ciotki Dory rewizytowały ją uroczyście i formalnie. Podobne, ale już bardziej przyjacielskie, wymiany wizyt odbywały się i później, zazwyczaj co jakieś trzy albo cztery tygodnie. Wiem, że ciotka moja bardzo martwiła ciotki Dory tem, że nic sobie nie robiła z wszystkich dorożkarzy i przychodziła pieszo do Putney o niezwykłych porach, jako to tuż po śniadaniu albo przed samą herbatą; a również, że nakładała kapelusz, jak jej było wygodnie, nie stosując się zupełnie do przesądów mody. Ciotki Dory jednakże niebawem zgodnie zaczęły zapatrywać się na ciotkę, jako na trochę ekscentryczną i trochę męskiego pokroju damę, ale o wielkiej dozie rozumu; a chociaż ciotka moja niekiedy doprowadzała ciotki Dory do nastroszenia piórek wygłaszaniem heretyckich opinji o różnych kwestjach ceremonjalnych, kochała mnie jednak do tyla, że umiała poświęcić niektóre swoje drobne nawyki dla ogólnej harmonji i zgody.

Jedynym członkiem małego naszego towarzystwa, który stanowczo nie chciał zastosować się do okoliczności, był Jip. Ile razy tylko zobaczył ciotkę, natychmiast szczerzył wszystkie zęby, chował się pod krzesło i warczał bez ustanku; przytem raz po raz odzywał się bolesnem wyciem, jak gdyby nie mógł już opanować swych uczuć. Próbowano z nim wszelkich sposobów — pieszczono go, dawano mu bury, klapsy, przyniesiono go nawet na Buckingham Street (gdzie natychmiast, ku przerażeniu obecnych, rzucił się na oba koty); on jednak nigdy nie mógł się przekonać do towarzystwa ciotki. Czasami zdawało mu się, że już się przezwyciężył i przez parę minut bywał grzeczny, wnet jednak podnosił ku sufitowi swój perkaty nosek i zaczynał wyć tak przeraźliwie, że trzeba mu było zawiązywać oczy i pakować go do wanienki do grzania talerzy. W końcu Dora regularnie owijała go w ręcznik i zamykała tam, ile razy oznajmiono, że ciotka jest przed drzwiami.

Jedna rzecz niepokoiła mnie bardzo, gdy już raz życie nasze weszło w ten spokojny tryb. A mianowicie, że Dorę, jakby za wspólną umową, traktowano jak bawidełko lub ładną zabawkę. Ciotka moja, z którą się Dora stopniowo oswoiła, nazywała ją zawsze „kwiatuszkiem", a największą przyjemnością panny Lawinji było dogadzać jej, zwijać włosy jej w loki, wymyślać dla niej ozdoby i obchodzić się z nią, jak z wypieszczoną dzieciną. Co panna Lawinja robiła, to, naturalnie, robiła i jej siostra. Bardzo mi się to wydawało dziwnem; oni jednakże wszyscy tak na swój sposób traktowali Dorę, jak Dora mniej więcej traktowała Jipa.

Postanowiłem pomówić o tem z Dorą, i pewnego dnia, gdy wyszliśmy na spacer (gdyż po pewnym czasie pozwoliła nam panna Lawinja wychodzić we dwoje na spacer), powiedziałem jej, że pragnąłbym, by ich nakłoniła do innego postępowania ze sobą.

„Bo przecież wiesz, kochanie, że nie jesteś dzieckiem", dowodziłem.

„Masz tobie!" zawołała Dora. „Teraz zaczynasz marudzić".

„Marudzić, moje serce?"

„Przecież oni są bardzo dobrzy dla mnie", dowodziła Dora, „i ja jestem bardzo szczęśliwa".

„No dobrze!" odparłem. „Jednak, moje życie! mogłabyś być bardzo szczęśliwą, a mimo to traktowaną rozumnie!"

Dora spojrzała na mnie z wyrzutem — jakież to śliczne było spojrzenie! — a potem zaczęła szlochać, mówiąc, że jeżeli jej nie lubię, to czemuż tak bardzo chciałem się z nią zaręczyć? I dlaczego raz sobie nie pójdę, skoro jej nie mogę znieść?

Cóżem mógł zrobić? Zcałowałem jej łzy, a potem mówiłem jej o tem jak tkliwie ją kocham!

„Ja przecież ciebie serdecznie kocham", mówiła Dora; „ale ty nie powinieneś być dla mnie okrutny, Doady!"

„Okrutny, moje najmilsze kochanie! Jak gdybym chciał — jak gdybym mógł być okrutnym wobec ciebie!“

„To nie szukaj we mnie błędów“, rzekła składając usteczka w różany pączek, „a będę grzeczna!“

Wprowadziła mnie w zachwyt, gdyż zaraz poprosiła sama, żebym jej dał tę książkę kucharską, o której kiedyś mówiłem, i żebym jej pokazał, jak to się prowadzi rachunki, bo i to jej kiedyś obiecałem. Przyniosłem książkę za następną bytnością (dałem ją ładnie oprawić, ażeby wyglądała bardzo zachęcająco, a nie tak sucho), w czasie zaś naszego spaceru po łąkach pokazałem jej starą gospodarską książkę mojej ciotki i dałem jej parę tabliczek, ładny mały piórniczek i pudełko kredek, by mogła wprawiać się w rachunki gospodarskie.

Książka kucharska jednakże nabawiła Dorę bólu głowy, a liczby doprowadziły ją do płaczu. Nie chciały się dać zesumować, mówiła. To też wymazała je, a tabliczki zarysowała całe bukiecikami kwiatów i podobiznami mojemi i Jipa.

Wobec tego żartobliwie spróbowałem ustnych pouczeń w gospodarskich sprawach podczas naszych przechadzek w sobotnie popołudnia. I tak, naprzykład, gdy mijaliśmy sklep rzeźnika, zapytałem raz: „Otóż, przypuśćmy, moja pieszczotko, żeśmy się pobrali, a ty chcesz kupić łopatkę baranią na obiad; czy wiedziałabyś, jak się ją kupuje?“

Twarzyczka mojej ładnej Dory przedłużyła się i znowu buzię ułożyła w różany pączek, jak gdyby znacznie bardziej wolała pocałunkiem zamknąć mi usta.

„Czy wiedziałabyś, jak się to kupuje, kochanie?“ powtórzyłem niewzruszony.

Dora namyśliła się chwilę, a potem odpowiedziała z wielkim triumfem:

„Przecież rzeźnik wiedziałby, jak to trzeba sprzedać, a więc na cóż ja to mam wiedzieć? Ach, ty niemądry chłopaku!“

Innym razem, gdy zapytałem Dorę, mając na myśli książkę kucharską, coby zrobiła, gdybym po ślubie naszym powiedział, że mam ochotę na dobrą baraninę, duszoną po irlandsku — odpowiedziała, że kazałaby to zrobić służącej; a potem drobnemi rączkami uczepiła się mojego ramienia i śmiała się tak prześlicznie, że była w tem najmilsza w świecie.

Wskutek tego główny pożytek z książki kucharskiej był ten, że kładło się ją w kąciku, ażeby Jip stawał na niej. A Dora tak się cieszyła, gdy się nauczył na niej stawać i nie schodzić, trzymając równocześnie piórnik w pyszczku, iż byłem bardzo rad, iż to kupiłem.

Wróciliśmy tedy do gitary, malowania kwiatów i piosenek o nieustającym tańcu: La-la-la! La-la-la! i byliśmy szczęśliwi od tygodnia do tygodnia. Coprawda brała mnie niekiedy ochota wziąć na odwagę i wspomnieć pannie Lawinji, że moje serdeczne kochanie traktuje trochę za bardzo jako zabawkę tylko, czasem jednak zdziwiony łapałem się na tem, że przecież sam wpadam w ogólny błąd i również traktuję ją jak bawidełko... Ale nieczęsto się to zdarzało.

Rozdział czterdziesty drugi.

Szkodnik.

Czuję, że nie powinienem może wspominać — choć piszę to wszystko dla własnych tylko oczu — jak z poczucia odpowiedzialności względem Dory i jej ciotek ciężko pracowałem nad tą okropną stenografją i wszelakiem jej ulepszeniem. Dodam tylko do tego, co już powiedziałem o swojej wytrwałości w tym okresie życia, i o tej cierpliwej a stałej energji, zaczynającej we mnie dojrzewać, a będącej silną stroną mojego charakteru, że w tem właśnie, patrząc wstecz, widzę źródło mego powodzenia. Powiodło mi się bardzo w sprawach życiowych; wielu ludzi pracowało ciężej, a nie osiągnęło ani połowy tego powodzenia. Jednakże nie byłbym nigdy mógł dokonać tego, co dokonałem, gdyby nie przyzwyczajenie do punktualności, porządku, pracowitości, gdyby nie uczynione wtedy postanowienia, że zawsze skupiać się będę cały na jednym przedmiocie, bez względu na to, że może wnet zastąpi go co innego. Bóg świadkiem, że nie piszę tego w zamiarze samochwalczym. Człowiek, robiący przegląd własnego życia, tak jak ja to tutaj czynię krok za krokiem, musiałby w istocie być bardzo dobrym człowiekiem, ażeby oszczędzoną mu być mogła żywa świadomość wielu zmarnowanych talentów, straconych sposobności, błędnych i przewrotnych uczuć, bezustannie ścierających się w jego duszy i zwyciężających. Nie posiadam, powiedziałbym, ani jednego wrodzonego daru, któregobym nie nadużył. Chcę tylko powiedzieć, że do czegokolwiek zabierałem się w życiu, to starałem się z całej duszy robić dobrze — że, czemukolwiek się oddawałem, oddawałem się całkowicie; że, czy cel był wielki czy mały, zawsze brałem go do gruntu poważnie. Nigdy nie wierzyłem, by wrodzona czy rozwinięta zdolność obejść się mogła bez tych prostych zalet wytrwałości i pracowitości, i bez nich osiągnąć swój cel. To się na świecie nie zdarza. Pewien z bożej łaski talent, jakieś szczęśliwe okoliczności mogą stać się dwoma bokami drabiny, po której wstępują niektórzy ludzie; jednakże szczeble tej drabiny muszą być zrobione z mocnego i wy-

trzymałego materjału, a nic nie zastąpi żarliwej, szczerej powagi. Nigdy nie przykładać jednej tylko ręki do czegoś, w co mógłbym włożyć całego siebie, nigdy nie udawać lekceważenia swojej pracy, jakąkolwiekby była — to były, widzę teraz, moje złote zasady.

Ile w praktycznem prowadzeniu tych zasadniczych przepisów zawdzięczałem Agnieszce, tego tu powtarzać nie będę. Moje opowiadanie zmierza teraz ku Agnieszce, zmierza z wdzięczności pełną miłością.

Agnieszka przybyła na dwa tygodnie w odwiedziny do doktorostwa. Pan Wickfield był starym przyjacielem doktora a doktór pragnął pomówić z nim, podnieść go na duchu. Mówiło się o tem za ostatnią bytnością Agnieszki w mieście i wynikiem tego były te odwiedziny. Agnieszka przybyła razem z ojcem. Nie bardzo się zdziwiłem usłyszawszy, że Agnieszka szuka w pobliżu mieszkania dla pani Heep, której reumatyzmy wymagały zmiany powietrza i której się uśmiechało użyć go w tak miłem towarzystwie. Ani się też nie zdziwiłem, gdy zaraz nazajutrz Uriasz, jako dobry syn, sprowadził godną swą matkę do tego mieszkania.

„Rozumie panicz", rzekł, narzuciwszy mi swoje towarzystwo i spacerując ze mną po ogrodzie doktora, „jeżeli się kocha, jest się trochę zazdrosnym... a przynajmniej chciałoby się czuwać nad ukochaną osobą".

„O kogóż to teraz jesteś zazdrosnym?" zapytałem.

„Dzięki paniczowi", odpowiedział, „o nikogo w danej chwili specjalnie... przynajmniej o żadnego mężczyznę".

„Chcesz powiedzieć, że jesteś zazdrosny o kobietę?"

Rzucił na mnie spojrzenie z ukosa temi swojemi przykremi czerwonemi oczami i roześmiał się.

„Doprawdy paniczu', rzekł, „powinienbym mówić panie Copperfield, ale wiem, że mi pan daruje to stare przyzwyczajenie... taki pan wnikliwy, że ciągnie mnie pan za język, jak korkociągiem. Mniejsza z tem, mogę panu powiedzieć", dodał, rybią swoją rękę kładąc na mojej; „ja wogóle nie jestem zwolennikiem kobiet, a nigdy nie byłem zwolennikiem pani Strong".

Oczy jego wydawały się teraz zielone, gdy z szelmoską chytrością śledziły wyraz moich.

„Co pan przez to rozumie?" zapytałem.

„Chociaż jestem prawnikiem, paniczu", odpowiedział z oschłym uśmiechem, „rozumiem w tej chwili to tylko, co mówię".

„A co ma wyrażać twoje spojrzenie?" odpowiedziałem spokojnie.

„Moje spojrzenie? Ależ, Copperfieldzie, co za ostre badanie! Co ja chcę wyrazić mojem spojrzeniem?"

„Tak", odpowiedziałem. „Twojem spojrzeniem".

Zdawało się, że go to ubawiło; śmiał się tak serdecznie jak tylko potrafił. Poskrobał się ręką po brodzie i zaczął powoli mówić, spuściwszy oczy i wciąż skrobiąc się: „Gdy jeszcze byłem skromnym piszczykiem, ona zawsze patrzyła na mnie z góry. Wiecznie moją Agnieszkę ściągała do swego domu i zawsze była przyjaciółką panicza; ale ja za nisko w jej oczach stałem, żeby mnie mogła zauważyć".

„No więc?" odparłem. „Przypuśćmy, że tak było!"

„I w jego oczach także!" dodał bardzo wyraźnie, z namysłem, skrobiąc się dalej po brodzie.

„Czyż to nie znasz lepiej doktora", odpowiedziałem, „czy możesz przypuszczać, że on wogóle wie o twojem istnieniu, o ile nie staniesz z nim twarzą w twarz?"

Znów spojrzał na mnie z ukosa i opuszczając dolną szczękę, wydłużył twarz, jak latarnię, by lepiej móc się po niej skrobać, poczem odpowiedział: „Ależ ja przecież wcale nie mówię o doktorze! Ach, nie... biedaczysko! Ja mówię o panu Maldon!"

Serce wprost we mnie zamarło. Wszystkie moje dawne podejrzenia, obawy, całe szczęście i spokój doktora — to, czego rozwiązać nie potrafiłem, zagadka niewinności czy tajemnej zmowy — wszystko to ujrzałem nagle w mocy tego człowieka.

„Ile razy tylko przyszedł do biura, zawsze mną rządził, zawsze komenderował", mówił Uriasz. „Przyjemny to był paniczyk! Ja byłem zawsze miękki i pokorny — i taki też jestem. Ale mi się to nie podobało — i nie podoba!"

Przestał skrobać się po brodzie i wciągnął policzki tak, że aż dwa głębokie doły utworzyły mu się na twarzy; równocześnie ukośnem spojrzeniem mierzył mnie przez cały ten czas.

„To taka piękna pani, tak!" mówił dalej, zwolna wygładzając twarz, „i wcale nie skłonna obdarzać przyjaźnią takiego człowieka, jak ja, wiem to dobrze. To właśnie osoba, gotowa nakłaniać Agnieszkę, by w kwestji zamążpójścia celowała wyżej. Otóż ja, paniczu, ja nie jestem z tych, co się koło kobiet kręcą i umieją im nadskakiwać, ale oczy mam dobre i zdawna umiem niemi patrzeć. My ludzie mali, my ludzie pokorni, my mamy oczy, ogółem biorąc — i niemi patrzymy".

Usiłowałem ukryć, że rozumiem i że się niepokoję, ale po twarzy jego widziałem, że mi się to nie udaje.

„Otóż ja się nie dam podeptać, Copperfieldzie", ciągnął dalej, z złośliwym triumfem podnosząc bezrzęse oczy, „i zrobię, co w mojej mocy, żeby tej przyjaźni położyć kres. Niepodoba mi się ona. Nie taję przed panem, że z usposo-

bienia jestem wyłączny i że intruzów nie znoszę. Nie chcę ryzykować, skoro sobie zdaję z tego sprawę, by przeciw mnie intrygowano".

„Sam zawsze coś knujesz i wmawiasz w siebie, zdaje mi się, że wszyscy inni czynią tosamo", odpowiedziałem.

„Być może", odpowiedział. „Ale mam swoją pobudkę, jak zwykł się wyrażać mój wspólnik, i zębami i pazurami dobijam się swego. Nie trzeba zanadto po mnie deptać, dlatego, że jestem człowiek skromny i uniżony. Ja nie zniosę, by mi ktoś w drogę wchodził. Muszę zrzucić z wozu tego, kto mi zawadza... tak jest paniczu!

„Nie rozumiem", odpowiedziałem.

„Czyżby? Doprawdy?" odparł, rzuciwszy się konwulsyjnie, po swojemu. „Bardzo się temu dziwię, przecież panicz zawsze taki bystry! Innym razem wypowiem się wyraźniej. Czy to pan Maldon, konno, dzwoni tam u bramy?"

„Takby się zdawało", odpowiedziałem, niby od niechcenia. Uriasz urwał, założył ręce między kolana i zatrząsł się śmiechem. Zupełnie cichym śmiechem. Nie wydawał najlżejszego odgłosu. Takim wstrętem napełniło mnie to jego obrzydłe zachowanie się, że odwróciłem się bez żadnej ceremonji i zostawiłem go na środku ogrodu, jak straszydło na wróble, któremu utrącono podpórkę.

Nie tego to dnia, ale w dwa dni później — a była to, pamiętam dobrze, sobota — zaprowadziłem Agnieszkę do Dory. Wizytę tę już uprzednio omówiłem z panną Lawinją i oczekiwano tam Agnieszkę herbatą.

Miotała mną naprzemian duma i obawa; dumny byłem z maleńkiej mojej narzeczonej, a drżałem z obawy, czy się też będzie Agnieszce podobała. Przez całą drogę do Putney (Agnieszka siedziała wewnątrz pocztowej karety, a ja na zewnątrz) przedstawiłem sobie Dorę, jak rozmaicie, a zawsze ładnie potrafiła wyglądać — i to pragnąłem, by wyglądała dziś właśnie tak, jak pewnego dnia, to znów by może raczej tak, jak kiedyindziej; prawie do gorączki dochodziłem, dręcząc się temi rozważeniami.

Nie wątpiłem nigdy, ani przez chwilę, że Dora jest bardzo ładna; stało się jednak, że nigdy jeszcze tak ślicznie nie wyglądała, jak właśnie tego dnia. Nie było jej w salonie, gdy przedstawiałem Agnieszkę ciotkom; ukryła się z wielkiej nieśmiałości. Wiedziałem już teraz, gdzie mam jej szukać — i rzeczywiście odnalazłem ją za temi samemi drzwiami, zatykającą uszki rękami. Z początku wcale nie chciała wyjść; potem poprosiła o pięć minut czasu, dokładnie wedle mojego zegarka. Gdy w końcu wsunęła mi rączkę pod ramię, by dać się zaprowadzić do salonu, urocza jej twarzyczka była zarumieniona i wyglądała, tak ślicznie, jak nigdy. Jednakże, gdy wszedłszy do salonu, pobladła, była jeszcze sto razy śliczniejszą.

Dora bała się Agnieszki. Powiedziała mi, że wie, iż Agnieszka jest „za bardzo mądra". Gdy jednakże zobaczyła, jak bije od niej zarówno wesele i powaga, uprzejmość i dobroć, wydała lekki okrzyk miłego zdziwienia, objęła serdecznym uściskiem szyję Agnieszki i przytuliła niewinnego buziaka do jej twarzy.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak szczęśliwym. Nic mi nigdy nie sprawiło takiej przyjemności, jak to, że widziałam je obydwie, siedzące obok siebie, widziałem, jak ukochana maleńka moja ufnie spoglądała w te serdeczne oczy, a Agnieszka obejmuje ją tkliwem, przecudnem spojrzeniem.

Panna Lawinja i panna Klaryssa brały po swojemu udział w mej radości. Jakaż to miła była herbatka. Panna Klaryssa prezydowała przy stole. Ja krajałem i podawałem słodki placek z makiem — małe siostrzyczki lubiły, jak ptaszki, zbierać ziarenka i dziobać cukier — a panna Lawinja spoglądała życzliwie i opiekuńczo, jakgdyby jej dziełem była nasza szczęśliwa miłość; i tak najzupełniej byliśmy wszyscy zadowoleni, sami w sobie i ze siebie wzajemnie.

Miła wesołość Agnieszki ujmowała wszystkich za serca. Tak naturalnie interesowała się wszystkiem, co interesowała Dorę, tak jakoś umiała zawrzeć znajomość z Jipem, (który natychmiast dał się zjednać), tak mile potrafiła się znaleźć, gdy Dora żenowała się zająć zwykle swoje miejsce przy mnie; z takim skromnym wdziękiem i swobodą przyjmowała liczne drobne dowody przyjaznych uczuć rumieniącej się Dory! Wszystko to jednoczyło ściśle nasze kółeczko.

„Tak się cieszę", rzekła po herbacie Dora, „że mnie pani trochę lubi. Nie spodziewałam się tego; a tak mi potrzeba, żeby mnie ktoś lubił, teraz, kiedy Julja Mills pojechała".

Zapomniałem wspomnieć o tem. Panna Mills odpłynęła, a ja, celem pożegnania odjeżdżającej, towarzyszyłem Dorze do Gravesend na pokład wielkiego statku, wyruszającego do Indyj Wschodnich; częstowano nas przy podwieczorku konfiturą z imbieru, guawą i innemi tego rodzaju przysmakami, pannę Mills zaś pożegnaliśmy zapłakaną, siedzącą na pokładzie na przenośnym taburecie, z wielkim nowym pamiętnikiem pod pachą, w którym zapisywać miała i więzić pod kluczem oryginalne uwagi, nasunięte kontemplacją oceanu.

Agnieszka powiedziała, iż obawia się, że musiałem niechiecująco ją odmalować. — Dora jednakże zaprzeczyła temu natychmiast.

„O nie!" rzekła, potrząsając loczkami i patrząc na mnie;

„on panią tak wychwalał! Tak sobie zdanie pani ceni, że ja aż się bałam zdania pani o mnie".

„Moje dobre wyobrażenie o kimś nie może wzmocnić uczuć Dawida dla kogoś..." odpowiedziała z uśmiechem Agnieszka; „nawet nie warto się o nie starać".

„Ale ja proszę panią o nie!" prosiła, przymilając się, Dora, „niech mi go pani nie odmawia, jeśli pani może!"

Żartowaliśmy z Dory, że tak pragnie być lubioną; Dora powiedziała mi, że jestem niemądry i że mnie znieść nie może i krótki ten wieczór uleciał nam, jak wietrzykiem unoszona nitka pajęczyny. Nadchodziła chwila, kiedy karetka pocztowa miała po nas podjechać. Stałem samotnie przed kominkiem, gdy cicho wsunęła się Dora, by mi, jak zwykle przed wyjazdem, dać pożegnalnego całusa.

„Jak ty myślisz, Doady", rzekła, a jeszcze jej oczy świeciły bardzo żywo, podczas gdy rączka machinalnie kręciła guzikiem u mojego ubrania, „jak myślisz... gdybym ja Agnieszkę miała za przyjaciółkę oddawna, oddawna... możebym mogła być trochę mądrzejszą?"

„Kochanie!" odpowiedziałem, „co ty za głupstwa pleciesz!"

„Czy ty uważasz, że to głupstwo?" odpowiedziała Dora, nie patrząc na mnie. „Czy myślisz tak naprawdę?"

„Ależ naturalnie, że naprawdę!"

„Zapomniałam", powiedziała, nie przestając kręcić guzika, „jaką krewną jest jest Agnieszka dla ciebie, ty kochany, niedobry chłopaku?"

„Agnieszka nie jest moją krewną", odpowiedziałem, „ale chowaliśmy się razem, jak brat i siostra".

„Nie pojmuję, dlaczego ty wogóle zakochałeś się we mnie..." rzekła Dora, zaczynając pracować nad drugim guzikiem tużurka.

„Może poprostu dlatego, że nie mogłem, zobaczywszy ciebie, nie zakochać się w tobie, Doro!"

„A coby było, gdybyś mnie był nigdy nie zobaczył?" mówiła Dora, zabierając się do następnego guzika.

„A coby było, gdybyśmy się byli wcale nie urodzili!" odpowiedziałem wesoło.

Ciekaw byłem, o czem też ona myśli, patrząc z podziwem i w milczeniu na delikatną rączkę, wędrującą po rzędzie guzików mojego surduta, na kręte pukle włosów opartej na mych piersiach główki, na spuszczone rzęsy oczów, wznoszące się zlekka w ślad za igrającemi palcami. Nareszcie oczy jej podniosły się ku moim, i spiąwszy się na paluszki — dała mi, więcej niż zazwyczaj zamyślona, tego upragnionego całuska — jednego, drugiego, trzeciego — i wyszła z pokoju.

Wróciły wszystkie razem w jakie pięć minut później, a wtedy już niezwykłe zamyślenie Dory gdzieś się podziało. Śmiejąc się zapowiedziała, że Jip musi pokazać wszystkie swoje sztuczki, zanim nadjedzie poczta. Zabrało to trochę czasu (nietyle z powodu rozmaitości repertuaru, ile wskutek oporu Jipa) i jeszcze temu nie było końca, gdy poczta zajechała przed drzwi. Spiesznie a serdecznie pożegnały się Dora z Agnieszką. Dora obiecała pisać do Agnieszki (prosiła, by darowała, jeżeli jej listy będą niemądre), Agnieszka zaś miała pisać do Dory; drugi raz żegnały się jeszcze u drzwiczek karetki a po raz trzeci, gdy Dora, pomimo upomnień panny Lawinji, wybiegła jeszcze raz, by u okna karetki przypomnieć Agnieszce, że obiecała pisać, a mnie, siedzącemu na koźle, by skinąć jeszcze główką.

Poczta miała nas dowieźć do Covent Garden, gdzie mieliśmy się przesiąść na pocztę do Highgate. Z niecierpliwością oczekiwałem krótkiego spacerku w przerwie, by móc wysłuchać pochwał Agnieszki o Dorze. Ach! jakież to były pochwały! Jakże serdecznie, jakże gorąco polecała Agnieszka tę śliczną istotkę z tym jej niewinnym wdziękiem moim najtkliwszym staraniom! Jak delikatnie, nie czyniąc tego rozmyślnie, nasuwała mi na pamięć opiekę, jaką winienem sierocie!

Nigdy, nigdy nie kochałem Dory tak głęboko, tak szczerze, jak kochałem ją tego wieczora! Gdy wysiadłszy znów, szliśmy razem w tę gwiaździstą noc drogą do domu doktora, powiedziałem Agnieszce, że ona to sprawiła.

„Gdym cię widział, jak siedziałaś obok niej, Agnieszko", rzekłem, „wydałaś mi się zarówno jej aniołem stróżem, jak moim. I teraz tak mi się wydajesz".

„Marny ze mnie anioł", odpowiedziała, „ale przynajmniej wierny".

Jasny ton jej głosu, idący mi wprost do serca, sprawił, że zupełnie naturalnie zauważyłem: „Pogoda, tobie właściwa, Agnieszko (a u nikogo podobnej nie widziałem), tak ci, zdaje się, wróciła, zauważyłem to dzisiaj, że zacząłem przypuszczać, iż teraz czujesz się szczęśliwszą w domu?

„Szczęśliwszą czuję się w duszy", odpowiedziała; „jestem wesoła i lekko mi na sercu".

Spojrzałem na jasną twarz, wzniesioną ku górze i pomyślałem, że to gwiazdy zapewne tak szlachetny wyraz nadają jej.

„Nic się w domu nic zmieniło", dorzuciła Agnieszka po pewnej chwili.

„Czy nic nowego nie zaszło", pytałem, „w sprawie... nie chciałbym się martwić, Agnieszko, ale muszę się zapytać... w tej sprawie, o której mówiliśmy przy naszem ostatniem rozstaniu?"

„Nie, nic nowego", odpowiedziała.
„Tyle o tem myślałem".
„Nie myśl o tem tak wiele. Pamiętaj, że ja ufam w ostateczne zwycięstwo prostej miłości i prawdy. Nie lękaj się o mnie, Trotwoodzie", dodała po chwili; „tego kroku, którego ty się boisz, nie uczyniłabym, nie uczynię go nigdy".

Jakkolwiek, być może, nigdy się o to naprawdę nie bałem, o ile spokojnie o tem myślałem, to jednak to zapewnienie z jej prawdomównych ust przyniosło mi niewypowiedzianą ulgę. Powiedziałem jej to z całą powagą.

„A gdy skończy się ta twoja wizyta", dodałem, „bo może już nam się nie uda rozmawiać po raz drugi bez świadków... powiedz, moja droga Agnieszko, kiedy znów przyjedziesz do Londynu?"

„Prawdopodobnie nie prędko", odpowiedziała; „myślę, że najlepiej będzie, ze względu na papę, pozostawać w domu. Zapewne przez pewien czas nieczęsto widywać się będziemy; będę jednakże pilnie korespondowała z Dorą i często tą drogą będziemy się dowiadywać o sobie".

Doszliśmy już tymczasem do podwórka domu doktora. Późno się zrobiło. Świeciło się w oknie pokoju pani Strong, a Agnieszka, ukazując mi to światło, powiedziała mi dobranoc.

„Nie martw się", rzekła, podając mi rękę, „naszemi niepowodzeniami i troskami. Nic mnie tak nie uszczęśliwia, jak twoje szczęście. Gdybyś mi mógł kiedy w czem pomóc, bądź pewien, że cię o to poproszę. Niech ci Bóg błogosławi zawsze i wszędzie!"

Przy tym jej promiennym uśmiechu, przy tych ostatnich wesołych tonach jej głosu wydało mi się, że znów widzę i słyszę moją maleńką Dorę przy niej. Stałem jeszcze przez chwilę, zapatrzony w gwiazdy, z sercem przepełnionem miłością i wdzięcznością, a potem oddaliłem się zwolna. Zamówiłem sobie nocleg w przyzwoitej pobliskiej oberży i już wychodziłem z bramy, gdy przypadkiem, odwróciwszy głowę, ujrzałem światło w gabinecie doktora. Poczułem wyrzuty, gdyż przyszło mi na myśl, że on pewnie pracuje nad słownikiem bez mojej pomocy. Chcąc się przekonać, czy tak jest istotnie, a w każdym razie chcąc mu powiedzieć dobranoc, jeżeli jeszcze siedzi nad swemi księgami, zawróciłem i cicho przeszedłszy przez sień, ostrożnie otworzyłem drzwi i zajrzałem.

Pierwszą osobą, którą ku mojemu zdziwieniu ujrzałem przy słabem świetle osłonionej lampy, był Uriasz. Stał tuż przy lampie, jedną ze swych kościotrupich rąk zakrywał usta, drugą opierał się o stół doktora. Doktór siedział w swoim fotelu, zasłaniając twarz rękami. Pan Wickfield, ciężko zgryziony i zaniepokojony, pochylił się naprzód, niepewno dotykając ramienia doktora.

W pierwszej chwili pomyślałem, że doktór zachorował. Pod tem wrażeniem postąpiłem szybko naprzód, aż nagle, spotkawszy się z wejrzeniem Uriasza, zrozumiałem, o co chodzi. Chciałem się cofnąć, ale doktór powstrzymał mnie skinieniem, tak że pozostałem.

„W każdym razie", zauważył Uriasz, wykręcając niepoczesną swoją postać, „drzwi możemy zamknąć. Nie potrzebujemy obwieszczać tego c a ł e m u miastu".

Mówiąc to, podszedł na palcach do wpółotwartych drzwi i starannie je zamknął. Potem wrócił i zajął poprzednie stanowisko. Był jakiś natrętny pozór żarliwego współczucia w głosie jego i w zachowaniu, nieznośniejszy — dla mnie, przynajmniej — niż jakakolwiek inna jego maniera.

„Uważałem to za swój obowiązek, paniczu", przemówił Uriasz — „wspomnieć doktorowi Strong o tem, o czem pan i ja już mówiliśmy. Pan mnie jednakże dokładnie nie zrozumiał, zdaje mi się?"

Spojrzałem tylko na niego bez innej odpowiedzi i podszedłszy do mojego starego nauczyciela, wypowiedziałem słów kilka, w których chciałem zawrzeć pocieszenie i dodać otuchy. Położył mi rękę na ramieniu, jak to czynił, gdy jeszcze byłem małym chłopczykiem, ale nie podniósł siwej głowy.

„Ponieważ mnie panicz nie zrozumiał, panie Copperfield", zaczął znowu Uriasz w ten sam usłużnie natrętny sposób, „ośmielam się pokornie wspomnieć, skoro jesteśmy między przyjaciółmi, że zwróciłem uwagę doktora Strong na postępowanie pani Strong. Bardzo mi jest przykro, mogę pana zapewnić, panie Copperfield, mieszać się do takiej nieprzyjemnej sprawy; ale doprawdy, tak jak jest, wszyscy jesteśmy zamieszani w to, co być nie powinno. T o miałem na myśli, proszę pana, wtedy, gdy mnie pan nie zrozumiał".

Dziwię się teraz, gdy sobie przypomnę, jak na mnie popatrzył, że nie chwyciłem go za kołnierz i duszy mu nie wytrząsłem z ciała.

„Przyznaję, że nie wyrażałem się bardzo jasno", mówił dalej, „ani pan również. Naturalnie, obaj byliśmy skłonni przedmiot ten traktować z omówieniami. Bądź co bądź, ostatecznie postanowiłem mówić wyraźnie i napomknąłem doktorowi Strong, że... czy pan co powiedział, panie doktorze?"

Tu zwrócił się do doktora, który jęknął. Ten dźwięk byłby poruszył każde serce, pomyślałem, jednakże nie podziałał na serce Uriasza.

„...napomknąłem doktorowi Strong", ciągnął dalej, „że dla każdego to widoczne, iż pan Maldon i piękna i miła pani,

żona pana doktora, zanadto czuli są dla siebie. Rzeczywiście, nadeszła pora (bo narazie wszyscy jesteśmy wmieszani w coś, co być nie powinno), że należy doktorowi Strong powiedzieć, iż było to dla wszystkich jasne jak słońce, jeszcze zanim pan Maldon pojechał do Indyj; że pan Maldon dlatego tylko szukał pozorów do powrotu i że dlatego tylko wciąż tu przebywa. Gdy pan tu wchodził, właśnie tłumaczyłem mojemu wspólnikowi, że powinien pod słowem honoru oświadczyć doktorowi Strong, czy był tego zdania, dawno temu, czy też nie był. No dalej, panie Wieckfield, mój panie! Będzie pan tak dobry nam powiedzieć? Tak czy nie, proszę pana? No dalej, wspólniku!"

„Na miłość boską, mój drogi doktorze", przemówił pan Wickfield, znowu kładąc niepewną rękę na ramieniu doktora, „proszę nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do jakichś podejrzeń, które mogłem mieć!"

„Otóż to!" zawołał Uriasz potrząsając głową. „Co za smutne potwierdzenie, nieprawdaż? On! Taki stary przyjaciel! Ależ przecież... gdy jeszcze byłem niczem, tylko prostym piszczykiem w jego biurze, panie Copperfield, widziałem go conajmniej ze dwadzieścia razy zupełnie wytrąconego z równowagi z tego powodu... zupełnie tracącego panowanie nad sobą, pan wie (i bardzo to słuszne z jego strony, jako ojca; ja go za to zganić nie mogę), dlatego, że panna Agnieszka wmieszana jest w to, co być nie powinno".

„Mój drogi doktorze", przemówił pan Wickfield drżącym głosem, „mój miły przyjacielu, nie potrzebuję ci mówić, że moją przywarą było szukać zasadniczej pobudki w każdym i wszelkie uczynki mierzyć tą ciasną miarą. Być może, że ten błąd doprowadził mnie do tych wątpliwości, jakie wtedy miałem".

„Miałeś pan wątpliwości, Wickfieldzie", rzekł doktór nie podnosząc głowy. „Ty miałeś wątpliwości!"

„Przyznaj pan, wspólniku!" nalegał Uriasz.

„Miałem je, swego czasu, istotnie", odpowiedział pan Wickfield. „Myślałem... niech mi Bóg przebaczy... a myślałem, że i ty je miałeś!"

„Ależ, nie, nie!" odpowiedział doktór tonem bolesnego żalu.

„Myślałem swego czasu", mówił pan Wickfield, „że pragniesz wysłać Maldona za morze, bo pragniesz ich rozdzielić".

„Nie! nie! nie!" odpowiedział doktór. „Chciałem Ani sprawić przyjemność, zabezpieczając byt towarzyszowi jej dzieciństwa. Nic więcej".

„Tak, przekonałem się o tem", odpowiedział pan Wickfield. „Nie mogłem wątpić, gdy mi to powiedziałeś. Ale myślałem... błagam cię, nie zapominaj, jaką ciasną teorją grzeszyłem..., że w wypadku, w którym zachodziła taka różnica wieku..."

„Tak to należy ujmować, widzi pan, paniczu!" uniżenie zauważył Uriasz, z obraźliwą litością.

„...kobieta tak młoda, tak powabna, mimo szczerego dla ciebie szacunku, mogła ulec, godząc się na małżeństwo, światowym jedynie względom. Nie brałem w rachubę niezliczonych uczuć i okoliczności, które mogą skłaniać ku dobremu. Na miłość boską, nie zapominaj o tem!"

„Jak on to dobrotliwie przedstawia!" wtrącił Uriasz, potrząsając głową.

„Zawsze obserwowałem ją pod tym jednym punktem widzenia", mówił dalej pan Wickfield; „ale na wszystko co ci drogie, mój stary przyjacielu, błagam cię, zważ, czem to było... muszę teraz przyznać, nie mając innej drogi wyjścia..."

„Nie! Tu niema drogi wyjścia, panie Wickfield", wtrącił Uriasz, „skoro już przyszło do tego".

„...muszę przyznać" — tu pan Wickfield bezradnie i z rozpaczą spojrzał na swego wspólnika — „że powątpiewałem o niej i że sądziłem, iż uchybia obowiązkom swoim względem ciebie; i że czasami, jeżeli już mam wszystko powiedzieć, było mi przykre, że Agnieszka jest z nią w tak zażyłym stosunku, że aż musi widzieć to, co ja widziałem, lub wedle mej niezdrowej teorji sądziłem, że widzę. Nigdy o tem do nikogo nie wspomniałem. Nigdy nie zamierzałem wspomnieć o tem nikomu. A choć tobie straszno jest o tem słuchać", kończył pan Wickfield, zupełnie rozbity, „gdybyś wiedział, jak mnie jest straszno mówić o tem, litowałbyś się nade mną!"

Doktór w niezmiernej dobroci swojej wyciągnął rękę. Pan Wickfield, pochyliwszy głowę, trzymał ją czas jakiś w swojej.

„Niezawodnie", wśliznął się Uriasz w to milczenie, jak wijący się węgorz, „jest to temat bardzo dla wszystkich nieprzyjemny. Ale skoro już tak daleko zaszliśmy, muszę ośmielić się wspomnieć, że i Copperfield zauważył to także".

Skoczyłem ku niemu i zapytałem, jak śmie powoływać się na mnie?

„Och, to bardzo ładnie z pańskiej strony, panie Copperfield", odpowiedział Uriasz, falując całem ciałem, „i my wszyscy wiemy, jaki pan ma miły charakter; ale pan wie, że z chwilą, gdy zacząłem mówić do pana tamtego wieczora, pan odrazu wiedział, co mam na myśli. Pan wie, że pan wiedział, co miałem na myśli, panie Copperfield. Proszę nie zaprzeczać! Pan zaprzecza w najlepszej intencji, ale niech pan tego nie robi, panie Copperfield".

Ujrzałem łagodne oko zacnego starego doktora, zwrócone na mnie przez chwilę i uczułem, że wyznanie dawnych mych podejrzeń i wspomnień zbyt wyraźnie wypisane jest na mej twarzy, by je można ukryć. Na nic się nie zdał gniew. Tego nie mogłem wymazać. Cokolwiekbym powiedział, temu nie mogłem zaprzeczyć.

Milczeliśmy teraz znów i tak trwaliśmy w milczeniu, aż doktór powstał i przeszedł się dwa czy trzy razy przez pokój. Zaraz też powrócił na miejsce, gdzie stał jego fotel i oparłszy się oń, raz po raz chustkę przykładając do oczu z szczerą prostotą, zaszczytniejszą mojem zdaniem, niż jakiekolwiek udane opanowanie, przemówił: „Zawiniłem bardzo. Zdaje mi się, że bardzo jestem winien. Wystawiłem kobietę, którą noszę w sercu, na próby i na zarzuty — nazywam to zarzutami, choćby to tylko powstało w najtajniejszej czyjejś myśli — którychby ona nigdy, gdyby nie ja, nie mogła się stać przedmiotem".

Uriasz Heep pociągnął nosem. Zdaje mi się, że tym sposobem chciał wyrazić współczucie.

„Których moja Ania, gdyby nie ja, nigdy nie byłaby mogła stać się przedmiotem. Panowie, jestem już stary, jak wiecie; czuję dziś, że niewiele mi pozostało, dla czegoby mi żyć było warto. Ale życie — życie moje gotów jestem oddać za honor i uczciwość tej drogiej kobiety, która była przedmiotem niniejszej rozmowy!"

Nie wiem, czy samo uosobienie rycerskości — wcielenie jakiejś pięknej, romantycznej postaci, tworu wyobraźni malarza — mogłoby wypowiedzieć to z równie silną, wzruszającą godnością, jak powiedział w tej chwili stary, nieładny doktór.

„Nie myślę jednak zaprzeczać", mówił dalej, „—a może sam o tem dotychczas nie wiedząc, byłbym w pewnej mierze skłonny przyznać — że może nieopatrznie nakłoniłem ją do nieszczęśliwego małżeństwa. Jestem człowiekiem, zupełnie nieprzywykłym do obserwacji; muszę wierzyć, że obserwacja kilku ludzi, rozmaitego wieku i stanowiska, zgodna w tym samym kierunku (i to tak naturalnie) trafniejsza jest od mojej".

Podziwiałem nieraz, jak to gdzieindziej opisałem, dobrotliwy stosunek jego do młodej żony; jednakże ta szacunku pełna tkliwość i czcią nieledwie nacechowany sposób, w jaki odsuwał od siebie najlżejsze podejrzenie co do jej nieskazitelności, podniosły go w moich, oczach ponad wszelki wyraz.

„Ożeniłem się z tą kobietą, gdy była bardzo młodą", mówił. „Wziąłem ją, gdy jej charakter zaledwie się urabiał. W miarę, jak się rozwijał, szczęśliwy byłem, mogąc go kształtować. Ojca jej znałem dobrze. Ją znałem dobrze.

Nauczyłem ją, ile mogłem, przez miłość jej pięknych i cnotliwych zalet. Jeżeli ją skrzywdziłem — a lękam się, że to uczyniłem — korzystając (choć nigdy nie miałem tego zamiaru) z wdzięczności jej i przywiązania, w sercu mem ją za to przepraszam!"

Przeszedł przez pokój i wrócił na to samo miejsce; ujął poręcz fotelu drżącą ręką, jak drżącym w szczerości swej był jego przyciszony głos.

„Poczytywałem się za ucieczkę dla niej przed niebezpieczeństwami i zmiennemi kolejami życia. Wmówiłem w siebie, że choć nierówni jesteśmy latami, ona żyć będzie ze mną spokojna i zadowolona. Nie wykluczałem z rozważań moich myśli o tej chwili, gdy wrócę jej wolność, młodej jeszcze i jeszcze pięknej, ale z bardziej dojrzałym sądem — nie, panowie — zapewniam was szczerze!"

Z nieładnej twarzy jego, jak światłość jaka, biła wierność i szlachetność. Każde wypowiedziane słowo miało siłę, jakiej piękność i uroda nadaćby nie mogły.

„Życie moje z tą kobietą było bardzo szczęśliwe. Aż do dnia dzisiejszego miałem nieprzerwaną sposobność błogosławić dzień, w którym wyrządziłem jej wielką krzywdę".

Głos jego, coraz bardziej załamujący się przy wymawianiu tych słów, zamilkł na chwilę; potem doktór mówił dalej: „Raz przebudzony z mego pięknego snu — biedny był ze mnie marzyciel, tak czy inaczej, przez całe życie — widzę, jakie to naturalne, że ona może mieć jakieś uczucie żalu do starego swego towarzysza. Że może patrzeć na niego z jakimś niewinnym żalem, że może czasami pomyśleć, co byćby mogło, gdyby nie ja — to, lękam się, może być aż nadto prawdą. Wiele z tego, co widziałem, ale na co nie zważałem, wróciło mi teraz na pamięć z nowem znaczeniem w ciągu tej ostatniej, ciężkiej godziny. Ale pozatem, panowie, imienia drogiej mojej pani nie wolno kojarzyć z jednem słowem, z jednem tchnieniem podejrzenia".

Na krótką chwilę oczy jego zapałały, głos zabrzmiał stanowczo; na krótką chwilę znowu zamilkł. Niebawem zaczął dalej mówić, jak przedtem: „Nie pozostaje mi nic innego, jak z poddaniem znosić świadomość sprawionego przez siebie nieszczęścia. To ona mogłaby czynić wyrzuty, nie ja. Obowiązkiem moim staje się bronić ją przed fałszywym sądem, przed okrutnym fałszywym sądem, którego nawet przyjaciele moi nie potrafili uniknąć. Im ciszej i ustronniej żyć będziemy, tym łatwiej tego dokonam. A gdy nadejdzie czas — oby nadszedł rychło, jeśli Bóg miłosierny pozwoli! — gdy śmierć moja wyzwoli ją z więzów, zamknę oczy, wpatrzone w jej czystą twarz z nieograniczonem zaufaniem i miłością, i pożegnam ją, bez żalu wtedy, na drogę jej szczęśliwszego i jaśniejszego życia",

Nie widziałem go, tak mi łzy przesłoniły oczy, łzy, wyciśnięte powagą jego i dobrocią, tak pięknie skojarzoną z tą szczerą jego prostotą. Podszedłszy ku drzwiom dodał: „Panowie, odkryłem wam moje serce. Jestem pewny, że potraficie je uszanować. Do tego, co się dziś mówiło, nie powinno się nigdy powracać. Wickfieldzie, stary przyjacielu, podaj mi twoje ramię i odprowadź mnie na górę!"

Pan Wickfield pospieszył ku niemu. Bez słowa wyszli powoli razem z pokoju, zaś Uriasz wiódł wzrokiem za nimi.

„A więc tak, paniczu!" odezwał się Uriasz, zwolna zwracając się ku mnie. „Rzeczy nie tak poszły, jak można się było spodziewać, gdyż stary Mędrzec — a cóż to za poczciwe człowieczysko! — ślepy jest, jak kret; ale już ta para to chyba rozbita!"

Potrzeba mi tylko było głos jego posłyszeć, by dać się ponieść takiej wściekłości, jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałem.

„Ty nędzniku", zawołałem, „co ty sobie myślisz, że mnie wciągasz w swoje intrygi? Jak śmiesz się do mnie zwracać teraz właśnie, ty łotrze fałszywy, jak gdybyśmy byli w zmowie, ja z tobą?"

Gdyśmy tak stali oko w oko, ujrzałem tak jasno w jego chytro-radosnej twarzy to, co już dobrze wiedziałem — że mianowicie narzucił mi swoje zwierzenia umyślnie, by mnie udręczyć, i że w tej sprawie rozmyślną na mnie zastawił pułapkę — że już tego znieść nie mogłem. Cały jego chudy policzek nęcąco świecił przede mną — uderzyłem weń otwartą dłonią z taką siłą, że zabolały mnie palce, jak gdybym je oparzył.

Chwycił moją rękę i tak złączeni staliśmy, patrząc jeden na drugiego. Długą chwilę staliśmy tak, dość długo, bym mógł widzieć, jak z czerwonego policzka jego schodził zbielały ślad moich palców, czerwieńsze piętna zostawiając w to miejsce.

„Copperfieldzie", szepnął wkońcu bezgłośnie, „czyś pan zmysły postradał?"

„Z tobą chcę skończyć!" odpowiedziałem, wyrywając rękę. „Ty psie, nie chcę cię znać więcej!"

„Nie chcesz?" zapytał i zniewolony bólem, przycisnął ręką policzek. „Może się to jednak nie da. Nie jest że to niewdzięczność, pytam?"

„Okazałem ci już nieraz, że tobą pogardzam", odparłem. „Teraz ci to jeszcze wyraźniej okazałem. Czemu się mam obawiać, że wszystkim dokoła siebie zrobisz, co będziesz mógł najgorszego? Czyż tego i tak nie robisz,"

Doskonale zrozumiał, że mam na myśli względy, które mnie dotychczas w stosunku z nim krępowały. Myślę, że ani

ten policzek ani ta wzmianka nie byłyby mi się wymknęły, gdyby nie zapewnienie, dane mi tegoż wieczora przez Agnieszkę. Mniejsza z tem zresztą.

Nastało dłuższe milczenie. Oczy Uriasza, patrzącego na mnie, brzydkie, jak zawsze, mieniły się coraz to innym odcieniem.

„Copperfieldzie", rzekł odejmując dłoń od policzka, „pan zawsze szedłeś przeciw mnie. Ja wiem, że zawsze kopałeś dołki pode mną w domu pana Wickfielda".

„Wolno ci myśleć, co ci się podoba", odparłem, wciąż jeszcze w pasji. „Choć to nieprawda — byłeś tego godzien".

„A jednak ja zawsze lubiłem ciebie, Copperfieldzie!" odpowiedział.

Nie raczyłem mu odpowiedzieć i wziąwszy kapelusz, zabierałem się do wyjścia, gdy wsunął się pomiędzy drzwi, a mnie.

„Copperfieldzie", rzekł, „dwóch musi być, gdzie zachodzi spór. Ja nie chcę być jednym z nich".

„Idźże do djabła!" odpowiedziałem.

„Nie mów pan tego!" odpowiedziałem. „Wiem, że będziesz potem żałował. Jak możesz okazywać się o tyle niższym ode mnie, jak możesz okazywać taką złośliwą zaciętość? Ale ja ci przebaczam".

„Ty mnie przebaczasz!" powtórzyłem wzgardliwie.

„Tak jest i pan na to nic nie poradzi", odpowiedział Uriasz. „Pomyśleć, że rzucasz się na mnie i napadasz mnie, który ci zawsze byłem przyjacielem! Ale nie może być sporu, gdzie niema dwóch spierających się, a ja nie będę jednym z nich. Chcę być panu przyjacielem, wbrew twojej woli. A więc wie pan, czego się masz po mnie spodziewać".

Konieczność prowadzenia tego djalogu (w którym on mówił bardzo powoli, ja zaś bardzo prędko) tonem przyciszonym, ażeby nie niepokoić domowników o niewłaściwej porze, bynajmniej nie poprawiała mi humoru, chociaż gniew mój stygł powoli. Powiedziawszy mu więc tylko, że będę się po nim spodziewał tego, czego się zawsze spodziewałem, a co mnie nigdy dotąd nie zawiodło — otworzyłem drzwi, tak, że się dostał pomiędzy nie jako wielki orzech do zgniecenia — i wyszedłem z domu. Ale i on mieszkał poza domem, u matki, i zanim uszedłem ze sto kroków, zdążył mnie dogonić.

„Pan wiesz, Copperfieldzie", rzekł mi do ucha (ja wcale głowy nie odwróciłem), „że znalazłeś się w zupełnie fałszywej sytuacji". Czułem, że to prawda i tem więcej mnie to drażniło; „nie możesz sobie powiedzieć, żeś spełnił, czyn odważny i nie możesz nie przyjąć mego przebaczenia. Nie mam zamiaru powiedzieć o tem matce, ani żadnej żywej du-

szy. Jestem zdecydowany przebaczyć panu. Jednakże dziwię się, żeś podniósł rękę na człowieka, o którym wiedziałeś, jak jest pokorny!“

Czułem się prawie tak podły, jak on. On lepiej mnie znał, jak ja sam siebie. Gdyby mi był odpowiedział, albo otwarcie mnie obraził, byłoby mi to ulgą, byłoby usprawiedliwieniem· ale tak, smażył mnie na wolnym ogniu i sprawił, że połowę nocy przeleżałem w męce.

Rankiem, gdy wyszedłem, dzwonił wczesny dzwonek kościelny, a on przechadzał się tam i z powrotem z matką. Zagadał do mnie, jak gdyby nic nie zaszło, a ja nie mogłem nie odpowiedzieć. Uderzyłem go tak mocno, że, jak się zdaje, przyprawiłem go o ból zębów. W każdym razie twarz miał obwiązaną czarną jedwabną chustką, co, zważywszy, że przez to kapelusz sterczał na tem zabawnie, wcale nie zdobiło jego powierzchowności. Słyszałem, że był u dentysty w Londynie w poniedziałek rano i że mu wyjęto zęba. Chciałbym wierzyć, że był to ząb podwójny.

Doktór dał do zrozumienia, że jest trochę niezdrów i przez czas trwania odwiedzin spędzał znaczną część dnia w samotności. Agnieszka i jej ojciec już od tygodnia byli wyjechali, zanim powróciliśmy do naszej zwykłej pracy. Na dzień przed jej podjęciem doktór wręczył mi własnoręcznie liścik złożony, niezapięczętowany. Adresowany był do mnie i w kilku serdecznych słowach zawierał prośbę, bym nigdy nie wspominał o sprawie z owego wieczora. Zwierzyłem się z tego tylko ciotce, nikomu więcej. Nie był to przedmiot, którybym mógł roztrząsać z Agnieszką i Agnieszka z pewnością nie podejrzewała nawet tego, co się stało.

Również, jestem przekonany, i pani Strong wtedy nie podejrzewała niczego. Kilka tygodni upłynęło, zanim dostrzegłem w niej leciutką zmianę. Przyszło to zwolna, jak chmura, gdy niema wiatru. Zrazu zdawała się dziwić temu łagodnemu współczuciu, z jakiem doktór do niej przemawiał i temu, że życzył sobie, by matka była przy niej dla urozmaicenia nudnej jednostajności życia. Często, gdyśmy byli przy pracy, a ona siedziała obok, widziałem, jak przerywała robotę i patrzyła na męża z tym pamiętnym mi wyrazem twarzy. Później widziałem niekiedy, jak wstawała z oczyma łez pełnemi i wychodziła z pokoju. Stopniowo cień bolesny przyćmił jej piękność i pogłębiał się każdego dnia. Pani Markleham była wtedy stałym gościem willi; ale ona gadała tylko i gadała, lecz nie widziała niczego.

Gdy te powolne zmiany zachodziły w pani Ani, tym słonecznym niegdyś promieniu domu doktora, doktór stawał się jakoby coraz starszy i poważniejszy; jeśli to jednak możliwe, to jeszcze słodszem było jego usposobienie, jeszcze pogodniejszą dobrotliwość jego obejścia, jeszcze życzliwszą jego troskliwość w stosunku do żony. Widziałem raz — a było to wczesnym rankiem w dniu jej urodzin, gdy przyszła usiąść przy oknie podczas gdyśmy pracowali (zwykła to czynić zawsze, ale teraz zaczęła to czynić nieśmiało i niepewnie, co mnie prawdziwie wzruszało) — widziałem, jak ujął czoło jej w obydwie dłonie, ucałował i szybko wyszedł, głęboko wzruszony. Widziałem, jak stała w miejscu, jak posąg — a potem pochyliła głowę, załamała ręce i płakała, nie umiem wyrazić, jak boleśnie.

Później zdawało mi się niekiedy, że chciała mówić, nawet ze mną, w chwilach gdy zostawaliśmy sami. Jednak nigdy nie wyrzekła słowa. Doktór stale podsuwał projekty jakichś rozrywek za domem, życząc sobie, by brała w nich udział z matką; pani Markleham zaś, bardzo lubiąca się bawić i łatwo z czego innego niezadowolona, projekty takie podejmowała bardzo chętnie i głośno do nich zachęcała. Pani Ania jednakże szła bezdusznie i obojętnie, dokąd ją prowadzono, i o·to, zdaje się, nie dbała.

Nie wiedziałem, co mam myśleć, ani także moja ciotka, która zapewne w swojej rozterce musiała w różnych porach przespacerować setki mil. Co jednak ze wszystkiego najdziwniejsze, to że jedyna rzetelna ulga, wsączająca się w tajną dziedzinę tego domowego nieszczęścia, wstępowała tam w osobie pana Dicka.

Co on o tem wszystkiem myślał, co zaobserwował, tego nie umiałbym wytłomaczyć, ani on sam zapewne nie umiałby mi wyjaśnić. Jak już jednak, opisując moje szkolne czasy, zaznaczyłem, miał on dla doktora bezgraniczną cześć; jest zaś w prawdziwem przywiązaniu, nawet gdy łączy ono z człowiekiem niższe zwierzęta, taka subtelność odczuwania, że przewyższa ona największą inteligencję. Prosto do tej duszy serca, że się tak wyrażę, w panu Dicku wpadł jakiś jasny promień prawdy.

W licznych swych wolnych godzinach powrócił on z dumą do dawnego swego przywileju spacerowania po ogrodzie tam i z powrotem z doktorem, tak jak dawniej po Ścieżce Doktora w Canterbury. Ale zaledwie się to stało, zaczął poświęcać na te spacery wszystek swój wolny czas, umyślnie nawet wstawał wcześniej rano. Jeżeli dawniej był najszczęśliwszym, gdy doktór odczytywał mu to najcudowniejsze swoje dzieło, Słownik, to teraz był wprost nieszczęśliwy, dopóki doktór nie wyciągnął go z kieszeni i nie zaczął czytać. Gdy doktór zajęty był ze mną, pan Dick zawsze spacerował z panią Strong i pielęgnował z nią razem jej ulubione kwiaty lub plewił grządki. Rzadko chyba w ciągu

godziny powiedział sześć słów — ale spokojne jego zainteresowanie i smutny, łagodny wzrok znajdowały natychmiastowy oddźwięk w sercu obojga. Każde z doktorostwa wiedziało, że drugie go lubi, a że on kocha ich oboje; i stał się tem, czem nikt inny staćby się nie mógł — łącznikiem między nimi.

Gdy widzę go w myśli z tą nieprzenikniono mądrą twarzą, spacerującego tam i z powrotem z doktorem, uszczęśliwionego, że wnet uderzy w niego grad twardych wyrazów Słownika, gdy myślę o nim, dźwigającym za panią Anią wielkie polewaczki z wodą; przyklękującym w olbrzymich rękawicach do cierpliwej, mikroskopijnej roboty wśród drobnych listeczków, gdy widzę go wyrażającego, jakby tego żaden filozof wyrazić nie potrafił, jak bardzo a delikatnie pragnie być jej przyjacielem, gdy widzę go wylewającego sympatję, wierność, przywiązanie z każdej dziurki sitka polewaczki i nigdy nie porzucającego tej lepszej swojej świadomości, do której dochodziło ludzkie nieszczęście, nigdy nie wprowadzającego króla Karola do ogrodu, niezachwianego w swej wdzięcznej, oddanej usłużności, nigdy nie zapominającego, że jest coś przecież nie tak, jak należy, i że to naprawićby trzeba — rzeczywiście, gdy o tem myślę, wstydzę się niemal, że wiem, iż nie był przy zupełnie zdrowym rozumie, bo cóż ja wielkiego zdziałałem z moim?

„Nikt nie wie, ja jedna tylko, Trotku, wiem, czem jest ten człowiek!" mawiała z dumą ciotka, gdy o tem rozmawialiśmy. „Dick jeszcze się odznaczy!"

Jeszcze jeden przedmiot nasuwa mi się pod pióro, zanim ten rozdział zamknę. Jeszcze podczas pobytu gości u doktora zauważyłem, że listonosz codziennie przynosi po dwa albo trzy listy dla Uriasza Heep, który pozostał w Highgate aż do wyjazdu wszystkich, był to bowiem okres wakacji; zauważyłem też, że listy te były adresowane ręką pana Micawbera, który teraz przyswoił sobie okrągłe, prawnicze pismo. Rad wnioskowałem, po tych drobnych wskazówkach sądząc, że pan Micawber dobrze się miewa; to też zadziwiłem się mocno, otrzymując około tego czasu następujący list od jego miłej żony:

„Canterbury, Poniedziałek wieczór.

Zdziwi się pan niewątpliwie, drogi panie Copperfield, otrzymawszy to pismo. Jeszcze bardziej zdziwi pana jego treść. A jeszcze bardziej prośba o zupełną tajemnicę, co proszę uwzględnić. Jednakże uczucia moje, jako małżonki i matki skłaniają mnie do szukania podpory; że zaś nie pragnę naradzać się z moją rodziną (i tak już niechętnie widzianą przez pana Micawbera), nie znam nikogo, kogobym

prędzej mogła poprosić o radę, jak przyjaciela mojego i dawnego lokatora.

Prawdopodobnie zauważył pan, mój drogi panie Copperfield, że pomiędzy mną a panem Micawberem (którego ja nigdy nie opuszczę) panował zawsze duch wzajemnego zaufania. Pan Micawber mógł niekiedy podpisać weksel, nie poradziwszy się mnie, albo też wprowadzić mnie w błąd co do terminu płatności takiego weksla. To się istotnie zdarzało. Naogół jednak pan Micawber nie miał tajemnic przed swoim serdecznym druhem — chcę powiedzieć przed swoją żoną — i stale, gdyśmy się udawali na spoczynek, opowiadał wypadki dnia.

Może pan sobie przedstawić, mój drogi panie Copperfield, jak bolesne są moje uczucia, gdy panu powiem, że pan Micawber całkowicie się zmienił. Jest zamknięty w sobie. Jest skryty. Jego życie jest tajemnicą dla uczestniczki jego radości i jego zmartwień — znów mówię o żonie — i jeśli pana zapewnię, że wiem tylko, iż spędza je od rana do nocy w biurze, to muszę dodać, że poza tem nic absolutnie o nim nie wiem.

To jednak nie wszystko jeszcze. Pan Micawber jest opryskliwy, pochmurny. Zobojętniał dla naszego najstarszego syna i córki, przestał być dumny z bliźniąt, chłodno naszego rodzinnego zespołu. Pieniężne środki na pokrycie spogląda na niewinnego przybysza, najmłodszego członka naszych wydatków, ograniczone do ostateczności, otrzymuję od niego z najwyższym trudem, często nawet słysząc okropne groźby, że położy sobie koniec (dokładnie tak brzmi to wyrażenie); przytem nieubłaganie odmawia wyjaśnienia tego do rozpaczy mnie doprowadzającego zachowania się.

Ciężko to znieść. Serce od tego pęka. Jeżeli zechce mi pan poradzić, znając słaby mój rozum takim, jaki jest, jak mam się nim najlepiej posłużyć przy tak niezwykłych trudnościach, doda pan jeszcze jedną przyjacielską przysługę do tylu innych, które mi pan już oddał. Serdeczności łączę od moich dzieci i uśmiech od nieświadomego, na szczęście, przybysza, pozostając, drogi panie Copperfield,

oddaną i ciężko strapioną

Emma Micawber".

Nie czułem się uprawnionym dawać innych rad mężatce, mającej tyle doświadczenia, co pani Micawber, jak tylko te, by starała się pozyskać z powrotem pana Micawbera cierpliwością i dobrocią (co zresztą wiedziałem, że w każdym razie uczyni); jednakże ten list dał mi o nim wiele do myślenia.

Rozdział czterdziesty trzeci.

Jeszcze jeden rzut oka wstecz.

Raz jeszcze niech mi wolno będzie zatrzymać się przy pamiętnym mi okresie życia. Stanę na boku, by popatrzeć na przesuwające się przede mną widziadła onych minionych dni, w mglistym orszaku towarzyszące mojemu własnemu cieniowi.

Tygodnie, miesiące, pory roku płyną przede mną. Wydają się niczem więcej, jak jednym dniem letnim lub wieczorem zimowym. Oto łąka, po której przechadzam się z Dorą, cała w kwiecie, jedno pole jasnego złota; a oto niewidzialne wrzosowisko w kupkach i kępkach leży pod powłoką śniegu. W jednej chwili rzeka, która przepływa okolicę naszych niedzielnych spacerów, to iskrzy się w letniem słońcu, to marszczy w podmuchu zimowego wiatru, to wzbiera pod zwałami kry. Prędzej, niż wszystkie rzeki, co dążą do morza, ta rzeka błyska, posępnieje i toczy się w dal.

Nic na włos się nie zmienia w domu dwóch małych ptaszęcych starych panien. Zegar tyka nad kominkiem, barometr wisi w sieni. Ani zegar ani barometr nigdy nie mówią prawdy — ale my święcie im obydwom wierzymy.

Stałem się prawie dojrzałym człowiekiem. Osiągnąłem godność lat dwudziestu jeden. Jest to jednakże godność, która przychodzi bez zasługi. Niechże pomyślę nad tem, czego sam dokonałem.

Opanowałem tę wściekłą stenograficzną tajemnicę. Mam przyzwoity dochód z tego źródła. Jestem wysoce ceniony za moją biegłość przez wszystkich uczestników tej sztuki i wraz z jedenastoma innymi prowadzę sprawozdania z rozpraw parlamentarnych dla pewnego porannego dziennika. Wieczór po wieczorze notuję przepowiednie, które się nigdy nie ziszczają, zapewnienia, nigdy nie dotrzymywane, wyjaśnienia, których jedynym celem jest mydlenie oczu. Pławię się w słowach. Brytania, ta nieszczęsna niewiasta, leży zawsze przede mną, jak oskubana kura: naszpikowana na wylot urzędowemi piórami, nogi i ręce ma związane i opieczętowane czerwonym lakiem. Dość długo siedzę za kulisami, ażeby znać wartość politycznego życia. Skończony sceptyk ze mnie co do tego i nigdy się nie nawrócę.

Stary mój poczciwy Traddles spróbował tego samego zawodu, ale to nie jego dziedzina. Z dobrą miną zniósł swe niepowodzenie i przypomina mi, że zawsze uważał siebie za tępego. Jest on przygodnie zajęty w tym samym co i ja dzienniku obrabiając suche tematy, które należy upiększyć i opisać bardziej soczyście. Złożył swoje egzaminy prawne i z podziwu godną skrzętnością i zaparciem się siebie uciułał jeszcze jedną setkę funtów na opłacenie praktyki

u adwokata. Wielką ilość bardzo gorącego wina Oporto wypito przy oblewaniu jego patentu; zważywszy cyfrę rachunku, sądziłbym, że musiano dobrze przy tem zarobić.

Co do mnie, to wystąpiłem na innem polu. Z drżeniem i lękiem spróbowałem pisać. Napisałem jakiś drobiazg w tajemnicy i posłałem to do pewnego miesięcznika i w tym miesięczniku zostało to wydrukowane. Odtąd nabrałem odwagi i napisałem wiele drobiazgów. Teraz regularnie płacą mi za nie. Wszystko razem wziąwszy, dobrze się mam; licząc dochody mojej na palcach lewej ręki, mijam trzeci palec i czwarty ujmuję w połowie.

Przeprowadziliśmy się z Buckingham Street do miłego małego domeczku, bardzo blisko tego, który niegdyś oglądałem, gdy pierwszy raz rozżarzył się we mnie mój zapał. Ciotka moja jednak (która dom swój w Dover korzystnie sprzedała) nie zamierza zostać tutaj, lecz zamyśla przenieść się do jeszcze mniejszego, maleńkiego domku tuż obok. Cóż to zapowiada? Że się mam żenić? Tak jest!

Tak jest! Ma się odbyć mój ślub z Dorą! Panna Lawinja i panna Klaryssa dały swoje przyzwolenie i trzepotały się, jak dwa zaniepokojone kanarki. Panna Lawinja, dobrowolnie wziąwszy na siebie naczelne kierownictwo nad wyprawą mojego ukochanego dziewczątka, wciąż wycina z papieru jakieś formy i różni się w zdaniu z wielce dostojnym młodzieńcem z długą paczką i miarą yardową pod pachą. Krawcowa, z piersią stale przekłutą nawleczoną igłą, mieszka i stołuje się w domu, a mnie się wydaje, że, czy to jedząc, czy pijąc, czy śpiąc, nigdy nie zdejmuje naparstka. Robią figurę gipsową z mojej miłej. Ciągle po nią przysyłają, żeby przyszła coś przymierzyć. Nie możemy pięciu minut wieczorem szczęśliwie ze sobą posiedzieć, gdyż zaraz jakaś natrętna niewiasta puka do drzwi i mówi: „Proszę, panno Doro, niech pani będzie łaskawa pójść na górę!"

Panna Klaryssa i moja ciotka krążą po całym Londynie, wyszukując meble i sprzęty i każą Dorze i mnie to oglądać. Lepiejby dla nich było, gdyby odrazu załatwiały kupno, bez tej zbytecznej ceremonji oglądania; gdy bowiem idziemy obejrzeć blachę przed piec, albo klosz do mięsa, Dorze wpada w oko chiński domek dla Jipa, z dzwoneczkami na dachu, i wybiera to. A potem, kupiwszy to, długo trzeba przyzwyczajać Jipa do tego nowego mieszkania; ile razy wchodzi albo wychodzi, potrąca wszystkie dzwoneczki i dzwonią, a on się strasznie tem przeraża.

Peggotty zjeżdża, ażeby przyjść także z pomocą i zaraz zabiera się do roboty. Jej działem jest, zdaje się, czyścić wszystko bez końca. Wyciera wszystko, co się da wytrzeć i znowu trze i wyciera, aż się to świeci od tego ciągłego tarcia, jak własne jej uczciwe czoło. I teraz zaczynam też wi-

dywać jej brata, samotnika, jak ciemnemi ulicami nocą wędruje, zaglądając w mijające go twarze. Nigdy go o takiej porze nie zagaduję. Aż nadto dobrze wiem, widząc tę poważną postać, czego on szuka, czego się boi.

Czemuż to Traddles tak ważną stroi minę, wstępując po mnie owego popołudnia do naszych biur — dokąd jeszcze zawsze raz po raz dla pozoru uczęszczam, gdy mi starczy czasu? Zbliża się urzeczywistnienie moich chłopięcych snów na jawie. Mam dostać licencję ślubną.

Taki to mały dokumencik, a tak wiele może; Traddles patrzy na ten kawałek papieru, leżący na mojem biurku, patrzy nawpół z podziwem, a nawpół ze czcią. Widnieją na nim imiona w tem dawno wymarzonem połączeniu, Dawid Copperfield i Dora Spenlow; a tam, z kącika, ta ojcowska instytucja, Urząd Stemplowy, tak życzliwie zainteresowany w rozmaitych sprawach ludzkiego żywota, spogląda z góry na nasz związek. I oto arcybiskup z Canterbury zasyła nam błogosławieństwo drukiem, a czyni to taniej, niżby się można spodziewać.

Pomimo to czuję się jak we śnie, w błogim, gorączkowym, szybko płynącym śnie. Nie mogę uwierzyć, że się to ma stać; a jednak mimowoli wydaje mi się, że każdy, kogo mijam na ulicy, jakoś musi wiedzieć, że mój ślub pojutrze! Duchowny, przed którym idę składać przysięgę, zna mnie i załatwia się ze mną szybko, jak gdyby łączyło nas jakieś masońskie porozumienie. Traddles wcale nie jest potrzebny, ale towarzyszy mi, jako mój ręczyciel.

„Mam nadzieję, że gdy się zjawisz tutaj następnym razem, mój drogi", mówię do niego, „będzie to w tym samym interesie, ale twoim własnym. I mam nadzieję, że stanie się to niebawem".

„Dziękuję ci za twoje życzenia, Copperfieldzie", odpowiada. „I ja też mam tę nadzieję. To miło jest wiedzieć, że ona czekać na mnie będzie choćby najdłużej, i że rzeczywiście jest to najdroższa dziewczyna..."

„Kiedy masz się z nią spotkać na poczcie?" pytam.

„O siódmej", mówi Traddles, spoglądając na swój prosty stary srebrny zegarek, ten sam, z którego niegdyś w szkole wyciągnął kółko, żeby sfabrykować młyn wodny. „Zdaje mi się, że mniej więcej o tym samym czasie przyjeżdża i panna Wickfield?"

„Trochę później. O wpół do dziewiątej".

„Zapewniam cię, chłopcze drogi", mówi Traddles, „że prawie tak się cieszę, jak gdyby to miał być mój własny ślub, gdy pomyślę, że ta sprawa tak szczęśliwego dobiega końca. I doprawdy, za ten wielki dowód przyjaźni i względów z naszej strony za to, że pragniecie, by Zofja osobiście uczestniczyła w tej radosnej uroczystości, że zapraszacie ją na drużkę razem z panną Wickfield, winien ci jestem najgoretsze dzięki. Niezmiernie ci jestem wdzięczny".

Słucham go, ściskamy sobie ręce, rozmawiamy, chodzimy, jemy obiad i tak dalej; ale ja temu nie wierzę. Wszystko wydaje mi się nie rzeczywistem.

Zofja o oznaczonej godzinie przybywa do domu ciotek Dory. Twarzyczkę ma najmilszą w świecie — nie piękną może, ale niezmiernie pociągającą; jest to takie, jak rzadko spotkać, wesołe, pełne prostoty, szczere, ujmujące stworzenie. Traddles przedstawia nam ją z wielką dumą; a potem dokładnie przez dziesięć minut zaciera ręce i każdy pojedynczy włos staje mu dęba na głowie, gdy mu w kąciku winszują jego wyboru.

Przyprowadziłem Agnieszkę, która nadjechała pocztą od Canterbury i pogodna, piękna jej twarz zjawia się dzisiaj po raz drugi między nami. Agnieszka bardzo lubi Traddlesa i warto widzieć, jak się spotykają, warto przyjrzeć się triumfowi Traddlesa, gdy jej przedstawia najdroższą w świecie dziewczynę.

A ja jeszcze w to wszystko nie wierzę. Spędzamy najmilszy wieczór, jesteśmy nad wyraz szczęśliwi. Ale ja temu jeszcze nie wierzę. Nie mogę się połapać. Nie potrafię zdać sobie sprawy z mojej szczęśliwości, w miarę, jak ona napływa. Czuję się w stanie jakiegoś mglistego wykolejenia; jest mi, jakgdybym wstał bardzo wcześnie rano, z tydzień albo ze dwa tygodnie temu, i odtąd ani razu nie kładł się spać. Nie mogę wymiarkować, kiedy było wczoraj. Wydaje mi się, że moją licencję ślubną noszę w kieszeni od wielu miesięcy.

To samo nazajutrz, gdy całą gromadką idziemy wszyscy obejrzeć dom — nasz dom — Dory i mój dom — zupełnie nie potrafię uważać się za pana w tym domu. Wydaje mi się, że jestem tam za czyjemś pozwoleniem. Nieledwie czekam, czy prawdziwy gospodarz nie wróci za chwilę i uprzejmie nie powita mnie u siebie. Taki to śliczny domek, wszystko w nim takie jasne, takie nowe; kwiaty na dywanach wyglądają, jak świeżo zerwane, a zielone liście na obiciu jak gdyby dopiero co wypuściły; a te niepokalane muślinowe firanki, a te rumieniące się różowe mebelki i Dory kapelusz ogrodowy z niebieską wstążką — pamiętam przecież, jak się w niej zakochałem, gdy ją pierwszy raz poznałem w takim kapeluszu! — już wisi na swoim kołeczku; pudło z gitarą jest już zupełnie u siebie, w kąciku, a wszyscy potykają się o pagodę Jipa, nazbyt wielką, jak na to mieszkanie.

Znów jeszcze jeden szczęśliwy wieczór, a potem wysuwam się, jak zwykle przed odejściem, do drugiego pokoju. Niema tam Dory. Przypuszczam, że jeszcze nie skończyli z przymierzaniem. Panna Lawinja zagląda i oznajmia mi ta-

jemniczo, że Dora niedługo przyjdzie. A jednak długo nie przychodzi: nakoniec słyszę szelest za drzwiami i ktoś puka.

Odpowiadam: „Proszę wejść!“ ale ktoś znów puka.

Idę do drzwi, zaciekawiony, kto to być może, i oto widzę parę jasnych oczu i zarumienioną twarzyczkę. Dory to oczy, Dory twarzyczka — to panna Lawinja ubrała ją w jutrzejszy strój, nie wyłączając czepeczka, żebym ją mógł zobaczyć. Tulę do serca małą moją żoneczkę, a panna Lawinja wydaje lekki okrzyk, gdyż zrzuciłem czepeczek, Dora zaś śmieje się i płacze równocześnie, że jestem taki uradowany. A ja w to wszystko wierzę mniej, niż kiedykolwiek.

„Czy ci się to podoba, Doady?“ mówi Dora.

Czy mi się podoba? Myślę!

„A czy ty naprawdę bardzo mnie lubisz?“ mówi Dora.

Jest to temat, grożący takiem niebezpieczeństwem czepeczkowi że panna Lawinja wydaje powtórnie okrzyk i upomina mnie, bym pamiętał, że na Dorę tylko można patrzeć, ale pod żadnym pozorem nie wolno jej dotykać. Stoi więc Dora przez jakąś minutę ślicznie zażenowana, dając się podziwiać; a potem zdejmuje czepeczek — a tak naturalnie wygląda bez tego! — i ucieka, trzymając go w ręku; potem zbiega znów z góry, w zwykłej swojej sukience i pyta Jipa, jak myśli, czy dostaję ładną żoneczkę, i czy Jip jej daruje, że wychodzi zamąż, i klęka, by kazać mu stanąć na książce kucharskiej po raz ostatni w jej panieńskiem życiu.

Idę do domu, do mieszkania, kóre tu mam tuż niedaleko i jeszcze mniej wiarogodnem, niż kiedy, wydaje mi się wszystko; rano wstaję bardzo wcześnie i jadę do Highgate po moją ciotkę.

Nigdy nie widziałem ciotki tak uroczyście strojnej. Ma na sobie jedwabną suknię lawendowego koloru, ma biały kapelusz i jest zdumiewająca. Żaneta ubrała ją; stoi i patrzy na mnie. Peggotty już gotowa, chce iść do kościoła, by oglądać ceremonję z galerji. Pan Dick, z którego ręki mam przy ołtarzu odebrać moje kochanie, dał sobie ufryzować włosy. Traddles, (podług umowy zabrałem go u rogatki) przedstawia olśniewającą kombinację koloru kremowego z jasno nieniebieskim; od obu, od niego i od pana Dicka, aż bije blask rękawiczek.

Niewątpliwie widzę to, bo wiem, że tak jest; ale jestem jak nieprzytomny i nie wiem, czy co widzę. I nic też nie wydaje mi się prawdą. A jednak, gdy jedziemy otwartym powozem, ten czarodziejski ślub jest mi o tyle rzeczywistością, że z jakąś litością patrzę na tych nieszczęsnych ludzi, którzy w nim nie biorą udziału, ale muszą wymiatać sklepy i iść do zwykłych codziennych swych zajęć.

Ciotka moja siedzi, trzymając moją rękę w swojej przez całą drogę. Gdy przystajemy opodal kościoła, żeby mogła



wysiąść Peggotty, którą przywieźliśmy na koźle, ciotka ściska mi rękę i całuje mnie.

„Niech cię Bóg błogosławi, Trotku! Własny syn nie mógłby mi być droższy. Myślę o biednym kochanym dzieciaku dziś od samego rana".

„I ja również. I o wszystkiem co tobie zawdzięczam, ciociu".

„Co tam moje dziecko!" mówi moja ciotka; i w wylewie serdeczności podaje rękę Traddlesowi, ten swoją panu Dickowi, ten mnie, ja znów moją Traddlesowi i oto zajeżdżamy przed drzwi kościoła.

W kościele jest spokój i cisza, to prawda. Ale mnie to równie nie uspakaja, jak gdyby w nim huczała maszyna parowa w pełnym ruchu. Za bardzo jestem podniecony i roztrzęsiony.

Rzeczywistość jest dla mnie jakimś snem bez związku.

Snem jest, że oni wchodzą, wprowadzając Dorę; że dozorczyni od otwierania ławek ustawia nas, jak sierżant, ćwiczący rekrutów, przed galeryjką ołtarza; lecz nawet wtedy nasuwa mi się pytanie, dlaczego te dozorczynie muszą to być najnieprzyjemniejsze w świecie niewiasty i czy to jakiś lęk religijny przed szkodliwą zaraźliwością dobrego humoru jest powodem, że uważa się za nieodzowne te naczynia pełne octu ustawiać na drodze do nieba?

Snem jest, że zjawia się ksiądz i kościelny, że kilku wioślarzy i jeszcze kilka innych osób wchodzi do kościoła, że jakiś stary marynarz za moimi plecami napełnia kościół silną wonią rumu, że zaczyna się nabożeństwo śpiewem niskiego głosu i że my wszyscy uważnie słuchamy.

Niby we śnie widzę, że panna Lawinja, mająca tu rolę jakoby pomocniczej drużki, pierwsza zaczyna płakać i tem łkaniem (jak ja to sobie tłumaczę) oddaje hołd pamięci Pidgera; że panna Klaryssa stosuje trzeźwiące sole; że Agnieszka opiekuje się Dorą; że ciotka moja usiłuje być wzorem surowej powagi, a łzy spływają jej po twarzy; że mała Dora drży bardzo mocno i cichym szeptem daje odpowiedzi.

Niby we śnie widzę, że klękamy razem, jedno obok drugiego; że Dora coraz mniej drży, ale wciąż ściska Agnieszkę za rękę; że nabożeństwo przebiega spokojnie i poważnie, że gdy się skończyło, patrzymy jedni na drugich w jakimś kwietniowym nastroju zmięszanych uśmiechów i łez; że moja młoda żoneczka wybucha w zakrystji spazmatycznym płaczem i płacząc wzywa swego biednego papy, swego drogiego papy.

Jak we śnie widzę, że rozpogadza się niebawem i że wszyscy podpisujemy się w księdze kościelnej; że ja idę na galerję po Peggotty, żeby i ona się podpisała; że Peggotty

ściska mnie w kąciku i mówi mi, że widziała ślub mojej drogiej mateczki; że wreszcie skończyło się wszystko, a my wychodzimy.

Jak we śnie widzę, że taki dumny i kochający idę przez nawę kościelną z moją najmilszą żoną, wspartą na mojem ramieniu, idę po przez mgłę zaledwie widzialnych mi ludzi, ołtarzy, pomników, ławek, kropielnic, organów i okien kościelnych, wśród czego unoszą się, niby nikłe echa, wspomnienia rodzinnego kościoła z moich lat dziecięcych, tak dawno ubiegłych lat.

Jak we śnie słyszę w przejściu szepty, że taka młoda z nas para i że z niej taka ładna, maleńka pani młoda. I pomnę, jak wszyscy jesteśmy weseli i rozmowni, wracając powozem. Jak Zofja nam opowiada, że gdy Traddlesa zapytano o licencję (którą mu powierzyłem), ona omal nie zemdlała, będąc pewną, że on zdążył ją już zgubić, albo że mu ją wykradziono z kieszeni. Jak Agnieszka wesoło się śmiała, a Dora tak pokochała Agnieszkę, że nie chce się z nią rozstać, lecz wciąż trzyma ją za rękę.

Jak we śnie wiem, że było śniadanie, że była obfitość ładnych i dobrych rzeczy do jedzenia i do picia, że i ja to jadłem i piłem, tak jakbym to czynił w jakimś innym śnie, zupełnie nie wiedząc, jaki to ma smak — karmiłem się, że się tak wyrażę, tylko miłością moją i moim ślubem, a potrawy, tak jak i wszystko inne, nie były dla mnie rzeczywistością.

Wiem także, że miałem mowę w ten sam jakiś senny sposób, sam nie mając pojęcia, co chcę powiedzieć; że było nam bardzo miło i dobrze (a zawsze jednak, jak we śnie) i że Jip dostał weselnego tortu, co mu później nie posłużyło.

Wiem, że para najętych koni pocztowych zajechała przed dom i że Dora poszła się przebrać. Że ciotka moja i panna Klaryssa zostały z nami i że chodziliśmy po ogrodzie; i że moja ciotka, która całą mówkę palnęła przy śniadaniu na cześć Dory ciotek, sama z siebie mocno się śmiała ale i trochę dumna była też...

Wiem, że Dora nareszcie była gotową, że panna Lawinja kręciła się koło niej, markotna, że traci ładną zabaweczkę, która jej dostarczyła tyle miłego zajęcia. Że Dora robiła cały szereg odkryć co do różnych zapomnianych drobiazgów, i że wszyscy wszędzie po nie biegali.

A potem znów widzę, jak wszyscy otaczają Dorę, gdy nareszcie zaczyna się żegnać, a wyglądają, jak grządka kwiatowe w tych jasnych barwach i wstążkach. Widzę, jak kochanie moje miażdżą niedlewie te kwiaty i jak wreszcie wydostaje się ona, śmiejąc się razem i płacząc, i wpada w moje zazdrosne ramiona.

I widzę siebie, jak chcę nieść Jipa (który ma jechać z nami), a Dora mówi, że nie, że ona sama musi go nieść, inaczej myślałby, że przestała go lubić teraz, wyszedłszy zamąż, i serceby mu pękło z żalu. I widzę, jak idziemy, prowadząc się pod ramię, a Dora przystaje, ogląda się i mówi: „Jeżeli byłam dla kogo niegrzeczna albo niewdzięczna, proszę mi tego nie pamiętać!“ i wybucha łzami.

I widzę, jak skinieniem ręki daje znaki i jak znów idziemy dalej. I jak jeszcze raz przystaje i ogląda się i biegnie do Agnieszki i Agnieszce ponad wszystkimi innymi daje ostatnie pocałunki i ostatnie pożegnanie.

Odjeżdżamy razem i teraz dopiero budzę się ze snu. Wierzę nareszcie, że to prawda. To przecież jest moja droga, droga żoneczka, tu, przy mnie, ta, którą tak bardzo kocham!

„Czy jesteś teraz szczęśliwy, ty niemądry chłopaku?“ mówi Dora, „i czy jesteś pewny, że nie żałujesz?“

. . . .

Stanąłem na boku, żeby patrzeć na widziadła onych dni, przesuwające się przede mną. Przeminęły, a ja podejmuję dalszy wątek mojej opowieści.

Rozdział czterdziesty czwarty.

Nasze gospodarstwo.

Dziwny to był stan rzeczy, gdy minął miodowy miesiąc, a drużki popowracały do domu, ja zaś znalazłem się w moim własnym małym domku razem z Dorą; dziwnem to było, czuć się tak wytrąconym, że się tak wyrażę, z rozkosznej dawnej kolei starań zakochanego.

Zdawało mi się to czemś tak nadzwyczajnem, że mam zawsze Dorę u siebie. Tak dziwnie mi było, że nie potrzebowałem wychodzić, by ją zobaczyć, że nie miałem powodu troskać się o nią, nie nie potrzebowałem pisać do niej, ani obmyślać i wyszukiwać sposobności do zastosowania z nią sam na sam. Niekiedy wieczorem, gdy oderwałem wzrok od mego pisania i ujrzałem ją, siedzącą naprzeciw, opierałem się o poręcz fotela i dumałem nad tem, jak to jakoś dziwnie, że jesteśmy tu sami ze sobą i to tak naturalne — i nikomu nic do tego — i cała romantyczna strona naszego narzeczeństwa, złożona gdzieś tam na półce, niech sobie rdzewieje — i jedno drugiemu mamy tylko dogadzać i nikomu więcej — jedno drugiemu, przez całe życie.

Gdy była debata parlamentarna i to mnie zatrzymywało do późna, tak dziwnie mi było, gdym wracał do domu i myślałem, że tam w domu jest Dora! Takie to cudowne było zrazu, widzieć ją schodzącą pocichutku na dół, żeby pogawędzić ze mną podczas gdy jadłem kolację. Takie to było zdumiewające dowiedzieć się na pewno, że ona włosy zawija w papiloty. A cóż dopiero zobaczyć, jak ona to robi!

Nie wiem, czy dwa ptaszki mogłyby mniej wiedzieć o prowadzeniu domu, jak ja i moja ładniutka Dora. Mieliśmy, naturalnie, służącą. Ta za nas prowadziła gospodarstwo. Dotąd tkwi we mnie podejrzenie, że musiała to być córka pani Crupp w przebraniu, tyle przez tę Marjannę mieliśmy wycierpieć.

Nazwisko jej brzmiało Paragon, czyli wzór doskonałości. Sądziliśmy, godząc ją, że nawet to nazwisko słabo wyraża, czem ona jest w rzeczywistości. Posiadała pisane świadectwo, wielkie, jak jaka proklamacja, wedle zaś tego dokumentu umiała z dziedziny gospodarstwa wszystko, o czem kiedykolwiek słyszałem a prócz tego wiele, o czem wogóle nigdy nie słyszałem. Była to niewiasta w kwiecie wieku, o twarzy surowej a dotknięta, zwłaszcza na ramionach, stałą wysypką, czemś, jak odra albo pokrzywka. Miała kuzyna, królewskiego gwardzistę, z tak długiemi nogami, że wyglądał, jak czyjś cień popołudniowy. Jego wojskowa kurtka o tyle była dla niego za małą, o ile on był za wielki na rozmiary naszego mieszkania. Nasz domeczek malał niepotrzebnie, gdyż nie był do niego w żadnej proporcji. Pozatem ściany były cienkie i ile razy spędzał wieczór w naszym domu, zawsze o tem wiedzieliśmy, słysząc w kuchni jedno bezustanne huczenie.

Nasz skarb miał zaznaczone w świadectwie, że jest trzeźwy i uczciwy. To też skłonny jestem uwierzyć, że miała jakiś atak, gdyśmy ją znaleźli w kuchni pod stołem i że brak łyżeczki trzeba zapisać na konto zamiatacza ulic.

Jednakże ciężyła nam na duszach straszliwie. Czuliśmy własne niedoświadczenie i nie umieliśmy sobie poradzić. Bylibyśmy zdani na jej dobrą wolę, gdyby dobrą wolę w sobie miała; ale była to kobieta bez sumienia i dobrej woli woli w niej nie było. Była ona powodem pierwszej naszej małej sprzeczki.

„Najdroższe moje życie“, powiedziałem pewnego dnia do Dory, „czy ty myślisz, że Marjanna ma pojęcie o czasie?“

„Dlaczego, Doady?“ zapytała Dora, podnosząc niewinnie oczy z nad rysunku.

„Kochanie, ponieważ to piąta, a my mieliśmy jeść obiad o czwartej“.

Dora w zamyśleniu spojrzała na zegar i napomknęła, że sądzi, iż zegar się spieszy.

„Przeciwnie, moja kochana“, odpowiedziałem, spojrzawszy na mój zegarek, „spaźnia się o kilka minut“.

Moja żoneczka przysunęła się i siadła mi na kolanach, chcąc mnie żartobliwie usposobić i ołówkiem pociągnęła mi kreskę przez środek nosa; ale to mi nie mogło zastąpić obiadu, jakkolwiek było bardzo przyjemne.

„Jak ty myślisz, moja droga", rzekłem, „czy nie byłoby lepiej, gdybyś ty Marjannie powiedziała słowa prawdy?"

„Ach nie, proszę cię! Jabym nie mogła, Doady!" odpowiedziała Dora.

„Dla czego nie, moje kochanie?" zapytałem łagodnie.

„O, bo ja jestem taki osiołek, a ona wie o tem!" odpowiedziała Dora.

Ten sposób brania rzeczy wydał mi się tak niecelowym, jeśli chodzi o opanowanie Marjanny, że lekko zmarszczyłem się.

„O jakie brzydkie zmarszczki na czole u mojego szkaradnego chłopaka!" rzekła Dora i wciąż jeszcze siedząc mi na kolanach, kreśliła po nich ołówkiem; chwilami przytykała ołówek do różanych ust, żeby pisał czarniej, i pracowała nad mojem czołem z zabawnie udaną minką wielkiej pilności, co mnie mimowoli zachwycało.

„O, grzeczne dziecko", mówiła Dora, „teraz buzia o tyle łagodniejsza, bo chce się uśmiechnąć!"

„Ależ moje kochanie", zacząłem znowu.

„Nie! nie! Ja ciebie proszę!" zawołała, całując mnie, „nie bądź niegodziwym Sinobrodym! Nie bądź poważny!"

„Moja najmilsza żonko", odpowiedziałem, „my przecież jednak czasem musimy być poważni. No dalej! Siądź tu, na tem krześle, tuż obok mnie! Daj mi ten ołówek! Oh, tak! A teraz mówmy rozsądnie. Ty wiesz, moja droga", jakaż to maleńka rączka była ta, którą trzymałem, i jaka maleńka na niej ta obrączka ślubna! „ty wiesz, kochanie, że to nie bardzo przyjemnie wychodzić z domu nie zjadłszy obiadu. No, powiedz sama?"

„N.. no nie!" odpowiedziała Dora słabym głosem.

„Kochanie moje, jak ty drżysz."

„Bo ja w i e m, że ty będziesz na mnie burczał!" zawołała Dora żałosnym głosem.

„Moja najmilsza, ja tylko chcę rozsądnie z tobą pogadać".

„O, ale rozsądne gadanie, to jeszcze gorsze od burczenia!" zawołała Dora z rozpaczą. „Ja nie po to zamąż wyszłam, żeby do mnie rozsądnie ktoś gadał. Jeżeli ty zamierzałeś rozsądnie gadać z takiem biednem małem stworzeniem, jak ja, to powinieneś był powiedzieć mi to, ty okrutny chłopcze!"

Starałem się uspokoić Dorę, ale odwracała twarz i kręcąc głową potrząsała loczkami, powtarzając „ty okrutny, bardzo okrutny chłopcze!" tyle razy, że już zupełnie nie

wiedziałem, co mam robić: to też w mojej bezradności przeszedłem się parę razy po pokoju, poczem wróciłem na swoje miejsce.

„Doro, kochanie moje!"

„Nie, ja nie jestem twojem kochaniem. Bo ty musisz żałować, żeś się ze mną ożenił, inaczej nie gadałbyś ze mną rozsądnie!" odpowiedziała.

Czułem się tak dotknięty niekonsekwencją tego zarzutu, że mi to dodało odwagi, by odpowiedzieć jej poważnie:

„Ależ moja Doro, jesteś bardzo dziecinna i mówisz niedorzeczności. Musisz z pewnością pamiętać, że musiałem wyjść wczoraj zaledwie w połowie obiadu, i że onegdaj czułem się zupełnie niezdrów, gdyż musiałem zjeść w pospiechu niedopieczoną cielęcinę. Dziś wcale nie dostanę obiadu — i aż się boję powiedzieć, jak długo czekaliśmy na śniadanie — bo znów woda nie chciała się zagotować. Nie mam zamiaru robić ci wymówki, moja droga, ale to nie jest przyjemne".

„O, ty okrutny, okrutny chłopcze! Że też możesz powiedzieć, że jestem nieprzyjemną żoną!" odparła Dora.

„Ależ moja kochana Doro, przecież wiesz, że ja tego wcale nie powiedziałem!"

„Powiedziałeś, że ja jestem nieprzyjemna!"

„Powiedziałem, że takie gospodarstwo nie jest przyjemne".

„To zupełnie to samo!" zawołała Dora. I widocznie wierzyła w to, gdyż płakała bardzo żałośnie.

Przeszedłem się jeszcze raz po pokoju, pełen miłości w sercu dla mej ładniutkiej żony, oskarżając się w duchu i nagabywany ochotą roztrzaskania sobie głowy o drzwi. Siadłem po chwili znów i powiedziałem:

„Ja ciebie nie ganię Doro. My oboje musimy się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. Jabym cię tylko chciał przekonać, moja droga, że powinnaś... rzeczywiście powinnaś „(postanowiłem nie ustąpić na tym punkcie)" przyzwyczaić się do doglądania Marjanny. Trzeba coś zrobić dla siebie samej i dla mnie".

„Dziwię się, naprawdę się dziwię, że ty tak niewdzięcznie możesz się odzywać!" łkała Dora. „A przeciesz wiesz, że parę dni temu, gdy powiedziałeś, że miałbyś ochotę na kawałek ryby, to ja sama poszłam taki kawał drogi i zamówiłam rybę, żeby ci sprawić niespodziankę".

„To było bardzo poczciwie z twojej strony, moje kochanie", odpowiedziałem; „ja też tak ci byłem wdzięczny, że za nic nawet nie chciałem ci zwrócić uwagi, że kupiłaś łososia — to przecież było za wiele, jak na nas dwoje. I że ten łosoś kosztował funta i sześć szylingów — a nas przecież nie stać na to".

„Bardzo ci jednak smakował", łkała Dora. „I nazwałeś mnie Myszką".

„I znów tak cię nazwę, kochanie", odpowiedziałem, „i to po tysiąc razy!"

Zraniłem jednak miękkie serduszko Dory i była niepocieszoną. Tak się boleśnie żaliła i łkała, że sam już zacząłem myśleć, iż powiedziałem nie wiem co, czem ją dotknąłem. Musiałem spiesznie wyjść; zostałem zatrzymany do późna; przez cały ten wieczór dręczyły mnie takie wyrzuty sumienia, że byłem wprost nieszczęśliwy. Miałem wrażenie, że jestem mordercą; prześladowało mnie niejasne poczucie własnej wielkiej niegodziwości.

Coś o drugiej czy trzeciej po północy powróciłem do domu. Zastałem w naszym domu ciotkę, czekającą na mnie.

„Czy się co stało, ciociu?" zapytałem przestraszony.

„Nic, Trotku", odpowiedziała. „Siadaj, siadaj. Nasz Kwiatuszek był trochę bez humoru, więc dotrzymywałam jej towarzystwa. Tylko tyle".

Oparłem głowę na ręku; czułem się tak zmartwiony i przybity, siedząc i patrząc w ogień, że nie przypuściłbym nigdy, iżby to było możliwe tak rychło po spełnieniu moich najgorętszych nadziei. Siedząc tak zamyślony, spotkałem się przypadkiem z oczyma ciotki, spoczywającemi na mojej twarzy. Był w nich wyraz niepokoju, ale natychmiast ustąpił.

„Mówię ci, ciociu", rzekłem, „że cały ten wieczór byłem wprost nieszczęśliwy, myśląc o Dorze, takiej zmartwionej. Ale przecież nie miałem innego zamiaru, jak pomówić z nią łagodnie i przyjacielsko o naszych domowych sprawach".

Ciotka skinęła głową, jakby mi chciała dodać odwagi

„Musisz się uzbroić w cierpliwość, Trotku", rzekła.

„Naturalnie. Bóg świadkiem, że przecież nie chcę być nierozsądnym, ciociu!"

„Nie, nie", odpowiedziała ciotka. „Ale Kwiatuszek jest to bardzo delikatny kwiatek i wiatr musi być dla niego łagodny".

Poczciwej mojej ciotce podziękowałem w sercu za jej czułość względem mojej żony i pewny byłem, że ona to odgadła.

„Jak myślisz, ciociu", zacząłem, po chwili dalszego wpatrywania się w ogień, „czy nie mogłabyś od czasu do czasu dawać Dorze jakiejś rady, jakiejś wskazówki dla naszego wspólnego dobra?"

„Trotku", odparła ciotka, nieco wzruszona, „nie! Nie proś mnie o coś podobnego!"

Głos jej brzmiał tak poważnie, że podniosłem oczy, zdziwiony.

„Patrzę wstecz na moje życie, dziecko", mówiła dalej ciotka, i „myślę o tych, którzy leżą w grobie, a z którymi

mogłam żyć w lepszych stosunkach. Jeżeli sądziłam surowo pomyłki w małżeństwie drugich ludzi, to może dlatego, że miałam sama bolesne powody surowo sądzić moją własną. Zapomnijmy o tem. Byłam mrukliwą, szorstką, popędliwą kobietą przez wiele lat. I taką jestem jeszcze i zawsze pozostanę. Ale ty i ja, Trotku, niejedno dobre wzajemnie sobie zawdzięczamy — w każdym razie ty mi wiele dobrego zrobiłeś, mój drogi; niechże teraz rozdźwięk między nas się nie wkradnie!"

„Rozdźwięk pomiędzy n a s!" zawołałem.

„Dziecko, dziecko!" odpowiedziała ciotka, wygładzając suknię, „jak prędko mógłby się zakraść między nas, albo jak mogłabym unieszczęśliwić nasz mały Kwiatuszek, gdybym się w cokolwiek zaczęła mięszać, tego żaden prorok przewidzieć nie potrafi. Pragnę, by mnie nasza pieszczoszka lubiła i była wesołą, jak motyl. Przypomnij sobie twój własny dom w tem drugiem małżeństwie i nigdy nie chciej robić jej ani mnie tej krzywdy, o jakiej wspomniałeś!"

Zrozumiałem odrazu, że ciotka miała słuszność, i zrozumiałem też całą rozciągłość jej szlachetnego uczucia względem mojej drogiej żony.

„To dopiero początek, Trotku", mówiła dalej, „a Rzym nie w jeden dzień zbudowali, ani też w jeden rok. Zrobiłeś wybór swobodnie i sam dla siebie", tu chmura przelotnie przemknęła przez jej twarz; „i wybrałeś bardzo ładne i bardzo serdeczne stworzenie. Będzie to twoim obowiązkiem i twoją przyjemnością także... naturalnie, wiem to... nie wygłaszam ci prelekcji... cenić ją (tak, jak ją wybrałeś) wedle zalet, jakie posiada, a nie tych, których jej może niedostawać. Te drugie powinieneś w niej rozwijać, jeżeli będziesz mógł. A jeśli nie będziesz mógł, dziecko", tu moja ciotka poskrobała się po nosie, „no, to będziesz musiał przyzwyczaić się do obywania się bez tego. Ale pamiętaj, mój drogi, że przyszłość jest w ręku was dwojga. Nikt wam nie może dopomóc; musicie ją sami sobie wypracować. Tem jest małżeństwo, Trotku; i niech was oboje Bóg ma w swej opiece, parę dzieciaków, zabłąkanych w lesie!"

Ciotka powiedziała to żywo i dała mi pocałunek na przypieczętowanie błogosławieństwa.

„A teraz", rzekła, „zapal moją latarkę i odprowadź mnie do mojej chaty ścieżką przez ogród"; nasze domki miały bowiem tamtędy połączenie ze sobą; „gdy wrócisz, uściskaj Kwiatuszek od Betsey Trotwood i cokolwiekby było, Trotku, niech ci się nigdy nie śni, byś miał robić z Betsey stracha na wróble; nigdybym nie chciała widzieć jej w lustrze w tej roli. Już tak jak jest, dosyć jest groźna i straszna!"

Z temi słowy ciotka obwiązała sobie głowę chustką do nosa, tak jak to zwykle była czynić w podobnych razach,

a ja odprowadziłem ją do domu. Gdy stała w swoim ogrodzie, świecąc mi latarką na powrotną drogę, wydało mi się, że znowu patrzy na mnie uważnym i niespokojnym wzrokiem; zanadto jednak byłem zajęty rozmyślaniem o tem, co powiedziała i zanadto — po raz pierwszy coprawda — przejęty przekonaniem, że Dora i ja powinniśmy wypracować przyszłość naszą sami, i że nikt nam w tem dopomóc nie może — zanadto myśli mnie te zajmowały, bym większą na to zwrócił uwagę.

Dora w maleńkich swoich pantofelkach zeszła cichutko z góry, żeby mnie przywitać, teraz kiedy pozostałem sam. Wypłakała się na mojem ramieniu i powiedziała, że ja byłem niedobry, a ona niegrzeczna; i ja coś podobnego powiedziałem, zdaje mi się, i przeprosiliśmy się i powiedzieliśmy sobie, że nasza pierwsza mała sprzeczka będzie ostatnią i że już do żadnej więcej nie dopuścimy, choćbyśmy żyć mieli sto lat.

Następną ciężką próbą w naszem domowem życiu były straszne przeprawy ze służącemi. Kuzyn Marjanny uciekł z wojska i ukrył się w naszej piwnicy na węgle. Wyciągnęła go stamtąd, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, patrol własnych jego towarzyszów broni i uprowadziła w kajdankach z procesją, która nasz frontowy ogródek okryła hańbą. To mi dodało odwagi do pozbycia się Marjanny; ta, gdy jej zapłaciłem pensję, odeszła tak spokojnie, że mnie to wprost zadziwiło, dopóki nie wykryłem prawdy o łyżeczkach, a także o różnych małych sumkach pożyczanych od kupców w mojem imieniu bez upoważnienia. Po przerwie, w której nam posługiwała niejaka Kidgerbury — najstarsza bodaj mieszkanka Kentish Town, chodząca na posługi, ale nie mająca sił do wykonywania w pełni swej sztuki — znaleźliśmy inny skarb; była nim nader miła niewiasta, ta jednakże z zasady spadała z kuchennych schodków wchodząc lub schodząc z tacą, gdy zaś niosła przybory do herbaty, wpadała do jadalni, jak gdyby wskakiwała do kąpieli. Gdy szkody dokonywane przez tę nieszczęsną istotę zmusiły nas do oddalenia jej, mieliśmy po niej (przeplatając je ową Kidgerbury) długi szereg nieudolnych: nakoniec dostaliśmy młodą osobę bardzo dystyngowanej powierzchowności, która na zabawę w Greenwich poszła w kapeluszu Dory. Po niej już nic nie pamiętam, wiem tylko, że przeciętnie biorąc, wszystkie były tak samo nieudane.

Zdaje się, że z kimkolwiek mieliśmy do czynienia, każdy nas oszukiwał. Nasze ukazanie się w sklepie wystarczało, by dla nas wyciągano wybrakowany towar. Jeżeli kupiliśmy homara, pełen był wody. Mięso zawsze dostawaliśmy łykowate, chleb bez wypieczonej skórki. Szukając zasady, wedle której pieczeń ma być upieczona w miarę, lecz nie przepieczona. Ja sam zajrzałem do kucharskiej książki i znalazłem tam przepis, że na trzymanie pieczeni w piecu trzeba liczyć po kwadransie lub nieco więcej na każdy funt. Zasada ta jednak, dziwnym sposobem, zawsze nas zawodziła i nigdy nie umieliśmy utrafić środka pomiędzy czerwoną surowizną a spaleniem na popiół.

Miałem powody przypuszczać, że przy wszystkich tych nieudanych próbach mieliśmy o wiele większe wydatki, niż gdybyśmy wydali szereg udanych biesiad. Zdawało mi się, gdym przeglądał książeczki dostawców, że cały parter naszego domku mógłby być wyłożony masłem, tyle się zużyło tego artykułu. Nie wiem, czy podatki celne tego okresu wykazały wzrost zapotrzebowania pieprzu, ale jeżeli zużycie go przez nas nie wpłynęło na stan rynku, to przypuszczam, że chyba kilka rodzin przestało pieprzu używać. A najdziwniejsze było to, że nigdy nie mieliśmy nic w domu.

Że tam praczka zostawiła prześcieradła i w stanie nietrzeźwej skruchy przyszła przepraszać, to, myślę, mogło się zdarzyć niejednemu i nieraz. Ale obawiam się, że to już było nasze osobiste nieszczęście, że przyjęliśmy służącą z alkoholicznym gustem, która nasz bieżący rachunek za porter w oberży wzbogaciła takiemi zagadkowemi pozycjami, jak: „kwaterka rumu (pani C.)“, „pół kwaterki piołunówki z goździkami (pani C.)“, „szklanka rumu z miętówką (pani C.)“. Nawiasy odnosiły się zawsze do Dory, którą posądzono, jak się okazało, o wchłonięcie tych wszystkich kordjałów.

Jedną z pierwszych naszych prób w dziedzinie gospodarskiej był mały obiadek dla Traddlesa. Spotkałem go w mieście i poprosiłem, by po południu wybrał się do mnie. Ponieważ zgodził się chętnie, napisałem do Dory, donosząc, że przyprowadzę go do nas. Pogoda była ładna, po drodze zaś małżeńskie moje szczęście dostarczyło nam tematu do rozmowy. Traddles rozwodził się nad tem szeroko, i dodał, iż wyobraża sobie, że gdyby miał taki dom i Zofję, czekającą na niego i robiącą przygotowania na jego przyjęcie, nie brakowałoby mu nic więcej do zupełnej szczęśliwości.

Nie mógłbym zapragnąć ładniejszej żoneczki naprzeciw siebie przy stole, ale stanowczo byłbym pragnął więcej miejsca, gdy przy stole zasiedliśmy. Nie wiem, czemu się to działo, ale choć było nas tylko dwoje, zaraz od początku zawsze nam było ciasno, choć znów dość było luźno, by się wszystko gdzieś gubiło. Podejrzewam, iż pochodziło to stąd, że żadna rzecz nie miała swojego stałego miejsca, z wyjątkiem pagody Jipa, która stale zagradzała trakt główny. W danym wypadku Traddles tak był ścieśniony pagodą Jipa, pudłem z gitarą, malowaniem Dory i mojem biurkiem, że obawiałem się na serjo, czy będzie mógł władać widelcem i no-

żem; on temu jednak ze zwykłym swym dobrym humorem zaprzeczył: „Oceany miejsca, Copperfieldzie! zapewniam cię, oceany!“

Była jeszcze jedna rzecz, której byłbym pragnął; mianowicie, żeby się nigdy nie było zachęcało Jipa do spacerowania po obrusie w czasie obiadu. Przyszło mi na myśl, że jest to jakoś nieporządnie, że on się tam znajduje, chociażby nawet nie miał zwyczaju pakować łapki w solniczkę albo w topione masło. Tym razem widocznie wyobraził sobie, że umyślnie sprowadzono go poto, by trzymał Traddlesa w szachu; to też szczekał na niego i doskakiwał mu do talerza z tak nieposkromioną uporczywością, że, można powiedzieć, zagłuszał wszelką rozmowę.

Pomimo to, znając czułe serce mojej małej i wiedząc, jak wrażliwą byłaby na najlżejsze skarcenie swego ulubieńca, nie zdobyłem się na żaden protest. Z tego samego powodu nic nie mówiłem na brząkające na podłodze talerze, ani na porozstawione w nieładzie podstawki, ani też na dalszą blokadę Traddlesa przez dziwną wędrówkę półmisków z jarzynami i dzbanków. Nie mogłem tylko w duszy obronić się przed zdziwieniem, gdy, zanim zacząłem ją krajać, przyglądałem się gotowanej ćwiartce baraniny; zadawałem sobie bowiem pytanie, jak się to dzieje, że nasze ćwiartki mięsa miewają zawsze tak niezwykłe kształty — czy to może nasz rzeźnik wykupuje umyślnie wszystkie koszlawe owce, które na świat przychodzą? Te uwagi jednakże zachowałem dla siebie.

„Moje serce“, zwróciłem się do Dory, „co to masz tam na tym półmisku?“

Nie mogłem pojąć, dlaczego Dora stroiła do mnie ponętne minki, jak gdyby miała ochotę mnie pocałować

„Ostrygi, kochany“, odpowiedziała nieśmiało.

„Czy to t w ó j pomysł?“ zapytałem uradowany.

„T... tak, Doady!“ odparła.

„Jaką szczęśliwą miałaś myśl!“ zawołałem, odkładając nóż do krajania i widelec. „Traddles lubi to nad wszystko!“

„T... ak, Doady“, rzekła Dora, „to też kupiłam piękną baryłeczkę ostryg, a ten człowiek powiedział, że są bardzo dobre. Ale ja... ja się boję, że się tam z niemi coś stało. Jakieś nie takie, jak trzeba“. Tu Dora potrząsnęła główką i brylanty zaświeciły jej w oczach.

„To tylko tyle, że trzeba je otworzyć“, rzekłem. Zdejmij górną skorupę, kochanie“.

„Kiedy ona nie chce odejść“, powiedziała Dora, siląc się, z miną wielce strapioną.

„Wiesz co, Copperfieldzie“, rzekł Traddles wesoło, badając półmisek, „ja myślę, że to dlatego... to są kapitalne

ostrygi, ale m y ś l ę, że to dlatego... że ich wcale nie otworzono“.

Wcale nie były otworzone, a my nie mieliśmy nożyków do otwierania ostryg — i nie umielibyśmy ich użyć, gdybyśmy nawet je mieli, to też patrzyliśmy na ostrygi, a jedliśmy baraninę. Przynajmniej zjedliśmy tyle, ile było dogotowanego, a dopełniliśmy kaparami. Gdybym był mu pozwolił, Traddles byłby, jak dziki człowiek, zjadł pełen talerz surowego mięsa, żeby dać dowód, iż mu ta uczta smakuje; ja jednakże nie chciałem słyszeć o takiej ofierze na ołtarzu przyjaźni, wobec czego mieliśmy w to miejsce, jako jeszcze jedno danie, wędzonkę, zdarzyło się bowiem szczęśliwie, że była zimna wędzonka w spiżarce.

Moja biedna żoneczka tak była zmartwiona myślą, że będę niekontent, a tak ogromnie rozradowana, gdy się przekonała, iż nie wziąłem tego do serca, że niezadowolenie, które opanowałem, minęło bardziej szybko i spędziliśmy nader miły wieczór: Dora siedziała z ręką opartą o moje krzesło, podczas gdy gawędziłem z Traddlesem przy kieliszku wina i szeptała mi do ucha przy każdej nadarzającej się sposobności, jak to ładnie z mojej strony, że nie jestem okrutnym, niegodziwym chłopcem. Trochę później zaczęła dla nas przyrządzać herbatę; a tak ładnie to robiła, jak gdyby się bawiła zastawą do herbaty dla lalek, że ja już nie zważałem na jakość napoju. Następnie zagraliśmy z Traddlesem parę gier w karty, a gdy Dora przez ten czas śpiewała przy akompaniamencie gitary, wydało mi się, że całe moje narzeczeństwo i małżeństwo to tylko jakiś słodki sen, i że trwa jeszcze ten wieczór, gdy po raz pierwszy słuchałem jej głosu.

Gdy Traddles poszedł, a ja, wyprowadziwszy go, wróciłem do pokoju, żona moja przysunęła krzesło do mojego i siadła obok mnie.

„Bardzo mi przykro“, powiedziała. „Czy chcesz spróbować uczyć mnie, Doady?“

„Ja sam muszę się wpierw uczyć Doro“, odpowiedziałem. „Tak mało umiem, jak i ty, kochanie“.

„Ach, ale ty możesz się nauczyć“, rzekła. „Taki mądry, mądry z ciebie człowiek!“

„Pleciesz, myszko!“ odpowiedziałem.

„Żałuję“, mówiła dalej po długim milczeniu, „że nie mogłam pojechać na cały rok i zamieszkać z Agnieszką!“

Ręce splotła na mojem ramieniu, oparła na nich bródkę i niebieskie jej oczy spokojnie patrzyły w moje.

„Dlaczego?“ zapytałem.

„Myślę, że może ona zrobiłaby mnie lepszą i myślę, że może byłabym się nauczyła od n i e j“, powiedziała.

„Wszystko w swoim czasie, kochanie. Agnieszka miała ojca, którym się musiała opiekować od tylu lat, musisz to pamiętać. Nawet już wtedy, gdy była jeszcze zupełnie dzieckiem, była już tą Agnieszką, którą teraz znamy“, tłumaczyłem.

„Czy będziesz mnie nazywał tak, jak chciałabym, żebyś mnie nazywał?“ nie poruszając się pytała Dora.

„Jakże to?“ zapytałem z uśmiechem.

„Taką niemądrą nazwą“, rzekła, potrząsając przez chwilę loczkami. „Dziecko-żona“.

Śmiejąc się zapytałem moją dziecko- żonę, zkąd jej przyszło do głowy pragnąć, bym ją tak nazywał. Odpowiedziała, nie poruszając się wcale, tyle tylko, że ja ogarnąwszy ją ramieniem, przybliżyłem niebieskie oczy jej do moich.

„Ja przecież nie chcę, ty głuptasku, żebyś używał tego nazwania zamiast nazywać mnie Dorą. Jabym tylko chciała, żebyś ty myślał w ten sposób o mnie. Kiedy masz ochotę rozgniewać się na mnie, powiedz sobie: — przecież to tylko moja dziecko-żona! — Kiedy się bardzo w czemś zawiedziesz na mnie, powiedz sobie: — wiedziałem przecież, dawno wiedziałem, że z niej będzie tylko dziecko-żona! — Gdy bardzo ci dokuczy, że nie jestem taką, jakąbym chciała być, i pewnie nigdy nie będę, powiedz sobie: — a jednak, moja niemądra dziecko-żona kocha mnie! — Bo to istotnie prawda!“

Nie rozmawiałem z nią na serjo, gdyż nie miałem pojęcia aż do tej chwili, że ona sama siebie bierze na serjo. Ale tak była uszczęśliwioną tem, co jej teraz z całego serca powiedziałem, że twarzyczka jej rozpromieniła się w uśmiechu, zanim obeschły błyszczące oczy. Zaraz też, w istocie, ujrzałem z niej moją dziecko-żonę; siadłszy na podłodze przed pagodą chińską, zaczęła poruszać wszystkie dzwoneczki po kolei, żeby ukarać Jipa za to, że był przed chwilą taki niegrzeczny. Jip jednak tylko łypał oczami w przejściu, wytknąwszy głowę, nazbyt leniwy, by reagować na drażnienie.

Ta prośba Dory zrobiła na mnie silne wrażenie. Spoglądałem wstecz na te czasy, o których piszę, i wzywam tę niewinną istotę, którą serdecznie kochałem, wzywam, by wyjrzała z mgieł i cieni przeszłości i zwróciła raz jeszcze ku mnie tę swoją miłą twarzyczkę; i zawsze mogę zapewnić że ta jej niewinna przemowa nigdy nie wyszła mi z pamięci. Może nie umiałem skorzystać z niej z najlepszym pożytkiem; byłem młody i byłem niedoświadczony, głuchym jednak nie byłem na to szczere jej wołanie.

Dora oświadczyła mi, krótko potem, że stanie się nadzwyczajną gospodynią. To też wyczyściła tabliczki, zaostrzyła ołówek, kupiła ogromną książkę rachunkową, starannie pozszywała wszystkie kartki książki kucharskiej, podartej przez Jipa i rozpaczliwym wysiłkiem starała się być „grzeczną“, jak się wyrażała. Ale cyfry miały tę samą co i dawniej skłonność do uporu — n i e c h c i a ł y się dać zesumować. Gdy wpisywała, pracowicie, jedną albo dwie pozycje do książki rachunkowej — Jip przespacerowywał przez stronicę, wymachując ogonkiem i zamazywał wszystko. Własny jej średni paluszek u prawej ręki nasycił się atramentem do kości i to był bodaj jedyny rezultat.

Niekiedy, wieczorem, gdy byłem w domu i przy pracy — gdyż dużo teraz pisywałem i zaczynałem potrosze być znany jako pisarz — odkładałem pióro i śledziłem, jak moje dziecko-żona usiłuje „być grzeczną“. Przedewszystkiem wyciągała ogromną książkę gospodarską i z głębokiem westchnieniem kładła ją na stole. Potem otwierała ją w miejscu, gdzie Jip wczorajszego wieczora zrobił zapiski nieczytelnemi i kazała Jipowi przyjrzeć się, co zrobił. To sprowadzało na chwilę zajęcie się Jipem i może umazanie mu noska atramentem za karę. Następnie, nakazywała Jipowi leżeć na stole; nazywało się to „jak lew“ i było jedną z jego sztuczek, chociaż nie powiem, by podobieństwo było uderzające — i jeżeli Jip był w posłusznem usposobieniu, to słuchał. Potem brała pióro i zaczynała pisać, ale znajdowała w nim włos. Wtedy brała drugie pióro i zaczynała pisać, ale przekonywała się, że pryska. Brała wtedy trzecie pióro i zaczynała pisać, ale po cichu szeptała: „Och, to skrzypiące pióro, będzie przeszkadzać Doadowi!“ A wtedy dawała wszystkiemu pokój i odkładała książkę, udawszy przedtem, że nią zabije lwa.

Kiedyindziej, gdy była w bardzo spokojnem i poważnem usposobieniu, zasiadała nad tabliczkami i koszyczkiem z rachunkami i innemi dokumentami, które miały raczej wygląd papierków do papilotów, i starała się wyciągnąć z nich jakiś rezultat. Gdy już porównała pilnie jedne z drugiemi, gdy porobiła zapiski na tabliczkach, gdy je powymazywała, gdy po wielekroć przeliczyła wszystkie palce lewej ręki tam i z powrotem, tak rozdrażniała się i zniechęcała i wyglądała tak nieszczęśliwie, że żal mi się robiło jej jasnej twarzyczki, takiej zachmurzonej — i to dla mnie! — podchodziłem więc do niej cicho i mówiłem:

„Co się stało, Doro?“

Dora spoglądała na mnie beznadziejnie i odpowiadała: „Nie chcą się zgodzić. Tak mnie od tego głowa boli. Za nic nie mogę dać sobie z tem rady!“

Wtedy ja mówiłem: „Spróbujmy razem. Ja ci pokażę, Doro!“

I zaczynałem praktycznie tłomaczyć. Dora zaś uważała ze skupieniem, tak może z pięć minut; wtedy jednak zaczy-

nała być strasznie zmęczoną i dla miłego urozmaicenia zaczynała zakręcać mi włosy, albo próbować, czy mi do twarzy z wywiniętym kołnierzykiem od koszuli. Jeżeli ja milcząco powstrzymałem te figle, i tłumaczyłem dalej — minka jej stawała się tak zasmuconą i niepocieszoną a Dora wyglądała tak oszołomioną, że wspomnienie jej wrodzonej wesołości, gdym po raz pierwszy stanął na jej drodze, oraz tego, że to jest przecież moja dziecko-żona, wyrzutem szarpało mi serce. A wtedy kładłem ołówek i wołałem na gitarę.

Wiele miałem pracy przed sobą, wiele obaw i wątpliwości, ale dla tych samych względów kryłem to w sobie. Bynajmniej nie jestem teraz pewny, czy słusznie tak robiłem, ale robiłem to przez wzgląd na moją dziecko-żonę. Badam moje serce i temu papierowi zwierzam bez zastrzeżeń jego tajemnice, o ile je tylko sam znam. Pewne dawne smutne poczucie straty czy też braku czegoś, świadom tego jestem, istniało w pewnej mierze w mojem sercu; nie do tego stopnia jednak, żeby mi czynić życie gorzkiem. Gdy sam chodziłem w piękną pogodę i rozmyślałem o tych dniach letnich, gdy wszystko dokoła mnie przesycał czar młodzieńczego mojego zachwytu, czułem, że nie dostaje mi czegoś do urzeczywistnienia dawnych marzeń; sądziłem jednak, że to łagodny poblask przeszłości, którym nigdy teraźniejszość świecić nie może. Czułem niekiedy, przez chwilę, że pragnąłbym, by mi żona mogła być doradczynią; by miała więcej charakteru, więcej świadomości celu, dla podtrzymania mnie, dla dopomożenia w rozwoju, by miała moc wypełnić tę próżnię, którą gdzieś dokoła siebie czułem. Ale i to czułem także, że byłaby to jakaś nieziemska pełnia szczęścia, nie sądzona mi nigdy ziścić się nie mająca.

Młody był ze mnie małżonek co do lat. Nie znałem łagodzącego wpływu innych zmartwień, ani doświadczeń, oprócz tych, które opisałem poprzednio. Jeśli popełniłem jakie błędy, a może ich popełniłem wiele, stało się to z winy ślepej miłości i z braku mądrości życiowej. Piszę najszczerszą prawdę. Na niceby mi się nie przydało rozmijać się z nią teraz.

Tak się tedy stało, że wziąłem na siebie mozoły i trudy naszego żywota i nie miałem w tem wspólniczki. Żyliśmy prawie tak, jak i przed tem, co się tyczy kulejących naszych urządzeń domowych; jednakże ja się do nich już przyzwyczaiłem, a Dora, z przyjemnością to widziałem, rzadko teraz bywała rozdrażnioną. Była pogodną i wesołą na swój dawny, dziecinny sposób, kochała mnie serdecznie i była szczęśliwa, po staremu bawiąc się bagatelkami.

O ile się zdarzyło, że debata w parlamencie była ciężka — pod względem długości, nie jakości (gdyż pod tym względem rzadko bywały one inne) — i ja do domu powracałem



późno. Dora nigdy nie spoczęła, ale usłyszawszy moje kroki, zawsze zbiegła na dół, ażeby mnie powitać. Gdy mi wieczorów nie zabierała ta praca, do której się z takim trudem przygotowałem i zajmowałem się pisaniem w domu, Dora siadywała spokojnie około mnie, choćby do późnej godziny, a tak cicho, iż często myślałem, że zasnęła. Najczęściej jednak, ile razy podniosłem głowę, spotykałem niebieskie jej oczy, patrzące na mnie z tą spokojną uwagą, o jakiej już mówiłem.

„Och, jaki ten chłopczyk zmęczony!" rzekła Dora pewnego wieczora, gdy spotkałem się z jej wzrokiem, zamykając biurko.

„Och, jaka zmęczona dziewczynka!" odpowiedziałem. „A o to więcej chodzi! Innym razem musisz pójść spać, kochanie. To zbyt późno dla ciebie".

„Nie, nie wysyłaj mnie spać!" prosiła Dora, przysuwając się do mnie. „Proszę cię, nie rób mi tego!"

„Doro!"

Ku mojemu zdumieniu łkała, obejmując mnie za szyję.

„Czyś niezdrowa, moja droga? Czy nie czujesz się szczęśliwa?"

„Ależ nie, zdrowa jestem zupełnie i bardzo szczęśliwa!" odpowiedziała. „Tylko powiedz, że pozwolisz mi zostać i patrzeć, jak piszesz!"

„No proszę, cóż to za widok dla jasnych oczu o północnej porze!" odparłem.

„Więc one są jasne te oczy, uważasz?" odpowiedziała, śmiejąc się, Dora. „Tak się cieszę, że są jasne!"

„O, ty mała, próżna osóbko!" zażartowałem.

Ale nie było w tem próżności; była tylko niewinna radość, że mi się podoba. Wiedziałem o tem bardzo dobrze, zanim mi to powiedziała sama.

„Jeżeli uważasz, że są ładne, powiedz, że mogę zawsze zostawać i patrzeć na ciebie, gdy piszesz!" mówiła Dora. „Czy ty naprawdę uważasz, że mam ładne oczy?"

„Bardzo ładne".

„To pozwól mi zawsze zostawać i patrzeć na ciebie, gdy piszesz".

„Ej, bo się boję, że od tego oczy twoje nie nabędą większego blasku, Doro!"

„Właśnie, że tak! A wówczas ty, mądry chłopczyku, nie zapomnisz o mnie, choć będziesz miał głowę pełną tych milczących wymyślonych postaci. Czy nie będziesz się gniewał, jeżeli powiem coś, bardzo, bardzo głupiego?... Jeszcze większe głupstwo niż zwykle?"

„Cóż to za nadzwyczajność?" zapytałem.

„Pozwól mi trzymać pióra", odpowiedziała Dora. „Chciałabym i ja mieć coś do roboty przez wszystkie te długie godziny, kiedy ty tak pilnie pracujesz. Czy mogę ci trzymać pióra?"

Gdy wspomnę, jak mile się ucieszyła, gdy powiedziałem „tak", łzy mi napływają do oczu. Następnym razem, gdy siadałem do pisania, (i odtąd stale), siedziała już na zwykłem swojem miejscu z wiązką zapasowych piór przy boku. Triumf jej, że w ten sposób bierze udział w mojej pracy, jej radość, gdy potrzebowałem nowego pióra — a często udawałem, że go potrzebuję — nasunęły mi nowy pomysł do zrobienia przyjemności mojej dziecku-żonie. Raz po raz udawałem, że potrzebuję, by mi ktoś skopjował stronnicę lub też dwie stronnice mojego rękopisu. Wtedy Dora promieniała dumą. Te przygotowania, jakie czyniła, sposobiąc się do wielkiego dzieła, te fartuszki, które wkładała, te ściereczki, pożyczane z kuchni, by wycierać pióra z atramentu, to powolne zabieranie się do rzeczy, nieskończone przerwy, by pożartować z Jipem, jak gdyby on to wszystko rozumiał, to jej przekonanie, że dzieło byłoby niezupełne, gdyby się na końcu nie podpisała całem imieniem i sposób, jak mi je przynosiła, niby szkolne zadanie, a potem, gdy pochwaliłem, obejmowała mnie za szyję — wszystko to są dla mnie wzruszające wspomnienia, choć nikłem i czasem wydawać się to może komu innemu.

Dora niedługo potem zabrała się do kluczy i chodziła brząkając niemi, po domu, z całym pękiem w koszyczku, przywiązanym do paska. Rzadko kiedy zauważyłem, żeby coś było zamknięte, lub żeby te klucze służyły do czego innego, jak do zabawy dla Jipa — ale Dora była zadowolona, więc i ja byłem rad. Była przekonaną, że bardzo wiele zdziałała tem gospodarowaniem na niby i tak była rozradowana, jak gdybyśmy się bawili w gospodarstwo dla lalek.

I tak płynęło nam życie. Dora prawie równie serdeczną była dla ciotki, jak dla mnie, i często opowiadała jej o tych czasach, gdy bała się, że ciotka to musi być „marudna staruszka". Nie widziałem, by ciotka dla kogokolwiek w życiu tak stale była względną i łaskawą, jak dla niej. Przemawiała mile do Jipa, choć Jip wciąż nie odwzajemniał się; słuchała dzień po dniu gitary, mimo że, zdaje mi się, nie lubiła muzyki, nigdy nie dotykała kwestji nieudolnej służby, choć pokusa musiała być silna, przebiegała pieszo ogromne odległości, żeby zrobić Dorze niespodziankę, kupując jakieś drobnostki, przez nią pożądane, i zawsze, gdy przyszła przez ogród, a Dory nie zastała w pokoju, wołała u stóp schodów głosem, wesoło rozbrzmiewającym po całym domu:

„Gdzie jest Kwiatuszek?"

Rozdział czterdziesty piąty.

Pan Dick ziszcza przepowiednię mej ciotki.

Już upłynęło trochę czasu odkąd porzuciłem prace u doktora. Ponieważ mieszkaliśmy w sąsiedztwie, więc widywałem go często, a parę razy przy nadarzonej sposobności byliśmy wszyscy w jego domu na obiedzie lub kolacji. Stary Żołnierz kwaterował stale pod dachem doktora. Zupełnie taką samą była, jak zawsze, i nieśmiertelne motyle trzęsły się na jej czepku.

Jak wiele matek, które znałem w życiu, pani Markleham daleko więcej lubiła się bawić, jak jej córka. Potrzebowała bardzo wielu rozrywek, i jak chytry stary żołnierz, udawała, idąc za własną zachcianką, że poświęca się dla swego dziecka. Pragnienie przeto doktora, żeby się pani Ania bawiła, trafiało bardzo do przekonania tej troskliwej matce, bezwzględnie też uznawała wciąż słuszność jego zdania.

W istocie, ani wątpię, że nieświadomie jątrzyła ona ranę doktora. Bez złego zamiaru, ale z płochości i egoizmu, towarzyszącego nieraz dojrzałemu wiekowi, utwierdzała go, zdaje mi się, w jego obawach, że jest młodej żonie kulą u nogi, że niema wspólnoty uczuć między nimi; dokonywała tego przez to, że tak silnie pochwalała jego zamiar ulżenia ciężkiemu życiu Ani.

„Moja zacna duszo“, powiedziała raz do niego w mojej obecności, „ty rozumiesz, że dla Ani byłoby to trochę nudne, gdyby musiała być zawsze tu zamknięta“.

Doktór dobrodusznie potwierdził to kiwnięciem głowy.

„Gdy dojdzie do wieku swej matki“, mówiła pani Markleham, powiewając wachlarzem, „wtedy to inna już sprawa. M n i e mógłbyś zamknąć w więzieniu, byle w dobrem towarzystwie i z możnością zagrania jakiego roberka, a napewno nie chociałoby mi się wyjść stamtąd. Ale ja, to nie Ania, rozumiesz, a Ania to nie jej matka“.

„A jakże, a jakże“, odparł doktór.

„Ty jesteś najlepsze człowieczysko... nie, przepraszam cię!“ gdyż doktór zaprzeczył gestem, „muszę ci to powiedzieć w oczy, co zawsze mówię za twymi plecami... ty jesteś najlepsze człowieczysko; ale naturalnie, no, powiedz sam!... ciebie nie bawi to wszystko, co bawi i zajmuje Anię“.

„Prawda“, smutno przyznał doktór.

„Naturalnie“, podjął znów Stary Żołnierz. „Weź naprzykład twój słownik. Jakież to użyteczne dzieło, słownik! Jakie potrzebne dzieło! Znaczenie słów! Bez doktora Johnstona albo kogoś w tym rodzaju do dziś może nazywalibyśmy włoskie żelazko łóżkiem. Ale przecież nie możemy wymagać, żeby słownik, zwłaszcza gdy się dopiero robi, mógł interesować Anię! Czy nie tak?“

Doktór potrząsnął głową.

„I dlatego to tak bardzo pochwalam“, mówiła pani Markleham, uderzając go po ramieniu zamkniętym wachlarzem, „żeś był taki troskliwy. Dowodzi to, że nie jesteś zdania, jak wielu starszych ludzi, iż na młodych ramionach tkwią stare głowy. Zastanawiałeś się nad charakterem Ani i zrozumiałeś ją. T o właśnie tak mi się podoba!“

Nawet na spokojnej i cierpliwej twarzy doktora Strong ukazał się trochę bolesny wyraz, gdy go obsypywała temi komplementami.

„Dlatego też, kochany mój doktorze“, mówiła, dając mu parę przyjacielskich klapsów, „możesz dysponować mną o każdym czasie i o każdej porze. No więc, chciej zrozumieć, że jestem zupełnie do twoich usług. Gotowa jestem chodzić z Anią do opery, na koncerta, wystawy, wszędzie — i bądź pewny, że nigdy nie będę zmęczona. Obowiązek, kochany doktorze, przed wszystkiem na świecie!“

I dotrzymała słowa. Należała do takich, co to potrafią znieść dużo przyjemności, i nigdy nie zachwiała się w poświęceniu dla dobrej sprawy. Rzadko kiedy przeczytała gazetę (a studjowała ją przez szkła po dwie godziny dziennie, usadowiona w najmiększym w całym domu fotelu), żeby nie wynaleźć czegoś, co z pewnością Ania chętnieby zobaczyła. Daremnie pani Ania zapewniała, że nużą ją te rzeczy. Matka upominała ją zawsze w ten sposób: „Ależ moja Aniu, zastanówże się! Muszę ci powiedzieć, moja droga, że to nie jest sposób odwdzięczania się za dobroć doktora Stronga“.

To się zwykle mówiło w obecności doktora i ostatecznie to głównie skłaniało panią Anię do porzucania opozycji. Naogół jednak poddawała się matce z rezygnacją i szła, dokąd Stary Żołnierz chciał.

Rzadko się teraz zdarzało, żeby im towarzyszył pan Maldon. Niekiedy zapraszano moją ciotkę i Dorę a one przyjmowały zaproszenie. Niekiedy proszono tylko Dorę. Był czas, że nie byłbym chętnie jej tam puszczał; jednakże po namyśle nad tem, co zaszło owego wieczora w gabinecie doktora, ustąpiła moja nieufność. Uwierzyłem, że doktór miał słuszność i nic złego nie podejrzewałem.

Ciotka moja nieraz skrobała się po nosie, gdy przypadkiem zostawała ze mną sama, i mówiła, że nie może tego zrozumieć. Żałowała, że nie są szczęśliwsi, przypuszczała, że „nasz wojskowy“ (tak zawsze nazywała Starego Żołnierza) wcale tam sprawy nie poprawia. Ciotka zresztą była tego zdania, że „gdyby nasz wojskowy obciął sobie te motyle i ofiarował je kominiarzom na święto majowe, możnaby sądzić, że wkońcu zaczyna przychodzić do rozumu“.

Przedewszystkiem jednak pokładała ciotka ufność w panu Dicku. Ten człowiek ma widocznie jakąś myśl w głowie,

mówiła, i gdyby tylko potrafił zebrać ją i skupić, co właśnie stanowi u niego główną trudność, jeszczeby się odznaczył w jakiś niezwykły sposób.

Nieświadomy tej przepowiedni, pan Dick w dalszym ciągu zajmował to samo stanowisko w stosunku do doktora i do pani Strong. Ani szedł naprzód, ani się cofał. Osiadł, jak budynek na swych fundamentach, a ja muszę przyznać, że tak mało wierzyłem, iż naprzód on ruszy, jak nie wierzyłem, by się poruszył budynek.

Pewnego wieczora jednakże, w jakie kilka miesięcy po moim ślubie, pan Dick wsunął głowę do pokoju, gdzie sam pisałem (Dora bowiem z ciotką poszła była na herbatę do dwóch starych panien) i zaczął, znacząco odkaszlnąwszy: „Czy nie przeszkodzę ci, jeśli cię poproszę, byś ze mną pomówił, Trotwoodzie?"

„Ależ nie", odpowiedziałem. „Proszę wejść!"

„Trotwoodzie", przemówił pan Dick, przykładając palec do nosa po przywitaniu się ze mną. „Zanim usiądę, chciałbym zrobić jedną uwagę. Znasz twoją ciotkę?"

„Tak trochę", odpowiedziałem.

„To jest najcudowniejsza w świecie kobieta!"

Po wypowiedzeniu tej sentencji, którą wystrzelił ze siebie, jak gdyby był nią nabity, pan Dick usiadł z większą powagą, niż zwykle i spojrzał na mnie.

„Słuchaj, mój chłopcze", zaczął, „chcę ci postawić jedno pytanie".

„Ile pan tylko zechce", odpowiedziałem.

„Za co mnie pan uważa?" zapytał pan Dick, zakładając ręce na piersiach.

„Za drogiego starego przyjaciela", odpowiedziałem.

„Dziękuję ci, Trotwoodzie", odpowiedział pan Dick, śmiejąc się i bardzo uradowany wyciągając do mnie rękę. „Ale ja się pytam, chłopcze", tu spoważniał znowu, „za co ty mnie uważasz pod tym względem?" tu dotknął palcem czoła.

Nie wiedziałem, jaką mu dać odpowiedź, ale on sam dopomógł mi jednem słowem: „Słaby?"

„No tak", odpowiedziałem z powątpiewaniem, „może raczej trochę!"

„A więc właśnie!" zawołał pan Dick, zachwycony, zdaje się, moją odpowiedzią. „To znaczy, Trotwoodzie, że gdy wyjęli trochę zamętu, ty już wiesz z czyjej głowy, i włożyli to, ty już wiesz, gdzie, zrobiło się..." pan Dick młyńcem puścił ręce jedną dokoła drugiej, potem doprowadził je do zderzenia, i obracał jedną dokoła drugiej, wyrażając tem pomieszanie. „To to mi jakoś zrobiono. Nieprawdaż?"

Skinąłem mu głową, na co on skinął ku mnie również.

„Krótko mówiąc, chłopcze", mówił pan Dick, zniżając głos do szeptu, „jestem słaby na umyśle".

Chciałem zaprzeczyć temu wnioskowi, ale on mi przerwał.

„Owszem jestem! Ona twierdzi, że nie. Nie chce o tem słyszeć. Ale ja jestem. Wiem, że jestem. Gdyby mnie ona nie obroniła, byłbym zamknięty i wiódłbym smutne, okropne życie od tylu lat. Ale ja zabezpieczę jej byt! Nigdy nie wydaję pieniędzy za przepisywanie. Składam je do skarbonki. Zrobiłem testament. Wszystko jej pozostawię. Będzie bogata — będzie wielką panią!"

Pan Dick wydobył chustkę do nosa i otarł sobie oczy, poczem złożył chustkę bardzo starannie, wygładził ją między dłońmi, włożył do kieszeni i zdawało się, że równocześnie i ciotkę złożył do schowku.

„Otóż Trotwoodzie", zaczął znów, „ty jesteś mądry. Ty jesteś bardzo mądry. Ty wiesz, że doktór, jaki to uczony człowiek, jaki wielki człowiek. Wiesz, jak mnie zawsze zaszczycał swem towarzystwem. Nie dumny w swojej mądrości... Skromny, skromny... zniżający się nawet do biednego Dicka, który jest słaby na umyśle i nic nie umie. Posłałem imię jego latawcowi na skrawku papieru, po sznurku, gdy latawiec był wysoko pod niebem, między skowronkami. Latawiec cieszył się, że imię jego dostał i niebo jaśniej się rozświeciło".

Ucieszyłem go bardzo, mówiąc bardzo serdecznie, że doktór zasługuje na największy nasz szacunek i na najwyższe uznanie.

„A jego piękna żona to gwiazda", oświadczył pan Dick. „Jasna gwiazda. Widziałem, jak ona świeci. Ale", tu przysunął się z krzesłem i położył mi rękę na kolanie „chmury, mój drogi, chmury..."

Odpowiedziałem zatroskaniu, widocznemu na jego twarzy, podobnem zatroskaniem i potrząśnięciem głowy.

„Co to za chmury?" zapytał pan Dick.

Patrzył tak smutno pytającym wzrokiem w moją twarz i widocznie tak gorąco pragnął zrozumieć, że zadałem sobie wiele trudu, by odpowiedzieć mu powoli i wyraźnie, jak gdybym coś tłomaczył dziecku.

„Jest jakiś nieszczęsny rozdźwięk między nimi. Jakiś nieszczęsny powód, który ich dzieli. Jakaś tajemnica. Być może, że tak być musi z powodu różnicy ich wieku. Ale także być może, że powstało to prawie z niczego".

Pan Dick, który po każdem zdaniu kiwał z namysłem głową, przestał gdy skończyłem, i siedział zastanawiając się, z oczyma wpatrzonemi w moją twarz, z ręką na mojem kolanie.

„Czy doktór się na nią nie gniewa, Trotwoodzie?" zapytał po pewnym czasie.

„Nie. Doktór jest jej serdecznie oddany".

„Kiedy tak, to ja już mam, chłopcze!" zawołał pan Dick.

Nagła uciecha jego, gdy klapnął mnie po kolanie, a potem oparł się w fotelu, unosząc brwi jak najwyżej, wzbudziło we mnie podejrzenie, że jest więcej niż kiedy nie przy zdrowych zmysłach. Lecz nagle znów spoważniał i przechyliwszy się naprzód — z szacunkiem wpierw wyciągnąwszy chustkę, jakgdyby ona istotnie przedstawiała ciotkę — powiedział:

„Najcudowniejsza w świecie kobieta, Trotwoodzie. Dlaczego o n a nic nie uczyniła dla naprawienia sprawy?"

„Zbyt to delikatny i trudny przedmiot, żeby się do niego móc mieszać", odpowiedziałem.

„A mądry człowiek", tu dotknął mnie palcem, „dlaczego ten nic nie zrobił?"

„Dla tej samej przyczyny", odparłem.

„Więc ja już mam, chłopcze!" rzekł pan Dick. I stał przedemną, jeszcze radośniejszy, niż przedtem, kiwając głową i bijąc się w piersi, aż nieomal do utraty tchu.

„Biedny człowiek, zbzikowany", wołał, „niemądra, niespełna rozumu osoba! tu obecna, wiesz!" tu znów uderzył się w piersi, „może to zrobić, czego cudowni ludzie nie mogą. Ja ich pogodzę, chłopcze. Ja spróbuję. M n i e nie wezmą tego za złe. Nie będą uważali na to, co ja zrobię, jeśli nawet zrobię coś złego. Na mnie gniewać się nie będą. Ja jestem tylko pan Dick. A kto sobie robi co z Dicka? Dick, to jest nikt! Et!" Dmuchnął lekko, pogardliwie, jak gdyby siebie zdmuchiwał.

Szczęśliwie to było, że zaszedł tak daleko ze swoją tajemnicą, gdyż usłyszeliśmy powóz zatrzymujący się przed furtką, którym wracały ciotka z Dorą.

„Ani słowa o tem, chłopcze!" ciągnął dalej szeptem; „niech cała wina spadnie na Dicka... na niemądrego Dicka... na warjata Dicka. Ja już od pewnego czasu myślałem, że dochodzę do tego, co w tem właściwie jest, a teraz już wiem. Po tem, co mi powiedziałeś, jestem pewny, że już wiem. No dobrze!"

Pan Dick nie wymówił już więcej ani słowa w tej sprawie, ale przez następne pół godziny zrobił wprost aparat telegraficzny ze siebie (ku wielkiemu zaniepokojeniu ciotki), nie przestając dawać mi znaków, że mam bezwzględnie dochować tajemnicy.

Zdziwiony byłem, nie słysząc o tem nic więcej przez jakie dwa czy trzy tygodnie, choć żywo mnie obchodziło, jakim będzie rezultat jego usiłowań, dostrzegłem bowiem uderzający przebłysk rozsądku — już nie mówię dobrego

serca, gdyż to zawsze okazywał — w wyniku, do którego doszedł. W końcu zacząłem przypuszczać, że przy niestałości i rozprężeniu jego umysłu albo zapomniał o swoim zamiarze, albo go porzucił.

Pewnego pogodnego wieczora, gdy Dora nie miała ochoty wyjść z domu, przeszedłem z ciotką do domu doktora. Była to jesień, kiedy niema zazwyczaj rozpraw parlamentarnych, tak źle odbijających się na pogodzie; pamiętam też, jak liście, deptane naszemi nogami, pachniały jak nasz ogród w Blunderstone, i jak to dawne uczucie smętku i tęsknoty z westchnieniem wiatru zdało się koło mnie krążyć.

Mrok zapadał już, gdy dochodziliśmy do domku. Pani Strong wracała właśnie z ogrodu, gdzie pan Dick jeszcze pozostawał, pracując coś nożem, by pomóc ogrodnikowi, oznaczającemu jakieś odległości. Doktór był z kimś w swoim gabinecie, ale gość miał zaraz odejść, mówiła pani Strong i prosiła, byśmy zostali i zobaczyli się z doktorem. Weszliśmy z nią do salonu i zasiedliśmy przy oknie. Wizyty takich starych przyjaciół i sąsiadów, jak my, odbywały się zawsze bez wszelkiej ceremonji.

Zaledwie posiedzieliśmy tak z kilka minut, gdy pani Markleham, która zawsze potrafiła być czemś podniecona, wpadła hałaśliwie z gazetą w ręku i zdyszana zawołała: „Na Boga żywego, Aniu, czemuś ty mi nie powiedziała, że jest tam ktoś w gabinecie?"

„Mamo droga", odpowiedziała doktorowa spokojnie, „skądże ja mogłam wiedzieć, że tobie ta wiadomość potrzebna?"

„Że mi ta wiadomość potrzebna!" powtórzyła pani Markleham, opadając na kanapę. „Nigdy mnie nic podobnego w życiu nie spotkało!"

„Więc byłaś w gabinecie, mamo?" zapytała pani Ania.

„Czy b y ł a m w gabinecie, moja droga!" odpowiedziała z naciskiem. „A właśnie, że byłam! Zastałam tę zacną duszę... możecie sobie wystawić moje uczucie, panno Trotwood i Dawidzie... w trakcie spisywania swej ostatniej woli".

Córka jej szybko odwróciła się od okna.

„W trakcie, moja droga Aniu", powtórzyła pani Markleham, rozpościerając gazetę, jak obrus, na kolanach i przyklepując ją rękoma, „spisywania ostatniej swojej woli i testamentu. Ta przezorność, to przywiązanie tego drogiego człowieka! Muszę ci opowiedzieć, jak to było. Rzeczywiście muszę, żeby oddać sprawiedliwość temu najdroższemu człowiekowi — bo takim on jest! — opowiedzieć ci, jak to było. Może pani wie o tem, panno Trotwood, że tu, w tym domu, nie zapalają nigdzie ani jednej świecy, że ledwie człowiekowi od natężenia oczy nie wypadną, gdy chce przeczytać gazetę.

i że w całym domu niema fotela, w którymby, jak ja to rozumiem, można gazetę przeczytać, z wyjątkiem jednego jedynego gabinetu. Dlatego zaniosło mnie do gabinetu, gdzie zobaczyłam światło. Otworzyłam drzwi. W towarzystwie doktora znajdowało się tam dwóch panów, oczywiście prawników, i wszyscy trzej stali przy stole, a ukochany doktór z piórem w ręku. — Przez to poprostu wyrażam, — mówił doktór; Aniu, moja droga, uważaj, jak brzmiały te słowa, — przez to poprostu wyrażam, że mam pełne zaufanie do pani Strong i daję jej wszystko bez żadnych warunków. — Jeden z prawników powtórzył: — I daję jej wszystko bez żadnych warunków. — Na to ja, z naturalnem uczuciem matki zawołałem: — Ach Boże, bardzo przepraszam! — potknęłam się o próg i uciekłam przez mały tylny kurytarzyk, gdzie jest śpiżarnia".

Pani Strong otworzyła szklane drzwi, wyszła na werandę i stanęła, opierając się o filar.

„Ale proszę", mówiła pani Markleham, machinalnie wiodąc za nią wzrokiem, „proszę, panno Trotwood, proszę, Dawidzie, nie jestże to zachwycające, że spotyka człowieka w wieku doktora Strong, mającego taką moc duszy, by dokonać czegoś podobnego? To tylko dowodzi, jak bardzo ja miałam słuszność. Powiedziałam do Ani, gdy doktór Strong złożył mi bardzo pochlebną dla mnie wizytę, oświadczył się i prosił o jej rękę", powiedziałam wtedy: — Moja droga, niema najmniejszej wątpliwości, mojem zdaniem, co się tyczy odpowiedniego zabezpieczenia dla ciebie, że doktór Strong więcej uczyni niż to, do czego się zobowiązuje. — "

Tu odezwał się dzwonek i usłyszeliśmy kroki wychodzących gości.

„Już po wszystkiem, niewątpliwie", rzekł Stary Żołnierz, nasłuchując — „zacności stworzenie podpisało, przypieczętowało, skończyło, a teraz ma spokój. Niechaj mu służy! Co to za dusza! Aniu, moje serce, idę do gabinetu z moją gazetą, bo biednam ja bez wiadomości. Panno Trotwood, Dawidzie, proszę, przyjdźcie przywitać się z doktorem!"

Widziałem, że pan Dick stał w cieniu pokoju zamykając swój nóż, gdy towarzyszyliśmy jej do gabinetu, że ciotka moja pocierała nos gwałtownie, dając w ten sposób łagodne ujście sentymentowi względem „wojskowego", którego nie znosiła; ale kto pierwszy wszedł do gabinetu, jak się to stało, że pani Markleham usadowiła się pierwsza w fotelu, a ja z ciotką zostałem przy drzwiach (może jej wzrok był bystrzejszy i ona mnie powstrzymała) — tego wszystkiego już nie pamiętam. To jednak wiem, że zobaczyliśmy przed sobą doktora, siedzącego przy stole, wśród swoich ulubionych foliałów, z głową spokojnie opartą na ręku. Że w tejże samej chwili ujrzeliśmy wsuwającą się panią Strong, bladą i drżącą, a pan Dick podtrzymywał ją ramieniem. Że położył drugą rękę na ramieniu doktora, tak że ten podniósł oczy z wyrazem roztargnienia. Że, gdy doktór podniósł głowę, żona jego przyklękła u jego nóg i, błagalnie wznosząc ręce, utkwiła w jego twarzy wzrok z tym pamiętnym mi, nigdy nie zapomnianym wyrazem. Że na ten widok pani Markleham upuściła gazetę i wytrzeszczywszy osłupiałe oczy, wyglądała jak rzeźba głowy, przeznaczonej na ozdobę okrętu, a przedstawiającej zdumienie.

Delikatność obejścia doktora i jego zdziwienie, godność przy błagalnej postawie jego żony, ujmujący współudział pana Dicka, powaga, z jaką ciotka moja powiedziała sama do siebie „I ten człowiek ma być warjatem?" (z triumfem to powiedziała, myśląc o niedoli, od jakiej go uchroniła) — wszystko to widzę i słyszę raczej, niż pamiętam, gdy teraz o tem piszę.

„Doktorze!" przemówił pan Dick. „O co właściwie idzie? Patrz pan!"

„Aniu!" zawołał doktór. „Nie klęcz przede mną, moja droga!"

„Owszem!" odpowiedziała. „Proszę i błagam, niech nikt z pokoju nie wychodzi! O mój mężu i ojcze, przerwij to długie milczenie. Dowiedzmy się oboje, co nas właściwie rozdzieliło!"

Tu pani Markleham, odzyskując mowę i wzbierając rodzinną dumą i macierzyńskiem oburzeniem, zawołała: „Aniu, wstań natychmiast i nie poniżaj twych najbliższych takiem upokarzaniem się, jeżeli nie chcesz, bym natychmiast zwarjowała!"

„Mamo!" odpowiedziała pani Ania. „Nie trać daremnie słów, gdyż ja tu zwracam się do mojego męża i nawet ty nie znaczysz tutaj nic!"

„Nic!" zawołała pani Markleham. „Ja nic nie znaczę! To dziecko rozum straciło! Proszę mi dać szklankę wody!"

Nazbyt uważnie słuchałem doktora i jego żony, by zważać na tę prośbę; na nikim zresztą nie zrobiła ona wrażenia, więc też pani Markleham dyszała, wytrzeszczała oczy i wachlowała się dalej.

„Aniu!" przemówił doktór, tkliwie wyciągając do niej ręce. „Moja droga! Jeżeli nieunikniona zmiana zaszła z biegiem czasu w naszem małżeńskiem pożyciu, to ciebie o to winić nie można. Wina jest moja i tylko moja. Nic się nie zmieniło w mojem przywiązaniu, uwielbieniu, szacunku. Pragnę uczynić cię szczęśliwą. Szczerze cię kocham i szanuję ciebie. Wstań, Aniu, proszę!"

Ona jednakże nie powstała. Popatrzywszy na męża przez chwilę, przysunęła się bliżej do niego, oparła rękę na jego kolanach i oparłszy na niej głowę, przemówiła: „Jeżeli mam tu w kim przyjaciela, któryby mógł powiedzieć jedno słowo za mnie albo za męża mojego w tej sprawie; jeżeli mam tu w kim przyjaciela, któryby mógł wyjawić przypuszczenie, które mi serce niekiedy już szeptało; jeżeli mam tutaj przyjaciela, który szanuje mojego męża i mnie jest życzliwy, a wie cośkolwiek, wszystko jedno, czem to jest — coby mogło dopomóc do zbliżenia nas — błagam tego przyjaciela, niech przemówi!"

Nastało głębokie milczenie. Po chwili przykrego wahania, ja je przerwałem.

„Pani Strong", zacząłem mówić, „jest coś, o czem wiem, a co na usilną prośbę doktora Strong zachowałem aż do tej chwili przy sobie. Sądzę jednakże, że nadeszła pora, kiedy byłoby błędem, przez fałszywą delikatność tając to, dotrzymywać słowa; sądzę, że nadeszła chwila, kiedy żądanie pani zwalnia mnie z posłuszeństwa doktorowi".

Na chwilę odwróciła twarz ku mnie, a ja poznałem, że mam słuszność. Nie mógłbym się oprzeć błaganiu tej twarzy, tak przekonywająco uczciwej i szczerej.

„Przyszły nasz spokój" rzekła, „spoczywa może w pańskich rękach. Ufam, że pan niczego ukrywać nie będzie. Z góry to wiem, że cokolwiekby mi pan, czy kto inny powiedział, wykaże mi to tylko szlachetność serca męża mojego w najjaśniejszem świetle. Gdyby pan sądził, że coś mnie może przykro dotknąć, proszę niech pan na to nie zważa. Ja później sama odpowiem za siebie, przed nim i przed Bogiem".

Wobec tak poważnego wezwania już nie prosiłem doktora o pozwolenie i już bez żadnych kompromisów z prawda — tyle tylko, że trochę złagodziłem gruboskórności Uriasza Heep — opowiedziałem poprostu wszystko, co zaszło w tym samym pokoju owego pamiętnego wieczora. Jak pani Markleham w osłupieniu wytrzeszczała oczy, w czasie tego opowiadania, jak przerywała je głośno ostrymi wykrzyknikami, to się nie da opowiedzieć.

Gdym skończył, pani Ania pozostała jeszcze przez chwilę, milcząca, z głową tak skłonioną, jak to opisałem. Potem ujęła rękę doktora, przycisnęła ją do serca i pocałowała. Pan Dick delikatnie podniósł ją z kolan; stała, gdy zaczęła mówić, oparta o niego, z oczyma spoczywającemi na twarzy męża, od której ani na chwilę ich nie odwróciła.

„Wszystko, cokolwiek od chwili zamążpójścia było w mojej duszy", zaczęła cichym, uległym, czułym głosem,

„zamierzam teraz odsłonić przed tobą. Nie mogłabym żyć, zatajając cośkolwiek, odkąd wiem to, co wiem teraz".

„Nie, Aniu", przemówił doktór łagodnie. „Ja nigdy nie nie wątpiłem o tobie, moje dziecko. Nie potrzeba; doprawdy, nie potrzeba, moja droga".

„Owszem, koniecznie potrzeba", mówiła tak samo, „żebym otwarła całe serce moje przed tym, który był uosobieniem szlachetności i prawości, którego z roku na rok, z dnia na dzień, kochałem i czciłem coraz więcej, Bóg widzi!"

„Rzeczywiście", przerwała pani Markleham, „jeżeli mam choć trochę oleju w głowie..." — („właśnie, że go nie masz, ty pusta głowo", zauważyła ciotka pełnym oburzenia szeptem) „muszę zauważyć, że nie można wymagać, byś ty wchodziła w takie szczegóły".

„Nikt o tem sądzić nie może, mamo, jeden tylko mój mąż", odpowiedziała pani Ania, nie podnosząc oczu od jego twarzy, „a on mnie wysłucha. Jeżeli powiem coś, mamo, co ci sprawi przykrość, to mi wybacz. Ja także często i długo znosiłam przykrości".

„Słowo daję!" odsapnęła pani Markleham.

„Gdy jeszcze byłam bardzo młodą", mówiła pani Ania, „małem dzieckiem jeszcze, pierwsze moje początki wszelkiej wiedzy zawdzięczałam cierpliwemu przyjacielowi i nauczycielowi — przyjacielowi mojego nieboszczyka ojca — który zawsze był mi drogi. Cokolwiek wiem, łączy mi się z jego wspomnieniem. On duszę moją wyposażył w pierwsze jej skarby i wycisnął na wszystkiem swe piętno. Te nauki nigdy by mi, sądzę, nie przyniosły takiej korzyści, gdybym je otrzymała z innych rąk".

„Matkę uważa za nic!" wykrzyknęła pani Markleham.

„Nie, mamo", odpowiedziała pani Ania, „ale jemu oddaję, co mu się należy. To uczynić muszę. W miarę jak podrastałam, on zawsze dla mnie był tem samem. Dumną byłam, że się mną zajmuje: głęboko, serdecznie, wdzięcznie przywiązaną byłam do niego. Zapatrzona byłam w niego, trudno mi opisać, jak: jak w ojca, jak w przewodnika, jak w kogoś, czyja pochwała była inną od wszelkiej innej pochwały, jak w kogoś, w kogo mogłam ufać i wierzyć, choćbym wątpiła o całym świecie. Ty wiesz, mamo, jak byłam młodą i niedoświadczoną, gdy mi go przedstawiłaś, niespodziewanie, jako zakochanego starającego się".

„Opowiadałam o tem, przynajmniej z pięćdziesiąt razy, wszystkim tu obecnym!" powiedziała pani Markleham.

(„A więc teraz już milcz, na miłość boską, i nie gadaj o tem więcej!" mruknęła moja ciotka).

„Taką to wielką sprowadzało zmianę, taką to wielką stratą wydało mi się w pierwszej chwili", mówiła pani Ania, z tem samem spojrzeniem i tym samym tonem, „że poruszyło mnie to i strapiło. Byłam młodziutkiem dziewczęciem; a przywykłszy widzieć go tak długo w innym charakterze, zasmuciłam się tą wielką zmianą. Jednakże nie mógł się już stać tem, czem był dawniej, a ja dumną byłam, że uważał mnie za godną siebie. I tak pobraliśmy się".

„U św. Alfaga w Canterbury", zauważyła pani Markleham.

(„Bierz licho tę kobietę!" mruknęła moja ciotka. „Nie może usiedzieć cicho!")

„Nigdy nie pomyślałam", ciągnęła dalej pani Ania, a twarz jej powłokła żywsza barwa, „o żadnej materjalnej korzyści, którąbym mogła zawdzięczać mężowi. Czciłam go, ale w mojem młodocianem sercu dla takich nędznych względów nie było miejsca. Mamo, daruj, jeżeli powiem, że to ty pierwsza nasunęłaś mi myśl, że ktoś mógłby skrzywdzić mnie, skrzywdzić jego, tego rodzaju okrutnem podejrzeniem".

„Ja!" wykrzyknęła pani Markleham.

(„Ach, naturalnie, że ty!" zauważyła pod nosem ciotka, „i nie odpędzisz tego wachlarzem, mój miły wojskowy!")

„Było to pierwsze nieszczęście mojego życia", mówiła dalej pani Ania. „Była to pierwsza sposobność i źródło każdej nieszczęsnej chwili, jakich tyle przeżyłam. Tych chwil w ostatnich czasach było nieskończenie wiele; jednakże, mój wspaniałomyślny mężu, nie dla tych przyczyn, jakie ty przypuszczasz — gdyż w mojem sercu niema jednej myśli, jednego wspomnienia, jednej nadziei, któraby odbiegła od ciebie!"

Podniosła oczy, złożyła ręce i wyglądała, pomyślałem, piękna i czysta, jak jasny Duch. Doktór patrzył w nią odtąd, nie odrywając wzroku, tak jak ona w niego.

„Mamie zarzucić nie można", mówiła dalej, „żeby od ciebie żądała kiedy czegoś dla siebie, ani też zarzucić jej nie można w niczem złej intencji — ale gdy widziałam, ile razy natrętne wymagania narzucano ci w mojem imieniu, jak wyzyskiwano ciebie w mojem imieniu, jak byłeś wspaniałomyślnym i jak to gniewało pana Wickfielda, który twoje dobro miał na sercu — wtedy po raz pierwszy poczułam się wystawioną na haniebne podejrzenie, że uczucie moje zostało kupione, zostało sprzedane... i to komu? Tobie! Spadło to na mnie jak niezasłużony wstyd, który z mej winy ty miałbyś podzielać. Nie umiem ci wypowiedzieć, czem to było... mama nie może sobie wyobrazić, czem to było — mieć ciągle lęk i niepokój w myśli, wiedząc w głębi duszy, że w dniu ślubu miłość moja i mój honor oddałam ci na całe życie!"

„To próbka wdzięczności, jaką człowiekowi płacą, gdy dba o swoją rodzinę!" zawołała pani Markleham ze łzami. „Ach, chciałabym się zapaść pod ziemię!"

„Około tego czasu właśnie mama troszczyła się najwięcej o kuzyna mojego, Maldona. Lubiłam go dawniej", mówiła cicho, ale bez żadnych wahań, „lubiłam bardzo. Niegdyś, jeszcze będąc dziećmi, kochaliśmy się. Gdyby się okoliczności nie były złożyły inaczej, może byłabym w siebie wmówiła, że kocham go naprawdę i możebym była wyszła za niego i była bardzo nieszczęśliwa. Niema gorszej nierówności w małżeństwie, jak niedobranie się duchowe i rozbieżność dążeń".

Zamyśliłem się nad temi słowami — choć uważnie słuchałem tego, co mówiła dalej — jak gdyby w słowach tych leżało szczególne jakieś znaczenie lub jak gdyby odnosiły się do czegoś, czego nie mogłem pochwycić. „Niema gorszej nierówności w małżeństwie, jak niedobranie się duchowe i rozbieżność dążeń..." „gorszej nierówności małżeństwa jak niedobranie się duchowe i rozbieżność dążeń..."

„Niema między nami nic wspólnego", mówiła pani Ania. „Dawno się przekonałem, że niema nic. Gdybym mężowi mojemu skądinąd tak wiele nie zawdzięczała, już za to byłabym mu wdzięczną, że ocalił mnie przed pierwszym ślepym porywem nieopanowanej uczuciowości".

Stała tak bez ruchu przed doktorem, a mnie przejmowała powaga jej tonu. Głos jej jednakże równie był spokojny, jak przedtem.

„Gdy kuzyn mój czekał na twoją szczodrobliwość, tak hojnie świadczoną mu przez wzgląd na mnie, a ja cierpiałam pod narzuconym mi pozorem interesowności, myślałam wtedy, że właściwiejby zrobił, własną pracą przebijając się w życiu. Myślałam, że gdybym była na jego miejscu, uczyniłabym to, mimo największe trudności. Jednakże nie sądziłam go surowo aż do owego wieczoru, gdy wyjeżdżał w podróż do Indji. Owego wieczoru przekonałam się, że serce jego jest fałszywe i niewdzięczne. Dojrzałam wtedy dwuznaczność w wyrazie twarzy, z jakim mi się pan Wickwield przyglądał. Spostrzegłam po raz pierwszy, jaki cień na życie moje rzuca podejrzenie".

„Podejrzenie Aniu!" zaprzeczył doktór. „Ależ nie! nie!"

„W twojej duszy ono nie postało, to wiem, mój mężu!" odparła. „A gdy przyszłam do ciebie owej nocy, ażeby złożyć przed tobą cały mój ciężar wstydu i boleści, wiedząc, że mam ci powiedzieć, iż pod twoim dachem mój własny krewny, obsypany dobrodziejstwami przez ciebie dla mojej miłości, przemówił do mnie słowami, jakich nie powinien był użyć, gdybym nawet była tą słabą i interesowną istotą, za

jaką mnie uważał — wtedy wzdrygnęła się we mnie dusza przed zmazą samego opowiadania o tem. Zamarło ono na moich ustach i od owej chwili aż do tej, nigdy na nich nie postało".

Pani Markleham, jęknąwszy, opadła w swoim fotelu i ukryła się za wachlarzem, jak gdyby już nigdy z poza niego wyjrzeć nie miała.

„Nigdy odtąd inaczej, jak w twej obecności nie zamieniłam z nim słowa, a i wtedy tylko, gdy to było konieczne, by uniknąć tego wyjaśnienia. Od lat już wie on z moich ust, czem jest w tym domu. Wszystko dobre, coś dla niego czynił potajemnie, a potem mi wyjawiał, by mi sprawić niespodziankę i przyjemność, wszystko to potęgowało tylko mój ból i ciężar mej tajemnicy".

Osunęła się zwolna do nóg doktora, choć on wszelkiemi siłami starał się temu przeszkodzić i mówiła, łzawemi oczami patrząc mu w twarz: „Nie mów do mnie jeszcze! Pozwól mi jeszcze coś więcej powiedzieć! Słusznie czy niesłusznie, gdyby się to miało powtórzyć, myślę, że postąpiłabym tak samo. Ty nie możesz mieć pojęcia, czem to było kochać ciebie i wlec za sobą szczątki dawnych stosunków; widzieć, że może się znaleźć ktoś tak nieczuły, kto mógłby przypuszczać, że zaparłam się prawdy mojego serca, i mieć przeciw sobie pozory, potwierdzające to przypuszczenie. Byłam bardzo młoda, nie miałam do kogo zwrócić się o radę. Z mamą, we wszystkiem, co ciebie dotyczyło, różniłyśmy się bardzo. Jeżeli zamknęłam się w sobie, tając obrazę, która mnie spotkała, to dlatego tylko, że ciebie szanowałam tak bardzo i że tak bardzo pragnęłam, żebyś ty mnie szanował".

„Aniu, serce moje czyste!" zawołał doktór. „Moje ty drogie dziewczątko!"

„Jeszcze trochę! Jeszcze parę słów! Nieraz myślałam, że tyle jest kobiet, które ty mogłeś polubić, a które nie ściągnęłyby na ciebie takiego zarzutu, ani takiej troski, a dom twój uczyniłby domem bardziej szanowanym. Nieraz gotowa byłam żałować, czemu raczej nie pozostałam uczennicą twoją, nieledwie dzieckiem twojem. Nieraz myślałam, że jestem nieodpowiednią dla ciebie, który jesteś taki mądry i taki uczony. Jeżeli wszystko to sprawiało, że zamykałam się w sobie (bo tak było), gdy miałam ci tamto do wyznania, to dlatego również, że tak bardzo ciebie szanowałam i miałam nadzieję, iż nadejdzie dzień, gdy i ty mnie będziesz szanować!"

„Dawno już, dawno nastał ten dzień, Aniu", rzekł doktór, „a tylko jedna długa noc może mu położyć koniec, moja droga!"

„Jeszcze słowo! Później postanowiłam — stanowczo postanowiłam i przedsięwzięłam — dźwigać sama jedna cały ciężar świadomości, jak niegodnym jest ten, dla którego ty byłeś tak dobry. A teraz jeszcze ostatnie słowo, najdroższy i najlepszy mój przyjacielu. Przyczyna zmiany ostatnich czasów w tobie, zmiany, którą z takim bólem i smutkiem zauważyłam, została dzisiaj wyjaśnioną; przypadkiem też dzisiaj poznałam całą głębię twego zaufania do mnie, pomimo że byłeś wprowadzony w błąd. Nie spodziewam się, ażebym, odwdzięczając ci się całą moją miłością i spełnianiem obowiązków, mogła stać się kiedykolwiek godną bezcennej twojej ufności; ale wiedząc to wszystko, co dziś wiem, mogę podnieść oczy do tej drogiej twarzy, czczonej, jako ojca, kochanej, jako męża, świętej dla mnie w dzieciństwie jako przyjaciela, i uroczyście oświadczyć, że najprzelotniejszą myślą nigdy cię nie skrzywdziłam, nigdy nie zachwiałam się w miłości i wierności, jaką ci jestem winna!"

Objęła ramionami szyję doktora, a on pochylił nad nią głowę, mieszając siwe włosy swoje z ciemnemi jej warkoczami.

„O, przyciśnij mnie do serca, mój mężu! I nigdy mnie nie odsuwaj! Nie myśl i nie mów o nierówności między nami, bo niema jej, chyba że istnieje ona dzięki licznym moim niedoskonałościom. Z każdym upływającym rokiem rozumiałam to coraz lepiej, ponieważ coraz lepiej ciebie oceniałam. O, przyciśnij mnie do serca, mój mężu, gdyż miłość moja oparta jest na skale i trwa!"

W ciszy, która nastąpiła potem, ciotka moja krokiem poważnym, wcale się nie spiesząc, podeszła do pana Dicka, uściskała go i obdarzyła głośnym pocałunkiem. I stało się bardzo szczęśliwie, ze względu na jego dobrą sławę, że ciotka to zrobiła; spostrzegłem bowiem, iż z całą pewnością gotował się właśnie stanąć na jednej nodze, by dać stosowny wyraz swojej radości.

„Z ciebie jest bardzo wybitny człowiek, Dicku!" oświadczyła ciotka z bezwzględnem uznaniem; „i nigdy nie udawaj, że jesteś czemś innem, bo mnie nie oszukasz!"

To mówiąc, ciotka pociągnęła go za rękaw, a na mnie skinęła. I wszyscy troje cicho wysunęliśmy się z pokoju i ruszyliśmy ku domowi.

„To w każdym razie naszego wojskowego uspokoi raz na zawsze", zauważyła ciotka po drodze. „Choćby dlatego będę lepiej spała, nawet gdyby nie było więcej czem się cieszyć!"

„Była zupełnie przygnębiona, zdaje mi się!" zauważył pan Dick z wielkiem współczuciem.

„Co! Czyś ty kiedy widział przygnębionego krokodyla?“ zapytała ciotka.

„Mnie się zdaje, że ja wogóle nigdy nie widziałem krokodyla“, odpowiedział pan Dick łagodnie.

„Nigdyby nie było całego tego kłopotu, gdyby nie to stare bydlę!“ oświadczyła ciotka z wielkim naciskiem. „Byłoby bardzo pożądane, ażeby niektóre matki pozostawiały córki swe po ślubie w spokoju i tak gwałtownie ich nie kochały. Zdaje im się, widać, że w nagrodę za to, że nieszczęsną kobiecinę wydały na świat — Boże ty mój! jak gdyby się o to prosiła! — mają pełne prawo zamęczać je na śmierć. O czem ty myślisz, Trotku?“

Myślałem o wszystkiem tem, co tam mówiono. Brzmiały mi jeszcze w uszach niektóre powiedzenia. „Nie może być gorszej nierówności w małżeństwie, jak niedobranie się duchowe i rozbieżność dążeń“. „Pierwszy ślepy poryw nieopanowanej uczuciowości“. „Miłość moja oparta jest na skale“. Tymczasem jednak doszliśmy do domu; zdeptane liście słały nam się u nóg a wiatr jesienny szumiał.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

DZIEŁA KAROLA DICKENSA

KAROL DICKENS

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
WILAMA HORZYCY

ZE SŁOWEM WSTĘPNEM
ANDRZEJA TRETIAKA
PROF. UNIWERSYTETU WARSZAWSK.

DAWID COPPERFIELD

DAWID COPPERFIELD

POWIEŚĆ

TOM IV

WARSZAWA
BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZY
1930

Druk Sikora Warszawa.

Rozdział czterdziesty szósty

Wieści.

Musiało to być z jakiś rok po moim ślubie — niezupełnie ufam mojej pamięci co do dat — gdy pewnego wieczora, wracając z samotnej przechadzki, zamyślony nad książką, którą wtedy pisałem — powodzenie moje bowiem w miarę usilnej pracy stale wzrastało i pisałem wtedy pierwszą moją powieść — przechodziłem koło domu pani Steerforth. Nieraz już przed tem przechodziłem tamtędy, odkąd mieszkałem w tej okolicy, chociaż nigdy, o ile mogłem obrać inną drogę. Zdarzało się jednak, że niełatwo było znaleźć inną, bez dłuższego kołowania; to też wogóle dość często chodziłem tamtędy.

Przechodząc mimo przyspieszonym krokiem, zawsze rzucałem na ten dom tylko jedno spojrzenie. Wygląd miał jednostajnie ponury i smutny. Żaden z lepszych pokoi nie wychodził na drogę, a wąskie, w ciężkich futrynach staroświeckie okna, nigdy nie wyglądające wesoło, teraz, szczelnie zamknięte z zapuszczonemi okiennicami, wyglądały wprost posępnie. Przez mały brukowany dziedzińczyk prowadziła ścieżka do wejścia, nigdy nie używanego; było tam też okrągłe okienko nad schodami, różne od reszty, jedyne nie zasłonięte okiennicą, o takim samym pustym niezamieszkałym wyglądzie. Nie pamiętam, żebym kiedy ujrzał światło w całym domu. Gdybym był obcym przechodniem, prawdopodobnie pomyślałbym, że jakiś bezdzietny umarły leży w tym domu. Gdybym szczęśliwie nic o tym domu nie wiedział, a widywał go częściej w tak niezmiennym stanie, byłbym zapewne z upodobaniem snuł fantastyczne przypuszczenia.

Tak jednak, jak było, starałem się jak najmniej o nim myśleć. Lecz dusza moja nie mogła przejść mimo i opuścić go, tak jak moje ciało; to też dom ten budził we mnie zawsze długi szereg rozmyślań. Gdy się zjawił przede mną tego zwłaszcza wieczora, a z nim gdy odżyły dziecinne wspomnienia i późniejsze igraszki wyobraźni, echa niedosnutych nadziei, niejasne cienie zawodów i rozczarowań, jak przez

mgłę widzianych i rozumianych, gmatwanina rzeczy przeżytych i poczętych w wyobraźni — co było cząstką tego zajęcia, nad którem przed chwilą myśl moja pracowała — dom ten przemówił do mnie, jak nigdy. Wpadłem w głęboką zadumę, idąc przed siebie i aż drgnąłem, gdy odezwał się jakiś głos u mego boku.

A był to, w dodatku, głos kobiecy. Poznałem niebawem głos pokojóweczki pani Steerforth, tej, która to dawniej nosiła niebieskie wstążki przy czepeczku. Zdjęła je teraz, stosując się zapewne do odmiennego nastroju domu i w to miejsce przypięła tylko smutną, skromną brązową kokardę.

„Jeżeli łaska, proszę pana, czy byłby pan tak dobry wstąpić i zobaczyć się z panną Dartle?"

„Czy panna Dartle po mnie posłała?" zapytałem.

„Dzisiaj nie, ale to wszystko jedno, proszę pana. Panna Dartle widziała, jak pan przechodził wczoraj czy przedwczoraj i kazała mi siedzieć z robotą na schodach, a gdybym zobaczyła, że pan przechodzi, kazała poprosić, żeby pan wstąpił i zechciał się z nią rozmówić".

Zawróciłem przeto i po drodze zapytałem moją przewodniczkę, jak się miewa pani Steerforth. Odpowiedziała, że pani jej nieszczególnie się miewa i wiele przesiaduje w swoim pokoju.

Doszedłszy do domu, dowiedziałem się od służącej, że panna Dartle znajduje się w ogrodzie; dziewczyna poprosiła, żebym ją sam odszukał. Siedziała na ławeczce na końcu pewnego rodzaju tarasu, skąd rozległy widok obejmował wielkie miasto. Był to ciemny wieczór z posępnem brunatnem światłem na niebie, a patrząc na widok chmurzący się w oddali, gdzie tu i owdzie jakiś większy budynek sterczał w ponurej poświacie, wyobraziłem sobie, że to tło odpowiednie dla wspomnień tej strasznej kobiety.

Zobaczyła, że się zbliżam, wstała na chwilę, żeby mnie powitać. Wydała mi się teraz jeszcze bledszą i jeszcze szczuplejszą, jak gdy ją widziałem ostatni raz — ogniste oczy wydały mi się jeszcze bardziej błyszczące, blizna jeszcze wyraźniejszą.

Powitanie nasze nie było serdeczne. Rozstaliśmy się gniewnie za ostatniem widzeniem, a teraz był w niej jakiś ton pogardliwy, którego bynajmniej nie starała się ukrywać.

„Powiedziano mi, że pani życzy sobie widzieć się ze mną, panno Dartle", przemówiłem, stając blisko niej z ręką opartą o poręcz ławki i odmawiając, gdy ruchem ręki zapraszała mnie, bym usiadł.

„Jeśli pan łaskaw", rzekła. „Proszę, czy odnalazła się ta dziewczyna?"

„Nie".

„A jednak uciekła!"

Widziałem, jak patrząc na mnie, poruszała ustami, jak gdyby te usta chciały obrzucić tamtą wyrzutami.

„Uciekła?" powtórzyłem.

„Tak jest! Od niego", rzekła, śmiejąc się. „Jeżeli jej nie odnaleziono, to może nigdy jej już nie odnajdą. Może nie żyje!"

Tak urągliwego okrucieństwa, z jakiem spojrzała na mnie, nie widziałem nigdy jeszcze na żadnej twarzy.

„Życzyć jej śmierci", rzekłem, „to może najlepsze, czego druga kobieta życzyć jej może. Cieszę się, że czas tak bardzo ułagodził panią, panno Dartle".

Nie raczyła mi odpowiedzieć, lecz znów zwracając się do mnie z pogardliwym śmiechem, rzekła: „Krewni tej idealnej i wielce skrzywdzonej młodej osoby, to przyjaciele pańscy. Jesteś ich obrońcą, obstajesz przy ich prawach. Czy chcesz pan wiedzieć, co o niej wiadomo?"

„Tak jest", odpowiedziałem.

Powstała z jadowitym uśmiechem i uszedłszy kilka kroków w stronę żywopłotu z ostrokrzewu oddzielającego trawnik od kuchennego ogrodu, zawołała głośno: „Przyjść tutaj!" — jakgdyby wołała na jakieś nieczyste stworzenie.

„Zechce pan powstrzymać tutaj wszelkie obrończe czy mściwe zapędy, prawda, panie Copperfield?" przez ramię zwróciła się do mnie z tym samym wyrazem.

Skłoniłem głowę, nie wiedząc, o czem mówi; wtedy jeszcze raz powtórzyła: „Przyjść tutaj!" i powróciła, a za nią szedł pełen godności pan Littimer, który z tą samą, co dawniej, dostojnością ukłonił się i stanął za nią. Ten jakiś złośliwy wdzięk, wyraz triumfu, w czem, rzecz dziwna, było też coś kobiecego i ponętnego zarazem, uwidocznione w jej ruchu, gdy opadła na siedzenie pomiędzy nim a mną — godne to było okrutnej księżniczki z bajki.

„A teraz", rozkazała, nie patrząc na Littimera, lecz kładąc rękę na pulsującej starej bliźnie z przyjemnością raczej, niż z bólem, „proszę opowiedzieć panu Copperfieldowi o tej ucieczce".

„Pan Jakób i ja, proszę pani..."

„Proszę się do mnie nie zwracać", przerwała, zmarszczywszy się.

„Pan Jakób i ja, proszę pana..."

„Ani do mnie", rzekłem.

Pan Littimer, nie tracąc kontenansu, lekkim ukłonem zaznaczył, że miło mu zastosować się do naszych życzeń i zaczął znowu:

„Pan Jakób i ja byliśmy zagranicą z tą młodą osobą od chwili, gdy opuściła Yarmouth pod opieką pana Jakóba. Ba-

wiliśmy w rozmaitych miejscowościach, zwiedziliśmy wiele obcych krajów. Byliśmy we Francji, w Szwajcarji, we Włoszech — rzeczywiście, wszędzie".

Patrzył w oparcie ławki, jak gdyby do niej przemawiał i cicho przebierał po niem palcami, niby po klawiszach głuchej klawiatury.

„Pan Jakób bardzo był młodą osobą zajęty i przez dłuższy czas więcej ustatkowany, niż kiedykolwiek, odkąd u niego służyłem. Młoda osoba bardzo się wyrobiła, nauczyła się języków i niktby po niej nie był poznał, że to ta sama dziewczyna z prowincji. Uważałem, gdziekolwiek byliśmy, wszędzie budziła podziw".

Panna Dortle poniosła rękę do serca. Zauważyłem, że Littimer musnął ją spojrzeniem i lekko się do siebie uśmiechnął.

„Bardzo się podobała ta młoda osoba. Bo to i strój — i słońce i powietrze — i to, że tak była pieszczona — i to i tamto i wszystko razem, dosyć, że jej uroda i jej zalety zwracały ogólną uwagę".

Przerwał na chwilę. Oczy panny Dartle błądziły niespokojnie po dalekim widoku, a dolną wargę przygryzała, ruchliwe usta zmuszając do milczenia. Odjąwszy ręce od poręczy ławki i składając je, Littimer mówił dalej ze spuszczonemi oczami, z głową nieco wysuniętą i lekko na bok przechyloną.

„Młoda ta osoba żyła w ten sposób dalej przez jakiś czas, zapadając niekiedy w przygnębienie, aż, zdaje mi się, zaczęła nudzić pana Jakóba tem poddawaniem się przygnębieniu i tego rodzaju humorom; i zaczęło być mniej przyjemnie. W panu Jakóbie znów zaczął się budzić duch niespokojny. A im niespokojniejszym on się stawał, tem gorzej z nią się działo; i muszę powiedzieć, co do mnie, że bardzo ciężką miałem wtedy służbę między nimi dwojgiem. Zawsze się jednak jeszcze sprawę łatało, naprawiało i to raz po raz; i jakoś to trwało, z pewnością dłużej, niżby ktokolwiek mógł się spodziewać".

Oderwawszy oczy od dalekiego horyzontu, panna Dartle znów z poprzednim wyrazem spojrzała na mnie. Littimer, zasłoniwszy usta dłonią i odchrząknąwszy krótko a z szacunkiem, zmienił pozycję nóg i mówił dalej: „Nakoniec, gdy już tam padło, wszystko razem biorąc, wiele słów i wiele wyrzutów, pan Jakób pewnego poranku wyruszył z okolicy Neapolu, gdzie mieliśmy willę (ponieważ młoda osoba bardzo lubiła morze) i pod pozorem, że wróci za parę dni, mnie dał zlecenie uwiadomić ją, że dla dobra obu stron", tu przerwa i dyskretne odkaszlnięcie, „wyjechał. Jednakże pan Jakób, muszę to powiedzieć, postąpił nadzwyczaj honorowo — zaproponował bowiem, by młoda osoba wyszła zamąż za bardzo godnego człowieka, który był gotów zupełnie nie zważać na przeszłość, a był przynajmniej równie dobry, jak ktokolwiek, kogoby, zwyczajną koleją rzeczy, mogła zapragnąć; pochodzi ona bowiem z bardzo niskiego stanu".

Poprawił znów pozycję nóg i zwilżył wargi językiem. Pewien byłem, że łotr ten mówił o samym sobie i tę samą pewność wyczytałem z twarzy panny Dartle.

„Miałem zlecenie i to jej powiedzieć. Byłem gotów zrobić wszystko, byle uwolnić pana Jakóba od tego kłopotu i przywrócić harmonję pomiędzy nim a kochającą matką, która z jego powodu tyle przecierpiała. Dlatego podjąłem się zlecenia. Gwałtowny wybuch młodej osoby, gdy ją uwiadomiłem o wyjeździe pana Jakóba, przeszedł wszelkie oczekiwania. Oszalała poprostu. siłą musiałem ją trzymać, bo gdyby się nie mogła dorwać do noża, albo do morza, byłaby sobie głowę roztrzaskała o marmurową posadzkę".

Panna Dartle, oparta o poręcz ławki, z twarzą, rozświetloną rozkosznem uniesieniem, pieściła uchem słowa tego łotra.

„Gdy jednakże wyjawiłem drugą połowę tego, co mi oświadczyć polecono", mówił dalej Littimer, trochę nieswojo zacierając ręce, „a przecież możnaby przypuszczać, że każdyby w tem ocenił życzliwą intencję, wtedy dopiero młoda osoba pokazała się w prawdziwym świetle. Tak impertynencko obrażającej osoby nigdy nie widziałem. Zachowała się szkaradnie. Było w niej tyle wdzięczności, tyle cierpliwości, tyle rozumu, co w kawałku drewna, albo w kamieniu. Gdybym się nie miał na baczności, jestem pewien, że targnęłaby się na moje życie".

„Tem więcej ją za to cenię", wtrąciłem z oburzeniem.

Littimer pochylił głowę, jak gdyby chciał powiedzieć: Doprawdy? Ale pan taki młody!" i ciągnął dalej swe opowiadanie.

„Jednem słowem, koniecznem było przez jakiś czas usuwać przed nią wszystko, czemby sobie albo komuś mogła wyrządzić krzywdę i trzymać ją pod kluczem. Pomimo to wydostała się w nocy, wyłamała okiennicę w oknie, którą ja sam zabiłem gwoździami, wyskoczyła na krzak winogradu, rozpięty na ścianie i odtąd, o ile wiem, nikt nie słyszał o niej ani jej nie widział".

„Może nie żyje", rzekła panna Dartle z takim uśmiechem, jak gdyby zdolną była kopnąć zwłoki nieszczęsnej dziewczyny.

„Może się utopiła, proszę pani", odpowiedział Littimer, korzystając ze sposobności, by się do kogoś zwrócić wprost.

„To bardzo możliwe. A może jej pomogli rybacy, żony rybaków i dzieci. Ponieważ lubowała się w towarzystwie ludzi niskiego stanu, często bardzo zadawała się z nimi w pogawędki nad wybrzeżem, panno Dartle, albo wysiadywała przy ich łodziach. Wiem, że w ten sposób całe dni spędzała, gdy pana Jakóba nie było w domu. Panu Jakóbowi wcale to się nie podobało, gdy się kiedyś dowiedział, iż powiedziała dzieciom, że sama jest córką rybaka i że w własnej ojczyźnie, dawno temu, tak jak one błądziła po wybrzeżu".

O Emilko! O, ty śliczna, nieszczęśliwa istoto! Jakże żywo ujrzałem ją, siedzącą na dalekiem wybrzeżu, pomiędzy dziećmi takiemi, jak ona sama, gdy była niewinną, słuchającą szczebiotu głosików takich, jakie mogłyby ją matką nazywać, gdyby była żoną biednego człowieka — i potężnego głosu morza, szumiącego swoje wieczne: „Nigdy!"

„Gdy już było jasnem, że nic się nie da zrobić, panno Dartle..."

„Czyż nie powiedziałam, że do mnie proszę się nie zwracać?" przerwała surowo a wzgardliwie.

„Pani mówiła do mnie", odpowiedział. „Przepraszam. Ale moim obowiązkiem jest słuchać".

„Proszę więc spełnić swój obowiązek", odparła. „Dokończyć opowiadania i pójść!"

„Gdy już stało się jasnem", podjął z miną nieskończenie pełną godności i z posłusznym ukłonem, „że się jej nie znajdzie, pojechałem do pana Jakóba tam, dokąd było umówione, że mam do niego pisać, i powiadomiłem go o wszystkiem, co się stało. W następstwie tego padły pewne słowa, i ja uważałem za stosowne porzucić dotychczasową służbę. Mogłem znieść i wiele też zniosłem od pana Jakóba, ale za bardzo mnie obraził. Dotknął mnie. Znając nieszczęsne nieporozumienie pomiędzy nim i matką, wiedząc, w jakim niepokoju pani Steerforth musi żyć, pozwoliłem sobie powrócić do Anglji i opowiedzieć..."

„Za pieniądze, które mu zapłaciłam", zwróciła się do mnie panna Dartle.

„Tak jest proszę pani... i opowiedzieć, co wiedziałem. Nie wydaje mi się", dodał po chwilowym namyśle, „bym miał coś więcej do opowiedzenia. Jestem obecnie bez zajęcia i radbym dostać odpowiednie miejsce".

Panna Dartle spojrzała na mnie, pytając wzrokiem, czy nie chciałbym o coś jeszcze zapytać. Ponieważ przyszedł mi na myśl pewien szczegół, przeto rzekłem w odpowiedzi: „Chciałbym się dowiedzieć od tej... kreatury", — nie mogłem się zdobyć na łagodniejszy wyraz — „czy oni przejęli list, pisany do niej z domu, czy też przypuszcza, że ona go otrzymała"

Littimer stał spokojny i milczący, ze spuszczonemi oczami, kończyny palców prawej ręki delikatnie oparłszy o kończyny lewej.

Panna Dartle pogardliwie odwróciła głowę ku niemu.

„Przepraszam panią", rzekł, jakby budząc się z zamyślenia, „ale, jakkolwiek posłuszny względem pani, mam i ja swoje stanowisko, chociaż służący. Pan Copperfield i pani to nie to samo. Jeżeli pan Copperfield pragnie dowiedzieć się czegoś ode mnie, ośmielam się przypomnieć panu Copperfieldowi, że może mi zadać pytanie. Muszę się upomnieć o to, co mi się należy".

Po chwilowej walce z samym sobą, skierowałem wzrok na niego i rzekłem: „Słyszeliście moje pytanie. Uważajcie, jeśli chcecie, że do was było zwrócone. Cóż na to odpowiecie?"

„Panie", odpowiedział, to rozdzielając, to znów składając palce, „moja odpowiedź musi być oględną, gdyż zdradzać zaufanie pana Jakóba wobec jego matki i zdradzać je wobec pana, to dwie różne sprawy. Sądzę, że nie jest prawdopodobnem, ażeby pan Jakób chętnie widział odbieranie listów, mogących zwiększyć przygnębienie i różne nieprzyjemności; dalej jednak posunąć bym się nie chciał".

„Czy to wszystko?" zapytała mnie panna Dartle.

Odparłem, że nie mam nic więcej do powiedzenia.

„Chyba tylko", dorzuciłem, widząc, że Littimer zabiera się do odejścia, „że ja rozumiem rolę tego nędznika w tej brzydkiej sprawie a ponieważ uwiadomię o wszystkiem zacnego człowieka, który był ojcem jej od dzieciństwa, radziłbym panu Littimerowi nie bardzo pokazywać się publicznie".

Littimer przystanął, gdy zacząłem mówić i z zwykłym spokojem wysłuchał mnie do końca.

„Dziękuję panu. Ale daruje mi pan, jeżeli powiem, że niema niewolników ani dozorców niewolników w tym kraju i że ludziom nie wolno brać w swoje ręce wymiaru sprawiedliwości. Kto to czyni, ten więcej siebie naraża na niebezpieczeństwo, niż drugich. Stąd wynika, że się wcale nie obawiam chodzić, gdzie mi się podoba".

To powiedziawszy, grzecznie się ukłonił, a złożywszy drugi ukłon pannie Dartle, oddalił się przez furtkę w żywopłocie, którędy wszedł. Przez chwilę patrzeliśmy na siebie z panną Dartle w milczeniu; nic się nie zmieniło w jej minie i zachowaniu od chwili gdy sprowadziła tego człowieka.

„Powiedział on prócz tego", oświadczyła, „że pan jego, jak słyszał, okrąża wybrzeża Hiszpanji poczem zamyśla oddać się swej ulubionej pasji żeglarskiej, dopóki go to nie

znuży. Ale to pana nie interesuje. Pomiędzy dwojgiem tych dumnych ludzi, matką i synem, rozłam jest większy jeszcze, niż wprzódy, i niema nadziei na załagodzenie, gdyż jednacy są oboje w głębi duszy, a czas tylko zwiększa ich upór i despotyczność. I to także nie obchodzi pana, lecz niech służy za wstęp do tego, co mam powiedzieć. Ta djablica, z której pan robisz anioła, ta nędzna dziewka, którą on wydobył z błota" — tu czarne jej oczy pełno spoczęły na mnie, a palec uniósł się gniewnie — „żyje, być może... gdyż wierzę, że to, co marne i grube, niełatwo umiera. Jeżeli zaś żyje, będzie pan pragnął, perłę tak bezcenną, odnaleźć i wziąć pod opiekę. I my tego także pragniemy, z obawy ażeby Jakób przypadkiem znów nie stał się jej łupem. W tym względzie więc życzenia nasze się schodzą; i dlatego to ja, która chciałabym na nią ściągnąć wszelkie zło, jakie taka gruboskórna nędzica odczuć jest zdolną — posłałam po pana, ażebyś usłyszał to, co usłyszałeś".

Zrozumiałem, widząc zmianę na jej twarzy, że ktoś poza mną nadchodzi. Była to pani Steerforth; podała mi rękę chłodniej, niż dawniej i z większą jeszcze godnością w postawie — jednakże, zauważyłem to ze wzruszeniem, z niezatartem wspomnieniem mojej dawnej miłości dla jej syna. Zmieniona była bardzo. Kształtna jej postać nie trzymała się już tak prosto, na pięknej twarzy ryły się głębokie bruzdy, włos był prawie biały. Siedząc jednak na ławce, przedstawiała zawsze jeszcze obraz pięknej damy, a z twarzy jej patrzyła podobizna tego jasnego oka o wyniosłem spojrzeniu, które było mi światłem, nawet w snach moich, w szkole.

„Czy pan Copperfield jest już o wszystkiem powiadomiony, Różo?"

„Tak jest".

„I czy wysłuchał samego Littimera?"

„Tak. Powiedziałam, dlaczego pani tego pragnęła".

„Dobra z ciebie dziewczyna. Była krótka wymiana listów pomiędzy mną a dawnym przyjacielem pańskim, panie Copperfield", zwróciła się do mnie, „jednakże nie obudziło to w nim poczucia obowiązku, nie skierowało z powrotem na drogę powinności. To też to dzisiejsze spotkanie nie ma innego celu prócz tego, o którym mówiła już Róża. Jeżeli krokiem tym, który uspokoi tego poczciwego człowieka, sprowadzonego tutaj przez pana (a żal mi go... więcej powiedzieć nie mogę), da się równocześnie ocalić mego syna od ponownego wpadnięcia w sieć chytrego wroga, no, to dobrze!"

Wyprostowała się i zapatrzyła się w dal, prosto przed siebie.

„Pani", odparłem z szacunkiem, „rozumiem. Zapewniam panią, że nie tłumaczę pobudek pani fałszywie. Ale wybaczy pani, muszę powiedzieć, od dzieciństwa znając tę pokrzywdzoną rodzinę, że jeśli pani przypuszcza, iż ta dziewczyna, tak głęboko skrzywdzona, nie uległa okrutnemu rozczarowaniu i nie wolałaby sto razy umrzeć niż przyjąć teraz z ręki twego syna choćby kubek wody — w takim razie straszliwie się pani myli".

„Cicho, Różo, cicho!" rzekła pani Steerforth, gdy tamta chciała się wmieszać; „już mniejsza z tem. Zostawmy to. Pan się ożenił podobno, tak mi mówiono?"

Odpowiedziałem, że już od niejakiego czasu jestem żonaty.

„I dobrze się panu powodzi? Mało słyszę w spokojnem życiu, jakie prowadzę, ale o ile wiem, zaczyna pan być sławny".

„Miałem dużo szczęścia", odpowiedziałem, „i imię moje zyskało trochę pochwał".

„Niema pan już matki?" łagodniejszym tonem.

„Nie, pani".

„To szkoda", odpowiedziała. „Byłaby dumną z pana. Dobranoc!"

Ująłem rękę, którą wyciągnęła z niewzruszoną godnością, a tak spokojną była ta ręka w mej dłoni, jak gdyby spokój panował w sercu jej właścicielki. Duma jej, widać, nawet panować umiała nad tętnem krwi i na twarz rzucać zasłonę pogody, poprzez którą patrzyła w odległą dal, prosto przed siebie.

Odchodząc wzdłuż tarasu mimowoli zauważyłem, jak wytrwale obie kobiety patrzyły na widok rozlegający się u ich stóp i jak ta przestrzeń zaczęła jakby gęstnieć i ścieśniać się dokoła nich. Tu i ówdzie w odległym mieście zaczynały mrugać pierwsze lampy, zaś rdzawo ponure światło wciąż jeszcze powlekało wschodnią część nieba. Jednakże z doliny, leżącej pośrodku, mgła wstawała, jak morze i mieszając się z nastającym mrokiem sprawiała wrażenie, jak gdyby zaczynały je otaczać jakieś rosnące wody. Mam powód pamiętać ten obraz i myślę o nim z uczuciem grozy — gdyż zanim spojrzałem znów na nie obydwie, burzliwe morze rozwarło się u ich stóp.

Zastanawiając się nad tem, co mi powiedziano, pomyślałem, że należy o tem uwiadomić pana Peggotty. Następnego wieczora poszedłem do Londynu szukać go. Stale odbywał wędrówki z miejsca na miejsce, z jedynym celem przed sobą, z pragnieniem odnalezienia siostrzenicy — w Londynie jednak przebywał najwięcej. Często widywałem

go teraz o późnej nocy, przechodzącego wzdłuż ulic, szukającego wśród niewielu, błąkających się na ulicach w te nie wczesne godziny tego, co lękał się znaleźć.

Peggotty miał mieszkanie nad sklepikiem przy Hungerford Market, o którem już nieraz wspomniałem, skąd wychodził na swoje boleściwe wędrówki. Tam poszedłem. Dopytując się o niego dowiedziałem się od ludzi w domu, że nie wyszedł jeszcze i że zastanę go w jego pokoju na górze. Istotnie, siedział, czytając przy oknie, w którem hodował kilka doniczek kwiatów. Pokój był bardzo miły i czysty. Odrazu zauważyłem, że stale był przygotowany na przyjęcie Emilki i że wuj jej wychodząc, zawsze przypuszczał, że może przyprowadzi ją do domu. Tym razem nie usłyszał pukania mego do drzwi i podniósł oczy dopiero, gdy ręką dotknąłem jego ramienia.

„Pan Dawidek! Dziękuję panu! Dziękuję serdecznie za te odwiedziny! Proszę usiąść. Serdecznie rad panu jestem!"

„Panie Peggotty", rzekłem, odbierając przysuwane mi krzesło, „niech pan się zbyt wiele nie spodziewa. Ale doszły mnie pewne wieści".

„O Emilce!"

Nerwowym ruchem poniósł rękę do ust i pobladł, patrząc mi w oczy.

„Nie daje to wskazówki, gdzie ona być może, ale z nim już nie jest".

Siadł i wpatrzony we mnie, wysłuchał w głębokiem milczeniu wszystkiego, co mu opowiedziałem. Dobrze pamiętam wrażenie, jakie na mnie zrobił dostojny, piękny wyraz cierpliwej powagi na jego twarzy, gdy stopniowo oderwawszy oczy swe od moich, siedział z wzrokiem spuszczonym, z czołem, opartem na ręku. Nie przerywał mi, siedział zupełnie cicho. Zdawało się, że śledzi postać jej w toku opowiadania, na żadną inną nie zważając.

Gdy skończyłem, zakrył twarz i milczał dalej. Ja tymczasem wyglądałem przez okno i zajmowałem się roślinami.

„Co pan o tem myśli, panie Dawidku?" zapytał wkońcu.

„Myślę, że ona żyje", odpowiedziałem.

„Nie wiem. Być może, że pierwsze wstrząśnienie było zbyt nagłe i w takiem uniesieniu rozpaczy...! Tamto niebieskie morze, co to tak często o niem mówiła... Czy może dlatego o niem tyle lat myślała, że to miał być jej grób?"

Powiedział to, namyślając się, cichym, przestraszonym głosem i przeszedł się po pokoju.

„A jednak", dodał, „panie Dawidku, ja czułem taką pewność, że ona żyje... wiedziałem, na jawie i we śnie, że ją naprawdę odnajdę... i to mnie tak prowadziło i tak podtrzymywało... że nie mogę uwierzyć, by mnie to miało oszukać. Nie! Emilka żyje!"

Oparł z mocą rękę na stole i ogorzała jego twarz przybrała wyraz stanowczy.

„Moja siostrzenica, Emilka, żyje, panie!" rzekł z przekonaniem. „Nie wiem, skąd to pochodzi i jak się to dzieje, ale mnie c o ś m ó w i, że ona żyje!"

Mówiąc to, miał wyraz prawie natchnionego człowieka. Czekałem parę chwil, aż będzie mógł wysłuchać mnie z uwagą, poczem zacząłem mu tłumaczyć, jakie kroki, wedle tego co mi na myśl przyszło ubiegłego wieczora, należałoby przedsięwziąć.

„A więc, drogi mój przyjacielu", zacząłem.

„Dziękuję, dziękuję wam, dobry panie" przerwał, ujmując dłoń moją oburącz.

„Gdyby Emilka miała przybyć do Londynu, co jest prawdopodobne — bo gdzieżby się zgubić mogła tak łatwo, jak w tem wielkiem mieście; a czegóżby mogła pragnąć, jak nie zgubić się i ukryć, o ile nie wróci do domu...?"

„A nie wróci do domu", przerwał, posępnie potrząsając głową. „Gdyby go opuściła z własnej woli, mogłaby; ale nie tak, jak się to stało, panie".

„Gdyby tutaj miała przybyć", rzekłem, „sądzę, że jest tutaj jedna osoba, któraby łatwiej, niż ktokolwiek inny odszukać ją mogła. Czy pan pamięta... niech pan wysłucha mężnie tego, co powiem... niech pan pomyśli, o jak ważną chodzi sprawę!... Czy pan pamięta Martę?"

„Z naszego miasta?"

Twarz jego dała mi wystarczającą odpowiedź.

„Czy pan wie, że ona jest w Londynie?"

„Widziałem ją na ulicy", odpowiedział, wstrząśnięty dreszczem.

„Ale tego pan nie wie, że Emilka z pomocą Hama okazała jej miłosierdzie na długo przedtem, zanim uciekła z domu. Ani tego, że gdyśmy się spotkali pewnej nocy i rozmawiali ze sobą w tamtym pokoju, naprzeciw, ona podsłuchiwała pod drzwiami".

„Panie Dawidku!" odpowiedział zdziwiony. „Tej nocy, kiedy padał ten wielki śnieg?"

„Tej nocy. Odtąd nigdy już jej nie widziałem. Zawróciłem, pożegnawszy was, panie bo chciałem pomówić z nią, ale jej już nie było. Nie chciałem wtedy mówić o niej z panem i teraz czynię to niechętnie; ale ją to właśnie mam na myśli i z nią, jak sądzę, winniśmy się porozumieć. Rozumie mnie pan?"

„Aż nadto dobrze, panie", odpowiedział. Zniżyliśmy głosy aż do szeptu prawie i tak też mówiliśmy dalej.

„Pan mówił, że pan ją widział. Czy myśli pan, że mógłby ją pan znaleźć? Ja bo chyba trafem",

Zdaje mi się, panie Dawidku, że wiedziałbym, gdzie jej szukać".

„Ciemno już. Skoro jesteśmy razem, możebyśmy wyszli teraz i spróbowali znaleźć ją dziś jeszcze?"

Zgodził się i zaczął się gotować do towarzyszenia mi. Obserwowałem nieznacznie, co czynił; widziałem, jak starannie krzątał się po pokoiku, to przygotowując świecę a obok niej zapalniczkę, to poprawiając posłanie na łóżku; nakoniec dobył z szuflady jedną z sukienek Emilki (pamiętam, że ją w niej widziałem), starannie złożoną wraz z innem ubraniem i kapeluszem, i położył to na krześle. Nic nie wspomniał o tych rzeczach, ja również nie. W ten sposób, niewątpliwie, czekały na nią wiele, wiele nocy.

„Był taki czas, panie Dawidku", rzekł, gdyśmy schodzili po schodach, „że ja na tę dziewczynę, Martę, patrzyłem prawie jak na błoto pod nogami mojej Emilki. Niech Bóg mi wybaczy, teraz jest inaczej!"

Idąc obok niego, po części dla podtrzymania z nim rozmowy, po części z zaciekawienia zapytałem go o Hama. Odpowiedział mi prawie temi samemi słowami, co dawniej, że Ham zawsze ten sam „pędzi jakoś życie, zupełnie o nie nie dbając; ale nigdy się nie skarży i lubią go wszyscy".

Zapytałem go, jak sobie wyobraża stan ducha Hama w odniesieniu do przyczyny ich nieszczęść? Czy przypuszcza, że może tkwić w tem niebezpieczeństwo? Jak naprzykład postąpiłby Ham, gdyby się miał spotkać z Steerforthem?

„Tego nie wiem, panie", odpowiedział. „Często o tem myślałem, ale jakoś nie mogę dojść".

Przypomniałem mu ów poranek po ucieczce Emilki, kiedy to wszyscy trzej chodziliśmy po wybrzeżu.

„Pamięta pan", rzekłem, „jak nawpół błędnym wzrokiem patrzył wtedy na morze i mówił o końcu wszystkiego?"

„A jakże, pamiętam!" odparł.

„Co on miał na myśli, jak pan sądzi?"

„Panie Dawidku", odpowiedział, „to pytanie stawiałem sobie sto razy, alem nie znalazł na nie odpowiedzi. A jeszcze i to ciekawe, że chociaż on taki łatwy, nie śmiałbym próbować nawet myśli jego badać co do tego. Nigdy do mnie nie przemówił inaczej, jak z największą grzecznością i uszanowaniem i chybaby też i teraz inaczej nie zaczął mówić; ale nie płytkie to wody tam, gdzie te myśli jego leżą. To głębina, panie, a ja zgruntować jej nie mogę".

„Słusznie", rzekłem, „ale mnie to chwilami niepokoiło".

„I mnie także panie Dawidku", odparł. „Więcej nawet, zapewniam pana, niż to jego ryzykowanie, choć i jedno i drugie wynikło z tego, że się tak odmienił. Nie wiem, czy w razie czego porwałby się do gwałtu, ale wolałbym, żeby ci dwaj nigdy się nie zeszli".

Zaszliśmy tymczasem w głąb miasta. Nie rozmawiając już więcej i idąc obok mnie, pan Peggotty oddał się jedynemu celowi, któremu życie poświęcił, i szedł w tem cichem skupieniu wszystkich swoich władz, co nawet w tłumie czyniło go samotnym. Znajdowaliśmy się niedaleko od mostu Blackfriars, gdy zwrócił się do mnie i ukazał samotną postać kobiecą, idącą przeciwległą stroną ulicy. Odrazu poznałem, że to ta, której szukamy.

Przeszliśmy ulicę i już zbliska docieraliśmy do niej, gdy przyszło mi na myśl, że ona lepiej odczuje kobiece współczucie dla zaginionej, jeżeli przemówimy do niej w spokojniejszem miejscu, zdala od tłumu i nie tak na oczach ludzi. Poradziłem przeto mojemu towarzyszowi, byśmy jej teraz nie zaczepiali, a tylko szli za nią; miałem przytem niejasne pragnienie dowiedzieć się, dokąd ona zamierza.

Ponieważ Peggotty zgodził się na to, szliśmy przeto za nią w pewnej odległości — nie tracąc jej z oczu, ale też starając się zbytnio nie przybliżać, gdyż często się rozglądała. Raz przystanęła, żeby posłuchać muzyki: wtedy i my stanęliśmy.

Marta uszła spory kawałek drogi. My za nią. Widoczne było, że idzie z wyraźnym celem. Nareszcie zakręciła w ciemną i pustą ulicę, hałas ruchliwych ulic i tłum pozostawiając za sobą. „Teraz możemy przemówić do niej", powiedziałem i przyspieszając kroku, podążyliśmy za nią.

Rozdział czterdziesty siódmy.

Marta.

Znajdowaliśmy się teraz w dzielnicy Westminster. Zawróciliśmy, gdyśmy przedtem spotkali Martę, gdyż szła naprzeciw nas; opactwo westminsterskie było tym punktem, w którym zeszła z oświetlonych i hałaśliwych ulic. Szła tak szybko, gdy się oswobodziła z tłumu przechodniów, dążących ku mostowi i od mostu, że znaleźliśmy się w wąskiej nadrzecznej uliczce koło Millbank, zanim się z nią zrównaliśmy. W tej chwili Marta przeszła na drugą stronę drogi, może unikając kroków, które słyszała tuż za sobą i oglądając się, podążyła naprzód jeszcze prędzej.

Błysk rzeki przez ciemną bramę podwórka, gdzie kilka wozów zajechało na noc, wstrzymał moje kroki. Trąciłem mego towarzysza, nic nie mówiąc i nie przechodząc za nią

drogi; szliśmy po przeciwnej stronie, cicho przekradając się w cieniu domów, ale wciąż trzymając się jej blisko.

Znajdował się tam — i jeszcze dziś, gdy to piszę, znajduje się — w nisko położonej ulicy mały, zrujnowany, drewniany budynek, prawdopodobnie podupadły, stary domek przewoźnika. Stoi on właśnie w tem miejscu, gdzie kończy się ulica, a droga idzie pomiędzy rzędem domów a rzeką. Zaledwie Marta dosza tam i zobaczyła wodę, przystanęła, jak gdyby dotarła do celu; zaraz też zaczęła zwolna kroczyć brzegiem rzeki, usilnie w nią się wpatrując.

Przez cały czas, przypuszczałem, że Marta idzie do jakiegoś domu; żyła nawet we mnie nieśmiała nadzieja, że ten dom stoi w związku z zaginioną naszą dziewczyną. Ujrzawszy jednak ten ciemny błysk rzeki przez bramę, instynktownie w duchu przygotowałem się na to, że ona dalej nie pójdzie.

Straszny to był zakątek w owym czasie; tak przygniatająco smutny i opuszczony nocą, jak żaden inny w Londynie. Nie było tam ani przystani, ani domów na tej smutnej, pustej drodze w pobliżu gołych murów wielkiego więzienia. Brudny rów znosił namuł swój pod mury więzienne. Licha trawa i chorowite chwasty porastały bagniste grunta sąsiednie. Z jednej strony szkielety domów, niefortunnie rozpoczętych i nieukończonych, rozpadały się i gniły. Z drugiej, ziemia pokryta była zardzewiałem żelaziwem, potworami kotłów parowych, kół, korb, rur, pieców, sterów, kotwic, skrzydeł wiatraków i nie wiem już jakich dziwnych przedmiotów, nagromadzonych przez spekulanta i pokrytych pyłem, pod którym — zarywszy się w ziemię własnym ciężarem w dżdżysty czas — zdawało się, daremnie chciały się ukryć. Łoskot i blask wielu ognistych fabryk na rzecznem wybrzeżu wznosił się nocą i zamącał wszystko, prócz tego ciężkiego, jednostajnego dymu, co wypływał z ich kominów. Lepkie doły i ścieżki, wijące się wśród starych drewnianych słupów o oślizłej, zielonej pleśni i w łachmanach zeszłorocznych plakatów, głoszących nagrody za odnalezienie topielców, wiodły w dół przez błoto i muł do poziomu niskiej wody. Istniało podanie, że jeden z dołów, gdzie chowano zmarłych w czasie wielkiej morowej zarazy, znajdował się gdzieś w tych stronach — jakiś zabójczy wpływ zdawał się wychodzić stamtąd na całą okolicę. Albo też wyglądało to, jak gdyby ta okolica przez wylewy zanieczyszczonej rzeki popadła w stopniowy rozkład i ten upiornie smutny stan.

Jak gdyby była sama cząstką tych szczątków, wyrzuconych przez rzekę, skazanych na rozkład i zgniliznę, śledzona przez nas dziewczyna zstąpiła nad sam brzeg rzeki i stała wśród pustki nocnej, samotna i cicha, patrząc na wodę.

Było tam kilka łodzi i tratew, wyciągniętych w nadbrzeżne błoto i te nam umożliwiły podejść ku niej nieznacznie na odległość kilku kroków. Dałem wtedy znak panu Peggotty, żeby się zatrzymał, a sam wynurzyłem się z ukrycia, chcąc do niej przemówić. Nie bez drżenia zbliżałem się do samotnej jej postaci — gdyż ten posępny cel jej wędrówki, to, że stała prawie w cieniu żelaznego mostu, zapatrzona w światła łamiące się w silnie wezbranej wodzie, napełniało serce moje lękiem.

Zdawało mi się, że mówi sama do siebie. Pamiętam, że zapatrzona w wodę, w szal, który jej się osunął z ramion, otulała ręce niespokojnie, pół przytomnie, jak lunatyczka raczej, niż osoba przy zmysłach. Wiem i nigdy tego nie zapomnę, że widząc ją w tym stanie, drżąc, że przed mojemi oczami skoczy mi w wodę, uspokoiłem się dopiero, gdy silnie uchwyciłem jej ramię.

Równocześnie zawołałem: „Marto!"

Wydała okrzyk przerażenia i wyrywała mi się z taką siłą, że wątpię, czy byłbym ją utrzymał sam jeden. Chwyciła ją jednak ręka, silniejsza od mojej, gdy zaś podniósłszy przestraszone oczy ujrzała, czyja to ręka, po ostatnim wysiłku upadła przed nami. Zanieśliśmy ją zdala od wody na miejsce, gdzie było trochę suchych kamieni i tam położyliśmy płaczącą i jęczącą. Po chwilce uniosła się i siadła między kamieniami, oburącz ściskając nieszczęsną swą głowę.

„O, ta rzeka!" wołała rozpaczliwie. „O, ta rzeka!"

„Cicho, cicho!" rzekłem. „Proszę się uspokoić".

Ona jednakże wciąż powtarzała te same słowa, wciąż wołając: „O, ta rzeka!"

„Wiem, że ona taka, jak ja!" wołała. „Wiem, że ja do niej należę. Wiem, że to towarzyszka odpowiednia dla takiej, jaką ja jestem! Przychodzi z dalekich wiejskich stron, gdzie dawniej nic złego nie znała... toczy się przez ponure ulice, zanieczyszczona, nędzna — i uchodzi, jak życie moje, do wielkiego morza, do morza wieczyście mąconego — a ja czuję, że muszę iść z nią!"

Nie znałem dotąd, co to rozpacz — poznałem ją dopiero w tonie tych słów.

„Nie mogę się od niej uwolnić. Nie mogę o niej zapomnieć. Prześladuje mnie dniem i nocą. To jedyne w całym świecie, czemu ja odpowiadam i co mnie odpowiada. O, ta straszna rzeka!"

Przebiegła mi myśl przez głowę, że w twarzy mego towarzysza, gdy patrzył na nią bez słów i bez ruchu, mógłbym

wyczytać dzieje jego siostrzenicy, gdybym nawet nic o nich nie wiedział. Nigdy nie widziałem, ani w rzeczywistości, ani na płótnie tak dobitnego zespolenia grozy i litości. Drżał, jak gdyby miał upaść — a ręka jego, gdy jej dotknąłem, przestraszony jego wyglądem, była lodowato zimna.

„Ona jest w stanie najwyższego rozdrażnienia“, szepnąłem mu do ucha. „Za chwilę mówić będzie inaczej“.

Nie wiem, co byłby mi odpowiedział. Poruszył ustami i myślał widocznie, że przemówił, ale wyciągniętą ręką tylko wskazał na nią.

A nią tymczasem zatrząsł nowy wybuch płaczu tak, że znów ukryła twarz między kamienie i leżała przed nami, jak obraz poniżenia i upadku. Rozumiejąc, że trzeba przeczekać, aż to minie, zanim ona pojmie, co się do niej mówi, odważyłem się powstrzymać mego towarzysza, gdy chciał ją podnieść, i milcząc staliśmy, aż nieco się uspokoiła.

„Marto“, rzekłem wtedy, nachylając się i pomagając jej powstać — chciała widocznie wstać aby odejść, ale osłabiona, oparła się o jakąś łódź. „Czy wiesz, kto jest ten, co jest tu ze mną?“

Potrząsnęła głową. Nie patrzyła ani na niego ani na mnie, tylko stała pokornie, w jednej ręce trzymając, jakoby bezwiednie, kapelusz i szal, drugą przyciskając czoło.

„Czy uspokoiłaś się o tyle“, zagadnąłem, „by móc mówić o przedmiocie, który ciebie tak interesował... pamiętasz? Owej śnieżnej nocy?“

Załkała znów i wymówiła parę niewyraźnych słów dziękczynnych za to, że nie odpędziłem jej wtedy ode drzwi.

„Nie chcę nic mówić na swoją obronę“, wyrzekła po kilku chwilach. „Jestem zła, jestem zgubiona. Nie mam żadnej nadziei. Ale niech mu pan powie“, — cofnęła się trwożnie przed panem Peggottym — „niech mu pan powie, jeśli mi pan chce tę łaskę wyrządzić, że ja się pod żadnym względem nie przyczyniłam do jego nieszczęścia“.

„Nikt tego nigdy tobie nie przypisywał“, odpowiedziałem poważnie.

„To pan był, jeśli się nie mylę“, mówiła złamanym głosem, „to pan wtedy przyszedł do kuchni, owej nocy, gdy ona była dla mnie taka litościwa... taka dobra... nie odwracała się ode mnie, jak wszyscy inni i tak mnie dobrotliwie wspomogła! Czy to pan był wtedy?“

„Tak, to ja byłem“, odparłem.

„Dawno już byłaby mnie pochłonęła rzeka, gdybym jaką krzywdę wobec niej miała na sumieniu“, mówiła, patrząc na rzekę pełnym grozy wzrokiem. „Jednej nocy zimowej nie przeżyłabym, gdybym najmniejszy udział brała w tem, co się stało!“

„Przyczyna jej ucieczki jest nam znana aż nadto dobrze“, rzekłem. „Nie jesteś temu winna, my w to głęboko wierzymy... wiemy to!“

„O, mogłam była być o wiele lepszą dla niej, gdybym była miała lepsze serce!“ zawołała dziewczyna z rozpaczliwym żalem, „bo ona zawsze dla mnie taka była dobra! Nie odezwała się inaczej do mnie, jak miłem i rozumnem słowem. Czyż to możliwe, bym z niej uczynić chciała to, czem jestem sama, wiedząc tak dobrze, czem jestem? Gdy utraciłam wszystko, dla czego żyć warto, najboleśniejszą moją myślą było, że jestem z nią rozłączoną na zawsze!“

Pan Peggotty, oparty jedną ręką o wiosło łodzi, z oczyma spuszczonemi, wolną drugą ręką zakrył twarz.

„A gdy się dowiedziałem o tem, co się stało, jeszcze przed tą śnieżną nocą, od kogoś z naszego miasta“, z płaczem mówiła Marta, „najgorzej dręczyła mnie myśl, iż ludzie pamiętać będą, że ona żyła ze mną i że powiedzą, iż to ja ją zepsułam! A przecież, Bóg widzi! jabym życie dała, byle jej przywrócić dobre imię!“

Odwykła dawno od panowania nad sobą; dojmująca męka jej bólu i wyrzutów była straszną.

„Umrzeć... to nie byłoby wiele! Cóż mogę powiedzieć?... Jabym żyła!“ wołała. „Jabym żyła do późnej starości na tych obrzydliwych ulicach... włóczęga, od wszystkich wzgardzona, w ciemnościach... patrząc jak dzień świtem pada na te widmowe rzędy domów i wspominając, jak to samo słońce świeciło do mego pokoju i budziło mnie niegdyś — jabym to nawet zniosła, byle ją ocalić!“

Opadając na kamienie, chwyciła ich kilka w obie ręce i podniosła, jakby je chciała gryźć. Wiła się niespokojnie, to prężąc zesztywniałe ramiona, to zasłaniając niemi twarz, jak gdyby chciała przed tą resztką światła zasłonić oczy, to nisko opuszczając głowę pod ciężarem nieznośnych wspomnień.

„Co ja mam zrobić!“ wołała, walcząc tak z rozpaczą. „Jak dalej żyć taka, jaką jestem — samotnica, wstrętna dla samej siebie, żyjąca hańbą dla każdego, do kogo się zbliżę!“ Nagle zwróciła się do mego towarzysza: — „Kopnij mnie pan! Zabij! Gdy ona była dumą twoją, byłbyś pomyślał, że uczyniłam jej krzywdę, gdybym się o nią otarła na ulicy. Nie możesz wierzyć — czyż się temu dziwię? — jednemu słowu, co z mych ust wychodzi. Byłby to palący wstyd dla ciebie, nawet teraz, gdyby ona ze mną zamieniła słowo. Ja się nie skarżę. Nie twierdzę, że ona i ja to jedno i to samo. Wiem, że długa, długa dzieli nas przestrzeń. Mówię tylko, że mimo całą moją winę i marność, wdzięczna jej jestem z całej duszy i kocham ją. O nie myśl że cała zdolność

kochania we mnie wygasła! Odrzuć mnie, tak jak cały świat mnie odrzuca. Zabij mnie za to, czem jestem i za to, że ją niegdyś znałam; ale tego o mnie nie myśl!"

Patrzył na nią, gdy go w ten sposób błagała, jakimś pół przytomnym wzrokiem; gdy zaś umilkła, podniósł ją łagodnie.

„Marto", przemówił pan Peggotty, „niech Bóg zachowa, żebym cię miał sądzić. Niech Bóg zachowa, moje dziewczę, żebym to właśnie ja miał czynić! Jeśli przypuszczasz coś podobnego, to nie wiesz, ani się domyślasz, jaka zmiana zaszła we mnie z biegiem czasu. No więc..." przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: „Nie rozumiesz pewnie, dlaczego ten tutaj pan i ja chcieliśmy pomówić z tobą. Nie rozumiesz, co my mamy za zamiary. Posłuchaj więc!"

Opanował ją zupełnie swym wpływem. Strwożona stała przed nim, jak gdyby bała się spotkać z jego wzrokiem, ale namiętny żal jej zcichł i zamilkł.

„Jeżeli słyszałaś", mówił pan Peggotty, „co mówiliśmy z panem Dawidkiem owej nocy, kiedy to ten wielki śnieg padał, to wiesz też, że byłem... gdzie to ja nie byłem!... szukając mojej drogiej siostrzenicy. Mojej drogiej siostrzenicy", powtórzył z naciskiem. „Bo jest mi ona jeszcze droższą teraz, niż była przedtem, Marto".

Zasłoniła twarz rękami, spokojna zresztą.

„Słyszałem, jak mi ona mówiła", ciągnął dalej pan Peggotty, „że ty wcześnie zostałaś bez ojca i bez matki i bez nikogo życzliwego, coby tobie w ten prosty sposób, jak to u nas, rybaków, ich miejsce zastąpił. Może być, iż rozumiesz, że gdybyś była miała takiego przyjaciela, tobyś go z czasem trochę pokochała, i że moja siostrzenica była dla mnie, czem córka dla ojca".

Widząc, że milcząc drży, otulił ją starannie jej własnym szalem, który w tym celu podniósł z ziemi.

„Dlatego też wiem", mówił, „i to, że poszłaby ze mną na koniec świata, gdyby raz znowu mnie zobaczyła, ale i to również, że uciekłaby na sam koniec świata, byle opóźnić widzenie się ze mną. Bo chociaż niema prawa wątpić, że ją kocham, i nie wątpi o tem, nie wątpi", powtórzył z spokojną wiarą w prawdę tego, co powiedział, „ale wstyd tutaj wchodzi w grę i staje między nami".

Poznawałem po każdem słowie wypowiedzianem tak poprostu a silnie, że przemyślał ten jeden temat wszechstronnie.

„Podług tego, jak my liczymy", ciągnął dalej, „tu obecny pan Dawidek i ja, ona biedna, samotna, przybędzie tu któregoś dnia do Londynu. My w to wierzymy, pan Dawidek,

ja i wszyscy, że ty tak tego co ją spotkało, jesteś niewinna, jak nowonarodzone dziecię. Mówiłaś, że była miłą, dobrą i litościwą dla ciebie. Niech ją Bóg błogosławi, wiedziałem, że taką była! Wiem, że zawsze taką była, dla wszystkich! Jesteś jej wdzięczną i kochasz ją. Dopomóż nam o ile możesz, do odnalezienia jej i niech ci to Bóg wynagrodzi!"

Spojrzała na niego szybko po raz pierwszy jak gdyby nie dowierzała temu, co powiedział.

„Czy mi pan zaufa?" zapytała, zdziwiona, cichym głosem.

„Najzupełniej!" odpowiedział pan Peggotty.

„Mam z nią mówić, o ile ją znajdę; dać jej schronienie, jeżeli sama mieć je będę, a potem, bez jej wiedzy, mam przyjść do pana i sprowadzić pana do niej?" rzucała spieszne pytania.

Obaj równocześnie odpowiedzieliśmy: „Tak!"

Podniosła oczy i uroczyście oświadczyła, że poświęci się temu zadaniu gorliwie i wiernie. Że nigdy się w niem nie zachwieje, nigdy się od niego nie oderwie, nigdy go nie porzuci, dopóki istnieć będzie cień nadziei. Że, gdyby miała mu się sprzeniewierzyć i stracić go, ów nowy cel życia, wiodący ku dobremu — popadłaby w otchłań niedoli i rozpaczy, chyba gorszą jeszcze niż dzisiejszej nocy tam, nad brzegiem rzeki; a wtedy niech wszelka pomoc, ludzka czy boska, opuści ją na wieki!

Nie podniosła głosu ponad szept, nie zwracała się do nas, ale mówiła to temu nocnemu niebu nad nami; a potem stała w głębokim spokoju, zapatrzona w ciemny nurt wody.

Uważaliśmy teraz, że należy jej powiedzieć to wszystko, co wiedzieliśmy sami, i ja jej to szczegółowo opowiedziałem. Słuchała bardzo uważnie z zmiennym wyrazem na twarzy, na której się jednak czytało ten sam stanowczy zamiar. Oczy jej chwilami zachodziły łzami, lecz powstrzymywała je natychmiast. Jakby się w niej odmieniła dusza, taki bezwzględny spokój wstąpił w nią.

Gdy już wszystko opowiedziałem, zapytała, gdzie w danym razie mogłaby nas odnaleźć. Pod ciemną lampą na ulicy wypisałem nasze dwa adresy na kartce, wydartej z notatnika i wręczyłem jej, a ona wsunęła karteczkę za stanik. Zapytałem zarazem, gdzie sama mieszka. Po chwili milczenia odpowiedziała, że nigdzie nie mieszka długo. Może lepiej nie wiedzieć, gdzie.

Ponieważ pan Peggotty poddał mi to szeptem, co zresztą i mnie samemu na myśl przyszło, wyciągnąłem sakiewkę; nie mogłem jednak nakłonić Marty do przyjęcia pieniędzy, ani zdobyć od niej przyrzeczenia, że przyjmie je

innym razem. Tłomaczyłem jej, że pana Peggotty nie można nazwać, jak kogoś jego stanu, biednym i że przykro nam obydwom pomyśleć, że miałaby rozpocząć te poszukiwania, polegając na własnych tylko środkach. Nie dała się wzruszyć. W tej sprawie wpływ pana Peggotty równie był bezsilny, jak mój. Podziękowała mu z wdzięcznością, ale nie dała się uprosić.

„Może będę mogła dostać robotę. Spróbuję“, rzekła.

„Przynajmniej przyjmij jakąś pomoc“, odpowiedziałem, „aż ci się coś uda znaleźć“.

„Nie mogłabym zrobić tego, co przyrzekłam, za pieniądze“, odparła. „Choćbym miała z głodu umierać, tych pieniędzy przyjąć bym nie mogła. Dać mi pieniądze, to znaczyłoby odebrać mi wasze zaufanie, odebrać cel, który mi daliście, jedyną pewną obronę, która chroni mnie przed rzeką“.

„W imię Boga wszechmogącego, przed którym kiedyś wszyscy staniemy, porzuć tę myśl okropną!“ rzekłem. „Każdy z nas może coś dobrego zdziałać, jeżeli tylko chce!“

Zadrżała, drgnęły jej wargi, twarz jej pobladła jeszcze bardziej i odpowiedziała: „Może Bóg natchnął serca wasze dla ocalenia nieszczęsnej istoty, ażeby mogła pokutować. Lękam się w to uwierzyć; zbyt śmiałem się to wydaje. Gdybym się na coś dobrego zdać mogła, możebym zaczęła mieć nadzieję, bo dotąd tylko zło powstawało z mych uczynków. Po raz pierwszy od bardzo dawna nędznemu mojemu życiu dane jest zaufanie przez ten przez was mi powierzony cel. Więcej nic nie wiem i nic powiedzieć nie mogę“.

Znów siłą powstrzymała łzy, cisnące się do oczu, wyciągnęła drżącą rękę, dotknęła Peggottyego, jakby w nim była jakaś moc uzdrawiająca, i poszła pustą drogą. Była widocznie chorą, może oddawna. Zauważyłem, gdyż mogłem się jej bliżej przypatrzeć, że wychudła była i wynędzniała i że w zapadłych jej oczach malowała się nędza i cierpienie.

Szliśmy za nią w nieznacznem oddaleniu — gdyż droga nasza wiodła w tym samym kierunku — aż do oświetlonych, ludnych ulic. Miałem do niej tak bezwzględne zaufanie po tem, co oświadczyła, że w tem miejscu zrobiłem panu Peggotty uwagę, iż może się jej to wydać niedowierzaniem od samego początku, jeżeli będziemy ją śledzić dalej. Ponieważ był tego samego zdania i równie na niej polegał, pozwoliliśmy jej iść swoją drogą, a sami poszliśmy ku Highgate. Pan Peggotty odprowadził mnie dość daleko, a gdyśmy się rozstawali z życzeniami powodzenia tej nowej próby, wyczytałem w jego twarzy wyraz zadumy i współczucia, które bez trudu wyjaśniłem sobie.

Była już północ, gdy dochodziłem do domu. Stanąłem przed naszą furtką i słuchałem głębokiego tonu zegara św. Pawła, którego dźwięk dolatywał mnie wśród mnogości innych bijących zegarów, — gdy uderzyło mnie, że drzwi domku mojej ciotki były otwarte i że słabe światło padało na ulicę z jej przedpokoju.

Przypuszczając, że ciotka może znów uległa jakiemuś napadowi dawnych swoich strachów i że śledzi gdzieś w odległości jakiś nieistniejący pożar, zaszedłem, żeby z nią pomówić. Z największem zdziwieniem ujrzałem w jej małym ogródku postać mężczyzny.

Trzymał w ręku szklankę i butelkę i właśnie pił w tej chwili. Przystanąłem wśród gęstych liściastych krzewów, gdyż księżyc był wzeszedł, choć nie nazbyt jasny, i poznałem tego mężczyznę, którego niegdyś brałem za przywidzenie pana Dicka, a później spotkałem z ciotką moją na ulicach miasta.

Jadł on nietylko pił, a zdawał się jeść z apetytem głodnego człowieka. Ciekawie też przyglądał się domkowi, jak gdyby widział go pierwszy raz. Nachyliwszy się, by butelkę postawić na ziemi, wyprostował się, patrzył na okna i rozglądał się; ale czynił to ukradkiem i niecierpliwie, jak gdyby pilno mu było odejść.

Światło w sionce przyćmił przelotny cień i ciotka moja wyszła. Cała była poruszona a człowiekowi temu wsunęła jakieś pieniądze do ręki. Słyszałem, jak zadźwięczały.

„Na co mi się to przyda?“ zapytał.

„Nie mogę więcej dać“, odpowiedziała ciotka.

„W takim razie ja nie mogę iść“, odparł tamten. „Masz! Zabierz to sobie!“

„Ty niedobry człowieku“, odpowiedziała ciotka z wielkiem wzruszeniem; „jak możesz tak ze mną postępować? Ale pocóż ja pytam? To przecież dlatego, że wiesz, jaka jestem słaba! Cóż ja mam zrobić, żeby się uwolnić od twoich odwiedzin — chyba będę musiała dać ci odcierpieć następstwa twych win?“

„A dlaczego nie dajesz mi odcierpieć następstw twych win?“ zapytał.

„I ty mnie pytasz, dlaczego?“ podjęła moja ciotka. „O, czyż ty masz choć odrobinę serca!“

Stał nachmurzony, brząkał pieniędzmi, potrząsał głową, aż nareszcie powiedział: „A więc to wszystko, co mi chcesz dać?“

„To jest wszystko, co ci mogę dać“, odparła ciotka. „Ty wiesz, że miałam straty i że biedniejsza jestem teraz, niż dawniej. Już ci to powiedziałam. Gdy dostałeś pieniądze,

dlaczego jeszcze sprawiasz mi tę przykrość, że nie schodzisz mi natychmiast z oczu, ale każesz mi patrzeć na siebie, takiego, jakim się stałeś?

„Stałem się obdartusem, to prawda, jeżeli to chcesz powiedzieć“, odpowiedział. „Prowadzę życie nocnego ptaka“.

„Wyciągnąłeś ze mnie większą część tego, co miałam“, mówiła moja ciotka. „Na lata całe zamknąłeś moje serce dla ludzi. Zdradziecko, niewdzięcznie, okrutnie obszedłeś się ze mną. Idź i żałuj tego. Nie dodawaj nowych krzywd do tych wielu, wielu, które mi wyrządziłeś!“

„No tak!“ odpowiedział. „To wszystko bardzo pięknie!... Ha, trudno!... Muszę z tem zrobić tymczasem, co się da!“

Choć nadrabiał miną, widać było, że go zawstydziły oburzeniem zaprawne łzy ciotki i wyszedł chwiejnym krokiem z ogrodu. Idąc szybko, jak gdybym w tej chwili nadszedł, zetknąłem się z nim w bramie i wszedłem w chwili, gdy on wychodził. Mijając się, popatrzyliśmy na siebie zbliska, ale bez sympatji.

„Ciociu“, rzuciłem spiesznie. „Znów niepokoi ciebie ten człowiek. Pozwól, niech z nim pomówię. Kto to jest?“

„Dziecko“, odpowiedziała ciotka, biorąc mnie pod ramię, „wejdź do pokoju i nie mów do mnie przez dziesięć minut“.

Usiedliśmy w jej małej bawialni. Ciotka ukryła się za zielonym wachlarzem z dawnych czasów, przytwierdzonym teraz do oparcia krzesła, raz po raz wycierała oczy i tak trwało to z kwadrans. Potem wyszła stamtąd i zajęła miejsce przy mnie.

„Trotku“, powiedziała spokojnie, „to jest mój mąż“.

„Twój mąż, ciociu? A ja myślałem, że on umarł!“

„Dla mnie umarł“, odpowiedziała, „ale on żyje“

Milczałem zdumiony.

„Betsey Trotwood nie wygląda na ofiarę sentymentalnych zapałów“, mówiła ciotka moja spokojnie, „był jednak taki czas, Trotku, że wierzyła w tego człowieka bez zastrzeżeń i kochała go, Trotku, bardzo serdecznie. Nie było dowodów przywiązania i miłości, którychby mu nie była dała. Odpłacił jej się, niszcząc jej majątek i raniąc głęboko jej serce. To też złożyła wszelki sentyment raz na zawsze do grobu, zasypała go i przydeptała“.

„Moja droga, dobra ciociu!“

„Porzuciłam go wspaniałomyślnie“, mówiła dalej moja ciotka, kładąc, jak zwykle, rękę swą na mojej; „z tej odległości czasu, Trotku, mogę powiedzieć, że porzuciłam go wspaniałomyślnie. Był względem mnie tak okrutny, że mogłam była uzyskać separację na korzystnych dla siebie warunkach; ja tego jednak nie uczyniłam. On zaś niebawem przetracił to, co mu dałam, upadał coraz niżej i niżej, ożenił się, zdaje się, z inną, stał się awanturnikiem, karciarzem, oszustem. Czem jest dzisiaj, sam widzisz. Ale piękny to był mężczyzna, gdy wychodziłam za niego“, w tonie mej ciotki zabrzmiało echo dawnej jej dumy i podziwu, „i ja wierzyłam... jaka ja byłam głupia!... że był do głębi duszy człowiekiem honoru!“

Uścisnęła mi rękę i potrząsnęła głową.

„Dla mnie jest on dzisiaj niczem, Trotku, mniej niż niczem. Nie chcąc jednakże, by dosięgła go kara za jego przewinienia (co stałoby się, gdyby się po kraju kręcił), daję mu, ile razy się ukaże, więcej pieniędzy, niż właściwie mogę, byle tylko uszedł tego. Głupia byłam, wychodząc za niego i tak dalece nieuleczalnie głupia jestem w tej sprawie i teraz, że przez pamięć tego, za co go niegdyś miałam, nie chciałabym, by surowo obejść się miano z tym cieniem choćby mojego złudzenia. Gdyż, Trotku, ja go doprawdy kochałam“.

Ciotka moja zamknęła te słowa ciężkiem westchnieniem i wygładziła na sobie suknię.

„Ot widzisz, mój kochany!“ rzekła. „Teraz znasz początek, środek i koniec oraz wszystko, co tam do tego należy. Nie będziemy tego przedmiotu między sobą poruszali, ani też, naturalnie, nie wspomnisz o tem nikomu. Tak wygląda moja niewesoła i nieciekawa historja, ale my to zatrzymamy, Trotku, przy sobie!“

Rozdział czterdziesty ósmy.

Sprawy domowe.

Pracowałem usilnie nad moją książką, obok tego punktualnie wypełniając moje dziennikarskie obowiązki; książka wyszła i miała duże powodzenie. Nie olśniły mnie pochwały, dochodzące moich uszu, choć byłem na nie wrażliwy i choć niewątpliwie sam korzystniej oceniałem własne dzieło, niż ktokolwiek inny. Uważałem zawsze, że człowiek, mający słuszne dane do wierzenia w siebie, nigdy się nie pyszni przed drugimi, by tym sposobem zdobyć wiarę w siebie. Z tego powodu pozostałem skromnym, właśnie przez szacunek dla samego siebie — i im więcej otrzymywałem pochwał, tem bardziej starałem się na nie zasługiwać.

Nie zamierzam w tem opowiadaniu, choć pod innemi względami jest ono moim pamiętnikiem, ciągnąć dalej dziejów moich utworów. Mówią za siebie same, zostawiam je więc własnemu losowi. Jeżeli o nich okolicznościowo wspominam, to tylko jako o cząstce ogólnego mojego postępu.

Mając w tym czasie podstawy do wierzenia, że wrodzone zdolności oraz przypadek stworzyły ze mnie pisarza, oddałem się zawodowi temu z ufnością. Bez tej pewności byłbym go niezawodnie porzucił i skierował energję moją ku jakiemu innemu przedsięwzięciu. Byłbym się starał odkryć, do czego rzeczywiście przeznaczają mnie wrodzone zdolności i przypadek, i byłbym się starał być tem i tem tylko.

Literackie moje zarobki w dzienniku i gdzieindziej okazały się tak korzystnemi, że, dodawszy do tego nowe powodzenie mojej książki, poczułem się zupełnie słusznie w prawie pozwolić sobie na porzucenie tych okropnych debat. To też pewnego radosnego wieczora po raz ostatni spisałem muzykę dud parlamentarnych i odtąd nigdy ich już nie słuchałem — chociaż zawsze jeszcze rozpoznaję w gazetach stare ich dudnienie bez żadnej istotnej zmiany (chyba o tyle, że może jest tego więcej) przez cały ciąg trwania sesji.

Piszę teraz o tym okresie, gdy już od roku czy półtora byłem żonaty. Po szeregu rozmaitych doświadczeń, daliśmy pokój gospodarowaniu, uważając to za kiepski interes. Gospodarstwo szło sobie samo, my zaś przyjęliśmy lokajczyka. Głównem zajęciem tego obywatela była bezustanna wojna z kucharką; w tym względzie zupełnie przypominam Whittingtona*), bez kota jednakże i bez żadnej szansy zostania Lordem Majorem.

Żył, jak go jeszcze widzę, pod nieustannym gradem pokrywek od rondli i garnków. Guzy i szturchańce, to był jego stały los. Ni stąd ni zowąd wrzeszczał gwałtu w najnieodpowiedniejszych porach — np. gdyśmy mieli mały proszony obiadek albo kilku przyjaciół u siebie wieczorem — i wypadał z kuchni, a za nim leciały żelazne pociski. Chcieliśmy się go pozbyć, ale bardzo był do nas przywiązany i nie chciał odejść. Płaczliwy był to chłopak i wybuchał tak rozpaczliwym lamentem przy najlżejszej wzmiance o zerwaniu naszych stosunków, że musieliśmy go trzymać. Nie miał matki, ani też żadnych krewnych jego odkryć nie mogłem; miał tylko jedną siostrę, która uciekła do Ameryki z chwilą gdy spadł jej z głowy przez to, że my wzięliśmy go do siebie; i tak zakwaterował się u nas ten okropny mały podrzutek. Trzeba przyznać, że miał żywe poczucie niefortunnego swego losu i stale tarł oczy rękawem od kurtki albo nachylał się, by wytrzeć nos w koniuszek małej chusteczki, której nigdy nie wyciągał całkowicie z kieszeni, ale ją zawsze oszczędzał i chował.

Ten nieszczęsny chłopak, przyjęty w złą godzinę za sześć funtów i dziesięć szylingów na rok, był dla mnie

*) Ryszard Whittington, w piętnastym wieku Lord Mayor (burmistrz) Londynu, opiewany w balladach.

źródłem nieustannego niepokoju. Patrzyłem, jak rośnie — a rósł, jak czerwona fasola — i z trwogą myślałem o chwili, gdy zacznie się golić, a nawet o tej, gdy wyłysieje albo posiwieje. Nie widziałem żadnej możliwości pozbycia się go a przenosząc się myślą w daleką przyszłość, wyobrażałem sobie, co za niemożliwy będzie z niego starzec.

Nigdy nie byłbym przypuścił, że w taki sposób ten nieszczęsny chłopak uwolni mnie od swej osoby. Oto ukradł zegarek Dory, który, jak wszystka inna nasza własność, nie miał swego właściwego miejsca — a sprzedawszy go, przejeździł pieniądze (słabym na umyśle był zawsze), jeżdżąc bezustannie tam i z powrotem na dachu omnibusu pomiędzy Londynem i Uxbridge. Przy końcu, o ile pamiętam, piętnastej tury został zaprowadzony na policję, a wtedy znaleziono przy nim cztery i pół szylinga i używaną piszczałkę, na której nie umiał grać.

Ta niespodzianka i jej następstwa, wszystko to nie byłoby było dla mnie tak nieprzyjemne, gdyby nieborak nie był tak bardzo skruszony. Był jednak mocno skruszony i to w dość szczególny sposób — bo nie hurtownie, ale na raty. I tak naprzykład: na drugi dzień po tem, gdy musiałem stawać przeciw niemu w sądzie, uczynił pewne zeznanie co do paki w piwnicy, która, jak sądziliśmy, pełna była wina, zawierała jednak tylko butelki i korki. Myśleliśmy, że już sobie ulżył i powiedział, co najgorszego wie o kucharce: tymczasem, w jakiś dzień czy dwa później, uległ nowym wyrzutom sumienia i wyznał, że ma ona córeczkę, która codziennie wcześnie rano zabiera nasz chleb — nadto, że on sam został przekupiony, by zatrzymywać mleczarza w komórce na węgle. W dwa czy trzy dni później uwiadomiły mnie władze, że doprowadził do odkrycia nerkówki wołowej w koszyku na jarzyny i prześcieradeł w worku z gałganami. Niedługo potem uderzył w zupełnie nowym kierunku i wyznał, że wie o zamiarach włamania się do naszego mieszkania ze strony chłopca z szynkowni, którego też natychmiast ujęto. Tak się wstydziłem, żem tyle razy dał się wywieść w pole, że byłbym mu chętnie nie wiem ile zapłacił, byle milczał, albo dałbym był okrągłą sumkę temu, coby mu pozwolił uciec. Pogarszało jeszcze sprawę to, że nie miał on o tem najmniejszego pojęcia, ale wyobrażał sobie, że każde nowe odkrycie jest aktem zadośćuczynienia względem mnie i że mnie tym sposobem przeprasza, a pozatem zobowiązuje.

Skończyło się na tem, że ja sam uciekałem, ile razy zobaczyłem wysłańca policji, idącego z nową jakąś wiadomością, i że kryłem się, dopóki nie został postawiony przed sąd i skazany na zesłanie. Jeszcze i wtedy nie uspokoił się, ale wciąż do nas pisywał listy a tak bardzo pragnął zobaczyć

Dorę, zanim go wywiozą, że Dora poszła go odwiedzić i zemdlała, znalazłszy się za żelazną kratą. Jednem słowem, nie zaznałem spokoju, dopóki nie wywieziono go i nie zrobiono z niego (jak się później dowiedziałem) pastucha gdzieś „w głębi kraju"; nie mam geograficznego pojęcia o tem, gdzie to być mogło.

Wszystko to kazało mi poważnie pomyśleć i przedstawiło mi błędy nasze w zupełnie nowem świetle; czułem się zniewolony pomówić o tem z Dorą pewnego wieczora, pomimo moich tkliwych dla niej uczuć.

„Kochanie", zacząłem, „bardzo mi przykro, gdy pomyślę, że nasz brak systematyczności i gospodarności nie tylko nam samym (myśmy się do tego już przyzwyczaili), ale i innym ludziom przynosi krzywdę".

„Długi czas nic nie mówiłeś, a teraz znów się będziesz gniewał!" odpowiedziała Dora.

„Nie, moja droga, doprawdy! Pozwól, niech ci wytłumaczę, o co mi idzie".

„Kiedy ja wolę nie wiedzieć", odpowiedziała Dora.

„Ale ja pragnę, żebyś wiedziała, kochanie. Puść Jipa na ziemię!"

Dora przytknęła nos Jipa do mojego i zawołała: „Puk!", żeby rozśmieszyć moją powagę; ponieważ jej się to jednak nie udało, kazała mu pójść do pagody i siadła, patrząc na mnie, ze złożonemi rękami i zrezygnowanym wyrazem twarzyczki.

„Faktem jest, moja droga", zacząłem, „że jesteśmy tknięci zarazą. Zakażamy wszystkich dokoła siebie".

Byłbym mógł mówić dalej w ten symboliczny sposób, gdyby mnie nie ostrzegła twarz Dory, wyrażająca najwyższe zaciekawienie, czy może zamyślam zaproponować jakieś nowe szczepienie ochronne czy jakie lekartswo na ten niepomyślny zdrowotny nasz stan. To też pohamowałem się i myśl moją wypowiedziałem prościej.

„Bo to nietylko, złoto moje", rzekłem, „tracimy pieniądze i spokój, a czasem nawet cierpliwość przez to, że nie możemy się nauczyć większej dbałości, ale ściągamy na siebie nawet surową odpowiedzialność przez to, że psujemy każdego, kto do nas wstępuje na służbę lub wogóle ma z nami do czynienia. Zaczynam się lękać, że wina nie jest całkowicie jednostronna, ale że wszyscy ci ludzie postępują źle, ponieważ my sami nie postępujemy dobrze".

„Och, co za oskarżenie", zawołała Dora, szeroko otwierając oczy, „powiedzieć, żeś widział, jak ja kradłam złote zegarki! Och!"

„Najdroższa", zaprzeczyłem, „nie gadajże takich niemożliwych nonsensów! Komuż przez myśl przeszło mówić o złotych zegarkach?"

„Tobie", odpowiedziała Dora. „Wiesz przecież, że sam to powiedziałeś. Powiedziałeś, że ja nie postępuję dobrze i porównałeś mnie do niego".

„Do kogo?" zapytałem.

„No, do tego chłopca", łkała Dora. „O, ty, okrutny człowieku, porównywać kochającą żonę do zesłanego lokajczyka! Dlaczego ty mi nie powiedziałeś, co o mnie myślisz, przed ślubem? Dlaczego nie powiedziałeś, ty niedobry, bez serca, że jesteś przekonany, iż jestem gorsza od chłopca, skazanego na zesłanie? Och, żeby mieć o mnie takie okropne pojęcie! Och, ja biedna!"

„Ależ Doro, kochanie moje", odpowiedziałem, łagodnie starając się odsunąć chusteczkę, którą cisnęła do oczu, „to, co ty wygadujesz, to nietylko śmieszne, ale bardzo niesłuszne. Przedewszystkiem, to nieprawda".

„Ty zawsze mówiłeś, że z niego kłamczuch", łkała Dora, „a teraz mówisz to samo o mnie! O, co ja pocznę! Co ja pocznę!"

„Moje dziecko ukochane", odpowiedziałem, „ja cię rzeczywiście muszę prosić, żebyś chciała słuchać tego, co ci powiedziałem i co ci chcę powiedzieć. Dopóki nie nauczymy się spełniać naszego obowiązku względem tych, co u nas służą, oni się też nigdy nie nauczą spełniać obowiązków swoich względem nas. My dajemy ludziom sposobność do czynienia źle, a to być nie powinno. Nawet gdybyśmy byli umyślnie tak we wszystkiem niedbali, jakimi jesteśmy — a przecież tak nie jest — nawet, gdybyśmy to lubili i uważali, że nam to sprawia przyjemność — a tak przecież nie jest — jestem przekonany, że nie mieliśmy prawa dalej tak postępować. Stanowczo, my ludzi psujemy. Musimy o tem pomyśleć. Ja muszę o tem myśleć, Doro, nie mogę nie myśleć. Tej myśli nie mogę odpędzić i niekiedy bardzo mi z tem niedobrze. Otóż, kochana moja, to wszystko. No dalej, nie bądźże dziecinna!"

Dora czas dłuższy broniła mi odjęcia chusteczki. Łkała i mruczała za chusteczką, że, jeżeli mi niedobrze, to po co się wogóle żeniłem? Czemu nie powiedziałem, choćby w wilię dnia ślubu, że wiem, iż będzie mi niedobrze, i że może lepiej nie...? A jeżeli jej znieść nie mogę, to czemu jej nie odeślę do ciotek do Putney, albo do Julji Mills do Indji? Julja by ją rada widziała i nie nazwałaby jej zesłanym lokajczykiem; Julja nie nazywała jej nigdy czemś podobnem. Jednem słowem, Dora była tak zmartwiona i tak mnie tem zmartwiła, że zrozumiałem, iż na nic się nie zda powtarzać, choćby najłagodniej, tego rodzaju próby i że muszę znaleźć jakąś inną drogę.

Jakaż inna pozostała mi droga? „Kształcić jej umysł?" Jest to zwykły frazes, brzmiący pięknie i obiecująco — postanowiłem przeto kształcić umysł Dory.

Zabrałem się do tego odrazu. Jeżeli się Dora dziecinnie rozbawiła, to chociaż byłbym nieskończenie chętniej pobłażał jej w tem, starałem się właśnie być poważny — i odbierałem humor jej, a i sobie także. Mówiłem do niej o przedmiotach, zajmujących moje myśli, nawet jej czytywałem Szekspira — i zamęczałem ją do ostatecznych granic. Przyzwyczaiłem się dawać jej, nibyto zupełnie mimochodem i przy sposobności, drobne okruchy pożytecznej wiedzy lub zdrowych przekonań — ale ile razy zrobiłem coś takiego, ona odskakiwała, jak gdyby w trzaskającym karmelku wypalił kapiszon. I wszystko jedno, czy to przygodnie czy też otwarcie starałem się kształcić umysł mojej żoneczki, widziałem zawsze, że ona instynktowo przeczuwa, do czego zmierzam i ulega najokropniejszej trwodze. W szczególności Szekspira, było mi jasne, uważała za strasznego człowieka, Kształcenie szło bardzo powoli.

Wciągnąłem w grę Traddlesa bez jego wiedzy, i ile razy do nas przychodził, o niego rozbijałem moje granaty dla zbudowania Dory drogą uboczną. Zapas wiedzy, wysypywanej w ten sposób na Traddlesa był olbrzymi i to w najlepszym gatunku — skutek jednak, co się Dory tyczy, był tylko ten, że to ją przygnębiało i wprawiało w nerwowy lęk, że za chwilę przyjdzie na nią kolej. Przekonałem się, że znalazłem się w roli belfra, w roli zastawionej łapki; że zawsze bawię się w pająka, podczas gdy Dora jest muchą i że zawsze wyskakuję z mojej dziury, strasząc ją najokropniej.

Pomimo to, sięgając myślą w przyszłość poza ten czas przejściowy, wyobrażając sobie, jak to będzie, gdy pomiędzy mną a Dorą zapanuje doskonała harmonja i gdy jej umysł ukształcę ku zupełnemu swemu zadowoleniu — trwałem w swojem przez okres całych miesięcy. Przekonawszy się jednak, że mimo iż przez cały ten czas byłem na wszystkie strony najeżony kolcami moich postanowień, nie osięgnąłem przecież żadnego rezultatu — zacząłem przypuszczać, że może umysł Dory jest już na swój sposób dojrzały i ukształcony.

Po bliższem zastanowieniu wydało mi się to tak prawdopodobne, że porzuciłem zamiar, bardziej obiecujący w słowach, niż owocny w czynie, i postanowiłem odtąd zadowolić się tem dzieckiem - żoną, nie usiłując żadnemi zabiegami zmieniać ją w coś innego. Byłem prawdziwie znużony tą rolą mędrca i przezornisia wobec mojego udręczonego biedactwa; kupiłem więc parę ładnych kolczyków dla niej i obróżkę dla Jipa i powróciłem pewnego dnia do domu, popostanawiając być przyjemnym.

Dora była uszczęśliwiona podarkami i ucałowała mnie radośnie: pozostał jednak jakiś cień między nami, drobny coprawda, ja zaś osądziłem, że tam cień ten być nie powinien. Jeśli cień jakiś ma wogóle już być, to go w przyszłości skryję w własnem sercu.

Siadłem więc przy mojej żonie na kanapce i założyłem jej w uszy kolczyki, a potem powiedziałem jej, że w ostatnich czasach może nam mniej dobrze było ze sobą, jak dawniej i że winien temu byłem ja. A czułem to szczerze i tak też w istocie i było.

„Bo coprawda, to prawda, Doro, moje życie", rzekłem, „próbowałem być mądrym".

„I mnie próbowałeś zrobić mądrą także", nieśmiało odpowiedziała Dora. „Czy nie prawda, Doady?"

Odpowiedziałem kiwnięciem na ładne pytające podniesienie brwi i ucałowałem rozchylone usteczka.

„To się na nic, ale to na nic nie przyda", powiedziała potrząsając główką, aż zabrzęczały kolczyki. „Ty wiesz przecież, jakie ze mnie małe stworzenie i o jaką ja ciebie nazwę dla siebie od początku prosiłam. Jeżeli tego nie potrafisz, obawiam się, że mnie nigdy lubić nie będziesz. Czy ty czasami nie myślisz, że byłoby lepiej..."

„Co takiego, moja droga?" gdyż urwała i nie mówiła dalej.

„Nic!" odpowiedziała.

„Nic?" powtórzyłem.

Objęła mnie za szyję i śmiała się, nazwała się osiołkiem, jak to lubiła i ukryła mi twarz na ramieniu w takiej obfitości loków, że było to nielada zadanie usunąć je i zobaczyć twarzyczkę.

„Czy ja nie myślę, że byłoby było lepiej nic nie robić, zamiast starać się wykształcić umysł mojej małej żoneczki?" rzekłem, sam się z siebie śmiejąc. „Czy tak miało brzmieć pytanie? Tak, to prawda, sam to myślę".

„Toś ty to próbował zrobić?" zawoła Dora. „O, co za szkaradny chłopak!"

„Ale już nigdy więcej nie będę próbować", zapewniłem, „gdyż kocham ją serdecznie taką, jaką jest!"

„Nie żartujesz... doprawdy?" dopytywała Dora, przysuwając się bliżej do mnie.

„Dlaczegóż miałbym chcieć zmieniać to", rzekłem, „co mi było drogie tak długo? Nie możesz przedstawić się korzystniej, jak będąc taką, jaką jesteś, moja miła Doro; nie będziemy więc zarozumiale próbowali mądrych doświadczeń, ale będziemy ze sobą po staremu, tak jak to dawniej było, i będziemy szczęśliwi!"

„I będziemy szczęśliwi!" odpowiedziała Dora. „Tak! Od rana do wieczora! I ty nie będziesz się gniewał, jeżeli

tam coś tak troszeczkę niezupełnie dobrze pójdzie, czasami?"

„Nie, nie", odpowiedziałem. „Musimy sobie jakoś radzić!"

„I nie powiesz mi już nigdy, że psujemy innych ludzi", droczyła się Dora, „nie powiesz tego, nie? Bo, wiesz, to tak strasznie brzydko!"

„Nie, nie", odpowiedziałem.

„Przecież już chyba lepiej, żebym ja była głupiutka, jak nieszczęśliwa, powiedz?" pytała Dora.

„Lepiej ci być poprostu Dorą niż czemkolwiek innem w świecie".

„W świecie! Ach Doady, świat to coś tak wielkiego!"

Potrząsnęła głową, uszczęśliwiona, jasne oczy zwróciła ku moim, pocałowała mnie, roześmiała się wesoło i skoczyła założyć Jipowi nową obróżkę.

Tak zakończyła się moja ostatnia próba zmienienia czegokolwiek w Dorze. Byłem nieszczęśliwy, przedsiębiorąc tę próbę; nie mogłem znieść mojej własnej niepodzielanej mądrości i nie mogłem tego pogodzić z ufną jej prośbą niegdyś, bym o niej myślał, jak o dziecku-żonie. Postanowiłem robić spokojnie sam, co w mojej mocy, dla poprawienia naszych domowych stosunków; przewidywałem jednak, że w najlepszym razie będzie to bardzo niewiele, albo będę musiał przerodzić się znowu w pająka i wiecznie czyhać w zasadzce.

A ten cień, o którym wspomniałem, cień którego nie miało już nigdy być między nami, a który miał całkowicie spocząć w mojem sercu? Gdzie padał ten cień?

Dawne uczucie smętku i tęsknoty przenikało moje życie. Pogłębiło się, o ile uległo zmianie, ale było tak nieokreślone, jak zawsze, i dochodziło mej świadomości jak nuta smutnej muzyki, słabo słyszanej w nocy. Kochałem moją żonę serdecznie i byłem szczęśliwy; ale to szczęście, które niegdyś niejasno przewidywałem, nie było tem szczęściem, które się stało moim udziałem i zawsze niedostawało mi czegoś.

Spełniając zobowiązanie względem samego siebie, że w tych zapiskach odbijać będę duszę moją, badam ją znów dokładnie i tajemnice jej wyciągam na jaw. To, czego mi brakowało, uważałem wciąż jeszcze — uważałem zawsze — za coś, co było marzeniem młodzieńczej wyobraźni, za coś co się ziścić nie mogło; o czem przekonywałem się teraz, naturalnie, cierpiąc trochę, tak jak wszyscy ludzie. Ale że lepiejby dla mnie było, gdyby moja żona mogła mi być więcej pomocną, gdyby mogła podzielać ze mną te myśli, których nie miałem z kim dzielić, i że to mogło było być — to wiedziałem.

Pomiędzy temi dwoma sprzecznemi wnioskami: jednym, że to, co czułem, było ogólnem i nieuniknionem, a drugim, że to było tylko osobistą moją sprawą i mogło było być inaczej — dziwnie się wahałem, nie widząc wyraźnie, że jeden sprzeciwia się drugiemu. Myśląc o lotnych marzeniach młodości, nie dających się urzeczywistnić, myślałem o owym szczęśliwym okresie, poprzedzającym wiek męski, okresie, który już został poza mną. I wtedy jasne dni, spędzane z Agnieszką w kochanym starym domu, jawiły się przede mną, jak widma umarłych, co to mogą odżyć w drugim świecie, ale już nigdy nie odżyją tutaj.

Niekiedy w myślach moich pojawiało się pytanie: co mogło się było stać, albo coby się było stało, gdybyśmy się byli nigdy nie poznali z Dorą? Jednakże Dora była tak dalece cząstką mej istności, że było to tylko czcze przypuszczenie, ginące mi zaraz z przed oczu, a tak niedosiężne i nieuchwytne, jak unosząca się w powietrzu nitka pajęczyny.

Kochałem Dorę zawsze. To, co tutaj opisuję, drzemało, budziło się nawpół i znów zasypiało w najgłębszych tajnikach mej duszy. Nie uzewnętrzniało się to we mnie; żadnego wpływu nie miało na moje czyny lub słowa. Dźwigałem sam jeden cały ciężar naszych drobnych kłopotów i moich zamiarów. Dora piastowała pióra; i oboje czuliśmy, że każde z nas ma swój udział, stosownie do sił i do potrzeby.

„Pierwszy ślepy poryw nieopanowanej uczuciowości". Te słowa pani Strong stale przychodziły mi na myśl w tym czasie. Budziłem się często, słysząc je niejako, nocą; przypominam sobie, że nawet przez sen czytałem je, wypisane na murach domów. Wiedziałem bowiem teraz, że moje serce było nieopanowane, gdy z początku zakochałem się w Dorze — i że gdyby było opanowane, nigdy nie byłoby czuło po naszym ślubie tego, co czuło w tajemnych swych krużgankach.

„Nie może być gorszej nierówności w małżeństwie, jak niedostosowanie się duchowe i rozbieżność dążeń". I te słowa pamiętałem również. Starałem się dostosować Dorę do siebie i przekonałem się, że tego się wykonać nie da. Pozostało mi więc dostosować się do Dory, podzielać z nią, co będę mógł, i być szczęśliwym; dźwigać na własnych barkach to, co będę musiał, i jeszcze zawsze być szczęśliwym. W ten sposób starałem się opanować moje serce, z chwilą gdy zacząłem myśleć. To sprawiało, że mój drugi rok małżeński o wiele był szczęśliwszy, niż pierwszy; a co ważniejsze, to sprawiło, że życie Dory stało się jednym dniem pełnym słońca.

Jednakże, w miarę, jak ten rok upływał, Dora traciła na siłach. Miałem nadzieję, że delikatniejsze rączki od moich

dopomogą do ukształtowania jej charakteru i że uśmiech dziecięcia na jej piersi przedzierżgnie tę dziecko-żonę w kobietę. Jednakże nie było to sądzonem. Duch zatrzepotał na chwilę na progu swego małego więzienia i nieświadomy niewoli uleciał.

„Jak tylko będę mogła znowu biegać, tak jak dawniej, ciociu", mówiła Dora, „urządzę Jipowi wyścigi. Taki się robi powolny i leniwy".

„Podejrzewam, moja droga", odparła ciotka, spokojnie robiąc robotę przy jej boku, „że on ma gorszą od tego przywarę. Wiek, Doro!"

„Myśli ciocia, że on jest stary?" odpowiedziała Dora zdziwiona. „O, jak to dziwnie brzmi, że Jip miałby być stary!"

„Jest to choroba, której wszyscy podlegamy, malutka, w miarę jak życie upływa", pogodnie zapewniała ciotka; „i ja, zapewniam cię, nie czuję się od niej wolniejszą, niż dawniej".

„Ale Jip", mówiła Dora, patrząc na niego z współczuciem, „nawet mały Jip! Och, biedaczek!"

„Spodziewam się, że jeszcze długo pożyje, Kwiatuszku", rzekła ciotka, głaszcząc policzek Dory, która wychyliła się z posłania, żeby popatrzeć na Jipa; ten w odpowiedzi stanął na tylnych łapkach i silił się astmatycznie wgramolić się głową i nogami na kanapę. „Trzeba mu będzie dać na zimę kawał flaneli do jego domku; wcalebym się nie zdziwiła, gdyby wyszedł z niego zdrów i świeży razem z kwiatami na wiosnę. A cóż to za śmieszna psina!" zawołała ciotka. „Gdyby miał żyć sto lat, do ostatniego tchu nie przestałby szczekać na mnie!"

Dora wyciągnęła go na kanapę; tam istotnie stawiał ciotce czoło z taką furją, że nie mógł uleżeć prosto, a od szczekania aż na bok się przewrócił. Im więcej ciotka na niego patrzyła, tem więcej na nią ujadał — ciotka bowiem ostatnimi czasami sprawiła sobie okulary, a dla niezbadanych powodów Jip uważał szkła za osobistą obrazę.

Dora długiemi namowami nakłoniła go, że się przy niej położył, a gdy się uspokoił, jedno długie jego ucho przeciągała przez palce w zamyśleniu powtarzając: „Nawet mały Jip! O, biedaczek!"

„Płuca ma dobre", zapewniała ciotka wesoło, „a i antypatje jego wcale nie są słabe. Wiele lat jeszcze ma przed sobą, ani wątpię. Ale jeżeli pragniesz mieć psa, żeby z nim urządzać wyścigi, Kwiatuszku, to ten za dobrze na to był karmiony i ja ci innego podaruję pieska".

„Dziękuję, ciociu", zcicha odpowiedziała Dora, „ale nie rób tego, proszę!"

„Nie chcesz?" zapytała ciotka, zdejmując okulary.

„Nie mogłabym mieć innego psa oprócz Jipa", odpowiedziała Dora. „To byłoby tak niepoczciwie względem Jipa. Zresztą nie mogłabym się tak zaprzyjaźnić z żadnym innym psem, jak z Jipem; bo tylko Jip znał mnie, zanim jeszcze wyszłam zamąż, i tylko Jip szczekał na Doady, gdy pierwszy raz przyszedł do naszego domu. Jabym się, zdaje mi się, nie mogła przywiązać do żadnego innego psa, oprócz Jipa, ciociu".

„No tak, tak!" odpowiedziała ciotka, głaszcząc znowu jej twarzyczkę. „Masz zupełną słuszność, dziecko!"

„Ciocia się nie pogniewała?" zapytała Dora. „A może się gniewa na mnie?"

„A cóżto za przeczulone stworzonko!" zawołała ciotka, pochylając się nad nią tkliwie. „Pomyśleć, że jabym się mogła pogniewać!"

„Nie, nie, ja naprawdę tak nie myślałam", odpowiedziała Dora, „ale jestem trochę zmęczona i dlatego byłam przez chwilę taka niemądra... Ze mnie zawsze niemądre stworzenie, ciocia wie; ale to mnie tak jakoś jeszcze bardziej niemądrze usposobiło... ta rozmowa o Jipie. Jip znał mnie we wszystkich zdarzeniach mojego życia, prawda, Jip? A jabym nie mogła tego znieść, by go urazić, ponieważ się trochę postarzał — czy jabym mogła, powiedz, Jip?"

Jip ułożył się jeszcze bliżej swojej pani i leniwie lizał ją po ręku.

„Nie jesteś jeszcze taki stary — powiedz Jip — żebyś już miał porzucać swoją panią?" przemawiała do pieska Dora. „Możemy sobie jeszcze czas jakiś dotrzymać towarzystwa!"

Moja śliczna Dora! Gdy zeszła na obiad następnej niedzieli i tak się cieszyła, ujrzawszy poczciwego Traddlesa (jadał u nas w każdą niedzielę), myśleliśmy, że za parę dni znów będzie „biegać tak, jak dawniej". Ale mówili jej „poczekaj kilka dni", a potem znów „poczekaj jeszcze kilka dni", a ona wciąż jeszcze nie mogła ani biegać ani chodzić. Wyglądała bardzo ładnie i bardzo była wesoła; ale małe nóżki, takie zwinne wtedy, gdy tańczyły dokoła Jipa, bezwładne były teraz i nieruchome.

Zacząłem ją znosić na dół co rano i wnosić co wieczór na górę. Obejmowała mnie wtedy za szyję i śmiała się przez cały czas, jakbym to robił dla zabawy. Jip szczekał, obskakiwał nas, potem biegł naprzód i oglądał się, dysząc na podeście, czy idziemy za nim. Ciotka moja, najlepsza i najweselsza, dreptała za nami, jedna ruchoma góra szali i poduszek. Pan Dick swej godności niosącego świecę nie odstąpiłby nikomu. Traddles często znajdował się u stóp schodów, przypatrując się i odbierając żartobliwe zlecenia od

Dory dla „najdroższej w świecie dziewczyny“. Robiliśmy z tego wprost wesołą procesję, a dziecko-żona bywała ze wszystkich najweselsza.

Czasami jednak, gdy podnosząc ją, poczułem, że mniej mi w rękach waży, odczuwałem dziwny chłód, jak gdybym się zbliżał do lodowej, jeszcze niewidocznej, strefy, która we mnie życie mroziła. Nie szukałem nazwy dla tego uczucia, unikałem sam przed sobą zastanawiania się nad niem; aż jednej nocy, gdy bardzo silnie mnie to ogarnęło, a ciotka moja pożegnała Dorę, wołając „Dobranoc, Kwiatuszku!“, zasiadłem samotny przy mojem biurku i zapłakałem, myśląc: „O, co za złowróżbne nazwanie, i jak ten kwiatek usycha w pełnym kwiecie!“

Rozdział czterdziesty dziewiąty.

Otacza mnie tajemnica.

Pewnego dnia otrzymałem pocztą następujący list, datowany z Canterbury, a adresowany do mnie do Doctors Commons; list ten sprawił mi niespodziankę:

„Łaskawy Panie!

Okoliczności, ode mnie niezależne, na długi okres czasu rozluźniły tę zażyłość, która w rzadkich chwilach, dających mi możność wśród zawodowych moich obowiązków, rozpamiętywać sceny i zdarzenia przeszłości, ubranej w tęczowe barwy wspomnienia — zawsze mi dawała i zawsze dawać będzie miłe wzruszenia niezwykłego uroku. Ten fakt, Łaskawy Panie, jak nie mniej wybitne stanowisko, na jakie talent Pański wyniósł Pana, nie pozwala mi przemawiać do towarzysza mojej młodości, poufale zowiąc go Copperfieldem! Wystarczy zaznaczyć, że to nazwisko, które mam zaszczyt wspominać, będzie zawsze zachowane w rodzinnych naszych zabytkach (mam tu na myśli archiwa, odnoszące się do naszych dawniejszych lokatorów, a przechowywane przez panią Micawber) — będzie zachowane z uczuciami osobistego szacunku, graniczącego z miłością.

Nie przystoi to komuś, który z winy własnej i przypadkowego zbiegu nieprzychylnych okoliczności znalazł się w tem położeniu co ten rozbity okręt (jeżeli mi wolno nazwać się tą nazwą z dziedziny marynarki) — nie przystoi, powtarzam, komuś w tem położeniu, pozwalać sobie na wypowiadanie komplementów i gratulacyj. To on zręczniejszym i czystszym pozostawia rękom.

Jeżeli Pańskie ważniejsze zajęcia pozwoliły Panu wogóle to niedołężne pismo odczytać aż dotąd — a może być

tak albo inaczej, wedle tego, jak okoliczności się złożą — zapyta Pan naturalnie, jaki cel mi przyświeca, dyktując niniejsze pisanie? Niech mi wolno będzie powiedzieć, że najzupełniej uznaję słuszność tego zapytania i zamierzam na nie odpowiedzieć: przedewszystkiem zaznaczając, że nie jest to cel pieniężnej natury.

Nie chcąc wyraźniej wspominać o utajonej może we mnie możliwości rażenia gromem i skierowania pożerającego mściwego płomienia gdzieś, gdzie należy — niech mi będzie wolno nawiasem powiedzieć, że moje najjaśniejsze nadzieje rozwiane są raz na zawsze — że spokój mój zachwiany i radość życia zatruta — że serce moje straciło kierunek — i że już bliźnim nie patrzę prosto w oczy. Czerw zaląg się w kwiecie. Czara pełna jest piołunu. Robak pracuje i stoczy niebawem swoją ofiarę. Im prędzej, tem lepiej. Ale nie chcę zbaczać od przedmiotu.

Będąc w stanie ducha szczególnie bolesnym, niedostępny łagodzącemu dotknięciu wpływu nawet pani Micawber, jakkolwiek doświadczonej w trojakim charakterze kobiety, żony i matki, zamierzam uciec sam przed sobą na krótki okres czasu i poświęcić odetchnieniu czterdzieści osiem godzin, odwiedzając niektóre stołeczne miejscowości, minionych miłych chwil wspomnieniem ożywione. Oprócz innych przystani domowej ciszy i spokoju ducha nogi moje same przez się podążą ku więzieniu Kings Bench. Stwierdzeniem, że znajdować się będę po zewnętrznej stronie południowego muru tego miejsca uwięzienia za długi, mianowicie pojutrze, dokładnie o siódmej wieczorem, osiągam cel niniejszej korespondencji.

Nie czuję się w prawie prosić mego dawnego przyjaciela, pana Copperfielda, jako też mojego dawnego przyjaciela, pana Tomasza Traddlesa, jeżeli ten pan nadal żyje i pokazuje się, żeby raczyli spotkać się ze mną i odnowić (o tyle o ile) nasze dawne stosunki z minionych czasów. Ograniczam się do zauważenia, że o tej godzinie i na wskazanem miejscu można będzie odnaleźć szczątki ruiny,

jako pozostała
po upadłej wieży
Wilkinsie Micawberze.

P. S. Wskazanem jest dodać do powyższego, że pani Micawber nie jest w zaufanem posiadaniu moich zamiarów“.

Odczytałem ten list kilka razy. Biorąc należycie w rachubę wzniosły styl pisarski pana Micawbera i nadzwyczajną przyjemność, z jaką zasiadał i pisywał długie listy przy wszelakich możliwych i niemożliwych sposobnościach, uwierzyłem jednak, że coś ważnego musiało kryć się na dnie

tego listu, pełnego omówień. Położyłem go, żeby się nad nim zastanowić, znów wziąłem go do ręki, chcąc go raz jeszcze odczytać — i jeszcze go przeglądałem, gdy Traddles zastał mnie, łamiącego sobie nad nim głowę.

„Mój drogi", rzekłem, „nigdy może jeszcze tak ci nie byłem rad, jak właśnie w tej chwili. Przychodzisz w sam czas, abym mógł skorzystać z twojego trzeźwego sądu. Otrzymałem bardzo dziwny list od pana Micawbera".

„Nie może być", zawołał Traddles. „Co ty mówisz? A do mnie pisała pani Micawber!"

To mówiąc, Traddles, zaczerwieniony spacerem, z włosami, pod łącznym wpływem ruchu i wzruszenia stojącemi sztorcem, jakby na widok ducha, wyciągnął swój list i zamienił się ze mną. Śledziłem go, aż się doczytał do środka listu pana Micawbera, wzniesieniem brwi odpowiedziałem na jego wzniesione brwi, przyczem on zawołał: „Rażenia gromem i skierowania pożerającego a mściwego płomienia! — A niechże go, Copperfieldzie!" a potem ja zacząłem czytać epistołę pani Micawber.

Brzmiała ona następująco:

„Moje uszanowanie panu Tomaszowi Traddlesowi, a jeżeli jeszcze pamięta tę, która niegdyś miała szczęście dobrze się z Nim znać, czy mogę prosić o parę chwil Jego wolnego czasu? Zapewniam pana T. T., że nie nadużywałabym Jego dobroci, gdybym się znajdowała w innem położeniu, a nie na granicy obłędu.

Chociaż przykro mi o tem wspominać, ale odsunięcie się pana Micawbera (dawniej tak zadomowionego) od żony i od rodziny jest powodem tego mojego nieszczęsnego odwołania się do pana Traddlesa, z prośbą o możliwą względność dla mnie. Pan T. nie może sobie nawet wyobrazić, jaka zmiana zaszła w postępowaniu pana Micawbera, jaki jest niespokojny, jaki gwałtowny. Zwiększało się to stopniowo, aż przybrało pozory choroby umysłowej. Rzadko dzień minie, zapewniam pana T., w którymby nie było jakiegoś paroksyzmu. Pan Traddles nie będzie żądał, żebym mu odmalowała moje uczucia, gdy mu powiem, że przyzwyczaiłam się słyszeć z ust pana Micawbera twierdzenie, iż zaprzedał się djabłu. Tajemniczość i wieczne sekrety, to oddawna główne jego charakterystyczne rysy, które dawno już zastąpiły nieograniczone dawniejsze zaufanie. Najmniejsza kwestja, nawet proste zapytanie, coby wolał na obiad, wywołuje z jego strony życzenie separacji. Wczoraj, gdy bliźnięta, jak to dzieci, poprosiły go o dwa pensy na karmelki cytrynowe — lokalny tutejszy przysmak — zamierzył się na nie nożem do otwierania ostryg

Błagam pana Traddlesa, niech mi daruje, że wchodzę w te szczegóły. Bez nich trudno byłoby mu wyrobić sobie najlżejsze pojęcie o mojem rozpaczliwem położeniu.

Czy mogę się teraz odważyć i wyznać panu Traddlesowi cel mojego listu? Czy pozwoli mi polegać na Swej przyjacielskiej względności? O, tak, gdyż znam jego serce!

Bystre oko przywiązania niełatwo da się oszukać, jeżeli jest niem oko kobiety. Pan Micawber jedzie do Londynu. Choć starannie ukrywał swoje pismo, dziś rano przed śniadaniem, gdy pisał adres, mający być przytwierdzony do małej brązowej walizki, pamiętającej szczęśliwsze czasy, orli wzrok małżeńskiej troskliwości dojrzał d. y. n. wyraźnie wypisane. Końcowa stacja pocztowa dla dzielnicy West End jest pod Złotym Krzyżem. Czy mogę gorąco prosić pana T., żeby się widział z moim zbłąkanym małżonkiem i rozumnie z nim pogadał? Czy mogę błagać pana T., żeby zechciał być pośrednikiem pomiędzy panem Micawberem a jego udręczoną rodziną? O, nie, gdyż to byłoby zawiele!

Jeżeli pan Copperfield pamięta może jeszcze tych, których sława zna, czy zechce pan Traddles wyrazić mu moje niezmienne uczucia poważania i teższame błagania? W każdym razie pan T. będzie łaskaw uważać pismo to za ściśle poufne i pod żadnym pozorem nie napomknąć o niem, choćby zlekka, w obecności pana Micawbera. Gdyby pan T. zechciał na nie odpowiedzieć (co wydaje mi się jednak bardzo nieprawdopodobnem), to list adresowany do E. M. Canterbury Poste restante mniejby groził przykremi następstwami, jak adresowany wprost do

pogrążonej w okropnej niedoli
pana Traddlesa oddanej przyjaciółki, niniejszą
prośbę zanoszącej
Emmy Micawber".

Co myślisz o tym liście?" zapytał Traddles, spojrzawszy na mnie, gdy list odczytałem powtórnie.

„A co ty myślisz o tamtym?" rzekłem, gdyż wciąż jeszcze czytał go, zmarszczywszy brwi.

„Myślę, że one oba razem, Copperfieldzie, więcej znaczą, niż zwyczajnie listy pana i pani Micawber — co jednakże znaczą, nie wiem. Oba są pisane w dobrej wierze, o tem nie wątpię, i zupełnie bez porozumienia. Biedaczka!" — miał na myśli panią Micawber — „będzie to dla niej dobrodziejstwem gdy w każdym razie napisze się do niej i zapewni ją, że nie omieszkamy widzieć się z jej mężem".

Zgodziłem się na to tem chętniej, że teraz wyrzucałem sobie, iż może zbyt lekko traktowałem poprzedni jej list. Dał mi on swego czasu wiele do myślenia, jak to we właści-

wem miejscu zaznaczyłem; jednakże pogrążenie się we własne sprawy, znajomość tej rodziny i to, że niczego więcej się nie dowiedziałem, sprawiło, że stopniowo przestałem o tem myśleć. Często myślałem o Micawberach, ale głównie byłem ciekaw, jakie „pieniężne zobowiązania" zaciągać mogą w Canterbury, przypominając sobie, jak się pan Micawber żenował mnie, gdy został pracownikiem u Uriasza Heepa.

Teraz jednakże napisałem pocieszający list do pani Micawber w imieniu nas obu i podpisaliśmy go też obaj. Idąc do miasta, by oddać go na pocztę, prowadziliśmy z Traddlesem długie narady i puszczaliśmy się na różne domysły, których powtarzać nie potrzebuję. Popołudniu wciągnęliśmy ciotkę do naszych narad — jednakże doszliśmy tylko do jedynego wniosku, że należy nam punktualnie stawić się na naznaczone spotkanie.

Chociaż na oznaczonem miejscu stawiliśmy się o kwadrans wcześniej, zastaliśmy tam już pana Micawbera. Stał ze skrzyżowanemi rękoma, oparty o mur, wpatrzony w sztachety na wierzchu, jak gdyby to były splątane gałęzie drzew, ocieniających niegdyś jego młodość.

Przywitawszy go, zauważyliśmy, że w obejściu był trochę więcej niepewny i trochę mniej „dystyngowany", jak dawniej. Na tę wycieczkę porzucił swój prawniczy czarny strój i miał na sobie stary surdut i obcisłe spodnie, minę jednak niezupełnie tę samą, co dawniej. Stopniowo, rozmawiając z nami, odzyskiwał ją potroszę, ale nawet monokl jego zdawał się zwisać mniej swobodnie, a kołnierzyk od koszuli, mimo że zawsze olbrzymich rozmiarów, raczej mu opadał.

„Panowie!" przemówił pan Micawber po pierwszem przywitaniu, „jesteście przyjaciółmi w potrzebie, prawdziwymi przyjaciółmi. Pozwólcie, że pytania moje zwrócę w kierunku zdrowotnego stanu pani Copperfield in esse i pani Traddles in posse — przypuszczając, zastrzegam, że mój przyjaciel pan Traddles nie połączył się jeszcze z przedmiotem uczuć swoich na dolę i niedolę".

Podziękowaliśmy za uprzejmą pamięć i odpowiedzieliśmy, co należało. Wtedy wskazał nam na mur i zaczynał: „Zapewniam was, panowie..." ale ja mu przerwałem, broniąc się przed tak ceremonjalną formą tytułowania i poprosiłem, by przemawiał do nas po dawnemu.

„Mój drogi Copperfieldzie", odpowiedział, ściskając mi rękę, „pańska serdeczność zawstydza mnie. Takie przyjęcie rozbitego szczątka Świątyni, niegdyś zwanej Człowiekiem — jeśli mi wolno tak się wyrazić — świadczy zaszczytnie o rzadkiej wśród ludzi zacności serca. Chciałem właśnie

zauważyć, że patrzę znowu na to zaciszne miejsce, gdzie spłynęły jedne z najszczęśliwszych godzin mego istnienia".

„Szczęśliwemi uczyniła je, jestem pewny, pani Micawber", rzekłem. Spodziewam się, że pani dobrze się miewa?"

„Dziękuję", odpowiedział pan Micawber, którego twarz zachmurzyła się przy tej wzmiance, „miewa się ot, tak sobie. A to oto" rzekł, kiwając smutnie głową, „to jest więzienie! Tam to, pierwszy raz od wielu lat, nie słyszało się, pod przemożnym naciskiem pieniężnych zobowiązań znajdując się, głosu natrętów, nie chcących ustąpić z korytarza; tam nie było kołatki u drzwi, którąby bębnił każdy wierzyciel! Panowie! Gdy cień żelaznych sztachet na tym ceglanym murze padał na żwir wewnętrznego placu, widziałem, jak dzieci moje przestępywały oka zawiłego deseniu, unikając ciemnych kresek. Każdy kamień znałem w tej miejscowości. Jeżeli ulegam słabości, darujcie mi łaskawie".

„My wszyscy doznaliśmy odtąd poprawy losu, panie Micawber", rzekłem.

„Panie Copperfield", odpowiedział z goryczą, „gdy jeszcze byłem mieszkańcem tego schronienia, mogłem bliźniemu śmiało patrzeć w oczy i dać mu po uszach, jeśli mnie obraził. Mój bliźni i ja już nie stoimy do siebie w tak zaszczytnym stosunku!"

Odwracając się od budynku z miną przygnębioną, pan Micawber przyjął ofiarowane mu przeze mnie ramię z jednej strony, z drugiej ofiarowane sobie ramię Traddlesa i wszyscy trzej ruszyliśmy z miejsca.

„Są pewne etapy w drodze do grobu", zauważył pan Micawber, oglądając się tęsknie poza siebie, „których, gdyby to nie było bezbożnem życzeniem, człowiek wolałby nigdy nie opuszczać. Takim etapem w mojej zwichniętej karjerze jest to więzienie".

„O, ależ jaki pan przygnębiony, panie Micawber!" zauważył Traddles.

„To prawda, panie", odparł pan Micawber.

„Myślę, że przecież chyba nie dlatego, że powziął pan niechęć do prawa... bo i ja jestem prawnikiem, pan wie".

Pan Micawber nie odpowiedział ani słowa.

„Jakże się miewa nasz przyjaciel Heep?" zapytałem po chwili milczenia.

„Mój kochany Copperfieldzie", odpowiedział pan Micawber, wybuchając z wielkiem rozdrażnieniem i blednąc, „jeżeli pytasz o mojego szefa jako o swojego przyjaciela, bardzo cię żałuję; jeżeli pytasz o niego, jako o mojego, uśmiecham się tylko sarkastycznie. W jakimkolwiek charakterze pytasz o mojego szefa, daruj, że nie obrażając cię, ograniczę odpowiedź moją do tego — że, jakikolwiek tam

być może stan jego zdrowia, wygląd jego jest lisi: że nie powiem, djabelski. Pozwól mi, jako prywatnemu człowiekowi, odmówić dalszego omawiania tematu, który w moim zawodowym charakterze doprowadził mnie do ostatecznych granic rozpaczy".

Przeprosiłem go, że bezwiednie dotknąłem tematu, który go tak bardzo poruszał.

„Czy mogę zapytać", dodałem tym razem nie ryzykując, że ponawiam pomyłkę, „jak się miewają starzy przyjaciele moi, pan Wickfield i panna Wickfield?"

„Panna Wickfield", odpowiedział, rumieniąc się teraz, „jest taka, jaką jest zawsze... wzorem, jasnym przykładem. Mój drogi Copperfieldzie, ona jest jedynym świetlanym punktem w ciemności nędznego istnienia. Jaki ja mam szacunek dla tej młodej osoby, jak podziwiam jej charakter, jak uwielbiam ją za jej miłość, szczerość i dobroć!... Zaprowadźcie mnie gdzieś na bok", rzekł, „gdyż, jako żywo, w obecnym stanie ducha nie mogę się opanować!"

Zaciągnęliśmy go w wąską uliczkę, gdzie wyciągnął chustkę do nosa i stanął, oparty plecami o ścianę. Jeżeli ja patrzyłem na niego równie poważnie, jak Traddles, towarzystwo nasze, zaiste, nie mogło mu dodać ducha.

„To już taki mój los", mówił pan Micawber, szczerze szlochając, a jednak czyniąc to z jakimś odcieniem swojej dawnej, robionej dystynkcji; „to już taki mój los, panowie, że szlachetniejsze uczucia natury ludzkiej stają się dla mnie wyrzutami. Moja cześć dla panny Wickfield, to pęk strzał, przebijających mi pierś. Porzućcie mnie lepiej, niech przebiegam świat jako włóczęga. Robak załatwi się ze mną prędko".

Nie odpowiadając na ten potok słów, czekaliśmy, aż schował chustkę, podciągnął kołnierzyk i dla zmylenia tych w pobliżu, którzyby go mogli widzieć, zanucił jakąś melodję, przekrzywiwszy mocno kapelusz na bok. Wtedy oświadczyłem — nie wiedząc, co mogło być stracone, gdybyśmy go z oczu stracili — że z wielką przyjemnością radbym go przedstawić ciotce, jeżeli zechce pojechać z nami do Highgate, gdzie nocleg czeka do jego dyspozycji.

„Przyrządzi nam pan po swojemu szklaneczkę ponczu, panie Micawber", rzekłem, „i zapomni pan o tem, co pan ma na sercu, odświeżając milsze wspomnienia".

„Albo jeżeli zwierzenie się przyjaciołom ulgę by panu przyniosło, podzieli się pan z nami tem, co panu ciąży", przezornie dorzucił Traddles.

„Panowie!" odpowiedział pan Micawber, „róbcie ze mną co wam się podoba! Jestem jak słomka na powierzchni głębi, która na wszystkie strony miotają słonie... przepraszam... chciałem powiedzieć słone fale".

Poszliśmy więc znów, pod rękę we trzech, złapaliśmy omnibus, w chwili, gdy miał ruszać, i bez przeszkód dojechaliśmy do Highgate. Bardzo byłem niespokojny i niepewny, jak najlepiej należałoby postąpić — tak samo widocznie i Traddles. Pan Micawber prawie stale tonął w ponurem zamyśleniu. Raz po raz usiłował robić dobrą minę i mruczał urywki jakiejś melodji — ale jego nawroty głęboko melancholijne tem większe robiły wrażenie, że jak na kpiny, kapelusz chylił mu się mocno na jeden bok, a podciągnięty kołnierzyk sięgał po same oczy.

Udaliśmy się do domu mojej ciotki, nie zaś do mojego, ponieważ Dora nie była zupełnie zdrowa. Ciotka ukazała się, gdy po nią posłaliśmy, i powitała pana Micawbera uprzejmie i serdecznie. Pan Micawber ucałował jej rękę, usunął się do okna i wyciągnąwszy chustkę do nosa, stoczył ze sobą walkę duchową.

Pan Dick był w domu. Miał on z natury tak ogromne współczucie dla każdego, kto nie czuł się dobrze i tak bystro takie osoby odkrywał, że w ciągu pięciu minut uściskał rękę pana Micawbera, przynajmniej z pół tuzina razy. Pan Micawber w swojem strapieniu tak niezmiernie był wzruszony tą serdecznością ze strony obcego człowieka, że mógł tylko wykrztusić za każdym nowym uściskiem: „Mój drogi panie, pan mnie zawstydza!" — to zaś tak cieszyło pana Dicka, że powtarzał uścisk z jeszcze większą siłą.

„Przyjacielskość tego pana", zwrócił się pan Micawber do ciotki, „pognębia mnie poprostu. Dla człowieka, uginającego się pod podwójnym ciężarem rozterki i niepokoju, takie przyjęcie jest czemś rozczulającem, zapewniam panią".

„Mój przyjaciel, pan Dick", odpowiedziała ciotka z dumą, „to nie jest zwykły człowiek".

„O tem jestem przekonany", odpowiedział pan Micawber. „Mój drogi panie!" gdyż pan Dick znowu potrząsał jego ręką. „Głęboko wdzięczny jestem panu za jego serdeczność!"

„Jakżeż się pan czuje?" zapytał pan Dick, patrząc nań niespokojnie.

„Nie tego, mój drogi panie", odpowiedział pan Micawber, wzdychając.

„Niech pan będzie dobrej myśli", rzekł pan Dick, „i niech się pan tu czuje dobrze i swobodnie".

Pana Micawbera zupełnie rozbrajały te przyjacielskie słowa i to, że poczuł znów rękę pana Dicka w swojej.

„Zdarzało mi się", zauważył, „w urozmaiconej panoramie ludzkiego istnienia, tu i owdzie spotykać oazę, ale nigdy tak zielonej, tak bujnej, jak ta tutaj, nie widziałem!"

Kiedy indziej byłoby mnie to zabawiło; czułem jednakże, że jesteśmy wszyscy skrępowani i nieswoi, i śledziłem pana Micawbera tak niespokojnie, widząc, jak się waha pomiędzy widoczną ochotą wyjawienia czegoś, a czemś, co go od tego powstrzymuje, że wprost czułem się jak w gorączce. Traddles, siedzący na brzeżku krzesła, z oczyma szeroko otwartemi, włosami sterczącemi prostopadle, patrzył to w ziemię, to na pana Micawbera, i nie próbował nawet powiedzieć słowa. Ciotka moja, choć widziałem, że bystro obserwuje nowego gościa, lepiej panowała nad sobą, niż my obaj, gdyż prowadziła z nim rozmowę i zmuszała go tem do mówienia, czy był rad temu czy nie rad.

„Jesteś pan starym przyjacielem mojego siostrzeńca, panie Micawber", mówiła. „Żałuję, że nie miałam przyjemności poznać pana pierwej".

„Pani", odpowiedział pan Micawber; „żałuję, że nie miałem zaszczytu znać pani w wcześniejszym okresie mojego życia. Nie zawsze byłem tym rozbitkiem, jakiego pani dziś przed sobą widzi".

„Spodziewam się, że pani Micawber i dzieci pańskie mają się dobrze, panie?" rzekła ciotka.

Pan Micawber pochylił głowę.

„Tak dobrze się mają, proszę pani", wybuchnął po chwili milczenia, „jak dobrze mieć się mogą obłąkańcy i wyrzutki".

„A niechże Bóg broni!" zawołała ciotka porywczo, po swojemu. „Cóż to takiego pan opowiada?"

„Istnienie mojej rodziny, pani", odpowiedział pan Micawber, „waży się na szali. Mój szef..."

Tu pan Micawber drażniąco przerwał i zaczął obierać cytryny, które, na mój rozkaz, postawiono przed nim wraz z wszystkiemi dodatkami, jakich używał do robienia ponczu.

„Pański szef, pan wie..." podjął pan Dick, podnosząc rękę na znak delikatnego przypomnienia.

„Mój dobry panie, pan mi przypomina", odparł pan Micawber. „Bardzo jestem panu wdzięczny". Znów uścisnęli sobie ręce. „Mój szef, proszę pani... pan Heep... zrobił mi kiedyś łaskawie tę uwagę, że gdybym nie otrzymywał tej kwoty wynagrodzenia, jaką pobieram wedle umowy z nim, zostałbym prawdopodobnie kuglarzem wędrownym, połykającym noże i ognisty żywioł. Nie mogę temu istotnie zaprzeczyć, że jest to prawdopodobne, iż dzieci moje będą musiały pracować na życie wykręcaniem członków cielesnych, zaś pani Micawber akompanjować będzie tym łamanym sztukom, przygrywając na katarynce".

Pan Micawber niby przypadkowym, ale bardzo wyrazistym ruchem noża zaznaczył, że tych przedstawień spodziewać się należy, gdy jego już na świecie nie będzie, poczem z desperacką miną zabrał się z powrotem do obierania cytryn.

Ciotka moja oparła łokieć o mały okrągły stoliczek, który zwykle miewała przy sobie i uważnie przypatrywała się panu Micawberowi. Pomimo niechęci do wyciągania z niego jakichś zwierzeń, o ileby ich nie chciał złożyć dobrowolnie, byłbym go w tej chwili przycisnął do muru, gdyby nie to, że spostrzegłem, co za dziwaczne wyprawia rzeczy; i tak, cytrynowe skórki wkładał do kociołka, cukier sypał na tackę, spirytus lał do pustego dzbanka, a zupełnie spokojnie chciał wrzącej wody nalać z lichtarza. Widziałem, że zanosi się na jakiś wybuch; jako też i przyszło do tego. Zmieszał z trzaskiem wszystkie dodatki i przybory, wstał z krzesła, wyciągnął chustkę do nosa i wybuchnął łzami.

„Mój drogi Copperfieldzie", przemówił pan Micawber poza zakrywającą twarz chustką, „to zajęcie przedewszystkiem wymaga niezamąconego spokoju ducha i szacunku dla samego siebie. Ja go spełniać nie mogę. To jest wykluczone".

„Panie Micawber", odpowiedziałem, „co się takiego stało? Proszę, mów pan! Jesteś pan wśród przyjaciół".

„Wśród przyjaciół, panie!" powtórzył; i wszystko, co tail, naraz buchnęło z niego. „Dobre nieba, to przedewszystkiem właśnie dlatego, że j e s t e m wśród przyjaciół, stan mojej duszy jest takim. Co się takiego stało, panowie? Co się n i e stało? Stała się niegodziwość; stała się podłość. Oszukaństwo, podstęp, spisek, to się stało; a imię tego całego bezeceństwa, to... Heep!"

Ciotka moja klasnęła w dłonie, a my wszyscy jak opętani zerwaliśmy się na równe nogi.

„Skończyła się walka!" zawołał pan Micawber, gwałtownie gestykulując chustką i wywijając raz po raz obiema rękami, jak gdyby pływał wśród nadludzkich trudności. „Nie chcę dalej prowadzić takiego życia. Jestem nieszczęsną istotą, odciętą od wszystkiego, co życie czyni znośnem. Byłem, jak pod klątwą, w służbie tego piekielnego łotra. Oddajcie mi moją żonę, oddajcie mi moje dzieci, postawcie Micawbera w miejsce tego nędznego nieszczęśliwca, co chodzi w tych butach, które ja dziś mam na nogach, i każcie mi jutro miecz połknąć, a uczynię to. I jak chętnie!"

Nigdy w życiu nie widziałem człowieka w takiem uniesieniu. Starałem się go uspokoić, ażebyśmy mogli dojść do czegoś rozumnego, ale on się tylko coraz bardziej zapalał i nie chciał o niczem słyszeć.

„Niczyjej ręki nie dotknę", mówił, dysząc, łapiąc powietrze i łkając, tak, że sprawiał wrażenie człowieka walczącego z zalewającą go wodą, „dopóki na... kawałki nie

rozbiję... tej... wstrętnej żmii... Heepa! Nie przyjmę niczyjej gościnności, dopóki... nie poruszę Wezuwjusza do... wybuchu na... tego nędznika... Heepa! Posiłek... pod tym dachem... a specjalnie poncz... zadusiłby mnie... gdybym... wpierw... nie wydusił oczu... z głowy... tego... skończonego oszusta i kłamcy... Heepa! Ja... ja nie chcę znać nikogo... i nie chcę nic... mówić, i... nie chcę... nigdzie mieszkać... dopóki nie rozbiję... w proch... skończonego i najniegodziwszego obłudnika i fałszerza... Heepa!"

Rzeczywiście lękałem się trochę, by pan Micawber nie skończył na miejscu. Strasznie było patrzeć, jak wykrztuszał te niedomówione zdania i ilekroć dochodził do tego imienia Heep, jak z trudem dobijał do niego, rzucał się na nie, prawie omdlewając, i wyrzucał je ze siebie z niesamowitą gwałtownością; ale teraz, gdy opadł na krzesło, spocony, zziajany, i patrzył na nas z dziwnie zabarwioną twarzą, przełykając szybko a gorączkowo, jak gdyby go coś w gardle dławiło, a razem biło do głowy — wyglądał, jakby nadeszła jego ostatnia godzina. Chciałem mu przyjść z pomocą, ale oddalił mnie gestem ręki i nie chciał słuchać ani słowa.

„Nie, Copperfieldzie!... Żadnych stosunków... aż... panna Wickfield... naprawienie krzywd, wyrządzonych przez skończonego łotra... Heepa!" (Jestem silnie przekonany, że nie zdołałby wymówić trzech słów, gdyby nie zdumiewająca energja, jaką w nim wzbudzał ten wyraz, ile razy czuł, że nadchodzi). „Bezwzględna tajemnica... przed całym światem... bez wyjątku... od dziś za tydzień... w godzinie śniadania... wszyscy obecni... w tem ciotka... i nadzwyczaj przyjacielski pan... żeby byli w hotelu w Canterbury... gdzie pani Micawber i ja... chórem Auld Lang Syne... i ja... zdemaskuję nieznośnego nędznika... Heepa! Nic więcej do powiedzenia... żadnych perswazji... idę natychmiast... nie mogę... znieść towarzystwa... na tropie przeklętego potępieńca i zdrajcy... Heepa!"

W ten sposób ostatni raz powtórzywszy to magiczne słowo, które mu wogóle dawało możność mówienia, a w którem przewyższył wszystkie swe poprzednie wysiłki, pan Micawber wypadł z domu — pozostawiając nas w takim stanie podniecenia, nadziei i zdziwienia, że nas to wprawiło w nastrój, nie o wiele lepszy od jego nastroju. Nawet wtedy jednakże namiętne lubowanie się w pisywaniu listów zbyt silnem było u niego, by mu się potrafił był oprzeć; jeszcze bowiem nie ochłonęliśmy z naszego podniecenia, nadziei i zdziwienia, gdy przyniesiono nam następujący sielankowy liścik z sąsiedniej piwiarni, gdzie wstąpił, by go napisać:

Wielce tajemne i poufne.

Mój drogi Panie!

Niech mi wolno będzie za pośrednictwem Pańskiem przeprosić Pańską szanowną ciotkę za moje niedawne podniecenie. Wybuch dymiącego wulkanu, długo tłumiony, był wynikiem wewnętrznej walki, którą łatwiej wyobrazić sobie, niż opisać.

Sądzę, że dość zrozumiale oznaczyłem spotkanie na dziś za tydzień w godzinie porannej w hotelu w Canterbury, gdzie pani Micawber i ja mieliśmy niegdyś zaszczyt połączyć głosy nasze z Pańskim w dobrze znanej pieśni. Gdy dopełnię obowiązku, gdy akt reparacji będzie dokonany, co mi jedynie pozwoli spojrzeć w oczy moim bliźnim, nikt o mnie więcej słyszeć nie będzie. Będę poprostu żądał, by mnie złożono w tem miejscu ogólnego spoczynku, gdzie:

W wąskich swych celkach na wieki złożeni
Snem nieprzespanym śpią przodkowie wioski

z prostym napisem:

Wilkins Micawber"

Rozdział pięćdziesiąty.

Ziszcza się marzenie pana Peggotty.

Minęło tymczasem parę miesięcy od czasu naszego spotkania z Martą nad brzegiem rzeki. Nigdy odtąd nie widziałem Marty, ale z panem Peggotty spotykała się przy sposobności kilka razy. Na nic się dotąd nie przydały jej gorliwe chęci, ani też z tego, co mi pan Peggotty mówił, nie wynikało, by o losie Emilki nadeszły jakie słuchy. Przyznaję, że zacząłem wątpić w jej odnalezienie i coraz silniej wierzyć, że nie żyje.

Przekonanie pana Peggotty nie uległo zmianie. O ile wiem, a zdaje mi się, że nawskroś przenikałem uczciwe jego serce, nigdy się on nie zachwiał w uroczystej pewności odnalezienia jej. Cierpliwości był niewyczerpanej. A chociaż drżałem na myśl o jego męce, gdyby pewnego dnia uparta jego pewność runąć miała jednej chwili, to jednak było coś tak religijnego wprost, tak wyraźnie świadczącego, że wiara ta jego sięga korzeniem najczystszych głębin szlachetnej jego natury, że szanowałem go i ceniłem z każdym dniem więcej.

Nie było w nim tej leniwej ufności, co ma nadzieję, i na tem poprzestaje. Był człowiekiem twardego czynu przez całe życie i wiedział, że wszędzie, gdzie potrzebował pomocy, musiał uczciwie podjąć swoją część trudu i sam sobie

dopomagać. Wiem, że wyruszył kiedyś w nocy, gdy zdjęła go obawa, że wskutek jakiegoś przypadku światło nie świeci może w oknie starej łodzi, i wybrał się pieszo do Yarmouth. Wiem, że wyczytawszy kiedyś w gazetach coś, co się mogło odnosić do Emilki, wziął kij do ręki i przewędrował kilkadziesiąt mil. Popłynął morzem do Neapolu i z powrotem, gdy usłyszał opowiadanie, którego byłem świadkiem razem z panną Dartle. Wszystkie swoje wędrówki odbywał twardo, bez wygód, trwał bowiem w postanowieniu oszczędzania pieniędzy dla Emilki, skoro ją odnajdzie. Wśród tych wszystkich długotrwałych trudów nigdy nie usłyszałem, żeby się poskarżył, nigdy, że jest zmęczony lub zniechęcony.

Dora często widywała go od czasu naszego ślubu i polubiła go serdecznie. Widzę w tej chwili postać jego, stojącego przy jej kanapie, z prostą czapką w ręku, i niebieskie oczy tego dziecka - żony wzniesione ku niemu z nieśmiałym podziwem. Zdarzało się, że niekiedy wieczorem, o szarej godzinie, gdy przyszedł pogawędzić ze mną, nakłaniałem go, by wypalił swoją fajkę w ogrodzie, gdzie przechadzaliśmy się zwolna tam i z powrotem, a wtedy obraz opuszczonego jego domu, widziany dziecinnemi oczami, ten miły jego wygląd wieczorem, gdy ogień palił się a wiatr jęczał wkoło, z niezmierną żywością nawiedzał mą duszę.

Pewnego wieczora, o takiejże godzinie, Peggotty oznajmił mi, że wróciwszy do domu poprzedniego dnia, zastał Martę, czekającą na niego w pobliżu mieszkania, i że prosiła go, żeby pod żadnym pozorem nie opuszczał Londynu, dopóki się z nią znów nie zobaczy.

„Czy powiedziała panu, dlaczego?“ zapytałem.

„Zapytałem ją, panie Dawidku“, odpowiedział, „ale ona zawsze mówi tylko kilka słów, więc wzięła ode mnie przyrzeczenie i poszła“.

„Czy powiedziała, kiedy się pan jej może znowu spodziewać?“ zapytałem.

„Nie, panie Dawidku“, odpowiedział, w zamyśleniu ręką przesuwając po czole. „I o to ją zapytałem; ale odpowiedziała, że tego powiedzieć nie umie“.

Ponieważ dawno już przestałem podniecać w nim nadzieje, wiszące na włosku, powiedziałem więc tylko, że zapewne wkrótce ją zobaczy. To zaś, co sam o tem myślałem, zresztą nic wyraźnego, zachowałem przy sobie.

Pewnego wieczora, w jakie dwa tygodnie później, chodziłem sam po ogrodzie. Dobrze ten wieczór pamiętam. Było to na drugi dzień po bytności pana Micawbera. Deszcz padał przez cały dzień i wilgoć czuło się w powietrzu. Gęsty liść na drzewach ciężki był od wilgoci; jednakże deszcz

już ustał, choć niebo wciąż jeszcze było zachmurzone, a ufne w pogodę ptaki śpiewały wesoło. W miarę jak chodziłem po ogrodzie, a zmrok zaczął zapadać, głosiki ich milkły i zapanowała ta cisza wiejskiego wieczoru, kiedy to ani gałązka drzewa się nie poruszy, chyba że czasem opadnie z niej kropla deszczu.

Był tam obok naszego domku płotek pleciony z drutu, po którym wił się bluszcz. Z miejsca, gdzie spacerowałem, można było tamtędy spojrzeć na drogę przed domem. Przypadkowo w zamyśleniu skierowałem wzrok w tę stronę i ujrzałem za płotem postać, ubraną w skromny płaszcz. Postać ta nachylała się ku mnie i przyzywała mnie skinieniem ręki.

„Marta!“ rzekłem, idąc ku niej.

„Czy może pan pójść ze mną?“ zapytała wzruszonym szeptem. „Byłam u niego, ale niema go w domu. Napisałam, dokąd ma przyjść i własnoręcznie położyłam karteczkę na stole. Mówili, że niedługo wróci. Mam dla niego wiadomości. Czy pan może pójść zaraz?“

W odpowiedzi natychmiast wyszedłem furtką. Marta szybkim gestem ręki nakazała mi cierpliwość i milczenie i obróciła się w kierunku Londynu, skąd, jak wskazywało jej ubranie, przybyła przed chwilą pieszo.

Zapytałem ją, czy tam się udajemy? Gdy mi to, równie szybkim jak przedtem potwierdziła gestem, zatrzymałem przejeżdżający pusty powóz i wsiedliśmy. Na zapytanie, gdzie woźnica ma zajechać, odpowiedziała: „Gdzieś w pobliżu Golden Square a prędko!“ — a potem wtuliła się w kącik, jedną drżącą ręką zasłaniając twarz, drugą ponawiając poprzedni gest, jak gdyby nie mogła znieść głosu.

Teraz, mocno poruszony i olśniony sprzecznemi błyskami strachu i nadziei, patrzyłem na nią, czekając jakichś wyjaśnień. Widząc jednakże, jak pragnie spokoju, sam zresztą także skłonny do tego, nie starałem się przerwać milczenia. Jechaliśmy i nikt z nas nie przemówił ani słowa. Chwilami Marta wyglądała przez okno, jak gdyby zdawało jej się, że jedziemy wolno, chociaż prędko jechaliśmy; zresztą zachowywała się tak, jak pierwej.

Wysiedliśmy u jednego z wejść na skwer, wskazany przez Martę, gdzie kazałem powozowi czekać, nie wiedząc, czy nie będzie nam jeszcze potrzebny. Marta oparła mi rękę na ramieniu i pociągnęła mnie w jedną z ciemnych ulic, których kilka było w tych stronach, a gdzie domy — niegdyś dostatnie mieszkania, zajęte przez pojedyncze rodziny, obecnie podupadłe już od dawna — zamieniły się w nędzne mieszkania, wynajmowane pokojami. Wchodząc do otwartych drzwi jednego z tych domów i puszczając

moje ramię, Marta dała mi znak, bym poszedł za nią po wspólnych schodach, które były jakoby dopływowym kanałem od ulicy.

Dom roił się od mieszkańców. Gdyśmy wchodzili, otwierały się drzwi od pokojów i ludzie wytykali głowy — innych znów, schodzących, spotykaliśmy na schodach. Jeszcze zanim weszliśmy, z ulicy widziałem kobiety i dzieci, wyglądające z okien, z ponad doniczek kwiatowych; widocznie ściągnęliśmy ich uwagę, gdyż byli to ci sami, co wyglądali z drzwi. Schody były szerokie z potężną balustradą z jakiegoś ciemnego drzewa; nad drzwiami gzymsy, zdobne w rzeźbione owoce i kwiaty, a w oknach głębokie siedzenia. Wszystkie jednak te ślady minionej świetności były zniszczałe i brudne; zgnilizna, wilgoć, starość psuły podłogi, które w wielu miejscach były spróchniałe, a nawet niepewne. Czyniono pewne wysiłki, zauważyłem to, by napuścić świeżej krwi w to chorzejące ciało, łatając kosztowne stare drzewo tu i owdzie prostą deską sosnową; lecz było to, jak małżeństwo podupadłego starego szlachcica z ubogą plebejuszką, i każda połowa źle dobranego związku stroniła od drugiej. Kilka tylnych okien w klatce schodowej było zasłoniętych lub całkowicie zabitych. W pozostałych mało gdzie były szyby; a przez te otwory, przez które złe powietrze, zdaje się, stale wpływało, a nigdy nie wypływało, zajrzałem przez inne okna bez szyb w inne domy w podobnym stanie, i z zawrotem głowy mogłem spojrzeć w brudne podwórze, będące śmietnikiem dla całego domu.

Szliśmy na najwyższe piętro domu. Parę razy, wśród drogi, wydało mi się, że w niepewnem świetle widzę suknię kobiety, idącej przed nami. Będąc na zakręcie ostatniego piętra, ujrzeliśmy wyraźnie tę osobę, zatrzymującą się przez chwilę u jednych drzwi. Poczem nacisnęła klamkę i weszła.

„Co to ma znaczyć?" szepnęła Marta. „Weszła do mojego pokoju. Ja jej nie znam!"

Ale j a ją znałem. Z przerażeniem poznałem w niej pannę Dartle.

Powiedziałem mojej przewodniczce w kilku słowach, że to pani, którą już kiedyś spotkałem; zaledwie zdążyłem skończyć, usłyszeliśmy głos jej w pokoju, chociaż tego, co mówiła, nie dosłyszeliśmy. Marta, zdziwiona, powtórzyła dawniejszy swój gest i cicho poprowadziła mnie po schodach, poczem małemi bocznemi drzwiczkami bez zamka, zdaje się, które otworzyła pchnięciem palca, wprowadziła mnie do małej komórki pod dachem, skąd wpół otwarte drzwiczki prowadziły do jej pokoju. Tu przystanęliśmy, zadyszani, a Marta lekko położyła mi rękę na ustach. Mogłem tylko widzieć, że pokój przyległy był dość obszerny, że było tam łóżko, a na ścianach kilka zwykłych obrazów, przedstawiających okręty. Nie mogliśmy stąd zobaczyć panny Dartle, ani osoby, do której mówiła. Z pewnością widzieć ich nie mogła także moja towarzyszka, gdyż stałem w korzystniejszem miejscu.

Bezwzględne milczenie panowało przez parę chwil. Marta jedną ręką zasłaniała mi usta, a drugą, w słuchającej postawie, podniosła do góry.

„Nic mnie to nie obchodzi, że jej niema w domu", mówiła Róża Dartle wyniośle. „Ja nic o niej nie wiem. Ciebie przyszłam zobaczyć".

„Mnie?" powtórzył słodki głos.

Na ten dźwięk zadrżałem — gdyż był to głos Emilki!

„Tak", odparła panna Dartle, „przyszłam popatrzeć na ciebie. Co to? Nie wstydzisz się tej twarzy, co tyle złego zrobiła?"

Śmiała, nieubłagana nienawiść w tym głosie, zimna surowa jego ostrość i hamowana wściekłość uprzytomniły mi obraz Róży, jak gdyby w jasnem świetle stała przede mną. Widziałem czarne oczy, ciskające błyskawice, widziałem twarz, wyniszczoną namiętnością; i widziałem bliznę, z tym białym szwem, przecinającym wargę, drżącym i pulsującym, gdy mówiła.

„Przyszłam obejrzeć", mówiła, „kochankę Jakóba Steerfortha; dziewczynę, która z nim uciekła i jest na językach najpospolitszej gawiedzi rodzinnego swojego miasteczka; zuchwałą, wyuzdaną, doświadczoną towarzyszkę ludzi takich, jak Jakób Steerforth. Chcę wiedzieć, jak takie stworzenie wygląda".

Był jakiś szmer, jak gdyby nieszczęsna dziewczyna, w ten sposób obrzucana obelgami, pobiegła ku drzwiom, a mówiąca szybko przesłoniła sobą drzwi. Potem nastała chwila milczenia.

Gdy panna Dartle znów przemówiła, słowa jej dobywały się przez zaciśnięte zęby, a noga tupała w podłogę.

„Stój tam!" mówiła, „albo oskarżę cię przed całym domem i całą ulicą! Jeżeli chcesz p r z e d e m n ą uciec, zatrzymam cię, choćby za włosy, i kamienie wezmę przeciwko tobie!"

Przestraszony szept doszedł moich uszu jako jedyna odpowiedź. Nastąpiło milczenie. Nie wiedziałem, co mam robić. Choć tak pragnąłem temu spotkaniu położyć kres, czułem, że nie mam prawa pokazać się; że tylko sam pan Peggotty może zobaczyć ją i oswobodzić. „Czyż on nigdy nie przyjdzie?" myślałem niecierpliwie.

„Więc tak! Widzę ją nareszcie!“ mówiła Róża Dartle z pogardliwym śmiechem. „Niemądry on, żeby się dać wziąć na tę udaną skromność, na tę opuszczoną główkę!“

„O, na nieba! Miej pani litość nade mną!“ odpowiedziała Emilka, wybuchając płaczem. „Kimkolwiek pani jesteś, zna pani moje żałosne dzieje, i na Boga, miej miłosierdzie nade mną, jeżeli pragniesz sama miłosierdzia doznać!“

„Miłosierdzie n a d e m n ą!“ odparła twardo tamta; „a cóż ja mam wspólnego z tobą, cóż ty sobie wyobrażasz?“

„Nic, oprócz tego, że i pani jest kobietą“, odparła Emilka, zalewając się łzami.

„I to ma dawać prawo równać się ze mną takiej nędznicy! Gdybym miała jakiś ślad uczucia w sercu oprócz pogardy i wstrętu dla ciebie, jeszczeby ono, dla tego właśnie, we mnie zamarło. Nasza kobiecość! Zaszczytem jesteś dla naszej kobiecości, zaiste!“

„Zasłużyłam na to, ale to straszne!“ płakała Emilka. „Droga, droga pani, pomyśl, co ja wycierpiałam i jak upadłam! O, Marto, wróć! O, mój domu, o mój domu!“

Panna Dartle siadła na krześle, nawprost drzwi i patrzyła w dół, jak gdyby Emilka kuliła się przed nią na podłodze. Teraz mogłem widzieć jej ściągnięte wargi i jej okrutne oczy, wpatrzone w jedno miejsce z dzikim triumfem.

„Słuchaj, co mówię“, przemówiła, „i zachowaj twoje chytre sztuczki dla tych, co się na nie dadzą złapać! Czy ty myślisz, że m n i e wzruszysz twemi łzami? Tyle właśnie, ile mogłabyś mnie oczarować twemi uśmiechami, ty kupna niewolnico!“

„Och, miej pani trochę litości nade mną!“ zawołała Emilka. „Okaż mi trochę współczucia, bo oszaleję i nie przeżyję tego!“

„Nie byłaby to wielka kara za twoje zbrodnie“, odparła Róża Dartle. „Czy ty wiesz, coś ty zrobiła? Czy pomyślałaś o tym domu spustoszonym przez ciebie?“

„O, czyż jest noc jedna, albo dzień jeden, żebym o tem nie myślała?“ zawołała Emilka; i teraz mogłem ją zobaczyć, klęczącą, z głową wtył odrzuconą, z bladą twarzą wzniesioną do góry, z rękami, rozpacznie zaciśniętemi i wyciągniętemi, z włosami, spływającemi na plecy. „Czyż była choć jedna minuta, bym go nie widziała przed sobą, we śnie czy na jawie, takim, jakim był za tych czasów, gdym go straciła z oczu na zawsze, na zawsze! O, mój dom! mój dom kochany! O drogi, drogi wuju, gdybyś ty był wiedział, jaką męką dla mnie będzie miłość twoja, gdy zejdę z drogi cnoty, nie byłbyś mi jej okazywał tak stałej, tak wytrwałej, chociaż ją czułeś; byłbyś się czasem gniewał na mnie, ażebym mogła znaleźć pociechę w tem wspomnieniu! Niema dla mnie pociechy, niema pociechy na ziemi, bo wszyscy oni zawsze mnie kochali!“

Upadła na twarz przed dumną postacią w krześle, rozpacznie usiłując chwycić kraj jej sukni.

Róża Dartle siedziała, wpatrzona w nią, nieporuszona, jak posąg śpiżowy. Wargi silnie zacisnęła, jak gdyby czuła, że musi mocno nad sobą panować — piszę to, w co silnie wierzę — inaczej brałaby ją chęć kopnąć nogą tę piękną dziewczynę. Widziałem ją dokładnie, cała potęga twarzy jej i charakteru skupiła się w tym wyrazie. — Czyż Peggotty nigdy już nie nadejdzie?

„Co za nędzna próżność tych robaków!“ zawołała Róża Dartle, gdy już tak dalece opanowała gniewne falowanie piersi, że mogła się zdobyć na słowa. „T w ó j dom! Czyż ty sobie wyobrażasz, że ja twojemu domowi choć jedną myśl poświęcam, albo, że przypuszczam, iż tej marnej rodzinie mogłabyś wyrządzić krzywdę, którejby pieniądz nie opłacił, i to sowicie? T w ó j dom! Byłaś towarem w twoim domu, kupiono cię i sprzedano, jak inne towary na sprzedaż, któremi twoi bliscy handlowali“.

„O, tylko nie to, proszę!“ zawołała Emilka. „Niech pani mówi, co chce o mnie, ale niech pani moją hańbą i wstydem, więcej niż to ja uczyniłam, nie obarcza ludzi, którzy są równie czcigodni, jak pani! Niech pani ich uszanuje, choć pani dla mnie nie ma litości!“

„Ja mówię“, ciągnęła dalej Róża Dartle, nie racząc zważać na to błaganie i usuwając suknię przed kalającem dotknięciem Emilki, „ja mówię o j e g o domu, o tym domu, gdzie j a mieszkam. Tutaj oto“, tu wyciągnęła rękę, śmiejąc się pogardliwie i patrząc na pochyloną ku ziemi dziewczynę, „jest godna przyczyna waśni pomiędzy matką, panią dostojną, a synem, szlachetnym panem; przyczyna ciężkiej zgryzoty w domu, gdzie nie przyjętoby jej na pomywaczkę — przyczyna gniewu, żalu i wyrzutów. To zepsute stworzenie, podniesione z nadbrzeżnego błota, by stać się godzinną zabawką i być odrzuconem tam, gdzie należy!“

„Nie! Nie!“ zawołała, składając ręce Emilka. „Gdy stanął na mojej drodze... a oby nigdy nie był wszedł ten dzień... oby mnie był raczej ujrzał, jak mnie niosą do grobu!... byłam wychowana tak cnotliwie, jak pani lub inne panie, i miałam zostać żoną tak dobrego człowieka, że lepszego i wy panie nie znalazłybyście w świecie. Jeżeli pani żyje wśród jego rodziny i zna go, zrozumie pani może, jaką władzę mógł mieć nad słabą, próżną dziewczyną. Nie bronię siebie, ale wiem dobrze i on wie dobrze lub wiedzieć

będzie w godzinę skonania, gdy mu to na duszy zaciąży, że użył całej swojej władzy, by mnie oszukać, i że ja mu wierzyłam, ufałam i kochałam go!"

Róża Dartle zerwała się z siedzenia, cofnęła się — a cofając się, wymierzyła cios w stronę Emilki z twarzą pełną takiej złości, jak chmurną i zeszpeconą taką pasją, że ja o mało nie rzuciłem się pomiędzy nie. Uderzenie, nie dosięgnąwszy celu, zawisło w powietrzu. Stała teraz dysząca, patrząc na Emilkę nienawistnie i drżąc od stóp do głów wściekłością i wzgardą; nigdy czegoś podobnego nie widziałem i z pewnością nie zobaczę.

„Ty jego kochasz? Ty?" wołała, zaciskając pięść i drżąc, jakby tylko broni jej brakowało, by przebić przedmiot swej nienawiści.

Emilka gdzieś się cofnęła, tak że nie mogłem jej dojrzeć. Nie było odpowiedzi.

„I śmiesz to mówić mnie, twemi bezczelnemi ustami? Czemuż takich stworzeń nie ćwiczą rózgami? Gdyby to ode mnie zależało, kazałabym tę dziewczynę na śmierć rózgami zasiekać".

I niewątpliwie, zrobiłaby to. Widząc tę wściekłość w jej oczach, pomyślałem, że i przed torturą nie cofnęłaby się.

Powoli, bardzo powoli roześmiała się i wskazała ręką na Emilkę, jak na przedmiot shańbiony w oczach bogów i ludzi.

„Ona i miłość!" rzekła. „To ścierwo! I to mi mówi, że on kiedykolwiek czuł coś dla niej! Ha! ha! Co za kłamcy z tych dziewek sprzedajnych!"

Urąganie jej było gorsze, niż nietajona jej wściekłość. Z dwojga złego wolałbym ściągnąć na siebie jej wściekłość. Ona jednakże, jeżeli wybuchała nią otwarcie, to tylko chwilami. Poskromiła ją znowu, i choć wściekłość targała nią wewnętrznie, zamknęła ją w sobie.

„Przyszłam tutaj, ty czyste źródło miłości", mówiła, „chcąc zobaczyć — już to na początku powiedziałam — jak wygląda coś takiego, jak ty. Byłam ciekawa. Teraz ciekawość moja jest zaspokojona. Chciałam także powiedzieć ci, żebyś jak najprędzej odszukała ten twój dom i schowała się wśród tych poczciwych ludzi, którzy ciebie oczekują i których twoje pieniądze pocieszą. A gdy wszystko wydasz, możesz znów wierzyć, ufać i kochać, wszak ty to umiesz! Myślałam, że jesteś popsutą zabawką, już dziś bez wartości, świecidełkiem, które poczerniało i zostało wyrzucone. Ale widząc, że z ciebie szczere złoto, prawdziwa dama, uwiedzione niewiniątko, z świeżem sercem, pełnem miłości i wiary — a tak wyglądasz i to się zupełnie zgadza z twojem opowiadaniem! — mam ci coś więcej jeszcze do powiedzenia. Słuchaj — bo co ja zapowiem, to zrobię. Czy słyszysz mnie, ty niewiniątko? Co zapowiem, to spełnię!"

Wściekłość znowu opanowała ją na chwilę — ale jak skurcz przebiegła po jej twarzy, pozostawiając tę twarz uśmiechniętą.

„Schowaj się, skryj, jeżeli nie w domu, to gdziebądź. Niechaj to będzie miejsce niedostępne — jakieś tajemne życie, lub jeszcze lepiej, jakaś tajemna śmierć. Dziwię się, że jeśli twoje kochające serce pęknąć nie może, nie znalazłaś sposobu na uciszenie go! Słyszałam, że niekiedy znajdowano takie sposoby. Myślę, że nie trudno je znaleźć".

„Może ja mam dziwną naturę" ciągnęła dalej Róża zamilkła i słuchała tego płaczu, jak miłej muzyki.

„Może ja mam dziwną naturę" ciągnęła dalej Róża Dartle, „ale nie mogę swobodnie oddychać tem powietrzem, którem ty oddychasz. Uważam, że jest duszne. Dlatego chcę je odświeżyć; chcę je oczyścić... z ciebie. Jeżeli mieszkać tu będziesz jeszcze jutro, sprawię, że twoje dzieje i to, czem ty jesteś, będzie rozgłoszone na wspólnych schodach. Mówiono mi, że w tym domu mieszkają przyzwoite kobiety; szkoda, by takie światło, jakiem ty jesteś, miało się wśród nich kryć. Jeżeli, wyniosłszy się stąd, poszukasz schronienia w tem mieście w jakimkolwiek charakterze prócz twego właściwego (który, owszem, miej sobie, nie będę ci w tem przeszkadzała), oddana ci zostanie ta sama przysługa, skoro tylko się dowiem, gdzie się schroniłaś. Mając pomoc pewnego pana, który niedawno miał zaszczyt wzdychać do twojej ręki, jestem co do tego spokojna."

Czyż Peggotty nigdy, nigdy nie przyjdzie? Jak długo będę musiał to znosić? Jak długo potrafię to znieść?

„O ja biedna! O ja biedna!" zawołała nieszczęsna Emilka tonem, który poruszyłby najtwardsze serce; ale uśmiech Róży Dartle nie złagodniał. „Co ja robię? Co ja zrobię?"

„Co zrobisz?" odpowiedziała tamta. „Żyj szczęśliwie w własnych rozpamiętywaniach! Poświęć życie wspominaniu czułości Jakóba Steerfortha — chciał cię wydać za swego służącego... prawda? — albo wdzięcznych uczuć tej zacnej, zasłużonej osoby, która chciała cię przyjąć od niego w darze. Albo, jeżeli te zaszczytne wspomnienia, świadomość własnych cnót i szanowne stanowisko, do którego cię one wyniosły w oczach ludzi, nie wystarczą ci, idź zamąż za tego godnego człowieka i bądź szczęśliwa, że raczył się zniżyć do ciebie. A jeżeli i to ci nie dogadza, um-

rzyj! Są zaułki, są śmietniki dla takich śmierci i takich rozpaczy — wyszukaj sobie coś takiego i uleć do nieba!"

Usłyszałem dalekie kroki na schodach. Poznałem je. Byłem teraz pewny. Jego to były kroki, dzięki Bogu!

Róża Dartle, skończywszy mówić, zwolna odsunęła się od drzwi i straciłem ją z oczu.

„Ale pamiętaj!" dodała powoli i surowo, otwierając drugie drzwi, by wyjść, „jestem zdecydowana, dla pewnych powodów, jakie mam, i pewnych nienawiści, które noszę w sercu, napiętnować cię, jeżeli nie usuniesz się poza obręb, gdzie cię dosięgnąć mogę, albo jeśli nie zrzucisz twej powabnej maski. To ci chciałam powiedzieć; a co ja powiem, tego dotrzymam!"

Kroki na schodach zbliżały się, zbliżały... minęły ją, gdy schodziła na dół... wpadły do pokoju!

„Wuju!"

Okropny krzyk zabrzmiał po tem słowie. Zatrzymałem się, i, zajrzawszy do pokoju, zobaczyłem go, podtrzymującego bezwładną jej postać w ramionach. Popatrzył jej przez chwilę w twarz; nachylił się i ucałował ją — o, jakże tkliwie! — i zasłonił ją chusteczką.

„Panie Dawidku", przemówił cichym, drżącym głosem. „Ojcu Niebieskiemu dziękuję, że ziściło się moje marzenie. Dziękuję Mu z serca, że mnie prowadził, własnemi drogami Swojemi, do mej ukochanej dzieciny!"

To mówiąc, wziął ją na ręce i z zasłoniętą twarzą, przytuloną do swej piersi, zniósł ją, bezwładną i bezprzytomną po schodach.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy.

Początek dłuższej podróży.

Wczesnym rankiem nazajutrz, gdy po ogrodzie moim spacerowałem z ciotką (a mało ona innego ruchu używała teraz, tak wiele bowiem przesiadywała przy mojej kochanej Dorze) — dano mi znać, że pan Peggotty chce się ze mną widzieć. Wszedł do ogrodu naprzeciw mnie, gdy ja skierowałem kroki ku bramie, i odkrył głowę, jak zawsze, na widok ciotki, którą wysoce poważał. Właśnie opowiedziałem jej o wszystkiem, co zaszło ubiegłego wieczora. Nie mówiąc słowa, ciotka podeszła ku niemu z twarzą, pełną serdeczności, uścisnęła mu dłoń i poklepała go po ramieniu. Uczyniła to z takim wyrazem, że nie potrzebowała wypowiadać się słowami. Peggotty zrozumiał ją tak dobrze, jak gdyby ich tysiąc była powiedziała.

„Więc ja teraz idę, Trotku", rzekła ciotka, „i pójdę zajrzeć do Kwiatuszka, bo zaraz będzie wstawać".

„Przecież chyba nie dlatego, że ja się tu znalazłem, proszę pani?" przemówił pan Peggotty. „Jeżeli mnie mój rozum nie myli, to ze względu na mnie chce nas pani opuścić?"

„Macie sobie coś do powiedzenia, mój dobry przyjacielu", odpowiedziała ciotka, „i lepiej wam będzie beze mnie".

„Za pozwoleniem szanownej pani", odparł pan Peggotty, „wdzięczny byłbym, o ileby gadanina moja nie była dokuczliwa, gdyby pani zechciała zostać tutaj".

„Chcielibyście?" odpowiedziała ciotka dobrotliwie. „No, to chętnie zostanę!"

I wsunęła rękę pod ramię Peggotty i zaprowadziła go do małej zielonej altanki na końcu ogrodu, gdzie siadła na ławeczce, a ja obok niej. Było tam także siedzenie dla pana Peggotty, on jednakże wolał stać, opierając rękę o mały prosty stół. Gdy stał, potrząc na swoją czapkę, zanim zaczął mówić, mimowoli nasunęła mi się uwaga, jaką siłę i moc charakteru wyrażała muskularna jego dłoń, jak zgodnym i wiernym towarzyszem była dla uczciwej jego twarzy i szpakowatych włosów.

„Zabrałem dziecko moje kochane do mojego mieszkania", zaczął pan Peggotty, podnosząc wzrok ku nam, „gdzie oddawna na nią czekałem i gotowałem się na jej przyjęcie. Godziny minęły, zanim przyszła do siebie i poznała mnie zupełnie; a gdy mnie poznała, uklękła u moich nóg i, jakby odmawiała modlitwy, tak mi opowiedziała wszystko, jak do tego przyszło. Możecie mi państwo wierzyć, że gdy słyszałem jej głos... ten głos, co to go w domu znałem wesołym i żartobliwym... i gdy ją widziałem, upokorzoną taką, jak pokutnicę, w prochu u moich nóg — poczułem, że krwawi się we mnie serce, pomimo wdzięcznej radości".

Zasłonił twarz rękawem, nie starając się wcale ukryć, dlaczego, a potem odchrząknął.

„Niedługo w ten sposób czułem; bo przecież była odnaleziona. Jak tylko pomyślałem, że przecież ją mam, tamto bolesne uczucie minęło. Doprawdy, ja sam nie wiem, dlaczego ja o tem teraz wspominam. Toć chwilę temu ani mi na myśl przyszło mówić cokolwiek o sobie; ale to tak jakoś samo z siebie przyszło i uległem temu, zanim się spostrzegłem".

„Dusza w was pełna zaparcia się siebie", rzekła moja ciotka, „i spotka was za to słuszna nagroda".

Pan Peggotty, po którego twarzy igrały cienie liści, ze zdziwieniem skłonił głowę w stronę ciotki, dziękując za dobre o sobie zdanie — poczem podjął wątek przerwanego opowiadania.

„Gdy moja Emilka uciekła“, mówił, zapłonąwszy gniewem na chwilę, „z tego domu, gdzie ją uwięził ten wąż plugawy, którego pan Dawidek zna i wie prawdziwie, czem jest... oby go Bóg pokarał!... uciekła stamtąd w nocy. Ciemna to była noc, wiele tylko gwiazd świeciło. Emilka była jak obłąkana. Biegła wzdłuż wybrzeża, myśląc, że tam jest ta stara łódź i wołała na nas, żebyśmy się odwrócili, bo ona idzie. Słyszała swoje wołanie, jakby to było wołanie obcej osoby i kaleczyła się na tych ostrych kamieniach i skałach, a nieczuła tego, jak gdyby sama była z kamienia. I tak biegła, biegła daleko, a ogień czuła w oczach i głośny szum w uszach. Nagle —tak jej się przynajmniej wydało, rozumiecie państwo — wstał dzień wilgotny i wietrzny, a ona leżała pod kupą kamieni na wybrzeżu, a do niej mówiła jakaś kobieta, pytając, w języku tamtego kraju, co się jej stało?“

Opowiadający zdawał się widzieć to wszystko, o czem opowiadał. Tak mu się to żywo przesuwało przed oczami, że w tem żywem przejęciu przedstawiał mi to, co opisywał z niewypowiedzianą dokładnością. Zaledwo uwierzyć mogę, pisząc o tem znacznie później, że nie byłem sam naocznym widzem tych zajść, tak zadziwiająco wiernie wyryły się mi w pamięci.

„Gdy oczy Emilki, znużone i ociężałe, przyjrzały się tej kobiecie lepiej“, mówił dalej, „poznała, że to jedna z tych, z któremi często rozmawiała na wybrzeżu. Bo chociaż biegła (jak powiedziałem) przez wiele godzin owej nocy — to i przedtem nieraz daleko się wyprawiała, to pieszo, to łódką, to powozem, i znała całą tę okolicę wzdłuż wybrzeża na mile całe wokoło. Nie miała ona własnych dzieci, ta kobieta, bo niedawno była zamężna — ale spodziewała się niebawem dzieciątka. I oby moje modlitwy trafiły do nieba i wyprosiły, by ono szczęściem dla niej było i pociechą i zaszczytem przez całe życie! Oby ją kochało i dobrem dla niej było w jej starości, pomocnem aż do ostatniej chwili, aniołem dla niej w tem i w tamtem życiu!“

„Amen!“ dorzuciła moja ciotka.

„Była ta kobiecina trochę lękliwa i nieśmiała“, opowiadał pan Peggotty dalej, „i z początku siadywała gdzieś z boku przy swoim kołowrotku albo przy innej robocie, podczas gdy Emilka rozmawiała z dziećmi. Ale Emilka ją zauważyła, zbliżyła się do niej i rozmawiała z nią; a że młoda kobiecina także lubiła dzieci, więc wkrótce się zaprzyjaźniły tak bardzo, że ile razy Emilka przechodziła tamtędy, zawsze Emilce ofiarowała kwiaty. To ona właśnie dopytywała się teraz, co się to jej stało; Emilka powiedziała jej wszystko, a ona — zabrała ją do swego domu. Tak uczyniła, naprawdę! Zabrała ją do swego domu“, powtórzył pan Peggotty, zasłaniając twarz.

Tak wzruszonego, jak tym miłosiernym uczynkiem, nie widziałem go od owego wieczoru, kiedy to Emilka uciekła. Nie przeszkadzaliśmy mu, ani ciotka, ani ja.

„Mała to była chatka, mogą sobie państwo wyobrazić“, mówił po chwili dalej, „ale poczciwa kobieta znalazła w niej miejsce dla Emilki... jej mąż był nieobecny, był na morzu... i utrzymała to w tajemnicy i na sąsiadach wymogła (niewielu ich było w pobliżu), żeby to także trzymali w tajemnicy. Emilka ciężko zachorowała z gorączką i, co dla mnie jest bardzo dziwne — może to nie takie dziwne dla ludzi uczonych — język tamtego kraju wyszedł jej zupełnie z głowy i mogła mówić tylko swoim, a tego nikt tam nie rozumiał. Przypomina sobie, jakby to był sen, że leżała ciągle mówiąc swoją mową, ciągle wierząc, że stara łódź jest za zakrętem nad zatoką, i ciągle prosząc i błagając ich, żeby posłali tam i powiedzieli, że umiera i żeby jej przynieśli przebaczenie, choćby tylko jedno słowo. Prawie przez cały ten czas myślała, to, że ten niegodziwy, o którym dopiero co mówiłem, czyha na nią pod oknem — to znów, że ten, który ją do całej jej biedy przywiódł, jest w pokoju — i wołała na dobrą młodą kobiecinę, żeby jej nie opuszczała, a równocześnie widziała, że ona jej nie może zrozumieć, i trwożyła się, że ją porwą. I ciągle też ogień miała przed oczami i huk i szum w uszach; i nie było dla niej ani „dziś“, ani „wczoraj“ ani „jutra“, ale wszystko, co w życiu było, albo mogło być, i to, co nigdy nie było i nie mogło być, wszystko to razem gmatwało się i tłoczyło w jej głowie... wszystko to niejasne i niemiłe, a jednak śpiewała i śmiała się z tego! Jak długo to trwało, tego sama nie wie, ale potem popadła w sen, a w tym śnie, jak przedtem była wielekroć silniejsza, niż zwyczajnie, tak teraz osłabła i stała się bezsilną, jak mała dziecina“.

Tu pan Peggotty przerwał, jak gdyby, przerażony własnym opisem, szukał odetchnienia. Przemilczawszy chwil kilka, opowiadał dalej.

„Miłe to było popołudnie, gdy się zbudziła; a tak spokojne, że nic nie przerywało ciszy, jedynie plusk tej niebieskiej fali o wybrzeże. Emilka pomyślała z początku, że znajduje się w domu, w niedzielny poranek; ale zaprzeczyły jej te liście winogradu, które zobaczyła w oknie i te pagórki w oddali. W tej chwili weszła dobra kobiecina, żeby czuwać przy jej łóżku; i wtedy zrozumiała, że stara łódź nie znajduje się za zakrętem nad zatoką, — ale jest daleko, daleko: i zrozumiała, gdzie jest i dlaczego. I rozpłakała się, tuląc się do piersi tej dobrej kobiety, do której zapewne teraz tuli się jej dzieciątko, pociecha jej serdeczna...“

Nie mógł mówić bez łez o tej dobrej przyjaciółce Emilki.

Daremnie chciał je powstrzymać. Zmogły go i teraz, gdy usiłował błogosławić jej imię.

„Dobrze to zrobiło Emilce", zaczął znowu, opanowawszy wzruszenie tak silne, że nie mogłem patrzeć na nie obojętnie, a co do mojej ciotki, to płakała ona z całego serca; „dobrze to zrobiło Emilce i zaczęła powracać do zdrowia. Jednakże mowy tego kraju zapomniała zupełnie i zmuszona była porozumiewać się na migi. I tak to trwało, że stawała się zdrowsza z dnia na dzień, powoli ale stale, i starała się uczyć nazw najprostszych rzeczy — jak gdyby ich nigdy w życiu nie słyszała — aż przyszedł taki jeden wieczór, że siedziała przy oknie, patrząc na małą dziewczynkę, bawiącą się na wybrzeżu. A oto nagle to dziecko wyciągnęło rączkę i powiedziało w tym ich języku to, coby znaczyło w naszym: — Córko rybaka, patrz muszelka! — Bo musicie państwo wiedzieć, że oni ją tam z początku nazywali „piękna pani", jak to u nich we zwyczaju, ale ona ich nauczyła, że mają jej zamiast tego mówić: „córko rybaka". Dziecko mówi nagle — córko rybaka, patrz muszelka! — Wtedy Emilka ją zrozumiała i odpowiedziała, wybuchając płaczem; i oto przypomniało jej się wszystko!"

„Gdy Emilka odzyskała siły", ciągnął dalej po krótkiej przerwie, „zaczęła myśleć o porzuceniu tej zacnej młodej kobieciny i o dostaniu się do ojczyzny. Wtedy już i mąż powrócił do domu i oboje wsadzili ją na mały statek kupiecki, idący do Livorno, a stamtąd do Francji. Emilka miała trochę pieniędzy, ale oni zaledwie grosze zgodzili się przyjąć za wszystko, co zrobili! Ja prawie rad z tego jestem, choć tacy byli biedni! Nagroda czeka ich za to tam, gdzie rdza nie stoczy tego skarbu, gdzie złodziej go nie ukradnie ani nie zrabuje. Panie Dawidku, ten skarb przetrwa wszystkie skarby świata!

„Emilka dostała się do Francji i przyjęła miejsce w hotelu, do posługi podróżującym paniom. Tam, tam zjawia się pewnego dnia ta żmija... Niechby on się nigdy do mnie nie zbliżał. Sam nie wiem, cobym mu mógł zrobić... Zaledwie go Emilka ujrzała, choć on jej nie widział wcale, strach i przerażenie ogarnęło ją na nowo i uciekła. Przybyła do Anglji i wylądowała w Dover.

„Sam dokładnie nie wiem, kiedy to się stało, że zabrakło jej odwagi; ale przez całą drogę do Anglji myślała o powrocie do swego ukochanego domu. Jak tylko stanęła na ziemi angielskiej, twarzą obróciła się ku niemu. Ale obawa, że jej nie przebaczono, obawa, że ludzie będą jej urągać, obawa, że może ktoś z nas umarł z jej winy, obawa wielu rzeczy, odwróciła ją, jak gdyby siłą, od tego zamiaru. — Wuju, wuju, — mówi do mnie, — lęk, że nie jestem godna uczynić, czego moje zbolałe serce najbardziej pragnęło, to był najgorszy lęk! Zawróciłam, gdy serce we mnie wzdychało tylko do tego, bym mogła nocą przepełznąć do starego progu, ucałować go, złożyć na nim niegodną głowę a rankiem by mnie znaleziono nieżywą! —"

„Przybyła", mówił pan Peggotty, zniżając głos do szeptu, pełnego grozy, „do Londynu. Ona... która tego miasta w życiu swojem nie widziała... sama... bez grosza... młoda... taka ładna... przybyła do Londynu. Nieledwie w chwili, gdy tam wysiadła, zastraszona swojem osamotnieniem, znalazła, (jak sądziła), życzliwą duszę; przyzwoicie wyglądająca kobieta zaczęła z nią mówić o krawieczyźnie, którą Emilka umiała, o tem, że znajdzie dla niej dużo roboty, że znajdzie dla niej nocleg, a jutro potajemnie dowie się o mnie i o wszystkich w domu. Gdy dziecina moja", tu podniósł głos z tak silnym akcentem wdzięczności, że aż zatrząsł się od stóp do głów, „stanęła nad brzegiem przepaści, o jakiej myśleć i mówić nie mogę... Marta, wierna swojej obietnicy, ocaliła ją!"

Nie mogłem powstrzymać okrzyku radości.

„Panie Dawidku!" rzekł, chwytając moją rękę tą silną swoją dłonią, „to pan pierwszy wspomniałeś o niej do mnie. Dziękuję panu! Marta wzięła do serca to, co obiecała. Z własnego smutnego doświadczenia wiedziała, gdzie należy czuwać, co należy czynić. I tak też zrobiła. I Pan Bóg ją prowadził! Zdyszana i blada przychodzi i staje nad śpiącą Emilką. — Wstawaj, — mówi, — i chodź ze mną, bo tutaj gorsze niż śmierć cię czeka! — Ludzie z tego domu chcieli ją zatrzymać, ale równie dobrze mogliby chcieć zatrzymać morze. — Precz ode mnie, — mówi im, — jam duch, który ją odwołuje z ponad otwartego grobu! — Powiedziała Emilce, że mnie widziała, że wie, iż ją kocham i że przebaczam jej. Zarzuciła na nią szybko jej sukienki. Wzięła ją, osłabłą i drżącą, na ręce. Nie zważała na to, co tamci mówili, jak gdyby uszu nie miała. Przeszła pomiędzy nimi z mojem dzieckiem, na nią tylko zważając i wyniosła ją, zdrową i całą, w głębi nocy, z czarnej otchłani zatracenia".

„Marta czuwała nad Emilką", mówił pan Peggotty, puściwszy moją rękę, a swoją cisnąc do piersi, „czuwała nad nią, gdy leżała wyczerpana i majaczyła chwilami, aż do późna dnia następnego. A wtedy poszła szukać mnie, a potem pana, panie Dawidku. Nie powiedziała Emilce, poco wychodzi, bała się, by jej nie zbrakło odwagi i by nie starała się ukryć. Jakim sposobem ta okrutna pani dowiedziała się, że Emilka tam jest, tego nie wiem. Czy ten, o którym już tyle mówiłem, przypadkiem zobaczył, że one wchodzą tam, czy też (co mi zdaje się prawdopodobniejsze) dowiedział się o tem od tamtej kobiety, nad tem się niebardzo zastanawiam. Moja siostrzenica jest odnaleziona. — Całą noc", opo-

wiadał dalej, „byliśmy razem, Emilka i ja. Niewiele (zważywszy tyle godzin), powiedziała mi słowami, przez te bolesne łzy; mało napatrzeć się mogłem tej jej drogiej twarzyczce, która przy mojem ognisku domowem rozkwitła i dojrzała. Ale przez całą noc ramiona jej oplatały mi szyję, a głowa leżała tu, na mej piersi, i wiemy dobrze oboje, że możemy sobie ufać wzajemnie, wiernie i na zawsze".

Przestał mówić a gest jego ręki, leżącej na stole, wyrażał spokój i siłę niewzruszonego postanowienia.

„Był to wtedy promień swiatła w mojem życiu, Trotku", przemówiła ciotka, ocierając oczy, „gdy postanowiłam być chrzestną matką siostry twej, Betsey Trotwood, która mnie zawiodła; ale pozatem nicby mi takiej nie sprawiło przyjemności, jak trzymać do chrztu dziecię tej dobrej kobiety!"

Pan Peggotty wyraził skinieniem głowy, że rozumie uczucia mej ciotki. Milczeliśmy wszyscy, zajęci swojemi myślami, zaś ciotka moja to ocierała oczy, to chwytało ją spazmatyczne łkanie, to śmiała się i mówiła sobie, że jest niemądra. Aż wkońcu przemówiłem: „Czyście już ułożyli coś stanowczego co do przyszłości, dobry przyjacielu? Zbyteczne zapewne pytać was o to".

„Najzupełniej stanowczo, panie Dawidku", odparł, „i Emilce powiedziałem. Są wielkie kraje, daleko stąd. Przyszłe nasze życie leży za morzami".

„Wyemigrują razem, ciociu", rzekłem.

„Tak!" z pełnym nadziei uśmiechem odpowiedział Peggotty. „Tam, w Australji, nikt mojemu ukochanemu dziecku nie będzie mógł robić zarzutów. Tam nowe zaczniemy życie!"

Zapytałem, czy naznaczył sobie już jakiś termin wyjazdu.

„Byłem dziś rano w dokach, proszę pana", odpowiedział, „żeby się dowiedzieć o te okręty. Za mniej więcej sześć tygodni albo dwa miesiące od dzisiaj wypłynie tam jeden — obejrzałem go dziś rano — poszedłem na pokład — i tym popłyniemy".

„Zupełnie sami?" zapytałem.

„Tak, panie Dawidku!" odpowiedział. „Moja siostra, widzi pan, ona tak kocha pana i was wszystkich i tak się przyzwyczaiła myśleć tylko o swym własnym kraju, że nie byłoby słusznie zabierać ją stąd. A oprócz tego jest przecie ktoś, kogo ona ma w opiece, panie Dawidku i o którym się też nie godzi zapominać".

„Biedny Ham!" rzekłem.

„Moja poczciwa siostra opiekuje się jego domem, widzi pani, a on jest do niej bardzo przywiązany", objaśniał pan Peggotty ciotkę. „Potrafi siąść i rozmawiać z nią spokojnie, kiedy prawdopodobnie do kogo innego nie otworzyłby ust,

nie zdobyłby się na to. Biedaczysko!" tu pan Peggotty potrząsnął głową, „niewiele mu pozostało, nie należy mu odbierać tej odrobiny, jaką posiada!"

„A pani Gummidge?" zapytałem.

„No, naobracałem ja to dosyć w głowie, jak mi Bóg miły, co pani Gummidge dotyczy", odpowiedział pan Peggotty z miną zakłopotaną, która stopniowo rozjaśniała się w miarę, jak mówił. „Bo to widzi pan, gdy pani Gummidge zacznie myśleć o starym, nie jest ci ona wtedy miłą dla towarzystwa. Między nami mówiąc, panie Dawidku i pani — jak pani Gummidge zacznie skarżyć się i popłakiwać, ten, kto nie znał starego, mógłby powiedzieć, że skwaszona jest i zrzędliwa. Otóż j a znałem starego, ja wiedziałem, co on był wart, to też ja ją rozumiem; ale zupełnie tak, widzicie państwo, nie jest z innymi, no i naturalnie, być nie może!"

Oboje z ciotką przytaknęliśmy.

„Skutkiem tego moja siostra mogłaby uważać — ja nie mówię, że uważałaby, ale że mogłaby uważać — iż pani Gummidge czasem sprawia jej trochę kłopotu. Dlatego nie mam zamiaru wiązać pani Gummidge z nimi, ale chciałbym znaleźć dla niej pomieszczenie, gdzieby sobie gospodarowała sama. W tym celu chcę, zanim wyjadę, zapewnić jej rentę, z której mogłaby żyć dosyć wygodnie. Jest to wierna, zacna dusza. Nie można przecież wymagać, żeby w swoim wieku ta poczciwa stara kobieta trzęsła się i rozbijała po okrętach, po lasach i pustkowiach nowych i dalekich krajów. Otóż ja t o chcę z n i ą zrobić".

Nie zapominał o nikim. Pamiętał o żądaniach i o dążeniach każdego, o sobie tylko nie myślał.

„Emilka", mówił dalej, „będzie mieszkała ze mną... biedne dziecko, bardzo potrzebuje spokoju i ciszy... aż do czasu, gdy puścimy się w podróż. Zajmie się szyciem tych ubrań, które będą nam potrzebne, a mam nadzieję, że gdy znajdzie się znowu przy szorstkim swoim ale kochającym wuju, wówczas to, co przecierpiała, wyda jej się dalszem i mniej bolesnem".

Ciotka skinieniem głowy utwierdziła go w tej nadziei i wyraziła mu wielkie zadowolenie z takiego obrotu sprawy.

„Jest jeszcze jedna rzecz, panie Dawidku", rzekł, wsuwając rękę w kieszeń na piersiach i z powagą wyciągając stamtąd małe zawiniątko w papierze, które już kiedyś widziałem i które teraz rozłożył na stole.

„Tu oto są te banknoty — pięćdziesiąt funtów i dziesięć. Do tego pragnę dodać te pieniądze, które Emilka miała przy sobie, uciekając. Wypytałem ją, ile miała (ale nie mówiąc, dlaczego), i dodałem do nich. Nieuczony ze mnie człowiek. Czy byłby pan tak łaskaw przekonać się, czy się nie omyliłem?"

Podał mi, przepraszając za swoją nieumiejętność, kawałek papieru i patrzył na mnie, podczas gdy sprawdzałem cyfry. Rachunek był w porządku.

„Dziękuję panu“, rzekł. „Te pieniądze, jeżeli pan, panie Dawidku, uważa, że tak będzie dobrze, włożę przed samym wyjazdem w kopertę adresowaną do niego, a tę włożę w drugą, adresowaną do jego matki. Napiszę jej w paru słowach, tak jak to mówię do pana, za co to jest zapłata, i że wyjechałem i pieniędzy tych z powrotem otrzymać nie mogę“.

Powiedziałem mu, że, mojem zdaniem, bardzo słusznie tak uczyni, że jestem mocno o tem przekonany, skoro on czuje, że tak jest słusznie.

„Powiedziałem, że jest jeszcze jedna rzecz“, ciągnął dalej z poważnym uśmiechem, schowawszy paczuszkę z powrotem do kieszeni, „a tymczasem jest jeszcze i druga. Nie ufałem sobie, wychodząc dziś rano, czy potrafię pojechać i osobiście powiedzieć Hamowi o tem, co się tak szczęśliwie zdarzyło. To też napisałem list i wrzuciłem go na poczcie, donosząc o tem, co się stało i zapowiadając, że przyjadę jutro, żeby pozałatwiać, co tam jeszcze mam do załatwienia i prawdopodobnie pożegnać się już na dobre z Yarmouth“.

„Czy życzyłby pan sobie, bym pojechał z panem?“ zapytałem, uważając, że czegoś nie dopowiedział.

„Gdyby pan mógł mi uczynić tę łaskę, panie Dawidku“, odpowiedział, „wiem, że widok pana trochęby ich pocieszył“.

Ponieważ mała moja Dora w dobrym była humorze i bardzo pragnęła, żebym pojechał — o czem się przekonałem, omawiając z nią te sprawy — chętnie obiecałem mu towarzyszyć, tak jak sobie tego życzył. Nazajutrz rano przeto znów siedzieliśmy w pocztowej karecie, idącej do Yarmouth, i znów przejeżdżaliśmy dawno znane strony.

Idąc znajomemi ulicami wieczorem — pan Peggotty, wbrew moim protestom, niósł moją torebkę — spojrzałem w głąb sklepu firmy Omer i Joram i zobaczyłem tam pana Omera, palącego swą fajeczkę. Ponieważ niechętnie byłbym świadkiem pierwszego powitania pana Peggotty z siostrą i z Hamem, użyłem przeto pana Omera za wymówkę, by pozostać nieco wtyle.

„Jak się miewa pan Omer po tak długiem niewidzeniu?“ zagadnąłem, wchodząc.

Rozpędził ręką dym z fajki, chcąc mi się lepiej przypatrzeć, i zaraz też poznał mnie z wielką radością.

„Wstałbym panie na przyjęcie takiego gościa“, rzekł, „ale nogi moje jakoś do niczego i muszą mnie wozić.

Z wyjątkiem jednak tych nóg i tego oddechu, mam się zresztą, dzięki Bogu, niezgorzej“.

Powinszowałem mu zadowolenia i dobrego humoru i teraz zauważyłem, że fotel jego był na kółkach.

„To dowcipne urządzenie, prawda?“ zapytał, śledząc moje spojrzenie i wycierając łokieć ręką. „Sunie się to lekko, jak piórko i jedzie prosto, jak wóz pocztowy. Wyobraź pan sobie, moja mała Mińcia... moja wnuczka, pan wie, córka Mińci... popycha z tyłu i dalejże! jedziemy, że aż miło! A jeszcze coś panu powiem... to niesłychany fotel, jeżeli chodzi o wypalenie w nim fajeczki!“

Nigdy nie widziałem równie poczciwego staruszka, jak ten pan Omer, godzący się ze wszystkiem i wynajdujący we wszystkiem same dobre strony. Tak się cieszył, jak gdyby ten jego fotel, jego astma, bezwład jego nóg, jakby to wszystko były tylko ulepszenia dla podniesienia rozkoszy fajeczki.

„Więcej świata widzę, mogę pana zapewnić“, mówił, „odkąd siedzę w tym fotelu, niż kiedykolwiek przedtem. Zdziwiłby się pan, widząc, ilu ludzi przez dzień zagląda tu na pogwarkę. Doprawdy, zdziwiłby się pan! Dwa razy tyle znajduję teraz w gazecie, odkąd zasiedziałem się w tym fotelu. A co do czytania wogóle, o Boże mój! co ja się teraz naczytam! I to mnie tak cieszy, widzi pan! Gdyby mi to było poszło na oczy, cobym ja robił? Gdyby mi to było poszło na uszy, cobym ja robił? A że to tylko nogi, więc cóż to znaczy? No, przecież nogi tylko skracały mi oddech, gdy ich używałem. A teraz, jeżeli chcę wyjść na ulicę, albo dalej, na piaszczystą równinę, potrzebuję tylko zawołać Dicka, najmłodszego czeladnika Jorama i jadę sobie moim własnym ekwipażem, jak sam Lord Mayor Londynu!“

Tu omal że się nie udusił śmiechem.

„Boże mój drogi!“ rzekł, wracając do swojej fajeczki, „człowiek musi brać tłuste razem z chudem; na to w tem życiu musi się zdecydować. Joram dobry prowadzi interes. Doskonały interes!“

„Bardzo się z tego cieszę“, odpowiedziałem.

„Wiedziałem, że pan temu rad będzie. A Joram i Mińcia, to jak para gołąbków. Czegóż więcej człowiek pragnąć może? Czemże są nogi wobec tego?“

Jego wyniosła pogarda dla własnych nóg, gdy tak siedział, kurząc fajeczkę, była wysoce zabawna i oryginalna.

„A podczas gdy ja zabrałem się do czytania, pan zabrałeś się do pisania, co, panie?“ mówił dalej, patrząc na mnie z podziwem. „Jaka to ··czna rzecz, ta pańska powieść! Jakie tam wyrażenia! Przeczytałem od deski do deski — od deski do deski! A żeby się spać człowiekowi przy tem zachciało! Ani trochę!“

Śmiejąc się, podziękowałem, ale muszę przyznać, że tą uwaga wydała mi się wymowną.

„Słowo honoru panu daję“, mówił dalej, „że gdy położę tę książkę na stole i patrzę na nią z wierzchu — gruba, w trzech tomach — raz, dwa, trzy — dumny jestem, jak paw, że miałem zaszczyt być niegdyś w stosunkach z pańską rodziną. Ach Boże, dawno to już, prawda? jak dawno! Tam w Blunderstone. Ładna mała osóbka, złożona razem z drugą osobą. A pan sam, mała osóbka, jeszcze wtedy. Mój Boże! mój Boże!“

Zmieniłem przedmiot rozmowy, wspominając o Emilce. Zapewniwszy go, że pamiętam, jak się nią zawsze interesował, i jak dobry był zawsze dla niej, opowiedziałem mu w krótkości, jak została powróconą wujowi przy pomocy Marty; wiedziałem, że się to staremu spodoba. Słuchał ze skupioną uwagą, a gdy skończyłem, rzekł, cały przejęty: „Tak się z tego cieszę, panie! Tak dobrej nowiny dawno nie usłyszałem. Boże ty mój! Boże ty mój! A cóż to zamyśla się zrobić dla tej nieszczęśliwej dziewczyny, dla Marty?“

„Dotyka pan sprawy, którą od wczoraj obracam w myśli“, odpowiedziałem, „ale o której tymczasem nic panu, panie Omer, powiedzieć jeszcze nie mogę. Pan Peggotty nie wspomniał o tem, a ja przez delikatność poruszyć tego nie chciałem. Jestem pewny, że nie zapomniał. On zawsze pamięta o wszystkiem, co jest bezinteresowne i dobre“.

„Bo widzi pan“, podjął pan Omer dalszy ciąg swojej myśli, „cokolwiekby się robiło, ja pragnąłbym do tego należeć. Niech mnie pan podpisze na tyle, na ile pan będzie uważał, że należy, i niech mi pan da znać. Ja tej dziewczyny nigdy za zupełnie zepsutą nie mogłem uważać i rad jestem, że się dowiaduję, iż nią nie jest. Tak samo ucieszy się moja córka, Mińcia. Młode kobiety to w niektórych sprawach przekorne istoty... matka jej była taka samiuteńka jak i ona... ale serca ich miękkie są i dobre. To wszystko u Mińci udawanie, co się tyczy Marty. Dlaczego uważała za potrzebne udawać, tego ja panu wytłumaczyć nie potrafię. Ale to wszystko pozory, udawanie. Po cichu zrobiłaby dla niej, coby tylko mogła dobrego. Więc niech mnie pan podpisze na ile będzie pan uważał za właściwe, będzie pan tak dobry? i niech mi pan słówko napisze, gdzie mam to wysłać. Mój Boże!“ mówił dalej pan Omer, „gdy człowiek dociągnie do tego okresu w życiu, gdzie się dwa końce życia stykają, gdy, chociaż raźny na duszy, po raz drugi musi się dać wozić, powinien być rad, jeżeli może gdzieś, komuś, coś dobrego zrobić. Sam tyle od drugich potrzebuje! I ja nietylko o sobie wyłącznie to mówię, bo panie, wedle mojego zdania, my wszyscy zjeżdżamy na dół z pagórka, w jakimkolwiek wieku jesteśmy, gdyż czas nigdy nie staje, ani na jedną chwilkę nie staje. To też zawsze spełniajmy dobre uczynki i cieszmy się z tego. z pewnością!“

Wytrząsnął popiół z fajki i położył ją na półeczce w tyle fotela, umyślnie na ten cel zrobionej.

„Oto ten kuzyn Emilki, ten, co to za niego wyjść miała“, mówił pan Omer, lekko zacierając ręce, „najdzielniejszy chłopak w całem Yarmouth! Ten przychodzi i rozmawia ze mną albo czyta mi wieczorami, nieraz i przez całą godzinę. Przecież to dobry uczynek, jakże nazwać to inaczej? Całe jego życie jest jednym dobrym uczynkiem“.

„Zobaczę go za chwilę“, rzekłem.

„Czy tak? Niech go pan ode mnie serdecznie pozdrowi. Mińcia i Joram są na balu. Cieszyliby się panem równie, jak ja, gdyby byli w domu. Mińcia nie chce wcale wychodzić z domu, widzi pan, ze względu na ojca, jak ona powiada. Wobec tego ja dzisiaj przysiągłem, że jeżeli nie pójdzie, to już o szóstej położę się do łóżka. Skutkiem tego“, pan Omer razem ze swym fotelem zatrząsł się od śmiechu, że mu się tak sztuczka udała, „ona i Joram są teraz na balu“.

Uścisnąłem mu ręce i powiedziałem dobranoc.

„Jeszcze minutkę, panie“, zatrzymał mnie pan Omer. „Jeżeliby pan poszedł i nie zobaczył mojego małego słoneczka, ominąłby pana arcymiły widok. Nigdy pan czegoś podobnego nie zobaczy! Mińciu!“

Dźwięczny głosik gdzieś z góry odpowiedział: „Idę! idę, dziadziu!“ i ładna mała dziewczynka z długiemi, lnianemi, kręcemi włosami prędko wbiegła do sklepu.

„To jest mój mały słoń, panie“, rzekł pan Omer, pieszcząc dziecko. „Prawdziwa rasa siamska, panie. Dalej, mały sloniku!“

Mały słoń otworzył szeroko drzwi od bawialni, tak, że mogłem zauważyć, iż w ostatnich czasach pokój ten zamieniono na sypialnię dla pana Omera, którego niełatwo było transportować na górę; następnie słoń, rozsypując długie włoski, oparł miłe czółko o tył fotela dziadka.

„Słoń bodzie, pan wie“, mrugnął do mnie pan Omer, „gdy chce coś z miejsca ruszyć. Raz, słoniku, dwa i... trzy!“

Na tę komendę słonik, z zręcznością zadziwiającą w tak małem zwierzątku, obrócił fotel wraz z panem Omerem i poturkotał do bawialni, nie zawadziwszy o drzwi; pan Omer, niewymownie zachwycony tą sztuką, oglądał się na mnie po drodze jak gdyby to był triumfalny rezultat działalności całego jego żywota.

Przeszedłszy się trochę po mieście, zaszedłem do domu Hama. Peggotty przeprowadziła się tu już na dobre, a własny dom wynajęła następcy Barkisa w interesie przewozowym, który jej bardzo dobrze zapłacił za firmę, brykę i ko-

nia. Zdaje mi się, że ten sam leniwy rumak, którym powoził Barkis, wciąż jeszcze chodził w zaprzęgu.

Zastałem ich wszystkich w czystej i ładnej kuchni w towarzystwie pani Gummidge, po którą pan Peggotty sam poszedł do starej łodzi. Wątpię, czy ktokolwiek inny byłby ją nakłonił do opuszczenia swego posterunku. Widocznie opowiedział im już wszystko. Obydwie, Peggotty i pani Gummidge, ocierały fartuchami oczy, a Ham wyszedł właśnie, żeby się trochę przejść po wybrzeżu. Wrócił za chwilę i bardzo się mną ucieszył — zdaje mi się, że im wszystkim dobrze zrobiła moja obecność. Rozmawialiśmy, nieledwie wesoło o tem, jak się to pan Peggotty wzbogaci w tym nowym świecie, i o tych cudownościach, jakie nam w listach będzie opisywać. Emilki nie wspominaliśmy imieniem, ale nieraz zlekka i omówieniami potrącaliśmy o nią. Ham z całego towarzystwa był najpogodniejszy.

Peggotty jednak powiedziała mi, odprowadzając mnie ze światłem do małego pokoiku, gdzie na stole książka o Krokodylach zawsze na mnie czekała, że taki był on zawsze. Wierzyła (powiedziała mi to płacząc), że serce w nim śmiertelnie chore — choć odważnym był zarówno jak łagodnym i pracował wytrwalej i lepiej od najlepszych cieśli okrętowych we wszystkich okolicznych warsztatach. Zdarzało się, opowiadała, że niekiedy, wieczorami, mówił o dawnem ich życiu w starym domu z łodzi i wtedy wspominał Emilkę, gdy była jeszcze dzieckiem. Nigdy jednakże nie wspominał o niej, jako o dorosłej.

Wydało mi się, że na twarzy Hama wyczytałem pragnienie pomówienia ze mną na osobności. Dlatego też postanowiłem znaleźć się na jego drodze nazajutrz wieczorem, gdy będzie wracał z roboty do domu. To sobie ułożywszy, zasnąłem. Tej nocy po raz pierwszy od tak wielu nocy świecę zdjęto z okna, pan Peggotty bujał w hamaku swoim w starej łodzi, a wiatr szumiał po staremu dokoła jego głowy.

Cały następny dzień pan Peggotty zajęty był pozbywaniem się swojej rybackiej łodzi i przyborów, pakowaniem i wysyłaniem do Londynu wozem przewozowym tych ze swych szczupłych gospodarskich sprzętów, które sądził, że mu się przydadzą, i sprzedażą reszty lub obdarowaniem nią pani Gummidge. Ta była z nim przez cały dzień. Ponieważ boleśnie pragnąłem ujrzeć raz jeszcze stare to mieszkanie, zanim je ostatecznie zamkną, umówiłem się z nimi, że przyjdę tam do nich wieczorem. Urządziłem to jednak tak, żebym mógł wpierw spotkać się z Hamem.

Łatwo mi było znaleźć się na jego drodze, ponieważ wiedziałem, gdzie pracuje. Spotkałem go w ustronnej części piaszczystej równiny i zawróciłem z nim razem, ażeby miał

czas powiedzieć mi coś, jeżeliby rzeczywiście tego pragnął. Dobrze zatem zrozumiałem wyraz jego twarzy. Zaledwie uszliśmy kawałek drogi, rzekł, nie patrząc na mnie: „Panie Dawidku, czy pan ją widział?"

„Tylko chwileczkę, gdy leżała omdlała", odpowiedziałem cicho.

Poszliśmy dalej, a on znów zapytał: „Panie Dawidku, czy pan ją zobaczy, jak pan myśli?"

„Możeby to było dla niej zanadto przykre", odpowiedziałem.

„I ja się nad tem zastanawiałem", odparł. „Tak, panie, niezawodnie. Toby jej sprawiło przykrość".

„Ale Hamie", przemówiłem łagodnie, „jeżeli jest coś, cobym ja jej mógł napisać, jako zlecenie twoje, na wypadek, gdybym jej tego nie mógł powiedzieć — jeżeli życzyłbyś sobie, żeby się czegoś dowiedziała przeze mnie — uważałbym to za zlecenie, którebym święcie spełnił".

„Tego jestem pewny. Dziękuję panu, dziękuję serdecznie. Właściwie jest coś, cobym pragnął, żeby jej można powiedzieć lub napisać".

„Cóż to takiego?"

Uszliśmy znowu kawałek drogi w milczeniu, a wtedy Ham przemówił: „To nie to, że ja jej przebaczam. To nie tyle to. Ale raczej, że j a ją proszę, żeby ona mi przebaczyła, że uczucia moje narzuciłem jej. Nieraz sobie myślę, że gdyby nie to, iż przyrzekła mi być moją żoną — tyle ona miała do mnie przyjacielskiego zaufania, że zapewne byłaby mi wyznała, z czem tam w duszy walczyła, i byłaby u mnie szukała rady i byłbym ją mógł był ocalić".

Uścisnąłem mu rękę.

„Czy to wszystko?"

„Jest jeszcze coś, jeśli to potrafię wyrazić, panie Dawidku!"

Uszliśmy dłuższy kawałek drogi, zanim znów przemówił. Nie płakał, robiąc te przerwy, które zaznaczę; skupiał się tylko, żeby mówić jak najjaśniej.

„Kocham ją... i kocham jej pamięć... za głęboko... żebym mógł kazać jej wierzyć że ze mnie człowiek szczęśliwy. Mógłbym jedynie być szczęśliwym... zapominając o niej... ale myślę, że nie potrafiłbym tego znieść, by jej powiedziano, że o niej zapomniałem. Ale gdyby pan, taki uczony, panie Dawidku, mógł wymyśleć coś, coby jej można powiedzieć tak, żeby uwierzyła, że ja nie tak bardzo jestem nieszczęśliwy, choć zawsze ją kocham i żal po niej noszę w sercu; coś, coby dało jej uwierzyć, że mi się moje życie nie przykrzy, chociaż zawsze żyję w nadziei, że zobaczę ją kiedyś tam, gdzie już źli nie dokuczają, a znużeni doznają

spokoju... coś, coby ulżyło jej strapionej duszy, a jednak nie pozwoliło jej myśleć, że ja kiedyś w życiu mógłbym się ożenić, że byłoby możliwe, ażeby która inna była dla mnie tem, czem ona mi była... jabym prosił pana, żeby jej pan to powiedział... i że modlę się za nią... co tak mi była drogą".

Uścisnąłem znów męską jego dłoń i obiecałem mu, że podejmę się wykonać jego zlecenie jak będę umiał najlepiej.

„Bóg panu zapłaci", odpowiedział. „Poczciwie pan zrobił, że pan mnie szukał. Poczciwie pan zrobił, że pan wujowi towarzyszył tutaj. Panie Dawidku, ja wiem bardzo dobrze, że chociaż ciotka moja pojedzie do Londynu zanim oni odpłyną, chociaż się oni raz jeszcze zgromadzą, ja jego zapewne już nigdy nie zobaczę. Czuję napewno, że tak będzie. Nie mówimy o tem ze sobą, ale tak będzie — i tak będzie lepiej. Gdy go pan po raz ostatni zobaczy... po raz najostatniejszy... czy zechce mu pan wyrazić całe najserdeczniejsze przywiązanie i wdzięczność sieroty, dla którego był więcej, niż ojcem?"

I to mu przyrzekłem wypełnić wiernie.

„Jeszcze raz dziękuje panu", rzekł, serdecznie ściskając mi ręce. „Wiem, dokąd pan idzie. Do widzenia!"

Uczyniwszy lekki ruch ręką, jak gdyby chciał mi wytłumaczyć, że nie czuje się na siłach wstąpić do starego domu, zawrócił. Śledząc wzrokiem jego postać, w księżycowej poświacie kroczącą przez pustkę, widziałem, że odwraca twarz w stronę paska srebrnego światła na morzu i że idzie, wpatrzony weń, aż znikł mi, jako cień w oddali.

Drzwi domku ze starej łodzi stały otworem, gdy się zbliżyłem; wszedłszy zauważyłem, że opróżniony był ze wszystkich sprzętów, z wyjątkiem jednej starej skrzynki, na której z koszykiem na kolanach siedziała pani Gummidge. Siedziała i patrzyła na pana Peggotty. Ten wspierał się łokciem o prosty gzyms kominka i patrzył na kilka dogasających w piecu węgli; gdym nadszedł, podniósł raźno głowę i przemówił serdecznie: „Przyszedł pan, jak pan obiecał, pożegnać starą łódź, czy tak, panie Dawidku?" rzekł, ujmując lichtarz ze świecą. „Dość teraz pusta, prawda?"

„Rzeczywiście, nie traciliście państwo czasu", odpowiedziałem.

„To prawda, nie próżnowaliśmy wcale. Pani Gummidge pracowała, jak... nie wiem, jak co pracowała pani Gummidge", kończył pan Peggotty, patrząc na nią i nie mogąc znaleźć dość pochlebnego porównania.

Pani Gummidge, wsparta na swoim koszyku, nie odezwała się wcale.

„To ta sama skrzyneczka, na której pan siadywał razem z Emilką!" szepnął pan Peggotty. „Zabiorę ją ze sobą na samym ostatku. A oto tu pańska mała sypialnia, niech pan patrzy, panie Dawidku! Tak pusta już dzisiaj, jak tylko można!"

W istocie, wiatr, choć nie gwałtowny, brzmiał jakimś uroczystym szumem i okrążał ten dom opustoszały jakimś szeptem czy skargą, niezmiernie żałosną. Wszystko zabrano, nawet małe lusterko w ramce z muszelek. Pomyślałem o sobie, jak leżałem tam, gdy pierwsza wielka zmiana dokonywała się w domu. Pomyślałem o niebieskookiem dziecku, które mnie oczarowało. Pomyślałem o Steerforthie: i naszło mnie niemądre a straszne przywidzenie, że on się gdzieś blisko znajduje i może się lada chwila ukazać.

„Zdaje się, że nie tak prędko łódź znajdzie nowych mieszkańców", cicho rzekł pan Peggotty. „Uważają tutaj teraz, że ona nie przynosi szczęścia!"

„Czy należy ona do kogo z tych stron?" zapytałem.

„Do budowniczego masztów w mieście", odpowiedział. „Mam mu oddać klucz jeszcze dziś wieczór".

Zajrzeliśmy do drugiego pokoiku i wróciliśmy do pani Gummidge siedzącej na skrzynce; pan Peggotty, postawiwszy świecę na gzymsie kominka, poprosił ją, by wstała, ażeby mógł skrzynkę wynieść za drzwi, zanim zgasi świecę.

„Danielu", przemówiła pani Gummidge, nagle puszczając swój koszyk i czepiając się jego ramienia, „mój drogi Danielu, moje ostatnie słowa przy rozstaniu z tym domem, to że nie trzeba mnie zostawiać. Nie chciej mnie opuszczać, Danielu! O nie rób tego, nie rób!"

Pan Peggotty, zaskoczony tem, patrzył to na panią Gummidge, to na mnie, i znów to na mnie to na panią Gummidge, jak gdyby przebudzony ze snu.

„Nie rób tego, najdroższy Danielu, nie rób!" prosiła pani Gummidge gorąco. „Weź mnie ze sobą, Danielu, weź mnie ze sobą i z Emilką! Będę waszą służącą, wierną i przywiązaną. Jeżeli są niewolnicy w tamtych krajach, dokąd ty się udajesz, ja chcę być dla was niewolnicą, i będę szczęśliwa, tylko nie zostawiaj mnie, Danielu, mój ty dobry i kochany!"

„Moja zacna duszo", odpowiedział, potrząsając głową, „ależ ty nie wiesz, jaka to długa podróż i jakie ciężkie życie tam będzie".

„Owszem, ja wiem, Danielu! Potrafię sobie wyobrazić!" wołała pani Gummidge. „Ale to ostatnie moje słowo pod tym dachem, że wejdę do tego domu i umrę tu, jeżeli mnie nie weźmiecie. Ja umiem kopać, Danielu. Ja umiem pracować. Ja mogę znieść twarde życie. Potrafię być kochającą i cierpliwą teraz — więcej, niż ty przypuszczasz, Danielu, wystaw

mnie tylko na próbę! Nie dotknęłabym pensji, choćbym z głodu miała umierać. Danielu Peggotty, ale pojadę z tobą i z Emilką, jeśli mi tylko pozwolicie, na koniec świata! Ja wiem, jak to jest; ja wiem, ty myślisz, że ja jestem samotna i opuszczona, ale, mój ty najlepszy, już teraz tak nie jest! Ja tu nie darmo siedziałam tak długo czuwając i myśląc o twoich ciężkich zgryzotach... i na tem coś skorzystałam. Panie Dawidku, niech pan za mną przemówi do niego! Ja znam przyzwyczajenia jego i Emilki i zmartwienia ich znam i czasem mogłabym ich pocieszyć, a pracować dla nich mogę zawsze! Danielu, drogi Danielu, zabierz mnie ze sobą!"

Tu pani Gummidge wzięła jego rękę i ucałowała ją z prostą czcią i uczuciem, w prostem uniesieniu przywiązania i wdzięczności, na które tak bardzo zasłużył.

Wynieśliśmy skrzynkę, zgasiliśmy świecę, zamknęliśmy drzwi z zewnątrz i opuściliśmy starą łódź szczelnie zamkniętą, czarną plamę wśród chmurnej nocy. Nazajutrz, gdyśmy powracali do Londynu, tylne siedzenie zajmowała pani Gummidge i jej koszyk — i pani Gumidge była szczęśliwa.

Rozdział pięćdziesiąty drugi.

Jestem świadkiem wybuchu.

Gdy już tylko dwudziestu czterech godzin brakowało do tego, tak tajemniczo przez pana Micawbera oznaczonego terminu, złożyliśmy z ciotką naradę, jak mamy postąpić, ciotka bowiem bardzo niechętnie myślała o odjechaniu Dory. Ach, jakże lekko mi teraz było znosić i wnosić Dorę po schodach!

Pomimo, że pan Micawber życzył sobie obecności ciotki, chcieliśmy tak sprawę urządzić, by ciotka została w domu i żebym ja ją zastąpił razem z panem Dickem. Dora jednakże pokrzyżowała nam zamiary, oświadczając, że nigdyby sobie nie darowała, nigdyby nie darowała swojemu niepoczciwemu chłopcu, gdyby ciotka pod jakimkolwiek pozorem pozostała w domu.

„Ust nie otworzę do cioci", mówiła Dora, potrząsając loczkami. „Będę niegrzeczna! Każę Jipowi przez cały dzień szczekać na ciocię. Uwierzę, że ciocia jest naprawdę nieznośna staruszka, jeżeli ciocia nie pojedzie!"

„Cicho, Kwiatuszku!" roześmiała się moja ciotka. „Ty wiesz, że nie możesz obejść się beze mnie!"

„A właśnie, że mogę!" odparła Dora. „Ciocia mi wcale niepotrzebna. Ciocia nie biega wcale dla mnie przez cały dzień po schodach. Ciocia nie siedzi przy mnie i nie opowiada mi historyjek o Doadym, kiedy to miał podarte trzewiki i cały był zasypany kurzem... o, biedny mały chłopczyna! Nigdy nic ciocia nie zrobi, żeby mi dogodzić, prawda, kochana?" Tu Dora co prędzej ucałowała ciotkę i dokończyła: „Właśnie, że dogadza mi cioteczka! Ja tylko tak żartuję!" ażeby ciotka czasami nie pomyślała, że mówi na serjo. „Ale ciociu", napierała się Dora, „proszę tylko posłuchać. Ciocia musi jechać. Będę się cioci tak naprzykrzała, że musicie mi pozwolić postawić na swojem. Mojemu niegodziwemu chłopakowi zatruję życie, jeżeli nie nakłoni cioci. Będę taka nieprzyjemna — i Jip też. Będzie ciocia żałowała, że grzecznie na długo, długo nie pojechała, jeżeli ciocia nie pojedzie. A zresztą", tu Dora odgarnęła włosy i zdziwionym wzrokiem powiodła po ciotce i po mnie, „dlaczego nie mielibyście oboje pojechać? Przecież ja nie jestem bardzo chora! Czy myślicie, że jestem?"

„Co znowu! Co za pytanie!" zawołała ciotka.

„Co się tobie roi!" dorzuciłem.

„To prawda. Ja wiem, że ze mnie głuptasek!" powiedziała Dora, zwolna przechodząc wzrokiem od jednego z nas do drugiego, a potem wysunęła ku nam usteczka do pocałunku. „Ale musicie pojechać oboje, inaczej wam nie uwierzę; a wtedy będę płakała!"

Z twarzy ciotki wyczytałem, że zaczyna ustępować; Dora to zobaczyła i rozpromieniła się natychmiast.

„Wrócicie i będziecie mieli tyle do opowiadania, że przynajmniej z tydzień zejdzie, zanim to zrozumiem!" dowodziła Dora. „Bo ja w i e m, że długo nie będę mogła zrozumieć, jeżeli to będzie chodziło o jakiś interes. A tam z pewnością chodzi o jakiś interes! A jeżeli przytem będzie trzeba coś dodawać, to już naprawdę nie wiem, kiedy ja się z tem załatwię; a mój niedobry chłopak taką przez cały czas będzie miał nieszczęśliwą minę! Ot co! No więc pojedzie ciocia, prawda, pojedzie? Jednej nocy tylko was nie będzie, a Jip będzie się mną opiekował, gdy nie będzie was. Doady zaniesie mnie na górę, zanim wyjedziecie, a ja nie zejdę na dół, dopóki nie wrócicie; i zabierzecie też dla Agnieszki list ode mnie z straszną burą za to, że nas nigdy jeszcze nie odwiedziła!"

Zgodziliśmy się, bez dalszych narad, że pojedziemy oboje i że z Dory mała komedjantka, która udaje chorą, bo lubi, by ją pieszczono. Dora ucieszyła się bardzo i bardzo była wesoła; my czworo zaś, to znaczy ciotka, pan Dick, Traddles i ja, pojechaliśmy do Canterbury pocztą w stronę Dover tego jeszcze wieczora.

W hotelu, gdzie pan Micawber prosił, żebyśmy go oczekiwali, a do wnętrza którego dobiliśmy się z pewnym kłopotem gdzieś około północy, zastałem list, donoszący, że

pan Micawber zjawi się punktualnie o wpół do dziesiątej. Przeczytawszy to, rozeszliśmy się, drżąc z chłodu o tej nieporęcznej godzinie, każdy do swojego łóżka, prowadzeni przez duszne korytarze, przesiąknięte odwieczną wonią zup i stajni.

Wczesnym już rankiem włóczyłem się po kochanych, starych, spokojnych ulicach, w cieniu czcigodnych kościołów i krużganków. Wrony krążyły wokoło wież katedralnych, a wieże same, panując nad szeroką jednostajną przestrzenią żyznej okolicy, przerzniętej rzekami, odcinały się na tle jasnego porannego nieba, jak gdyby na ziemi nie istniało coś takiego, jak zmiana. Gdy jednakże zadźwięczały dzwony, opowiedziały mi one smętnie, że przeciwnie, wszystko ulega zmianie; opowiedziały mi o starości swojej i o młodości mojej ślicznej Dory, o tych wielu, co starości nie zaznali, co żyli, kochali i pomarli, podczas gdy dźwięk dzwonów cichym pobrzękiem odzywał się w zardzewiałej zbroi Czarnego Księcia, wiszącej w Katedrze, a pył nad otchłanią Czasu rozpłynął się w powietrzu, jak kółka na wodzie.

Popatrzyłem na stary dom od rogu ulicy, nie przybliżyłem się jednak, w obawie, że gdyby mnie zauważono, mógłbym zaszkodzić sprawie, którą przyjechałem poprzeć. Poranne słońce ukosem padało na szczyty jego i okiennice w oknach, złocąc je — i wydało mi się, że kilka promieni dawnego spokoju tego domu wpadło mi do serca.

Z jaką godzinę jeszcze spacerowałem po zamiejskich polach, a potem wróciłem główną ulicą, która tymczasem otrząsnęła się ze snu nocy. Pomiędzy tymi, którzy krzątali się w sklepach, zauważyłem dawnego mojego nieprzyjaciela, rzeźnika, który teraz nosił wysokie buty i dziecko, i prowadził interes na własną rękę. Niańczył dziecko i wydawał się być dobrodusznym członkiem społeczeństwa.

Wszyscy bardzo niespokojni i niecierpliwi zasiedliśmy do śniadania. Gdy zaś zbliżało się wpół do dziesiątej, wzrosło w nas jeszcze gorączkowe oczekiwanie pana Micawbera. Nareszcie przestaliśmy udawać, że obchodzi nas śniadanie, co u nas wszystkich, z wyjątkiem pana Dicka, było od początku tylko pozorem; ciotka moja zaczęła więc chodzić po pokoju tam i powrotem, Traddles zasiadł na kanapie i udawał, że czyta gazetę, patrząc w sufit, a ja wyglądałem przez okno, żeby zaraz uwiadomić wszystkich o nadejściu pana Micawbera. Niedługo potrzebowałem wyglądać, gdyż z pierwszem uderzeniem oznaczonej godziny ukazał się na ulicy.

„Otóż i on“, rzekłem, „i nie w swoim prawniczym stroju!“

Ciotka zawiązała wstążki kapelusza, w którym zeszła do śniadania, i włożyła szal, jak gdyby była gotową na każdy czyn odważny i bezwzględny. Traddles zapiął surdut z miną zdeterminowaną. Pan Dick, zaskoczony temi groźnemi oznakami, ale rozumiejąc, że trzeba je naśladować, z całą stanowczością zaciągnął sobie oburącz kapelusz na uszy — ale natychmiast zdjął go znowu, by powitać pana Micawbera.

„Panowie i pani“, przemówił pan Micawber, „dzień dobry! Mój drogi panie“, do pana Dicka, który gwałtownie trząsł jego ręką, „pan jest niezmiernie dobry!“

„Czy pan po śniadaniu?“ zapytał pan Dick. „Możeby pan zjadł kotlecika?“

„Za nic w świecie, dobry panie!“ zawołał pan Micawber, zatrzymując go, gdyż biegł już do dzwonka; „ja i apetyt, panie Dixon, dawno wzięliśmy rozbrat ze sobą“.

Panu Dixon tak się spodobało jego nowe nazwisko i uważał to widocznie za tak wielką uprzejmość ze strony pana Micawbera, że go niem obdarzył, iż znów zaczął mu ściskać ręce, śmiejąc się może trochę dziecinnie.

„Dicku!“ upomniała moja ciotka, „uważaj, proszę!“

Pan Dick opanował się i zarumienił.

„Tak więc, łaskawy panie“, zwróciła się ciotka do pana Micawbera, nakładając rękawiczki, „jesteśmy gotowi wyruszyć na Wezuwjusz, lub gdziebądź, gdy tylko pan zażąda“.

„Pani“, odpowiedział pan Micawber, „mam nadzieję, że niebawem będzie pani świadkiem wybuchu. Panie Traddles, pan mi pozwoli, prawda, wspomnieć tutaj, że komunikowaliśmy się ze sobą?“

„To niewątpliwie prawda, Copperfieldzie!“ odpowiedział Traddles, na którego spojrzałem zdziwony. „Pan Micawber zasięgał mojej rady co do tego, co zamierza, a ja radziłem mu jak umiałem najlepiej“.

„Jeżeli się nie mylę, panie Traddles“, mówił dalej pan Micawber, „to co zamierzam, będzie to rewelacja, w istocie swej niezmiernie ważna“.

„Bardzo ważna“, potwierdził Traddles.

„Może więc w tych warunkach, panowie i pani“ mówił pan Micawber, „zechcecie zrobić mi tę łaskę i poddać się na chwilę kierownictwu człowieka, który jakkolwiek niegodzien jest, by go uważano za co innego, jak za rozbity szczątek ludzki na falach istnienia, jest wszelako bliźnim waszym, chociaż skruszyły w nim pierwotny kształt osobiste błędy i przemożna siła sprzysiężonych okoliczności?“

„Ufamy panu najzupełniej, panie Micawber“, rzekłem, „i zrobimy, co pan zechce“.

„Panie Copperfield", odpowiedział na to, „zaufanie pańskie w danym wypadku nie jest źle umieszczone. Proszę, niech mi będzie wolno wyprzedzić państwa, dokładnie o pięć minut, a potem przyjąć tu obecnych, gdy przyjdą i pytać będą o pannę Wickfield, w biurze firmy Wickfield i Heep, której jestem urzędnikiem".

Ciotka i ja spojrzeliśmy na Traddlesa, on zaś kiwnął głową na znak zgody.

„Nie mam narazie nic więcej do powiedzenia".

To powiedziawszy, ku memu niezmiernemu zadziwieniu, pan Micawber objął nas wszystkich łącznym ukłonem i zniknął; obejście jego było pełne chłodu, a twarz niezmiernie blada.

Traddles uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową (z stojącemi na niej sztorcem włosami), gdy spojrzałem na niego pytająco; wyciągnąłem więc zegarek i ostatecznie zacząłem odliczać te pięć minut. Ciotka, ze swoim zegarkiem w ręku, robiła to samo. Gdy czas upłynął, Traddles podał jej ramię i wszyscy razem poszliśmy do starego domu, nie mówiąc ani słowa przez drogę.

Zastaliśmy pana Micawbera przy biurku w biurze z wieżyczką na parterze, piszącego, czy tylko udającego, że pisze, bardzo pracowicie. Wielką linję biurową zatkniętą miał za kamizelką; nie kryła się tam całkowicie, ale sterczała na stopę albo i więcej z jego piersi, jak jakiś nowy rodzaj żabotu.

Ponieważ wydało mi się, że oczekiwano po mnie, bym się odezwał, rzekłem przeto głośno: „Jak się pan miewa, panie Micawber?"

„Panie Copperfield", odpowiedział pan Micawber poważnie, „jak zdrowie pańskie?"

„Czy zastaliśmy pannę Wickfield?" zapytałem.

„Pan Wickfield jest niezdrów, ma febrę reumatyczną i leży w łóżku", odpowiedział, „ale panna Wickfield z pewnością rada będzie zobaczyć dawnych przyjaciół. Proszę niech pan będzie łaskaw wejść".

Wprowadził nas do dawnego jadalnego pokoju — pierwszego pokoju w tym domu, do którego niegdyś wszedłem — i otworzywszy drzwi do dawnego biura pana Wickfielda, obwieścił głosem donośnym: „Panna Trotwood, pan Dawid Copperfield, pan Tomasz Traddles i pan Dixon!"

Nie widziałem Uriasza Heep od czasu owego policzka. Nasze odwiedziny zdziwiły go, oczywiście; nic dziwnego, bo przecież dziwiły i nas samych. Nie ściągnął brwi, bo brwi prawie nie miał, ale zmarszczył się tak, że prawie zamknął małe swoje oczy, zaś szybkie podniesienie kościstej ręki do brody świadczyło o jakiemś niemiłem zdziwieniu. Było tak tylko w pierwszej chwili naszego wejścia do pokoju, gdy spojrzałem na niego z poza ramienia ciotki. W chwilę później już się płaszczył i uniżał, jak to on zawsze.

„Ależ doprawdy..." rzekł. „Co za przyjemna niespodzianka! Mieć, jeśli mi wolno tak się wyrazić, wszystkich przyjaciół z dzielnicy św. Pawła u siebie, razem zgromadzonych, to przyjemność nieoczekiwana! Panie Copperfield, mam nadzieję, że pan się dobrze miewa i... jeżeli ośmielę się tak się wyrazić... życzliwie się odnosi do tych, którzy są zawsze pańskimi przyjaciółmi, z wzajemnością czy bez wzajemności. Spodziewam się, że pani Copperfield miewa się niezgorzej. Prawdziwie obeszły nas, zapewniam pana, niedobre wiadomości, jakie w ostatnich czasach doszły nas o jej stanie".

Wstydziłem się, że muszę podać mu rękę, ale nie wiedziałem narazie, co zrobić.

„Pozmieniało się niejedno w tem biurze, panno Trotwood, od czasu, gdy byłem tu skromnym piszczykiem i trzymałem pani kuca... nieprawdaż?" zwrócił się do mojej ciotki z najobrzydliwszym swoim uśmiechem. „Ale i ja się zmieniłem".

„Powiem prawdę", odparła ciotka, „że, mojem zdaniem, został pan dosyć wierny zapowiedziom swej młodości... jeżeli to panu sprawia przyjemność".

„Dziękuję pani za jej dobrą opinję", odpowiedział Uriasz, wijąc się w ten swój nieznośny sposób. „Micawber! Daj pan znać pannie Agnieszce... i matce. Matka nie będzie się posiadała z radości, gdy zobaczy to całe towarzystwo!" Mówiąc to, przysuwał nam krzesła.

„Pan nie jest teraz zajęty, panie Heep?" zapytał Traddles, z którego wzrokiem przypadkiem spotkało się chytre czerwone oko Uriasza, badawczo nas spoglądające, a równocześnie unikające naszych spojrzeń.

„Nie, panie Traddles", odrzekł Uriasz, zasiadając na swojem urzędowem miejscu i ściskając swoje chrząstkowate ręce, złożone do siebie dłońmi i umieszczone pomiędzy kościstemi kolanami. „Nie tak, jakbym pragnął. Ale prawnicy, rekiny i lekarze nigdy nie mają dosyć, jak panu wiadomo! Zresztą ja i Micawber mamy, ogólnie biorąc, dosyć do roboty, zważywszy, że pan Wickfield prawie zupełnie niezdolny jest do jakiegoś zajęcia. Ale to przyjemność, naturalnie, nie tylko obowiązek, pracować dla n i e g o. Pan, zdaje mi się, nie zna bliżej pana Wickfielda, panie Traddles? Zdaje mi się, że ja sam raz jeden tylko miałem przyjemność widzieć pana?"

„Nie, nie znałem bliżej pana Wickfielda", odpowiedział Traddles.; „gdyby nie to, byłbym może już dawno złożył panu wizytę, panie Heep".

Było coś w tonie tej odpowiedzi, co sprawiło, że Uriasz spojrzał na mówiącego powtórnie, spojrzeniem posępnem i podejrzliwem. Widząc jednakże przed sobą Traddlesa z jego poczciwą twarzą, z jego prostotą i sterczącemi włosami, pozbył się podejrzliwości i odpowiedział, skręcając się całem ciałem, a zwłaszcza szyją: „Wielka szkoda, panie Traddles. Podziwiałby go pan, tak jak my wszyscy. Drobne jego usterki jeszczeby go panu uczyniły milszym. Gdyby pan jednak chciał usłyszeć wymowny hymn pochwalny na cześć mojego wspólnika, odesłałbym pana do Copperfielda. O tej rodzinie umie on pięknie mówić, nie wiem, czy pan go kiedy słyszał?"

Nie mogłem zaprzeczyć temu komplementowi, nawet gdybym chciał, gdyż w tej chwili weszła Agnieszka, wprowadzona przez pana Micawbera. Wydała mi się nie tak opanowaną, jak zazwyczaj bywała; znać było, że cierpiała od niepokoju i zmęczenia. Jednakże poważna jej serdeczność, spokojna jej piękność tem milszą jeszcze świeciły jasnością.

Widziałem, jak Uriasz śledził ją bacznie, gdy się z nami witała; przypominał mi on wówczas brzydkiego i buntowniczego czarownika, pilnującego dobrego ducha. Tymczasem pan Micawber i Traddles zamienili jakieś drobne znaki i Traddles, niepostrzeżenie wysunął się z pokoju.

„Proszę nie czekać, Micawber", rzekł Uriasz.

Pan Micawber z ręką na linji, zatkniętej na piersi, stał wyprostowany przed drzwiami, zupełnie otwarcie wpatrując się w jednego ze swych bliźnich, a mianowicie w swojego szefa.

„Na co pan czeka?" powtórzył Uriasz. „Micawber! Czy nie słyszałeś pan, że mówiłem, iż nie masz na co czekać?"

„Owszem, słyszałem", odpowiedział nieporuszony pan Micawber.

„Więc dlaczego pan czeka?" — zapytał Uriasz.

„Bo..., krótko mówiąc, bo mi się tak podoba!" wybuchnął pan Micawber.

Uriasza twarz zmieniła barwę; powlokła ją niezdrowa bladość, wciąż jednak zaprawna właściwą mu czerwonością. Patrzył na pana Micawbera uważnie, oddychał spiesznie, a twarz mu lekko drgała.

„Narwany pan jesteś, jak wszyscy dobrze o tem wiedzą", rzekł, siląc się na uśmiech; „obawiam się, że będę

musiał pozbyć się pana. Proszę sobie iść! Rozmówimy się za chwilę!"

„Jeżeli z jakim łotrem na świecie już aż nadto dużo rozmawiałem", wybuchnął nagle pan Micawber z najwyższą gwałtownością, „to z tym łotrem, który się zowie — Heep!"

Uriasz opadł na krzesło, jak gdyby go kto uderzył lub ukłuł. Powiódłszy wzrokiem zwolna po nas wszystkich z wyrazem najwyższej złośliwości na pochmurnej twarzy, wycedził ciszej: „Oho! A więc to spisek! A więc to umówione spotkanie! Zwąchałeś się z moim urzędnikiem, czy tak, panie Copperfield? Przestrzegam, strzeż się. Niczego nie dopniesz. My się wzajemnie rozumiemy, pan i ja. My się nie kochamy. Byłeś pan zawsze nadętym pyszałkiem, od pierwszej chwili, gdy tu przybyłeś; a teraz zazdrościsz mi, żem wyszedł na ludzi, nieprawdaż? Tylko żadnych intryg przeciw mnie! Ja mam odpowiedź na intrygi! Micawber, proszę się wynosić! Rozmówimy się za chwilę".

„Panie Micawber", przemówiłem, „widzę nagłą zmianę w tym człowieku i to nietylko w tem, że — rzecz niezwykła! — prawdę mówi, co do jednego szczegółu; to mnie upewnia, że jest on przyparty do muru. Czyń pan z nim, jak na to zasłużył!"

„Ładna z was paczka, co?" przemówił Uriasz tymsamym cichym głosem, długą, chudą ręką ocierając pot, który mu wystąpił na czoło, „przekupywać mojego urzędnika, prawdziwego wyrzutka społeczeństwa... jakim sam byłeś, panie Copperfield, nim się tam ktoś nad tobą nie ulitował... przekupywać go, ażeby mnie spotwarzał swojemi kłamstwami! Panno Trotwood, radziłbym pani powstrzymać tę awanturę, bo inaczej ja powstrzymam pani małżonka i to krócej, niżby pani chciała. Nie darmo to zawodowo poznałem pani sekrety. Potrafię ja z nich skorzystać! Panno Wickfield, jeżeli pani choć trochę kocha swojego ojca, radzę, niech pani nie łączy się z tą bandą! Ja go zniszczę, jeśli ich pani nie odstąpi. Otóż słuchajcie! Ja tu kilkoro z was trzymam w sieci. Dobrze się zastanówcie, bo ja sieć zaciągnę! Zastanów się dobrze, Micawber, zanim cię nacisnę! Radzę wynosić się i zaczekać, aż przyjdę tam pomówić, głupcze jeden! dopóki jeszcze czas się cofnąć. Gdzież jest matka?" zawołał, spostrzegając nagle, z przestrachem, nieobecność Traddlesa i pociągając za dzwonek. „Śliczne zachowanie się w cudzym domu!"

„Pani Heep jest tutaj, panie", odezwał się Traddles, wracając i wprowadzając godną matkę godnego syna. „Pozwoliłem sobie przedstawić się pani".

„Kimże pan jest, żeby się przedstawiać?“ odparł Uriasz. „I czego pan tu chce?“

„Jestem zastępcą i przyjacielem pana Wickfielda, panie“, odpowiedział Traddles tonem spokojnym i urzędowym, „i mam w kieszeni plenipotencję jego do działania we wszystkich sprawach w jego imieniu“.

„Stary osioł zapił się aż do zdziecinnienia“, rzekł Uriasz, jeszcze szkaradniejszy teraz, niż przedtem, „a plenipotencję wyłudzono od niego podstępem!“

„Coś tam od niego wyłudzono podstępem, to wiem, i pan również wie o tem, panie Heep“, odpowiedział Traddles spokojnie. „Tę kwestję, jeśli pan pozwoli, oddamy do zreferowania panu Micawberowi“.

„Urciu!...“ zaczęła pani Heep, składając ręce z przestrachem.

„Cicho bądź, matko“, odpowiedział. „Im mniej słów, tem lepiej!“

„Ale mój Urciu!...“

„Prosiłem cię, matko, bądź cicho i pozostaw to mnie!“

Chociaż dawno wiedziałem, że jego uniżoność była fałszem, a wszelkie pozory szelmowskie i czcze, nie pojmowałem jednak należycie całej rozciągłości jego obłudy, dopóki teraz oto nie ujrzałem go bez maski. Ta nagłość, z jaką ją zrzucił, zrozumiawszy jej bezużyteczność, ta złośliwość, zuchwalstwo i nienawiść, jaką wykazywał, to urągliwie triumfujące spojrzenie, zdradzające, że jeszcze nawet w tej chwili cieszy się wyrządzonem złem, choć równocześnie rozpaczliwie sili się na sposób, jak wziąć nad nami górę — wszystko to, choć najzupełniej zgodne z mojem o nim przekonaniem, w pierwszej chwili zaskoczyło nawet mnie, który znałem go tak dawno i tak serdecznie go nie znosiłem.

Nic już nie mówię o spojrzeniu, jakiem mnie obdarzył, gdy stał, patrząc na nas pokolei, zawsze bowiem czułem, że mnie nienawidził, i pamiętałem ślady mojej ręki na jego policzku. Gdy jednakże oczy jego spoczęły na Agnieszce, gdy ujrzałem tę wściekłość, jaką odczuwał, widząc, że mu się władza nad nią wymyka, a równocześnie gdy w oczach jego wyczytałem tę zawiedzioną wstrętną namiętność, pociągającą go do tej, której cnót on ani ocenić ani szanować nie mógł, przeraziła mnie myśl sama, że chociaż godzinę żyć mogła w pobliżu takiego człowieka.

Pocierał czas jakiś brodę kościstemi palcami, patrzył na nas temi swemi złemi oczami, wkońcu jeszcze raz zwrócił się do mnie z wyrzutem, a zarazem obraźliwie.

„Więc pan uważa, że się to godziło panu, panie Copperfield, który się szczycisz honorowością i tem wszystkiem, skradać się dokoła mojego domu, knuć konszachty z moim urzędnikiem? Gdybym j a to zrobił, nie byłoby nic dziwnego; bo ja nie udaję dystyngowanej osoby (choć znów nie byłem włóczęgą ulicznym, jakim pan byłeś, wedle Micawbera) — ale p a n!... I nie boi się pan robić tego, co pan robi? Nie pomyślał pan o tem, co ja, w odwet, mogę zrobić? Że możesz się pan wpakować w nielada kłopot za podstępne knowania i tam dalej? Bardzo dobrze. Zobaczymy! Panie jak tam... miał pan oddać jakąś kwestję do zreferowania Micawberowi. Oto jest pański referent. Dlaczego nie każe mu pan mówić? Nauczył się swojej lekcji, widzę“.

Spostrzegłszy, że to, co powiedział, nie zrobiło żadnego wrażenia na mnie ani na nikim, siadł na brzegu stołu z rękami w kieszeniach, z jedną nogą, okręconą wkoło drugiej i czekał z miną ziętą tego, co miało nastąpić.

Pan Micawber, którego zapalczywość powstrzymywałem aż do tej pory z największą trudnością i który kilkakrotnie wyrywał się z pierwszą sylabą słowa „Gał-gan!“ nie dopowiadając drugiej — teraz wysunął się naprzód, wyciągnął linję z za kamizelki (prawdopodobnie jako oręż obrony) i dobył z kieszeni wielki arkusz papieru, — złożony w kształt wielkiego listu. Rozwinąwszy ten skrypt dawnym swym okrągłym gestem i przesuwając oczyma po jego treści, jak gdyby w artystycznym podziwie nad jego stylowym układem, zaczął czytać co następuje:

„Szanowna panno Trotwood i panowie...“

„A niechże Bóg tego człowieka ma w swej opiece!“ zawołała ciotka moja przytłumionym głosem; „on gotówby listy pisywać na funty, choćby mu za to groziła kara śmierci!“

Pan Micawber, nie słysząc jej, czytał dalej:

„Stając przed wami, by zdemaskować tak skończonego łotra, jakiego prawdopodobnie świat jeszcze nie widział“, tu pan Micawber, nie odrywając oczu od listu, wyciągnął linję, jak groźną maczugę w stronę Uriasza Heepa, „nie proszę o względność dla samego siebie. Ofiara, od kołyski, zobowiązań pieniężnych, którym nie zdołałem sprostać, byłem zawsze igraszką poniżających okoliczności. Niesława, Niedostatek, Rozpacz i Szaleństwo zawsze, zbiorowo lub też pojedyńczo, towarzyszyły mojej Karjerze“.

Lubości z jaką pan Micawber opisywał siebie, jako ofiarę tych posępnych klęsk, dorównywał jedynie ton patetyczny jakim odczytywał list — i ten rodzaj zadowolenia, wyrażony potrząsaniem głowy, ile razy natrafił na jakieś mocne zdanie.

„Pod naciskiem Niesławy, Niedostatku, Rozpaczy i Szaleństwa, wstąpiłem do interesu — albo, jakby to nazwał

nasz żwawy sąsiad, Galilejczyk, do biura — firmy, nominalnie prowadzonej pod nazwą Wickfield i Heep, ale rzeczywiście rządzonej przez — Heepa jedynie. Heep i tylko Heep jest główną sprężyną maszyny. Heep, i tylko Heep, jest fałszerzem podpisów i oszustem!"

Uriasz, siny już raczej niż blady, słysząc te słowa skoczył, chcąc list pochwycić i podrzeć go w kawałki. Pan Micawber cudem zręczności czy szczęścia trafił linją w wysunięte jego palce i unieszkodliwił jego prawą rękę. Opadła w kostce, jak złamana. Cios zabrzmiał, jakby był wymierzony w drzewo.

„Bierz cię licho!" krzyknął Uriasz, skręcając się z bólu w odmienny znów sposób. „Jeszcze ja ci to oddam!"

„Przybliż się tylko... ty... ty... ty Heepie, infamisie", wykrztusał ze siebie pan Micawber, „a jeśli masz głowę człowieka, rozbiję ci ją. Chodź tylko! Chodź!"

Chyba nigdy nic śmieszniejszego nie widziałem — czułem to nawet w owej chwili — jak pana Micawbera, składającego się do cięć linją, niby szablą, i krzyczącego „Chodź", podczas gdy ja z Traddlesem wpychaliśmy go do kąta, skąd, ile razy go wepchnęliśmy, wciąż wyskakiwał.

Wróg jego, mrucząc coś pod nosem, wymachiwał czas jakiś zranioną ręką, poczem powoli ściągnął chustkę z szyi i obwiązał sobie rękę; następnie piastując ją w drugiej, siadł na stole z ponuro zwieszoną głową.

Pan Micawber tymczasem, ostygłszy należycie, wziął się do dalszego odczytywania swego listu.

„Wynagrodzenie, na zasadzie którego wstąpiłem w służbę u Heepa", za każdym razem robił pauzę przed tem nazwiskiem i wymawiał je z zadziwiającą siłą, „nie było określone, z wyjątkiem pensji dwudziestu dwu i pół szylinga tygodniowo. Reszta miała być zależną od wartości moich zawodowych usług — inaczej, a wyraźniej mówiąc, od niskości mego charakteru, chciwości moich pobudek, biedy mojej rodziny, ogólnego moralnego (a raczej niemoralnego) podobieństwa pomiędzy mną a... Heepem. Czyż potrzebuję mówić, że niebawem byłem zmuszony prosić... Heepa o zaliczki na utrzymanie pani Micawber i naszej zatraconej, acz zwiększającej się rodziny? Czyż potrzebuję mówić, że tę konieczność przewidział... Heep? Że te zaliczki musiałem gwarantować rewersami i innemi pokwitowaniami, znanemi prawnym instytucjom tego kraju? I że w ten sposób wplątałem się w sieć, którą on na mnie zastawił?"

Pan Micawber tak się lubował swą epistolarną zdolnością opisywania tego niefortunnego stanu rzeczy, że to istotnie zdawało się przeważać wszelką przykrość i niepokój, sprawione rzeczywistością. Czytał dalej.

„Wtedy to stało się, że... Heep... zaczął mnie zaszczycać taką dozą swego zaufania, ile go było potrzeba do prowadzenia jego djabelskiej roboty. Wtedy to zacząłem, jeżeli mi wolno tak się po szekspirowsku wyrazić „trapić się, chorzeć i schnąć". Przekonałem się, że potrzebował ciągle moich usług dla fałszowania interesów i obałamucania osoby, którą określać będę, jako pana W. Ten pan W. był oszukiwany, utrzymywany w nieświadomości i zwodzony na wszelkie możliwe sposoby — jakkolwiek przez cały ów czaś ten szubrawiec Heep oświadczył się z bezgraniczną wdzięcznością, z nieograniczoną przyjaźnią dla tego tak bardzo krzywdzonego pana. Już to było źle; ale, jak mówi filozofujący Duńczyk, którego powiedzenia dają się ogólnie stosować — a jest to cechą tej świetnej chluby elżbietańskiej ery — gorsze jeszcze kryje się pozatem!"

Pan Micawber tak się zachwycił tem udatnem zaokrągleniem przy pomocy cytatu, że zrobił przyjemność sobie, i nam, powtórnem odczytaniem tego ustępu, pod pozorem, że zgubił miejsce, na którem stanął.

„Nie mam zamiaru", ciągnął swe czytanie dalej „dawać tutaj w obrębie obecnego listu szczegółowego wykazu, (chociaż mam ten wykaz gotowy gdzie indziej) różnych nieuczciwych praktyk mniejszego kalibru, dotyczących osoby, którą nazwałem panem W., a których stałem się milcząco zezwalającym uczestnikiem. Celem moim — gdy ustała we mnie walka pomiędzy tem, czy brać pensję, czy nie brać pensji, czy mieć na piekarza czy nie mieć, czy móc istnieć czy niemóc — celem moim stało się skorzystać z danych mi sposobności, by wykryć i wyjawić większe nieuczciwości, popełnione na tego pana wielką krzywdę i szkodę przez... Heepa. Pod wpływem milczącego bodźca wewnątrz siebie i niemniej wzruszającego zzewnątrz — niechże go w krótkości określę, jako pannę W. — wziąłem się do mozolnego zadania potajemnych dochodzeń i badań, obejmujących obecnie okres dwunastu kalendarzowych miesięcy zgórą".

Odczytał ten ustęp, jak gdyby odczytywał jakiś akt parlamentarny i wydał mi się majestatycznie skrzepionym brzmieniem tych słów.

„Zarzuty moje przeciw... Heepowi", czytał dalej, spojrzawszy na niego i na wszelki wypadek wsuwając linję w odpowiedniej pozycji pod lewe ramię, „są następujące":

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Jestem pewien, że i Uriasz także.

„Po pierwsze", czytał pan Micawber. „Gdy władze umysłowe i pamięć w kierunku interesów, dla przyczyn, których nie potrzebuję i nie wypada mi roztrząsać, osłabły

i zamąciły się u pana W. — Heep rozmyślnie wikłał i komplikował całość oficjalnych tranzakcyj. W chwilach, gdy pan W. najmniej bywał zdolny do zajęcia się interesami... Heep był zawsze pod ręką i zmuszał go do zajęcia się niemi. Otrzymywał w takich warunkach podpis pana W. na ważnych dokumentach, podając je za inne dokumenty mało-ważne. Nakłonił pana W., by go upoważnił w ten sposób do podniesienia pewnej sumy pieniędzy pupilarnych, wynoszącej pokaźną cyfrę i użył jej rzekomo na pokrycie kosztów i zaległości dawno już pokrytych lub nigdy w rzeczywistości nie istniejących. Nadał całej tej manipulacji pozór, jakoby powstała z własnego nieuczciwego zamiaru pana W. i jakoby pan W. sam dokonał nieuczciwego tego czynu; i tem go odtąd zadręczał i trzymał w ręku".

„Dowiedziesz mi tego, ty Copperfieldzie!" wykrzyknął Uriasz, grożąc mi i potrząsając głową. „Na wszystko przyjdzie czas!"

„Niech pan łaskawie zapyta... Heepa, panie Traddles, kto po nim mieszkał w jego domu?" odezwał się pan Micawber, odrywając się od swego listu.

„Ten dureń sam... i mieszka tam jeszcze obecnie", odparł Uriasz pogardliwie.

„Niech pan łaskawie zapyta... Heepa, czy miał on notatnik w tym domu", rzekł pan Micawber.

Spostrzegłem, że chuda ręka Uriasza mimowoli przestała skrobać brodę.

„Albo niech go pan zapyta, czy kiedy spalił tam jaki notatnik? Jeżeli powie „tak" i zapyta, gdzie są popioły, niech go pan odeśle do Wilkinsa Micawbera, a usłyszy coś, co mu nie wyjdzie na korzyść!"

Triumfujący gest ręki, z jakim pan Micawber wypowiedział te słowa, uczynił potężne wrażenie na matce i napełnił ją trwogą. Ogromnie poruszona wykrzyknęła: „Urciu! Urciu! Upokórz się i wejdź w układy, mój drogi!"

„Matko!" odparł, „czy nie będziesz cicho? Jesteś w strachu i sama nie wiesz, co mówisz i czego chcesz. Upokorzyć się!" sarknął, patrząc na mnie; „upokorzyłem ja tam niektórych dość dawno temu, choć sam taki byłem pokorny!"

Pan Micawber, z dystynkcją poprawiając podbródek w kołnierzyku, zabrał się znowu do swego utworu.

„Po drugie, Heep, przy różnych sposobnościach, wedle najlepszej mojej wiedzy i wiary..."

„Ale to się na nic nie przyda", mruknął Uriasz z ulgą. „Matko, ty siedź cicho".

„Postaramy się zaraz o coś, co się na coś przyda i bardzo prędko nóżki panu podetnie, mój panie!" odpowiedział pan Micawber.

„Po drugie. Heep przy różnych sposobnościach, wedle najlepszej mojej wiedzy i wiary systematycznie fałszował, w rozmaitych zapiskach, księgach i na dokumentach podpis pana W.; a wyraźnie uczynił to w jednym wypadku, który stwierdzić mogę dowodem. To znaczy, w sposób następujący, a mianowicie:"

I znowu pan Micawber z upodobaniem formalistycznie nagromadzał słowa, co, chociaż było u niego śmiesznem, nie było, muszę przyznać, wyłącznie jego tylko właściwością. Przeciwnie zauważyłem ją w ciągu mego życia u wielu ludzi. Gotów byłbym uważać ją za regułę. W składaniu naprzykład prawem przepisanych przysiąg, składającym sprawiać to zwykło wielką przyjemność, gdy dochodzą do szeregu mocnych słów dla wyrażenia jednej myśli; i formuły starych klątw z upodobaniem układano na tej samej zasadzie. Mówimy, że nas słowa tyranizują, ale i my lubimy też tyranizować słowa; lubimy mieć ich duży zbyteczny zastęp na usługi przy wielkich okazjach i uważamy, że nam to dodaje wielkiej wagi i że dobrze to brzmi. Tak, jak nie dbamy o sens naszej służby w liberji przy uroczystych obchodach, byle się ona pięknie i licznie przedstawiała, tak sens i konieczność słów naszych bywa względem ubocznym, jeżeli tylko można świetnie niemi paradować. A tak, jak jednostki wpadają w kłopoty, zanadto się sadząc na okazałość liberyjnej służby, albo gdy nazbyt liczni niewolnicy buntują się przeciw swoim panom — tak, zdaje mi się, że mógłbym wskazać naród, który wpadł w wielkie trudności i w wiele większych jeszcze wpadnie przez to, że hołduje nazbyt obfitemu zasobowi słów.

Pan Micawber czytał dalej, nieledwie oblizując się ze smakiem:

„To znaczy, w sposób następujący, a mianowicie. Ponieważ pan W. szwankuje na zdrowiu, a leży w obrębie prawdopodobieństwa, że zejście jego doprowadziłoby mogło do pewnych odkryć i do utraty władzy... Heepa... nad rodziną W. — jak ja, Wilkins Micawber, niżej podpisany, przypuszczam — chyba żeby córka jego w dziecięcem swem przywiązaniu miała ulec jakiemuś potajemnemu wpływowi i nie zezwoliła na badanie interesów spółkowych — wyżej wzmiankowany... Heep... uważał za właściwe mieć przy sobie gotowy skrypt, jakoby od pana W. pochodzący, na ową wiadomą sumę o pokaźnej cyfrze z procentami, z zaznaczeniem, że suma ta została pożyczona panu W. przez... Heepa... celem ocalenia pana W. od hańby; choć w rzeczy-

wistości on tej sumy nigdy panu W. nie pożyczał i dawno została ona zrestytuowana. Podpisy na tym akcie, rzekomo spisanym przez pana W., a poświadczonym przez Wilkinsa Micawbera, są sfałszowane przez... Heepa. Posiadam, jego ręką pisanych i w jego własnym notatniku, kilka podobnych naśladownictw podpisu pana W., tu i owdzie uszkodzonych ogniem, ale czytelnych dla każdego. Ja nigdy nie poświadczałem żadnego takiego dokumentu. A ten dokument mam w mojem posiadaniu".

Uriasz Heep, drgnąwszy, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył pewną szufladę; nagle jednak, zastanowiwszy się, co robi, zwrócił się znowu ku nam, nie zajrzawszy do niej.

„A ja mam ten dokument w mojem posiadaniu" — czytał znów pan Micawber, obejrzawszy się dokoła, jak gdyby to był tekst kazania, „to znaczy, miałem go dziś rano, w chwili, gdym pisał niniejsze słowa, potem jednak złożyłem go w ręce pana Traddlesa".

„To zupełna prawda", przytwierdził Traddles.

„Urciu! Urciu!" zawołała jego matka, „upokórz się i wejdź w układy. Ja wiem, że mój syn upokorzy się, panowie, jeśli mu tylko dacie czas do namysłu. Panie Copperfield, pan przecież wie, że mój syn był zawsze pokorny!"

Dziwne to było, że matka trzymała się wciąż jeszcze starej sztuczki, podczas gdy syn odrzucił ją już, jako bezcelową.

„Matko", rzekł, niecierpliwie przygryzając chustkę, owiniętą wkoło ręki, „lepiej już nabij strzelbę i wypal do mnie!"

„Ale ja ciebie kocham, Urciu", wołała pani Heep. I niewątpliwie kochała go; i on ją kochał, choć mogłoby się to wydawać dziwnem, ale to prawda, że pokrewnemi naturami była ta para. „I nie mogę wytrzymać, słysząc, jak ty drażnisz tego pana i coraz większe niebezpieczeństwo ściągasz na swoją głowę. Ja odrazu powiedziałam temu panu, gdy mi na górze mówił, że się wszystko wydało, powiedziałam mu, że ręczę za to, że ty się upokorzysz i przeprosisz. Och, patrzcie, jaka ja jestem pokorna, panowie i nie bierzcie jemu za złe!"

„Słuchaj, oto Copperfield, matko", odpowiedział gniewnie, chudym palcem wskazując na mnie, przeciwko mnie bowiem, jako rzekomemu sprawcy wszystkiego, kierowała się jego nienawiść, „oto Copperfield dałby ci sto funtów za mniej nawet, niż to, co wypaplałaś!"

„Nie mogę, Urciu!" wołała jego matka. „Nie mogę na to patrzeć, jak ty się pogrążasz w niebezpieczeństwo, tak wysoko nosząc głowę. Bądź ty lepiej pokorny, tak jak zawsze byłeś".

Milczał przez chwilę, gryząc chustkę, a potem, marszcząc się, zwrócił się do mnie.

„Cóż tam jeszcze więcej masz pan do wytoczenia przeciwko mnie? Jeśli co jest, słucham. Czemu pan na mnie patrzy?"

Pan Micawber szybko wrócił do swego listu, rad że może się oddać czemuś, co mu tak wielką sprawiało satysfakcję.

„Po trzecie. I ostatnie. Jestem teraz w możności wykazać, za pomocą... Heepa... fałszowanych ksiąg i... Heepa... prawdziwych zapisków, poczynając od zniszczonego częściowo notatnika (którego narazie nie mogłem zrozumieć wtedy, gdy ten notatnik pani Micawber znalazła w skrzynce, przeznaczonej do składania popiołu z naszego domowego ogniska), że na słabościach, błędach, cnotach nawet, uczuciach ojcowskich i poczuciu honoru nieszczęsnego pana W. od lat grał i do swoich niskich celów naciągał je... Heep. Że pan W. był przez lata całe łudzony i rabowany, we wszelki możliwy sposób na rzecz pieniężnych korzyści skąpego, fałszywego i chciwego... Heepa. Że głównym celem... Heepa..., oprócz materjalnych zysków, było całkowite opanowanie pana i panny W. (o jego późniejszych widokach co do tej ostatniej nie będę nic mówił). Że ostatnim jego czynem, dokonanym zaledwie parę miesięcy temu, było nakłonienie pana W. do spisania aktu zrzeczenia się praw wspólnika, a nawet sprzedaży mebli w jego domu wzamian za pewną dożywotnią roczną pensję, mającą być punktualnie płaconą przez... Heepa... każdego pierwszego każdego kwartału w roku. Dalej wykazać mogę, że ta sieć, zarzucona na nieszczęsnego pana W., poczynając od fałszowanych sprawozdań o stanie majątku, posiadanego przez pana W. w okresie, kiedy pan W. rzucił się na nieostrożne spekulacje i może istotnie nie miał w ręku tych pieniędzy, za które był moralnie i prawnie odpowiedzialny; przyjmując dalej fikcyjne pożyczki pieniężne na ogromny procent, w rzeczywistości dawane przez... Heepa... i przez... Heepa... nieuczciwym sposobem od samego pana W. pobrane lub z dochodów jego zatrzymanych na rzecz rzekomych tych spekulacyj czerpane, jednem słowem tym albo innym sposobem; utrwalona szeregiem najrozmaitszych niegodziwych szykan — że ta sieć wkońcu tak nieszczęsnego pana W. omotała, że już świata poprzez nią nie widział. Uważając się za bankruta, nietylko w punkcie materjalnego dobrobytu ale w punkcie wszelkich nadziei i swego honoru, jedynego

oparcia szukał w potworze w szacie człowieczej", pan Micawber cieszył się bardzo z tych słów, jako z oryginalnego zwrotu, „który, wmówiwszy weń, że jest mu potrzebnym, dokończył jego ruiny. Wszystko to podejmuję się wykazać. Prawdopodobnie nawet wiele więcej!"

Szepnąłem parę słów do Agnieszki, która płakała, trochę z radości, a trochę z żalu, przy moim boku; i wogóle zrobił się pewien ruch między nami, gdyż sądziliśmy, że pan Micawber już skończył. On jednakże bardzo poważnie powiedział „Bardzo przepraszam" i zabrał się znów w mieszanym poczuciu silnego przygnębienia i najwyższej przyjemności do odczytania swojej perory.

„Doszedłem do końca. Pozostaje mi już tylko udowodnić te oskarżenia, a potem, wraz z moją pod nieszczęsną gwiazdą urodzoną rodziną, zniknąć z tego krajobrazu, na którym jesteśmy tylko zawadą. Długiego czasu na to nie potrzeba. Myśląc rozsądnie, wnosić należy, że nasze maleństwo pierwsze zemrze z głodu, jako że to jest najwątlejszy członek naszego kółka — i że nasze bliźnięta pójdą następnie, zkolei. Niechaj tak będzie! Co do mnie, moja Pielgrzymka do Canterbury zdziałała wiele; więzienie za długi, nędza zdziałają niebawem więcej. Mam jednak nadzieję, że mozół i ryzyko dochodzeń — których najdrobniejsze rezultaty składało się powoli razem wśród natarczywych błagań, w lęku przed grożącym głodem, o porannym świcie, o rosie wieczornej, w cieniu nocy, pod czujnem okiem tego, którego zbytecznie mianować Szatanem... dodawszy do tego iście rodzicielską troskę, by rzecz ta, gdy będzie gotową, właściwy osiągnęła pożytek — mam nadzieję że będzie to jako te krople słodkiej wody, którą skropią mój stos pogrzebowy. Więcej nie żądam. Niechaj tylko sprawiedliwie będzie o mnie powiedziane, jak o tym dzielnym a wybitnym bohaterze morza, z którym ja się równać nie mogę, że to, co zrobiłem, zrobiłem wbrew wyrachowaniu i samolubnym celom,

„Dla ojczyzny, domu i pięknych dam!
Pozostaję etc. etc. etc.
Wilkins Micawber".

Mocno wzruszony ale zarazem wielce rad ze siebie, pan Micawber złożył list i podał go z ukłonem mojej ciotce, jako coś, co może miło jej będzie zachować.

Była w tym pokoju, jak zauważyłem za pierwszą moją wizytą tutaj, dawno temu, żelazna szafa. Klucz tkwił w niej. Nagłe podejrzenie, zdaje się, obudziło się w Uriaszu; spojrzawszy na pana Micawbera, podszedł do niej i ze szczękiem otworzył drzwi. Była pusta.

„Gdzie są księgi?" krzyknął, skrzywiwszy się okropnie. „Jakiś złodziej ukradł książki!"

Pan Micawber wskazał linją na siebie.

„Ja to zrobiłem, gdy jak zwykle dostałem klucz od pana — tylko trochę wcześniej — gdy otworzyłem szafę dziś rano".

„Niech pan się nie niepokoi", wtrącił Traddles. „Dostały się w moje ręce. Będę miał o nie staranie na zasadzie upoważnienia, o którem panu wspomniałem".

„A więc pan przechowuje kradzione rzeczy?" krzyknął Uriasz.

„W takich okolicznościach owszem, tak!" odpowiedział Traddles.

Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem nagle, że ciotka, dotąd najzupełniej spokojna i uważna, rzuca się nagle na Uriasza Heep i chwyta go oburącz za kołnierz!

„Wie pan, co się mnie należy?" zawołała.

„Kaftan bezpieczeństwa", odparł.

„Nie! Moje pieniądze!" odrzekła. „Agnieszko, moja kochana, dopóki myślałam, że je rzeczywiście stracił twój ojciec, nie chciałam... i, moja droga, nawet Trotowi... on to wie, nie powiedziałam słówka o tem, że one tutaj były złożone, by niemi operowano. Ale teraz, skoro wiem, że ten nicpoń za nie odpowiada, ja chcę je mieć. Trotku, przyjdź i odbierz mu je!"

Czy ciotka przypuszczała w danej chwili, że Uriasz trzyma jej majątek w chustce, którą miał na szyi, tego oczywiście nie wiem; ale to fakt, że szarpała ją, jakby to myślała. Podbiegłem, ażeby ich rozłączyć i zapewnić ciotkę, że zrobimy, co należy, by zmusić go do zwrócenia wszystkiego, co nieprawnie zagarnął. Moje słowa i parę chwil namysłu uspokoiły ją; bynajmniej jednak nie wytrąciło jej z równowagi to, co uczyniła (chociaż o jej kapeluszu powiedzieć tego nie można) i spokojnie powróciła na swoje miejsce.

Przez ostatnich parę minut pani Heep nie przestawała głośno zaklinać syna, żeby się upokorzył i na kolanach wszystkich nas obchodziła, czyniąc wszelakie obietnice. Syn posadził ją w swoim fotelu, poczem nachmurzony stojąc obok niej i ręką, nie szorstką zresztą, przytrzymując ją za ramię, zwrócił się do mnie z wściekłym wyrazem w oczach: „Czego pan ostatecznie żąda?"

„Ja panu powiem, co musi być zrobione", odpowiedział Traddles.

„Czy ten Copperfield nie ma języka?" mruknął Uriasz. „Wielebym temu dał, ktoby mi, nie kłamiąc, powiedział, że mu go ktoś wyciął".

„Mój Uriasz jest w głębi duszy pokorny“ zawołała jego matka. „Nie uważajcie na to, co on mówi, dobrzy panowie!“

„Co zaś musi być zrobione, to to“: oświadczył Traddles. „Przedewszystkiem ten akt zrzeczenia się, o którym słyszeliśmy, musi mi być wręczonym zaraz — tutaj“.

„Przypuśćmy, że go nie mam“, przerwał.

„Ale go pan ma“, odparł Traddles; „dlatego, widzi pan, nie będziemy przypuszczali“. I muszę tu przyznać, że przy tej sposobności pierwszy raz oddałem naprawdę sprawiedliwość jasnej głowie i prostemu, cierpliwemu, praktycznemu rozsądkowi mojego szkolnego kolegi. „Dalej“, mówił Traddles, „musisz pan się przygotować na zwrócenie wszystkiego, co w swej chciwości zagrabiłeś i na odszkodowanie ograbionych do ostatniego grosza. Wszystkie książki i papiery spółki muszą pozostać w naszem posiadaniu: wszelkie pańskie książki i papiery, wszelkie rachunki i wszelkie papiery wartościowe, tak spółki, jak pańskie. Jednem słowem, wszystko, co tu jest“.

„Czy muszę? Ja jeszcze tego nie wiem“, odpowiedział Uriasz. „Muszę mieć czas, by się nad tem zastanowić“.

„Niewątpliwie“, odparł Traddles, „ale tymczasem, i dopóki wszystko nie zostanie spełnione ku naszemu zadowoleniu, my te rzeczy zatrzymamy i poprosimy pana — krótko mówiąc, zmusimy pana, byś się udał do swego pokoju i absolutnie z nikim się nie stykał“.

„Tego nie zrobię!“ odparł Uriasz i cisnął przekleństwo.

„Więzienie w Maidstone jest bezpieczniejszem schronieniem“, zauważył Traddles; „a chociaż może dłużej potrwa, nim prawo wymierzy nam sprawiedliwość i może nie będzie mogło wymierzyć nam jej tak zupełnie, jak pan to może uczynić, jednak niema żadnej wątpliwości, że to prawo p a n a ukarze. Boże ty mój, przecież pan to wiesz równie dobrze, jak i ja! Copperfieldzie, zechciej przejść się do ratusza i sprowadzić dwóch policjantów“.

Tu pani Heep wybuchnęła znów krzykiem, na kolanach błagając Agnieszkę, by się za nimi wstawiła, zapewniając, że Uriasz jest bardzo pokorny, że wszystko to prawda i że jeżeli on nie będzie chciał zrobić tego, czego od niego żądamy, to ona to zrobi i więcej jeszcze; odchodziła od zmysłów ze strachu o jedynaka.

„Proszę się zatrzymać!“ wykrztusił Uriasz, którego tchórzostwo objawiało się teraz wyraźnie; chudą ręką przytem ocierał spotniałą twarz. „Matko, cicho bądź. Trudno! Niechże sobie mają ten akt. Idź i przynieś go!“

„Pomóż pan pani, panie Dick, z łaski swojej!“ dorzucił Traddles.

Dumny z danego sobie zlecenia i rozumiejąc, o co chodzi, pan Dick towarzyszył pani Heep, jak pies owczarski owcy. Nie miał jednakże z panią Heep wielkiego kłopotu, gdyż nietylko powróciła z aktem, ale i z szkatułką, w której znajdował się, a w której znaleźliśmy książeczkę bankową i kilka innych papierów, które się później przydały.

„Dobrze!“ rzekł Traddles, gdy mu to przyniesiono. „A teraz, panie Heep, możesz pan pójść do siebie i namyśleć się: przedewszystkiem jednak proszę pamiętać, że oświadczam panu w imieniu wszystkich tu obecnych, iż jedno jest tylko do zrobienia, to mianowicie, co już panu wyjaśniłem; i że to musi stać się bez zwłoki“.

Uriasz nie podnosząc spuszczonych oczu, z ręką przy brodzie, człapiącym krokiem przeszedł przez pokój, a zatrzymawszy się przy drzwiach, powiedział:

„Copperfieldzie, zawsze ciebie nienawidziłem. Zawsze byłeś karjerowiczem i zawsze byłeś moim wrogiem“.

„Jak już, zdaje mi się, raz ci powiedziałem“, odrzekłem, „to ty byłeś w chciwości twojej i chytrości wrogiem całego świata. Może to będzie z korzyścią dla ciebie, gdy zapamiętasz na przyszłość, iż chciwość i chytrość zawsze za daleko sięga i za daleko sięgając, chybia celu. To takie pewne, jak że jest słońce na niebie“.

„Albo równie pewne, jak to, czego nas uczono w szkole (w tej samej szkole, gdzie nauczyłem się takiej pokory) od dziewiątej do jedenastej, mówiąc nam, że praca to przekleństwo i kara; a od jedenastej do pierwszej, że to błogosławieństwo, radość, zaszczyt i czy ja wiem, co tam jeszcze?“ Tu roześmiał się szyderczo. „Kazanie prawisz równie konsekwentne, jak oni tam. A cóż z pokorą? Nie byłbym z pewnością mojemu panu wspólnikowi dał bez tego rady. — Micawber, ty stary durniu, a t o b i e odpłacę!“

Pan Micawber, wyniośle wyzywający wobec Uriasza i jego wyciągniętego palca, prężąc biust, dopóki tamten nie zniknął za drzwiami, teraz zwrócił się do mnie, proponując, czybym nie chciał być „świadkiem chwili powrotu wzajemnego zaufania pomiędzy nim a panią Micawber“. Poczem zaprosił całe towarzystwo na to wzruszające przedstawienie.

„Zasłona, która przez czas dłuższy dzieliła panią Micawber i mnie“, mówił, „jest obecnie usuniętą, a dzieci moje i dawca ich życia mogą się znów spotkać na dawnych warunkach“.

Ponieważ wszyscy byliśmy mu bardzo wdzięczni i wszyscy pragnęliśmy mu to okazać, o ile na to poruszenie i zamęt naszych umysłów pozwalał, bylibyśmy zapewne wszy-

scy poszli, gdyby nie to, że Agnieszka musiała wrócić do ojca, dotąd mogącego znieść tylko świt nadziei, i że ktoś jeszcze musiał pilnować Uriasza. To też Traddles pozostał w tym celu, a później miał go zluzować pan Dick; pan Dick, ciotka i ja poszliśmy więc z panem Micawberem do jego domu. Żegnając się pospiesznie z drogą dziewczyną, której tak wiele zawdzięczałem, a wyobraziwszy sobie, od czego może została tego ranka uchronioną — z gorącą wdzięcznością wspomniałem o tych niedolach moich lat młodszych, które doprowadziły mnie do znajomości z panem Micawberem.

Dom jego znajdował się niedaleko, gdy się zaś otworzyły drzwi od ulicy i pan Micawber wpadł prosto do pokoju z sobie właściwą gwałtownością, znaleźliśmy się odrazu na łonie całej rodziny. Pan Micawber z okrzykiem: „Emmo, życie moje!" wpadł w objęcia pani Micawber. Pani Micawber krzyknęła i utuliła pana Micawbera w uścisku. Panna Micawber, niańcząca „nieświadome niemowlę" (z ostatniego listu pani Micawber do mnie) wyglądała na mocno wzruszoną. Bliźnięta wyraziły radość swoją może trochę nieprzystojnie, ale niewinnie. Młody Micawber, widocznie skwaśniały na humorze wskutek przedwczesnych zawodów i z wyglądu chmurny, dał folgę lepszym uczuciom i ryknął głośno.

„Emmo!" przemówił pan Micawber. „Chmura już nie ciąży mi na duszy. Wzajemne zaufanie, tak długo niegdyś między nami dochowane, wraca i nic go już odtąd nie spłoszy! Teraz radośnie witam cię biedo!" wołał pan Micawber, lejąc łzy. „Witam cię radośnie nędzo, bezdomności, witam was, głodzie, łachmany, burzo i żebraczy kiju! Wzajemne zaufanie krzepić nas będzie do końca!"

W ten sposób się wyrażając, pan Micawber posadził żonę na krześle i ucałował całą rodzinę pokolei; w trakcie tego przyzywał rozmaite przykre widoki przyszłości, które, o ile wymiarkować mogłem, wcale im nie trafiały do gustu. Ostatecznie zapowiadał im, że trzeba będzie wyjść na ulicę i śpiewać chórem, gdyż inaczej nie będą mieć z czego żyć.

Ponieważ jednak pani Micawber pod wrażeniem silnego wzruszenia zemdlała, należało przedewszystkiem — nim nawet chór dałoby się skompletować — cucić ją. Spełniła to ciotka moja i pan Micawber — poczem przedstawiliśmy ciotkę, a pani Micawber poznała mnie.

„Niech mi pan wybaczy, kochany panie Copperfield", rzekła biedaczka, podając mi rękę, „ale nie jestem silna, a to usunięcie nieporozumienia pomiędzy mną a panem Micawberem narazie było nad moje siły".

„Czy to są wszystko pani dzieci?" zapytała moja ciotka.

„Narazie niema ich więcej", odpowiedziała pani Micawber.

„Boże miłosierny, ja nie tak to rozumiałam", odparła ciotka. „Ja byłam tylko ciekawa, czy wszystkie są pani własne?"

„Pani", odpowiedział pan Micawber, „cyfra się zgadza!"

„A ten najstarszy kawaler", zapytała ciotka po namyśle, „jakie otrzymał wykształcenie?"

„Miałem nadzieję, przybywając tutaj", odpowiedział pan Micawber, „że uda się umieścić Wilkinsa w służbie Kościoła: albo raczej wyrażę się ściślej, w chórze kościelnym. Nie znalazł się jednak żaden wakans dla tenora w czcigodnej katedrze, będącej tak słusznie chlubą tego miasta; więc też mój syn — krótko mówiąc, nabrał zwyczaju śpiewania po restauracjach zamiast w świątyniach".

„Ale on ma najlepsze chęci", wtrąciła pani Micawber z czułością.

„Wierzę kochanie", odpowiedział pan Micawber, „że mu nawet na bardzo dobrych chęciach nie zbywa, dotąd jednakże nie przekonałem się, by w jakimkolwiek kierunku w czyn wprowadzał swoje dobre chęci".

Młody Micawber zachmurzył się na te słowa i zapytał kwaśno, czego od niego właściwie żądają, co ostatecznie ma robić? Czy urodził się stolarzem, albo lakiernikiem powozów, a może ptakiem? Czy może ma pójść i w sąsiedniej ulicy założyć aptekę? Albo udać się na roki sądowe i ogłosić, że jest prawnikiem? Czy może siłą wedrzeć się na scenę opery i gwałtem zdobyć sukces? Czy może zrobić cośkolwiek, gdy go niczego nie nauczono?

Ciotka namyślała się przez chwilę, poczem rzekła: „Dziwię się, panie Micawber, że panu nigdy na myśl nie przyszła emigracja".

„Pani", odpowiedział pan Micawber, „to było marzeniem mojej młodości i nieudałem dążeniem moich lat dojrzalszych". (Jestem głęboko przekonany, nawiasem mówiąc, że nigdy o tem nawet nie pomyślał).

„Czy tak?" podjęła ciotka moja, spojrzawszy na mnie. „A czy nie byłoby to dobrze dla was i dla waszej rodziny, moi państwo, gdybyście teraz wyemigrowali?"

„Kapitału na to trzeba, kapitału, pani", dowodził pan Micawber posępnie.

„To główna, mogę powiedzieć, jedyna przeszkoda, mój drogi panie Copperfield", potwierdziła jego żona.

„Kapitał?" zawołała moja ciotka. „Ależ pan nam oddał tak wielką przysługę, gdyż z pewnością wiele się uratuje

z tego pożaru... że może moglibyśmy odwdzięczyć się panu, wynajdując odpowiedni kapitał?"

„Nie mógłbym go przyjąć w formie daru", odpowiedział pan Micawber, pełen ognia i ożywienia, „ale gdyby wystarczającą sumę można mi pożyczyć, powiedzmy, na pięć procent na moją osobistą odpowiedzialność, na mój skrypt własnoręczny, przypuśćmy na okres roku, półtora, względnie dwu lat, by mi dać czas, aż się coś nawinie..."

„Czyby można? Może i będzie można, na warunkach, jakie sami określimy, jeśli pan tylko słowo powie", odparła moja ciotka. „Pomyślcie nad tem oboje. Pewni znajomi Dawida wybierają się niebawem do Australji. Jeżeli się państwo zdecydujecie, dlaczego nie mielibyście popłynąć tym samym okrętem? Możecie sobie wzajemnie dopomagać. Zastanówcie się państwo. Dajcie sobie czas na to i rozważcie ten plan dobrze".

„Jest tylko jedno pytanie, moja droga pani, które chciałbym postawić", wtrącił pan Micawber. „Klimat, sądzę, jest zdrowy?"

„Najlepszy w świecie", odpowiedziała ciotka.

„A więc tak. Teraz moje pytanie", rzekła pani Micawber. „Czy stosunki w tym kraju są tego rodzaju, że człowiek, zdolności i umiejętności pana Micawbera, mógłby tam znaleźć pole do wzniesienia się na stanowisko społeczne? Nie chcę mówić, narazie, by miał aspirować do stanowiska gubernatora albo czegoś podobnego — ale czy znalazłby tam sprzyjającą sposobność do rozwinięcia swoich talentów, do należytego ich wyzyskania?"

„Nigdzie nie znajdzie lepszych sposobności i możliwości człowiek, który umie żyć uczciwie i pracować", odpowiedziała ciotka.

„Człowiek, który umie żyć uczciwie i pracować", powtórzyła pani Micawber swoim najjaśniejszym, rzeczowym tonem. „A więc właśnie. Widzę z tego, że Australja jest właściwą sferą działania dla pana Micawbera!"

„Żywię przekonanie, moja droga pani", oświadczył pan Micawber, „że w danych warunkach jest to kraina, jedyna kraina dla mnie i dla mojej rodziny, i że coś niezwykłego nawinie się na tamtym brzegu. Odległość nie jest znaczna — względnie, oczywiście; a choć należy nam się zastanowić nad pani łaskawą propozycją, zapewniam panią, że to tylko forma".

Czy zapomnę kiedy, jak w jednej chwili stał się żywym, z otuchą zapatrzonym w gwiazdę swej fortuny, albo jak pani Micawber zaraz zaczęła rozprawiać o obyczajach kangurów? Czyż kiedykolwiek wspomnę o tej ulicy w Canterbury w dzień targowy, nie wspomniawszy o nim, gdy nas odprowadzał — krokiem tak pełnym rozmachu, ilustrujący chód i ruchy chwilowego tylko mieszkańca kraju, a na przechodzące barany patrzący okiem australskiego farmera?!

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Jeszcze jeden rzut oka wstecz.

Muszę się raz jeszcze zatrzymać. O, ty dziecko, ty żono moja — wśród tłumu, przesuwającego się przed okiem mej pamięci jest jedna postać, cicha i spokojna, wołająca na mnie w niewinnej swojej miłości i dziecięcej piękności: „Stań i pomyśl o mnie... odwróć się i obejrzyj się na ten Kwiatuszek, co więdnie i opada!"

Posłuchałem. Wszystko inne mgłą zachodzi, znika. Jestem znów z Dorą, w naszym domku. Nie wiem, jak długo chorowała. Tak do tego przywykłem uczuciem, że nie umiem określić czasu. W rzeczywistości nie długo, na tygodnie licząc, albo miesiące, ale tak, jak ja to odczuwałem, jak nad tem cierpiałem, długo to trwało, męcząco i długo.

Przestali powtarzać mi, że mam „poczekać jeszcze dni kilka". Zacząłem się w głębi duszy obawiać, że nigdy nie nadejdzie dzień, w którym ujrzę to moje dziecko-żonę, biegającą w słońcu ze starym swoim przyjacielem, Jipem.

Jip prawie nagle zestarzał się bardzo. Być może, że nie dostaje mu w jego pani czegoś, co go ożywiało i odmładzało, ale jest bez humoru, wzrok mu się psuje, członki osłabły i ciotka martwi się, że już się na nią nie gniewa, ale przypełza do niej, leżąc na łóżku Dory — gdy ciotka siedzi przy łóżku — i łagodnie liże jej rękę.

Dora leży, uśmiechając się do nas i piękna jest i z ust jej nie pada żadne niecierpliwe słowo ani też słowo skargi. Powtarza, że jesteśmy bardzo dobrzy dla niej, że jej stary, kochany, troskliwy chłopak zamęcza się, ona to wie; że ciotka nie sypia, ale wciąż czuwa, czynna i dobra. Raz po raz odwiedzają ją małe, ptaszkom podobne panie, a wtedy rozmawiamy o dniu naszego wesela i o wszystkich tych szczęśliwych czasach.

Jakżeż dziwnie wszystko, zda się, staje i zatrzymuje się w życiu — w całem życiu w domu i poza domem — gdy siedzę w cichym, przyćmionym, przytulnym pokoju, gdy niebieskie oczy mojej dziecięcej żony spoczywają na mnie, a paluszki jej oplatają się dokoła mojej ręki! Wiele, wiele godzin przesiaduję w ten sposób; ale z licznych tych chwil, trzy przedewszystkiem najżywiej odtwarza mi pamięć.

Rano. Dora, tak starannie ubrana rękami mojej ciotki, pokazuje mi, jak ładne jej włosy zawsze jeszcze zwijają się puklami na poduszce i jakie są długie i pełne połysku i jak lubi mieć je swobodnie zebrane w siatce, którą nosi.

„Nie myśl czasem, że to z próżności, ty kpiarzu", mówi, gdy się uśmiecham, „ale to tylko dlatego, że ty zawsze mówiłeś, iż ci się tak moje włosy podobają; a także dla tego, że kiedy zaczęłam myśleć o tobie, lubiłam zaglądać do lustra z ciekawości, czy bardzobyś chciał dostać jeden taki pukiel ode mnie. O, Doady, jaki ty byłeś zabawny, kiedy ci taki pukiel podarowałam!"

„Było to tego dnia, kiedy malowałeś te kwiaty, które ja tobie dałem, Doro, i kiedy ci powiedziałem, jak bardzo cię kocham".

„O, ale ja ci wtedy nie chciałam powiedzieć, jak ja się nad temi kwiatami spłakałam, ponieważ wydało mi się, że ci się naprawdę podobam! Jak już będę mogła biegać po dawnemu, Doady, pójdziemy kiedy odwiedzić te miejsca, gdzie taka niemądra była z nas parka — chcesz? I kilka tych dawnych spacerów powtórzymy? I nie zapomnimy też o biednym papie?"

„Tak, owszem, i znów będziemy spędzać takie szczęśliwe dni. Tylko pospiesz się i wyzdrowiej mi prędko, moja droga!"

„O, wkrótce już będę zdrowa! Tak już czuję się lepiej, ty nawet nie wiesz!"

— — — — — — — — — — — —

Wieczór; siedzę na tem samem krześle, przy tem samem łóżku, ta sama twarzyczka patrzy na mnie. Milczeliśmy; na jej twarzy leży uśmiech. Przestałem już lekki ten ciężar znosić i wnosić po schodach. Już teraz leży tutaj przez dzień cały.

„Doady!"

„Moja Doro kochana!"

„Czy ty nie będziesz tego, co powiem, uważał za bardzo nierozsądne, chociaż niedawno mówiłeś mi, że pan Wickfield niezdrów? Jabym tak chciała zobaczyć Agnieszkę. Bardzo, bardzo pragnę ją zobaczyć".

„Napiszę do niej, moja droga".

„Napiszesz?"

„Natychmiast".

„Jaki dobry, poczciwy jest mój chłopak! Doady, weź mnie na rękę. To nie głupia zachcianka, doprawdy, mój drogi. To nie niemądry kaprys. Ja pragnę koniecznie, tak bardzo pragnę ją zobaczyć!"

„Wierzę ci. Wystarczy, że to Agnieszce napiszę, a niezawodnie przyjedzie"

„Czy bardzo ci tam pusto i samotnie, gdy schodzisz teraz na dół?" szepcze Dora, otaczając mi szyję ramieniem.

„Jakże może być inaczej, kochanie ty moje, gdy widzę twoje krzesło niezajęte?"

„Moje krzesło niezajęte!" Przytuliła się do mnie przez chwilę i milczy. „I czy naprawdę mnie tobie brak, Doady?" Podnosi na mnie oczy i uśmiecha się promiennie. „Chociaż ja biedna taka płocha i niemądra?"

„Serce moje, czyż jest na świecie ktoś taki, za kimbym mógł tak tęsknić, jak za tobą?"

„O mężu mój! Tak się cieszę, a razem tak bardzo mi żal!" przysuwa się bliżej do mnie i tuli mnie obiema rękami. Śmieje się i płacze, a potem uspokaja się i jest zupełnie szczęśliwa.

„Zupełnie!" mówi. „Tylko pozdrów ode mnie Agnieszkę jak najserdeczniej i powiedz jej, że pragnę bardzo, bardzo ją zobaczyć; już nie życzę sobie niczego więcej".

„Tylko prędkiego wyzdrowienia, Doro".

„Ach, Doady! Ja czasami myślę... ty wiesz, że ze mnie zawsze niemądre było stworzenie!... że do tego nigdy nie przyjdzie!"

„Nie mów tego Doro! Najdroższa, ukochana, nie myśl tak!"

„Nie będę, jeśli potrafię Doady! Ale jestem bardzo szczęśliwa, chociaż mój drogi chłopak smutny jest i samotny, gdy widzi puste krzesło swego dziecka... żony!"

— — — — — — — — — — — —

Noc; jestem z nią wciąż jeszcze. Agnieszka przyjechała i spędziła z nami cały dzień i jeden wieczór. Ona, ciotka moja i ja siedzieliśmy przy Dorze wszyscy razem, od samego rana. Niewiele rozmawialiśmy, ale Dora była zupełnie zadowolona i wesoła. Teraz jesteśmy sami.

Teraz wiem, że ona mnie niebawem opuści. Powiedzieli mi to; nie powiedzieli nic nowego moim myślom, ale mi jakoś ta prawda do serca przeniknąć nie chce. Nie mogę się z tem pogodzić. Wiele razy dzisiaj szukałem samotności, by się wypłakać.

Rozpamiętywałem, kto także płakał nad rozstaniem umierającego z żywymi; rozmyślałem o tych dziejach łaski i miłosierdzia. Starałem się poddać i szukać pocieszenia i może osiągnęłam to do pewnego stopnia; jednakże to, czego nie mogę silnie w myśli mej ustalić, to że koniec przyjść musi bezwzględnie. Trzymam rękę jej w mojej, serce jej w mojem sercu, widząc miłość jej dla mnie, żywą w całej swej mocy. Nie mogę wykluczyć nikłego, nie gasnącego cienia nadziei, że przecież może śmierć ją oszczędzi.

„Chcę z tobą pomówić, Doady. Chcę ci powiedzieć coś, co w ostatnich czasach już nieraz powiedzieć ci chciałam. Nie weźmiesz mi tego za złe?“ z łagodnem spojrzeniem.

„Miałbym ci wziąć coś za złe, kochanie?“

„Bo ja nie wiem, co ty pomyślisz, albo co może myślałeś, czasami. Może ty często myślałeś to samo. Doady, kochany mój, ja może byłam jeszcze za młoda“.

Kładę głowę na poduszce przy niej, a ona patrzy w moje oczy i mówi cichuteńko. Stopniowo, w miarę, jak mówi, czuję — a serce się we mnie ściska — że mówi o sobie, jakby już umarłej.

„Myślę, mój drogi, że pewnie byłam za młoda. I myślę, że nietylko latami, ale doświadczeniem, myślami i wszystkiem. Takie niemądre było ze mnie stworzonko! Myślę, że może byłoby się stało lepiej, gdybyśmy się tylko byli kochali jak młody chłopak i młoda dziewczyna, a potem o tem zapomnieli. Nie mogę pozbyć się myśli, że nie byłam jeszcze odpowiednią za żonę“.

Usiłuję powstrzymać łzy i odpowiadam: „O Doro, kochanie, tak byłaś odpowiednią na żonę, jak ja na męża!“

„Nie wiem, być może!“ mówi, po dawnemu potrząsając loczkami; „ale gdybym ja była odpowiedniejszą, możebyś i ty przeze mnie stał się odpowiedniejszy. A przytem, ty jesteś bardzo mądry, a ja mądra nigdy nie byłam“.

„Byliśmy bardzo szczęśliwi ze sobą, Doro, moja ty najsłodsza!“

„Ja byłam bardzo szczęśliwa, bardzo. Ale w miarę, jakby lata płynęły, mój drogi chłopak sprzykrzyłby sobie swoją żonę - dziecko. Coraz mniej i mniej byłaby tego towarzyszką. Coraz więcej i więcej czułby, czego w jego domu brak. Onaby się nie poprawiła. Lepiej jest, że jest tak, jak jest“.

„O, Doro, najdroższa, najdroższa, nie mów do mnie w ten sposób. Każde słowo zdaje się wyrzutem!“

„Nie, o nie!“ odpowiada, całując mnie. „O, kochany mój, ty nigdy na to nie zasłużyłeś, a ja ciebie za bardzo kochałam, żeby ci na serjo powiedzieć jedno słowo wyrzutu — w tem była jedyna moja wartość oprócz tego, że byłam ładna... a przynajmniej ładna w twoich oczach. Czy tam beze mnie pusto na dole, Doady?“

„O, tak pusto! Tak pusto!“

„Nie płacz! Czy stoi tam mój fotel?“

„Stoi na dawnem swojem miejscu“.

„Och, jak płacze mój biedny chłopczyk! No cicho, cicho! A teraz przyrzeknij mi coć. Chcę pomówić z Agnieszką. Gdy zejdziesz na dół, powiedz to Agnieszce i przyślij ją do mnie; a gdy ja z nią będę rozmawiała, niech tu nikt nie wchodzi... ani nawet ciocia. Chcę z Agnieszką samą pomówić. Z Agnieszką samą jedną“.

Obiecuję, że tak się stanie, i to zaraz; ale z wielkiego żalu nie mogę odejść od niej.

„Powiedziałam, że lepiej jest tak, jak jest!“ szepcze, tuląc mnie w objęciach. „O, Doady, ty po latach nie mógłbyś swojej żony - dziecka kochać więcej, jak teraz; ale po latach takby cię ona zmęczyła i zawiodła, że nie mógłbyś jej kochać ani w połowie tak bardzo, jak teraz! Ja wiem, że byłam za młoda i za bardzo dziecinna. O wiele lepiej jest tak, jak jest!“

. . . .

Zastaję Agnieszkę na dole, gdy schodzę do bawialni; powtarzam jej prośbę Dory. Agnieszka wychodzi, zostawiając mnie samego z Jipem.

Chiński domek Jipa stoi przy piecu, a on leży na swem posłaniu z flaneli i pomrukując, stara się zasnąć. Jasny księżyc stoi wysoko na czystem niebie. Patrzę w tę noc i łzy moje płyną, płyną, a moje nieopanowane serce ciężko, ciężko boleje.

Siadam przy ogniu, rozmyślając z głuchym wyrzutem sumienia o wszystkich tych potajemnych uczuciach, jakie nurtowały we mnie od czasu małżeństwa. Myślę o każdej drobnostce, jaka stanęła między mną a Dorą, i czuję, że prawdą jest, iż drobnostki stanowią sumę życia. A z morza moich wspomnień wciąż powstaje obraz drogiego dziewczątka, gdy najpierw ją poznałem, opromieniony takim wdziękiem mojej młodzieńczej miłości i jej miłości, tym czarem, który taka miłość daje. Czy doprawdy byłoby było lepiej, gdybyśmy się byli kochali tą miłością młodego chłopca i młodej dziewczyny i byli o tem zapomnieli? Nieopanowane serce, odpowiedz!

Ile czasu upływa, sam nie wiem — przywołuje mnie do rzeczywistości stary towarzysz mego dziecka - żony. Niespokojniejszy teraz, niż pierwej, wyłazi ze swego domku i patrzy na mnie, i wlecze się do drzwi i piszczy, że chce iść na górę.

„Nie dziś wieczór, Jip! Nie dziś wieczór!“

Bardzo powoli zawraca do mnie, liże moją rękę i podnosi mętne oczy do mojej twarzy.

„O Jip! A może już nigdy!“

Położył się u moich nóg, wyciągnął się, jak do snu i z żałosnym skowytem — zdechł.

„O Agnieszko! Patrz! Czy widzisz?“

Ta twarz, taka pełna litości i bólu, ten potok łez, ta straszna niema wymowa w oczach, ta ręka, uroczyście wzniesiona ku niebu!

„Agnieszko?"

Stało się. Ciemno mi w oczach; i na pewien czas wszystko zaciera się w mej pamięci.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty.

Pan Micawber załatwia interesy.

Nie w tej to pierwszej chwili załamała się dusza moja pod brzemieniem smutku. Przyszedł czas, gdy wydało mi się, że przed przyszłością moją stanął wał kamienny, że wyczerpała się moja energja i zdolność do czynu, że ucieczką dla mnie może być tylko grób. Przyszedł czas, gdy tak czułem, powiadam, ale nie po pierwszym wstrząsie boleści. Zwolna to przyszło. Gdyby wydarzenia, o których będę dalej opowiadał, nie były się dokoła mnie skupiły, zamącając zrazu, zwiększając następnie mój smutek, możliwe (choć nie wydaje mi się to prawdopodobnem), że byłbym odrazu wpadł w taki stan. Ale tak upłynął jakiś czas, zanim w pełni zrozumiałem własną niedolę; upłynął okres w którym sądziłem nawet, że najbardziej dojmujący ból już przeminął, gdy serce moje koiło się wspomnieniami wszystkiego, co tak było niewinne i piękne w tych serdecznych, a na zawsze minionych dziejach.

Kiedy po raz pierwszy rzucono myśl, że mam wyjechać zagranicę, i jak do tego doszło, że ułożyliśmy między sobą, iż mam dla odzyskania spokoju podróżować i pracować —, jeszcze teraz nawet nie wiem dokładnie. Duch Agnieszki tak przenikał myśli nasze, słowa, czyny, wszystko — w tym okresie smutku i zmartwienia — iż wnoszę, że jej wpływowi przypisać muszę ten projekt. Wpływ jej jednakże działał tak dyskretnie, że nie zdawałem sobie z niego sprawy.

I teraz rzeczywiście zacząłem wierzyć, że porównywując ją kiedyś do Świętej kościelnego witrażu, miałem proroczе przeczucie, czem ona stanie się dla mnie, gdy czasy się dopełnią i spadnie na mnie ta klęska. W całem tem nieszczęściu, począwszy od owej nigdy nie zapomnianej chwili, gdy stanęła przede mną z tą podniesioną ręką, była jak uświęcający wszystko duch w samotnym moim domu. Gdy Anioł Śmierci wstąpił do tego domu, powiedziano mi później, że żona moja zasnęła z uśmiechem na jej piersi. Gdy zbudziłem się z omdlenia, przywołały mnie do świadomości jej współczujące łzy, słowa nadziei i ukojenia z jej ust płynące, jej twarz słodka, jak twarz anioła, pochylona nad mojem nieopanowanem sercem i łagodząca jego ból.

Miałem zatem wyjechać zagranicę. To, zdaje się, postanowione było między nami od początku. Ziemia pokrywała doczesne szczątki mojej ukochanej żony, czekałem więc już tylko na to, co pan Micawber nazywał „ostatecznem rozbiciem w proch Heepa" i na odjazd emigrantów.

Na prośbę Traddlesa, najserdeczniejszego i najbardziej oddanego z przyjaciół w moim smutku, wróciliśmy do Canterbury: mianowicie ciotka moja, Agnieszka i ja. Udaliśmy się, wedle umowy, prosto do domu pana Micawbera, gdzie, jak również w domu pana Wickfielda, przyjaciel mój pracował stale od dnia owego wybuchowego naszego spotkania. Gdy biedna pani Micawber ujrzała mnie, wchodzącego w czarnem mem ubraniu, ogarnęło ją widoczne wzruszenie. Bardzo dobre serce miała ta kobieta i nie wystudziły go te wszystkie lata.

„No i cóż, moi państwo", zaczęła ciotka zaraz na wstępie, zaledwie usiedliśmy, „czy zastanowiliście się nad tą moją propozycją, dotyczącą emigracji?"

„Moja droga pani", odpowiedział pan Micawber, „może nie mogę lepiej określić rezultatów, do jakiego pani Micawber, powolny pani sługa i, mogę dodać, nasze dzieci, doszliśmy łącznie i każde z osobna, jak, zapożyczywszy się u sławnego poety, odpowiadając, że — Łódź nasza u brzegu, a Barka na fali —".

„To dobrze", odpowiedziała ciotka. „Przewiduję, że to rozsądne postanowienie przyniesie dobre rezultaty".

„Pani wyrządza nam wiele zaszczytu", odparł. Następnie przejrzał jakąś notatkę. „Co się tyczy pieniężnej pomocy, umożliwiającej nam rzucenie wątłej łódki naszej na ocean przedsięwzięć, zastanowiłem się jeszcze raz nad tym ważnym interesem; otóż chciałbym prosić i zaproponować, ażeby moje rewersy — wypisane, zbyteczne o tem wspominać, na blankietach stemplowych, takich, jak je co do wysokości sumy określają odnośne ustawy parlamentu — opiewać mogły na ośmnaście, dwadzieścia cztery i trzydzieści miesięcy. Proponowałem pierwotnie na dwanaście, ośmnaście i dwadzieścia cztery; lękam się wszelako, że tego rodzaju układ mógłby nie dać pożądanego czasu na... na nawinięcie się czegoś... Moglibyśmy naprzykład", tu pan Micawber powiódł okiem po pokoju, jak gdyby ten przedstawiał z parę set akrów znakomicie uprawnej roli, „w terminie płatności pierwszej raty nie mieć jeszcze sprzątniętego żniwa. Robotnika, zdaje mi się, trudno czasem dostać w tych okolicach naszych kolonjalnych obszarów, gdzie nam los każe walczyć z bujną ziemią".

„Niech pan to urządzi, jak panu najdogodniej", odpowiedziała ciotka.

„Pani", odparł, „moja żona i ja głęboko jesteśmy wdzięczni za dobrotliwą względność naszych przyjaciół i opiekunów. Ja zaś pragnę załatwić ten interes najzupełniej po kupiecku i być najzupełniej punktualnym. Zaczynając, jak my to czynimy, zupełnie nową kartę i gotując się, jak my w tej chwili, do skoku na wielką odległość — w poczuciu własnej godności pojmuję, że, zresztą, jako przykład dla mojego syna, sprawy te powinny być załatwione akuratnie, jak to przystoi między człowiekiem a człowiekiem".

Nie wiem, czy pan Micawber przywiązywał jakie znaczenie do tego ostatniego frazesu; nie wiem, czy ktokolwiek przywiązywał je lub przywiązuje, w każdym jednak razie lubował się nim widać niepomiernie, gdyż odkaszlnąwszy znacząco, powtórzył: „jak to przystoi między człowiekiem a człowiekiem".

„Proponuję", mówił dalej pan Micawber, „weksle... udogodnienie w kupieckim świecie, które zdaje mi się, pierwotnie zawdzięczamy żydom, choć oni coprawda djablo zawiele odtąd się niemi trudnili... udogodnienie, ponieważ można je puszczać w kurs. Gdyby jednakże państwo woleli rewers, skrypt dłużny albo inną formę gwarancji, gotów jestem spełnić to życzenie. Jak to przystoi między człowiekiem a człowiekiem".

Ciotka moja zauważyła, że w wypadku, gdzie obie strony gotowe są na wszystko się zgodzić, z pewnością nie będzie trudności w załatwieniu sprawy. Pan Micawber był tego samego zdania.

„Co się zaś tyczy", z pewną dumą zaczął znów pan Micawber, „rodzinnych naszych przygotowań do losu, jaki nas czeka, proszę pani, to proszę łaskawie posłuchać, gdyż radbym zdać z tego sprawę. Otóż najstarsza moja córka uczęszcza codziennie o piątej rano do sąsiedniego zakładu, ażeby nauczyć się zabiegu — jeżeli to można nazwać zabiegiem — dojenia krów. Moje młodsze dzieci otrzymały polecenie obserwowania zbliska, o ile tylko okoliczności pozwolą, obyczajów świń i drobiu, hodowanego w biedniejszych dzielnicach miasta; od zajęcia tego powróciły dwa razy do domu, o mały włos nie uległszy przejechania. Ja sam w ciągu przeszłego tygodnia zwróciłem trochę uwagi na sztukę piekarską, zaś syn mój Wilkins wyruszał z laską i pasał bydło, o ile spaleni wichrem najemnicy, mający je pod pieczą, pozwalali mu na ochotniczą służbę w tym kierunku — co, z żalem i z politowaniem nad ludzką naturą, wyznać muszę, nie zdarzało się zbyt często; zazwyczaj bowiem klnąc, nakazywano mu: ruszaj sobie!"

„Wszystko to bardzo słuszne", zachęcająco pochwaliła ciotka. „I pani Micawber też, nie wątpię, krzątała się".

„Moja droga pani", odpowiedziała pani Micawber ze swą miną bardzo praktyczno-rzeczową, „muszę wyznać, że nie oddawałam się zajęciom bezpośrednio związanym z uprawą ani z hodowlą, choć dobrze wiem, że jedno i drugie w tej obcej krainie wymagać będzie moich starań. Te wolne chwile, jakie zdołałam ukraść gospodarskim obowiązkom, poświęciłam przydługiej korespondencji z moją rodziną. Wyznaję bowiem, że mi się zdaje, mój drogi panie Copperfield", pani Micawber zawsze ostatecznie kończyła na mnie, zapewne z dawnego przyzwyczajenia, do kogokolwiek przemowę swą zwracała na początku, „że nadszedł czas, gdy przeszłość winna utonąć w zapomnieniu, moja rodzina podać powinna rękę panu Micawberowi, a pan Micawber mojej rodzinie, gdy lew powinien spocząć przy jagnięciu, a rodzina moja pogodzić się z panem Micawberem".

Odpowiedziałem, że i ja tak sądzę.

„Tak przynajmniej j a się na te sprawy zapatruję, mój drogi panie Copperfield", mówiła dalej pani Micawber. „Gdy jeszcze byłam w domu u papy mojego i mojej mamy, papa zwykł był pytać, gdy nad czemś w naszem szczupłem kółku dyskutowano: — Jak się zapatruje na to moja Emma? — Że papa za wysoko mnie cenił, to wiem; jednakże w tej kwestji, w kwestji tego lodowatego chłodu, jaki zawsze istniał pomiędzy panem Micawberem a moją rodziną, z konieczności wytworzyłam sobie sąd, chociaż może mylny".

„Bez wątpienia. Musiała go sobie pani wytworzyć; naturalnie", odpowiedziała ciotka.

„Właśnie", przyznała pani Micawber. „Otóż, ja może mylnie wnioskuję, bardzo to być może; ale mojem osobistem wrażeniem jest, że przepaść, istniejącą pomiędzy rodziną moją a panem Micawberem można przypisać obawie ze strony mojej rodziny, by pan Micawber nie żądał pieniężnej pomocy. Nie mogę obronić się myśli, że pomiędzy członkami mojej rodziny są tacy, którzy się lękali, by pan Micawber nie prosił o ich imiona — nie po to, by je nadać dzieciom naszym na chrzcie świętym, ale aby służyły jako podpisy na wekslach".

Wyraz przenikliwości z jakim pani Micawber wygłosiła to odkrycie, tak jakby to nikomu przedtem nie przyszło do głowy, zdziwił widocznie nieco moją ciotkę, gdyż odpowiedziała bez namysłu:

„No tak, proszę pani, ostatecznie nie zdziwiłabym się, gdyby pani to trafnie odgadła!"

„Ponieważ pan Micawber znajduje się obecnie w przededniu zrzucenia pieniężnych więzów, tak długo go krę-

pujących", dowodziła pani Micawber, „i rozpoczęcia nowej karjery w krainie, gdzie jest dość miejsca dla jego zdolności... mojem zdaniem jest to wzgląd niezmiernie ważny, gdyż uzdolnienie pana Micawbera specjalnie wymaga przestrzeni... zdaje mi się, że moja rodzina powinnaby wykorzystać tę sposobność, robiąc pierwszy krok. To, czegobym pragnęła się doczekać, to spotkania pomiędzy panem Micawberem a moją rodziną na uroczystem przyjęciu, wydanem kosztem mojej rodziny; gdyby wtedy który z poważniejszych członków mojej rodziny wniósł toast za zdrowie i powodzenie pana Micawbera, pan Micawber mógłby mieć sposobność do rozwinięcia swoich poglądów".

„Moja kochana", odpowiedział pan Micawber trochę gorąco, „może lepiej, jeśli odrazu wyraźnie oświadczę, że gdybym miał rozwijać moje poglądy przed tem zgromadzeniem, możeby się to zgromadzenie miało o co obrazić; mam bowiem wrażenie, że twoja rodzina to, ogółem biorąc, impertynenckie błazny, a szczegółowo określając, nieokrzesane draby".

„Mężu", rzekła pani Micawber, potrząsając głową, „nie! Ty nigdy ich nie rozumiałeś i oni nigdy nie rozumieli ciebie!"

Pan Micawber odkaszlnął.

„Nigdy ciebie nie rozumieli", powtórzyła jego żona. „Być może, nie byli zdolni cię zrozumieć. A w takim razie to ich nieszczęście. Potrafię się litować nad ich nieszczęciem".

„Bardzo mi przykro, moja droga Emmo", rzekł pan Micawber udobruchany, „że wymknęły mi się wyrażenia, które mógłby ktoś nazwać wyrażeniami... mocnemi. Chciałem tylko powiedzieć, że mogę kraj opuścić bez łaskawych pierwszych kroków ze strony twojej rodziny — krótko mówiąc, zniosę na pożegnanie zimne wzruszenie ich ramion; i że koniec końców, wolę opuścić Anglję moim własnym rozpędem, niż stamtąd otrzymując przyspieszające pchnięcie. Pomimo to, moja kochana, jeżeli oni raczą odpowiedzieć na twoje listy — a wspólne doświadczenie uczy nas, że to jest bardzo nieprawdopodobne — daleki jestem od tego, aby życzeniom twoim stawać na przeszkodzie".

W ten sposób po przyjacielsku załatwiwszy sprawę, pan Micawber podał ramię pani Micawber i spojrzawszy na kupę książek i papierów, leżących przed Traddlesem na stole, oświadczył, że nie chcąc nam przeszkadzać, wychodzą; co też ceremonjalnie uczynili.

„Mój kochany Copperfieldzie", przemówił Traddles, opierając się w krześle po ich wyjściu i patrząc na mnie z takiem uczuciem, że aż mu poczerwieniały oczy, a włosy zwichrzyły się jeszcze bardziej, „nie przepraszam cię, choć trudzę cię interesami, ponieważ wiem, że cię to mocno obchodzi, a przytem może rozerwać ci myśli. Mój drogi chłopcze, myślę, że może nie jesteś zbyt wyczerpany..."

„Jestem zupełnie ten sam, co zawsze", odpowiedziałem po chwili. „Musimy raczej myśleć o mojej ciotce. Ty wiesz, ile dla nas robiła i jak się nie oszczędzała".

„Ależ tak, tak", odpowiedział Traddles. „Któżby mógł o tem zapomnieć!"

„Nie dosyć na tem jednakże", mówiłem dalej. „W ciągu ostatnich dwóch tygodni nowy jakiś kłopot spadł na nią tak, że codziennie wyjeżdżała poza Londyn. Kilka razy wyjechała wcześnie rano i nie wróciła aż pod wieczór. Wczoraj, mój drogi, mając podróż przed sobą, dopiero prawie o północy wróciła do domu. Ty wiesz, jak ciotka zawsze względna jest dla innych. Nie chce mi powiedzieć, co się stało i co ją martwi".

Ciotka, blada, z głębokiemi brózdami na twarzy, siedziała nieruchomo, dopóki nie skończyłem; wtedy kilka łez stoczyło się jej po twarzy i rękę swą położyła na mojej.

„To nic, Trotku, to nic. Już się to nie powtórzy. Dowiesz się potrochu. A teraz, Agnieszko, moja droga, zabierzemy się do tych interesów, nieprawdaż?"

„Muszę oddać panu Micawberowi sprawiedliwość", zaczął Traddles, „że choć, zdaje się, nie umiał pracować dla siebie z wielkim pożytkiem, niestrudzony to człowiek, gdy pracuje dla drugich. Nigdym jeszcze takiego nie widział. To wprost coś nadzwyczajnego, ta gorączka, z której nie wychodził, ten wprost szaleńczy impet, z jakim dniem i nocą zanurzał się w książki i papiery — nic już nie mówiąc o tej olbrzymiej mnogości listów, pisanych do mnie z domu pana Wickfielda do tego domu, a często nawet przez stół, gdy siedział naprzeciw i gdy łatwiej było mówić!"

„Listy!" zawołała moja ciotka. „Ależ ja myślę, że on nawet śni listami!"

„A także i pan Dick, i ten cudów dokazał! Gdy tylko został zwolniony z nadzoru nad Uriaszem Heep, którego pilnował z niebywałą gorliwością, cały poświęcił się panu Wickfieldowi. I doprawdy, wprost podniętą była dla nas ta jego chęć stania się pożytecznym w tych dochodzeniach; i rzeczywiście też stał się pożytecznym, wyciągając, kopjując, przynosząc, odnosząc i oddając różne usługi".

„Dick jest to człowiek bardzo wybitny", zawołała ciotka, „ja to zawsze mówiłam. Trotku, ty wiesz".

„Szczęśliwy jestem, że mogę to powiedzieć, panno Wickfield", mówił dalej Traddles z wielką delikatnością a równocześnie bardzo poważnie, „iż pod nieobecność pani pan

Wickfield znacznie się poprawił. Uwolniony od tego upiora, który go wysysał od tak dawna i od tych strasznych, życie mu zatruwających obaw, stał się innym zupełnie człowiekiem. Do pewnego stopnia nawet osłabiona u niego władza skupienia uwagi na pewnych szczegółach interesu, wzmocniła się znacznie i był nam w stanie dopomóc przy rozjaśnianiu niektórych rzeczy, co bez niego byłoby dla nas bardzo trudne, a może beznadziejne. Ale powinienem przejść do rezultatów; te dadzą się ująć w trzy słowa — o ile nie będę się wdawał w gawędę o różnych pomyślnych widokach, jakie się otwarły, bo wtedy nigdybym nie skończył".

Znać było po jego naturalności i miłej prostocie, że powiedział to, ażeby nam dodać otuchy i ażeby Agnieszka nie lękała się usłyszeć czegoś nieprzyjemnego, gdy wspominane będzie imię ojca.

„Zobaczmy więc", mówił dalej Traddles, zaglądając w papiery na stole. „Zesumowawszy nasze aktywa i doprowadziwszy do ładu całą wielką masę nierozmyślnego nieporządku po pierwsze, a po drugie rozmyślnego powikłania i fałszerstw, dochodzimy do jasnego wniosku, że pan Wickfield mógłby zwinąć swój interes oraz złożyć pełnomocnictwa, nie wykazując żadnego braku ani sprzeniewierzenia".

„O, dzięki Bogu!" zawołała Agnieszka z przejęciem.

„Jednakże nadwyżka, którąby pozostała i miała służyć jako źródło utrzymania, byłaby tak niewielka! Licząc nawet, że dom zostałby sprzedany, nie przechodziłaby prawdopodobnie zaledwie kilkuset funtów; to też może byłoby dobrze zastanowić się, panno Agnieszko, czy nie lepiej byłoby, gdyby ojciec zatrzymał pełnomocnictwa tych dóbr, któremi od tak dawna zarządzał. Przyjaciele mogliby mu pomagać, teraz, kiedy jest wolny. Pani sama, Copperfield, ja..."

„Zastanawiałam się nad tem, Trotwoodzie", rzekła, spojrzawszy na mnie, Agnieszka, „i czuję, że to być nie powinno. Nie trzeba. Pomimo tego nawet że to zaleca przyjaciel, któremu taka jestem wdzięczna, bo tyle dla mnie uczynił".

„Nie powiedziałbym, że ja to zalecam", zauważył Traddles. „Uważałem tylko za słuszne rzucić tę myśl. Nic więcej".

„Cieszę się, że pan to mówi", odpowiedziała Agnieszka bez wahania, „gdyż budzi to we mnie nadzieję, pewność nieledwie, że myślimy tak samo. Drogi panie Traddles, drogi Trotwoodzie, skoro papa nareszcie wolny i bez plamy na honorze, czegoż ja więcej pragnąć mogę! Zawsze marzyłam, że, gdybym go mogła wyzwolić z tych trosk,

w które był uwikłany, pragnęłabym mu oddać trochę tej miłości i starania, jakimi mnie otaczał, i poświęcić mu moje życie. To był, od lat, najwyższy szczyt moich marzeń. Wziąć na siebie naszą przyszłość, będzie to dla mnie największem szczęściem po tem wielkiem szczęściu, jakie mnie spotyka, gdy widzę papę oswobodzonego od wszelkich trosk i odpowiedzialności".

„Czy pomyślałaś, jak to chcesz uczynić, Agnieszko?"

„O, często o tem myślałam. Nie lękaj się, kochany Trotwoodzie. Jestem pewna, że mi się powiedzie. Tyle ludzi mnie tutaj zna, tylu mam tutaj życzliwych, że jestem zupełnie pewna. Zaufaj mi. Wymagania nasze są skromne. Jeżeli wydzierżawię nasz kochany stary dom i otworzę szkołę, będę pożyteczną i szczęśliwą".

Spokojny zapał jej miłego głosu stawił mi tak żywo przed oczy najpierw sam ten stary, kochany dom, a potem ten mój, osamotniony, że przepełnione serce odjęło mi mowę. Traddles udawał przez chwilę, że pilnie czegoś szuka w papierach.

„A teraz, panno Trotwood", rzekł, „co się tyczy tej pani własności".

„No cóż, mój panie", westchnęła ciotka. „Wszystko, co o tem powiedzieć mogę, to tyle, że jeżeli przepadła, potrafię to znieść — a jeżeli nie przepadła, będę rada ją odzyskać".

„Było tego, zdaje mi się, pierwotnie ośm tysięcy funtów, w Konsolach?" rzekł Traddles.

„Tak jest!" odpowiedziała ciotka.

„Nie mogę wyrachować się z więcej, jak tylko z pięciu", oświadczył Traddles z miną zakłopotaną.

„...tysięcy, mówi pan?" zapytała ciotka z niezwykłym spokojem, „czy też funtów?"

„Pięciu tysięcy funtów", odparł Traddles.

„To też i więcej nie było", odpowiedziała ciotka. „Za trzy sama sprzedałam. Jeden tysiąc zapłaciłam za twoją praktykę, Trotku, mój drogi, a pozostałe dwa mam u siebie. Straciwszy resztę, uważałam, że rozsądniej będzie o tej sumie nic nie mówić, ale zachować ją na czarną godzinę. Chciałam się też przekonać, jak ty z tej próby wyjdziesz, Trotku; i wyszedłeś szlachetnie — wytrwały, polegający na sobie, pełen zaparcia się siebie! To samo i Dick. Nie mówcie do mnie, bo jestem trochę zdenerwowana!"

Niktby tego nie przypuścił, widząc ją, siedzącą spokojnie, wyprostowaną, z założonemi rękoma; ale ona zadziwiająco umiała nad sobą panować.

„W takim razie miło mi oświadczyć", zawołał Traddles, promieniejący radością, „że odzyskaliśmy cały ten kapitał!"

„Niech mi nikt nie winszuje!" zawołała ciotka. „Jakimże sposobem, panie?"

„Pani sądziła, że tych pieniędzy użył bezprawnie pan Wickfield?" zapytał Traddles.

„Naturalnie, tak sądziłam", odpowiedziała ciotka, „i dlatego było łatwo skłonić mnie do milczenia. Agnieszko, ani słowa!"

„I w istocie też", oświadczył Traddles, „te papiery zostały sprzedane, dzięki pełnomocnictwu jakie pan Wickfield miał od pani; ale nie potrzebuję mówić przez kogo zostały sprzedane i za czyim w rzeczywistości podpisem. Ten łotr wmówił później w pana Wickfielda — i dowiódł nawet cyframi — że podjął te pieniądze (wedle ogólnych wskazówek, twierdził), żeby pokryć inne braki i trudności. Pan Wickfield, tak bardzo słaby i bezradny w jego rękach, że później kilkakrotnie wypłacał pani rzekome procenta od rzekomego kapitału, o którym wiedział, że nie istnieje, stał się przez to, niestety, uczestnikiem tej malwersacji".

„A wkońcu całą winę wziął na siebie", dodała moja ciotka; „i napisał do mnie warjacki list, oskarżając się o grabież i inne niesłychane zbrodnie. Na to ja pewnego dnia wczesnym rankiem złożyłam mu wizytę, poprosiłam o świecę, spaliłam list i powiedziałam mu, że jeżeli może sobie i mnie sprawiedliwość wymierzyć, to niech to uczyni, jeżeli zaś nie może, niech cicho siedzi przez wzgląd na córkę... Jeżeli się kto do mnie odezwie, wyjdę z domu!"

Milczeliśmy wszyscy; Agnieszka zakryła oczy.

„No i cóż, mój przyjacielu", rzekła po chwili ciotka, „zatem udało się panu istotnie wyciągnąć z niego zwrot tych pieniędzy?"

„To fakt", odpowiedział Traddles, „że Micawber tak go zewsząd osaczył i miał zawsze pod ręką tyle nowych dowodów, jeżeli jaki stary chybił, że nie mógł nam się wymknąć. Najszczególniejsze jest to, że doprawdy mnie się zdaje, iż on tę sumę zagarnął nietyle nawet przez chciwość, zresztą niezmierną, ile z nienawiści do Copperfielda. Wyraźnie mi to powiedział. Powiedział, że byłby nawet gotów wydać tyle samo, byle dokuczyć Copperfieldowi i skrzywdzić go".

„Ha!" rzekła ciotka moja, ściągając brwi w zamyśleniu i spojrzawszy na Agnieszkę. „A co się z nim stało?"

„Nie wiem. Wyjechał wraz z matką, która przez cały ten czas jęczała, i błagała i wyśpiewała wszystko. Wyjechali jednym z nocnych omnibusów do Londynu i nic więcej o nim nie wiem, tyle tylko, że na wyjezdnem zuchwale się odgrażał ze złości na mnie. Widocznie uważał, że nie mniej mi zawdzięcza, jak panu Micawberowi; powiedziałem mu, że uważam to za komplement".

„Czy myślisz, że on ma jakie pieniądze, mój kochany?" zapytałem.

„O, a jakże, mogę sobie wyobrazić", odpowiedział poważnie, potrząsając głową. „Przypuszczam, że różnemi sposobami dużo musiał zgarnąć do kieszeni. Sądzę jednak, Copperfieldzie, że gdybyś miał sposobność obserwować go zbliska, doszedłbyś do przekonania, że posiadanie pieniędzy nigdy tego człowieka od złego nie uchroni. To taki hipokryta, że do jakiego bądź celuby zdążał, zdążałby zawsze krętą drogą. To dla niego jedyne zadośćuczynienie za te zewnętrzne hamulce, jakie sobie nakłada. Zawsze pełzając do jakiegoś małego celu, zawsze zwiększać sobie będzie każdą przeszkodę na drodze i dlatego nienawidzieć i podejrzewać będzie każdego, kto najniewinniej stanie pomiędzy nim a jego celem. I tak kręte drogi stawać się będą coraz krętszemi, każdej chwili, z każdej przyczyny albo i bez przyczyny. Wystarczy zastanowić się nad jego historją w tej sprawie, żeby to wiedzieć".

„To prawdziwy potwór podłości!" zauważyła ciotka.

„Doprawdy nie wiem, czy tak jest", odpowiedział Traddles z namysłem. „Wielu ludzi potrafi zajść daleko w podłości, jeżeli raz wejdzie na tę drogę".

„A teraz, co się tyczy pana Micawbera?" zapytała ciotka.

„Rzeczywiście", odpowiedział Traddles wesoło, „muszę, raz jeszcze, wielkie pochwały oddać panu Micawberowi. Gdyby nie jego cierpliwość i wytrwałość przez czas tak długi, nigdybyśmy nie zdołali nic osiągnąć. I sądzę też, że musimy uznać, iż pan Micawber postąpił dobrze dla samego dobra tylko, jeśli zważymy, jakie korzyści mógł był osięgnąć u Uriasza Heep za samo swoje milczenie".

„I ja tak myślę", dorzuciłem.

„I cóżby mu pan dał?" zapytała ciotka.

„Ach, zanim do tego dojdziemy", odpowiedział Traddles, trochę zakłopotany, „muszę oświadczyć, że uważałem za bezpieczniejsze nie dotykać dwóch kwestyj przy bezprawnem załatwianiu (bo bezprawnem jest ono od początku do końca) — tej niełatwej sprawy. Te rewersy i t. d., które mu pan Micawber wystawiał na te pobrane zaliczki..."

„No jakżeż! Te muszą być zapłacone!" rzekła ciotka.

„Tak, ale ja nie wiem, kiedy mogą być wyprocesowane, ani gdzie są", odpowiedział Traddles, szeroko otwierając oczy; „przewiduję zaś, że między chwilą obecną a jego wyjazdem, pan Micawber będzie stale więziony albo nagabywany przez komornika".

„Więc trzeba go będzie stale uwalniać i zdejmować z niego egzekucję“, oświadczyła ciotka. „Ileż to razem wynosi?“

„No, pan Micawber te tranzakcje — on to nazywa tranzakcjami — wciągnął bardzo formalnie do książki“, uśmiechając się odpowiedział Traddles, „i oblicza całą wysokość sumy na sto trzy funty i pięć szylingów“.

„Cóż tedy my jemu damy, łącznie z tą sumą?“ pytała ciotka. „Agnieszko, moja kochana, my możemy ze sobą później pogadać o podziale. Więc ile tego ma być? Pięćset funtów?“

Na to my obaj, Traddles i ja zgodziliśmy się odrazu. Obaj radziliśmy niewielką sumę gotówką i zapłacenie, bez umawiania się z panem Micawberem, pretensji Uriasza, w miarę, jak będą napływać. Zaproponowaliśmy, żeby rodzinie zapłacić przejazd i wyekwipowanie, wręczyć sto funtów i poważnie przyjąć zobowiązania pana Micawbera co do zwrotu owej kwoty, gdyż może zdrowo będzie dla niego, gdy będzie się czuł odpowiedzialnym za nią. Do tego dodałem, że gotów jestem objaśnić o jego charakterze i o jego losach pana Peggotty, na którym wiem, że można polegać, i że panu Peggotty można swobodnie powierzyć dalsze sto funtów, by mu ich udzielił w razie potrzeby. Dalej zaproponowałem, że pana Micawbera zainteresuję panem Peggotty, opowiadając z jego dziejów tyle, ile będę uważał, że mam prawo i że potrzeba; i że starać się będę zbliżyć ich obu do siebie dla wzajemnego ich dobra. Wszyscy gorąco podzielaliśmy te poglądy i mogę dodać odrazu, że sami zainteresowani wkrótce potem z dobrą wolą i zgodnie przystali do siebie.

Widząc, że Traddles teraz znów niespokojnie spogląda na moją ciotkę, przypomniałem mu o drugiej i ostatniej kwestji, o której był wspomniał.

„Ty i ciotka twoja, Copperfieldzie, zechciejcie mi darować, jeżeli dotknę tematu niemiłego, jak się obawiam“, zaczął Traddles z wahaniem, „myślę jednakże, że należy to państwu przypomnieć. W dniu owego pamiętnego oskarżenia, rzuconego przez pana Micawbera, Uriasz Heep uczynił jakąś groźną aluzję do męża twojej ciotki“.

Ciotka, sztywna i napozór spokojna, potwierdziła skinieniem głowy.

„Może była to tylko bezcelowa impertynencja?“ zauważył Traddles.

„Nie“, odpowiedziała ciotka.

„Czy istnieje rzeczywiście ktoś taki i czy wogóle coś może być w jego mocy?“

„Tak, mój dobry przyjacielu“, odpowiedziała ciotka.

Traddles, któremu twarz widocznie się przedłużyła, oznajmił nam, że nie mógł poruszać tej kwestji, podobnie jak i sprawy zobowiązań pana Micawbera, gdyż warunki, jakie postawił, nie obejmowały tych spraw; że już nie mamy żadnej władzy nad Uriaszem Heep i że ten, jeżeli tylko będzie mógł komu z nas jaką krzywdę albo szkod wyrządzić, to niewątpliwie ją wyrządzi.

Ciotka moja nie traciła spokoju; tylko kilka łez stoczyło jej się po policzkach.

„Ma pan zupełną słuszność“, rzekła. „Bardzo poczciwie z pańskiej strony, że pan o tem wspomniał“.

„Czy który z nas.. ja albo Copperfield, możemy cośkolwiek uczynić?“ zapytał Traddles delikatnie.

„Nic“, odpowiedziała. „Dziękuję panu serdecznie. Trotku, mój drogi, to próżna pogróżka! Poprośmy z powrotem państwa Micawberów. I niech nikt z was nie mówi do mnie!“

To mówiąc, wygładziła rękoma suknię i wyprostowana, jak zawsze, siedziała, patrząc na drzwi.

„Tak więc tedy, moi państwo“, przemówiła, gdy weszli państwo Micawber, „omówiliśmy sprawę waszej emigracji i bardzo was przepraszam, że tak długo trzymaliśmy was za progiem. Zaraz wam opowiem, jaki plan chcemy wam zaproponować“.

Ten plan wyłuszczyła ku niezmiernemu zadowoleniu rodziny, dzieci bowiem i wszyscy byli przy tem obecni; tak to zaś pobudziło pana Micawbera w jego punktualnych przyzwyczajeniach, którym hołdował w pierwszem stadjum każdej wekslowej tranzakcji, że nie można go było powstrzymać i wypadł natychmiast, w najlepszym humorze, zakupić blankiety stemplowe na swoje rewersy. Radość jego jednak trwała krótko, w pięć minut bowiem powrócił pod strażą policyjnego urzędnika i, lejąc potoki łez, uwiadomił nas, że wszystko stracone. My, będąc zupełnie przygotowani na tę ewentualność, — naturalnie, dzieło Uriasza Heep — natychmiast zapłaciliśmy dług, o który chodziło, i po pięciu dalszych minutach pan Micawber już siedział przy stole i wypełniał blankiety z tym wyrazem doskonałej radości, jaką tylko to sympatyczne zajęcie i przyrządzanie ponczu potrafiło rozlewać na jego jaśniejącem obliczu. Doprawdy, warto go było widzieć, pracującego nad blankietami z rozkoszą artysty, dotykającego ich, jakby to były obrazy, patrzącego na nie z boku, robiącego ważne zapiski dat i cyfr w notatniku, a gdy skończył swoje dzieło, spoglądającego na nie w głębokiem poczuciu wysokiej jego wartości. Był to, zaiste, widok nielada.

„Otóż jeśli mi pan pozwoli dać sobie dobrą radę“, rzekła ciotka, która przyglądała mu się w milczeniu, „powiedziała-

bym, że najlepiejby pan zrobił, gdyby się pan tego zajęcia wyprzysiągł odtąd raz na zawsze".

„Pani", odpowiedział pan Micawber, „mam zamiar zapisać takie postanowienie na dziewiczej karecie przyszłości. Pani Micawber będzie mi świadkiem. Ufam", mówił dalej uroczyście, „że syn mój, Wilkins, będzie zawsze tego pomny, iż uczyni o wiele lepiej, wkładając rękę w ogień, niż dotykając nią tych żmij, które zatruły krew i życie nieszczęsnego jego ojca!"

Głęboko wzruszony i w jednej chwili przemieniony w obraz rozpaczy, pan Micawber popatrzył na „żmije" okiem ponurego wstrętu (w którym jednak poprzedni zachwyt niezupełnie wygasł), złożył je i schował do kieszeni.

Na tem zakończyły się sprawy tego wieczora. Wyczerpani byliśmy zmartwieniem i zmęczeniem, a nazajutrz razem z ciotką miałem wracać do Londynu. Zostało umówione, że Micawberowie podążą za nami, skoro tylko wyprzedadzą swoje rzeczy, że interesy pana Wickfielda zostaną, pod kierunkiem Traddlesa, o ile da się jak najprędzej doprowadzone do ładu i zwinięte, i że Agnieszka także na ten czas pojedzie do Londynu. Spędziliśmy noc w starym domu, który, uwolniony od obecności Heepów, wydawał się oczyszczonym z jakiejś zarazy — ja zaś znowu położyłem się w moim dawnym pokoju, jako tułacz-rozbitek, co wrócił do domu.

Nazajutrz powróciliśmy do domu mojej ciotki, nie do mojego — a gdy zasiedliśmy sami, jak dawniej bywało, przed pójściem na spoczynek, ciotka moja zagadnęła: „Trotku, czy tybyś naprawdę chciał wiedzieć, co mi w ostatnich czasach leżało na sercu?"

„Naprawdę, cиociu. Jeżeli kiedy, to tem bardziej teraz nie chciałbym, żebyś miała jakie zmartwienie, lub jakie myśli niespokojne, którychbym z tobą nie mógł dzielić.

„Miałeś ty dość zgryzoty, dziecko", serdecznie odpowiedziała ciotka, „bez m o i c h małych strapień. Jeżeli je przed tobą kryłam, Trotku, to nie dla innego powodu".

„Wiem ja to dobrze", odparłem. „Ale teraz niech mi ciocia powie".

„Czy pojechałbyś ze mną kawałek jutro rano?" zapytała ciotka.

„Ależ naturalnie".

„O dziewiątej", rzekła. „Wtedy ci powiem, mój drogi".

O dziewiątej zatem wsiedliśmy do powoziku i pojechaliśmy do Londynu. Długo jechaliśmy przez różne ulice aż zajechaliśmy przed jeden z wielkich szpitali. Tuż przed budynkiem stał prosty karawan. Woźnica poznał ciotkę

i na dany przez nią znak ręką, ruszył zwolna; my pojechaliśmy za nim.

„Teraz rozumiesz Trotku", rzekła ciotka. „On już nie żyje!"

„Czy umarł w szpitalu, ciociu?"

„Tak".

Siedziała wyprostowana obok mnie; ale znowu ujrzałem kilka łez, staczających się po jej twarzy.

„Przedtem był tam już raz", powiedziała ciotka. „Zapadał już dawno... wyniszczony, złamany człowiek, od wielu lat. Gdy zrozumiał stan swój w tej ostatniej chorobie, prosił, by po mnie posłali. Żałował wtedy. Bardzo żałował".

„Pojechała ciocia, ja wiem".

„Pojechałam. Odtąd przebywałam przy nim dużo".

„I umarł tej nocy przed naszym wyjazdem do Canterbury?" zapytałem.

Ciotka skinęła głową i dodała: „Nikt mi już teraz zaszkodzić nie może. Próżna to była pogróżka".

Pojechaliśmy za miasto na cmentarz w Hornsey.

„Lepiej mu tutaj, niż na ulicach", szepnęła ciotka. „Tu się urodził".

Wysiedliśmy i odprowadziliśmy prostą trumnę do kącika, który dobrze zapamiętałem, gdzie ksiądz odczytał modlitwę i gdzie ją złożono do ziemi.

„Trzydzieści sześć lat dziś właśnie minęło od dnia mojego ślubu", rzekła ciotka, gdy wracaliśmy do powozu. „Boże, bądź nam miłościw!"

Zajęliśmy miejsca nasze w milczeniu i w milczeniu też długo siedziała ciotka obok mnie, trzymając moją rękę. Wkońcu nagle wybuchnęła łzami i rzekła: „Piękny to był człowiek, gdy za niego wychodziłam, Trotku — a tak bardzo był zmieniony!"

Niedługo to trwało. Znalazłszy ulgę w łzach, ciotka uspokoiła się niebawem, odzyskała nawet pogodę. Gdyby nie to, że jest trochę zdenerwowana, powiedziała, nigdyby się nie poddała w ten sposób. Boże, bądź nam miłościw!

Wróciliśmy tedy do naszego domku w Highgate, gdzie zastaliśmy następujący krótki bilecik z rannej poczty od pana Micawbera:

„Canterbury — Piątek.

Łaskawa Pani i drogi Copperfieldzie!

Piękną ziemię obiecaną, niedawno ukazującą się na horyzoncie, znowu nieprzeniknione mgły zasnuły i na zawsze usunęły z przed oczu tonącego nieszczęśliwca, którego los jest przypieczętowany!

Nowy wyrok został wydany (w wysokim sądzie Kings Bench w Westminster) w nowej sprawie Heepa przeciw

Micawberowi i oskarżony w tej sprawie jest w mocy wykonawcy prawa.

Oto dzień, oto godzina,
Bitwy front chwiać się zaczyna,
Dumny Edward rusza w pole —
Niesie łańcuch i niewolę!"

Na którą skazany, jakoteż na bliski koniec (gdyż mękę nieustanną tylko do pewnej granicy znieść można, a czuję, że tę granicę już osiągnąłem) — dobiegam kresu. Bóg z wami! Bóg z wami! Jakiś przyszły podróżnik, zwiedzając przez ciekawość, miejmy nadzieję, że także i przez współczucie trochę, miejsce kaźni dla dłużników w tem mieście, może się zaduma, widząc wyryte na ścianie zardzewiałym gwoździem,

nieznane litery

W. M.

P. S. Otwieram jeszcze to pismo, żeby dodać, że nasz wspólny przyjaciel, pan Tomasz Traddles (który jeszcze od nas nie wyjechał i wygląda wyśmienicie), zapłacił ten dług razem z kosztami, w szlachetnem imieniu panny Trotwood — i że ja wraz z rodziną jesteśmy u szczytu ziemskiej szczęśliwości".

Rozdział pięćdziesiąty piąty.

Burza.

Zbliżam się teraz do wydarzenia w mojem życiu tak niezatartego, tak okropnego, tak związanego najróżniejszemi węzłami ze wszystkiem, co je na tych kartach poprzedziło, że już zaczynając moje opowiadanie widziałem, jak rośnie i rośnie w miarę, jak się posuwam, podobne wielkiej wieży na płaskowzgórzu, rzucającej cień swój wstecz, nawet na wypadki mojego dzieciństwa.

Po latach jeszcze śniłem o niem często. Zrywałem się pod tak żywem wrażeniem, że furja jego zdawała się jeszcze szaleć w cichym moim pokoju, wśród głuchej nocy. Do dziś dnia śnię o tem jeszcze czasami, choć rzadziej i w nieokreślonych odstępach. Kojarzy mi się to z burzliwym wiatrem lub najlżejszem wspomnieniem wybrzeża morskiego, kojarzy mi się to silnie i niezawodnie. Tak jasno, jak widzę to, co się stało, postaram się to opisać. Nie sięgam do pamięci, lecz widzę, jak się to dzieje, dzieje się to bowiem po raz wtóry przed mojemi oczyma.

Ponieważ nadchodził niebawem termin odpłynięcia okrętu z emigrantami, poczciwa moja stara piastunka (która o mało oczu nie wypłakała nade mną przy pierwszem naszem spotkaniu) przyjechała do Londynu. Byłem z nią stale i z jej bratem, oraz z Micawberami (wiele bowiem przebywali razem); Emilki jednak nigdy nie widziałem.

Pewnego wieczora, tuż przed ich odjazdem, znalazłem się sam z Peggotty i jej bratem. Rozmawialiśmy o Hamie. Peggotty opowiadała nam, jak czule się z nią żegnał, jak spokojnie i mężnie zachowywał się. Przedewszystkiem w ostatnich czasach, kiedy, jak przypuszczała, musiał najwięcej cierpieć. Był to przedmiot dla tej kochającej istoty nigdy nie wyczerpany — nas zaś, słuchających licznych szczegółów, które ona, przebywająca z nim tak wiele, miała do opowiedzenia, zajmowało to nie mniej, jak opowiadającą.

Ciotka moja i ja wyprowadziliśmy się w owym czasie z obu naszych domków w Highgate; ja, ponieważ miałem wyjechać zagranicę, ona, gdyż miała powrócić do swojego domu w Dover. Zajmowaliśmy tymczasowe mieszkanie w Covent Garden. Wracając tam po rozmowie owego wieczora i rozmyślając nad tem, co zaszło między Hamem a mną za moją ostatnią bytnością w Yarmouth, zachwiałem się w pierwotnem postanowieniu zostawienia listu dla Emilki przy pożegnaniu z jej wujem na pokładzie okrętu i pomyślałem, że może lepiej będzie napisać do niej teraz. Pomyślałem, że otrzymawszy mój list, zechce może przesłać przeze mnie kilka słów pożegnalnych do swego nieszczęśliwego kuzyna. Że powinienem dać jej sposobność do tego.

Siadłem przeto w moim pokoju przed pójściem na spoczynek i napisałem do Emilki. Napisałem jej, że widziałem Hama i że prosił mnie, bym jej powiedział to, co już poprzednio pisałem na tych kartach. Powtórzyłem wszystko wiernie. Nie potrzebowałem nic dodawać, gdybym nawet do tego miał prawo — słowa jego, tak tchnące wiernością i szlachetną dobrocią, nie dałyby się upiększyć mojem ani niczyjem piórem. Wrzuciłem list tak, żeby doręczony został ranną pocztą, dodając słówko do pana Peggotty z prośbą, by list oddał Emilce. Poszedłem spać o świcie.

Słabszy byłem wtedy, niż sam przypuszczałem; nie mogąc zasnąć aż do wschodu słońca, nazajutrz leżałem długo, niewypoczęty. Obudziła mnie cicha obecność ciotki przy mojem łóżku. Odczułem ją przez sen, jak się to niekiedy zdarza.

„Trotku, mój drogi", przemówiła, gdym otworzył oczy, „nie mogłam się zdecydować, by obudzić ciebie. Jest tutaj pan Peggotty; czy może wejść?"

Odpowiedziałem, że proszę, to też ukazał się niebawem.

„Panie Dawidku", zaczął po przywitaniu, „oddałem Emilce pański list, a ona napisała ten oto; prosi, żeby pan go przeczytał, a jeśli pan osądzi, że niema tam nic, coby go dotknęło, żeby pan był tak dobry podjąć się doręczenia".

„A pan czy ten list przeczytał?" zapytałem.

Kiwnął smutnie głową. Otworzyłem list i przeczytałem, co następuje:

„Doszło mnie zlecenie od ciebie. Ach, jakiemi ja słowami zdołam ci podziękować za poczciwą, błogosławioną dobroć twoją dla mnie!

„Położyłam słowa twe na sercu. Tam one pozostaną aż do mojej śmierci. Ostre to są ciernie, ale taką mi przynoszą pociechę! Modliłam się nad niemi, ach, tak gorąco nad niemi się modliłam! Gdy widzę, jakim ty jesteś, jakim jest wuj, rozmyślam nad tem, jakim Bóg być musi i mogę przed Nim płakać.

„Żegnaj mi na zawsze. Teraz, mój drogi, mój przyjacielu, żegnam ciebie na zawsze na tym świecie. W innym świecie, jeżeli dostąpię przebaczenia, może zbudzę się, jako dziecko i przyjdę do ciebie. Dzięki ci składam i błogosławię cię. Bywaj zdrów, raz jeszcze".

Takim, łzami oblany, był ten list.

„Czy mogę powiedzieć Emilce, że pan nie znalazł w tem nic, coby go dotknęło i że się podejmuje pan doręczyć mu to pisanie, panie Dawidku?" zapytał pan Peggotty, gdy przeczytałem list.

„Bezwarunkowo", odpowiedziałem; „ale myślę..."

„Co takiego, panie Dawidku?"

„Że może pojechać do Yarmouth. Czasu jest jeszcze aż nadto, zdążę pojechać i wrócić, zanim okręt odpłynie. Myślę ciągle o nim, takim samotnym; oddać mu teraz ten własnoręczny list Emilki i dać panu możność powiedzenia jej na odjezdnem, że on ten list otrzymał, to byłoby może dobrodziejstwem dla obojga. Ja od tego zacnego, kochanego chłopca uroczyście przyjąłem dane mi zlecenie, nie mogę go więc wypełnić zbyt sumiennie. Podróż jest dla mnie niczem. Nie mam spokoju, ruch mi dobrze zrobi. Pojadę dziś wieczór".

Chociaż bardzo gorąco odradzał mi to, widziałem, że myśli to samo; to też gdybym był potrzebował utwierdzenia w mym zamiarze, byłoby to miało ten skutek. Na moją prośbę poszedł do biura pocztowego i wziął dla mnie bilet jazdy. Wieczorem wyruszyłem karetą pocztową w drogę, w tak zmiennych okolicznościach przebywaną tyle razy.

„Czy nie uważacie", zapytałem woźnicę na pierwszej stacji za Londynem, „że niebo tak jakoś dziwnie wygląda? Nie pamiętam, żebym kiedy widział podobne".

„Ani ja... nic podobnego", odpowiedział. „To oznacza wiatr, panie. Oj, źle się tam będzie działo na morzu, niezadługo!"

Na pociemniałem niebie, tu i owdzie zabarwionem na kolor dymu z mokrego węgla, mieszały się i kłębiły chmury lecące i piętrzące się w najdziwaczniejsze zwały i jakieś groźne wyżyny; w te chmury rozpędzony księżyc zdawał się wpadać i tonąć, jak gdyby w strasznem wykolejeniu praw przyrodzonych, przerażony zgubił swoją drogę. Przez cały dzień wiało; teraz wiatr podnosił się z jakimś wielkim poszumem. W godzinę później wzmógł się znacznie, a niebo zachmurzyło się silniej.

W miarę jednak jak noc zachodziła, chmury zaciągały gęsto i jednolicie zupełnie już teraz ciemne niebo, wicher zaś wiał coraz to mocniej. Rósł i wzmagał się, aż konie nasze prawie już pod wiatr iść nie mogły. Wiele razy wśród ciemnej nocy (a był to wrzesień, gdy noce już są długie), przednia para zawracała lub stawała, a nas ogarniał lęk, że kareta się przewróci. Potoki zimnego deszczu szły przed tą burzą i cięły jak rózgi stalowe; a w takich chwilach, jeżeli była gdzie jaka osłona drzew albo jakiego muru, musieliśmy przystawać, wprost nie mogąc dalej walczyć.

O świcie wiatr zaczął dąć jeszcze silniej. Bywałem w Yarmouth, gdy marynarze mówili, że wieje „z wielkich armat", ale nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego, nawet podobnego w przybliżeniu. Dojechaliśmy do Ipswich — z wielkiem opóźnieniem, gdyż, począwszy od dziesiątej mili za Londynem, musieliśmy walczyć o każdą piędź ziemi; tam, w Ipswich, zastaliśmy gromadkę ludzi na rynku: wszyscy oni powstawali z łóżek i powychodzili, bojąc się, że wiatr obali kominy. Niektórzy, cisnąc się na podwórzu, podczas gdy przeprzęgaliśmy konie, opowiadali nam, że wielkie ołowiane blachy, zdarte z wysokiej wieży kościoła, ciśnięte wiatrem w boczną ulicę, zupełnie ją zagrodziły. Inni opowiadali, iż wieśniacy, przybyli z sąsiednich wsi, opowiadali, że widzieli wielkie drzewa powalone, wydarte z korzeniami i całe kopy siana porozrzucane po drogach i polach. A jednak wicher jeszcze nie ustawał, ale wiał coraz silniej.

W miarę, jak mozolnie dojeżdżaliśmy coraz bliżej do morza, skąd ten potężny wicher dął ku wybrzeżu, siła jego stawała się coraz straszniejsza. Długo zanim ujrzeliśmy morze, słona, rozpylona jego woda była na naszych wargach i słonym deszczem opadała na nas. Woda wylała na całe mile płaskiej niziny, przytykającej do Yarmouth, a każdy stawek, każda kałuża biczowała swoje brzegi i gnała swoje bałwanki nawprost nas. Gdy oczom naszym ukazało się morze, bałwany na widnokręgu, pokazujące się co jakiś czas ponad rozkołysaną otchłanią, wyglądały jak widoki jakiegoś drugiego brzegu z wieżami i budynkami. Gdy nareszcie dostaliśmy się do miasta, ludzie wybiegali do drzwi, i wychylali się z rozwianym włosem, dziwując się, że poczta przybyła, jadąc w taką noc.

Zatrzymałem się w dawnym znajomym hotelu i zeszedłem na dół, chcąc się przypatrzeć morzu; szedłem chwiejnie wzdłuż ulicy, gęsto usianej naniesionym piaskiem, morską trawą i bryzgami morskiej piany, szedłem wystrzegając się lecących dachówek i cegieł, czepiając się przechodniów, by nie upaść na wietrznych skrzyżowanych ulic. Zbliżając się do wybrzeża, ujrzałem nietylko żeglarzy, ale połowę ludności miasta, wyzierającą z poza ścian domów; niektórzy odważali się stawić czoło rozszalałej wichurze i szli spojrzeć na morze, ale zwiewał ich z drogi szalony wicher i zakosami wracali z powrotem.

Przyłączając się do tych gromadek, spotykałem głośno zawodzące kobiety, których mężowie wybrali się na połów śledzi albo ostryg i prawdopodobnie ulegli rozbiciu, zanim zdążyli znaleźć bezpieczne schronienie. Byli tam posiwiali starzy żeglarze — ci potrząsali głowami, wodząc wzrokiem od wody na nieba i bąkając coś jedni do drugich — właściciele statków, podnieceni, zaniepokojeni, dzieci, zbijające się w gromadki i zaglądające w twarz starszym, a nawet tędzy marynarze, poruszeni i zatrwożeni, kierujący lunety na morze z osłoniętych miejsc, jak gdyby oglądali pozycje nieprzyjacielskie.

Samo straszliwe morze, skoro mogłem na nie spojrzeć wśród zamętu oślepiającego wichru, latających kamieni i piasku oraz ogłuszającego huku, przejęło mnie grozą. Gdy wysokie wodne wały tocząc się nadbiegały i dosięgały najwyższego wzniesienia rozsypując się pianą, zdawało się, że najmniejszy z nich wystarczy, by zalewem pochłonąć miasto. Gdy cofająca się fala odpływała z ochrypłym rykiem, wydawało się, że wygryza głębokie jamy w lądzie wybrzeża, jak gdyby chciała podkopać ziemię. Gdy jakieś białogrzywe bałwany grzmiały wprost przed siebie i rozpadały się na części, nim dosięgły lądu, każda ich cząstka, jak gdyby ożywiona tą samą wściekłością, ciskała się, by złączyć się z innemi w nowego podobnego potwora. Falujące wzgórza zamieniały się w doliny, falujące doliny (nad któremi niekiedy przelatywał samotny ptak), wznosiły się i zamieniały na wzgórza. Masa wód drżała i wstrząsała wybrzeżem z głuchem dudnieniem; każdy kształt, stworzony w tym zamęcie, toczył się naprzód, zaledwie powstał, zmieniając wygląd swój i miejsce i niwecząc jakiś inny kształt; fantastyczny drugi brzeg na widnokręgu z wieżami swemi i budynkami to się wznosił, to opadał; chmury pędziły szybko i gęsto; zdawało mi się, że patrzę na trzęsienie i bunt w całej przyrodzie.

Nie znalazłszy Hama wśród ludzi, zgromadzonych tutaj w ów pamiętny wiatr — gdyż zawsze jeszcze pamiętają go tutaj, jako najpotężniejszy, jaki wiał na tem wybrzeżu — poszedłem do jego domu. Dom był zamknięty; a że nikt nie odpowiedział na moje pukanie, poszedłem bocznemi drogami i uliczkami do warsztatu, gdzie pracował. Tam mi powiedziano, że Ham udał się do Lowestoft w celu jakiejś nagłej reparacji okrętu, ale że na jutro rano spodziewany jest z powrotem.

Wróciłem tedy do hotelu, gdy się zaś umyłem i ubrałem, napróżno usiłując spać, była już godzina piąta po południu. Zaledwie z pięć minut posiedziałem w kawiarni przy ogniu, gdy wszedł kelner pod pozorem poprawienia w piecu, ale właściwie dla pogawędki; ten powiedział mi, że dwie węglarki zatonęły wraz z całą załogą parę mil stąd i że kilka innych statków widziano ciężko zagrożonych, rozpaczliwie starających się utrzymać się zdala od brzegów. Boże, miej ich w swej opiece i wszystkich tych biednych marynarzy, dodał, jeżeli nas czeka jeszcze jedna taka noc, jak ostatnia!

Czułem się bardzo przygnębiony na duchu, bardzo samotny a nieobecnością Hama zaniepokojony ponad wszelką miarę. Ostatnie wypadki dotknęły mnie poważniej, niż sam o tem wiedziałem, a oszołomiło mnie, że tak długo byłem wystawiony na ten srogi wiatr. Taki męt powstał w myślach moich i moich wspomnieniach, że straciłem jasny zmysł orjentacji w czasie i odległości. To też, gdybym był wyszedł na miasto, nie byłbym się pewnie zdziwił, gdybym był spotkał kogoś, o kim wiedziałem, że musi być w Londynie. Myśl moja, że tak powiem, uległa ciekawemu rozprzężeniu uwagi. A jednak równocześnie roiły się w nich z szczególną wyrazistością i żywością te wszystkie wspomnienia, które ta miejscowość budziła.

W tym stanie ducha złowieszcza wiadomość kelnera o zatopionych i zagrożonych okrętach skojarzyła się natychmiast, bez udziału mej woli, z niepokojem moim o Hama. Opanował mnie lęk, że on zapewne morzem wracać będzie z Lowestoft i że zaginie. Ta myśl tak silnie zaczęła mnie dręczyć, że postanowiłem wrócić do warsztatu, zanim siądę do obiadu, i zapytać właściciela, czy przypuszcza, że jest wogóle prawdopodobne, by Ham chciał wracać morzem? Jeżeli choć najsłabiej potwierdzi to przypuszczenie, postanowiłem udać się do Lowestoft i zapobiec temu, przywożąc Hama ze sobą.

Obstalowałem co prędzej obiad i powróciłem do warsztatu. Była to ostatnia już chwila, gdyż właściciel, z latarnią w ręku, zamykał właśnie bramę warsztatu. Roześmiał się wprost, gdy mu postawiłem moje pytanie i odpowiedział, że niema się czego obawiać, że żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wyruszyłby na morze w podobną wi-

churę, a już najmniej Ham Peggotty, marynarz od urodzenia. Rozumiejąc słuszność tej uwagi, na którą zgóry byłem tak przygotowany, że aż wstydziłem się tego kroku, który jednak czułem się zmuszony uczynić, powróciłem do hotelu. Jeżeli taki wiatr wogóle mógł się jeszcze wzmagać, to zdaje mi się, że wzmagał się jeszcze. Ryk i wycie, dygotanie drzwi i okien, łoskoty w kominach, pozorne chwianie się samego domu, który mnie osłaniał, głośny szum i grzmot fal morza, wszystko to straszniejsze jeszcze było teraz niż rano. W dodatku wielka ciemność panowała obecnie, a to dodawało burzy nowej grozy, rzeczywistej i urojonej.

Nie mogłem jeść, nie mogłem na miejscu usiedzieć, przy niczem nie mogłem się zatrzymać. Coś we mnie, niby słaby oddźwięk tej burzy, która szalała nazewnątrz, poruszało głębie pamięci, wprowadzając w nie zamęt. Ale choć myśli moje gnały bezładnie, w rytm grzmiącego morza — ta burza i mój niepokój o Hama unosiły się ponad wszystkiem.

Obiad mój sprzątnięto prawie nietknięty, ja zaś próbowałem się pokrzepić paroma kieliszkami wina. Napróżno. Zapadłem w jakiś martwy sen przed kominkiem, nie tracąc świadomości ani tego, co się działo za domem, ani miejsca, gdzie się znajdowałem. Ponad tem wszystkiem zawisła jakaś nowa i nieokreślona groza; gdy się zaś zbudziłem — a raczej gdy zdołałem się otrząsnąć z letargu, jaki mną w moim fotelu owładnął — drżałem cały bezprzedmiotową i niezrozumiałą mnie samemu trwogą.

Chodziłem tam i z powrotem, starałem się czytać jakąś starą gazetę, przysłuchiwałem się okropnym łoskotom — dopatrywałem się w żarzących się węglach twarzy, scen, postaci. W końcu miarowe tykanie niewzruszonego zegara na ścianie udręczyło mnie do tego stopnia, że postanowiłem się położyć.

Uspokoiło mnie trochę, gdy mi powiedziano, że w taką noc kilkoro ze służby hotelowej postanowiło czuwać razem aż do rana. Poszedłem do łóżka, niezmiernie strudzony i ociężały; zaledwie się jednak położyłem, jak pod czarodziejskim jakimś wpływem, poczucie to odrazu minęło i leżałem zupełnie otrzeźwiony, z wydelikaconym każdym zmysłem.

Godzinami leżałem tak, przysłuchując się wiatrowi i morzu, wyobrażając sobie, to że słyszę krzyki od morza, to że wyraźnie słyszę wystrzały sygnałów armatnich, to znów runięcia domów w mieście. Wstawałem kilka razy i wyglądałem; niczego jednakże dojrzeć nie mogłem, prócz odbicia w szybie świecy, którą paliłem, i własnej mojej wymizerowanej twarzy, wyzierającej ku mnie z czarnej pustki.

Niepokój doszedł u mnie w końcu do takiego napięcia, że ubrałem się pośpiesznie i zeszedłem na dół. W obszernej

kuchni, gdzie od pułapu zwieszały się połcie wędzonej słoniny i wieńce cebuli, czuwający zbili się w gromadkę dokoła stołu, umyślnie odsuniętego od wielkiego pieca, a przybliżonego do drzwi. Ładna dziewczyna, która uszy zatykała fartuchem, a szeroko otwarte oczy utkwiła w drzwi — krzyknęła na mój widok, biorąc mnie za ducha; inni jednak nie tracili przytomności i radzi byli, że ktoś powiększa ich grono. Jeden z mężczyzn, wracając do tematu, o którym właśnie rozmawiano, zapytał mnie, czy myślę, że duchy załogi okrętów, co poszły na dno, błądzą teraz wśród tej burzy?

Pozostałem wśród nich z jakie dwie godziny. Raz otworzyłem bramę podwórza i wyjrzałem na pustę ulicę. Wiatr miotał piaskiem, trawą morską i bryzgami piany — musiałem wołać o pomoc, by bramę zamknąć i umocować ją przeciw wiatrowi.

Ciemno było w moim samotnym pokoju, gdy nareszcie wróciłem tam, ale zmęczony byłem teraz i dostawszy się do łóżka, wpadłem odrazu — z wysokiej wieży w przepaść — w głęboki sen. Mam wrażenie, że przez dłuższy czas, choć śniłem, że znajduję się gdzie indziej i w rozmaitych miejscowościach, wiatr wiał mi ciągle przez sen. Nareszcie zaginął i ten słaby łącznik z rzeczywistością i pracowałem wraz z dwoma drogimi przyjaciółmi, ale kim oni byli, nie wiem, przy oblężeniu jakiegoś miasta wśród huku armat.

Grzmot armatni był tak głośny i nieustanny, że nie mogłem dosłyszeć czegoś, co bardzo chciałem dosłyszeć, aż zdobyłem się na wielki wysiłek i obudziłem się wreszcie. Jasny był już dzień — ósma czy dziewiąta godzina; grzmiała burza zamiast armat, a ktoś pukał i wołał pod mojemi drzwiami.

„Co się stało?" zawołałem..

„Rozbity okręt! Tuż blisko!"

Wyskoczyłem z łóżka i zapytałem, co to za rozbity okręt?

„Okręt kupiecki z Hiszpanji albo z Portugalji, z ładunkiem owoców i win. Niech się pan spieszy, jeśli chce go pan zobaczyć! Myślą, tam na brzegu, że lada chwila pójdzie w kawałki".

Podniecony głos, wołając oddalał się po schodach, ja zaś co prędzej zarzuciłem ubranie i wybiegłem na ulicę.

Wielu ludzi już wybiegło tam przede mną, a wszyscy pędzili w jednym kierunku, ku wybrzeżu. Pobiegłem tam również, wyprzedzając wielu i niebawem znalazłem się w obliczu rozszalałego morza.

Wiatr do tej pory może się był odrobinę uciszył, choć może zaledwie tyle, jak gdyby grzmot armat, o którym śniłem, zmniejszył się przez umilknięcie dwunastu armat

z pomiędzy stu. Morze jednakże, wzburzone i rozkołysane gwałtownie przez całą w dodatku noc, nieskończenie było groźniejsze, niż gdy widziałem je ostatnio. Wyglądało teraz, jak n a b r z m i a ł e, a wysokość, do której wznosiły się bałwany, piętrząc się jedne ponad drugiemi, waląc na siebie wzajem nieskończonemi zastępami — była wprost przerażająca.

Trudność usłyszenia czegokolwiek oprócz wiatru i ryku fal, ten tłum, ten niewypowiedziany zamęt, dech zapierający wysiłek, by wytrzymać napór wiatru, wszystko to oszołomiło mnie do tego stopnia, że patrzyłem na morze, szukając wzrokiem rozbitego okrętu, a widziałem tylko spienione grzywy wysokich bałwanów. Wpółubrany marynarz, stojący przy mnie, nagiem ramieniem (na którem tatuowana strzała wskazywała w tym samym kierunku) wskazywał na lewo. Wtedy, o wielkie Nieba, ujrzałem go, tuż przed nami.

Jeden maszt był prawie złamany u podstawy, bo ze sześć do ośmiu stóp nad pokładem i, uwikłany w sieć lin i wioseł, przewieszał się przez jeden bok statku, wszystkie zaś te odłamki, gdy okręt ciskał się i tłukł, co czynił bez chwili przerwy z niepojętą gwałtownością, waliły w bok jego, jakby go chciały roztrzaskać. Usiłowano nawet wtedy odciąć te zniszczone części — wówczas bowiem gdy statek, szerokim bokiem idąc naprzód i zataczając się, zwrócił się ku nam, rozróżniłem wyraźnie ludzi pracujących z siekierami, a zwłaszcza jedną ruchliwą postać o długich, kręconych włosach, wyróżniającą się wśród reszty. W tejże chwili jednak rozległ się od wybrzeża wielki huk, dosłyszalny nawet mimo huku wiatru i wody, morze, cisnąwszy fale na zataczający się statek, zmyło pokład do czysta, chłonąc ludzi, belki, beczki, deski, parapety, stosy tego wszystkiego, jak zabaweczki w kipiącym odmęcie.

Drugi maszt sterczał jeszcze z łachmanem zdartego żagla i dziką plątaniną porwanych lin, miotanych na wszystkie strony. Okręt raz się przewrócił, mówił mi ten sam ochrypły marynarz do ucha, a potem podniósł się i znów się przewrócił. Zrozumiałem, że dodaje, iż pęka pośrodku — w co gotów byłem uwierzyć, gdyż to ciskanie i tłuczenie zbyt było straszliwe, by dzieło ludzkiej ręki długo wytrzymać je mogło. Podczas gdy mówił do mnie, podniósł się od strony wybrzeża drugi wielki krzyk litości; czterech ludzi wynurzyło się wraz z statkiem z głębiny, czterech ludzi, uczepionych do lin pozostałego masztu; najwyżej stała ta ruchliwa postać o kręconych włosach.

Na pokładzie znajdował się dzwonek; podczas gdy statek przewalał się i ciskał, jak jakiś z rozpaczy oszalały twór, to ukazując nam cały pusty swój pokład, to dolne deski

spodu, dzwonek ten odzywał się, a dźwięk jego, dzwon pogrzebowy tych nieszczęsnych ludzi, dochodził ku nam z wiatrem. I znowu straciliśmy okręt z oczu, i znów się podniósł. Dwóch ludzi zginęło. Rozpaczliwe wzruszenie na wybrzeżu wzmagało się. Mężczyźni jęczeli i łamali ręce; kobiety krzyczały i odwracały oczy. Niektórzy jak nieprzytomni biegali po wybrzeżu, wołając o pomoc tam, gdzie pomoc była niemożliwą. Ja sam znalazłem się wśród tych, gorączkowo zaklinając garstkę znajomych marynarzy, by nie dali zginąć w naszych oczach tym dwóm nieszczęśliwym skazańcom.

Marynarze tłumaczyli mi urywanemi zdaniami—nie wiem jak, bo mało mogłem dosłyszeć, tak byłem wzburzony — że łódź ratunkowa z odważną załogą wyruszyła przed godziną, ale nic wskórać nie mogła; a skoro niema człowieka tak szalonego, któryby spróbował wyruszyć sam z liną ratunkową, by nawiązać łączność z okrętem, przeto już nie pozostaje nic do zrobienia. Podczas gdy to mi mówili, zauważyłem nagle, że nowe jakieś wrażenie poruszyło tłum na wybrzeżu, że ludzie się rozstępują i Ham wysuwa się naprzód.

Pobiegłem do niego — o ile pamiętam, żeby powtórzyć błaganie moje o ratunek. Lecz, mimo że odchodziłem od zmysłów wobec tak nowego dla mnie a straszliwego widoku, zdeterminowany wyraz jego twarzy i to spojrzenie, skierowane na morze — zupełnie takie same jak owego ranka po ucieczce Emilki — obudziło we mnie poczucie jego niebezpieczeństwa. Starałem się zatrzymać go, obejmując go oburącz; błagałem ludzi, z którymi przed chwilą rozmawiałem, żeby go nie słuchali, żeby nie popełniali morderstwa i by nie puszczali go z brzegu.

Znów rozległ się krzyk na wybrzeżu — a spojrzawszy na tonący statek, ujrzeliśmy, jak to okrutne wiosło, ponawiając cios raz po raz, strąca niżej stojącego z tych dwóch ludzi i z triumfem podskakuje, okrążając ruchliwą postać, jedyną już teraz na maszcie.

Wobec takiego widoku i wobec takiej stanowczości tego rozpaczliwie spokojnego człowieka, który już przywykł tym ludziom przewodzić, beznadziejnemi były wszelkie prośby.

„Panie Dawidku", przemówił swobodnie, ściskając mi obie dłonie, „jeżeli nadeszła moja godzina, to nadeszła. Jeżeli nie, to wytrzymam. Niech Bóg najwyższy pana błogosławi, niechaj wszystkich błogosławi! Towarzysze, przewiążcie mnie! Idę!"

Odsunięto mnie lekko na pewną odległość i tam zatrzymali mnie ci, co mnie otaczali; dowodzili mi przytem, co mętnie rozumiałem, że Ham postanowił pójść, z pomocą czy bez niej, i że nie powinienem przeszkadzać, niepokojąc tych,

od których zależało zabezpieczenie go. Nie wiem, co im odpowiedziałem, ani co oni mnie; zobaczyłem wszakże ruch na wybrzeżu, ludzi biegnących z linami i wciskających się w krąg otaczających go postaci, które postać jego zakryły przede mną. Po chwili ujrzałem go znowu; stał teraz sam, w kurtce i spodniach marynarskich, trzymając linę w ręku czy też okręciwszy nią przegub; druga owijała go w pasie. Kilku najdoświadczeńszych ludzi trzymało dość krótko koniec tej drugiej liny, on sam zaś ułożył ją płasko na brzegu, u swoich stóp.

Tymczasem nawet mojem niedoświadczonem okiem rozeznałem, że statek ginie. Widziałem, że rozpada się w środku i że życie samotnego człowieka na maszcie wisi na włosku. A jednak trzymał się masztu. Miał jakąś szczególną czerwoną czapkę na głowie — inną, niż czapki marynarzy i piękniejszego koloru; gdy zaś tych kilka chwiejnych desek, dzielących go od śmierci, szamotało się i trzeszczało, a dzwon pogrzebowy dzwonił mu jakby zapowiedź, widzieliśmy wszyscy, jak nią powiewał. Ujrzałem to teraz i myślałem, że oszaleję, gdyż ten ruch jego wskrzesił w mej duszy dawne wspomnienie ukochanego niegdyś przyjaciela.

Ham bacznie wzrokiem badał morze, stojąc sam na przedzie, a wszyscy za nim stali w milczeniu, z zapartym tchem; w końcu za wielkim cofającym się bałwanem, po ostatniem spojrzeniu wstecz na tych, co trzymali linę, umocowaną mu dokoła pasa, rzucił się w wodę i w jednej chwili walczył już z falą; to unosił się z wstającą wodą, to opadał z opadającą, to znikał w spienionym żywiole, to znów miotało go ku lądowi. Pospiesznie wyciągnęli go z powrotem.

Był ranny. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem krew na jego twarzy, on jednak nie zważał na to. Dawał im widocznie jakieś wskazówki, żeby mu dali więcej swobody — tak przynajmniej wnosiłem z ruchu jego ręki — i znowu poszedł, jak pierwej.

A teraz płynął ku statkowi, to wznosząc się z rosnącą falą, to opadając z opadającą, to niknąc w spienionym żywiole, to unoszony z powrotem ku brzegowi, to naprzód ku statkowi, zmagając się z falą ciężko i mężnie. Odległość była niczem, lecz potęga morza i wiatru czyniła tę walkę śmiertelną. Nakoniec przybliżył się do okrętu. Był już tak blisko, że jednym jeszcze potężnym ruchem ramion byłby się go uczepił — gdy nagle z poza okrętu wzniósł się wysoki, zielony, olbrzymi bałwan, dążący ku brzegom... Wydawało się, jak gdyby Ham jednym ogromnym rzutem wskoczył weń — a równocześnie okręt znikł pod wodą!

Biegnąc ku miejscu, gdzie Hama wciągano liną, ujrzałem kilka napływających szczątków, jak gdyby z jakiej marnej beczki roztrzaskanej w kawałki. Na wszystkich twarzach czytałem przerażenie. Przyciągnięto go do samych moich stóp — nieprzytomnego — nieżywego. Zaniesiono go do najbliższego domu; a że nikt mi już teraz nie bronił, pozostałem przy nim, pomagając, gdy próbowano wszystkich sposobów przywrócenia go do życia; wielki bałwan jednakże ranił go śmiertelnie i szlachetne jego serce umilkło na zawsze.

Gdy już straciliśmy wszelką nadzieję, wyczerpawszy wszystkie środki, a ja siedziałem obok jego łóżka — pewien rybak, który znał mnie od czasu, gdy oboje z Emilką byliśmy jeszcze dziećmi, wyszeptał moje imię, stanąwszy w drzwiach.

„Panie", rzekł, a usta drżały mu i łzy świeciły na jego pobladłej twarzy, „czy nie zechciałby pan tam pójść?"

Stare wspomnienie, które ożyło we mnie, patrzyło na mnie z jego oczu. Trwogą zdjęty, zapytałem, wspierając się na wyciągniętem ku mnie ramieniu.

„Czy woda wyrzuciła jakie zwłoki?"

„Tak", odpowiedział.

„Czy kogoś znajomego?" zapytałem wtedy.

Nic nie odpowiedział.

Ale zaprowadził mnie na wybrzeże. I tam, w tem miejscu, gdzie z Emilką szukaliśmy muszelek — dwoje dzieci wtedy — w tem miejscu, gdzie wiatr naniósł kilka lżejszych szczątków starej łodzi, zburzonej i zwianej poprzedniej nocy, wśród gruzów tego domu, który skrzywdził — ujrzałem go. Leżał z głową, opartą na ręku, tak jak go często widywałem, leżącego w szkole.

Rozdział pięćdziesiąty szósty.

Stara i nowa rana.

Nie potrzebowałeś mnie prosić, o Steerforthie, żebym cię dobrze wspominał, gdyśmy po raz ostatni ze sobą rozmawiali w onej godzinie, o której ani przypuszczałem, że jest godziną naszego rozstania — niepotrzebnie mnie o to prosiłeś. Ja przecież zawsze myślałem tylko o tem, co w tobie było dobrego — i czy mogłem teraz myśleć inaczej, patrząc na ten widok?

Przynieśli ręczne nosze, ułożyli go na nich, nakryli flagą i ponieśli ku ludzkim mieszkaniom. Wszyscy ci, co go nieśli, znali go, wiosłowali z nim, widzieli go wesołym i odważnym. Ponieśli go wśród tego dzikiego huku i ryku, cichego wśród całego tego łoskotu, i zanieśli go do chaty, gdzie już gościła Śmierć.

Jednakże, gdy postawili nosze na progu, popatrzyli jedni na drugich i na mnie i zaczęli między sobą szeptać. Wiedziałem, dlaczego. Odczuli, że może nie należy kłaść go w tej samej cichej izbie.

Poszliśmy ku miastu i ciężar nasz zabraliśmy do hotelu Skoro tylko zdołałem zebrać myśli, posłałem do Jorama i prosiłem go, żeby mi się wystarał o wóz, któryby mógł nocą zawieść zwłoki do Londynu. Wiedziałem, że staranie o to i ciężki obowiązek przygotowania jego matki może tylko na mnie spoczywać; chodziło mi o to, by jak najwierniej spełnić ten obowiązek.

Wybrałem noc na podróż, ażeby przy wyjeździe z miasta o ile możności umknąć ciekawości ludzkiej. Ale choć prawie północ już była, gdy wyjeżdżałem z podwórca hotelowego, a za mną to, co miałem pod strażą, wielu tam czekało ludzi. Jadąc przez miasto, a nawet na drodze za miastem, widziałem ich jeszcze więcej; w końcu jednak miałem dokoła siebie pustą już tylko noc, otwarte pole i popioły mojej młodzieńczej przyjaźni.

W łagodny jesienny dzień, około południa, gdy nad ziemią unosiła się woń opadłych liści, a reszta ich w piękne żółte, czerwone i brązowe barwy stroiła drzewa, przepojone światłem słońca — w taki dzień zajechałem do Highgate. Pieszo przeszedłem ostatnią milę, rozmyślając o tem, co mam uczynić — wozowi zaś, który jechał za mną, kazałem stanąć i czekać dalszych rozkazów.

Podszedłem do domu. Wygląd jego był ten sam. Żadna stora w oknie nie była podniesiona; nie było znaku życia w cichem brukowanem podwórku ani w krytem przejściu, prowadzącem do nieużywanych drzwi. Wiatr uciszył się zupełnie, w powietrzu zalegał spokój.

Zrazu brakło mi odwagi zadzwonić u bramy; a gdy wreszcie zadzwoniłem, wydało mi się, że już sam dźwięk dzwonka zwiastuje tę wieść, którą niosę. Mała pokojóweczka wyszła z kluczem w ręku, a otworzywszy bramę i popatrzywszy na mnie poważnie, zapytała: „Bardzo przepraszam... Ale czy pan nie chory?"

„Przeszedłem silne wstrząśnienie i jestem zmęczony".

„Czy się co stało, proszę pana?... Czy może pan Jakób?...

„Cicho!" odpowiedziałem. „Tak, stało się coś, o czem muszę uwiadomić panią Steerforth. Czy pani jest w domu?"

Zaniepokojona dziewczyna odpowiedziała, że pani jej rzadko teraz wychodzi z domu, nawet powozem nie wyjeżdża, że przebywa w swoim pokoju, że nie przyjmuje gości, ale mnie z pewnością przyjmie. Pani jest na górze, a przy niej panna Dartle. Co ma pani powiedzieć?

Zaleciwszy jej, by nic po sobie nie dała poznać, a tylko oddała mój bilet i oznajmiła, że czekam, siadłem w salonie, dokąd tymczasem doszliśmy. Pokój ten stracił dawny swój miły zamieszkały wygląd, okiennice były przymknięte. Harfy widocznie nie dotykano oddawna. Portret Jakóba jako chłopca wisiał na swojem miejscu. Szkatułka, w której matka chowała jego listy, była tam także. Pytałem się w duchu, czy ona teraz odczytuje te listy... czy jeszcze kiedy odczytywać je będzie?

W domu była taka cisza, że słyszałem lekki krok służącej na górze. Wróciwszy, oznajmiła mi, że pani Steerforth jest niezdrowa i nie może zejść na dół, ale że jest w swoim pokoju i jeżeli zechcę wybaczyć, rada będzie mnie przyjąć. W parę chwil potem stanąłem przed nią.

Była w pokoju syna, nie w swoim własnym. Zrozumiałem odrazu, że zajęła ten pokój przez pamięć na niego i że z tej przyczyny różne otaczające ją przedmioty, przypominające dawne jego zabawy i zajęcia, pozostały tam tak, jak on je ostatnio zostawił. Witając mnie napomknęła coś jednak, że opuściła swój pokój, ponieważ jego wystawność nie odpowiada jej stanowi, a postawa jej, pełna godności i spokoju, usiłowała kłam zadać prawdzie.

Przy jej fotelu, jak zwykle, stała Róża Dartle. Od pierwszej chwili, gdy ciemne jej oczy spoczęły na mnie, poznałem, że wie, iż złe przynoszę wieści. Blizna natychmiast wystąpiła widomie. Cofnęła się o krok poza fotel, uchylając twarz przed okiem pani Steerforth i wpatrzyła się we mnie badawczym wzrokiem, nie mrużąc ani odwracając oczu.

„Żal mi, że widzę pana w żałobie", przemówiła pani Steerforth.

„Niestety, owdowiałem", odparłem.

„W tak młodym wieku ponosi pan tak wielką stratę", odpowiedziała. „Przykro mi to słyszeć. Ufam, że Czas będzie łaskawy dla pana".

„Ufam", odparłem, patrząc na nią, „że Czas łaskawym będzie dla nas wszystkich. Droga pani Steerforth, musimy wszyscy w to ufać, w najgorszych naszych nieszczęściach".

Powaga mojego głosu, łzy w moich oczach przestraszyły ją. Cały bieg jej myśli, zdawało się, stanął i zmienił kierunek.

Starałem się opanować głos, zcicha wymawiając imię jej syna. Zadrżał mi głos jednakże. Ona, cichym głosem, sama do siebie, powtórzyła to imię dwa czy trzy razy. A potem, zwracając się do mnie, powiedziała, siląc się na spokój: „Mój syn jest chory".

„Bardzo chory".

„Pan go widział?"

„Widziałem",

„Czy pogodziliście się?"
Nie mogłem powiedzieć „tak", nie mogłem powiedzieć „nie". Ona lekko odwróciła głowę ku miejscu, gdzie przedtem Róża Dartle stała przy jej boku, a w tej chwili ja ruchem warg powiedziałem do Róży: „Nie żyje!"

Aby pani Steerforth nie obejrzała się za siebie i nie wyczytała wyraźnie wypisanego tego, na co jeszcze nie była przygotowana, szybko podchwyciłem oczami jej wzrok; widziałem jednak równocześnie, że Róża Dartle wyrzuciła rękami pod wpływem gwałtownej rozpaczy i grozy, a potem przycisnęła je do twarzy.

Piękna pani — podobna do niego, ach, jak podobna!... utkwiła we mnie nieruchomy wzrok i ręką dotknęła czoła. Błagałem ją, by była spokojna, by przygotowała się na wysłuchanie tego, co jej mam powiedzieć; może lepiej, gdybym ją był błagał o łzy, gdyż siedziała, jak posąg z kamienia.

„Gdy byłem tutaj ostatnim razem", mówiłem urywanie, „panna Dartle powiedziała mi, że Jakób żegluje po morzach. Wczorajsza noc była na morzu straszną. Jeżeli był na morzu tej nocy i w pobliżu niebezpiecznych brzegów, a powiadają, że był, i jeżeli statek, który widziano, był rzeczywiście tym okrętem, na którym..."

„Różo! Chodź do mnie!" rzekła pani Steerforth.

Przyszła, ale bez współczucia, ostra i surowa. Oczy jej błyskały ogniem, gdy stanęła przed jego matką i wybuchła straszliwym śmiechem.

„A teraz", rzekła, „czy stało się zadość twej dumie, szalona kobieto? Czy t e r a z odpokutował przed tobą... życiem swojem? Słyszysz ciotko?... Życiem swojem!"

Pani Steerforth opadła sztywno w fotelu, nie wydając głosu, głuchy jęk jedynie, i szeroko otwarte oczy utkwiła w mówiącej.

„Tak jest!" wołała Róża, bijąc się namiętnie w piersi, „patrz na mnie! Jęcz, biadaj i patrz na mnie! Patrz tutaj!" uderzając się po bliźnie. „Widzisz dzieło ręki twego zmarłego dziecka?"

Jęk, który od czasu do czasu wydawała matka ranił mi serce. Zawsze taki sam. Zawsze bez słów i stłumiony. Zawsze do wtóru z bezradnym ruchem głowy, bez najlżejszej zmiany w twarzy. Zawsze wydzierający się z niemych ust i przez zaciśnięte zęby, jak gdyby zwarły się szczęki i twarz zastygła w bólu.

„Pamiętasz, kiedy on to uczynił?" mówiła Róża dalej. „Pamiętasz, jak, odziedziczywszy twoją naturę, w pysze swej i gwałtowności przez ciebie wypieszczony, zrobił to, szpecąc mnie na całe życie? Patrz na mnie, napiętnowaną do

śmierci jego wyniosłym gniewem i jęcz i biadaj, żeś go takim uczyniła!"

„Panno Dartle", błagałem, „na miłość boską..."

„B ę d ę mówiła! A pan milcz!" rzekła, ciskając na mnie błyskawice oczu. „Patrz na mnie, ty dumna matko dumnego, fałszywego syna! Jęcz i biadaj, żeś go takim wychowała, jęcz i biadaj, żeś go zepsuła, jęcz i biadaj nad twoją stratą i nad moją!"

Zacisnęła pięść i drżała całą swą szczupłą, wyniszczoną postacią, jak gdyby namiętne uniesienie trawiło w niej życie.

„I t y mogłaś mu brać za złe jego samowolę! T y mogłaś czuć się urażoną jego wyniosłym charakterem! T y, która mimo posiwiałych włosów z temi samemi wadami stanęłaś z nim do walki, to, z czem walczyłaś, sama mu wpoiwszy od urodzenia! T y, która od kołyski chowałaś go na takiego, jakim się stał, hamując to, czem mógł był być! T e r a z masz przecież nagrodę za lata trosk i zachodów?"

„O, panno Dartle! Wstydź się, pani. Och, jaka pani okrutna!"

„Powiadam panu, że c h c ę do niej mówić", odparła. „Żadna moc ludzka nie zdoła mnie wstrzymać. Tyle lat milczałam i teraz nie miałabym mówić? Kochałam go bardziej, niż ty go kochałaś!" zwróciła się do niej z zapamiętałością. „Umiałabym go kochać, nie żądając wzajemności. Gdybym była jego żoną, umiałabym być niewolnicą jego kaprysów za jedno słowo miłości w roku. I taką byłabym. Któż to lepiej wiedzieć może ode mnie? Ty byłaś wymagająca, dumna, drażliwa, samolubna. Moja miłość byłaby pełną poświęcenia — twoją marną, uskarżającą się miłość nogamiby zdeptała!"

Błyskając oczami tupnęła, jak gdyby to w istocie czyniła.

„Patrz!" mówiła, znów ręką uderzając bliznę. „Gdy dorósł do zrozumienia tego, co uczynił, żal mu było i przykro. Umiałam śpiewać dla niego, rozmawiać z nim, umiałam okazać, jak gorąco obchodziły mnie wszystkie jego sprawy, umiałam pracą osięgnąć tę wiedzę, która i jego najwięcej zajmowała; i zjednałam go sobie. Gdy serce miał jeszcze najświeższe i najszczersze, wtedy m n i e kochał. Często, o często, gdy ciebie zbywał zdawkowem słowem, mnie tulił do swego serca!"

Powiedziała to w wściekłem uniesieniu i z urągliwą dumą — jednakże żywe wspomnienie rozbudziło zarazem na chwilę tlący żar cieplejszego uczucia.

„Spadłam — jak mogłam była przewidzieć, gdyby mnie nie była urzekła jego chłopięca miłość — spadłam do roli lalki, zabaweczki ku spędzeniu chwili nudów, zabaweczki, którą to brał, to rzucał, i z którą igrał, jak mu dyktował nie-

stały humor. Gdy mu się to sprzykrzyło, sprzykrzyło się i mnie. Gdy kaprys jego się rozwiał, nie starałem się wzmocnić posiadanego wpływu, tak jak nigdybym nie wyszła za niego, gdyby go zniewalano wziąć mnie za żonę. Odsunęliśmy się od siebie bez słowa. Ty to może widziałaś i nie gniewałaś się o to. Odtąd pomiędzy dwojgiem was byłam tylko zeszpeconym meblem; bez oczu, bez uszu, bez uczuć, bez wspomnień. Jęczysz? Jęcz nad tem, czem go uczyniłaś; nie nad miłością twoją. Mówię tobie, był czas, gdy ja go kochałam bardziej, niż ty kiedykolwiek!"

Stała, z pałającym, gniewnym wzrokiem utkwionym w szeroko rozwarte źrenice i stężałą twarz nieszczęsnej matki; i nie złagodniała, choć jęk się powtórzył, jakgdyby miała przed sobą posąg kamienny.

„Panno Dartle", powiedziałem, „jeżeli serce pani tak twarde, że nie współczuje pani tej ciężko dotkniętej matce..."

„A któż mnie współczuje?" odparła ostro. „Ona to sama posiała. Niech jęczy nad żniwem, które dzisiaj zbiera!"

„I jeżeli jego winy..." zacząłem.

„Winy!" krzyknęła, wybuchając namiętnym płaczem. „Któż śmie jego obwiniać? Duszę miał więcej wartą, niż miljony przyjaciół, do których się zniżał!"

„Nikt więcej ode mnie kochać go nie mógł, nikt w serdeczniejszej nie chowa go pamięci", odrzekłem. „Chciałem powiedzieć, że jeżeli nie ma pani współczucia dla jego matki, albo jeżeli jego win... pani z taką goryczą o nich mówiła..."

„To nieprawda!" zawołała, rwąc czarne włosy: „ja go kochałam!"

„...jeżeli jego win nie potrafi pani zapomnieć w takiej nawet godzinie, to spójrz na tę kobietę, jak gdyby to był ktoś obcy, i przyjdź jej z pomocą!"

Przez cały ten czas nieszczęsna kobieta trwała w tym samym stanie. Znieruchomiała, sztywna, z tępo wytrzeszczonemi oczami, wydając od czasu do czasu ten sam głuchy jęk, tak samo poruszając bezradnie głową i nie dając innego znaku życia. Panna Dartle nagle uklękła przed nią i zaczęła rozluźniać na niej ubranie.

„Przeklęty człowieku!" rzekła, obejrzawszy się na mnie z wyrazem wściekłości i zarazem bólu. „W złą godzinę zjawiłeś się niegdyś tutaj! Bądź przeklęty! Idź!"

Już wyszedłszy z pokoju zawróciłem jeszcze, by zadzwonić i czem prędzej wołać służbę. Panna Dartle trzymała tę postać bez czucia w objęciach, i, klęcząc wciąż jeszcze, płakała nad nią, całowała ją, przemawiała do niej, kołysała ją na piersiach jak dziecko i na wszelkie najczulsze sposoby starała się obudzić uśpione zmysły. Nie lękając się już opuścić ich, cicho zawróciłem z powrotem i wychodząc zwołałem służbę.

Nieco później, w ciągu dnia, powróciłem i ułożyliśmy go w pokoju jego matki. Stan jej był ten sam, powiedziano mi; panna Dartle nie opuszczała jej ani na chwilę. Doktorzy czuwali przy niej, próbowano różnych środków; leżała jednak, jak posąg, od czasu do czasu tylko wydając głuchy jęk.

Przeszedłem po pustym domu i zasłoniłem wszystkie okna. Okna pokoju, w którym leżał, zasłoniłem na samym końcu. Podniosłem rękę, ciężką, jak ołów i przycisnąłem ją do serca. Cały świat tchnął dla mnie śmiercią i milczeniem, przerywanem jedynie jękiem jego matki.

Rozdział pięćdziesiąty szósty.

Emigranci.

Jedno jeszcze należało mi uczynić wpierw, nim wolno mi było ulec pod ciosem tych wzruszeń. Trzeba było ukryć to, co się stało, przed odjeżdżającymi i wyprawić ich w drogę w szczęśliwej niewiadomości. Co do tego nie było czasu do stracenia.

Tego samego jeszcze wieczora wziąłem na bok pana Micawbera i położyłem mu to na sercu, żeby chronił pana Peggotty przed dowiedzeniem się o ostatniej katastrofie. Pan Micawber podjął się tego gorliwie, obiecał również przejmować wszystkie dzienniki, przez które wieść ta mogłaby dojść jego towarzysza.

„Zanimby to do niego doszło", rzekł, uderzając się w piersi, „musiałoby wpierw przejść po moim trupie!"

Pan Micawber, muszę tu zauważyć, dostosowując się do nowej swej pozycji społecznej, przybrał śmiały, awanturniczy wygląd — niekoniecznie wygląd bandyty, ale człowieka o minie czupurnej, nie dającego sobie napluć w kaszę. Możnaby go wziąć za dziecko dzikich puszcz, zdawna przyzwyczajone do życia poza obrębem cywilizacji i powracające do swej ojczystej pustyni.

Zaopatrzył się, między innemi, w kompletny garnitur nieprzemakalny i w słomiany kapelusz o bardzo niskiej główce, z wierzchu zapuszczany terem. W tem prostem ubraniu, z prostym teleskopem majtka pod pachą i nowym nawykiem rzucania badawczych spojrzeń na niebo, jak gdyby przewidywał niepogodę, wyglądał na swój sposób bardziej po marynarsku, niż sam pan Peggotty. Cała jego rodzina zmobilizowana była, że tak powiem, do czynu. Zastałem panią Micawber w przylegającym i jak najskromniejszym kapeluszu, zawiązanym pod brodą, w szalu, który ją

całą otulał (tak jak mnie otulono wówczas, gdy przywędrowałem do ciotki), zawiązanym z tyłu, w pasie, na mocny węzeł. Pannę Micawber ujrzałem w ten sam sposób wystrojoną na wypadek burzy, bez żadnych zbytecznych dodatków. Młody Micawber zaledwie był widoczny w marynarskiej koszuli i parze gruntownie rozszerzonych szarawarów, a dzieci opakowane były, jak puszki mięsnych konserw, w nieprzemakalne pokrywy. Obaj, tak pan Micawber, jak jego syn najstarszy, nosili rękawy luźno odwinięte przy kostkach, tem zaznaczając, że gotowi są brać się do roboty, gdzie trzeba, skoczyć, krzyknąć: „Hej!... Dźwigaj!... Hej!..." na każde zawołanie.

Tak zastaliśmy ich, Traddles i ja, gdy wieczór zapadł, zgromadzonych na drewnianych schodkach, w owym czasie zwanych schodkami Hungerford, śledzących łódź, odpływającą z częścią ich bagaży. Opowiedziałem Traddlesowi o strasznym wypadku i to wywarło na nim wielkie wrażenie; niewątpliwie jednak dobrym było uczynkiem zataić to przed najbliższymi, Traddles wybrał się więc ze mną, by mi dopomóc w wyświadczaniu tej ostatniej przysługi. Tutaj znów odprowadziłem pana Micawbera na stronę i otrzymałem jego przyrzeczenie.

Rodzina pana Micawbera mieszkała w małej, brudnej, pochylonej oberży, w owych czasach stojącej tuż przy schodkach, a której wysterczające drewniane pokoje zwieszały się nad rzeką. Rodzina, jako że byli emigrantami, a wskutek tego przedmiotem zainteresowania okolicznej ludności, ściągała tylu widzów, że radzi schronili się do swego pokoju. Był to jeden z tych górnych drewnianych pokoi, pod którym przepływała rzeka. Ciotka moja i Agnieszka były już tam, pracowicie szyjąc jeszcze jakieś sukienki dla dzieci. Peggotty pomagała im w milczeniu, ustawiwszy koło siebie to samo stare pudło do roboty z miarką yardową i kawałkiem woskowego stoczka — martwe przedmioty, które tyle przeżyły zmian!

Niełatwo mi było odpowiedzieć na jej pytania; jeszcze trudniej szepnąć panu Peggotty, gdy go pan Micawber wprowadził, że oddałem Hamowi list i że wszystko w porządku. Uczyniłem to jednak i ucieszyłem ich bardzo. Jeżeli zdradziłem coś z tego, co czułem, było to można położyć na karb moich własnych smutnych przejść.

„I kiedyż statek odpływa, panie Micawber?" zapytała ciotka.

Pan Micawber uważał za konieczne stopniowo przygotować ciotkę moją czy też swoją żonę, odpowiedział więc, że wcześniej, niż wczoraj przypuszczał.



„Przypuszczam, że łódź musiała panu przynieść wiadomość, kiedy?“ zapytała ciotka.

„Tak jest, pani“, odpowiedział.

„A więc? Statek odpływa...“

„Pani“, odpowiedział, „dano mi znać, że stanowczo musimy być na pokładzie jutro rano przed siódmą“

„Hej! hej! To prędko“, rzekła moja ciotka. „Czy to istotnie prawda, panie Peggotty?“

„Tak, proszę pani. Statek spłynie rzeką z najbliższym odpływem. Jeżeli pan Dawidek i moja siostra zechcą przybyć na pokład w Gravesend pojutrze po południu, zobaczą nas tam po raz ostatni“.

„Będziemy tam, będziemy niezawodnie!“ rzekłem.

„Do tego czasu i dopóki nie wypłyniemy na morze“, zauważył pan Micawber, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie, „my obaj z panem Peggotty pilnować będziemy razem naszych kufrów i naszych tłumoków. Emmo, moja kochana“, dodał, odchrząknąwszy uroczyście, tak jak on to umiał, „mój przyjaciel, pan Tomasz Traddles szepcze mi łaskawie do ucha, że chciałby mieć przyjemność zadysponowania składników, potrzebnych do spreparowania porcyjki tego napoju, który w myślach naszych kojarzy się nieodłącznie z staro-angielskim rozbefem. Mam na myśli, krótko mówiąc — poncz. W zwykłych warunkach, nie ośmieliłbym się prosić o pobłażliwość pannę Trotwood i pannę Wickfield, jednakże....“

„Co do mnie, mogę tylko powiedzieć“, odezwała się moja ciotka, „że z największą przyjemnością wypiję za pańskie szczęście i powodzenie, panie Micawber“.

„I ja również!“ z uśmiechem dodała Agnieszka.

Pan Micawber natychmiast zeszedł na dół do szynku, gdzie widocznie czuł się, jak w domu i po pewnym czasie wrócił, niosąc dymiący dzbanek. Mimochodem zauważyłem, że obierał cytryny swoim składanym nożem, długim, jak przystawało nożowi osadnika, mniej więcej na stopę, a który, trochę ostentacyjnie, otarł następnie o rękaw. Zauważyłem teraz, że pani Micawber i dwoje starszych członków rodziny zaopatrzeni byli w podobne straszne narzędzia, zaś każde z dzieci miało własną drewnianą łyżkę na mocnym sznurze przytwierdzoną do pasa. W podobny sposób, zawczasu uprzedzając czekające go życie na okręcie i w zaroślach Australji, pan Micawber, zamiast żonie i starszym dzieciom podać poncz w szklanych kieliszkach, o co było łatwo, gdyż półka w pokoju była tego pełna, ponalewał im go do szkaradnych blaszanych kubków — i nie widziałem go nigdy bardziej uradowanym, jak gdy pił z takiego

samego kubka, który potem, pod koniec wieczoru, wsunął do kieszeni.

„Porzucamy zbytki starego kraju“, oświadczył pan Micawber z głębokiem zadowoleniem, że się ich wyrzeka. „Oczywiście, mieszkańcy lasów nie mogą żądać, by udziałem ich były kulturalne zdobycze krainy ludzi wolnych“.

Tu wszedł chłopiec i oznajmił panu Micawberowi, że ktoś o niego pyta na dole.

„Mam przeczucie“, oświadczyła pani Micawber, odstawiając swój blaszany kubek, „że to będzie któryś z członków mojej rodziny“.

„Jeżeli tak, moja droga“, odparł pan Micawber, jak zwykle zapalając się nagle przy tym temacie, „to skoro członek twojej rodziny... kimkolwiek on, ona czy ono być może... kazał n a m tak długo czekać, to może teraz ten członek zechce poczekać, aż m n i e będzie dogodnie“.

„Mężu“, odrzekła pani Micawber przyciszonym głosem, „w takiej chwili, jak obecna...“

„Nie godzi się“, odpowiedział pan Micawber, wstając, „tak drobnego przewinienia karcić upomnieniem. Emmo, dostałem burę, przepraszam!“

„Tylko rodzina moja na tem ucierpiała, nie ty“, zauważyła pani Micawber. „Jeżeli rodzina moja nareszcie zrozumiała, co postępowaniem swojem straciła w przeszłości, a teraz pragnie wyciągnąć dłoń przyjacielską, ty jej nie odtrącaj“.

„Moja droga“, odpowiedział, „stanie się, jak chcesz!“

„Jeżeli nie dla nich, to dla mnie!“ dodała.

„Emmo“, odpowiedział, „ten pogląd na sprawę i w takiej chwili, nie znosi oporu. Nie mogę, nawet teraz, wyraźnie obiecać, że padnę na szyję twojej rodzinie; ale w członku twej rodziny, który obecnie przybywa, j a ciepła serdecznego nie zmrożę!“

Pan Micawber wyszedł i jakiś czas nie było go; podczas tego pani Micawber nie mogła się opędzić obawie, czy czasem nie przyszło do mniej uprzejmej wymiany słów pomiędzy nim a owym członkiem. Nareszcie ten sam chłopiec powrócił i wręczył mi ołówkiem pisaną kartkę, po prawniczemu zatytułowaną, „Heep v. Micawber“. Z tej kartki dowiedziałem się, że pan Micawber został znów zaaresztowany i jest w ostatecznej rozpaczy; że proszi mnie, bym mu przez „oddawcę niniejszego“ przysłał jego nóż i kubek blaszany, gdyż może mu to być potrzebne na niedługą resztkę życia w więzieniu. Prosił także, jako o ostatnią przyjacielską przysługę, bym rodzinę jego odprowadził do Gminnego Domu Pracy i abym zapomniał o jego istnieniu.

Naturalnie w odpowiedzi na tę kartkę zeszedłem z chłopcem na dół, by zapłacić pieniądze; zastałem pana Micawbera siedzącego w kąciku, ponurym wzrokiem mierzącego policjanta, który go uwięził. Odzyskawszy wolność, uściskał mnie jak najgoręcej i zapisał tę tranzakcję w swoim notatniku; przypominam sobie, że bardzo skwapliwie dorachowywał jakiegoś pół pensa, nieuważnie opuszczonego przeze mnie, gdy mu podawałem całą sumę.

Ten ważny notatnik w porę przypomniał panu Micawberowi inną „tranzakcję". Wróciwszy do pokoju na górze (gdzie nieobecność swoją wytłumaczył niezależnemi od siebie okolicznościami), wyjął z notatnika duży arkusz papieru, drobno złożony i zupełnie pokryty pozycjami małych sum, starannie wykaligrafowanych. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, chyba w szkolnym kajecie rachunkowym. Były to, zdaje się obliczenia procentów składanych od różnych sum za różny czas i stanowiły jak się wyrażał, „łączny kapitał czterdziestu jeden funtów, dziesięciu szylingów i jedenastu i pół pensów". Starannie jeszcze raz to przejrzawszy i z zastanowieniem obliczywszy możność swoją i środki doszedł do wniosku, że suma ta reprezentuje dłużny kapitał i procenta za dwa lata, piętnaście miesięcy i dwa tygodnie od bieżącej daty. Na tę sumę wypisał bardzo starannie rewers i ten wręczył z miejsca Traddlesowi, jako wyrównanie całkowitej należności (jak to winien człowiek człowiekowi) z wielkiem podziękowaniem.

„Wciąż jeszcze mam przeczucie", zauważyła pani Micawber, w zamyśleniu potrząsając głową, „że rodzina moja ukaże się na pokładzie, przed ostatecznem naszem wyruszeniem".

I pan Micawber miał co do tego swoje przypuszczenia, ale utopił je w swym blaszanym kubku i przełknął.

„Jeżeli zdarzy się jaka sposobność, by wysłać listy do kraju, pani Micawber", rzekła moja ciotka, „proszę niechże nam pani prześle wiadomości!"

„Moja droga pani", odpowiedziała, „zrobi mi to tylko największą przyjemność, gdy będę mogła pomyśleć, że ktoś oczekuje od nas listów. Nie omieszkam pisywać. I pan Copperfield, mam nadzieję, jako dawny i bliski przyjaciel, nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli od czasu do czasu otrzyma wiadomość od tej, którą znał, gdy jeszcze bliźnięta były niemowlętami?"

Odpowiedziałem, że spodziewać się będę wiadomości, ile razy tylko będzie miała sposobność przesłać list.

„Da Bóg, sposobności tych będzie wiele", zauważył pan Micawber. „Ocean nosi w dzisiejszych czasach całe floty okrętów; i my też niewątpliwie wiele ich w naszej przeprawie napotkamy. Toż to tylko krótka przeprawa", dodał bawiąc się swym monoklem, „tylko krótka przeprawa. Ludzie tylko wyobrażają sobie, że to daleko".

Myślę sobie teraz, jakie to dziwne, ale jak to właśnie do pana Micawbera podobne, że gdy miał jechać z Londynu do Canterbury, to mówił o tem, jak gdyby miał jechać na sam koniec świata, a gdy się wybierał z Anglji do Australji, to tak, jak gdyby to miała być mała wycieczka na drugą stronę kanału.

„W czasie podróży będę się starał czasem opowiedzieć im jakąś bajkę", mówił pan Micawber, „a śpiew syna mojego Wilkinsa, sądzę, będzie przy ognisku mile przyjęty. Gdy pani Micawber już się zupełnie z morzem oswoi, uraczy ich, spodziewam się, śpiewem o Małym Tafflinie. Żółwie i delfiny, wyobrażam sobie, często widywać będziemy z naszego pokładu, a czy to u steru czy z tyłu okrętu, będzie się stale obserwowało ciekawe przedmioty. Krótko mówiąc", kończył pan Micawber z dawną swą, pełną dystynkcji miną, „zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, iż wszystko okaże się tak zajmujące, nad nami i pod nami, że gdy majtek z bocianiego gniazda zawoła: — Ląd! Hej! Ląd!... mocno będziemy zdziwieni, że to już!"

Przy tych słowach z rozmachem wychylił zawartość blaszanego garnuszka, jak gdyby już odbył podróż i złożył celująco egzamin przed najwyższym morskim urzędem.

„Czego zaś ja się przedewszystkiem spodziewam, mój drogi panie Copperfield", dorzuciła pani Micawber, „to że pewnemi gałęziami naszej rodziny odżyjemy znów w starej ojczyźnie. Nie marszcz się, Micawber! Nie mówię o mojej rodzinie, ale o dzieciach naszych dzieci. Choćby nie wiedzieć jak silne było odrośle, nie może przecież zapomnieć o drzewie - rodzicu; i gdy potomstwo nasze dojdzie do znaczenia i dostatków, przyznaję, że pragnęłabym, aby te dostatki wpłynęły do kufrów Brytanji".

„Moja droga", odpowiedział pan Micawber, „Brytanja niech sobie sama radzi. Muszę powiedzieć, że nigdy dla mnie wiele nie zrobiła i że nie mam żadnych specjalnych życzeń w tym kierunku"

„Mylisz się", odpowiedziała pani Micawber. „Udajesz się, mój mężu, do tych odległych krain poto, by wzmocnić, a nie osłabić związek, łączący cię z Albionem".

„Ten związek, kochanie", odparł pan Micawber, „raz jeszcze powtarzam, nie nałożył na mnie ciężaru osobistych zobowiązań w tym stopniu, bym wogóle bawił się w skrupuły z zadzierżgnięciem nowych związków".

„Mężu", odpowiedziała pani Micawber, „co do tego, raz jeszcze powiem, że się mylisz. Sam nie znasz swojej siły.

mój Micawber! To właśnie wzmocni, nawet wobec tego kroku, który zamierzasz uczynić, związek pomiędzy tobą a Albionem!"

Pan Micawber siedział w swym fotelu z podniesionemi brwiami; nawpół się godził z poglądami, jakie wygłaszała żona, nawpół je odrzucał, ale trafiały mu mocno do przekonania zawarte w nich przewidywanie na dalszą przyszłość.

„Mój drogi panie Copperfield", zwróciła się do mnie pani Micawber. „Ja pragnę, żeby pan Micawber zrozumiał swoje stanowisko. Wydaje mi się to wysoce ważnem, by pan Micawber od chwili wstąpienia na okręt zrozumiał swoje stanowisko. Znając mnie dawno, mój drogi panie Copperfield, wie pan, że nie mam w usposobieniu swem nic z optymizmu pana Micawbera. Moje usposobienie jest raczej, że się tak wyrażę, wybitnie praktyczne. Wiem, że czeka nas długa podróż. Wiem, że zaznamy wiele braków i niewygód. Nie potrafię na te sprawy zamknąć oczu. Ale wiem także, czem jest pan Micawber. Wiem, jaka w nim jest utajona siła. I dlatego uważam to za rzecz niezmiernie ważną, by pan Micawber rozumiał swoje stanowisko".

„Może mi pozwolisz zauważyć kochanie", wtrącił pan Micawber, „iż nie jest wykluczone, że ja rozumiem, jakie jest moje stanowisko w obecnej chwili".

„Nie sądzę", odpowiedziała. „Niezupełnie. Mój drogi panie Copperfield, położenie pana Micawbera jest zupełnie niezwykłe. Pan Micawber udaje się do dalekiego kraju umyślnie poto, by dać się w pełni poznać i ocenić po raz pierwszy w życiu. Pragnę, by pan Micawber stanął na przedzie okrętu i stanowczo oświadczył: — Przybywam, aby ten kraj zdobyć! Czy macie zaszczyty? Czy macie bogactwa? Czy macie stanowiska, dobrze wynagradzane pieniężnie? Dawajcie je tu! Mnie się one należą!—"

Pan Micawber, wodząc wzrokiem po nas wszystkich, zdawał się uważać, że w tym pomyśle jest dużo słuszności.

„Pragnę, ażeby pan Micawber, jeżeli mnie państwo dobrze rozumiecie", dowodziła pani Micawber, „był Cezarem własnej swej fortuny. To, drogi panie Copperfield, to właśnie wydaje mi się jego właściwem stanowiskiem. Od pierwszej chwili podróży pragnę, ażeby pan Micawber stanął na przedzie okrętu i powiedział: — Dość zwlekania; dość zawodów; dość ograniczonych środków. Tak było w starej ojczyźnie. Ta tutaj jest nowa. Dajcie mi za to odszkodowanie. Dawajcie je tu!—"

Pan Micawber skrzyżował ręce na piersiach z miną tak rezolutną, jak gdyby istotnie stał w tej chwili przy dziobie okrętu.

„A gdy to uczyni", mówiła dalej pani Micawber, „gdy poczuje się na właściwem stanowisku... czyż nie mam słuszności, twierdząc, że pan Micawber wzmocni swój związek z Brytanją, a nie osłabi go? Jeżeli na tamtej półkuli powstanie wybitny działacz publiczny, czy mi kto powie, że wpływ tego faktu nie da się odczuć w ojczyźnie? Czyż mogę być tak małoduszną, żeby sobie wyobrażać, iż pan Micawber, dzierżący berło talentu i władzy w Australji, niczem będzie w Anglji? Jestem tylko kobietą; ale niegodną byłabym samej siebie i mojego papy, gdybym zawiniła tak niedorzeczną małodusznością".

Przekonanie o nieodpartej sile swego dowodzenia nadawało tonowi pani Micawber dostojność, jakiej dotąd w tonie jej nie zauważyłem.

„I dlatego to właśnie", ciągnęła dalej, „tem bardziej pragnę, byśmy w dalekiej przyszłości odżyć znów mogli na rodzinnym gruncie. Pan Micawber — nie mogę oczu zamknąć na to prawdopodobieństwo — pan Micawber może będzie miał swoją kartę w historji; powinien więc mieć wtedy swoje przedstawicielstwo w kraju, który go zrodził, a nie potrafił użyć go właściwie!"

„Kochanie", zauważył pan Micawber, „trudno, żeby mnie przywiązanie twoje nie wzruszało. Zawsze chętnie skłaniam się przed twoim rozsądkiem. Co będzie, to będzie. Niech Bóg zachowa, żebym miał rodzonej mojej ojczyźnie żałować części bogactw, nagromadzonych przez moich potomków!"

„To dobrze", rzekła moja ciotka i skinęła ku panu Peggotty. „A teraz do was wszystkich z serca przepijam i życzę wam wszelkiego szczęścia i powodzenia!"

Pan Peggotty zsadził z kolan tych dwoje dzieci, które tam trzymał, ażeby zkolei wraz z państwem Micawber przepić do nas; a gdy z panem Micawber uścisnęli sobie serdecznie ręce, jako towarzysze i ogorzała jego twarz rozjaśniła się uśmiechem, odczułem żywo, że da sobie radę, zdobędzie dobre imię i ogólną miłość, wszędzie, dokądkolwiek się uda.

Nawet dzieciom polecono, ażeby każde zaczerpnęło własną drewnianą łyżką z garnuszka pana Micawbera i wypiło za nasze zdrowie. Gdy się to stało, ciotka moja i Agnieszka wstały i pożegnały się z emigrantami. Smutne to było pożegnanie. Wszyscy płakali, dzieci do samego ostatka czepiały się Agnieszki, biedną panią Micawber zostawiliśmy bardzo rozżaloną, łkającą i płaczącą przy ciemnej świeczce, która od strony rzeki musiała temu pokojowi nadawać wygląd nędznej latarni morskiej.

Zaszedłem tam nazajutrz rano przekonać się, czy są jeszcze. Odpłynęli łodzią wcześnie, o piątej rano. Dziwnie

mi było, gdy przekonałem się, jaka pustka powstaje po takich rozstaniach; bo chociaż od wczoraj dopiero zacząłem ich łączyć z tą walącą się oberżą i drewnianemi schodkami, tak dziwnie posępne i opuszczone wydały mi się te miejsca teraz, gdy ich tu już nie było!

Po południu następnego dnia wraz z starą piastunką moją udałem się do Gravesend. Okręt stał na rzece, otoczony mnóstwem łódek: wiał wiał pomyślny, sygnał do odjazdu wywieszony był na maszcie. Nająłem zaraz łódkę i odpłynęliśmy do statku; przecisnąwszy się przez pełen zamieszania tłum, dostaliśmy się na pokład.

Czekał tam na nas pan Peggotty. Powiedział mi, że pan Micawber został właśnie przed chwilą znów aresztowany (po raz ostatni) wskutek skargi Heepa, i że, tak jak go o to prosiłem, zapłacił za niego należytość, którą mu natychmiast zwróciłem. Następnie zaprowadził nas na środkowy pokład i tam, jeżeli miałem jakie obawy, czy do pana Peggotty nie doszły słuchy o tem, co się stało, straciłem je w zupełności: z cienia bowiem wyłonił się pan Micawber, ujął go pod rękę przyjacielsko i opiekuńczo i powiedział mi, że prawie ani na chwilę nie rozstawali się od przedwczorajszego wieczora.

Tak nowym i obcym był dla mnie widok, który się w tej ciasnocie i mroku przede mną odsłonił, że narazie zaledwie coś niecoś mogłem rozróżnić; stopniowo jednak oczy moje przyzwyczaiły się do mroku i wydało mi się, że stoję przed obrazem Ostada. Wśród wielkich belek, skrzyń i łóżek okrętowych, wśród skrzyń, tłumoków, baryłek i stosów najrozmaitszych pakunków — oświeconych tu i owdzie wiszącą latarnią, zaś gdzie indziej żółtą smugą dziennego światła, wpadającego przez małe okienko — tłoczyły się gromadki ludzi, to zawierających nowe znajomości, to żegnających się, rozmawiających, śmiejących się, płaczących, jedzących i pijących; niektórzy już objęli w posiadanie swoich kilka łokci przestrzeni, już urządzili małe swoje gospodarstwo, posadziwszy dzieci na krzesełkach albo w małych fotelikach; inni szukali miejsca, gdzieby spocząć i błądzili niepocieszeni. Od niemowląt, mających nie więcej jak z tydzień lub dwa tygodnie życia za sobą, do zgarbionych starców, mających, zdawało się, nie więcej jak z tydzień lub dwa życia przed sobą — od rolników, unoszących dosłownie proch angielskiej ziemi na swoich butach, do kowali, zabierających na własnej skórze drobiny jej sadzy i dymu — każdy wiek i każdy zawód, zdawało się, wtłoczono w tę ciasną przestrzeń pod pokładem.

Rozglądając się dokoła, miałem wrażenie, że widzę przy otwartem przejściu, z jednem z dzieci Micawberów przy sobie, siedzącą postać podobną do Emilki; zwróciła zrazu moją uwagę tem, że inna postać żegnała ją pocałunkiem, a gdy się ta przesuwała cicho wśród tego nieładu, przypomniała mi — Agnieszkę! W szybkim ruchu jednak i zamieszaniu, w zamęcie własnych moich myśli, straciłem ją z oczu; opamiętałem się dopiero, gdy oznajmiono, że wszyscy odwiedzający mają opuścić statek i gdy ujrzałem moją piastunkę, płaczącą na jakimś kufrze obok mnie, a panią Gummidge z pomocą jakiejś młodej, czarno ubranej, pochylonej kobiety, pracowicie układającą rzeczy pana Peggotty.

„Czy jest jeszcze może jakie niepowiedziane słowo, panie Dawidku?" zapytał. „Zanim się rozstaniemy, czy niema czego, o czem się zapomniało?"

„Jest jedno", odparłem. „Marta!"

Dotknął ramienia młodej kobiety, o której wspomniałem, i ujrzałem Martę przed sobą.

„Niech Bóg pana błogosławi, zacny człowieku!" zawołałem. „Więc bierze ją pan ze sobą!"

Odpowiedziała za niego, wybuchając łzami. Nie mogłem w owej chwili zdobyć się na słowa, ale silnie uścisnąłem mu rękę i jak dla nikogo na świecie, taką uczułem w sercu miłość i cześć dla tego człowieka.

Okręt szybko opróżniał się z gości. Pozostało jeszcze to najcięższe do spełnienia. Powtórzyłem mu, co ta szlachetna dusza, już nieżyjącego, poleciła mi powiedzieć mu przy pożegnaniu. Wzruszyło go to głęboko. Gdy mi jednak wzamian przekazywał najserdeczniejsze słowa przywiązania i żalu dla tych uszu, co już ich słyszeć nie mogły — wzruszył mnie silniej jeszcze.

Nadeszła pora. Uścisnąłem go, wziąłem pod ramię płaczącą moją piastunkę i spiesznie odszedłem. Na pokładzie pożegnałem biedną panią Micawber. Nawet teraz jeszcze rozglądała się rozpaczliwie za swoją rodziną, a ostatnie, co mi powiedziała, było, że nigdy nie opuści pana Micawbera

Wsiedliśmy do naszej łódki i zatrzymaliśmy się w pewnej odległości, by patrzeć jak okręt ruszył w drogę. Był właśnie cichy, jasny zachód słońca. Na tle tego czerwonego światła rysowała się wyraźnie każda lina, każda reja. Nigdy nie widziałem równie pięknego, smutnego, a zarazem pełnego nadziei widoku, jak widok tego wspaniałego okrętu, co leżał spokojnie na zrumienionej fali i niósł na sobie całe to życie, ten tłum, zgromadzony dokoła jego galeryjek, z odsłoniętemi głowami, niemy.

Niemy, ale tylko na chwilę. Gdy bowiem żagle wzdęły się wiatrem i statek zaczął się poruszać, ze wszystkich łódek buchnęły trzy grzmiące okrzyki, podjęte przez tych, co stali na pokładzie i echem odrzucone i znowu oddane

i znowu echem wrócone. Zabiło we mnie serce, gdym głosy te usłyszał i ujrzał powiewające chustki i kapelusze — i wtedy zobaczyłem ją!

Zobaczyłem ją wtedy, przy boku wuja, drżącą, wspartą na jego ramieniu. On wyciągniętą dłonią żywo wskazywał ku nam, a ona zobaczyła nas i ostatnie pożegnanie przesłała mi ruchem ręki. Tak, Emilko, piękna, przygnębiona, garnij się do niego z całem zaufaniem zranionego twego serca, gdyż on garnął się do ciebie całą mocą swej wielkiej miłości!

Oblani różanem światłem, stojąc wysoko na pokładzie przy sobie, ona, tuląca się do niego, on, podtrzymujący ją ramieniem, cicho a uroczyście odpłynęli w dal. Noc zapadła na nadbrzeżne wzgórza, gdy dopłynęliśmy do brzegu — a mnie objęła ponurym cieniem.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy.

Nieobecność.

Ogarnęła mnie noc długa i posępna i jak we śnie ciężkim nawiedzały mnie widma wielu nadziei, wielu drogich wspomnień, wielu błędów i daremnych smutków i żalów.

Wyjechałem z Anglji, nawet nie wiedząc wtedy, jak wielkim był cios, który miałem przecierpieć. Opuściłem wszystkich, drogich sobie i wyjechałem; sądziłem, że przebolałem już mój ból, że już on minął. Jak ten, co na polu bitwy otrzymał śmiertelny postrzał, a zaledwie wie, że jest raniony, tak ja, pozostawszy sam na sam z nieopanowanem sercem mojem, nie miałem pojęcia z jaką ono raną walczyć będzie musiało.

Świadomość tego przyszła nie nagle, ale zwolna, stopniowo. Uczucie przygnębienia, z jakiem wyjeżdżałem zagranicę zwiększało się i pogłębiało z godziny na godzinę. Zrazu było to jedynie przygniatające poczucie straty i smutku, pozatem nie rozróżniałem niczego. Stopniowo i niepostrzeżenie wyłoniła się z tego świadomość tego wszystkiego, co utraciłem — miłość, przyjaźń, całe zainteresowanie życiowe; wszystkiego tego, co zostało rozbite — moja pierwsza wiara, moje pierwsze uczucia, cały powietrzny gmach mojego życia; i świadomość tego wszystkiego, co mi pozostało — nicość i pustka wokół, po ciemne kresy widnokręgu.

Jeżeli byłem samolubny w moim żalu, to sam o tem nie wiedziałem. Opłakiwałem moją dziecko - żonę, tak młodo zabraną z tego świata, co był dla niej jak ogród kwiecisty. Opłakiwałem tego, który mógł był pozyskać miłość i podziw tysięcy, tak jak moją miłość i mój podziw dawno pozyskał. Opłakiwałem to biedne, zranione serce, co znalazło spokój w burzliwych falach morza, i tych tułaczy, co

pozostali z tego prostego domu, gdzie słuchałem poszumów nocnego wiatru, będąc jeszcze dzieckiem.

Straciłem w końcu nadzieję, żebym z tego głębokiego smutku, w jaki wpadłem, mógł się kiedykolwiek otrząsnąć. Włóczyłem się z jednego miejsca na drugie, wszędzie ciągnąc za sobą moje brzemię. Czułem teraz cały jego ciężar; upadałem pod nim i w sercu mówiłem sobie, że nigdy nie zaznam ulgi.

Gdy przygnębienie to doszło do najwyższego natężenia, zacząłem mniemać, że przyjdzie mi umrzeć. Niekiedy zdawało mi się, że chciałbym umrzeć w domu i wtedy, rzeczywiście, zawracałem z drogi, żeby się prędzej dostać do domu. Kiedy indziej znów błąkałem się dalej, od miasta do miasta, szukając, sam nie wiedziałem czego, i starając się, sam nie wiedziałem co, zostawić za sobą.

Nie potrafię skreślić kolejno wszystkich męczących okresów tej udręki, przez jaką duch mój przechodził. Są pewne sny, które tylko niedokładnie i niejasno opisać się dadzą; a ja, gdy zmuszam się spojrzeć wstecz na ten okres mego życia, mam wrażenie, że wspominam taki sen. Widzę siebie, jak przesuwam się wśród nowości obcych miast, pałaców, katedr, świątyń, malowideł, zamków, grobowców, ulic fantastycznych — tak, jakbym się przesuwał we śnie, dźwigając mój bolesny ciężar wszędzie, ledwie świadom przedmiotów, co nikną przede mną. Obojętność na wszystko, pogrążenie się w gnębiącym smutku, oto w taką noc popadło nieopanowane moje serce. Niechże oderwę wzrok — tak jak go w końcu, dzięki Niebu! odwróciłem — od niej i od tego długiego, smutnego, nieszczęsnego snu, i niechaj spojrzę w stronę, skąd świta.

Przez długie miesiące podróżowałem z tą zaciemniającą mi wszystko chmurą na duszy. Jakieś niejasne powody, by nie wracać do domu — powody, które sam wtedy daremnie starałem się rozwikłać — zatrzymały mnie na tej tułaczce. Niekiedy przenosiłem się niespokojnie z miejsca na miejsce, nie zatrzymując się nigdzie; niekiedy pozostawałem dłuższy czas w jednem miejscu. Wszędzie żyłem bez celu, bez żadnej podniety duchowej.

Bawiłem w Szwajcarji. Przybyłem tam z Włoch, przez jeden z wielkich wąwozów alpejskich i odtąd błądziłem z przewodnikiem po bezdrożach górskich. Jeżeli te straszne pustkowia przemawiały mi do serca, to w każdym razie o tem nie wiedziałem. Widziałem wzniosłość i cudowność w groźnych szczytach i przepaściach, w grzmiących strumieniach i pustkach pól lodowych i śnieżnych, ale jak dotąd, nie nauczyło mnie to niczego.

Zaszedłem pewnego dnia przed zachodem słońca w do-

linę, gdzie miałem nocować. Gdy schodziłem ścieżką, wijącą się po zboczu góry, skąd widać było dolinę daleko u stóp moich, jakieś dawno nie odczute wrażenie piękności i ukojenia drgnęło we mnie, jakiś łagodzący wpływ obudzony idącym od tej doliny spokojem, poruszył się słabo w mem sercu. Pamiętam, że przystanąłem z uczuciem jakiegoś smutku wcale nie przygniatającego, wcale nie tak rozpaczliwego, jak dotąd. Pamiętam, że prawie zbudziła się we mnie nadzieja, iż może coś odmieni się we mnie na lepsze.

Wstąpiłem w dolinę w chwili, gdy zachodzące słońce oświetlało dalekie śnieżne szczyty, zamykające ją jak wieczyste chmury. Słupy gór, tworzących wąwóz, w którym leżała wioska, pokryte były bogatą zielenią, a wysoko ponad tą delikatną roślinnością rosły bory ciemnych świerków, powstrzymujące zimowe śnieżyce i tworzące zaporę przed lawiną. Ponad temi lasami ciągnęły szeregi ostrych turni, szarych skał, jasnych lodowców i gładkich, zielonych plam pastwisk, a wszystko to w końcu mieszało się ze śniegiem, wieńczącym szczyty. Rozsiane tu i ówdzie na zboczu góry — każda drobna plamka to jedno domostwo — stały samotne drewniane chatki, tak maleńkie wobec piętrzących się szczytów, że wyglądały, jak zabaweczki. To samo wrażenie sprawiała również gromadka chat wioski leżącej w dolinie, z drewnianym mostem ponad potokiem, toczącym się poprzez wywrócone skały i z szumem płynącym w dal pomiędzy drzewami. W ciszy powietrza unosił się odgłos, jakby dalekiego śpiewu — były to głosy pasterzy; że jednak zaróżowiony zachodem obłok muskał właśnie zbocze góry, mogło mi się wydawać, że to stamtąd płyną dźwięki, że to jakaś nieziemska muzyka. I oto nagle, wśród tej pogodnej ciszy głos wielkiej Przyrody przemówił do mnie i tak mnie ukoił, że umęczoną głowę złożyłem na trawie i zapłakałem serdecznie tak, jak od śmierci Dory nie płakałem ani razu.

Otrzymałem przed chwilą paczkę listów, czekających na mnie i wyszedłem poza wioskę, ażeby je odczytać, zanim mi przygotują wieczerzę. Inne przesyłki nie doszły mnie, tak, że oddawna nie otrzymałem żadnych wiadomości. Ja sam, od czasu wyjazdu z domu nie zdobyłem się dotąd na napisanie listu — no najwyżej w paru wierszach donosiłem o zdrowiu swojem i miejscu pobytu.

Paczka z listami była w moim ręku; otworzyłem ją i odczytałem najpierw pismo Agnieszki.

Pisała, że czuje się szczęśliwa i pożyteczna, że powodzi jej się tak, jak się spodziewała. Tyle tylko donosiła o sobie. Reszta odnosiła się do mnie.

Nie dawała mi rad, nie narzucała obowiązków; powiedziała mi tylko, z gorącem przejęciem, jak ona zawsze, że

bardzo we mnie wierzy i ufa mi. Wiedziała — (pisała mi) — że takiej naturze, jak moja, cierpienie tylko na dobre wyjść musi. Wiedziała, że ból i wzruszenia tylko uszlachetnią i wzmocnią mój charakter. Była przekonaną, że w każdem zamierzeniu mojem dalej i wyżej sięgnę, przecierpiawszy to, co przecierpiałem. Ona, tak dumna z mojej sławy, tak pragnąca, by ta sława wzrastała, wiedziała dobrze, że będę pracował dalej. Wiedziała, że we mnie smutek nie może być słabością, ale musi być siłą. A jak to, co przeniosłem w dziecinnych latach, przyczyniło się do urobienia mnie takim, jakim byłem, tak większe próby i doświadczenia zahartują mnie i dodadzą mocy, ażebym szedł coraz wyżej po drodze rozwoju. Czego zaś mnie nauczyło życie, tego ja będę uczył drugich. Polecała mnie Bogu, który niewinne moje kochanie zabrał do Swojej chwały — sama zaś zapewniała, że swojem siostrzanem przywiązaniem kocha mnie zawsze i zawsze myślą jest przy mnie, czy jestem blisko czy daleko, dumna z tego, co zdziałałem, ale nieskończenie dumniejsza z tego, co jeszcze mam zdziałać.

Złożyłem list ten na piersiach i zastanowiłem się nad tem, czem byłem przed godziną! Gdy usłyszałem milknące głosy, gdy ujrzałem pociemniały obłok wieczorny, wszystkie barwy w dolinie zgaszone, złoty śnieg na górskich szczytach spływający się zwolna z bladem niebem nocy, a gdy mimo to odczułem, że z mej duszy uchodzi noc, że wszystkie jej cienie pierzchają — wtedy już nie wiedziałem, jak nazwać miłość dla niej, droższej mi odtąd niż kiedykolwiek przedtem.

Kilka razy odczytałem list Agnieszki. Napisałem do niej zanim usnąłem. Powiedziałem jej, że bardzo potrzebowałem jej pomocy, że bez niej nie byłem i nigdybym nie był tem, za co mnie miała, że to ona poddaje mi cel, ja zaś będę usiłował go osiągnąć.

Poddałem się próbie. Za trzy miesiące miała nadejść pierwsza rocznica mojego nieszczęścia. Nie chciałem nic postanawiać, dopóki te trzy miesiące nie miną, chciałem tylko spróbować. Przez cały czas mieszkałem w tej samej dolinie lub w jej sąsiedztwie.

Po upływie tych trzech miesięcy postanowiłem pozostać za domem jeszcze czas jakiś, osiąść narazie w Szwajcarji, drogiej mi przez pamięć owego wieczora, chwycić znów pióro i pracować.

Udawałem się pokornie tam, dokąd Agnieszka udawać mi się poleciła; zwracałem się do Przyrody i nigdy mnie ona nie zawodziła, a serce me współczująco otworzyłem dla ludzi, przed którymi niedawno stroniłem. Niebawem też miałem w tej dolinie nieledwie tylu przyjaciół, co w Yarmouth;

gdy zaś wyjechałem stamtąd przed zimą do Genewy i wróciłem tam z nadejściem wiosny, serdeczne ich powitania brzmiały mi swojsko, choć nie w rodzinnej wygłoszone mowie.

Pracowałem wczesnym rankiem i późnym wieczorem, pracowałem cierpliwie i wytrwale. Napisałem powieść, której wątek do pewnego stopnia wysnułem z własnych przeżyć, i posłałem ją Traddlesowi; ten rozporządził nią w sposób dla mnie korzystny, a wieść o rosnącej mojej sławie zaczęła mnie dochodzić przez spotkanych przypadkiem podróżnych. Po pewnym odpoczynku zabrałem się znów do pracy, z gorącem przejęciem, tak jak dawniej, nad nowym pomysłem, który mnie silnie zajął. W miarę jak posuwałem się w wykonaniu przejmowałem się tym utworem coraz bardziej i z napięciem wszystkich sił starałem się swoje zrobić dobrze. Była to trzecia moja powieść. Jeszcze jej w połowie nie ukończyłem, gdy w przerwie odpoczynkowej pomyślałem o powrocie do domu.

Oddawna, jakkolwiek pracowałem cierpliwie, przywykłem używać dużo fizycznego ruchu. Zdrowie, poważnie zachwiane, gdy wyjeżdżałem z Anglji, teraz powróciło mi zupełnie. Widziałem wiele; zwiedziłem dużo krajów i wzbogaciłem znacznie swój zasób wiadomości.

Tak więc oto przypomniałem tutaj wszystko istotne z czasów tej mojej bytności poza krajem — z jednym jedynym tylko wyjątkiem. Nie dlatego, bym miał zamiar przemilczeć coś z moich myśli — gdyż, jak to już gdzie indziej powiedziałem, to opowiadanie jest moim pamiętnikiem. Pragnąłem jednakże najtajniejszy nurt mojej duszy wyodrębnić od reszty do samego końca. Obecnie chcę o tem mówić.

Nie potrafię tak dokładnie przeniknąć tajemnicy własnych moich uczuć, ażebym sam mógł wiedzieć, kiedy zacząłem myśleć, że mogłem był najwcześniejsze i najjaśniejsze nadzieję mojego serca zwrócić ku Agnieszcze. Nie umiem powiedzieć, w którym okresie mojego zmartwienia przyszło mi po raz pierwszy na myśl, że w lekkomyślnej mej wczesnej młodości odrzuciłem skarb jej miłości. Sądzę, że może słyszałem jakiś szept tej dalekiej myśli wtedy, gdy nawiedzało mnie to dawno znane smętne uczucie straty czy braku czegoś, co nigdy nie da się osiągnąć. Jednakże myśl ta zjawiła się w mej duszy jako nowy wyrzut i nowy żal wtedy, gdy taki smutny i samotny zostałem na świecie.

Gdybym w owym czasie był więcej przebywał z Agnieszką, w słabości mej i rozżaleniu byłbym się zapewne zdradził. Tego to właśnie w głębi ducha unikałem wtedy, gdy coś mnie zmuszało usunąć się z granic Anglji. Nie byłbym

zniósł utraty choćby odrobiny jej siostrzanego przywiązania — gdybym się zaś był zdradził, spowodowałbym wzajemne skrępowanie, dotąd nieznane.

Nie mogłem zapomnieć, że takie uczucie, z jakiem dziś odnosiła się do mnie, wyrosło z własnej moje woli i wyboru. Że jeżeli kiedy kochała mnie inną miłością — a czasem myślałem, że może była kiedyś chwila, gdy tak było — to ja tę miłość odrzuciłem. Gorące uczucia moje przelałem na inną; co mogłem był uczynić, tego nie uczyniłem, tem zaś, czem Agnieszka była dla mnie, tem uczyniłem ją ja sam i własne jej szlachetne serce.

W samym początku tej zmiany, stopniowo we mnie zachodzącej, gdy starałem się sam siebie lepiej zrozumieć i stać się lepszym człowiekiem — spoglądałem w przyszłość z nadzieją, że może po jakimś okresie próby będę mógł zmazać omyłkę przeszłości i mieć to szczęście, by ją zaślubić. Jednakże z biegiem czasu ta nadzieja bladła i gasła dla mnie. Jeżeli mię niegdyś kochała, myślałem, tem świętszą teraz będzie dla mnie, gdyż pamiętam, jakie jej robiłem zwierzenia, jak ona zna błąkające się moje serce, jak się przełamać musiała, by być dla mnie przyjaciółką i siostrą, i jakie nad sobą odniosła zwycięstwo. Jeżeli zaś nigdy mnie nie kochała, czyż mogę uwierzyć, że mogłaby mnie pokochać teraz?

Czułem zawsze swoją słabość w porównaniu z jej stałością i mocą ducha, a teraz czułem to coraz więcej. Czemkolwiek mogłem był być dla niej, albo ona dla mnie, gdybym dawniej był jej godniejszy, nie byliśmy dla siebie tem, czem jesteśmy dzisiaj. Minęła pora. Pozwoliłem jej minąć i sam zasłużyłem na utratę szczęścia.

To prawda, że cierpiałem bardzo przy tych rozważaniach, że budziły one we mnie ból i wyrzuty — jednakże nadewszystko miałem to poczucie, że słuszność i honor wymagają ode mnie, bym ze wstydem usuwał od siebie myśl, że mógłbym się zwrócić do drogiego dziewczęcia teraz, gdy zwiędły moje nadzieje, skoro odwróciłem się od niej bezmyślnie i płocho, gdy były jasne i świeże; ten wzgląd był na dnie każdej o niej myśli. Nie starałem się już teraz ukrywać przed sobą, że ją kocham, że jestem jej oddany; jednakże utwierdzałem się w przeświadczeniu, że teraz już za późno, i że oddawna istniejącego stosunku pomiędzy nami nie należy zamącać.

Takie oto, ze wszystkiemi swemi zawiłościami i niekonsekwencjami, były ruchome piaski mojej duszy od chwili wyjazdu z ojczyzny aż do dnia powrotu w trzy lata później. Trzy lata minęły od dnia, gdy odpłynął statek z emigrantami; a oto teraz o tej samej godzinie zachodu, w tem samem

miejscu stałem na pokładzie parowca, który mnie przywiózł do domu; i oto patrzyłem na tę zaróżowioną wodę, gdzie się wówczas ten okręt odbijał.

Trzy lata. Długie, gdy wstecz spojrzeć, krótkie, gdy upływały. A dom drogi mi był bardzo i Agnieszka droga także — ale nie była moją — nigdy moją być nie miała. Mogła była nią być, ale to minęło!

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty.

Powrót.

Wylądowałem w Londynie w wietrzny jesienny wieczór. Ciemno było i padał deszcz; więcej mgły i błota zobaczyłem teraz w ciągu minuty, niż dotąd przez przeciąg całego roku. Od komory celnej aż do Pomnika musiałem iść pieszo, zanim znalazłem dorożkę; a choć same fasady domów, patrzące na wezbrane rynsztoki, były dla mnie jak twarze starych przyjaciół, to jednak musiałem przyznać, że byli to bardzo brudni przyjaciele.

Zauważyłem nieraz — zapewne każdy to zauważył — że wystarczy opuścić jakąś znajomą miejscowość, żeby zaraz zaszły w niej jakieś zmiany. Wyglądając z okna dorożki i widząc, że pewien stary dom na Fishstreet Hill, którego od stu lat nie dotknęła ręka ani malarza, ani stolarza, ani murarza, został pod moją nieobecność zburzony i że sąsiednią ulicę, wiekiem uświęcony przybytek najniezdrowszych i najniewygodniejszych warunków mieszkalnych osuszano i rozszerzano — już tylko czekałem, czy katedra św. Pawła nie wyda mi się postarzałą.

Że w losach moich przyjaciół musiały zajść jakieś zmiany, na to byłem przygotowany. Ciotka moja oddawna przeniosła się z powrotem do Dover, Traddles zaś zaraz po moim wyjeździe zaczął potrosze praktykować w adwokaturze. Miał obecnie swój urzędowy lokal w Grays Inn i donosił mi w ostatnich listach, że ma trochę nadziei połączyć się wkrótce z „najdroższą w świecie dziewczyną". Spodziewano się mego powrotu przed Bożem Narodzeniem, nie mieli jednak pojęcia, że tak wcześnie wrócę. Wprowadziłem ich w błąd umyślnie, chcąc mieć przyjemność zrobienia im niespodzianki. A jednak — o przewrotności serca ludzkiego! — odczułem chłód jakiś i zawód, gdy mnie nikt nie powitał i gdy tak sam i milczący trząść się musiałem przez mgłą zaniesione ulice. Lecz dobrze znajome sklepy, raźno błyskające światłami, rozweseliły mnie jakoś; gdy zaś wysiadałem u drzwi kawiarni w Grays Inn, odzyskałem już dobry humor. Przyszły mi na myśl z początku te tak inne czasy, gdy zatrzymywałem się pod „Złotym Krzyżem", a także te rozmaite zmiany, jakie odtąd zaszły — ale to było zupełnie naturalne.

„Czy panu wiadomo, gdzie tu w budynkach kolegjum mieszka pan Traddles?" zapytałem kelnera, grzejąc się przy ogniu w kawiarni.

„Holborn Court, proszę pana. Numer drugi".

„Pan Traddles, zdaje się, cieszy się coraz głośniejszem uznaniem wśród prawników?" zapytałem.

„Prawdopodobnie tak jest, proszę pana; ale ja o tem nic nie wiem", odpowiedział kelner.

Ten kelner, człowiek średniego wieku i chudy, wzrokiem wezwał na pomoc kelnera o większem znaczeniu — grubego, poważnego, starego człowieka z tłustym podbródkiem, w czarnych spodniach i pończochach, który u drugiego końca sali powstał ze swojego miejsca, podobnego do ławki kościelnej, gdzie mu kasa podręczna, książka adresowa, lista prawników i inne książki i papiery dotrzymywały towarzystwa.

„Pan Traddles", powtórzył chudy kelner. „Numer drugi w podwórzu".

Potężny kelner odprawił go ruchem ręki i poważnie zwrócił się do mnie.

„Zapytywałem", rzekłem, „czy pan Traddles z pod numeru drugiego w podwórzu — nie cieszy się coraz głośniejszem uznaniem wśród prawników?"

„Nigdy nie słyszałem jego nazwiska", odpowiedział kelner niskim piersiowym głosem.

Uczułem się wprost zażenowany za Traddlesa.

„To pewnie musi być młody człowiek?" zapytał okazały kelner, mierząc mnie surowym wzrokiem. „Od jak dawna jest w adwokaturze?"

„Nie dłużej jak trzy lata", odpowiedziałem.

Kelner, który przypuszczalnie ze czterdzieści lat już przebywał w swej kościelnej ławce, nie mógł tak błahym przedmiotem dłużej się zajmować. Zapytał, co każę podać na obiad?

Odczułem, że jestem znów w Anglji i, ze względu na Traddlesa, wprost mnie to przygnębiło. Dla niego widocznie nie było nadziei! Zniechęcony, zamówiłem kawałek ryby i befsztyk i stanąłem przed kominkiem w zadumie nad tem, że on taki jest nieznany!

Śledząc wzrokiem starszego kelnera pomyślałem mimowoli, że ogród, w którym on stopniowo doszedł do takiego rozkwitu, nieurodzajny to grunt dla młodej roślinki. Tak tu wszystko wyglądało przepisowo, sztywno, jak coś dawno ustanowionego, uroczystego, starego. Rozejrzałem się po po-

koju, gdzie posypywaną piaskiem podłogę posypywano niewątpliwie tak samo, gdy starszy kelner był jeszcze małym chłopakiem — jeżeli wogóle był kiedykolwiek małym chłopakiem, o co trudno było mi go posądzić. Przyglądałem się lśniącym stołom, znajdując własne odbicie w gładkich głębinach starego mahoniu — lampom, nieskazitelnie oprawnym i oczyszczonym — zacisznym, zielonym portjerom na lśniących, mosiężnych drążkach, tak przytulnie osłaniającym gabinety; patrzyłem na te dwa wielkie węglowe ogniska, jasno płonące, na rzędy pękatych gąsiorów niby nadętych poczuciem, że beczki drogiego, starego portwejnu stoją w piwnicy, patrzyłem na wszystko to i pomyślałem, że zaiste, tak Anglję, jak prawo, bardzo jest trudno wziąć szturmem. Przeszedłem do swego pokoju, by zmienić wilgotne ubranie; tu znów wielki obszar wykładanego boazerją pokoju (przypominam sobie, że leżał nad sklepioną bramą, prowadzącą do kolegjum), ciężki rozmiar łoża na czterech kolumienkach i niewzruszona powaga komód — wszystko to zdawało się chmurnie grozić losom Traddlesa i jemu podobnych zuchwałych młodzików. Wróciłem na dół na obiad; tam nawet niespieszna wygoda przy jedzeniu, porządek i cisza sali — była prawie pusta, gdyż wielkie wakacje jeszcze nie minęły — zdawały się wymownie urągać śmiałości Traddlesa, słabo wróżąc mu nadzieję dobicia się utrzymania, chyba za dwadzieścia lat...

Od czasu wyjazdu z kraju nie widziałem nic podobnego, to też oblało to zimną wodą moje nadzieje w odniesieniu do przyjaciela. Starszy kelner miał już mnie widocznie dosyć. Wcale się do mnie nie zbliżył, natomiast poświęcił się całkowicie staremu panu w długich kamaszach, na którego powitanie butelka specjalnego portweinu samorzutnie widać przywędrowała z piwnicy, gdyż on żadnej dyspozycji nie dawał. Drugi kelner objaśnił mnie szeptem, że ten stary pan to emerytowany rejent, mieszkający na Placu, jegomość, którego liczą na grube pieniądze, a on prawdopodobnie zapisze je córce swojej praczki; mówią też, że ma w biurku cały serwis srebrny, sczerniały od nieużywania, choć żadne śmiertelne oko nie widziało więcej w jego pokojach, prócz jednej łyżki i jednego widelca. Teraz już zupełnie dałem w sprawie Traddlesa za wygraną i utwierdziłem się w przekonaniu, że los jego jest beznadziejny.

Pomimo to, pragnąc gorąco co prędzej zobaczyć kochanego starego druha, pospiesznie przełknąłem obiad, czem z pewnością nie poprawiłem sobie opinji u starszego kelnera, i wybiegłem bocznem wyjściem. Wnet znalazłem się na Holborn Court 2, a wyczytawszy na drzwiach objaśnienie,

że pan Traddles ma swoją kancelarję na najwyższem piętrze, wstąpiłem na schody. Zmurszałe to były, stare schody, jak zauważyłem, słabo oświetlone na każdym podeście olejną małą lampką o woskowym knotku, zamierającym w wieżyczce z brudnego szkła.

Gdy potykając się wstępowałem na schody, wydało mi się, że dolatują mnie miłe odgłosy śmiechu — i to nie śmiechu jakiegoś prokuratora albo adwokata, lub też prokuratorskiego albo adwokackiego dependenta — lecz jakich dwóch albo trzech wesołych panienek. Ponieważ jednak przystając, by przysłuchać się temu, wpakowałem nogę w dziurę, gdzie Czcigodne Towarzystwo prawników z Grays Inn omieszkało wprawić brakującą deskę — i upadłem z pewnym hałasem — więc też, może dlatego, gdy się podniosłem, wszystko ucichło.

Staranniej już teraz przez resztę drogi szukając pomacku drogi, z bijącem sercem stanąłem przed otwartemi zewnętrznemi drzwiami, na których nazwisko mego przyjaciela było wymalowane. Zapukałem. Odezwało się wewnątrz jakieś spieszne popychanie się, jakiś ruch, ale nic więcej. Zapukałem więc powtórnie.

Ukazał się chłopak o bystrej minie, nawpół chłopiec do posyłek a nawpół dependent; był bardzo mocno zadyszany, ale patrzył na mnie z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć: „dowiedź mi tego prawnie!"

„Czy pan Traddles jest u siebie?" zapytałem.

„Tak, proszę pana, ale jest zajęty".

„Chciałbym się z nim zobaczyć".

Przyjrzawszy mi się przez chwilę, bystrooki chłopak zdecydował się mnie wpuścić. Otworzywszy drzwi szerzej w tym celu, wprowadził mnie, najpierw do maleńkiego przedpokoju, a następnie do małej bawialni; tam znalazłem się w obecności starego mojego przyjaciela (także zadyszanego), siedzącego przy stole i pochylonego nad papierami.

„Boże mocny!" zawołał Traddles, podnosząc oczy. „Toż to Copperfield!" i wpadł w moje objęcia, gdzie go przytrzymałem uściskiem.

„Co słychać u ciebie dobrego, mój drogi?"

„Wszystko dobrze, mój kochany, kochany Copperfieldzie i same tylko dobre wiadomości!"

Płakaliśmy z radości, obydwaj.

„Mój drogi chłopcze", mówił Traddles, w podnieceniu wichrząc ręką czupryne, co było zupełnie niepotrzebnym trudem, „mój najdroższy Copperfieldzie, mój dawno niewidziany a najmilej widziany przyjacielu, jak ja się cieszę, że ciebie oglądam! Jakiś ty opalony! Jakiż ja rad jestem! Słowo

daję, nic mnie nigdy w życiu tak nie uradowało, mój ukochany Copperfieldzie, nigdy!"

I ja również nie wiedziałem, jak wyrazić to, co czułem. Zrazu zupełnie nie mogłem mówić.

„Mój drogi chłopcze!" mówił Traddles. „I takim sławnym się stałeś! Mój ty wspaniały Copperfieldzie! Bożeż ty mój — k i e d y żeś ty przybył, s k ą d przybywasz, c o ś robił?"

Nie czekając odpowiedzi na wszystkie te pytania, Traddles, wepchnął mnie w fotel przy kominku, i przez cały czas zapalczywie poprawiał ogień jedną ręką, a drugą szarpał mnie za chustkę na szyi, w jakiemś niesamowitem złudzeniu, że to płaszcz. Nie odkładając na bok pogrzebacza, uściskał mnie teraz znowu a ja uściskałem jego; poczem obaj śmiejąc się i obaj ocierając oczy, siedliśmy i uścisnęliśmy sobie ręce ponad kominkiem.

„I pomyśleć", mówił Traddles, „żeś ty już musiał być tak bliski powrotu, mój kochany stary, a nie byłeś na naszej uroczystości!"

„Na jakiej uroczystości, mój drogi?"

„Boże ty mój! Toś ty mojego ostatniego listu nie otrzymał?" zawołał Traddles, szeroko, po dawnemu otwierając oczy.

„Ależ nie, jeżeli odnosił się do jakiejś uroczystości".

„A więc słuchaj, drogi Copperfieldzie", rzekł Traddles, obiema rękami podczesując w górę włosy, a potem kładąc mi ręce na kolana. „Ożeniłem się!"

„Ożeniłeś się!" zawołałem radośnie.

„Bogu dzięki, tak! Z Zofją... ślub nam dawał wielebny Horacy... tam na wsi, w Devonshire. A wiesz co, mój drogi chłopcze, ona jest tam, za firanką! Patrz!"

Ku mojemu zdumieniu, „najdroższa w świecie dziewczyna", śmiejąc się i rumieniąc wyszła w tej samej chwili ze swojej kryjówki. I, jak musiałem to z miejsca powiedzieć, świat nigdy chyba nie widział weselszej, milszej, zacniejszej, szczęśliwszej i pogodniejszej młodej mężateczki. Ucałowałem ją, jak przystało staremu znajomemu i powinszowałem im z całego serca.

„Bóg świadkiem", rzekł Traddles, „co to za rozkoszne spotkanie! Jakiś ty ogromnie opalony, Copperfieldzie! Miły Boże, jakiż ja jestem szczęśliwy!"

„I ja również", rzekłem.

„A i ja nie mniej!" oświadczyła Zofja, śmiejąc się i rumieniąc.

„Wszyscy jesteśmy w najwyższym stopniu uradowani!" rzekł Traddles. „Nawet dziewczęta się cieszą. Doprawdy, ależ ja o nich zapomniałem!"

„Zapomniałeś?" spytałem.

„O dziewczętach", odpowiedział. „O siostrach Zofji. One bawią u nas. Przyjechały, żeby sobie trochę obejrzeć Londyn. Faktem jest, że gdy... czy to ty upadłeś, wchodząc na schody, Copperfieldzie?"

„Tak, to ja", odpowiedziałem, śmiejąc się.

„A więc... gdy przewróciłeś się na schodach", opowiadał Traddles „ja właśnie dokazywałem wtedy z dziewczętami. Ściślej mówiąc, graliśmy w kotka i w myszkę. Ale że to nie wypada i że nie wyglądałoby zupełnie zawodowo, gdyby je klient zobaczył, więc pouciekały. A teraz... nie wątpię, podsłuchują", dodał, spojrzawszy na drzwi do drugiego pokoju.

„Bardzo mi przykro, że stałem się powodem takiego popłochu", rzekłem, śmiejąc się znowu.

„Słowo daję", odpowiedział Traddles, niesłychanie uradowany, „gdybyś je był widział, jak uciekały, a potem powracały znów, gdyś ty już zapukał, żeby pozbierać grzebienie, które im z włosów powypadały, i jak potem znów wyrywały jak szalone, tobyś tego nic powiedział. Kochanie, możebyś przyprowadziła dziewczęta?"

Zofja poszła, a my usłyszeliśmy, jak ją w przyległym pokoju przyjęto wybuchem śmiechu.

„Jak to ładnie brzmi, prawda, mój drogi Copperfieldzie?" mówił Traddles. „To bardzo miło słuchać tego. To wprost rozjaśnia te stare pokoje. Dla takiego nieszczęsnego kawalera, który całe życie spędził samotnie, ty wiesz, jest to wprost rozkoszne. Zachwycające. Biedaczki, poniosły wielką stratę, tracąc Zofję — która, zapewniam cię, Copperfieldzie, jest i zawsze była najdroższą dziewczyną!... a mnie cieszy nad wszelki wyraz, że widzę je w tak dobrym humorze! Towarzystwo dziewcząt, to rzecz bardzo miła, Copperfieldzie! Nie należy to do zawodu, ale to bardzo miłe".

Uważając, że się lekko zaciął i rozumiejąc, że w poczciwości swego serca przeląkł się, że może tem, co powiedział, sprawił mi przykrość, przytaknąłem mu serdecznie, co go widocznie ucieszyło.

„Bo też prawdę powiedziawszy", mówił dalej, „całe nasze urządzenie gospodarskie nie odpowiada regułom zawodowym, mój drogi. Nawet to, że Zofja tu mieszka, nie odpowiada zwyczajom. Ale nie mamy innego mieszkania. Wyprawiliśmy się na morze w łupince orzecha, ale postanowiliśmy nie dać się. A Zofja to taka nadzwyczajna gosposia! Zdziwiłbyś się, jak ona te dziewczęta odkarmia! Doprawdy, ja sam nawet nie wiem, jak ona to robi".

„Ile tych panienek jest u was?" zapytałem.

„Najstarsza, nasza Piękna, jest tutaj“, opowiadał Traddles poufnym tonem, „Karolina. I Sara jest u nas — ta, o której ci wspomniałem, że coś tam ma w krzyżu, ty wiesz. To się bardzo poprawiło! I te dwie najmłodsze, które Zofja uczyła, są z nami. I Ludwika także“.

„Doprawdy!“ zawołałem.

„Tak“, odpowiedział Traddles. „Otóż całe mieszkanie... to znaczy kancelarja z przyległościami... obejmuje tylko trzy pokoje; ale Zofja umie wszystko urządzić dla dziewcząt poprostu cudownie i sypiają tak wygodnie, że aż miło. Trzy w tym pokoju“, tu wskazał na drzwi, „a dwie w tamtym“.

Obejrzałem się dokoła, szukając wzrokiem, czy nie dojrzę jakiego urządzenia dla samych państwa Traddlesów. Traddles to zrozumiał.

„Co chcesz!“ rzekł; „postanowiliśmy dać sobie radę, jak ci to przed chwilą powiedziałem, więc zaimprowizowaliśmy sobie spanie tu na podłodze, w zeszłym tygodniu. Na strychu jednakże jest mały pokoiczek, bardzo miły pokoiczek, gdy się człowiek raz tam dostanie; Zofja sama wykleiła go papierem, żeby mi zrobić niespodziankę i to jest teraz nasz pokój. Kapitalny kącik cygański. Widok stamtąd pyszny“.

„Tak więc nareszcie jesteś szczęśliwym żonkosiem, mój drogi!“ rzekłem. „Jakżeż ja się z tego cieszę!“

„Dziękuję ci, mój drogi Copperfieldzie“, odparł i znów uścisnęliśmy sobie ręce. „Tak jest, jestem tak szczęśliwy, jak tylko być można. Widzisz, oto twój stary znajomy“, tu triumfalnie pokiwał głową nad wazonem i etażerką, „a tam stoliczek z marmurowym blatem! Reszta umeblowania prosta jest i praktyczna, jak widzisz. A co się tyczy srebra stołowego, Boże miły! nie mamy ani jednej łyżeczki!“

„Wszystko będzie, gdy się na to zarobi“, zagadnąłem wesoło.

„A właśnie. Wszystko będzie, gdy się na to zarobi“, odpowiedział. „Naturalnie, mamy coś w rodzaju łyżeczek, bo przecież mieszamy herbatę. Ale te są z chińskiego srebra“.

„Jak do tego przyjdzie, że się srebro znajdzie, tem jaśniej świecić wam będzie“, rzekłem.

„To właśnie mówimy sobie!“ zawołał Traddles. „Widzisz, mój kochany“, tu wpadł znów w swój ton poufny, „po wygłoszeniu mojej obrony w procesie J i p e s v e r s u s W i g r a l l, co mi bardzo posłużyło w zawodowych kołach, pojechałem do Devonshire i na osobności poważnie rozmówiłem się z wielebnym Horacym. Kładłem nacisk na to, że Zofja... która, wierzaj mi Copperfieldzie, jest najdroższą dziewczyną!...“

„Wierzę ci, że jest nią!“ odpowiedziałem.

„Tak, jest nią, naprawdę!“ przywtórzył. „Ale zdaje mi się, odbiegłem od przedmiotu. Czy wspomniałem co o wielebnym Horacym?“

„Powiedziałeś, że kładłeś nacisk na to, że...“

„Prawda! Na to, że Zofja jest ze mną zaręczoną od dłuższego czasu i że Zofja, jeśli rodzice pozwolą, z największą ochotą weźmie mnie... krótko mówiąc“, tu uśmiechnął się swoim dawnym szczerym uśmiechem, „weźmie mnie na naszej obecnej stopie z chińskiego srebra. No, bardzo dobrze. Zaproponowałem tedy wielebnemu Horacemu — który jest wzorowym duchownym, Copperfieldzie, i powinienby zostać biskupem, a przynajmniej powinienby mieć z czego żyć, bez takiego ściskania się, jak teraz — zaproponowałem mu, żebyśmy, jeżeli zakończę rok z jakiemi dwustu pięćdziesięciu funtami, a będę miał pewne widoki, że następny przyniesie mi tyleż, albo coś więcej, jeżeli przytem zdołam skromnie umeblować takie małe mieszkanko, jak to oto — żebyśmy w takim razie mogli się pobrać z Zofją. Ośmieliłem się przedstawić, że czekaliśmy cierpliwie przez tyle długich lat — i że ten wzgląd, że Zofja jest niezmiernie pożyteczna w domu, nie powinien skłaniać kochających rodziców do zawiązywania jej losu — rozumiesz?“

„Naturalnie, że nie powinien“, odparłem.

„Rad jestem, że tego jesteś zdania, Copperfieldzie“, odpowiedział Traddles, „gdyż, nic nie zarzucając wielebnemu Horacemu, sądzę, że rodzice, bracia i tam dalej, są w takich razach czasem trochę egoistyczni. Dobrze więc! Zapewniłem także, że mojem najszczerszem pragnieniem jest stać się użytecznym rodzinie; i że, jeżeli mnie się powiedzie w życiu, a jemu miałoby się co przytrafić... mówię o wielebnym Horacym...“

„Rozumiem“, wtrąciłem.

„Albo pani Crewler — w takim razie byłbym najszczęśliwszy, mogąc zastąpić ojca dziewczętom. Odpowiedział mi w sposób niezmiernie życzliwy, niezmiernie pochlebny dla moich uczuć i podjął się uzyskać zezwolenie pani Crewler. Straszna rzecz, co oni z nią przejść musieli. Poszło jej to z nóg w piersi, a potem do głowy...“

„Co jej tam poszło?“ spytałem.

„Zmartwienie“, odpowiedział Traddles z poważną miną. „Jej uczucia wogóle. Jak już wspomniałem przy innej sposobności, jest to bardzo niezwykła kobieta, ale straciła władzę w nogach. Gdy tylko coś zajdzie, co ją zirytuje, zaraz jej to idzie w nogi; ale w tym wypadku poszło jej to do piersi, a potem do głowy i, jednem słowem, opanowało cały organizm w przerażający sposób. Wyprowadzili ją z tego w końcu nieustannemi czułemi staraniami, no i odbył się nasz ślub... wczoraj minęło sześć tygodni. Nie masz pojęcia, jakim

ła się czułem potworem, Copperfieldzie, gdy musiałem na to patrzeć, jak cała rodzina płacze i mdleje na wszystkie strony! Pani Crewler nie mogła na mnie patrzeć, gdy mieliśmy wyjeżdżać... nie mogła mi przebaczyć, że jej zabieram dziecko — ale to dobra kobieta, już mi przebaczyła do tego czasu. Miałem od niej przemiły list, nie dalej, jak dziś rano.

„Krótko mówiąc, mój drogi przyjacielu", rzekłem, „czujesz się tak szczęśliwym, jak na to zasługujesz!"

„Och, to tylko twoje przyjacielskie uprzedzenie!" roześmiał się Traddles. „Ale rzeczywiście, można mi pozazdrościć. Pracuję ciężko, studjuję prawo zażarcie. Wstaję o piątej rano i nic mi to nie szkodzi. Ukrywam dziewczęta za dnia, a bawię się z niemi wieczorem. I wierzaj, wprost żal mi, że już w czwartek wyjeżdżają. Ale", tu Traddles przerwał swoje zwierzenia i dodał głośno: „oto są dziewczęta! Pan Copperfield — panna Crewler — panna Sara — panna Ludwika — Małgosia i Lusia!"

Był to istny bukiet róż, tak zdrowo wyglądały i świeżo. Wszystkie były ładne, a panna Karolina nawet bardzo ładna; jednakże w miłej powierzchowności Zofji był taki wdzięk serdeczności, pogody, jakiś taki urok bóstwa domowego ogniska, że lepsze to było od największej urody i dawało mi pewność, że przyjaciel mój dobry zrobił wybór. Siedliśmy wszyscy dokoła kominka, a tymczasem bystrooki chłopak, który, jak się domyśliłem, zadyszał się pospiesznie rozkładając papiery, posprzątał je znów i wniósł przybory do herbaty. Zrobiwszy to, odszedł na noc, zatrzaskując drzwi zewnętrzne z hukiem. Pani Traddles, z której oczu zacnej gosposi promieniało zadowolenie i spokój, zaparzywszy herbatę, siadła w kąciku przy kominku i zaczęła piec grzanki. Widziała się z Agnieszką, opowiadała mi, przypiekając je. „Tom" zawiózł ją na poślubną wycieczkę do Kent i tam także odwiedzili moją ciotkę; obydwie, tak ciotka, jak i Agnieszka, miały się dobrze i o niczem nie mówiły, tylko o mnie. „Tom" na chwilę nie przestawał o mnie myśleć — zapewniała z przekonaniem — przez cały czas mej nieobecności. „Tom" był we wszystkiem powagą. „Tom" był widocznie bożyszczem jej życia, niewzruszonem na swoim piedestale; wierzyła w niego bezwzględnie i składała mu hołd całą wiernością swego serca, niechby się tam co chce działo.

Pełne szacunku względy, jakie oboje okazywali Pięknej, bardzo mi się podobały. Nie twierdzę, żebym to uważał za rozsądne, ale wydało mi się to bardzo ładne i tak wypływające z ich charakteru! Jeżeli Traddles kiedy pożałował na chwilę, że jeszcze nie zarobił na srebrne łyżeczki, to z pewnością wtedy, gdy podawał Pięknej herbatę. Jeżeli jego łagodna małżonka miałaby kiedy zdobyć się względem kogo

na poczucie swej wyższości, to chyba na tej zasadzie, że Piękna była jej siostrą. Pewne drobne wskazówki pozwalały się domyślać, że Piękna musi być nieco rozpieszczona i kapryśna; oni oboje jednak traktowali to jako jej przyrodzone prawo, jej naturalną właściwość. Gdyby się była urodziła królową — matką pszczół, a oni robotnicami, nie mogliby większego odczuwać zadowolenia. Zachwycało mnie to jednak, że tak potrafili o sobie zapominać. To, że byli tacy dumni z tych dziewcząt, że tak się umieli poddawać wszystkim ich zachciankom, przecież to tylko jak najmilej świadczyło o własnej ich wartości. Do Traddlesa stale mówiło się „Tomku, moje kochanie" i proszono go przytem, to żeby coś przyniósł, to żeby coś gdzieś zaniósł, to żeby czegoś poszukał, to żeby coś wziął, to żeby po coś sięgnął, to żeby coś postawił; i tak molestowały go i tak do niego przemawiały szwagierki, jedna przez drugą, przynajmniej dwanaście razy na godzinę. I niczego też nie potrafiły zrobić bez Zofji. Którejś tam opadły włosy i nikt ich nie umiał upiąć, tylko Zofja. Któraś zapomniała melodji jakiejś piosenki, i tylko Zofja umiała zanucić ją i trafnie poddać. Któraś chciała sobie przypomnieć nazwę jakiejś miejscowości w Devonshire i tylko Zofja ją znała. Coś trzeba było napisać do domu i jednej Zofji ufać było można, że napisze nazajutrz rano jeszcze przed śniadaniem. Któraś pomyliła się w robocie na drutach i tylko Zofja umiała błąd naprawić. Te młode osoby były wyłącznemi paniami w domu, a Traddles i Zofja posługiwali im. Nie umiem sobie wyobrazić, ile dzieci swego czasu Zofja odchowała; widocznie jednak słynęła z tego, że zna wszelakie piosenki dziecinne i na zażądanie odśpiewała ich z tuzin najczystszym głosikiem, jedną po drugiej (każda siostra domagała się czego innego, a Piękna zwykle rozstrzygała w końcu). Byłem poprostu oczarowany. A najlepsze ze wszystkiego było to, że przy wszystkich tych wymaganiach, wszystkie siostry z wielką czułością i szacunkiem odnosiły się tak do Zofji jak do Traddlesa. Doprawdy, gdy się pożegnałem, a Traddles wychodził ze mną, by mnie odprowadzić do kawiarni, pomyślałem, żem jeszcze nigdy nie widział głowy z upartą czy jakąś tam inną czupryną, obsypanej takim gradem pocałunków.

Była to scena, o której nie mogłem przestać myśleć z przyjemnością długo jeszcze po powrocie i po pożegnaniu się z Traddlesem. Gdybym był ujrzał tysiąc róż kwitnących w kancelarji na górnem piętrze tego zawiędłego Grays Inn, nie byłoby to tak lokalu tego rozjaśniło. Myśl o tych wiejskich panienkach z Devonshire wśród suchych sklepikarzy prawniczych materjałów piśmiennych i biur adwokackich — o herbacie, grzankach i dziecinnych piosenkach w surowej atmo-

stefze pumexów, pergaminów, laku, zakurzonych pieczątek opłatkowych, kałamarzy, referatów prawnych, wyroków i rachunków kosztów sądowych — wydawała mi się taką miłą bajką, jak gdybym śnił, że cała sławetna familja sułtana wpisana została na listę adwokatów i sprowadziła ze sobą gadającego ptaka, śpiewające drzewo i złotą wodę do czcigodnego kolegjum Grays Inn. Jak się to stało, nie wiem, ale przekonałem się, że powiedziawszy Traddlesowi dobranoc, wróciłem do kawiarni o wiele mniej złowróżbnie nastrojony co do jego przyszłości. Zacząłem wierzyć, że przecież da sobie radę wbrew licznym kongregacjom starszych kelnerów Anglji.

Przysunąłem sobie krzesło do jednego z płonących ognisk w kawiarni, żeby móc sobie spokojnie rozmyślać o moim przyjacielu; stopniowo jednak od dumań o jego szczęściu przeszedłem do szukania obrazków w płonących węglach i zadumałem się — gdy one pękały i zmieniały kształty — nad wielkiemi zmianami i stratami, jakie mi życie przyniosło. Od trzech lat, od wyjazdu z Anglji, nie widziałem węglowego ognia, choć nieraz wpatrywałem się w płonące na kominku drzewo — i widząc, jak kruszy się na biały popiół i łączy się z lotnym pokładem, nagromadzonym na ognisku, w smutku moim dopatrywałem w tem obrazu mych zamarłych nadziei.

Teraz umiałem już myśleć o przeszłości poważnie, lecz bez goryczy, a w przyszłość patrzeć odważnie. Dom rodzinny, w najlepszem słowa tego znaczeniu, już dla mnie nie istniał. Tę, w której mogłem był wzbudzić droższe uczucie, nauczyłem kochać mnie miłością siostry. Ona wyjdzie zamąż i inni będą mieć prawo do jej uczuć; kochając ich zaś, nigdy się nie dowie, jaka w sercu mojem urosła dla niej miłość. I słusznie zupełnie powinienem pokutować za to, że dałem się ponieść gwałtownemu, nieopanowanemu uczuciu. To, co teraz zbieram, sam przecież posiałem.

I gdy zadawałem sobie pytanie, czy też w istocie opanowałem serce swe na tyle, żeby móc to odważnie znieść i spokojnie w domu jej zająć takie miejsce, jakie ona zajęła w moim — nagle oczy moje spoczęły na twarzy, która jak gdyby wykwitła z tego ognia, gdym patrząc weń snuł obrazy odległych wspomnień.

Mały pan Chillip, doktór, względem którego zobowiązania moje sięgają pierwszego rozdziału niniejszego opowiadania, siedział w cieniu, czytając gazetę, w przeciwległym kącie sali. Sporo mu lat przybyło od owego czasu; że jednak był to łagodny, miękki, spokojny człowiek, więc czas po nim przeszedł tak gładko, że wydało mi się, iż nieinaczej

wyglądał, jak mógł wyglądać, gdy siedział w naszym saloniku i oczekiwał mego przyjścia na świat.

Pan Chillip opuścił Blunderstone ze sześć czy siedem lat temu i odtąd nigdy go nie widziałem. Siedział spokojnie, przeglądając gazetę, z głową przychyloną na bok i szklanką grzanego wina na stoliku. Był tak niezmiernie uprzejmy w obejściu, że zdawołoby się, iż gazetę nawet gotów jest przepraszać za to, że ośmiela się ją czytać.

Podszedłem do niego i zagadnąłem go: „Jak się pan miewa, panie Chillip?“

Bardzo go zalterowała ta niespodziana zaczepka ze strony kogoś obcego i odpowiedział z właściwą sobie powolnością: „Dziękuję panu, bardzo pan łaskaw. Dziękuję panu. A p a n jak się czuje?“

„Nie przypomina pan mnie sobie?“ zapytałem.

„No tak, proszę pana“, odrzekł pan Chillip, uśmiechając się bardzo pokornie. „Mam takie jakieś wrażenie, że coś w pańskiej twarzy nie jest mi obcem, panie, ale doprawdy, nazwiska pańskiego jakoś utrafić nie mogę“.

„A jednak znał pan je jeszcze długo przedtem, zanim ja sam je znałem!“ odpowiedziałem.

„Czy doprawdy?“ rzekł pan Chillip. „Czyżby to być mogło, że miałem zaszczyt nieść pomoc wtedy, gdy...?“

„Tak jest!“ odpowiedziałem.

„Ach mój Boże! Ale niewątpliwie musiał się pan bardzo zmienić od owego czasu?“

„Prawdopodobnie“, odpowiedziałem.

„Więc proszę pana.., proszę mi wybaczyć, że muszę pana prosić o łaskawe wymienienie swego nazwiska!“

Gdy mu je powiedziałem, był naprawdę wzruszony. Naprawdę uścisnął mi rękę — co z jego strony było aktem wprost gwałtownym, zazwyczaj bowiem wysuwał tylko dwa palce na dwa cale przed biurko i okazywał największe zaniepokojenie, gdy kto manipulował niemi. Nawet teraz wsunął rękę w kieszeń surduta, skoro tylko zdołał ją uwolnić i widocznie odetchnął, że ma ją bezpiecznie z powrotem.

„Mój Boże, panie!“ mówił pan Chillip, przyglądając mi się z głową przechyloną na bok. „Więc to pan Copperfield, tak? Otóż panie łaskawy, myślę, że byłbym pana jednak poznał, gdybym był sobie pozwolił przyjrzeć się panu dokładniej. Jest wielkie podobieństwo pomiędzy panem a biednym pańskim ojcem“.

„Niestety, ja nigdy ojca mego nie widziałem“, zauważyłem.

„To prawda, drogi panie“, uspakajającym tonem odrzekł pan Chillip. „I bardzo to też było pożałowania godne, pod każdym względem! Niech pan nie sądzi“, mówił dalej, zwolna

potrząsając główką, „że tam do nas, w nasze strony, nie doszła wieść o pańskiej sławie. Musi tu być duże podniecenie" tu pan Chillip palcem trącił się w czoło. „Jest to zapewne bardzo męczące zajęcie?"

„W których stronach mieszka pan obecnie?" zapytałem, przysiadając się do niego.

„Osiadłem w odległości paru mil od Bury St. Edmund", odpowiedział. „Ponieważ pani Chillip odziedziczyła w tamtych stronach zapisaną jej przez ojca małą posiadłość, więc zakupiłem tam praktykę i może miło panu będzie usłyszeć, że dobrze mi się powodzi. Córka moja wyrasta na dużą dziewczynę", tu znowu pan Chillip potrząsnął główką. „Dopiero w przeszłym tygodniu matka spuściła jej dwie zakładki przy sukience. Tak to czas płynie, widzi pan!"

Widząc, że przy tej uwadze mały człowieczek przykłada do ust pustą szklankę, zaproponowałem mu, żeby ją powtórnie napełnić, a ja mu z moją dotrzymam kompanji.

„Widzi pan", odpowiedział powoli, po swojemu, „ja nie jestem przyzwyczaojny pić tak wiele, ale nie mogę sobie odmówić przyjemności porozmawiania z panem. Zdaje mi się, że to dopiero wczoraj miałem zaszczyt pielęgnowania pana w odrze. Przebył ją pan ślicznie, panie!"

Podziękowałem mu za komplement i zadysponowałem grzane wino, które wnet podano.

„Niezwykła feta!" zauważył pan Chillip, mieszając w szklance łyżeczką, „ale nie mogę się oprzeć przy tak nadzwyczajnej sposobności. Pan nie ma rodziny, drogi panie?"

Potrząsnąłem głową.

„Słyszałem, że pan owdowiał, jakiś czas temu", mówił pan Chillip. „Słyszałem to od siostry pańskiego ojczyma. To zdecydowany charakter, co?"

„O tak", odpowiedziałem, „bardzo zdecydowany. Gdzie ją pan widział, panie Chillip?"

„To pan tego nie wie" odparł pan Chillip z najsłodszym uśmiechem, „że pański ojczym jest znowu moim sąsiadem?"

„Nie wiedziałem", odrzekłem.

„A jest nim istotnie! Ożenił się z panną z tamtych stron, posiadającą tam wcale niezły mająteczek. Biedaczka... No, a ta praca mózgowa, drogi panie? Czy pan nie uważa, że to pana męczy?" pan Chillip, mówiąc to, patrzył na mnie, jak przyglądający się wróbelek.

Gestem ręki załatwiłem tę kwestję i powróciłem do Murdstone'ów.

„Wiedziałem, że on ożenił się powtórnie. Czy pan leczy w tej rodzinie?"

„Niestety. Owszem byłem wzywany", rzekł. „Silny fre-

nologiczny przerost organu stanowczości u pana Murdstone i jego siostry, proszę pana".

Odpowiedziałem tak wymownem spojrzeniem, że ośmielony tem — oraz winem — pan Chillip, potrząsnąwszy kilka razy główką, zawołał w zamyśleniu: „Ach, mój Boże! Pamiętamy dawne czasy, panie Copperfield!"

„Więc brat i siostra nie zmienili się od tych czasów?" zapytałem.

„Widzi pan", odpowiedział pan Chillip, „lekarz, bywając tak dużo w rodzinach, powinien oczy i uszy kierować jedynie na swoje zawodowe sprawy. A jednak muszę powiedzieć, że oni są bardzo surowi, panie: tak w sprawach tego, jak przyszłego życia".

„Już tam w przyszłem nikt się o ich sąd pytać nie będzie", odpowiedziałem; „ale co oni robią w tem życiu?"

Pan Chillip potrząsnął głową, zamieszał swoje wino i popił.

„Urocza to była kobieta!" westchnął żałośnie.

„Obecna pani Murdstone?"

„Urocza kobieta, doprawdy", powtórzył pan Chillip; „taka miła, w istocie, że trudno o milszą! Pani Chillip twierdzi, że od czasu zamążpójścia stłukł się w niej duch i że prawie popadła w melancholję. A kobiety", dodał lękliwie, „bywają bardzo spostrzegawcze, panie".

„Przypuszczam, że chcieli ją ujarzmić i nałamać biedaczkę do swego obrzydliwego systemu!" rzekłem. „I tak ją zgnębili".

„Widzi pan, z początku zachodziły tam gwałtowne sprzeczki, mogę pana zapewnić", opowiadał pan Chillip; „ale obecnie cień z niej pozostał. Proszę nie sądzić, że za daleko idę, jeżeli powiem, że odkąd siostra zjawiła się do pomocy, oni oboje doprowadzili ją prawie do ogłupienia".

Odpowiedziałem, że łatwo mi w to uwierzyć.

„Nie waham się powiedzieć", mówił dalej pan Chillip, pokrzepiwszy się nowym łykiem, „mówiąc między nami, proszę pana, że matka jej umarła z tego... i że tyranja, posępny nastrój i dręczenie doprowadziły prawie do zidjocenia panią Murdstone. Żywa to była panienka, panie, przed ślubem, ale ponurość ich i surowość rozstroiły ją. Oni teraz koło niej chodzą nie jak mąż i bratowa, ale jak dwoje dozorców więziennych. Tak to określiła pani Chillip, nie dalej jak tydzień temu. A ja pana zapewniam, panie, że kobiety bardzo są spostrzegawcze. Pani Chillip jest też b a r d z o spostrzegawcza!"

„Czy on zawsze jeszcze w ten swój posępny sposób twierdzi, że jest religijny... choć aż wstyd stosować to pojęcie do niego?" zapytałem.

„Uprzedza pan jedną z najbystrzejszych uwag pani Chillip", odparł doktór, którego oczy aż zaczerwieniły się od niezwykłego pofolgowania sobie w alkoholu. „Pani Chillip", mówił dalej jak najspokojniej i najpowolniej, „wprost mnie zelekryzowała dowodząc, że pan Murdstone na siebie wskazuje jako na obraz i podobieństwo boskie. Byłby mnie mógł kto przewrócić, trąciwszy piórem w plecy, tak zdębiałem, gdy mi to pani Chillip powiedziała. A kobiety bardzo bystro umieją spostrzegać, panie!"

„Bo mają intuicję!" rzekłem, czem go niezmiernie ucieszyłem.

„Bardzo się cieszę, że pan tak zdanie moje popiera", odparł. „Ja bo nie często odważam się wypowiadać inną opinję, jak lekarską, wierzaj mi pan. Pan Murdstone wygłasza niekiedy publiczne przemówienia, a mówią... jednem słowem, panie, pani Chillip mówi, że im gorszy tyran stał się z niego w ostatnich czasach, tem mściwszą i posępniejszą staje się jego doktryna".

„Sądzę, że pani Chillip ma najzupełniejszą słuszność".

„Pani Chillip idzie jeszcze dalej i twierdzi", ciągnął dalej łagodny człowieczek, mocno ośmielony, „że to, co tacy ludzie niewłaściwie nazywają religją, jest tylko upustem dla ich złości i arogancji. A wie pan, co muszę powiedzieć", mówił dalej, przechylając głowę, „że ja nie znajduję dla pana Murdstone i jego siostry poparcia w Nowym Testamencie!"

„I ja go nigdy nie znalazłem!" odparłem.

„Tymczasem, panie", mówił dalej, „są oni bardzo nielubiani; a że bardzo są skorzy każdego, kto im przeciwny, skazywać na wieczne potępienie, więc też w naszej okolicy wielu mamy takich skazańców! Jednakże, jak powiada pani Chillip, doświadczają oni ciągłej kary, gdyż zamknięci są w sobie i karmić się muszą uczuciami własnych serc, a te ich własne serca, to bardzo gorzki pokarm. A teraz, panie, co do tego mózgu pańskiego, jeżeli pan wybaczy, że do tego powrócę. Czy pan nie naraża go na zbytnie podniecenie?"

Nie trudno mi przyszło, wobec podniecenia własnego mózgu pana Chillipa pod wpływem grzanego wina, odwrócić uwagę jego od tego tematu, a skierować ją na jego własne sprawy, o których przez następne pół godziny szeroko się rozgadał: między innemi objaśniał mnie, że znajduje się tutaj w celu złożenia przed komisją dla umysłowo chorych opinji lekarskiej co do stanu umysłu pacjenta, który popadł w obłąkanie skutkiem nadmiernego picia.

„I wierzaj mi pan", dowodził, „w takich wypadkach bywam niezmiernie zdenerwowany. Nie mógłbym znieść, gdyby na mnie ktoś, jak to mówią, ostro natarł. Toby mnie zupełnie wytrąciło z równowagi. Wie pan, że potrwało to jakiś

czas, zanim opamiętałem się po postępku tej strasznej osoby w ową noc pańskiego przyjścia na świat, panie Copperfield?"

Powiedziałem mu, że właśnie nazajutrz rano jadę do mojej ciotki, tego strasznego smoka owej nocy; i że jest to niewiasta najczulszego serca, najlepsza, o czem samby się przekonał, gdyby ją lepiej poznał. Zdawało się, iż przeraziła go sama myśl o tem, że mógłby ją jeszcze kiedy zobaczyć. Odpowiedział z bladym uśmieszkiem: „Czy doprawdy taka jest ta pani? Czy rzeczywiście?" i prawie natychmiast zawołał o świecę i poszedł do łóżka, jak gdyby tam tylko mógł znaleźć bezpieczne schronienie. Nie chwiał się, coprawda, na nogach pod wpływem wina; spokojny jednak pulsik jego musiał bić o dwa, trzy uderzenia prędzej na minutę, niż przez cały ten czas od owej ważnej nocy, gdy ciotkę moją spotkał zawód i gdy uderzyła w niego kapeluszem.

Bardzo zmęczony, i ja poszedłem spać o północy; następny dzień spędziłem w karetce pocztowej do Dover, zdrów i cały wpadłem do bawialni mojej ciotki, gdy siedziała przy herbacie (nosiła teraz okulary), i zostałem przyjęty przez nią, pana Dicka i kochaną Peggotty, obecnie w roli gospodyni ciotki, z otwartemi ramionami i łzami radości. Ubawiło ciotkę, gdy już zaczęliśmy spokojnie rozmawiać, opowiadanie moje o spotkaniu z doktorem Chillip i o tem, że zachował o niej takie straszne wspomnienie; obydwie też, tak ona jak i Peggotty, rozwodziły się szeroko nad drugim mężem mojej biednej matki i tą „morderczynią", jego siostrą — której pod żadną karą ciotka moja, zdaje się, nie byłaby nazwała żadnem chrzestnem imieniem, ani imieniem własnem, ani wogóle inaczej.

Rozdział sześćdziesiąty.

Agnieszka.

Zostawszy sam na sam z ciotką, rozmawialiśmy do późnej nocy. Mówiliśmy o tem, że nasi emigranci pisują zawsze wesoło i z dobrą myślą, że pan Micawber istotnie zwrócił kilka drobnych sum na rachunek tych „zobowiązań pieniężnych", co do których tak się po kupiecku zachował na wyjezdnem, że Żaneta, powróciwszy do służby u mojej ciotki, gdy ciotka znów się przeniosła do Dover, dokonała ostatecznego wyrzeczenia się rodu męskiego przez zamążpójście za zamożnego oberżystę, że ciotka ostatecznie przypieczętowała tę wielką zasadę, opiekując się panną młodą i uświetniając uroczystość ślubną swoją obecnością; mówiło się o tem wszystkiem, co zresztą mniej albo więcej było mi wiadome z listów. I pan Dick, jak zwykle, nie został za-

pomniany. Ciotka opowiedziała mi, że bezustannie zajmuje się on przepisywaniem wszystkiego, co mu się pod rękę nawinie i że przy pomocy tego rzekomego zajęcia utrzymuje króla Karola Pierwszego w należytym dystansie; że jest to jedną z głównych radości jej życia i że prawdziwa to nagroda widzieć, jak jest wolny i szczęśliwy, a nie zamartwia się w ciasnem zamknięciu. Wreszcie (jako nowy ogólny wniosek), obwieściła mi, że ona jedna wie tylko w całej pełni, czem jest i co wart ten człowiek.

„A kiedyż ty Trotku", zapytała ciotka, głaszcząc mnie po ręku, gdy po dawnemu siedzieliśmy przy kominku, „kiedyż masz zamiar przejechać do Canterbury?"

„Nająłbym konia i pojechałbym tam jutro rano, ciociu, ale możeby ciocia chciała pojechać ze mną?"

„Nie!" odpowiedziała ciotka po swojemu, krótko i stanowczo. „Ja się z miejsca nie ruszę!"

„W takim razie ja pojadę", rzekłem. „Nie byłbym mógł dzisiaj przejechać przez Canterbury nie zatrzymując się, gdybym podążał do kogo innego, nie do cioci".

Sprawiło jej to przyjemność, odpowiedziała jednak: „Ej, co tam, Trotku! M o j e stare kości byłyby poczekały do jutra!" i delikatnie znów pogłaskała moją rękę, gdy siedziałem, zadumany patrząc w ogień.

Zadumany, gdy bowiem znów się tu znalazłem i to tak blisko Agnieszki, musiały odżyć te żale, które mnie od tak dawna nurtowały. Mogły to być złagodzone żale, uczące mnie tego, czego się nie nauczyłem, gdy całe moje młode życie leżało przede mną, ale niemniej żale. „O Trotku" — zdawało mi się, że słyszę znów słowa ciotki, ale teraz lepiej je rozumiałem —„ślepy, ślepy, ślepy!"

Milczeliśmy przez kilka minut oboje. Podniósłszy oczy zauważyłem, że ciotka bacznie mi się przygląda. Może odgadła bieg moich myśli, gdyż zdawało mi się, łatwo było go teraz śledzić, choć niegdyś był tak kapryśny.

„Zastaniesz ojca jej, siwowłosego już starca", opowiadała ciotka, „choć pod każdym względem lepszym jest człowiekiem... człowiekiem odkupionym. I przekonasz się też, że przestał mierzyć wszelkie ludzkie sprawy, radości, smutki tą swoją nędzną małą miarką calową. Wierzaj mi, dziecko, takie rzeczy muszą bardzo zmaleć i skurczyć się, zanim się dadzą mierzyć w t e n sosób".

„To prawda, ciociu", odpowiedziałem.

„A ją zastaniesz", mówiła dalej ciotka, „równie dobrą, równie piękną, równie poważną, równie bezinteresowną, jak była zawsze. Godną jest, Trotku, najwyższych pochwał".

Najwyższych pochwał była godną — największych wyrzutów ja byłem godzien. O, jakżeż ja mogłem tak bardzo się zabłąkać!

„Jeżeli te młode dziewczęta, któremi się otacza, wychowa na swoje podobieństwo", mówiła ciotka moja z takiem przejęciem, że aż łzy napełniły jej oczy, „Bóg świadkiem, że dobrze użyje swego życia! Użyteczna i zadowolona, jak to owego dnia powiedziała! Czyż mogłaby nie być użyteczną i zadowoloną!"

„Czy Agnieszka ma jakiego..." pomyślałem głośno.

„Co? Jak? Jakiego...?" szybko podchwyciła ciotka.

„Jakiego starającego się?" dokończyłem.

„Dwudziestu!" zawołała ciotka z jakiemś oburzeniem i dumą. „Mogła była ze dwadzieścia razy wyjść zamąż, mój drogi, od czasu gdyś ty wyjechał!"

„Niewątpliwie", odpowiedziałem, „niewątpliwie. Ale czy kocha ją ktoś taki, coby był jej godzien? Agnieszka innego nie potrafiłaby pokochać".

Ciotka zamyśliła się przez chwilę, oparłszy brodę na ręku. Poczem zwolna, podnosząc oczy ku moim, powiedziała: „Podejrzewam, że Agnieszka kogoś kocha, Trotku".

„Czy z wzajemnością?" zapytałem.

„Trotku", odpowiedziała ciotka moja poważnie, „tego tobie powiedzieć nie umiem. Nie mam nawet prawa ci powiedzieć tego, co powiedziałam. Ona mi się nigdy nie zwierzała, ale ja ją o to podejrzewam".

Patrzyła na mnie tak uważnie i tak niespokojnie (widziałem nawet, że drżała), że poczułem teraz wyraźniej jeszcze, iż odgadła bieg moich myśli. Przywołałem na pamięć wszystko, co postanowiłem przez wszystkie te dni i noce wśród wszystkich walk w głębi serca.

„Jeżeliby tak miało być", zacząłem, „a mam nadzieję, że tak jest..."

„Nie wiem, czy tak jest", prawie szorstko przerwała ciotka. „Nie kieruj się mojemi przypuszczeniami. Zachowaj je przy sobie. Są one może bardzo mało znaczące. Nie mam prawa mówić".

„Jeżeliby tak miało być", powtórzyłem. „Agnieszka mi to sama w swoim czasie powie. Siostra, której zwierzałem się z tak wielu rzeczy, nie odmówi mi swego zaufania".

Ciotka odwróciła oczy od moich oczu tak powoli, jak je ku mnie była skierowała i w zamyśleniu nakryła je ręką. Po chwili drugą rękę oparła mi na ramieniu i tak siedzieliśmy oboje, zapatrzeni w przeszłość, nie mówiąc już ani słowa, aż rozeszliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz wczesnym rankiem pojechałem konno do miasta, gdzie spędziłem moje szkolne czasy. Nie powiem, żebym się czuł zupełnie szczęśliwym w nadziei, że odnoszę zwy-

cięstwo nad samym sobą, a nawet w nadziei, że niebawem ujrzę jej twarz.

Dobrze zapamiętaną drogę przebyłem prędko i wnet znalazłem się na tych cichych ulicach, gdzie każdy kamień był mi jak książka z mojego dzieciństwa. Poszedłem pieszo do starego domu i cofnąłem się, gdyż serce, zbyt przepełnione, nie pozwalało mi wejść. Wróciłem znów, a zajrzawszy w przejściu do niskiego okna pokoju w wieżyczce, gdzie ongiś pracował Uriasz Heep, a potem pan Micawber zobaczyłem, że była tam obecnie mała bawialnia, ale biura nie było. Skądinąd stateczny stary dom co do czystości i porządku był zupełnie taki sam, jak kiedym go pierwszy raz zobaczył. Poprosiłem nową służącą, która mnie wpuściła, by zameldowała pannie Wickfield pana, który przyszedł złożyć wizytę z polecenia znajomego, przebywającego zagranicą, poczem zaprowadzono mnie przez te poważne, tak mi dobrze znane stare schody do niezmienionego w niczem salonu. Książki, które razem czytywaliśmy z Agnieszką, leżały na półkach, a pulpit, przy którym tyle wieczorów przesiedziałem nad lekcjami, stał przy tym samym rogu stołu. Wszystkie małe zmiany, które tu się wśliznęły za czasów Heepów, zostały usunięte. Wszystko było znów takie, jak za dawnych, dobrych czasów.

Stanąłem przy oknie i poprzez staroświecką ulicę patrzyłem na domy naprzeciw, przypominając sobie, jak śledziłem je w dżdżyste popołudnie, gdy pierwszym razem przybyłem tutaj, jak lubiłem snuć przypuszczenia co do ludzi, którzy się ukazywali w oknach, jak wodziłem za nimi wzrokiem, gdy wchodzili lub schodzili po schodach, podczas gdy kobiety stukały drewniakami po chodnikach, a zimny deszcz padał gęstemi strugami i wylewał się, ot, z tamtej rynny i spływał na ulicę. Odżyło też we mnie uczucie, z jakiem patrzyłem na włóczęgów, idących przez miasto w takie dżdżyste dni o zmroku, z węzełkami na kiju przewieszonemi przez plecy — odżyło świeżo, przeniknięte, jak wtedy, wonią wilgotnej ziemi, mokrych liści i siana, i wydało mi się, że czuję ten wiatr, co mnie owiewał we własnej mej mozolnej wędrówce.

Ktoś otworzył małe drzwi w szalowanej ścianie pokoju; drgnąłem i odwróciłem się. Agnieszka szła ku mnie; piękne jej jasne oczy spotkały się z mojemi. Stanęła i ręką przycisnęła serce, ja zaś pochwyciłem ją w objęcia.

„Agnieszko! Droga! Zbyt nagle ci się ukazałem!"

„Nie! nie! Ja się tak cieszę, że cię widzę, Trotwoodzie!"

„Droga Agnieszko, jakżem ja szczęśliwy, że znów ciebie widzę!"

Przycisnąłem ją do serca i przez krótką chwilę milczeliśmy oboje. W chwilę później siedliśmy obok siebie, a anielska twarz jej zwracała się ku mnie z tem radosnem witaniem, o jakiem marzyłem we śnie i na jawie przez lata całe.

Taka była szczera, taka była piękna, taka dobra — taką wdzięczność czułem dla niej, taka mi była droga, że dla moich uczuć słów znaleźć nie mogłem. Chciałem jej dziękować, chciałem powiedzieć (co tak często w listach mówiłem), jakim był jej wpływ na mnie — ale daremne były moje wysiłki. Niemą była moja miłość i radość była niemą.

Własnym swoim słodkim spokojem uciszyła moje wzburzenie; naprowadziła mnie na czasy naszego rozstania, mówiła mi o Emilce, którą wiele razy odwiedzała potajemnie, mówiła do mnie czule o grobie Dory. Z nieomylnym instynktem szlachetnego swego serca dotykała strun pamięci mej tak delikatnie i tak harmonijnie, że żadna z nich nie zabrzmiała we mnie ostrym rozdźwiękiem; mogłem słuchać tej smętnej, dalekiej muzyki, nie pragnąc uniknąć tego, co budziła. Jakżeż mogło być inaczej, kiedy wszystko to przenikała sobą ona sama, najmilsza, dobry anioł mojego życia?

„A ty, Agnieszko", zagadnąłem po pewnym czasie. „Opowiedz mi coś o sobie. Prawie nic nie opowiedziałaś mi o twojem własnem życiu przez cały ten długi przeciąg czasu!"

„Cóż ci mam opowiedzieć?" odrzekła z promiennym swoim uśmiechem. „Papa ma się dobrze. Widzisz nas tutaj, spokojnych w własnym naszym domu, troski nasze zażegnane, nasz dom powrócony nam — a wiedząc to, drogi Trotwoodzie, wiesz wszystko!"

„Czy wszystko, Agnieszko?"

Spojrzała na mnie z lekkiem zdziwieniem na mieniącej się twarzy.

„Czy nic innego nie masz mi do powiedzenia, siostro?"

Rumieniec, który przed chwilą zeszedł, powrócił na jej twarz, lecz niebawem znów zbladła. Uśmiechnęła się; wydało mi się, że uśmiech ten był spokojny, ale smutny. Potrząsnęła głową.

Starałem się naprowadzić ją na to, o czem ciotka moja napomknęła, gdyż, mimo że zwierzenie to sprawiłoby mi dojmujący ból, chciałem przecież opanować własne serce i spełnić swój względem niej obowiązek. Widząc jednakże, że jest zmieszana, przestałem.

„Wiele masz do roboty, droga Agnieszko?" spytałem.

„Z moją szkołą?" odpowiedziała, podnosząc oczy, pogodna już i opanowana.

„Tak. To pracowite zajęcie, nieprawdaż?"

„Ta praca jest tak miła", odrzekła, „że nie powinnabym jej właściwie nazywać pracą".

„Tobie nic, co jest dobre, nie sprawia trudności", rzekłem.

I znów zarumieniła się i pobladła; i znów, gdy pochyliła głowę, ujrzałem na jej twarzy ten sam smutny uśmiech.

„Naturalnie poczekasz i zobaczysz się z papą", rzekła pogodnie, „i spędzisz cały dzień z nami? A może przespałbyś się w twoim dawnym pokoju? My go zawsze nazywamy twoim pokojem".

Nie mogłem tego uczynić, gdyż przyrzekłem ciotce powrócić wieczorem, ale z radością przyrzekłem spędzić u nich cały dzień.

„Będę musiała zniknąć na chwilę", rzekła Agnieszka, „ale tu są stare książki, Trotwoodzie, i stare nuty także!"

„Nawet stare kwiaty są tutaj, widzę", rozglądając się, „a przynajmniej te same, co dawniej, gatunki".

„Sprawiało mi to przyjemność", odpowiedziała z uśmiechem, „podczas twojej nieobecności utrzymywać wszystko w takim stanie, w jakim to było, gdy byliśmy dziećmi. Bo wtedy, zdaje mi się, byliśmy szczęśliwi".

„Bóg świadkiem, że byliśmy!" odpowiedziałem.

„A każda drobnostka, która mi brata mojego przypominała, była mi miłym towarzyszem", mówiła, zwracając ku mnie serdeczne spojrzenie swych oczu. „Nawet to oto", tu wskazała na maleńki koszyczek, pełen kluczy, po dawnemu wiszący u jej boku, „nawet to oto pobrzękuje mi jakąś starą nutą!"

Uśmiechnęła się znów i wyszła temi samemi drzwiami, któremi była weszła.

Powinienem strzec tego siostrzanego przywiązania z religijną czcią. To jedno przecież jedynie mi pozostało, a był to skarb. Gdybym raz wstrząsnął podstawami tego świętego zaufania i przyzwyczajenia, na mocy którego to przywiązanie było mi dane, straciłbym je i nigdybym go nie odzyskał. To sobie postawiłem jako zasadę. Im bardziej ją kochałem, tem bardziej winienem o tem pamiętać.

Przeszedłem się po ulicach miasta; jeszcze raz zobaczywszy mojego dawnego przeciwnika, rzeźnika — teraz był policjantem, a laska jego wisiała w jego sklepie — poszedłem dalej, by rzucić okiem na miejsce, gdzie z nim toczyłem walkę. I tam rozmyślałem o pannie Shepherd i o najstarszej pannie Larkins i o wszystkich pustych miłościach i sympatjach i antypatjach owych czasów. Nic owych czasów nie przeżyło, oprócz Agnieszki; a ona zawsze jak gwiazda nade inną, tylko jeszcze wyżej i jaśniej świeciła.

Wróciwszy, zastałem pana Wickfielda, który przyszedł do domu z ogrodu, jaki miał za miastem, a gdzie obecnie pracował prawie cały dzień. Ujrzałem go takim, jakim opisała mi go ciotka. Zasiedliśmy do obiadu wraz z kilkoma małemi dziewczynkami a mnie wydał się pan Wickfield tylko cieniem ładnego portretu na ścianie.

Spokój i cisza, zdawna w tym kątku wspomnień mych panująca, zaległa go znowu. Po skończonym obiedzie, ponieważ pan Wickfield wina nie pił, a ja za nie podziękowałem, przeszliśmy na górę; tam Agnieszka i jej małe pupilki śpiewały, grały i robiły robótki. Po herbacie dzieci poszły spać, a my troje siedzieliśmy razem, rozmawiając o minionych czasach.

„Moja rola w tej przeszłości", rzekł pan Wickfield, potrząsając siwą głową, „jest dla mnie przedmiotem wyrzutów... głębokich wyrzutów sumienia i głębokiej skruchy, Trotwoodzie, ty wiesz o tem dobrze. A jednak, gdybym mógł nawet, nie chciałbym jej przekreślić".

Łatwo mogłem w to uwierzyć, patrząc na tę twarz obok niego.

„Musiałbym równocześnie przekreślić" mówił dalej, „tyle cierpliwości i oddania, tyle wiernego dziecięcego przywiązania, że nie wolno mi o tem zapomnieć, nie! nawet za cenę zapomnienia o samym sobie".

„Rozumiem pana", odrzekłem zcicha. „Ja sam to zawsze wielbiłem i — wielbię!"

„Ale nikt nie wie, ty nawet", mówił dalej, „ile ona zdziałała, ile przecierpiała, jak ciężko walczyła. Droga Agnieszka!"

Ona błagalnie położyła mu rękę na ramieniu, chcąc go powstrzymać, i była bardzo, bardzo blada.

„Tak! tak!" rzekł z westchnieniem, myśląc widocznie o czemś, co ona przecierpiała, czy jeszcze przecierpieć miała w związku z tem, o czem mi ciotka mówiła. „No tak! Ale ja tobie nigdy nic mówiłem o jej matce. Czy ci kto o niej opowiadał?"

„Nikt nigdy, panie".

„Nie wiele jest do powiedzenia — choć przecierpiało się wiele. Wyszła za mnie wbrew woli ojca i on jej się wyrzekł. Prosiła go, by jej przebaczył, zanim moja Agnieszka przyszła na świat. Był to człowiek bardzo twardego serca, a matka jej dawno już nie żyła. Odepchnął ją. Zranił jej serce śmiertelnie".

Agnieszka przytuliła mu się do ramienia i objęła go za szyję.

„Miała kochające i czułe serce i nie przeniosła tego", mówił dalej. „Znałem wrażliwość jej uczuć bardzo dobrze, jak nikt inny. Kochała mnie serdecznie, ale szczęśliwą nie była nigdy. Zawsze potajemnie gryzła się tym stosunkiem; a że była niezdrowa i przygnębiona w czasie tej jego ostatniej odmowy — bo bynajmniej nie była to pierwsza — więc też smuciła się, gryzła i umarła. Pozostawiła mi Agnieszkę, dwutygodniowe wtedy dziecię — i te siwe włosy, z któremi mnie poznałeś".

Pocałował Agnieszkę w policzek.

„Miłość moja dla kochanego mojego dziecka była chorobliwą miłością, ale cała dusza moja wtedy była chora. Więcej o tem mówić nie będę. Nie chcę mówić o sobie, Trotwoodzie, ale o jej matce i o niej. Jeżeli ci dam jakąś wskazówkę co do tego, czem jestem albo czem byłem, ty to już rozwikłasz, ja wiem. Czem jest Agnieszka, nie potrzebuję mówić. W jej charakterze odnajdywałem zawsze ślad dziejów jej biednej matki — i to mówię ci dziś, gdy znów my troje zeszliśmy się razem po takich wielkich zmianach. Powiedziałem wszystko".

Pochylona jego głowa, jej twarz anielska i dziecięce przywiązanie nabrały dla mnie po tem, co powiedział, jeszcze głębszego a boleśniejszego znaczenia. Gdybym potrzebował czegoś dla upamiętnienia tego wieczora, który nas znów złączył, w tem wrażeniu byłbym to znalazł.

Agnieszka niebawem podniosła się od boku ojca, a zbliżywszy się cicho do fortepianu, zagrała kilka dawnych melodyj, których z tego miejsca często słuchaliśmy.

„Czy zamierzasz znów wyjechać?" zapytała mnie Agnieszka, gdyż stanąłem przy niej.

„A coby moja siostra na to powiedziała?"

„Mam nadzieję, że nic".

„Więc też nie mam takiego zamiaru, Agnieszko".

„Skoro mnie pytasz, powiem, iż uważam, że nie powinieneś tego robić, Trotwoodzie", powiedziała łagodnie. „Twoja rosnąca sława i powodzenie dają ci możność korzystnego oddziaływania; i choć j a b y m mogła zrzec się widoku brata mojego", tu wzrok jej spoczął na mnie, „to możeby względy ważniejsze przez to ucierpiały".

„Czem jestem, stałem się przez ciebie, Agnieszko. Ty to najlepiej możesz osądzić".

„Przeze mnie, Trotwoodzie?"

„Tak! Agnieszko, kochana moja!" rzekłem, pochylając się nad nią. „Pragnąłem powiedzieć ci dziś, gdyśmy się spotkali, coś, co mam w myśli od dnia śmierci Dory. Czy przypominasz sobie, jak zeszłaś wtedy do mnie, do naszego małego pokoiku — ręką wskazując ku niebu, Agnieszko?"

„Ach, Trotwoodzie", odpowiedziała i oczy jej napełniły się łzami. „Taka była kochająca, taka szczera i taka młoda! Czyż mogłabym kiedy zapomnieć?"

„Taka, jaka wtedy byłaś, siostro moja, często myślałem odtąd, ty zawsze byłaś dla mnie. Zawsze wskazująca w górę, Agnieszko; zawsze prowadząca mnie ku czemuś lepszemu, zawsze kierująca mnie ku wyżynom!"

Potrząsnęła tylko głową; poprzez łzy dojrzałem ten sam smutny, spokojny jej uśmiech.

„A ja ci za to jestem taki wdzięczny, Agnieszko, taki zobowiązany, że nie mam słów na wyrażenie uczuć mojego serca. Chciałbym, żebyś wiedziała, ale nie wiem, jak ci to powiedzieć, że przez całe moje życie będę wznosił oczy ku tobie i dam się tobie prowadzić, tak jak przez ten mrok, co przeminął. Cokolwiekby zaszło, jakiekolwiek nowe węzły tybyś zadzierżgnęła, ja zawsze patrzeć będę w ciebie i zawsze kochać ciebie, tak jak zawsze cię kocham i zawsze kochałem. Ty zawsze będziesz moją pociechą i ucieczką moją. Dopóki żyję, siostro najdroższa, będę cię zawsze widział przed sobą, wskazującą ku górze!"

Złożyła rękę w mojej dłoni i powiedziała mi, że dumną jest ze mnie i z tego, co powiedziałem, chociaż wychwalam ją o wiele ponad zasługę. A potem grała dalej zcicha, nie odrywając oczu od mojej twarzy.

„Czy wiesz", rzekłem, „że to, co dziś wieczór słyszałem od twego ojca, Agnieszko, dziwnie odpowiada uczuciu, z jakiem na ciebie spojrzałem, gdym cię ujrzał po raz pierwszy, i z jakiem siadywałem przy tobie w moich pierwszych szkolnych czasach?"

„Wiedziałeś, że nie mam matki", odrzekła z uśmiechem, „i to cię względem mnie uspasabiało życzliwie".

„To nietylko to, Agnieszko; wiedziałem, niemal tak, jakbym znał te dzieje, że w tobie jest coś niezmiernie delikatnego i łagodnego, coś, co w kim innym mogłoby być smutkiem, ale w tobie tem się nie wydawało".

Grała zcicha dalej, patrząc na mnie.

„Czy będziesz się ze mnie śmiała, że snuję takie fantazje, Agnieszko?"

„Nie!"

„Ani, jeżeli powiem, że rzeczywiście myślę, iż wtenczas już czułem, że ty umiałabyś wiernie kochać, nie dając się niczem zniechęcić i nie przestać kochać dopóki życia?... Czy będziesz się śmiała z takiego marzenia?"

„O nie! O, nie!"

Przez chwilę bolesny cień przemknął po jej twarzy; zaledwiem go jednak, wzruszony nim, dostrzegł, on zniknął

już, i grała dalej, patrząc na mnie z tym swoim spokojnym uśmiechem.

Wracając samotnie w tę pustą noc, gdy wiatr szumiał wkoło mnie, jak nieukojone wspomnienie, pomyślałem o tem i zdjął mnie lęk, że ona może nie jest szczęśliwa. Ja sam nie byłem szczęśliwy, ale jak dotąd, mężnie położyłem pieczęć na przeszłości i myśląc o niej, wskazującej ku górze, myślałem jako o tej, co mi wskazuje na to niebo nade mną, gdzie w tajemniczej przyszłości będę ją mógł kiedyś kochać miłością nieznaną na ziemi i powiedzieć jej wtedy, jak walczyłem w sercu, gdym ją kochał tutaj.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy.

Pokazują mi dwóch interesujących penitentów.

Na pewien czas — w każdym razie dopókibym książki mojej nie ukończył, a mogło to trwać kilka miesięcy — zamieszkałem w domu ciotki mojej, w Dover; tam, siedząc przy oknie, skąd oglądałem księżyc na morzu, gdy po raz pierwszy dach ten przytulił mnie, spokojnie oddawałem się mojej pracy.

Wierny postanowieniu, że nie będę mówił o moich utworach, chyba że przypadkowo wejdzie to w styczność z biegiem tego opowiadania, nie wchodzę tu w dążenia, rozkosze, obawy i triumfy mojej sztuki. Że szczerze się jej poświęciłem i z całą powagą, że jej oddałem całą energię mej duszy, to już przed tem powiedziałem. Jeżeli książki przeze mnie napisane mają jaką wartość, dopowiedzą reszty. Inaczej napróżno byłbym pisał — a reszta nikogo nie obchodzi.

Raz po raz jeździłem do Londynu — to, żeby się zgubić w barwnem tamtejszem życiu, to, żeby się naradzić z Traddlesem co do jakiegoś interesu. Prowadził on moje sprawy przez czas mej nieobecności nader rozważnie i moje interesy finansowe stały bardzo pomyślnie. Ponieważ rozgłos mojego imienia zaczął ściągać na mnie olbrzymie mnóstwo listów od nieznanych osób — przeważnie były one o niczem i trudno była na nie odpowiadać — więc umówiłem się z Traddlesem, że nazwisko moje wymaluje się na jego drzwiach. Tam więc listonosz tej dzielnicy znosił korcami listy dla mnie; i tam, co pewien czas, mozoliłem się nad niemi, jak Sekretarz Stanu, tylko bez jego pensji.

Wśród innych korespondencji przychodziły raz po raz uprzejme propozycje od któregoś z licznych pokątnych doradców, snujących się dokoła D o c t o r s C o m m o n s, ofiarujące pracę pod przykrywką mojego imienia (gdybym poczynił ostateczne kroki, zostać syndykiem), za opłatą procentu od uzyskanych dochodów. Odmawiałem jednakże tym propozycjom stale, wiedząc, że i tak istnieje wielu takich pod przykrywką praktykujących i uważając, że cała ta instytucja jest dostatecznie zła i bez mojego przyczyniania się.

Dziewczęta były już powróciły do domu, gdy nazwisko moje zjawiło się na drzwiach Traddlesa, a bystrooki chłopak wyglądał przez cały dzień, jak gdyby nigdy nie słyszał o Zofji, zamkniętej w tylnym pokoju i w przerwach wśród roboty wyglądającej na skrawek sadzą zadymionego ogródka z pompą wpośrodku. Tam jednakże zawsze ją odnajdowałem, tę samą pogodną gosposię — często nucącą swoje ballady z Devonshire, gdy żadnych obcych kroków nie słychać było na schodach, i zalewającą śpiewem swoim bystrookiego chłopca w jego urzędowym zakamarku.

Dziwiło mnie to zrazu, dlaczego tak często zastawałem Zofję, piszącą coś w kajecie, dlaczego zawsze ten kajet zamykała, gdy wchodziłem i spiesznie chowała go do szuflady stołu. Tajemnica jednakże wkrótce się wydała. Pewnego dnia Traddles, wróciwszy właśnie z sądu do domu, a prószył wtedy drobny, zimny śnieg — wyciągnął jakiś papier z biurka i zapytał mnie, co sądzę o tem piśmie?

„O, daj pokój, Tom?" zawołała Zofja, która właśnie grzała jego pantofle przed ogniem.

„Moja droga, dlaczego nie?" odpowiedział Tom w najlepszym humorze. „Co powiesz na to pismo, Copperfieldzie?"

„Jest nadzwyczajnie poprawne i urzędowe", odpowiedziałem. „Nie wiem, czym kiedy widział takie sztywne pismo".

„Prawda, że nie wygląda wcale na pismo kobiece?" zapytał Traddles.

„Kobiece?" powtórzyłem. „Tak pasuje do ręki kobiecej, jak cegła i wapno!"

Traddles roześmiał się zachwycony i powiedział mi, że to pismo Zofji, że Zofja przysięgała, iż on wkrótce potrzebować będzie kopisty i oświadczyła, że sama chce być tym kopistą, że wyuczyła się tego pisma ze wzoru i że może przepisać, zapomniałem już ile foljałów na godzinę. Zofja bardzo się zażenowała, gdy mi to wszystko opowiadał i oświadczyła, że gdy „Tom" zostanie sędzią, nie spieszno mu będzie rozgłaszać takie rzeczy. Temu jednak „Tom" uroczyście zaprzeczył, zapewniając, że zawsze i wśród wszelkich okoliczności będzie z tego tak samo dumny.

„Jaka też naprawdę dobra i przemiła z niej żona, mój drogi!" zauważyłem, gdy Zofja, śmiejąc się, wyszła.

„Mój kochany Copperfieldzie", odpowiedział Traddles, „ona jest, bez żadnego zastrzeżenia, najdroższą dziewczyną! Jak ona umie prowadzić ten dom! Jej punktualność, jej gospodarskie umiejętności, jej oszczędność i porządek, jej wesołość, Copperfieldzie!"

„Doprawdy, masz słuszność, że ją tak chwalisz!“ odrzekłem. „Szczęśliwy z ciebie człowiek. Myślę, że się wzajemnie tak uszczęśliwiacie, iż stanowicie parę najszczęśliwszych ludzi w świecie“.

„Bo też z pewnością jesteśmy dwojgiem najszczęśliwszych ludzi“, odpowiedział Traddles. „Na to zgoda, w każdym razie. Boże ty mój, gdy widzę, jak ona wstaje przy świecy w te ciemne ranki, krząta się około spraw domowych i nie pytając, pogoda czy niepogoda, wychodzi na targ, zanim urzędnicy zaczną się schodzić do biur; jak wymyśla najkapitalniejsze obiadki z najprostrzych wiktuałów, robiąc puddingi i pasztety, utrzymując wszystko na właściwem miejscu, zawsze tak czysto i ładnie ubrana, wysiadująca wieczorami ze mną, choćby nie wiem jak późno było, zawsze łagodna i dodająca otuchy, i to wszystko dla mnie — to stanowczo nie mogę czasami w to uwierzyć, Copperfieldzie!“

Rozczulał się nad temi pantoflami, które mu ona ogrzała, gdy miał je kłaść na nogi, i z przyjemnością wyciągał nogi na galeryjce kominka.

„Stanowczo nie mogę czasami w to uwierzyć“, powtórzył. „A potem, nasze przyjemności! Mój Boże, niekosztowne są one, ale cudowne! Gdy wieczorem jesteśmy tu w domu, gdy zamkniemy drzwi zewnętrzne i zapuścimy te firanki — jej to robota — gdzie może nam być przytulniej? Gdy piękna pogoda, a my sobie wieczorem wyjdziemy na spacer, ulice dostarczają nam tysiąca przyjemności. Zaglądamy do oświetlonych okien jubilerskich sklepów, a ja pokazuję Zofji, który z węży o djamentowych oczach, zwiniętych na białych atłasowych poduszeczkach, ofiarowałbym jej, gdybym miał na to; albo znów Zofja pokazuje mi, który ze złotych zegarków o podwójnej kopercie, wysadzanych drogiemi kamieniami, z najlepszym werkiem i wszelkiemi szykanami, onaby dla mnie kupiła, gdyby mogła. I wybieramy łyżki i widelce i noże do ryb i noże do masła i szczypce do cukru, które się nam obojgu podobają, jak gdybyśmy oboje mogli je kupić; i doprawdy, odchodzimy, jak byśmy je kupili! A potem znów, gdy wędrujemy po skwerach i wielkich ulicach i zobaczymy dom do wynajęcia, zatrzymujémy się przed nim niekiedy i przyglądamy mu się i naradzamy się nad tem, czyby nam się ten nadał, gdy zostanę sędzią? I zaczynamy się w nim rozgospodarowywać — taki to pokój dla nas, takie pokoje dla dziewcząt i tam dalej, aż ustalimy ku naszemu zadowoleniu, że nam się nada, albo i nie, jak się zdarzy. Niekiedy idziemy za pół ceny na galerję do teatru — sama woń jego jest tanią, mojem zdaniem, jak za te pieniądze — i tam używamy, przejmując się sztuką, w którą Zofja wierzy co do słowa, a i ja też. Wracając do domu, może tam sobie kupimy kawałek czegoś w masarni, albo w handlu ryb małego homara, i przynosimy to tutaj i mamy świetną kolacyjkę, gawędząc o tem, cośmy widzieli. Otóż wiesz, Copperfieldzie, gdybym był lordem kanclerzem, nie moglibyśmy sprawiać sobie takich uciech!“

„Czemkolwiek byś był, zawszebyś zrobił coś, coby było przyjemne i miłe“, pomyślałem, głośno zaś dodałem: „Ale, ale, ty już zapewne przestałeś teraz rysować szkielety?“

„Naprawdę“, odpowiedział śmiejąc się i czerwieniejąc, „tak zupełnie to nie mogę zaprzeczyć, że czasem jeszcze mi się to zdarza, kochany Copperfieldzie. Bo widzisz, gdym przedwczoraj siedział z piórem w ręku w jednym z ostatnich rzędów w Kings Bensch, przyszło mi do głowy spróbować, czy nie zapomniałem. I otóż, niestety, jest tam szkielet... w peruce... na półeczce biurka“.

Uśmialiśmy się obaj serdecznie, a Traddles zakończył, patrząc z uśmiechem w ogień i mówiąc tak pobłażliwie, po swojemu: „Stary Creakle!“

„Mam tu list od tego starego — łotra!“ rzekłem. Nigdy bowiem nie byłem mniej skłonny wybaczyć mu ciegów, któremi obsypywał Traddlesa, jak widząc, że Traddles sam tak mu je gotów darować.

„Od Creakle'a, przełożonego szkoły? Ależ nie!“ zawołał Traddles.

„Pomiędzy osobami, które przyciąga do mnie rosnąca moja sława i powodzenie“, rzekłem, przeglądając moje listy, „i które odkrywają, że zawsze byli czule do mnie przywiązani, jest i ten Creakle we własnej osobie. Nie jest on już teraz właścicielem szkoły, mój kochany. Zwinął interes. Jest sędzią pokoju prowincji Middlesex“.

Myślałem, że Traddles bardzo się zdziwi słysząc to, on jednakże wcale się tem nie zdziwił.

„Jakimże, myślisz, sposobem został on sędzią pokoju w Middlesex?“ zapytałem.

„O mój Boże!“ odpowiedział; „bardzo byłoby trudno odpowiedzieć na to pytanie. Może głosował za kimś, albo pożyczył komu pieniędzy, albo kupił coś od kogoś, albo inaczej kogoś zobowiązał, albo też pracował dla kogoś, który znał kogoś, kto skłonił lorda zarządcę tego hrabstwa, by mu dał nominację na ten urząd“.

„Że urzęduje, to urzęduje w każdym razie“, odpowiedziałem. „I oto pisze do mnie, że radby mi pokazał, jak działa jedyny dobry system więzienny; jedyny niezawodny sposób pozyskiwania szczerych i stałych penitentów, nawróconych na drogę cnoty — co, jak wiesz, dzieje się za pomocą systemu celkowego. I cóż ty na to?“

„Na ten system?“ zapytał Traddles z poważną miną.

„Nie. Na to, bym przyjął zaproszenie i ciebie zabrał ze sobą".

„Nie mam nic przeciwko temu", odpowiedział.

„W takim razie w ten sposób mu odpiszę. Czy ty pamiętasz (już nie mówiąc o tem, jak nas traktował), że ten sam Creakle wypędził syna z domu i jakie on życie zgotował żonie i córce, pamiętasz?"

„Doskonale pamiętam", odpowiedział Traddles.

„Jednakże, czytając jego list przekonasz się, że ma najczulsze serce dla więźniów, skazanych za Bóg wie jakie przestępstwa; ale nie widzę, by jego czułość rozciągała się na jakąkolwiek inną klasę stworzeń boskich".

Traddles wzruszył ramionami i wcale się nie zdziwił. Nie spodziewałem się, by się dziwił i sam nie byłem zdziwiony, gdyż doświadczenie dało mi niemało tego rodzaju ironicznych przykładów. Umówiliśmy czas naszej wizyty i odpowiednio tego jeszcze wieczora napisałem do pana Creakle. W oznaczony dzień udaliśmy się z Traddlesem do więzienia, nad którem władał pan Creakle. Olbrzymia to była i solidna budowla, wzniesiona znacznym kosztem. Mimowoli, zbliżając się do bramy, pomyślałem, że podniósłby się wielki krzyk w kraju, gdyby jaki nieostrożny człowiek zaproponował wydania połowy tego, co to kosztowało, na zbudowanie szkoły przemysłowej dla młodzieży albo schroniska dla zasłużonych starców.

W biurze na parterze, tak masywnie zbudowanym, że mógłby być parterem wieży Babel, przedstawiono nas staremu naszemu nauczycielowi; był on jednym z grona, złożonego z dwóch czy trzech czynniejszych urzędników i kilku gości przez nich wprowadzonych. Przyjął mnie jak człowiek, który w ubiegłych latach kształcił mój umysł i zawsze czule mnie kochał. Gdym mu przedstawił Traddlesa, pan Creakle podobnie, choć trochę słabiej, dał do poznania, że był dla niego zawsze przewodnikiem, filozofem i przyjacielem. Nasz czcigodny wychowawca wyglądał o wiele starzej i nie wypiękniał bynajmniej. Twarz jego równie była ognista, jak dawniej, oczy równie małe i raczej zapadły się jeszcze głębiej. Rzadkie, tłuste siwe włosy, które zapamiętałem u niego, prawie zupełnie wypadły, a grube żyły na łysej głowie tem mniej przyjemny przedstawiały widok.

Po trwającej jakiś czas rozmowie pomiędzy tymi panami, z której wnosząc, możnaby przypuszczać, że niczego na świecie nie godzi się brać pod rozwagę prócz najwyższej wygody więźniów, bez względu na koszt, i że na szerokim świecie poza więzienną bramą nic już innego niema do zrobienia, rozpoczęliśmy naszą inspekcję. Ponieważ była to właśnie pora obiadowa, więc weszliśmy przedewszystkiem do

wielkiej kuchni, gdzie obiad dla więźniów wydawano właśnie na porcje (każdy miał swoją dostać w swojej celi), punktualnie, według zegarka. Szepnąłem na boku do Traddlesa, że ciekaw jestem, czy też kto zastanowił się nad uderzającym kontrastem pomiędzy temi obfitemi daniami wyborowej jakości a obiadami, już nie mówię, biedaków, ale żołnierzy, marynarzy, robotników, znacznej większości uczciwej, pracującej społeczności — z których niewiadomo czy jeden na pięciuset jadał w połowie tak dobrze. Dowiedziałem się jednak, że „system" wymagał wyborowego odżywiania; i jednem słowem — żeby się raz na zawsze załatwić z systemem — przekonałem się, że w tej kwestji, jak we wszystkich innych, „system" przecinał wszelkie wątpliwości, tuszował każdą nieprawidłowość. Nikomu widocznie nie śniło się nawet, by jakiś inny system mógł być wzięty pod rozwagę, a nietylko ten jeden ich s y s t e m.

Przechodząc przez jakieś wspaniałe korytarze, zapytałem pana Creakle i jego przyjaciół, jakie mają być właściwie główne korzyści tego przemożnego i wszystkiem rządzącego „systemu"? Jak się pokazało, główną zasadą było doskonałe odosobnienie więźniów — tak, by jeden więzień nic nie wiedział o drugim — oraz doprowadzenie więźniów do zdrowego stanu duszy, wiodącego do szczerej pokuty i żalu.

Jednakowoż uderzyło mnie, gdy zaczęliśmy odwiedzać pojedyńcze jednostki w ich celach, przechodzić przez korytarze, na które wychodziły te cele i gdy nam objaśniono sposób chodzenia do kaplicy i t. d., że według wszelkiego prawdopodobieństwa więźniowie dużo o sobie wiedzieć muszą i że zaprowadzili dość wzorowy system porozumiewania się między sobą. To już dzisiaj, gdy to piszę, zostało, zdaje się, stwierdzone; ponieważ jednak byłoby to niecnem bluźnierstwem przeciw „systemowi" odezwać się wtedy z taką wątpliwością, więc już pilnie wyglądałem tylko pokuty.

I tutaj znowu zbudziły się we mnie silne podejrzenia. Zauważyłem, że panuje tu tak samo moda co do formy pokuty, jak w zewnętrznym świecie co do kroju surdutów i kamizelek na krawieckich wystawach. Zauważyłem, że odbywa się tu bardzo wiele „wyznawania", różniącego się bardzo mało charakterem: bardzo mało różniącego się (co mi się wydało nader podejrzanem) nawet słowami. Znalazłem bardzo wiele lisów, ganiących całe winnice niedostępnych winogron, ale bardzo mało takich, którym zaufałbym, gdyby im jakieś grono dosięgnąć się dało. Przedewszystkiem zauważyłem, że ci, którzy najwięcej wyznawali i najwięcej się zarzekali, byli przedmiotem największego zainteresowania: i że ich zarozumiałość, ich próżność, ich znudzenie i skłonność do oszukiwania (czem wielu z nich odznaczało się

w stopniu prawie nie do wiary, jak o tem świadczyły ich dzieje), wszystko to pobudzało ich do tego „wyznawania" i znajdowało w niem upust.

Jednakowoż słyszałem tyle razy, w czasie naszego chodzenia i tu i tam, o niejakim numerze Dwudziestym Siódmym, który był ulubieńcem i rzekomo wzorem więźnia, że postanowiłem wstrzymać się z sądem, dopóki nie zobaczę numeru Dwudziestego Siódmego. Dwudziesty Ósmy, o ile rozumiałem, był także wyjątkową gwiazdą, miał jednakże to nieszczęście, że świetność jego przyćmiewał nieco nadzwyczajny blask Dwudziestego Siódmego. Tyle słyszałem o Dwudziestym Siódmym, o jego nabożnych upomnieniach, których nie szczędził nikomu z otoczenia, i o jego pięknych listach, pisywanych stale do matki (o której dobro, zdaję się wciąż się troskał), że wprost niecierpliwie czekałem, kiedy go zobaczę.

Musiałem niecierpliwość moją poskromić na jakiś czas, gdyż Dwudziestego Siódmego chowano nam na efekt końcowy. Nareszcie jednak doszliśmy do jego celi — i pan Creakle, spojrzawszy przez małe okienko w drzwiach, oznajmił nam z najwyższym podziwem, że czyta nabożną książkę z hymnami.

Natychmiast rzuciło się tyle głów, chcących widzieć numer Dwudziesty Siódmy, czytający książkę z hymnami, że małe okienko zostało zapchane sześcioma czy też siedmioma głowami. Chcąc temu zapobiec, a zarazem dać nam sposobność porozmawiania z numerem Dwudziestym Siódmym w całej jego cnocie, pan Creakle kazał otworzyć drzwi jego celi i poprosić numer Dwudziesty Siódmy na korytarz. Stało się, jak rozkazał; i kogóż Traddles i ja, ku naszemu zdumieniu, zobaczyliśmy w nawróconym numerze Dwudziestym Siódmym? U r i a s z a H e e p a!

Poznał nas odrazu i wychodząc z drzwi, powiedział, wijąc się po dawnemu: „Jak się pan miewa, panie Copperfield? Jak się pan miewa, panie Traddles?"

To, że nas poznał, wywołało ogólny podziw w towarzystwie. Przypuszczam, że ci panowie pomyśleli, iż nie jest on widocznie dumny, skoro zwrócił na nas uwagę.

„Co słychać, Dwudziesty Siódmy", zagadnął go pan Creakle z smutnym podziwem. „Jakże się dzisiaj czujecie?"

„Jestem bardzo pokorny, panie!" odpowiedział Uriasz Heep.

„Zawsze takim jesteście, Dwudziesty Siódmy!" rzekł pan Creakle.

Tu inny pan z nadzwyczajną troskliwością zapytał: „A czy wam dobrze i wygodnie?"

„Tak jest, dziękuję panu!" odpowiedział Uriasz Heep, spoglądając w tamtą stronę. „Lepiej mi tutaj, niż kiedykolwiek było na świecie. Widzę teraz moje błędy. I dlatego jest mi dobrze".

Kilku panów odczuło przy tych słowach mocne wzruszenie; zaś trzeci pytający, przecisnąwszy się gwałtem naprzód, zapytał z niezwykłą czułością: „Jakże wam smakowała pieczeń wołowa?"

„Dziękuję panu", odpowiedział Uriasz, spoglądając znów w kierunku tego głosu. „Była wczoraj twardsza, niżbym pragnął; ale moim obowiązkiem jest znosić cierpliwie. Popełniłem błędy, panowie", rzekł, rozglądając się po wszystkich z łagodnym uśmiechem, „więc powinienem znosić następstwa ich bez skargi".

Gdy ucichł szmer, poczęści szmer uznania dla niebiańskiego stanu duszy numeru Dwudziestego Siódmego, a poczęści szmer oburzenia na przedsiębiorcę (o czem pan Creakle zaraz zrobił notatkę) — Dwudziesty Siódmy stał pośrodku nas, jak gdyby czuł się najbardziej wartościowym okazem w wysoce wartościowem muzeum. Chcąc nas, nowicjuszów, odrazu oślepić blaskiem, dano rozkaz wypuszczenia numeru Dwudziestego Ósmego.

Tak bardzo już byłem zdziwiony, że uczułem tylko rodzaj zdziwienia z odcieniem rezygnacji, gdy ukazał się pan Littimer, czytający nabożną książkę!

„Dwudziesty Ósmy", przemówił jakiś pan z okularach, który się dotąd nie odzywał, „skarżyliście się w przeszłym tygodniu, mój dobry człowieku, na kakao. Jakie było odtąd?"

„Dziękuję panu", odpowiedział Littimer, „odtąd lepiej je przyrządzają. Jeżeli mi wolno powiedzieć, to, proszę pana, nie sądzę, żeby mleko, na którem się je gotuje, było zupełnie czyste; ale wiem, że w Londynie mleko bardzo fałszują i że trudno jest dostać je w stanie czystym, niepodrabiane".

Zdawało mi się, że ten pan w okularach wysuwał swojego Dwudziestego Ósmego przeciw pana Creakle'a Dwudziestemu Siódmemu, gdyż każdy z nich manipulował swoim człowiekiem.

„Jakiż jest stan waszej duszy, Dwudziesty Ósmy?" pytał pan w okularach.

„Dziękuję panu", odpowiedział Littimer. „Rozumiem teraz moje błędy, panie. Bardzo jestem strapiony, gdy myślę o grzechach moich dawniejszych towarzyszy, panie; ale ufam, że dostąpią jednak przebaczenia".

„A sam czujecie się zupełnie szczęśliwym?" zapytał tamten, kiwając głową z zachętą.

„Bardzo jestem panu wdzięczny. Najzupełniej".

„Może macie co na sercu, co? Jeżeli tak, to mówcie, Dwudziesty Ósmy!"

„Panie", rzekł Littimer, nie podnosząc oczu, „jeżeli mnie wzrok nie myli, jest tu obecny pewien pan, którego znałem w dawniejszem mojem życiu. Może dla tego pana będzie nie bez korzyści wiadomość, iż dawne moje błędy przypisuję całkowicie temu, iż prowadziłem lekkomyślne życie w służbie młodych paniczów, i że dałem im się uwieść do słabości, którym oprzeć się nie miałem siły. Ufam, że ten pan przyjmie ostrzeżenie i nie obrazi się, że ośmielam się je dać. To dla jego dobra. Jestem świadomy moich własnych dawnych przewinień. Mam nadzieję, że i on pożałuje wszelkich niegodziwości i grzechów, których był uczestnikiem".

Zauważyłem, że kilku panów zakryło ręką oczy, jak gdyby w kościele słuchali kazania.

„Przynosi wam to zaszczyt, Dwudziesty Ósmy", odpowiedział pytający. „Można się było tego po was spodziewać. Czy macie jeszcze co do powiedzenia?"

„Panie", odpowiedział Littimer, lekko unosząc brwi, ale nie podnosząc oczu, „była tam młoda kobieta, która popadła w rozwiązłe życie i którą usiłowałem ocalić, panie, ale nie udało mi się. Proszę tego pana, o ile jest to w jego mocy, by ode mnie oświadczył tej kobiecie, że przebaczam jej to jej złe względem mnie zachowanie się i że wzywam ją, niech czyni pokutę. Jeżeli ten pan tak łaskaw".

„Nie wątpię, Dwudziesty Ósmy", odpowiedział pytający, „że ten pan, o którym mówicie, wziął to sobie bardzo do serca... tak jak my wszyscy... to, co tak słusznie powiedzieliście. Nie będziemy was zatrzymywali".

„Dziękuję panu", odparł Littimer. „Żegnam was, panowie i mam nadzieję, że wy wraz z rodzinami waszemi poznacie winy wasze i wejdziecie na drogę poprawy!"

Z temi słowy numer Dwudziesty Ósmy usunął się, zamieniwszy spojrzenie z Uriaszem, jak gdyby nie byli sobie zupełnie obcy, dzięki jakimś sposobom porozumiewania się; gdy zaś drzwi się ze nim zamknęły, rozszedł się po zgromadzonych szmer stwierdzający, że to bardzo porządny człowiek i budujący przykład.

„No a teraz, Dwudziety Siódmy", rzekł pan Creakle, występując na wolną już widownię ze swoim człowiekiem, „czy może życzycie sobie czegoś od kogo? Jeżeli tak jest, powiedzcie".

„Chciałbym pokornie prosić pana", odpowiedział Uriasz, wykręcając swą złośliwą głowę, „o pozwolenie napisania znów do matki".

„To wam z pewnością będzie dane", odpowiedział pan Creakle.

„Dziękuję panu! Niepokoję się o matkę. Boję się, czy jej co nie grozi".

Ktoś nieostrożnie zapytał, co jej grozić może? Ale na to rozległ się zgorszony szept: „Cicho!"

„O jej nieśmiertelną duszę się boję!" odpowiedział Uriasz, wykręcając się w kierunku głosu. „Pragnąłbym, żeby matka doszła do tego stanu, w jakim ja się znajduję. Nigdybym do mojego obecnego stanu nie doszedł, gdybym się tu nie był dostał. Chciałbym, by się matka moja tutaj dostać mogła. Dla wszystkich byłoby lepiej, żeby ich pojmano i osadzono tutaj".

To życzenie wywołało ogromne zadowolenie — większe, wydało mi się, niż wszystko inne dotychczas.

„Zanim tutaj przybyłem", prawił Uriasz, rzuciwszy na nas takie spojrzenie, jak gdyby cały świat, do którego należeliśmy, chciał zniszczyć z kretesem, gdyby tylko mógł, „żyłem w nieprawości; ale teraz poznałem moje nieprawości. Wiele jest grzechu na świecie. Wiele jest grzechu w matce. Wszędzie jest grzech — tylko tutaj go niema".

„Zmieniliście się do gruntu?" zapytał pan Creakle.

„O, tak, panie!" zawołał obiecujący penitent.

„Nie popadlibyście w to samo, gdybyście stąd wyszli?"

„O nie, panie!"

„No dobrze, to bardzo piękne!" oświadczył pan Creakle. „Odzywaliście się do pana Copperfielda, Dwudziesty Siódmy. Czy życzycie sobie powiedzieć mu jeszcze coś więcej?"

„Znał mnie pan na długo przedtem, zanim tu przybyłem i zanim się odmieniłem, panie Copperfield", przemówił Uriasz, patrząc na mnie, a bardziej łotrowskiego wyrazu nawet na jego wstrętnej twarzy nigdy nie widziałem. „Znał mnie pan wtedy, kiedy mimo moich błędów byłem pokorny pomiędzy pysznymi i łagodny między gwałtownymi — pan sam był gwałtowny względem mnie, panie Copperfield. Raz wymierzył mi pan policzek, pan to pamięta".

Ogólne współczucie. Kilka oburzonych spojrzeń uderza we mnie.

„Ale ja panu przebaczam, panie Copperfield. Ja przebaczam każdemu. Nie przystoi mi chować urazę. Szczerze panu przebaczam i mam nadzieję, że w przyszłości potrafi pan zapanować nad swemi namiętnościami. Mam nadzieję, że pan W. uczuje żal i panna W. i całe to grzeszne towarzystwo. Dotknęło pana strapienie, ale mam nadzieję, że to panu wyjdzie na dobre; ale najlepiej byłoby, gdyby pan tu się dostał. Dla pana W. byłoby najlepiej, gdyby tu się dostał i dla panny W. uczuje żal i panna W. i całe to grzeszne towarzystwo. perfield i wam wszystkim, panowie, to żeby was zaaresztowano i sprowadzono tutaj. Gdy pomyślę o moich dawnych błędach i obecnym moim stanie, pewny jestem, że to byłoby

dla was najlepsze. Lituję się nad wszystkimi, którzy nie są osadzeni tutaj!"

Wsunął się z powrotem do swojej celi wśród zgodnych wyrazów uznania, a zarówno Traddlesowi, jak i mnie przyniosło to ulgę, gdy go z powrotem zamknięto.

Charakterystycznym szczegółem w tej całej pokucie było, że daremnie pytałem, co ci dwaj ludzie właściwie zrobili, że się tu wogóle znajdują. O tem, zdaje się, nikt z tych panów nic nie miał do powiedzenia. Zwróciłem się do jednego z dwóch dozorców, których, sądząc po pewnych oznakach na ich twarzach, podejrzewałem, że wcale dobrze wiedzą, co cała ta heca warta.

„Czy może wiecie", zapytałem, idąc wzdłuż korytarza, „co za łotrostwo było ostatnim — błędem — numeru Dwudziestego Siódmego?"

Odpowiedział mi, że była to sprawa z bankiem.

„Defraudacja w Banku Angielskim?" zapytałem.

„Tak, panie. Defraudacja, fałszerstwo, zmowa. On i kilka innych. On tych drugich nasadził. Był to zawiły plan, a chodziło o grubą sumę. Wyrok brzmiał na dożywotnie zesłanie. Dwudziesty Siódmy był to najsprytniejszy ptaszek z całej paczki i ledwo że nie uszedł cało; ale niezupełnie. Bank tyle że zdążył mu nasypać soli na ogonek — ale ledwie w ostatniej chwili".

„A wam wiadomo, jakie przestępstwo popełnił Dwudziesty Ósmy?"

„Dwudziesty Ósmy", odpowiedział mój informator, mówiąc cicho i oglądając się, czy pan Creakle albo kto z tych panów nie słyszy, że tak nieprawomyślnie odzywa się o tych niepokalanych, „Dwudziesty Ósmy (także zesłanie) dostał miejsce i ograbił młodego pana coś na jakieś dwieście pięćdziesiąt funtów w gotówce i w klejnotach, w noc poprzedzającą ich wyjazd zagranicę. Specjalnie pamiętam jego sprawę, gdyż przyłapała go karlica".

„Co mówicie? Kto taki?"

„Mała kobietka. Zapomniałem, jak się nazywa".

„Czy nie Mowcher czasami?"

„Ot, tak właśnie. Uciekł, gdy go ścigano i chciał umknąć do Ameryki, w lnianej peruce i bokobrodach, w takiem przebraniu, jakiego pan póki życia nie zobaczy; ale ta mała kobiecinka była wtedy również w Southampton, zobaczyła go na ulicy, bystrem swojem okiem odrazu go poznała — wpadła mu pod nogi, żeby go przewrócić, i uczepiła się go jak kleszcz".

„O zacna panna Mowcher!" zawołałem.

„A coby pan dopiero powiedział, gdyby ją pan był widział, jak stała na krzesełku w loży świadków na procesie,

tak jak ja ją widziałem!" opowiadał dozorca. „Rozciął jej twarz do krwi i tłukł nią najbrutalniej w świecie, gdy go złapała, ale ona nie puściła go, dopóki go nie zamknęli. Rzeczywiście, tak się go mocno uczepiła, że policjanci musieli ich brać oboje razem. Złożyła świadectwo swoje śmiało i treściwie, tak że zyskała uznanie całej ławy i że z okrzykami odprowadzono ją do mieszkania. Powiedziała w sądzie, że wiedząc to, co wie o tym łotrze, sama jedna przytrzymałaby go, choćby był Samsonem. I wierzę, że gotowaby to zrobić!"

I ja gotów byłem uwierzyć i dlatego powziąłem dla panny Mowcher wysoki szacunek.

Obejrzeliśmy więc wszystko, co było do obejrzenia. Daremnie tłumaczyłoby się takiemu człowiekowi, jak szanowny pan Creakle, że Dwudziesty Siódmy i Dwudziesty Ósmy najzupełniej się nie zmienili, że tem, czem są teraz, byli zawsze, że po takich obłudnych łotrach można się było właśnie spodziewać tego rodzaju wyznań w tego rodzaju miejscu, że przynajmniej równie dobrze, jak my, wiedzieli oni, jak im się to opłaci, które rozpoczną przyszłą karjerę zesłańców, że — jednem słowem — wszystko to razem wzięte, był to zgniły, jałowy, przykre uwagi nasuwający interes. Pożegnaliśmy ich, razem z ich „systemem" i zadumani powróciliśmy do domu.

„A może to i dobrze", zauważyłem, „jeżeli na niezdrowym koniku galopuje się tak ostro: bo może prędzej zajeździ się go na śmierć!"

„I ja tak myślę", odpowiedział Traddles.

Rozdział sześćdziesiąty drugi.

Światło pada na moją drogę.

Zbliżał się okres Bożego Narodzenia, a ja bawiłem już w domu blisko dwa miesiące. Agnieszkę widywałem często. Choć głośno zachęcała mnie opinja publiczna, choć pobudzało mnie to do wytężonych wysiłków, słuchałem najlżejszego choćby słowa pochwały z ust jej, jak z niczyich innych.

Przynajmniej raz w tydzień, a nieraz i częściej, jeździłem do Canterbury i przepędzałem tam wieczór. Zazwyczaj powracałem nocą, gdyż dawne bolesne poczucie i tęsknota dręczyły mnie teraz — najboleśniej, gdy się z Agnieszką rozstawałem; to też wolałem nie spać i być w ruchu, niż błądzić wśród wspomnień przeszłości, w męczącej bezsenności i dręczących snach. Trawiłem na tych jazdach większą część niejednej smutnej i posępnej nocy, przeżywa-

jąc w czasie drogi myśli, które nękały mnie w czasie długiej mojej nieobecności w kraju.

Albo, gdybym powiedział, że słuchałem echa tych myśli, możebym się trafnie wyraził. Przemawiały one do mnie z odległości. Odsunąłem je od siebie i pogodziłem się z nieuchronnym moim losem. Czytając Agnieszce, co napisałem, patrząc na jej uważnie zasłuchaną twarz — widząc, że jest poruszona do łez lub do śmiechu — słysząc głos jej serdeczny, biorący taki udział w mglistych wydarzeniach tego fikcyjnego świata, w którym żyłem — myślałem, jakim mógł był być mój los. Lecz tego marzenia dotykałem tylko myślą, tak jak po ślubie z Dorą, w myśli tylko wyobrażałem sobie, czem mógłbym pragnąć, by była moja żona.

Mój obowiązek względem Agnieszki, przywiązanej do mnie sercem, które, gdybym je zaniepokoił, skrzywdziłbym samolubnie i nędznie, i nigdy może straconego nie odzyskał; moja dojrzała pewność, że ja — który sam wypracowałem sobie własny mój los i pozyskałem to, czego gwałtownie zapragnąłem — teraz nie mam prawa szemrać i muszę cierpliwie to znosić — oto co czułem i czego się nauczyłem. Jednakże kochałem ją: i teraz nawet znajdowałem w tem niejaką pociechę, gdy niejasno wyobrażałem sobie ów odległy dzień, kiedy bez szkody będę jej to mógł wyznać, kiedy już to wszystko, co jest dziś, przeminie, kiedy będę mógł powiedzieć: „Agnieszko tak to było, gdym wrócił do domu; a teraz doczekałem starości i nikogo więcej w życiu nie kochałem, prócz ciebie!"

W stosunku Agnieszki do mnie nie widziałem najlżejszej zmiany. Jaką bywała dla mnie zawsze, taką była i dalej; zawsze jednakowa.

Pomiędzy ciotką moją a mną od wieczora mojego powrotu istniało w tym względzie coś, co nietyle nazwałbym skrępowaniem, albo unikaniem przedmiotu, ile wzajemnem poczuciem, że myślimy o tem samem równocześnie, ale myśli naszych nie ujmujemy w słowa. Wysiadując, wedle starego zwyczaju, wieczorami przy kominku, często zapadaliśmy w ten nastrój, tak naturalnie i tak dla obojga świadomie, jak gdybyśmy to sobie byli otwarcie wyznali. Trwaliśmy jednak w nieprzerwanem milczeniu. Wierzyłem, że ciotka moja przeniknęła, choćby tylko częściowo, myśli moje owego wieczora i że doskonale rozumiała, dlaczego ja ich jaśniej nie wypowiadam.

Teraz, gdy nadchodził okres Bożego Narodzenia, a Agnieszka dotąd żadnych mi nowych zwierzeń nie uczyniła, zaczęła mnie ciężko dręczyć wątpliwość, już kilkakrotnie przedtem budząca się w mej duszy — czy czasem, przeniknąwszy istotny stan mojego serca, nie powstrzymuje

się z obawy, by nie dotknąć mnie boleśnie. Jeśli tak jest, pomyślałem, całe moje poświęcenie nie zdało się na nic; nie spełniłem mojego najprostszego obowiązku i to, czego właśnie chciałem uniknąć, spełniam co chwila. Postanowiłem naprawić to, by nie było żadnych wątpliwości — i jeżeli stoi między nami taka zapora, zwalić ją odrazu i stanowczą ręką.

Był to — o, ileż mam powodów pamiętać wszystko dokładnie! — zimny, ostry dzień zimowy. Śnieg padał przez kilka godzin i leżał na ziemi, nie głęboki, ale twardo zmarznięty. Od morza, za mojem oknem, wiał ostry wiatr północny. Pomyślałem, jak to ten wiatr przeciągać musi po tych górskich śnieżnych pustkowiach Szwajcarji, teraz ludzkiej nodze niedostępnych, i zadumałem się nad pytaniem, gdzie też samotniej być może, czy na tych odludnych wyżynach czy na pustym oceanie?

„Czy jedziesz dzisiaj, Trotku?" zapytała moja ciotka, wsuwając głowę w drzwi.

„Tak", odpowiedziałem. „Przejadę się do Canterbury. To dobry dzień do przejażdżki".

„Miejmy nadzieję, że i twój koń podzieli to zapatrywanie", odpowiedziała ciotka, „ale na razie opuścił głowę i uszy, stojąc tam przed drzwiami, jak gdyby myślał, że mimo wszystko woli stajnię".

Ciotka, zauważę tu, pozwalała mojemu koniowi wkraczać na grunt zakazany, choć bynajmniej nie stała się pobłażliwsza dla osłów.

„Zaraz nabędzie on animuszu!" rzekłem.

„Przejażdżka w każdym razie dobrze zrobi jego panu", zauważyła ciotka, patrząc na papiery na moim stole. „Ach, dziecko, ile ty godzin tu spędzasz! Nigdy nie pomyślałam, czytując książki, jakiej to pracy potrzeba, żeby je napisać!"

„Dosyć pracy kosztuje niekiedy przeczytanie ich", odparłem. „Co do pisania, ma ono też, ciociu, swoje powaby".

„Ach, rozumiem!" odpowiedziała ciotka. „Ambicja, pragnienie uznania, zrozumienia i jeszcze coś więcej, czy tak? No dobrze: jedź już, jedź!"

„Czy ciocia wie coś więcej", zapytałem, stojąc przed nią spokojnie, ona bowiem, poklepawszy mnie po ramieniu, zasiadła w moim fotelu, „czy ciocia wie coś więcej o tem uczuciu Agnieszki?"

Popatrzyła mi w twarz przez chwilę, zanim odpowiedziała: „Zdaje mi się, że wiem, Trotku".

„Czy ciocia utwierdziła się w swojem przekonaniu?" pytałem.

„Zdaje mi się, że tak, Trotku".

Patrzyła na mnie tak uporczywie: z rodzajem jakiegoś powątpiewania czy litości, czy wyczekiwania w swej miło-

ści, że zdobyłem się na moc pokazania jej najzupełniej pogodnej twarzy.

„A co więcej jeszcze, Trotku..." dorzuciła ciotka.

„Co?"

„Myślę, że Agnieszka pójdzie zamąż".

„Niech jej Bóg da szczęście!" odpowiedziałem pogodnie.

„Niech jej Bóg da szczęście", powtórzyła ciotka. „I jej mężowi także!"

Przytaknąłem ciotce, pożegnałem się z nią, zeszedłem lekko, wsiadłem na konia i pojechałem. Więcej powodów jeszcze, niż przedtem, miałem teraz, by uczynić to, com postanowił.

Jakże dobrze pamiętam tę jazdę w ten dzień zimowy! Te lodowe kryształki szronu, które wiatr zwiewał z źdźbeł traw i ciskał mi w twarz, ten głośny tupot kopyt końskich, wystukujących melodję na stwardniałym gruncie, ten śnieg lekko zapełniający doły wapienne, marszczony podmuchami wiatru, ten opar zgrzanych koni u wozu z sianem, stojącego dla odetchnienia na wzgórku i dźwięczne dzwonki zaprzęgu, te pobielone skłony i dale równiny na tle ciemnego nieba, jak gdyby rysowane na olbrzymiej tablicy łupku!

Zastałem Agnieszkę samą. Małe dziewczątka porozjeżdżały się obecnie do domów, a ona siedziała sama przy ogniu i czytała. Widząc, że wchodzę, położyła książkę, a przywitawszy mnie, jak zawsze, wzięła swój koszyczek z robotą i zasiadła pod jednem z staroświeckich okien.

Siadłem przy niej na ławeczce przy oknie i zaczęliśmy rozmawiać o mojej pracy, o tem, kiedy będzie gotowa i o ile postąpiła od mojej ostatniej bytności. Agnieszka była bardzo wesoła i ze śmiechem zapowiadała mi, że wkrótce stanę się zbyt sławnym, by można było ze mną mówić o takich przedmiotach.

„To też korzystam z chwili, póki czas, jak widzisz", rzekła, „i rozmawiam z tobą o tem, póki można".

Patrzyłem na piękną jej twarz, pochyloną nad robotą; ona podniosła łagodne swe, jasne oczy i spostrzegła, że na nią patrzę.

„Zamyślony dziś jesteś, Trotwoodzie!"

„Czy mam ci powiedzieć, Agnieszko, dlaczego? Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć".

Odłożyła robotę, jak zawsze, gdy rozmawialiśmy o czemś serjo i zwróciła się ku mnie ze skupioną uwagą.

„Moja droga Agnieszko, wszakże nie wątpisz o mojem do ciebie wiernem przywiązaniu?"

„Nie!" odpowiedziała z wyrazem zdziwienia na twarzy.

„Nie wątpisz, że jestem, czem zawsze byłem dla ciebie?"

„Nie!" odpowiedziała, jak pierwej.

„Czy pamiętasz, że powróciwszy do domu, starałem się wypowiedzieć ci, jaki dług wdzięczności mam względem ciebie, najdroższa Agnieszko, i jakie gorące uczucia żywię dla ciebie?"

„Pamiętam", odpowiedziała łagodnie, „pamiętam bardzo dobrze, Trotwoodzie".

„Masz jakąś tajemnicę" rzekłem. „Podziel ją ze mną, Agnieszko!"

Spuściła oczy i zadrżała.

„Trudno, żebym nie wiedział, nawet gdybym nie był słyszał — chociaż z innych ust, a nie z twoich, Agnieszko, co dziwnem jest przecież — że jest ktoś, komu oddałaś skarb twojej miłości! Nie usuwaj mnie od tego, co tak blisko dotyczy szczęścia twojego! Jeżeli możesz mi zaufać, tak jak mówisz, że możesz, a jak ja wiem, że powinnaś, pozwól mi być twoim przyjacielem, pozwól mi być twoim bratem w tej sprawie nadewszystko!"

Z błagalnem, nieledwie wyrzutu pełnem spojrzeniem podniosła się z siedzenia i biegnąc przez pokój, jak gdyby sama nie wiedziała dokąd, zakryła twarz rękami i wybuchnęła takim płaczem, że serce się we mnie ścisnęło.

A jednakże te jej łzy zbudziły we mnie coś, co mi zaświtało w sercu nadzieją. Sam nie wiedziałem dlaczego kojarzyły mi się te łzy z tym spokojnym, smutnym uśmiechem, tak wiernie zapamiętanym, i obudziły we mnie więcej nadziei, niż lęku i bólu.

„Agnieszko! Siostro! Najdroższa! Co ja uczyniłem?"

„Pozwól mi odejść, Trotwoodzie! Niedobrze mi. Nie jestem sobą. Pomówię z tobą później... innym razem. Napiszę do ciebie. Nie mów do mnie teraz. O nie mów! Nie mów!"

Usiłowałem przypomnieć sobie, co powiedziała, gdy owego poprzedniego wieczora mówiłem, że jej uczucie nie wymaga wzajemności. Było mi, jakbym cały świat miał przeszukać w jednej chwili

„Agnieszko, ja nie mogę patrzeć na twoje łzy z myślą, że to ja się stałem ich powodem. Moja najdroższa, droższa mi nad wszystko w świecie, jeśli jesteś nieszczęśliwa, pozwól mi, niech dzielę z tobą twoje nieszczęście. Jeśli ci potrzeba pomocy albo rady, pozwól, bym spróbował ci jej udzielić. Jeżeli masz w istocie ciężar jaki na sercu, może mógłbym ci ulżyć. Dla kogóż ja teraz żyję, Agnieszko, jeżeli nie dla ciebie!"

„O miej litość! Ja nie jestem teraz sobą! Innym razem!" Tyle tylko mogłem wyrozumieć.

Czy jakie samolubne złudzenie wiodło mnie na manowce? Czy też, raz uchwyciwszy wątek nadziei, czułem, że otwiera się przede mną coś, o czem nie śmiałem pomyśleć?

„Muszę powiedzieć więcej. Nie mogę na to pozwolić, byś ty tak ode mnie odeszła! Na Boga, Agnieszko, nie pozwól, byśmy po wszystkich tych latach trwali w wzajemnem niezrozumieniu — po tem wszystkiem, co przez te lata zdarzyło się i minęło! Muszę mówić wyraźnie. Jeżeli możesz mieć najlżejsze przypuszczenie, że mogę zazdrościć tego szczęścia, którem kogoś chcesz obdarzyć: że nie potrafiłbym oddać cię z rezygnacją droższemu opiekunowi, przez ciebie samą wybranemu, że nie potrafiłbym, usunąwszy się, być zadowolonym świadkiem twojej radości, odsuń to podejrzenie, gdyż ja nie zasługuję na nie! Jeżeli cierpiałem, to niezupełnie napróżno. Niezupełnie napróżno tyś mnie uczyła. W tem, co dla ciebie czuję, niema najmnieszej przymieszki egoizmu!"

Uspokoiła się już teraz zupełnie. Po krótkiej chwili zwróciła pobladłą twarz ku mnie i cichym głosem, chwilami urywanym, ale bardzo wyraźnym, powiedziała: „Winnam to twojej czystej przyjaźni dla mnie, Trotwoodzie... o której w istocie nie wątpię... winnam ci powiedzieć, że się mylisz. Więcej uczynić nie mogę. Jeżeli niekiedy, w ciągu tych lat, potrzebowałem pomocy i rady, otrzymywałem je. Jeżeli niekiedy czułam się nieszczęśliwą, uczucie to minęło. Nie usuwaj mnie od tego, co tak blisko dotyczy szczęścia twojego. Jeżeli mam jaką tajemnicę... to nie jest to żadna nowa; i nie jest nią to... co ty przypuszczasz. Nie mogę jej wyznać ani się nią podzielić z tobą. Oddawna jest moją własną i musi moją pozostać".

„Agnieszko! Czekaj! Jeszcze chwilę!"

Odchodziła, ale ja ją zatrzymałem. Objąłem ją ramieniem.

„W ciągu lat...!" „Nie jest to żadna nowa...!" Nowe myśli, nowe nadzieje zawirowały mi w głowie i życie moje nagle ujrzałem w innych barwach.

„Agnieszko najdroższa! Ty, którą tak szanuję i wielbię... i tak głęboko kocham! Gdy tutaj dziś stanąłem przed tobą, myślałem, że nic mi tego wyznania nie wydrze z duszy. Myślałem, że potrafię zamknąć je w sercu na całe życie nasze, dopóki nie doczekamy starości. Ale, Agnieszko, jeżeli budzi się oto we mnie nadzieja, że może mógłbym cię nazwać czemś więcej, niż siostrą, czemś zupełnie innem, niż siostrą!..."

Łzy jej płynęły rzęsiście; nie były to jednak takie łzy, jak te poprzednie i odżywała w nich moja nadzieja.

„Agnieszko! Przewodniczko moja zawsze i najlepsza moja podporo! Gdybyś była więcej o siebie dbała, a mniej o mnie, moja niebaczna fantazja nie byłaby z pewnością nigdy odbiegła od ciebie. Ale ty byłaś o tyle lepszą ode mnie, tak mi zawsze potrzebna w każdej mej chłopięcej nadziei i każdym zawodzie, że mieć cię za powierniczkę, polegać na tobie we wszystkiem stało mi się nietylko przyzwyczajeniem ale i potrzebą, zastępującą na razie tę pierwszą i tę większą, kochania ciebie, tak jak cię kocham!"

Płakała wciąż jeszcze, lecz nie łzami smutku, ale radości! Tuliłem ją w objęciach, tak jak nigdy jeszcze i jak, myślałem, że nigdy tulić jej nie będę.

„Wtedy, gdy kochałem Dorę... serdecznie, Agnieszko, jak wiesz..."

„Tak!" zawołała poważnie. „I cieszę się, że tak było!"

„Wtedy, gdy ją kochałem... nawet wtedy... miłość moja byłaby niezupełną bez twojej sympatji. Miałem ją i to miłość moją udoskonaliło. A gdym ją utracił, Agnieszko, czemże znów byłbym bez ciebie!"

Silniej tuliłem ją w objęciach, bliżej do serca przygarniałem, a ona drżącą rękę oparłszy na mem ramieniu, przez łzy słodkiemi swojemi oczami patrzyła w moje.

„Wyjechałem, droga Agnieszko, kochając ciebie. Bawiłem poza krajem, kochając ciebie. Powróciłem do domu, kochając ciebie!"

I teraz starałem się opowiedzieć jej o tej walce, jaką stoczyłem i o wniosku, do jakiego doszedłem. Starałem się odsłonić przed nią duszę szczerze, całkowicie. Starałem się wykazać jej, jak to mniemałem, że doszedłem do lepszego poznania siebie samego i jej, jak z rezygnacją przyjąłem tę rolę, którą mi to lepsze poznanie wskazywało, i jak, jeszcze dziś nawet, przybyłem tutaj, wierny moim postanowieniom. Powiedziałem jej, że jeśli kocha mnie tak, że za męża przyjąć mnie zechce, to niech to uczyni nie na tej podstawie, że na to zasłużyłem, a tylko na podstawie prawdziwej mojej dla niej miłości i tego cierpienia, przez które to uczucie dojrzało i stało się tem, czem jest; dlatego też wyznałem je. I — Agnieszko, z twych własnych szczerych oczu duch mojej dziecka-żony spojrzał na mnie równocześnie, chwaląc, że dobrze czynię i budząc przez ciebie jeszcze rzewniejsze wspomnienie o tym Kwiatuszku, co uwiądł w pączku jeszcze!

„Taka szczęśliwa jestem, Trotwoodzie.. serce moje takie przepełnione... ale jest jeszcze coś, co ci muszę powiedzieć".

„Najdroższa, co takiego?"

Położyła mi delikatnie ręce na ramionach i spokojnie spojrzała mi w twarz.

„Czy też ty się domyślasz, co to być może?"

„Nie chciałbym zgadywać. Powiedz mi, droga moja!"
„Ja ciebie przez całe moje życie kochałam!"

. . . .

O, jakże byliśmy szczęśliwi! Jakże szczęśliwi! Nie mieliśmy łez dla tych udręczeń, które nas przywiodły do szczęścia, ale łzy uniesienia nad szczęściem naszem i tem, że nic nas już odtąd nie rozdzieli!

Chodziliśmy razem po polach tego zimowego wieczora, a mroźne ciche powietrze wtórowało błogosławionemu spokojowi naszych dusz. Wczesne gwiazdy zaczęły świecić, a my wciąż błąkaliśmy się jeszcze, i patrząc na nie, dziękowaliśmy Bogu, że dał nam to ukojenie.

W tem samem staroświeckiem oknie staliśmy nocą, gdy księżyc zaświecił; Agnieszka oczy wzniosła ku niemu, ja szedłem za jej wzrokiem. I długie, długie mile drogi ujrzałem wtedy oczyma duszy; a na tej drodze ujrzałem mozolącego się, strudzonego, w łachmanach, opuszczonego i zaniedbanego chłopczynę, który miał kiedyś nazwać to serce, bijące teraz przy mojem, swem własnem.

. . . .

Zbliżała się pora obiadowa, gdy nazajutrz zjawiliśmy się przed moją ciotką. Peggotty powiedziała nam, że ciotka jest na górze w moim gabinecie, który ona z dumą lubiła utrzymywać dla mnie w porządku. Zastaliśmy ją w okularach; siedziała przy ogniu.

„Ejże tam! Kogóż to przywozisz do domu?" zapytała ciotka, wytężając oczy, gdyż już zmrok zapadł.

„Agnieszkę!" odpowiedziałem.

Ponieważ umówiliśmy się, że na razie nic nie powiemy, ciotka wydała się trochę zawiedzioną. Rzuciła na mnie pełne nadziei spojrzenie, gdy powiedziałem „Agnieszkę", ale widząc, że minę mam taką jak zawsze, zdjęła w rozpaczy okulary i potarła niemi nos.

Pomimo to serdecznie powitała Agnieszkę i niebawem w oświetlonej na dole bawialni zasiedliśmy do obiadu. Ciotka jeszcze ze dwa czy trzy razy zakładała okulary, żeby mi się lepiej przypatrzeć, ale zaraz też je zdejmowała, zawiedziona, i pocierała niemi nos. Bardzo to niepokoiło pana Dicka, który wiedział, że to niedobry znak.

„Ale, ale, ciociu", rzekłem po obiedzie, „rozmawiałem z Agnieszką o tem, coś mi mówiła".

„Jeśli tak, Trotku", odpowiedziała ciotka, gwałtownie czerwieniejąc, „zrobiłeś źle i złamałeś słowo".



„Ciocia się przecież nie gniewa, mam nadzieję? Z pewnością nie będzie się ciocia gniewała, skoro się dowie, że Agnieszka nie cierpi w skutek nieszczęśliwej miłości".

„Co za głupstwo!" odpowiedziała ciotka.

Ponieważ ciotka wydawała mi się przykro zaniepokojoną, pomyślałem, że najlepiej będzie położyć temu zaniepokojeniu krótki koniec. Ująłem przeto Agnieszkę pod ramię, stanęliśmy za jej krzesłem i oboje pochyliliśmy się nad nią. Ciotka, klasnąwszy w ręce i spojrzawszy przez okulary, natychmiast dostała ataku serdecznego płaczu, pierwszy i jedyny raz od czasu, jak ją znałem.

Atak sprowadził Peggotty. Zaledwie ciotka przyszła do siebie, rzuciła się na Peggotty i nazywając ją „niemądrą starą", wyściskała ją z całej mocy. To uczyniwszy, uściskała pana Dicka (który czuł się wielce uhonorowanym, ale też mocno zdziwionym); potem dopiero powiedziała im, o co chodzi. Następnie już wszyscy, uszczęśliwieni, radowaliśmy się wspólnie.

Nigdy nie mogłem wymiarkować, czy ciotka, w ostatniej swej krótkiej ze mną rozmowie posłużyła się chytrym podstępem, czy też istotnie myliła się co do stanu moich uczuć. Zupełnie wystarcza, twierdziła, że powiedziała mi, iż Agnieszka ma wyjść zamąż; a przecież sam wiem najlepiej, że to była prawda.

Ślub nasz odbył się w dwa tygodnie później. Traddles z Zofją, doktór i pani Strong, to byli jedyni goście na naszem cichem weselu. Pożegnaliśmy się radośnie i wyjechaliśmy razem. Tuliłem w mojem objęciu źródło każdego szlachetnego dążenia mojego, jądro mej duszy, treść mego życia, moją własną, moją żonę — którą kochałem miłością, opartą na skale!

„Mężu najdroższy!" przemówiła Agnieszka. „Teraz kiedy cię mogę nazwać tem imieniem, mam ci coś jeszcze do powiedzenia".

„Powiedz, kochanie, słucham!"

„To się odnosi do owej nocy, gdy Dora umarła. Dora posłała ciebie po mnie".

„Tak jest, posłała".

„Powiedziała mi, że mi coś pozostawia. Czy domyślasz się, co to było?"

Domyśliłem się. Żonę, która mnie od tak dawna kochała, przygarnąłem bliżej.

„Powiedziała mi, że ma do mnie ostatnią prośbę, i że pozostawia mi ostatnie zlecenie".

„To jest..."

„Żebym tylko ja jedna zajęła to opróżnione miejsce".

I Agnieszka złożyła głowę na mej piersi i rozpłakała się; i ja płakałem z nią razem, choć byliśmy tak szczęśliwi

Rozdział sześćdziesiąty trzeci.

Gość.

To, co zamierzyłem opowiedzieć, nieledwie dobiegło już końca. Jest jednak jeszcze jedno zdarzenie, na którem pamięć moja zatrzymuje się z przyjemnością; gdybym o niem zamilczał, jedna nić w tkaninie, którą utkałem, miałaby splątany koniec.

Wzrosła sława moja i majątek, domowe szczęście moje było bez cienia, dziesięć szczęśliwych lat minęło od dnia naszego ślubu. Pewnego wiosennego wieczora w domu naszym w Londynie siedzieliśmy z Agnieszką przy kominku, a troje naszych dzieci bawiło się w pokoju, gdy dano mi znać, że jakiś obcy życzy sobie zobaczyć się ze mną.

Zapytano go, czy przyszedł w interesie; odpowiedział, że nie, że przybył, by mieć przyjemność zobaczyć się ze mną, a przybył z bardzo daleka. Był to stary człowiek, powiedziała służąca, i wyglądał jak rolnik, jak farmer.

Ponieważ brzmiało to dla dzieci tajemniczo, a w dodatku wyglądało jak początek ulubionej bajki, którą im Agnieszka opowiadała, jak wstęp do ukazania się złego starego czarownika w płaszczu, co to wszystkich nienawidził, więc wywołało to pewne poruszenie. Jeden z naszych chłopców ukrył główkę na kolanach matki, by w ten sposób znaleźć schronienie przed złośliwym starcem, a mała Agnieszka (nasze najstarsze dziecko) usadziła w swojem krzesełku lalkę zamiast siebie, sama zaś kupkę złotych loczków wysuwała zpoza firanki u okna, by zobaczyć, co będzie dalej.

„Poproś go tutaj!' rzekłem.

Ukazał się wkrótce, zatrzymując się u wejścia w półmroku drzwi, opalony, siwowłosy starzec. Mała Agnieszka, ujęta jego wyglądem, podbiegła, żeby go przyprowadzić, a ja jeszcze nie dojrzałem jego twarzy, gdy żona moja, zrywając się, zawołała ku mnie ucieszonym i wzruszonym głosem, że to pan Peggotty!

Tak, to był pan Peggotty. Stary teraz człowiek, ale czerstwą, rzeźką, silną starością. Gdy pierwsze nasze wzruszenie minęło, i gdy zasiadł przed ogniem z dziećmi na kolanach i blaskiem płomieni na twarzy, wydał mi się tak dziarskim i mocnym, a przytem tak pięknym starcem, jak tylko rzadko spotkać można.

„Panie Dawidku", przemówił, a stare to nazwanie i ten głos dobrze znany tak swojsko zabrzmiały mi w uszach! „Panie Dawidku, radosna to godzina, co mi pozwala ujrzeć was raz jeszcze i to z własną waszą żoneczką pospołu!"

„Radosna to godzina w istocie, stary przyjacielu!" zawołałem.

„A te tutaj ślicznotki! Popatrzeć na te tu kwiatuszki! Ano przecież, panie Dawidku, nie więksi byliście, jak ten tu najmniejszy, kiedym was raz pierwszy zobaczył! Kiedy to Emilka nie była większa, a nasze biedne chłopczysko też jeszcze zaledwie chłopakiem!“

„Czas odtąd więcej zmian we mnie poczynił, niż w was“, odpowiedziałem. „Ale niechże te kochane urwisy już idą spać! A że żaden inny dom w Anglji, oprócz naszego, niema prawa mieć was pod swoim dachem, więc powiedzcie mi, dokąd mam posłać po wasze rzeczy. A ten czarny plecak, co tak daleko wędrował, jestem ciekawy, czy jest on tam także? Potem, przy szklaneczce grogu, takiego, jaki się pija w Yarmouth, opowiemy sobie dzieje dziesięciu lat!“

„Czy pan jest sam?“ zapytała Agnieszka.

„Tak pani“, odpowiedział, całując jej rękę. „Sam zupełnie“.

Posadziliśmy go między sobą, już sami nie wiedząc jak mu okazać, że tak bardzo jesteśmy mu radzi; gdy zaś zacząłem słuchać starego jego, znajomego głosu, wydawało mi się nieledwie, że ten starzec wciąż odbywa jeszcze długą swoją wędrówkę i szuka ukochanej swojej siostrzenicy.

„Kawał to wody“, mówił pan Peggotty, „dla kogoś, co ją przepływa i tylko parę twygodni ma się zatrzymać. Ale woda (a szczególnie słona woda) mnie nie dziwna; a choć do miłych przyjaciół droga daleka, ściągnęło tutaj człowieka... A oto wiersz“, rzekł pan Peggotty, zdziwiony tem odkryciem, „chociaż nie miałem tego zamiaru“.

„Czy pan chce wracać i te tysiące mil przebywać znów tak prędko?“ zapytała Agnieszka.

„Tak, pani“, odpowiedział. „Obiecałem to Emilce, zanim wyjechałem. Bo widzi pani, człowiek nie młodnieje, gdy rok mija za rokiem, a gdybym się teraz nie wybrał, nie wybrałbym się może nigdy. A zawszeć mi to leżało na sercu, że m u s z ę zobaczyć pana Dawidka i was, piękna i dobra pani, w waszej małżeńskiej szczęśliwości, nim się docna zestarzeję“.

Przyglądał się nam, jak gdyby nie mógł dość nam się napatrzeć. Agnieszka żartobliwie odgarnęła mu parę siwych pukli z czoła, żeby nas lepiej mógł widzieć.

„A teraz proszę nam opowiedzieć“, rzekłem, „wszystko o sobie i o swoich losach!“

„O naszych losach krótkie mówienie, panie Dawidku“, odpowiedział. „Szczęściło nam się, wiodło. Zawsze nam się jakoś powodziło. Pracowaliśmy, jak należy, i może tam z samego początku trochę ciężkie było życie, ale zawsze nam się wiodło. Na gospodarowaniu z owcami, na gospodarowaniu z chowem bydła, to na jednem, to na drugiem zawsze dobrze wychodziliśmy i mamy dostatek, że lepiej sobie życzyć nie można. To tak, jakby błogosławieństwo boskie było nad nami“, tu pan Peggotty z czcią pochylił głowę, „i zawsze nam się szczęściło. To znaczy w kolei czasu. Jeżeli nie wczoraj, no, to dzisiaj. Jeżeli nie dzisiaj, no, to jutro“.

„A Emilka?“ zapytaliśmy, Agnieszka i ja równocześnie.

„Emilka“, odpowiedział, „gdy ją pani pożegnała... a nigdy nie słyszałem, żeby w pacierzu imię pani opuściła... i gdy ona i ja straciliśmy z oczu pana Dawidka w on jaśniejący zachód, Emilka była tak słaba i smutna z początku, że gdyby się była dowiedziała wtedy o tem, co pan Dawidek przed nami tak poczciwie ukrył, myślę, że byłaby nam zmarniała. Ale byli tam tacy biedni ludzie na statku, co mieli u siebie chorobę i t y m i się ona zajęła; i były tam dzieci w naszem towarzystwie i t e m i się też zajęła; i tak zaczęła być czynną, robiła ludziom dobrze i to jej pomogło“.

„Kiedy się Emilka dowiedziała o tem nieszczęściu?“ zapytałem.

„Po dowiedzeniu się o tem, ja to przed nią jeszcze blisko rok ukrywałem“, odpowiedział pan Peggotty. „Mieszkaliśmy wtedy w samotnem miejscu, ale wśród pięknych drzew, a róże, to domek nasz aż po dach zakrywały. Otóż pewnego dnia, gdym pracował w polu, przyszedł tam podróżny z Anglji i naturalnie przyjęliśmy go w domu, daliśmy mu jeść i pić i byliśmy mu radzi. Wszyscy to robimy, jak kolonja długa i szeroka. Miał on przy sobie starą gazetę i jakiś inny drukowany opis tej burzy. Tak to się Emilka dowiedziała. Gdy wieczorem wróciłem do domu, przekonałem się, że wie“.

Zniżył głos, mówiąc te słowa, i ta, tak dobrze mi znana, powaga powlokła mu twarz.

„Czy bardzo ją to przybiło?“ zapytaliśmy.

„Tak, na długi czas“, odpowiedział, potrząsając głową, „jeżeli nie do tej chwili. Ale mnie się zdaje, że samotność dobrze jej zrobiła. A przytem miała dużo do roboty około drobiu i gospodarstwa i tak to jakoś przebyła. Ciekaw też jestem“, dodał w zamyśleniu, „czyby pan też poznał moją Emilkę, panie Dawidku, gdyby ją pan zobaczył?“

„Czy tak bardzo się zmieniła?“ zapytałem.

„Ja tego nie wiem. Patrzę na nią codzień i nie wiem; ale czasami zdawało mi się, że tak. Drobna figurka“, mówił pan Peggotty, patrząc w ogień, „dosyć mizerna; łagodne, smutne, niebieskie oczy; delikatna twarzyczka; ładna główka, trochę pochylona; spokojny głos, spokojne obejście — prawie nieśmiałe. Taka jest Emilka!“

W milczeniu patrzeliśmy na niego, zapatrzonego w ogień.

„Niektórzy myślą", mówił, „że swoje uczucie źle umieściła; niektórzy, że śmierć zerwała jej małżeństwo. Nikt nie wie, jak to jest właściwie. Mogła dobrze wyjść zamąż, Bóg wie, ile razy, ale, „wujaszku" mówi do mnie „to raz na zawsze skończone". Pogodna, gdy jest ze mną, zamknięta w sobie przy drugich, pójdzie chętnie daleki kawał drogi, ażeby uczyć dziecko, pielęgnować chorego, młodej dziewczynie co do ślubu idzie, oddać jaką przysługę (wielu w ten sposób pomogła, ale nigdy na żadnem weselu sama nie była); serdecznie kochająca swego wuja, cierpliwa, lubiana przez starych i młodych, poszukiwana przez każdego, kto tylko ma jakie zmartwienie. Taka jest Emilka!"

Przesunął ręką po twarzy i z tłumionem westchnieniem oderwał oczy od ognia.

„A pani Gummidge?" zapytałem.

Widocznie potrąciłem temat wesoły, gdyż pan Peggotty ryknął nagle śmiechem i zaczął rękami pocierać nogi, jak to zwykł był czynić, gdy w dawno rozbitej starej łodzi wpadł w dobry humor i rozbawił się.

„Czybyście państwo uwierzyli!" rzekł. „Wyobraźcie sobie, znalazł się taki, co się oświadczył i chciał się z n i ą żenić! Jeżeli kucharz okrętowy, który zamierzał zostać osadnikiem, nie prosił o rękę panią Gummidge, to... niechaj mnie!... więcej powiedzieć nie mogę!"

Nigdy nie widziałem, żeby się Agnieszka tak śmiała. Ten niepohamowany wybuch wesołości ze strony pana Peggotty tak ją zabawił, że śmiała się i śmiała bez końca; a im więcej ona się śmiała, tem więcej mnie rozśmieszała i tem więcej śmiechem zanosił się pan Peggotty, zawzięcie trąc sobie nogi.

„I cóż pani Gummidge na to?" zapytałem, gdy już zdołałem śmiech opanować.

„Wystawcie sobie państwo", odpowiedział, „pani Gummidge, zamiast powiedzieć: — dziękuję, bardzo wam jestem wdzięczna, ale nie myślę zmieniać stanu w moim wieku, — skoczyła z wiaderkiem, które miała pod ręką, i wdziała je na głowę onemu kucharzowi, tak że wołał gwałtu, ażem ja przyszedł i uwolnił go".

I znów pan Peggotty ryknął wielkim śmiechem a my oboje z Agnieszką wtórowaliśmy mu dzielnie.

„To jednakże muszę powiedzieć o tej poczciwinie", kończył, otarłszy twarz, gdy nas już zupełnie śmiech wyczerpał, „że była dla nas tem, czem obiecała być, i chyba więcej jeszcze. Taka to chętna, wierna, uczciwie pomocna kobieta, panie Dawidku, że nie znajdzie równej. Nigdy nie usłyszałem, że jest biedna i opuszczona, nigdy, ani na jedną

chwilę, nawet wtedy, kiedy kolonja pierwszy raz stanęła przed nami, a my byliśmy nowi i tacy obcy. Ani też nigdy nie markociła, myśląc o starym, zapewniam was, od kiedy wypłynęła z Anglji".

„No, a teraz ostatni, choć nie najmniej ważny, pan Micawber", rzekłem. „Popłacił wszystkie należytości, jakie tu zaciągnął... nawet weksel Traddlesa, pamiętasz, Agnieszko droga... to też możemy być pewni, że mu się dobrze dzieje. Ale jakie są ostatnie o nim wiadomości?"

Pan Peggotty z uśmiechem wsunął rękę w kieszeń na piersiach i wyciągnął stamtąd płasko złożoną papierową paczkę, z której z wielkiem staraniem wydostał małą, dziwacznie wyglądającą gazetkę.

„Bo musi pan wiedzieć, panie Dawidku", rzekł, „że opuściliśmy już teraz Zarośla, doszedłszy do pewnego majątku, i przenieśliśmy się prosto do zatoki Port Middlebay, gdzie jest, tak p o n a s z e m u nazwane niby miasto".

„To pan Micawber był niedaleko was w Zaroślach, jako osadnik?"

„Ależ tak, panie", odpowiedział pan Peggotty, „i tęgo a ochotnie brał się do roboty. Nie wiem, czy kiedy zobaczę takiego pana, coby lepiej i ochotniej garnął się do roboty. Widziałem ja tę łysą jego głowę, pocącą się na słońcu, panie Dawidku, ażem czasem myślał, że mu się całkiem roztopi. A teraz jest sędzią i radcą miejskim".

„Sędzią i radcą miejskim, tak?" zapytałem.

Pan Pegotty wskazał mi na pewien ustęp w gazetce, ja zaś z „Port Middlebay Timesa" przeczytałem głośno co następuje:

„Bankiet na cześć naszego wybitnego ziomka kolonisty i obywatela miasta, pana W i l k i n s a M i c a w b e r a, sędziego i radcy Okręgu Port Middlebay, odbył się wczoraj w wielkiej sali w Hotelu, przepełnionej po brzegi. Obliczano, że nie mniej jak czterdziestu siedmiu osobom musiano równocześnie podać obiad, nie licząc towarzystwa w korytarzach i na schodach. Wszystko, co najpiękniejsze, najwyżej stojące w Port Middlebay, pospieszyło gromadnie, by uczcić osobę tak zasłużoną, szanowaną, tak wysoce utalentowaną i tak w szerokich kołach popularną. Doktór Mell (przełożony kolonialnej szkoły Salem House w Port Middlebay) prezydował, a po jego prawicy siedział wybitny gość. Po zdjęciu obrusu i odśpiewaniu N o n N o b i s (ślicznie wykonanego, przyczem z łatwością rozróżnialiśmy jak dzwon dźwięczne tony głosu tego uzdolnionego amatora, pana W i l k i n s a M i c a w b e r a J u n i o r a), wznoszono i z zapałem powtarzano zwykłe lojalne i patrjotyczne toasty. Następnie Dr. Mell w mowie, pełnej uczucia, wniósł toast: „Niech

żyje nasz szanowny gość, ozdoba naszego miasta! Oby nas nigdy nie opuszczał, chyba dla poprawy losu — oby zaś wiodło mu się tu, wśród nas, tak dobrze, by żadne „lepiej“ nie było możliwem!“ Okrzyki, z jakiemi toast ten został przyjęty, nie dadzą się opisać. Raz wraz, to się wznosiły, to opadały, jak fale oceanu. Nareszcie wszystko się uciszyło a pan Wilkins Micawber powstał, ażeby podziękować. Dalecy jesteśmy od tego — przy stosunkowo niedoskonałym składzie obsady naszej redakcji — by starać się podążyć za naszym wybitnym ziomkiem poprzez gładko płynące okresy jego wytwornej i wysoce ozdobnej przemowy! Niechaj wystarczy, że stwierdzimy, iż było to arcydzieło wymowy, i że te ustępy, gdzie bardziej szczegółowo kreślił bieg swojej własnej udanej karjery, sięgając do jej źródeł, i przestrzegał młodszą połowę swoich słuchaczy przed niebezpieczeństwem zaciągania licznych pieniężnych zobowiązań, którymby nie zdołali sprostać — że te ustępy łzami zwilżyły oczy najpoważniejszych mężów. Dalsze toasty wznoszono na cześć doktora Mell, pani Micawber (która uprzejmym ukłonem dziękowała z bocznych drzwi, gdzie galerja piękności wnosiła się na krzesłach, by być świadkiem wdzięcznej sceny i zdobić ją zarazem) — dalej pani Ridger Begs (z domu Micawber), pani Mell, Wilkinsa Micawbera Juniora (ten rozśmieszył całe zgromadzenie, żartobliwie oświadczając, że mową podziękować nie potrafi, ale jeśli towarzystwo pozwoli, podziękuje piosenką), rodziny pani Micawber (dobrze znanej, zbyteczne to powtarzać, w macierzystym kraju), etc. etc. etc. Na zakończenie, jak za dotknięciem czarodziejskiej laski, usunięto stoły i przystąpiono do tańca! Pomiędzy adeptami Terpsychory, którzy wirowali, dopóki Bożek dnia nie ostrzegł, że pora się rozejść, odznaczali się przed innymi pan Wilkins Micawber Junior i nadobna a wykształcona panna Helena, czwarta córka doktora Mell“.

Zatrzymałem się wzrokiem na nazwisku doktora Mell, rad że odkryłem go żyjącego w tych szczególnych warunkach, pana Mell, niegdyś biednego, zagłodzonego nauczyciela u mojego sławetnego sędziego pokoju z Middlesex — gdy pan Peggotty wskazał mi palcem na inną stronicę gazetki. Tam napotkałem własne moje imię i czytałem, co następuje:

„Do pana Dawida Copperfielda
wybitnego autora.
Mój drogi Panie!

Lata minęły, odkąd miałem sposobność własnemi oczami oglądać rysy, dziś nie obce wyobraźni znacznej części cywilizowanego świata.

Jednakże, mój drogi panie, jakkolwiek pozbawiony (siłą okoliczności, nad któremi nie mam władzy) osobistego towarzystwa przyjaciela i towarzysza mej młodości, śledziłem zawsze lot, jakim on wzbijał się w górę. Ani też nie zaprzestałem,

„Choć mórz ryczące fale nas dzieliły“, (Burns)

uczestniczyć w ucztach duchowych, jakie dla nas zostawiał.

Dlatego też nie mogę tego ścierpieć, by wyjechała stąd osoba, przez nas obu szanowana i ceniona, a ja żebym, drogi Panie, nie skorzystał z publicznej sposobności podziękowania ci w mojem imieniu i, śmiało mogę dodać, w imieniu wszystkich mieszkańców Port Middlebay za rozkosze, jakie nam świadczysz.

Nie ustawaj, drogi Panie! Nie jesteś tu nieznany, nie jesteś niedoceniony! Chociaż dalecy, nie jesteśmy ani „obojętni, ani smętni“, ani (mogę dodać) niepojętni. Nie ustawaj, mój drogi Panie, w Twoim orlim locie! Mieszkańcom Port Middlebay wolno przecież pragnąć śledzić lot ten z rozkoszą, z zajęciem, z pożytkiem!

Między oczami, co wznoszą się ku Tobie z tych okolic kuli ziemskiej, znajdziesz zawsze, dopóki mu światła i życia nie zbraknie,

oko
należące do
Wilkinsa Micawbera
Sędziego i Radcy“.

Zauważyłem, przeglądając resztę zawartości gazetki, że pan Micawber był pilnym i cenionym współpracownikiem tego dziennika. Był w tym samym numerze jeszcze jeden jego list w sprawie jakiegoś mostu; było ogłoszenie o zbiorze podobnych listów jego pióra, mających wkrótce wyjść w ładnym tomiku „z znacznem uzupełnieniem“; a jeżeli się bardzo nie mylę i wstępny artykuł on pisał.

Dużo mówiliśmy o panu Micawberze, niejednego wieczora podczas pobytu pana Peggotty u nas. Mieszkał on z nami przez cały ten czas — zdaje mi się, że był to niecały miesiąc — a siostra jego i moja ciotka przyjechały odwiedzić go w Londynie.

Agnieszka i ja pożegnaliśmy go na pokładzie okrętu, gdy odpływał; i już nigdy więcej na ziemi żegnać się z nim nie będziemy.

Zanim jednakże wyjechał, wybrał się ze mną do Yarmouth, by obejrzeć pomniczek, który postawiłem na cmentarzu ku pamięci Hama. Podczas gdy na jego prośbę przepisywałem prosty napis, zobaczyłem, że się nachyla i zbiera z grobu garść trawy i trochę ziemi.

„To dla Emilki“, powiedział, składając to na piersiach. „Przyrzekłem, panie Dawidku“.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty.

Ostatni rzut oka wstecz.

I oto kończę książkę moich wspomnień. Raz jeszcze oglądam się poza siebie — raz ostatni — zanim zamknę te kartki.

Widzę siebie, z Agnieszką przy boku, przebywającego drogę życia. Widzę dzieci nasze i przyjaciół naszych wkoło siebie i słyszę głosy wielu ludzi, nieobojętne mi w czasie mej podróży.

Które twarze najwyraźniej widzę w przemijającym tłumie? Oto te: wszystkie one zwracają się ku mnie, gdy zadaję sobie to pytanie.

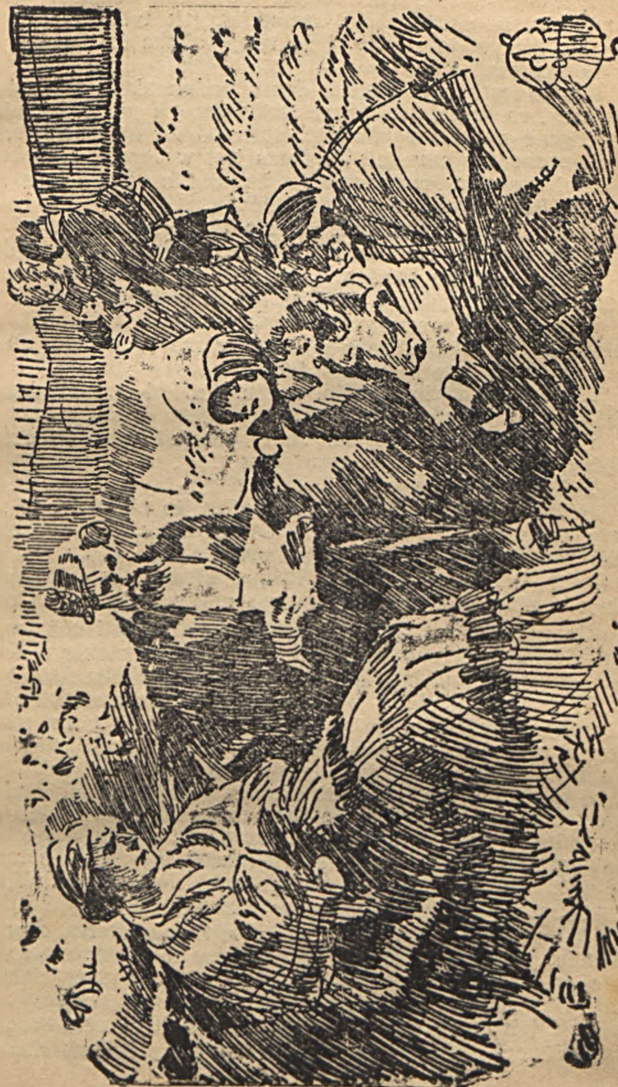
Oto tutaj moja ciotka, w silniejszych teraz okularach, stara kobieta lat ośmdziesięciu z okładem, ale zawsze wyprostowana i dzielnie, bez przestanku, odbywająca sześciomilowe spacery zimową porą.

Zawsze z nią idzie oto Peggotty, moja poczciwa stara piastunka, również w okularach, przyzwyczajona wieczorami szyć tuż pod lampą, ale nigdy nie zasiadająca do roboty bez kawałka woskowego stoczka, miarki yardowej w małym domeczku i pudełka z obrazkiem katedry św. Pawła na wieku.

Policzki i ramiona Peggotty, tak twarde i rumiane za mych dziecinnych lat, że dziwiłem się, dlaczego ich ptaki nie dziobią zamiast jabłek, pomarszczone są teraz; a oczy jej, dawniej tak czarny cień rzucające na jej twarz, pobladły teraz (chociaż świecą się zawsze jeszcze); jednakże szorstki jej palec wskazujący, który mi dawniej przypominał tarkę, jest taki sam, jak był, a gdy widzę najmłodsze moje dziecko, chwytające zań, w chwiejnych swych próbnych kroczkach od ciotki mej do niej, myślę o naszym małym saloniku w domu, gdy zaczynałem chodzić. Ciotka moja doczekała się nareszcie pociechy za swój dawny zawód. Jest chrzestną matką prawdziwej, żyjącej Betsey Trotwood, a Dora (następna zkolei), twierdzi, że ciotka ją psuje.

W kieszeni Pegotty wystaje coś dużego. To książka o krokodylach, obecnie w stanie dosyć podniszczonym, z różnemi podartemi i pozszywanemi kartami, którą jednakże Peggotty, jak drogocenną relikwję, pokazuje dzieciom. Uważam, że to bardzo ciekawe widzieć twarzyczkę swego własnego dziecka, gdy spojrzy na mnie z ponad książki i przypomni mi starego mojego znajomego, Brooksa z Sheffieldu.

Pomiędzy moimi chłopcami widuję, w czasie tych letnich wakacyj, starego pana, fabrykującego olbrzymie latawce i z niewypowiedzianym zachwytem patrzącego, jak się



unoszą w powietrzu. Wita mnie radośnie i szepcze, kiwając głową i mrugając: „Trotwoodzie, może rad będziesz, gdy ci powiem, że skończę mój memorjał, jak tylko nie będę miał nic innego do roboty, i że twoja ciotka jest nadzwyczajną kobietą, mój panie!"—

Kto to jest, ta pochylona dama, podpierająca się laską, o twarzy, na której są jeszcze ślady dumy i piękności, niedoszczętnie zatarte gderliwem, zidjociałem, żałosnem bredzeniem chorego umysłu? Ta dama jest w ogrodzie, a obok niej stoi sucha, czarna, zawiędła kobieta, z białą blizną na wardze. Posłucham, co też one mówią.

„Różo, ja zapomniałam, jak się ten pan nazywa".

Róża nachyla się nad nią i mówi: „Pan Copperfield!"

„Cieszę się, że pana widzę. Przykro mi widzieć pana w żałobie. Mam nadzieję, że czas będzie łaskawy dla pana".

Niecierpliwa towarzyszka burczy na nią, mówi jej, że nie jestem w żałobie, każe jej jeszcze raz popatrzeć, stara się przywołać ją do przytomności.

„Pan widział się z moim synem", mówi starsza dama. „Czyście się pogodzili?"

Patrząc uporczywie we mnie, podnosi rękę do czoła i jęczy. Nagle woła strasznym głosem:

„Różo, chodź do mnie! On umarł!"

Róża klęka przed nią i naprzemian, to pieści ją, to się z nią kłóci, to z okrucieństwem wyrzuca jej: „Ja jego bardziej kochałam, niż ty!" — to znów kołysze ją do snu na piersiach, jak chore dziecko. Tak je widzę, gdy odchodzę; tak je zawsze widuję i tak im czas upływa, z roku na rok.

Co to za okręt wraca z Indji do ojczyzny i cóż to za dama, Angielka, żona mrukliwego starego szkockiego Krezusa, z uszami jak talerze? Czyżby to była Julja Mills?

W istocie, to Julja Mills, rozkapryszona i wykwintna, z czarnym służącym, co podaje jej bilety i listy na złotej tacy i miedziano-barwną niewiastą w białych płótnach i jaskrawej chustce dokoła głowy, podającą jej śniadanie w jej ubieralni. Ale Julja już nie prowadzi teraz dziennika, nigdy już nie śpiewa Trenów Zgasłej Miłości; kłóci się wiecznie ze starym szkockim Krezusem, takim sobie gatunkiem żółtego niedźwiedzia w opalonej skórze. Julja tarza się w złocie i o niczem innem nie mówi i nie myśli. Wolałem ją, gdy przebywała na pustyni Saharze.

A może właśnie to jest „pustynią Saharą?" Bo, chociaż Julja ma wspaniały dom, choć ma liczne towarzystwo i wydaje codziennie świetne obiady, nie widzę żadnej zielonej roślinki w jej pobliżu, nie widzę niczego, coby kiedyś zakwitnąć lub owoc wydać mogło. To, co Julja nazywa „towarzystwem", widzę i znam; jest tam też pan Jack Maldon,

siedzący na swej synekurze i szydzący z tej ręki, co mu ją dała — mówiąc do mnie o doktorze, mówi: „taki czarujący antyk!" Ale Juljo, jeżeli „towarzystwem" nazywamy takich jałowych, płytkich panów i panie, którym „dobre wychowanie" nakazuje głosić obojętność na wszystko, co przyspiesza albo opóźnia rozwój ludzkości — to może być, że sami zabłądziliśmy w tej właśnie pustyni Saharze i że dobrze byłoby znaleźć z niej drogę wyjścia? —

Ale oto i doktór, zawsze nasz dobry przyjaciel, pogrążony w pracy nad swoim słownikiem (jest gdzieś przy literze D.), szczęśliwy w swoim domu i przy swojej żonie. A oto i Stary Żołnierz, na bardziej ograniczonem stanowisku i bynajmniej nie tak wpływowy, jak to za dawnych czasów bywało! —

Zapracowanego w swojej kancelarji przy sądzie Temple, z miną wielce zaaferowaną i włosami (tam gdzie niema łysiny) jeszcze bardziej buntowniczemi od ciągłego tarcia adwokackiej peruki, zastaję — w późniejszych czasach — mojego kochanego starego Traddlesa. Stół jego pokrywają grube stosy papierów; rozglądam się i mówię: „Gdyby Zofja teraz była twoim pomocnikiem, Traddlesie, miałaby dość do roboty!"

„Co prawda, to prawda, mój drogi Copperfieldzie! Ale i tam także były kapitalne czasy, tam w Holborn Court! Powiedz, czy nie były?"

„Wtedy, gdy Zofja ci przepowiadała, że zostaniesz sędzią? Ale w t e d y jeszcze nie mówiło o tem całe miasto!"

„W każdym razie", odparł, „jeżeli nim będę..."

„Ale przecież wiesz, że będziesz".

„A więc dobrze, mój drogi Copperfieldzie, gdy zostanę nim, opowiem tę historję, tak jak to obiecałem".

Wychodzimy razem, pod rękę. Mam być na familijnym obiedzie u Traddlesa. To dziś urodziny Zofji, a Traddles po drodze opowiada mi o swojem powodzeniu.

„Rzeczywiście, mój drogi Copperfieldzie, udało mi się osiągnąć wszystko, co mi najbardziej leżało na sercu. Oto wielebny Horacy otrzymał promocję na to probostwo z pensją czterystu pięćdziesięciu funtów; dwa nasze chłopaki otrzymują jak najlepsze wychowanie i odznaczają się jako pilni uczniowie i dobrzy chłopcy; trzy z naszych dziewcząt wyszły bardzo dobrze zamąż, trzy mieszkają u nas a jeszcze trzy prowadzą dom wielebnemu Horacemu po śmierci pani Crewler; i wszystkie są szczęśliwe".

„Z wyjątkiem..." podsuwam.

„Z wyjątkiem naszej Pięknej", mówi Traddles. „Tak. Bardzo to było niefortunne, że wyszła za takiego ladaco. Ale był w nim jakiś szyk i jakiś blichtr, na co się

dała złapać. Jednakże, skoro już razy mamy ją bezpieczną w naszym domu, a jego się pozbyliśmy, musimy starać się podnieść ją znów na duchu".

Dom Traddlesa jest to właśnie jeden z tych domów, które z Zofją upatrywali podczas swoich wieczornych spacerów. Jest to obszerny dom; pomimo to Traddles trzyma swe papiery w swym gabinecie toaletowym a buty razem z papierami, oboje zaś z Zofją mieszczą się ciasno w górnych pokojach, pozostawiając najlepsze pokoje Pięknej i dziewczętom. Niema żadnego wolnego pokoju, gdyż więcej jeszcze „dziewcząt" bawi tu obecnie i bawi zresztą prawie ciągle z niezliczonych, to takich, to owakich powodów. Oto tu, gdy wchodzimy, zastajemy ich całą gromadę; biegną do drzwi i z rąk do rąk podają sobie Traddlesa do ucałowania, że aż mu tchu ledwie staje. Tu, ulokowana już na stałe, jest biedna „Piękna", wdowa z maleńką córeczką; tu na uroczystym obiedzie, z okazji urodzin Zofji, są trzy zamężne siostry z trzema mężami, jeden brat jednego z mężów, kuzyn drugiego i siostra trzeciego, która, zdaje mi się, jest zaręczoną z kuzynem. Traddles, to samo proste, szczere człowieczysko, jak zawsze, siedzi na końcu długiego stołu, jak patrjarcha; a z drugiego końca naprzeciw niego promienieje ku niemu Zofja poprzez wesołą białą przestrzeń obrusa, błyszczącego nie chińskiem już, zaiste, srebrem.

A teraz, gdy kończę moje zadanie — z żalem, bo chętniebym się jeszcze zatrzymał — bledną mi te twarze, bledną i znikają. Jedna jedyna jednak, świecąca nade mną jak ta jasność niebieska, przez którą wszystko widzę, góruje ponad niemi i poza niemi wszystkiemi. I ta pozostaje.

Odwracam głowę i widzę ją, tak spokojnie piękną, obok siebie. Lampa moja dopala się, pisałem późno w noc; ona jednakże, ona, bez której byłbym niczem, drogą swoją obecnością dotrzymuje mi towarzystwa.

O Agnieszko, o duszo moja, tak bądź przy mnie, gdy już naprawdę życie moje będę kończyć; tak obym — gdy rzeczywistość w mgłę mi się rozwiewać będzie, jako te cienie, które teraz żegnam — tak obym zawsze widział cię przy sobie, wskazującą ku niebu!

KONIEC.

